

L. Sprague de Camp i Catherine C. de Camp

DUCHY, GWIAZDY I CZARY

Z angielskiego przełożył
Wacław Niepokólczycki

Warszawa 1970
Państwowe Wydawnictwo Naukowe

Rozdział I
ŚWIAT TAJEMNY

... Czas swój znają czarownicy:
Noc ciemna, czarna, noc głucha, milcząca,
Godzina, w której podpalono Troję,
W której psy wyją, a hukają sowy,
W której upiory ze swych wstają grobów.
Do czarów naszych najlepsza to pora.*

W. Szekspir

Żyjemy w czasach, kiedy ludzie badają powierzchnię Księżyca, kiedy rozplątuje się zawiłą płataninę praw rządzących dziedzicznością, gdy człowiek cywilizowany może mieć nadzieję, że w ciągu jednego pokolenia problemy ubóstwa, choroby i starości zostaną rozwiązane. Śmiejemy się z owych nielicznych dzikusów, którzy gdzieś daleko uprawiają magię, aby zapewnić obfite zbiory, uzdrowić chorych albo porazić wroga.

Czy jednak śmiech ten jest uzasadniony? Dokoła nas, tuż za jasnym, młodym obszarem wiedzy leży stara i mroczna kraina magii. Nie docierają tam prawa druzgocącej logiki. Tam ziemię przemienia się w złoto, starcom przywraca się młodość, a duchy podporządkowują się rozkazom śmiertelnych. Natura jest posłuszna na byle skinienie, wróg pada na dźwięk słowa.

* W. Szekspir, *Król Henryk VI*, część druga, akt I, scena 4. Przekład Leona Ulricha.

Koło staje się kwadratem, a księga przyszłości odsłania swoje karty.

Ktoś mógłby pomyśleć, że to nieładnie poddawać bliższemu badaniu te urocze sny, które tak nęcą nas swym blaskiem i kuszą, abyśmy zboczyli ze żmudnej drogi rzeczywistości. Ale dlatego właśnie, że magia potrafiła omamić miliony ludzi od początku dziejów i nadal kieruje do pewnego stopnia myślami i czynami nas wszystkich, musimy zbadać jej liczne oblicza. Gdy nauczymy się rozpoznawać magię we właściwej jej postaci, będziemy lepiej rozumieli i kontrolowali swoje reakcje na otaczający świat.

Już samo słowo „magia” posiada własną magię. U niektórych słowo to wywołuje poetycki dreszcz budzącej się wiosny albo przypomina tajemniczość szeptów zakochanych przy blasku księżyca. Innym przywodzi na myśl straszne obrządki wykonywane w ciemnych i złowrogich miejscach. Odarta jednak z dreszczyku i grozy magia jest po prostu próbą osiągnięcia celu za pomocą jakichś sił, przedmiotów lub istot nadnaturalnych, tak jakby to były siły fizyczne, przedmioty materialne lub organizmy żywe.

Magia jest różna od religii, mimo że czarodzieje bywają często wyznawcami jakiejś religii i większość religii daje schronienie elementom magii. W religii człowiek nie próbuje zniewalać swego bóstwa. Może je błagać, wychwalać, przekupywać albo mu dziękować, ale nie próbuje nim kierować ani mu rozkazywać, jak rozkazywał Aladyn swemu Dżinowi Lampy. Nie jest też magia filozofią w ścisłym tego słowa znaczeniu, choć może mieć własną filozofię. Nie jest również czczym kuglarstwem lub szwindlem, mimo że czarownicy często posługiwali się kuglarstwem, aby oszukać swoich zwolenników.

Magia nie jest też nauką. W ciągu ostatnich stuleci

ludzie myślący opracowali metodę naukową, która nie pozostawia miejsca dla czynników nadnaturalnych. A mimo to drobne przesady, które zachowały się jedynie siłą nawyku, leżą jak skamieliny kulturowe w dziecięcych warstwach naszego umysłu.

Niewielu z ludzi sądzących, że czarny kot przynosi nieszczęście, wie coś o czasach, gdy czarny kot był uważany za współnika czarownicy. Bardzo rzadko ludzie, którzy mówią „na zdrowie”, gdy ktoś kichnie, wiedzą, że to zaklęcie miało niegdyś za zadanie przywrócić ciału duszę brutalnie zeń wypchniętą z pędem powietrza podczas kichania. Wielu z nas, może z uśmiechem zakłopotania, „odpukuje” w niemalowane drzewo albo nosi przy sobie szczęśliwe amulety. Ludzie samotni często garną się do ludzi dziwnych i cudownych, którzy twierdzą, że są w stanie doprowadzić ich skróconą drogą do mądrości i spokoju ducha. Inni zwracają się ku gwiazdom, aby z nich wyczytać przyszłość. Jeszcze inni łączą się w stowarzyszenia okultystyczne, których przywódcy obiecują swoim zwolennikom zdrowie, bogactwo lub władzę w zamian za ślepe posłuszeństwo.

Bywa, że magia stroi się w piórka nauki. Nie zawsze łatwo stwierdzić, czy nowy lek na raka jest tryumfem wiedzy, czy też oszustwem sprytnego szarlatana. Nie można powiedzieć od razu, czy człowiek, który jakoby posiadał nową metodę rozwijania umysłowych możliwości jest geniuszem czy szarlatanem.

Rozumienie dziejów magii i istoty jej praktyk nie może rozwiązać wszystkich zagadek, które nappełniają nasze myśli. Rozumienia te jednakże odświeżą zatęchłe zakątki, gdzie dawna ignorancja i nowoczesne nieporozumienia stwarzają żyzną glebę lęku, na której czarodzieje uprawiają trujące grzyby magii.

Aby zrozumieć istnienie magii w cywilizacji zacho-

dniej musimy się cofnąć do dawnych społeczeństw, których magia zachowała się w naszym myśleniu. Bowiem w dziedzinie sztuki czarnoksięskiej kultura nasza zapożyczyła bardzo wiele od kilku starszych społeczeństw. Przyznają to zresztą sami czarodzieje, ludzie najbardziej antyczni w swoich gustach. Twierdzenie czarownika dowodzącego, że jego kult został założony przez jednego z wczesnych faraonów, może zawierać ziarno prawdy. Cele tego kultu, wierzenia i praktyki mogą sięgać okresu potęgi Egiptu. Mogą sięgać nawet mroków prahistorii, półnagich łowców z epoki kamiennej.

Magia jest najstarszą profesją na świecie. Jej ślad widać w malowidłach zwierząt na ścianach jaskiń paleolitycznych na terenach Francji i Hiszpanii. Jej dzieje można odczytać z kruchych kart średniowiecznych *Ksiąg czarodziejskich* — owych podręczników magii. Można je usłyszeć w przyzywających bogów deszczu dźwiękach bębnów i przyspiewach czarowników Indian amerykańskich. Dzisiaj rzuca się w oczy z barwnych okładek poświęconych astrologii magazynów sprzedawanych w Stanach Zjednoczonych w kioskach z gazetami.

Z zabytków archeologicznych i studiów nad życiem dzisiejszych ludów prymitywnych uczeni ukształtowali sobie dostateczny pogląd na temat praktyk i sposobu życia pierwszych czarowników. Ogólnie biorąc, ludzie prymitywni są konwencjonalni, konserwatywni i zaściankowi. Nie zajmują ich sprawy dawne czy dalekie. Lubią wykonywać różne rzeczy w taki sam sposób, jak je wykonywali ojcowie. Lubią znać zasady postępowania i pilnują, by wszyscy się do nich stosowali. Z zjadłą wrogością odnoszą się do tego, co obce, do nowych idei i do ludzi, którzy nie dostosowują się do zdania większości. Podobnie jak w jakiejś małej

mieścinnie w Nowej Anglii, każdy o każdym wszystko wie i do wszystkiego się wtrąca.

Takie otoczenie nie jest odpowiednie dla kogoś o twórczym, oryginalnym lub radykalnym usposobieniu. W dzisiejszej Ameryce nonkonformista może porzucić swą rodzinną wioskę i zamieszkać w mieście. Ale prymitywny nonkonformista nie miał się dokąd przenieść. Albo więc musiał się dostosować, albo ryzykował wygnanie czy nawet śmierć. Jeżeli był człowiekiem o dużych zdolnościach, mógł zdobyć władzę nad współplemiennikami dzięki jakiejś specjalizacji. Mógł zostać lekarzem, mędrce, poetą, kapłanem i historykiem plemiennym — krótko mówiąc, czarodziejem.

Zazwyczaj czarodziej ludów prymitywnych wstępuje do zawodu po wtajemniczeniu dużo surowszym niż w bractwach akademickich w XIX wieku, a często również dopiero po długim okresie terminowania. Jeżeli nie należy do jednego z najprymitywniejszych plemion, musi zazwyczaj przystąpić do tajnego stowarzyszenia. Owym tajnym stowarzyszeniem może być organizacja polityczna, jak Egbo w Afryce Zachodniej, gdzie czarodziej pełni jakąś funkcję, na przykład skarbnika. Może to być stan duchowny, którego członkowie pełnią wyspecjalizowane funkcje, na przykład egzorcysty, jak u Whare Kura w Nowej Zelandii. Może to być również związek zawodowy czarodziejów, jak północnoafrykański Sirri.

W swojej pracy czarodziej posługuje się doktrynami, metodami oraz przedmiotami materialnymi, mającymi mu pomóc w osiągnięciu celu. Doktrynami są legendy o bogach, duchach, potworach i innych istotach nadnaturalnych. Należą do nich opowieści o stworzeniu świata, o kataklizmach, jak potopy, o przygodach oraz o niezwykłych przeżyciach.

Metody są to obrządki magiczne i formułki służące do przyzywania pomocy duchów, do ukłęcia łbów wrogom czarodzieja i do obrony jego samego i całego plemienia przed atakiem sił nadnaturalnych. Stosuje on odwieczne sposoby narzucania różnych tabu, interpretowania znaków, przymuszania lub wypytywania duchów oraz kierowania bezpostaciowymi siłami magicznymi. Czarodziej również wskazuje różne środki lecznicze, bowiem choroba bywa na ogół przypisywana złym duchom albo czarownicom.

Czarownice lub czarownicy, rzeczywiści czy zmyśleni, są ludzkimi antagonistami czarodzieja. W wielu społeczeństwach są nimi kobiety lub mężczyźni, którzy bezprawnie współzawodniczą z legalnymi kapłanami i czarodziejami. W dodatku za czarownice mogą wśród ludzi przesądnych uchodzić jednostki ekscentryczne, które nie mają pojęcia o magii. Przypisuje im się tak złowrogie cechy, jak wampiryzm, kanibalizm, a także zdolność unoszenia się w powietrzu. Często miesza się je z mitycznymi istotami nadnaturalnymi, na wpół ludzkimi, na wpół demonicznymi, jak czarownice z bajek Irokezów, które spędzają czas na przemienianiu nieopatrnych przechodniów w kościotrupy.

W różnych okresach czasu nasilało się przesadne zainteresowanie czarami i w umysłach ludzi następowało całkowite pomieszanie między realnymi a mitycznymi czarownicami. W rezultacie powstawał obłądny strach przed czarami i sadystyczny zapal do torturowania oraz mordowania podejrzanych o czynienie czarów. Takie paniki sparaliżowały życie w starożytnym Babilonie, w Europie doby Odrodzenia i na terenie Massachusetts w okresie kolonialnym. Do dziś są plagą w Indiach i w Afryce.



Ryc. 1. Nowoczesny czarodziej plemienny — dygnitarz społeczności w Poro z Sierra Leone, w Afryce Zachodniej — z kośćmi udowymi swego poprzednika wkomponowanymi w przybranie głowy.

Do narzędzi, czyli przedmiotów materialnych czarodzieja należą symbole, jak na przykład woskowe figurki przedstawiające wrogów oraz wykresy magiczne, zwane „pentagramami”, na których roztropny czarodziej staje wzywając niebezpieczne duchy. Czarodziej również zdobywa lub wytwarza przedmioty obdarzone nadnaturalną mocą i trzyma je w pogotowiu. Przedmioty, których moc pochodzi od uwięzionych w nich duchów, zwane są „fetyszami”; te zaś, które oddziałują zawartą w nich bezosobową mocą nadnaturalną, nazywają się „talizmanami”. Tak więc miecz, w którym Paracelsus więził demona, był fetyszem, a królicze łapki noszone w kieszeni — talizmanami. Ponadto czarodziej posługuje się różnymi rekwizytami, jak różdżki, szpady i lampy, dla wywołania wrażenia u swych zwolenników, a często dla dodania sobie większej pewności siebie.

Czarodziej musi być wyśmienitym aktorem, mistrzem poruszającego do głębi słowa i gestu. Ubiiera swoje myśli w egzotyczny blichtr, popisuje się prawdziwą albo udawaną erudycją i przypodchlebia swoim klientom dając im odczuć, że należą do niewielkiej ekskluzywnej, wyższej grupy. Uprawia swe czary w scenerii bardzo chytrze obmyślonej, gdzie przyćmione światła, dziwaczne widoki i muzyka lub rytmiczne bicie bębnow pobudzają uczucia klientów.

Oszolomienie, lęk i groza bywają często stosowane w celu przytępienia zmysłu krytycznego klienteli. A zatem ciemność, krew, szczątki ludzkie lub zwierzęce, niesamowite odgłosy i dziwne zapachy odgrywają ważną rolę w tych obrządkach. Tak uprawiają swój proceder prymitywni czarodzieje; w ten sam sposób nowocześni czarnoksiężnicy żerują na cywilizowanym świecie.

Pod koniec XIX wieku misjonarz R. H. Nassau opisał pewien skomplikowany proces magicznego działania, który rzuca mroczny blask na działanie magii, prymitywnej i cywilizowanej. Człowiek z plemienia Batanga z zachodniej Afryki opowiedział owemu misjonarzowi, jak czarodziej czy też znachor plemienia przygotowywał fetysza wojennego. Najpierw o kilkaset metrów od wioski zbudowano chatę, w której czarodziej spędził dwa dni przygotowując potrzebne materiały i zasięgając porady u duchów. Potem zgromadził w swej chacie wszystkich wojowników. Jednego z nich wysłano do lasu po strąk czerwonego *amomum*, a drugiego po specjalną rozwidloną dziedę. Wziąwszy z sobą towarzysza czarodziej udał się następnie daleko do lasu i znalazł drzewo *unyongo-mua-ele*. Zżuł ziarna *amomum* i wypluł je na pień drzewa mówiąc: „Faaaa! Kule strzelby! Niechaj mnie nie dosięgną!”* Potem wspiął się na drzewo, oddał i rzucił kilka kawałków kory, które pomocnik złapał do kosza. Te same czynności powtórzono z drzewem *kota*.

Kiedy czarodziej powrócił do chaty, wojownicy przynieśli duży żelazny gar. W nocy czarodziej rozebrał się do naga i wraz z dwoma wojownikami udał się do miejsca, gdzie był świeży grób. Grób otworzono i czarodziej odciał głowę trupa, rycząc: „Trupie! Niech nikt nie słyszy, co mówię! I nie wyrządzaj mi krzywdy za to, co ci zrobiłem!” Po czym powrócił do chaty niosąc głowę trupa na rozwidlonej włóczni.

W chacie czarodziej ukręcił kogutowi głowę i zebrał trochę krwi na duży świeży liść. Wpuścił też trochę krwi do żelaznego gara, wrzucił do gara głowę trupa, dziedę, naboje ze strzelby i zalał wszystko wodą.

* R. H. Nassau *Fetichism in West Africa*, Scribner's, N. York 1904, s. 175 - 180.

Gdy woda się zagotowała, zanurzył w garnku koci ogon i spryskał wojowników mówiąc: „Niech żaden z was w tym miesiącu nie zbliża się do żony!”

Wojownicy przez cały miesiąc ćwiczyli pieśni i tańce wojenne, zachowując zapewne dużą ostrożność. Pod koniec tego okresu czarodziej zmieszał krew, którą zebrał na liść, ze sproszkowanym czerwonym drewnem, zawiązał tę miksturę wraz z głową trupa w skórę wiewiórki polatuchy i powiesił ten śmierdzący tłumok w swojej chacie. Nazajutrz zebrali się wojownicy. Rozszarpali na strzępy jakiegoś ptaka i kilka bananów, wrzucili je do garnka, ugotowali i zjedli. Następnie czarodziej rozwinął skórę wiewiórki i korą *kimbwa-mbenje* rozsmarował zawartość na piersiach wojowników mówiąc: „Niechaj żadna kula tu nie trafi!”

Potem czarodziej poprowadził wojowników w pochodzie przez wieś i żeby dowieść swej niewrażliwości na kule wzywał mieszkańców, aby do niego strzelali. W dramatycznej chwili jakiś sprzymierzeniec strzelił do niego ślepym nabojem, a wojownicy zakrzyknęli: „Buduu! Ha! Ha!” Podczas ogólnych tańców czarodziej smarował resztę mieszkańców swoją cuchnącą mazią. Wreszcie wojownicy wymaszerowali na wojnę, a czarodziej pozostał bezpieczny we wsi pilnując swego magicznego tłumoczka.

Cała ta ceremonia ilustruje główne metody, stosowane zarówno przez prymitywnych, jak i cywilizowanych czarodziejów :

1) *Usuwanie się na ubocze i powrót.* Przygotowawczy okres samotności jest konieczny przed każdą większą czynnością magiczną. Był on bardzo zalecany w średniowiecznych Księgach czarodziejskich.

2) *Rzadkie składniki jako atrybuty.* Czarodziej postarał się o korę rzadkich drzew. W niektórych czarach

atrybuty bywają jeszcze niezwyklejsze, na przykład czaszka ojcobójcy albo krew smoka.

3) *Bluff*. Czarodziej kategorycznie rozkazuje drzewom, trupom i całemu światu, jakby to byli jego wierni słudzy. Dzisiejsi Amerykanie też przemawiają do kości do gry i pokrzykują zachęcająco do koni, które obstawili na wyścigach.

4) *Specjalne odgłosy*. Ryk czarodzieja, gdy zwraca się do trupa jest odpowiednikiem pisków stosowanych przez szamanów syberyjskich oraz specjalnych dźwięków i bombastycznego, archaicznego języka używanego w magii w ogóle. Ażeby wywrzeć wrażenie na swych klientach i duchach, staranny czarodziej wypowiada zmyślane słowa albo wydaje z siebie niezrozumiałe bełkot, jak u opisanego wyżej plemienia Batanga: „Budu! Ha!”

5) *Metoda psychicznego wstrząsu*. Głowa trupa jest przykładem czarodziejskich rekwizytów budzących lęk albo odrazę, a stosowanych w oparciu o zdrową zasadę, że klient łatwiej ulega sugestii, gdy jego uczucia są w jakiś sposób wzburzone. Średniowieczne Księgi czarodziejskie domagają się używania tak odrażających rzeczy, jak nietoperz utopiony we krwi.

6) *Specjalny strój*. Zwykły garnitur albo zwykła przepaska na biodrach wydają się nie na miejscu podczas uprawiania wyższej magii. Stąd praktyki te wymagają zazwyczaj nagości lub specjalnych strojów. Ceremonialne ubiory sięgają od masek, upierzonych płaszczy, ornamentów z kości i muszli, i innych ozdób prymitywnych szamanów, do zdobnych klejnotami turbanów i brokatowych szat nowoczesnych cywilizowanych okultystów. Nagość również uczestniczy w magii. Pliniusz zalecał obecność nagiej dziewczycy przy ceremonii zaczarowywania guzów. Cagliostro podobno wygłaszał kazania okultystyczne całkiem nago, uka-

zując swoje krągłe kształty równie nagim słuchaczkom. W magii uprawianej na Zachodzie nagość ma większe działanie emocjonalne niż w wielu innych społeczeństwach, a to ze względu na purytańskie tabu, jakim jest nagość w cywilizacji zachodniej.

7) *Tabu seksualne.* Wojownikom przykazano, aby zachowali wstrzemięźliwość płciową przez miesiąc. Ograniczenia seksualne, często połączone z anormalnymi aktami płciowymi, towarzyszą magii nieodłącznie. Księgi czarodziejskie oraz Księgi jogów dowodzą jednogłośnie, że w pogoni za wiedzą wyższą należy się w pierwszym rzędzie wyrzec seksualnych przeżyć. Nieomal każdy ze znanych w historii czarnoksiężników i okultystów, od Aleksandra z Abonouteichos aż do niedawno zmarłego G. W. Ballarda, albo był sam jakoś upośledzony seksualnie, albo narzucał ograniczenia seksualne swoim zwolennikom, albo jedno i drugie naraz. Helena Bławatska zapisała niezliczone karty potępiające sprawy płci, zaś jej uczeń, Charles Leadbeater, był w ciągłej niezgodności z prawem z powodu swych ekscentrycznych upodobań seksualnych.

8) *Kuglarstwo.* Strzał do czarodzieja plemienia Bantanga jest jedną z takich samych teatralnych sztuczek, jak samogrające gitary nowoczesnych mediów. Stosując je czarodziej nie musi być hipokrytą; po prostu woli mieć pod ręką kilka niezawodnych tricków niezbędnych, gdy duchy „przejawiają niewrażliwość”.

9) *Wymówki dla zachowania pozorów.* Czarodziej roztropnie narzucił wojownikom tabu seksualne, które zostało prawdopodobnie naruszone. Gdyby wojowników spotkała klęska, mógłby ją przypisać brakowi wstrzemięźliwości. Bractwa okultystyczne czynią z magii sprawę trudną nie tylko po to, aby uniknąć współzawodnictwa, ale też i dla usprawiedliwienia niepowodzeń. Oprócz narzucania swym klientom różnych ogra-

niczeń, czarnoksiężnicy zaludniają świat mnogością wrogich demonów, duchów i czarownic, które można winić za nieudane czary.

Wśród większości żyjących obecnie na świecie ludów prymitywnych, jak australijscy tubylcy i afrykańscy Buszmeni, przedstawione tu główne metody magii są już rozwinięte. Czarodzieje działają opierając się na dwóch podstawach: *magii sympatycznej*, związanej z posługiwaniem się bezosobowymi siłami nadnaturalnymi, oraz *czarach*, zmierzających do zdobycia władzy nad duchami.

Magia sympatyczna posiada dwa „prawa”. Pierwszym jest „prawo podobieństwa”, które głosi, że skutki są podobne do przyczyny. Aby więc, na przykład, spowodować deszcz, spryskuje się ziemię wodą wypowiadając odpowiednie zaklęcie. Taki proces nazywa się magią naśladowczą.

Drugim prawem jest „prawo udzielania się”; głosi ono, że dwie rzeczy, które kiedyś były w kontakcie ze sobą, zachowują trwałą tajemny związek. Dlatego też, jeśli czarodziej zdobędzie ścinek paznokcia lub kosmyk włosów, może oddziaływać na ich właściciela rzucając czary na tę jego drobną cząstkę. Na tej zasadzie „włos z sierści psa, który cię ukąsił” uchodził za poważny środek zabezpieczający przed ukąszeniem. Na tej zasadzie czarodzieje uprawiają *inwultuację*, próbę porażenia wroga przez wbijanie szpilek w woskową laleczkę mającą włos lub strzęp ubioru ofiary.

Czary, druga główna gałąź magii, polegają na uzyskaniu władzy nad duchami. Faust przyzywając diabła uprawiał czary. Nowoczesne seanse spirytystyczne są również pewną formą czarów. Większość czarodziejów uprawia zarówno magię sympatyczną, jak i czary, zależnie od potrzeby chwili.

Staranny czarodziej musi umieć wykonywać różne zadania. Aby poznać coś, czego nie może się dowiedzieć zwykłymi zmysłowymi drogami, uprawia *wróżbiarstwo*. Rzymianie zwykli wróżyć z wnętrzości zabitych zwierząt: Grecy zasięgałi rad u wyroczeni delfickiej z ust kapłanki siedzącej w jaskini na wysokim krześle. Dzisiejsi wróżbici posługują się kartami albo kryształową kulą. W *nekromancji*, specjalnym rodzaju wróżbiarstwa, wiadomości stara się uzyskać za pośrednictwem duchów zmarłych ludzi. Z drugiej strony, jeżeli czarodziej usiłuje dokonać jakiegoś cudu oddziałującego na świat materialny, jak uzdrawianie chorego lub czynienie siebie niewidzialnym, mamy do czynienia z *taumaturgia*, czyli *cudotwórstwem*.

Ludzie określają akty magiczne jako „dobre” lub „złe”, według własnego kryterium. „Dobre” akty magiczne zwane są „białą magią”, czyli *teurgia*; „złe” akty są „czarną magią”, czyli *goecją*. Ponieważ zaś ludzie są ludźmi, czarodziej i jego stronnicy uważają jego magię za białą; wrogowie ich natomiast z równym przekonaniem dowodzą, że jest ona czarna. Aczkolwiek pojęcia „dobra” i „zła” są kwestią zapatrywań, większość ludzi jest zgodna, że to, co przydaje siły, porządku i bezpieczeństwa danej społeczności, jest dobre; natomiast to, co umniejsza jej dobrobyt, jest złe. Dlatego też pewien czarodziej maoryski zdobył pochwałę swoich współplemieńców przyprawiawszy czarami obcego złodzieja o chorobę, mimo że podejrzewano, iż jego złowrogie moce pochodzą od boga śmierci.

We wcześniejszych stadiach rozwoju ludzkości magia była rzeczywiście przydatna społecznie. Dostarczała ona czynników spajających i dyscyplinarnych, które w bardziej rozwiniętych społeczeństwach stano-

wią hymny narodowe, flagi, policja, prawa i sądy. Rzadko zdarzało się, aby błędne poczynania czarodzieja zagrażały egzystencji plemienia, jak to się zdarzyło u plemienia Uwet w Afryce Zachodniej, które o mało nie uległo zupełnej zagładzie przez próby z trucizną, albo u Balengów, którzy wymordowali większą część swych wojowników za pełnienie czarów.

W stadium cywilizacji ludzkiej, w którym my żyjemy, owa przydatność społeczna magii znikła całkowicie. Szkoły podają fakty naukowe, prawa określają szczegółowo, co jest złe, a co dobre. A jednak... zawsze znajdują się ludzie, którzy będą pragnęli zachować zdrowie bez przestrzegania dyscypliny wewnętrznej, zdobyć wiedzę bez studiów, bogactwo bez pracy, bezpieczeństwo bez zachowywania środków ostrożności i szczęście, nie starając się na nie zasłużyć. Ci ludzie są łatwym łupem okultysty, medium, astrologa, szarlatana i wszystkich innych, którzy grasują w mrocznej krainie magii.

Czarodziej zyskuje władzę nad swymi klientami dzięki sposobowi myślenia większości ludzi niewykształconych. Na przykład, *logika magii opiera się na zasadzie analogii*. Zakłada ona, że jeśli jakiś stosunek obowiązuje w jednej kategorii faktów, to obowiązuje również w innej. Astrologowie wyrażają tę zasadę maksymą: „Jak w górze, tak na dole”. Ten typ rozumowania wiedzie do takich aktów magicznych, jak znęcanie się nad czyjąś podobizną w przekonaniu, że zaszkodzi to osobie, którą ona przedstawia. W świecie realnym analogie mogą się zdarzać, ale nie ma na to żadnego ogólnego prawa.

Magia nie odróżnia kojarzenia pojęć od przypadkowego związku w świecie materialnym. Prosty przykładem tego jest łączenie przez astrologów planety

Mars z jakimś konfliktem. Astronomom babilońskim ta czerwono świecąca planeta nasuwała na myśl krew, która sugerowała wojnę, a ta z kolei kojarzyła się z Nergalem, bogiem wojny. W ten sposób niewinna planeta została nazwana „Nergal” i obciążona odpowiedzialnością za konflikty ludzkie.

Magia postępuje się rozumowaniem „post-hoc”. A poprzedziło B, a więc A spowodowało B. A oto przykład. Kilka stuleci temu pewien statek ledwie uniknął utonięcia w czasie burzy. Członkowie załogi zastanawiali się później nad tym, co uczynili, iż spowodowali burzę. Przypomniawszy sobie, że przed burzą przechwalali się swoimi sukcesami miłosnymi, wywnioskowali, że to właśnie było przyczyną burzy i zaprzysięgli, że nigdy już nie będą chełpić się swoimi miłostkami.

Magia wyprowadza uogólnienia z jednego przypadku. Jakuci syberyjscy ujrzeni kiedyś pierwszy raz wielbłąda, a wkrótce wybuchła wśród nich epidemia ospy, wywnioskowali więc, że wielbłądy wywołują ospę.

Magia opiera się na autorytetach, przy czym im starszy jest autorytet, tym większe ma on znaczenie. Nieuczciwy pisarz przypisuje sobie cudze pomysły. U autora dzieł okultystycznych pojęcie plagiatu przybiera zwykle inną formę. Publikuje on własne pomysły twierdząc, że przepisał je z jakiegoś tajemniczego manuskryptu sprzed tysięcy lat.

Czy te zasady rozumowania wskazują, jak to się czasem mawia, że ludzie, którzy wierzą w magię, muszą koniecznie być głupi? Wcale nie. Każdy stosuje nieraz te same sposoby myślenia na co dzień.

Jeśli ktoś zje w lesie dziwną jagodę, a potem dostanie bólesci, zakłada, że tego rodzaju jagody mu szkoda. Nie jest to podejście naukowe — jest to rozumo-

wanie *post-hoc* i uogólnienie oparte na pojedynczym przypadku. Prawdziwe, oparte na eksperymencie wnioski można by wysnuć wtedy, gdyby człowiek próbował wielu najrozmaitszych rodzajów jagód, a potem, przeżywszy tę próbę, nakłonił stu ludzi, by uczynili to samo. Inny przykład: ktoś mówi, że węże żyją po kilkaset lat, bo wie to od swego ojca. Wielu z nas nie zastanawia się, skąd ojciec wziął tę wiadomość i w jakim stopniu jest ona dokładna.

Oczywiście, takie sposoby rozumowania nie tylko są powszechne, lecz także w większości przypadków prowadzą do słusznych wniosków. Jednakże cały kłopot w tym, że ludzie tą drogą rozumowania próbują rozwiązać wszystkie zagadki natury. Aby odkryć prawa przyrody, nie można się posługiwać metodą, która jest skuteczna w *większości przypadków*. Potrzebna jest metoda skuteczna *we wszystkich* przypadkach. W przeciwnym razie, prędzej czy później człowiek popełni błąd, a ten, nie sprostowany drogą badań naukowych, zrodzi następne błędy i wyprowadzi człowieka na bezdroża.

Dla poparcia dokładnego rozumowania opracowano metodę naukową. Została ona zapoczątkowana przez Arystotelesa i stała się ogromną dyscypliną, którą jedynie garstka ludzi kiedykolwiek opanowała. Wymaga ona, by dokonywać uogólnień na podstawie wielkiej liczby przypadków i aby każde uogólnienie było sprawdzane przez dalsze obserwacje lub doświadczenia. Autorytety nie są jedynie przytaczane, ale rozważane i sprawdzane i nigdy nie uważa się ich za nieomyślne. Twierdzenie jednego naukowca nigdy nie jest ostateczne; musi być poparte niezależnymi obserwacjami innych naukowców.

Logiką nauki nie jest jedynie prawo analogii i asocjacji. Jest ona oparta na ścisłej indukcji, dedukcji oraz

metodach statystycznych, a jej założenia mogą ulec w każdej chwili zakwestionowaniu. Twierdzenia muszą być formułowane w taki sposób, aby je było można sprawdzić. Jeśli ktoś pisze, że w Kanzas znaleziono napis babiloński, to powinien podać, gdzie w danej chwili ten napis się znajduje, aby czytelnik mógł tam pojechać i go zobaczyć. Gdyby ktoś twierdził, że odkrył olej wężowy, który przemienia płatki kukurydzone w złoto, musiałby podać szczegóły, które umożliwiłyby inteligentnemu człowiekowi dokonanie tego samego eksperymentu z takim samym rezultatem.

Badania naukowe, w sensie spekulacji na temat praw natury, zapoczątkował czarodziej prymitywny i myśliciel. Nauka w swoim wczesnym stadium była w ścisłym związku z magią. Z wyjątkiem jednej jedynej próby uwolnienia się nauki od magii w czasach klasycznych, magia i nauka kroczyły ramię w ramię, póki cztery czy pięć wieków temu metoda naukowa nie stała się dostatecznie wnikliwa, by ludzie mogli tę parę rozdzielić.

Nowoczesna nauka wyrosła z magii. W umysłach ludzi inteligentnych powoli zastępuje ona magię jako wyjaśnienie świata i metoda opanowania go. Niestety, nauka przyszłości będzie zapewne jeszcze mniej powszechnie rozumiała niż magia, której miejsce zajęła. Powodem tego nie jest tajemniczość jej działania ani jej błędne pojmowanie, ale to, że zdobywanie jej wymaga wyższej inteligencji niż ta, jaką większość ludzi dysponuje. Z tej to przyczyny nie wydaje się prawdopodobne, aby magia straciła swój wpływ na umysły ludzkie.

Potęga magii jest stara, bardzo stara. Wywierała wpływ na ludzkie umysły 50 000 lat temu, w ostatnim okresie epoki lodowcowej. Krótki zarys historyczny

powstania naszej cywilizacji świetnie ukazuje, jak magia rozwijała się obok religii i nauki.

W ostatniej fazie plejstocenu cała ludzkość, zapewne nie przewyższając liczebnością ludności dzisiejszego miasta Nowego Jorku, żyła rozrzucona małymi grupkami na terytorium Starego Świata. Te ludzkie i quasyludzkie istoty walczyły o życie w świecie, w którym roilo się od niebezpiecznych dzikich zwierząt, i zostawiły w jaskiniach skąpe ślady swej kultury.



Ryc. 2. Czarodziejski rysunek z epoki kamiennej, odkryty w jaskini Niaux, we Francji, przedstawiający bizona z włóczniecami wbitymi w bok.

Nawet te najwcześniejsze szczątki wykazują, że owi ludzie posiadali już systemy magiczne podobne do systemów większości najprymitywniejszych ludów, które żyją dzisiaj. Ludzie z Crô-Magnon w polodowcowej Europie zapewniali sobie szczęśliwe łowy systemem magii sympatycznej, polegającym na malowaniu zwierząt łownych na ścianach jaskiń. Ponieważ te malunki były widoczne jedynie w mglistym świetle kamiennych lampek oliwnych i są namalowane jeden nad drugim bez zwracania uwagi na całościowy efekt artystyczny, ich cel magiczny (a nie dekoracyjny) jest



Ryc. 3. Rysunek z epoki kamiennej, odkryty w jaskini Trois Frères, we Francji, przedstawiający być może czarodzieja przebranego za renifera.

oczywisty. Obraz bizona przeszytego włóczniami, odkryty w jaskini w Niaux, miał za zadanie ułatwienie wbicia prawdziwych włóczni w żywego bizona, zgodnie z zasadami magii naśladowczej.

10 000 lat p.n.e. gatunek nasz opanował większą część Starego Świata i zaczął przedostawać się przez Alaskę do Nowego. Czarodzieje owego okresu prawdopodobnie uprawiali już wszystkie znane dziś typy magii.

W ciągu następnych 5000 lat ludzie rozwinęli podstawowe techniki życia osiadłego: garncarstwo, тка-

ctwo, uprawę ziemi i hodowlę. Szczątki osiedli najstarszych społeczeństw osiadłych znajdują się na Bliskim Wschodzie i okres ich rozkwitu przypada na lata między 9000. a 6000 rokiem p.n.e. Około 4000 roku p.n.e. w dolinach rzek Eufratu, Indusu i Nilu zaczęły powstawać miasta. Powstanie ich stało się możliwe, gdy ludzie nauczyli się wytwarzać więcej żywności niż było trzeba dla wyżywienia ich własnych rodzin. Pojawienie się udoskonalonych metod uprawy roli umożliwiło niektórym ludziom wyspecjalizowanie się w różnych rzemiosłach. Tacy specjaliści tworzyli społeczności wytwarzające i handlujące swoimi towarami.

Z powstaniem miasta zaczęło się gromadzenie bogactw. Władcy stwierdzili, że potrzebują dokładniejszych metod pilnowania własnych interesów. Powstało wówczas pismo i arytmetyka. Magia objęła wówczas również znajomość pisma.

Słowo pisane umożliwiło czarodziejom nie tylko porównywanie spostrzeżeń i łatwiejsze dzielenie się swymi pomysłami z innymi, lecz również zyskanie szerszego repertuaru czarów i wróżb niż wówczas, gdy musieli opierać się jedynie na własnej pamięci. Intelktualiści systematyzowali wierzenia okultystyczne i nadawali im filozoficzny polor. Pisano teksty magiczne. Ponadto powstały opowieści o innych bardzo tajemnych, nie odkrytych księgach, ukrywających ogromne, śmiertcionośne moce. Do dziś zwolennicy magii wierzą w istnienie takich ksiąg.

Pierwotnie rozrzucone gniazda cywilizacji zaczęły się rozszerzać, aż powstała mniej więcej jednolita strefa, ciągnąca się od krajów śródziemnomorskich na wschód przez południową Azję, Iran, Indie i Chiny do Japonii. Chociaż kultury tego głównego pasa cywilizacyjnego różniły się między sobą, miały więcej wspólnego

nych z sobą wierzeń niż z otaczającymi je prymitywnymi kulturami.

Zorganizowana religia — która odsunęła się od magii, mimo że zachowała wiele jej elementów — znajdowała nadal wyraz w czczeniu bogów plemiennych. Z wolna w głównym pasie cywilizacyjnym starsze i młodsze religie politeistyczne ustąpiły miejsca wielkim religiom, jak judaizm, zaratustryzm, buddyzm i chrześcijaństwo. Niektóre z owych rozpowszechnionych religii wykształciły w sobie zajadłą wrogość do magii — albo przynajmniej do takiej magii, która nie zasymilizowała się z ich praktykami i wierzeniami. W miarę jak rosła ich potęga, religie te niszczyły niezależnych czarowników i czarownice, i spoglądały groźnie na konkurencyjne kultury; nigdy jednak nie udało im się opanować wszystkich poczynań dążących do kontaktów z siłami nadnaturalnymi.

Mijały stulecia. Agresywne ludy z północno-zachodniego krańca głównego pasa cywilizacyjnego wysoko rozwinęły sztukę nawigacji i prowadzenia wojen. W wyniku tego w XVI wieku n.e. mieszkańcy Europy Zachodniej wyruszyli ze swojej ziemi we wszystkie strony świata. Pod wodzą wojowniczych Hiszpanów, Portugalczyków i Anglików skolonizowali całe kontynenty i podbili milionowe ludy. Nieśli z sobą zarówno chrześcijaństwo, jak i wzorce myślenia zgodnego z zasadami magii.

W tym samym okresie miały miejsce również fale migracji w innych kierunkach. Ludzie z krajów wschodnich wyruszyli na zachód do nowo odkrytych kontynentów. Ludzie ci również nieśli z sobą własne kultury. Na przykład Chińczycy przywieźli swoje kolorowe smoki do chińskich skupisk w amerykańskich miastach; a Murzyni z zachodniej Afryki przenieśli kultury ojczyście za Atlantyk na plantacje wschodniego wybrzeża

Stanów Zjednoczonych. Owe pogańskie wierzenia afrykańskie zanikły obecnie w Ameryce Północnej, ale zachowały się w praktykach czarnoksiężskich na zielonych wyspach Morza Karaibskiego.

Ludy prymitywne całego świata odczuły skutki tego fermentu rasowego i kulturowego. Chociaż niektóre z nich, jak Tasmańczycy, wyginęły, a inne, jak Buszmeni afrykańscy, skurczyły się do niewielkich grup, nieliczne, jak Maorysi i Nawahowie, zdołały się wcale nieźle dostosować do nowych warunków kulturowych. Mimo wysiłków kupców europejskich, misjonarzy i urzędników, by zniszczyć miejscową kulturę, jest jeszcze dość prymitywnych społeczeństw, które mogą dać nieźle wyobrażenie nie tylko o magii prymitywnej sprzed wtargnięcia zachodnich najeźdźców, lecz także, drogą wnioskowania, o magii czasów prahistorycznych.

Tak jak na całej kuli ziemskiej rozprzestrzeniła się cywilizacja zachodnia niosąc swoje idee, wynalazki, religię i magię, tak samo rozprzestrzeniła się rosnąca fala zorganizowanej zachodniej nauki. Już w cywilizacjach wcześniejszych przez wiele wieków uprawiano różne nauki, usiłowania te jednak skończyły się właściwie fiaskiem. Również w Europie poczyniono wiele wynalazków przed 1500 rokiem n.e. Owo straszliwe jednak przyspieszenie w dziedzinie odkryć i wynalazczości, które rozpoczęło się w Europie w XVI wieku, było czymś nowym i rewolucyjnym.

Powstanie zorganizowanej nauki zachwiało wiarę wielu ludzi w podstawy panującej religii, jakkolwiek większość religii oparła się temu wstrząsowi. Nauka zniszczyła również zaufanie wielu stronników czarowników i okultystów. Mimo to miliony cywilizowanych ludzi nadal hołdują wymyślnym wierzeniom nie dlatego, że posiadają dowody na ich poparcie, albo

zostali wychowani w szacunku dla nich, ale dlatego, że znajdują w tym przyjemność. Tacy ludzie — nazwijmy ich „credofilami” — gromadzą wierzenia podobnie jak kawki gromadzą ozdoby swych gniazd, nie ze względu na przydatność, ale dlatego, że są błyszczące. Kiedy wiara tych ludzi zostaje zachwiana, wolą zwrócić się ku ciepłemu blaskowi magii, niż ku chłodnemu światłu wiedzy.

Dla jeszcze większego zagmatwania, magia zachodnia zapożyczyła nawet pojęcia i terminy z nauki zachodniej. Nowocześni czarodzieje posługują się w swym bełkocie potoczystymi wzmiankami o „wyższych wibracjach materii” oraz „czynnikach elektronicznych”. Czarodziej zachodni znajduje się w nienormalnym położeniu. Będąc w zasadzie wrogiem nauki, mówi o niej jako „fałszywie tak nazywanej”, a o naukowcach jako o „wstrętnych materialistach” *. Jednocześnie zaś, pragnąc skorzystać z olbrzymiego prestiżu nowoczesnej wiedzy, czuje, że musi czasem wypowiedzieć jakieś uprzejme słowo pod adresem Darwina lub Einsteina. W ten sposób stwarza złudzenie, że jego doktryna będzie miała pozory autentycznej gałęzi wiedzy, takiej jak geologia lub fizyka jądrowa, i wiążący się z tym respekt.

Mimo powstania wrogich magii religii oraz późniejszej rewolucji naukowej, magia pozostaje nadal jednym z najbardziej uniwersalnych aspektów ludzkiego postępowania. W pokoju, w którym odbywa się seans

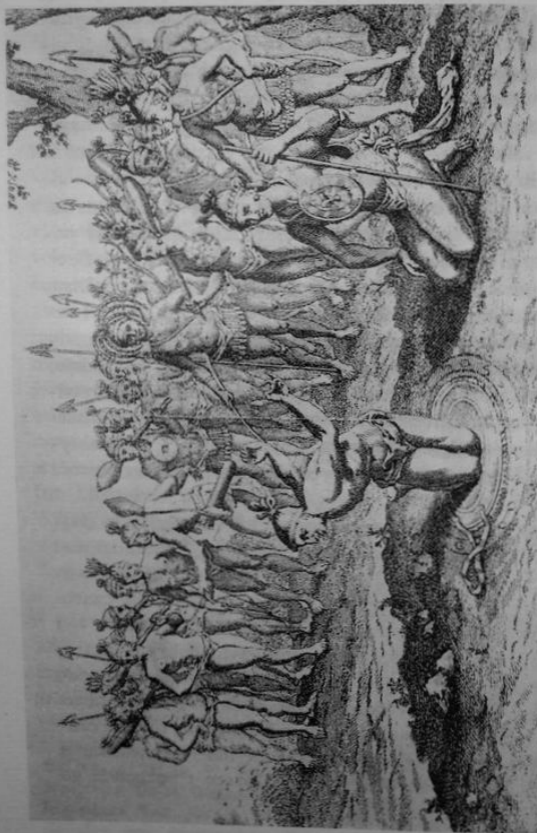
*Sepherial (pseud.) *Elementary Astrology*, McKay, Filadelfia b.r., s. 36; G. W. Ballard („Godfré Ray King”) *Unveiled Mysteries*, Saint Germain Press, Chicago 1939, s. 170; H. P. Blawatska *The Secret Doctrine (The Synthesis of Science, Religion and Philosophy)*, Theosophical Pub. House, Adyar (India) 1888 - 1938 (6 tomów), t. IV, s. 235.

spirytystyczny „wszyscy ludzie są moimi braćmi”^{*}. Różnice między magią prymitywną a cywilizowaną, z wyjątkiem tych, które nastąpiły w związku z wynalezieniem pisma i innych osiągnięć technicznych cywilizowanego życia, są znikome.

Rozważmy, na przykład, sprawę Leonarda Weakleya. Ten czarodziej-guślarz z Cold Spring na Jamajce został skazany w roku 1934 za czynienie czarów. Okazało się, że nie wystarczało mu prymitywne oddawanie czci bogu dżungli Obboneyowi i „władza nad duchami”; ten ambitny czarodziej gromadził nowoczesne podręczniki magii, takie jak *The Great Book of Magical Art, Hindoo Magic and Indian Occultism* (Wielka księga sztuki magicznej, magia hinduska i indyjski okultyzm), wydane przez de Laurence Company w Chicago. Tak oto prymitywny jakoby czarodziej dokładał wszelkich starań, aby się przemienić w cywilizowanego okultystę. Kto wie, czy gdyby nie interwencja nieugiętego prawa brytyjskiego, nie zabyła Weakley w Ameryce jako wielka osobowość świata magii.

Nawet skądinąd zupełnie rozsądni Amerykanie dają się zwieść magicznemu rozumowaniu. Kilkadziesiąt lat temu antropolog Clark Wissler oglądał w rezerwacie Czarnych Stóp zawody dwóch indiańskich czarowników, Bawolej Tarczy i Kruka. Bawola Tarcza był starym i szanowanym magiem, czyli dobrym czarodziejem. Jednym z jego zadań było zapewnić pogodę podczas obchodów dorocznego święta plemiennego. Mały, lecz ambitny Kruk, wybijający się młody czarownik, chwalił się, że wykorzysta moc sprowadzania deszczu, aby zawstydzić Bawolą Tarczę i pozbawić go sławy.

* Thomas Paine *The Rights of Man*, s. V.



Ryc. 4. Wódz Indian z Florydy, żyjący w czasach przybycia tam pierwszych Europejczyków, zasięga rady swego czarownika.

W dniu święta niebo okrywały ciężkie i złowrózobne chmury, była mgła. Bawola Tarcza siedział w swoim namiocie ubrany jedynie w przepaskę na biodrach. Ciało miał pomalowane na żółto z niebieskimi symbolami, wznosił z przyjaciółmi i zwolennikami pieśni i modły do Słońca. Kruk natomiast tańczył przed namiotem, cybuchem fajki wskazywał chmury, skakał wysoko w powietrze i naśladował krzyk orła, żeby zachęcić do akcji ptaki-olbrzymy sprowadzające burzę.

Gdy chmury lekko się rozstały ukazując niebo, Kruk tańczył, skakał i krzyczał jeszcze bardziej szaleńczo. Kiedy się zagęszczały, słychać było głębokie dźwięki Bębna Bawolej Tarczy i cichy, lecz pełen napięcia śpiew jego zwolenników, póki nie ukazała się w chmurach nowa luka*. Wreszcie, po południu, niebo roz pogodziło się, nabierając barwy czystego błękitu. Kruk umknął ze wstydem, a Bawola Tarcza wyszedł z namiotu promieniejąc tryumfem, by ofiarować Słońcu fajkę i pomodlić się za lud.

A teraz powiemy o reakcji białych, którzy byli obecni na tych zawodach. Przedstawiciel religii, w osobie katolickiego duszpasterza rezerwatu, zdemaskował te poczynania jako dzieło diabła, przedstawiciel nauki, w osobie Wisslera, sugerował, że tak czy owak miało się wypogodzić; żadnemu z nich jednak nie dawano zbyt wiary. Większość białych odeszła kiwając głowami i mruczając, że jednak ci starzy czarodzieje muszą mieć nad naturą jakąś tajemniczą moc, jakiej nie posiada żaden biały człowiek.

Krótko mówiąc, nie przystoi drwić z prymitywnych ludzi jako „przesądnych” czy „irracjonalnych”, bo-

* Clark Wissler *The Indian and the Supernatural*, w „Natural Magazine” XLII, 2 (wrzesień 1938), s. 123 nast.

wiem nasz umysł reaguje w bardzo podobny sposób na sprawy związane z okultyzmem. Główną naszą przewagą nad nimi jest to, że wiedza jest dla nas dostępna i jeśli naprawdę chcemy, możemy poznać prawdziwe zasady postępowania człowieka i działania wszechświata. Niestety, istnieje wielu ludzi, którzy tego nie pragną.

GWIAZDY W SWYM BIEGU

Odkryli mi naturę ciał niebieskich,
 Sympatle ich i znaki niebieskich sfer.
 Uczyli mnie magowie, co je i pije dżin *
 I jak się w świetle łączy owych duchów rój **.

Eudocja Augusta

Ze wszystkich gałęzi magii kwitnących dziś na Zachodzie, astrologia ma największą żywotność i najwięcej zwolenników. Dzieje astrologii będą więc dobrym wprowadzeniem do nowoczesnej magii.

Na całym świecie ludzie wszystkich czasów i kultur nadawali ciałom niebieskim sens magiczny. Uważali zaćmienia i komety za zwiastuny klęski. Astrologia, jaką znamy dzisiaj, powstała w Mezopotamii — kraju, który znajdował się na terenach dzisiejszego Iraku. Tam to, w rozległej dolinie Eufratu ponad cztery tysiące lat temu kapłani akadyjscy zaczęli gromadzić obserwacje astronomiczne i wykorzystywać je do korektury swego kalendarza oraz przewidywania zdarzeń. Cywilizacja sumeryjska, do której kapłani ci należeli, kwitła aż do XVIII wieku przed n.e., kiedy to stopniowo została doprowadzona przez barbarzyń-

* Dżin — muzułmański geniusz (przyp. red. pol.).

** Eudocja Augusta *Cyprian i Justyna*; cyt. wg: B. Diener *Imperial Byzantium*, Boston 1938, s. 330. Przekład czterowiersza E. Zycińskiej.

ców do upadku. Cywilizacja filialna, obejmująca trzy wielkie państwa — babilońskie, asyryjskie i elami-ckie — powstała mniej więcej sześćset lat później i jej kapłani podjęli dzieło swoich sumeryjskich poprzedników.

W czystym powietrzu pustyni babilońscy kapłani-astrologowie noc w noc obserwowali niebo ze swych świątynnych obserwatoriów. Nie mamy pewności, czy te obserwatoria były umieszczone na szczytach zigguratów* owych ogromnych zwyżających się ku górze wież ceglanych, które towarzyszyły każdej z większych świątyń. Wiemy natomiast, że kapłani pilnie śledzili gwiazdy i planety, usiłując odczytać w ich biegu niezapisane jeszcze karty losów ludzkich.

Ci kapłani znad Eufratu stworzyli podwaliny naszej astronomii i naszej wiedzy o mierzeniu kątów. Dali nam również sporo pojęć religijnych. Na przykład, wiele opowieści *Starego Testamentu* wywodzi się z dawnych mitów mezopotamskich, adaptowanych prawdopodobnie w okresie niewoli babilońskiej Żydów w VI wieku przed n.e. Opowieść o Noem została zapożyczona z sumeryjskiej legendy o bohaterze imieniem Ziusudra**, który uciekł łodzią, gdy bogowie zatopili jego miasto. Jonasz wywodził się zapewne od Oannesa, babilońskiego boga ryb; a Samson od Szamasza, boga Słońca. Wieża Babel znana z księgi *Genesis*, XI, była prawdopodobnie babilońskim zigguratem.

* Zigguraty lub zikkuraty; asyryjskie: ziqquratu = „szczyt” lub „wysokie miejsce”. Inna teoria głosi, że zigguraty miały kapłanom umożliwić przybliżenie się do przebywających w niebie bogów i w ten sposób stworzyć większą pewność wysłuchania modłów.

** Zwanym przez Asyryjczyków: Utnapisztim.

Wysoce zorganizowany stan kapłański w Mezopotamii zarówno uprawiał magię, jak i praktyki religijne, nieświadom wyraźnej różnicy między nimi. Tytuły kapłanów: „rzucający zaklęcia”, „wróźbita”, „nekromanta” — wskazywały na ich funkcje. Jedni specjalizowali się we wróżbach z wątroby owiec, drudzy w astrologii. Jednakże astrologia owa dotyczyła ściśle spraw państwowych, odnosiła się do królów, rodzin królewskich i królestw. Stawianie horoskopów osobom prywatnym, jak to się dziś czyni, było zapewne pomysłem jakiegoś żyjącego później Greka.

Te wczesne próby badań astronomicznych prowadzonych przez mezopotamskich kapłanów-astrologów pozostawiały wiele do życzenia. Nie posiadali oni przyrządów do dokładnych pomiarów. Gdy chmury zakrywały Księżyc, uważali to za zaćmienie. Trzeba było całych wieków, nim zdali sobie sprawę, że zaćmienie Księżyca może nastąpić tylko w połowie, a zaćmienie Słońca tylko pod koniec miesiąca synodycznego.

Niedostateczna znajomość systemu słonecznego i brak przyrządów sprawiały, że kapłani-astrologowie napotykali wciąż niespodzianki. I tak oto astrolog Balasi ponuro pisał:

„Księżyc widziany nie w porę,
Zblory będą skąpe.
Księżyc wraz ze Słońcem występuje dnia dwunastego;
Jeżeli kiedy indziej
Księżyc i Słońce widoczne są razem,
Potężny nieprzyjaciel zdewastuje kraj” *.

Biedny Balasi nie zdawał sobie sprawy, że popełnił błąd w swych wyliczeniach; sądził więc, że na niebiosach zaszła jakaś złowieszcza nieprawidłowość.

* Cyt. wg: M. Jastrow jr. *The Religion of Babylon and Assyria*, Ginn, Boston 1898, s. 360.

Astrologowie babilońscy ślali swym władcom tony raportów spisanych na tabliczkach z gliny. Za panowania królów asyryjskich, a potem babilońskich, zebrano tu olbrzymią ilość materiałów. Astrologowie lubili opowiadać przybyszom, że zbierają i przechowują owe materiały od 720 000 lat.

Nowoczesna astrologia opiera się na dwóch pojęciach babilońskich — zodiaku i boskości ciał niebieskich. Do zodiaku zaliczano początkowo tylko te konstelacje, przez które biegnie droga Słońca w ciągu jednego roku. Spośród naszych gwiazdozbiorów *Taurus*, czyli Byk, jest prawdopodobnie pierwszą konstelacją, która otrzymała imię. Przypuszcza się, że do nadania nazwy doszło mniej więcej w następujący sposób: Cztery gwiazdy pierwszej wielkości, Aldebaran, Regulus, Antares i Fomalhaut są bardzo przydatne do mierzenia czasu, znajdują się bowiem w pobliżu ekliptyki (drogi Słońca) i są oddalone od siebie niemal dokładnie o 90°. W czasach sumeryjskich, ponad 2000 lat przed n.e. wiosenne zrównanie dnia i nocy następowało, gdy Słońce było w pobliżu Hiad, gromady gwiazdnej w kształcie litery V, w skład której wchodzi Aldebaran.

Otóż wiosenne zrównanie dnia z nocą jest ważną datą dla rolników. Istnieje więc przypuszczenie, że Hiady i sąsiadujące z nimi gwiazdy były nazwane *Mulmullu*, czyli Byk, jako symbol wiosennej orki lub płodności, albo jednego i drugiego razem. Później stopniowo otrzymały nazwy inne konstelacje zodiakalne. Możemy się domyślać, że nazwa gwiazdozbioru Bliźnięta pochodzi od dwóch jasnych gwiazd noszących imiona: Castor i Pollux; Waga — od jesiennego zrównania dnia z nocą, a Strzelec od sezonu łowieckiego. Koziorożec, Wodnik i Ryby reprezentują mokry okres zimowy. Inne ludy używają odmiennych nazw do

oznaczania gwiazd i gwiazdozbiorów. Dla Eskimosów, na przykład, trzy jasne gwiazdy w pasie Oriona są trzema zaginionymi łowcami fok.

Gdy kapłani babilońscy mówili, że Słońce znajduje się w jakiejś konstelacji, rozumieli to dosłownie. Kiedyś wyobrażali sobie świat jako wielką miskę pokrytą kopułą. Później zdecydowali, że jest on obracającą się kulą, do połowy wypełnioną wodą, na której pływa Ziemia jak okrągła wyspa. Babilon znajdował się, oczywiście, w centrum tego wyspiarskiego świata. Gwiazdy były przymocowane do wewnętrznej strony półkuli. Słońce, Księżyc i planety pełzały wśród nich jak muchy. Gdy Słońce znajdowało się w gwiazdozbiorze Byka, to przesunęło się wśród gwiazd tej konstelacji, trącając je i parząc.

Znaki zodiaku zostały wynalezione dopiero w końcowym etapie historii Babilonu. Zodiakiem nazywano drogę, po której przesunęły się ruchome ciała niebieskie. Był to pas rozciągający się na 9° po obu stronach ekliptyki, czyli drogi Słońca. Znaki określały 12 równych części tego pasa nieba, a każda z nich odpowiadała 1 miesiącowi. Zatem każdy znak zodiaku był prostokątem o szerokości 18° i długości 30° . Znaki te, nazwane w II wieku przed m.e. według nazwy gwiazdozbioru (konstelacji), który w danym prostokącie występował, dostarczały stałych punktów odniesienia. Na przykład, grecki astronom Hipparch określił pozycje dwunastu znaków, przyjmując położenie Słońca przy wiosennym zrównaniu dnia z nocą za punkt pierwszy Barana, czyli granicę między znakami zwanymi Baranem i Rybami.

Jedynym mankamentem tego systemu jest to, że nie bierze on pod uwagę precesji punktów równonocy. Precesja ta jest wynikiem obrotowego ruchu osi Ziemi, jak wahania wirującego bąka zwalniającego obroty.

Stąd umowny punkt nad Biegunem Północnym, przez który przebiega prosta, będąca przedłużeniem osi Ziemi, przesuwa się po okręgu o średnicy ok. 47° . Punkt zatacza pełne koło co 25 800 lat. 4800 lat temu oś Ziemi była skierowana na gwiazdę Tuban. Obecnie jest ustawiona w stronę gwiazdy Polarnej, a za 11 500 lat będzie wskazywała Wege. Ponieważ pory roku i towarzyszące im zrównania dnia i nocy oraz przesilenia zależą od nachylenia osi Ziemi, przesuwały się więc wraz ze zmianami ustawienia osi.

Zrozumiałe jest, jakie zmiany spowodowało takie przesunięcie w zodiaku. Ponieważ znaki otrzymały nazwy od gwiazdozbiorów, ale przy wyznaczaniu ich za punkt odniesienia przyjęto okres równonocy, owe gwiazdozbiory i odcinki pasa zodiaku oznaczone ich nazwami przestały się z czasem zgadzać. W ciągu ostatnich 2000 lat te odcinki, czyli znaki przesunęły się o około 29° , tj. nieomal o całą długość znaku. Stąd gwiazdozbiór Ryby występuje na miejscu znaku Barana, gwiazdozbiór Baran zajmuje miejsce znaku Byka i tak dalej.

Ta wciąż rosnąca rozbieżność między położeniem znaków a gwiazdozbiorami od wieków kłopotowała astrologów. Tłumaczą oni na ogół, że musimy oprzeć obliczenia na znakach zodiaku, bo w rzeczywistości one to właśnie, a nie gwiazdy wywierają wpływ na Ziemię. Ale, choć można sobie wyobrazić wpływ gwiazd na życie ludzkie, nie do pojęcia jest, by wyznaczone przez ludzi umownymi granicami skrawki nieba mogły posiadać jakąkolwiek moc.

Inną wielką koncepcją astrologiczną była deifikacja ciał niebieskich. Choć żaden Babilończyk nie wiedział, czym jest naprawdę Słońce, Księżyc i planety, między 1900 a 700 rokiem p.n.e. jakiś kapłan poddał myśl,

że te świecące ciała są mieszkaniem bogów, a zatem powinny nosić imiona swych boskich mieszkańców. Nazwy zastały nadane na podstawie skojarzeń. W ten sposób czerwony Mars otrzymał imię boga wojny Nerigala. Venus, z powodu swej białości, została nazwana imieniem Isztar, bogini miłości. Ponieważ Słońce i Księżyc miały już własnych bogów, Szamasza i Sina, główne bóstwo babilońskiego panteonu, Marduk, musiało się zadowolić najokazalszą planetą, Jowiszem. Nieuchwytny, drobny Merkury otrzymał imię czarodzieja i posłańca owych bogów, Nabu; Saturna zaś przeznaczono jednemu z pomniejszych bogów, Ninurcie.

Babilończycy przypisywali różnym planetom takie wpływy, jakie mogły wynikać z atrybutów bóstw, których imiona nosiły. Isztar oczywiście władała miłością; Nerigal wojną; Marduk polityką. Zgodnie z prymitywną logiką, planeta oddziaływała nasilniej, gdy była bliżej Ziemi lub w samym zenicie; najslabiej, gdy znajdowała się nad horyzontem lub oddalała się — to znaczy jakby wycofywała spomiędzy gwiazd. Wiemy, że planeta poruszająca się ruchem wstecznym nie cofa się naprawdę; po prostu Ziemia dopędza ją i mija. Babilończycy jednak myśleli, że planety istotnie zawracają w przeciwnym kierunku, jakby bogom, którzy jeździli nimi niby rydwanami, kręciło się chwilami w głowie. Droga dalszych analogii przypisywali ciałom niebieskim uczucia przyjaźni i wrogości, które miały wpływać na moc ich oddziaływania.

Tego rodzaju rozumowanie, oparte na analogiach i skojarzeniach, jest charakterystyczne dla magii, ale nie ma nic wspólnego z nauką. W miarę jak astrologia udoskonalała się, astrologowie dostarczali coraz to innych wyjaśnień domniemanych związków między zdarzeniami niebieskimi a ziemskimi. Według najstarszej teorii bogowie interweniowali na Ziemi bezpośre-

dnio. Później głoszono, że planety wysyłają niewidzialne „promienie” lub „wibracje” oddziałujące na życie ziemskie.

Inna teoria, teoria makrokosmosu i mikrokosmosu, uczy, że między niebem a Ziemią istnieje związek sympatyczny, rodzaj sprzężenia magicznego, które utrzymuje wydarzenia zachodzące w jednej płaszczyźnie w stałym stosunku do wydarzeń w płaszczyźnie drugiej. Filozofia ta, traktująca ludzi jak zwykle kółka w maszynie kosmicznej, przemawia do tych, którzy szukają usprawiedliwienia swych niepowodzeń. Wreszcie istniała teoria głosząca, że ciała niebieskie nie posiadają własnej mocy, ale bogowie posługują się nimi, by ostrzec ludzi przed mającymi nastąpić wypadkami. Wiele stuleci później ta hipoteza zyskała popularność u myślicieli chrześcijańskich, zwłaszcza jako wytłumaczenie zjawiska komet.

Kiedy Persowie dokonali podboju Babilonu w 538 roku p.n.e., astrologia babilońska rozprzestrzeniła się w całym cywilizowanym świecie; dotarła nawet do Indii i Chin. Chociaż kapłani babilońscy ograniczali swe przepowiednie do władców i spraw państwowych, niektórzy ludzie trudniący się magią wpadli na pomysł udostępnienia astrologii masom. Grecy, którzy dotychczas określali planety w sposób opisowy, na przykład *Stilbon*, „gwiazda mrugająca” (Merkury), teraz przemianowali je nadając im imiona bogów greckich odpowiadających bóstwom babilońskim. W ten sposób Nabu stał się Hermesem; Isztar — Afrodytą i tak dalej. W ten sam sposób Rzymianie zaadaptowali później ten system do swego własnego panteonu. Te właśnie nazwy przetrwały do naszych czasów.

Nazwy znaków zodiaku uległy tym samym przemianom; i tak *Ku*, Baran, otrzymał u Greków nazwę

Krios, a u Rzymian *Aries*. Z czasem wprowadzono do astrologii dalsze podziały, jak „okresy”, „domy” i „punkty arabskie”, aż cały system stał się tak złożony, że bez względu na to, co się komuś wydarzyło, zdolny astrolog zawsze mógł wypatrzeć na niebie jakąś przyczynę tego wypadku.

Astrologowie czasów rzymskich opracowali system modyfikowania rzekomego wpływu planet, zależnie od ich położenia na niebie. Na przykład: ponieważ w owych czasach Jowisz najbardziej oddalał się na północ od gwiazdozbioru Raka, a najdalej na południe od gwiazdozbioru Koziorożca, uznano, zgodnie z pseudologiką magiczną, że planeta owa ma w pierwszym położeniu największą moc, a w drugim najmniejszą. Planety występujące w koniunkcji — pozornie sobie bliskie — miały jakoby wzajemnie wzmacniać swoje dobre cechy; „opozycja” — oddalenie o 180° — osłabiała efekt.

Gdy w II wieku n.e. grecki astronom Klaudiusz Ptolomeusz napisał biblię astrologii *Apotelesmatiké syntaksés tetrábiblos* (czteroksiąg), włączył do systemu astrologicznego błędną teorię Arystotelesa, że właściwości materii zależą od czterech zasadniczych cech — gorąca, zimna, suchości i wilgoci. Według tych cech sklasyfikował też ciała niebieskie, określając, na przykład, Saturn jako zimny i suchy. Jednakże w wielu prawach astrologicznych zaszły od czasów Ptolemeusza drobne tylko zmiany, spowodowane głównie wykryciem większej ich złożoności.

Zawsze na świecie żyli ludzie nastawieni sceptycznie. Cynceron, na przykład, przeklął astrologię w swojej książce *O wróżbach*. Wykazał, że choć „Chaldejczycy”, jak nazywano astrologów, obiecali Cezarowi, Pompei i Krassusowi długą i spokojną starość, żadne z trojga jej nie doczekało.

Mimo wywodów Cyncerona, astrologia zyskiwała oddanych sobie zwolenników w świecie rzymskim. Chociaż niektórzy cesarze rzymscy wydawali prawa przeciwko astrologom, bowiem denerwowało ich ciągle wyliczanie, kiedy cesarz umrze, zarządzenia te nie odnosiły skutku. Również bezskuteczny był sprzeciw ojców Kościoła, mimo że chrześcijański cesarz, Konstantyn Wielki, kazał wychłostać astrologów Konstantynopola, po czym obwozić ich po mieście na wielbłądzich grzbietach.

Z czasem chrześcijaństwo przekonało się do astrologii. Większość średniowiecznych uczonych europejskich wierzyła, że ciała niebieskie wywierają wpływ na sprawy ziemskie, tylko nie byli zgodni co do rozmiarów tego wpływu. Chociaż astrolog z Florencji, Cecco d'Ascoli, został w roku 1327 spalony na stosie przez inkwizycję, ponieważ z uporem głosił ekstermicyzującą doktrynę, że gwiazdy rządzą wszystkim w sposób absolutny, większość astrologów średniowiecznych cieszyła się takim samym poszanowaniem, jak inni profesjonaliści. Nawet wielki szesnastowieczny astronom, Johannes Kepler, stawiał horoskopy dla zarobku. Zdając sobie sprawę, że zajmowanie się astrologią jest niegodne uczonego, pisał:

„Astrologia jest głupią córką mądrej matki (astronomii), lecz przez minione sto lat ta mądra matka nie mogłaby żyć, gdyby nie pomoc głupiej córki!” *

Jednakże w XVI i XVII wieku zaszła wielka zmiana, kiedy wynalezienie teleskopu i odkrycia Keplera, Galileusza i innych zrewolucjonizowały astronomię. Astro-

* C. J. S. Thompson *The Mystery and Romance of Astrology*, Stokes, N. Jork 1930, s. 191.



Ryc. 5. William Lilly, wybitny astrolog XVII wieku.

nomowie ci, stwierdziwszy błędność babilońskich założeń o kulistości Wszechświata i boskości ciał niebieskich, stracili wiarę w astrologię. To sceptyczne stanowisko z wolna zaczęli podzielać inni uczeni, a następnie zwykli ludzie, tak że możemy dziś powiedzieć, że niewiara w astrologię stała się powszechna.

Jeden z ostatnich „poważanych” astrologów, William Lilly, przybył do Londynu jako biedny chłopiec ze wsi w roku 1618, znalazł zajęcie służącego i w wolnych chwilach studiował astrologię pod kierunkiem starego zapijaczonego czarodzieja, nazwiskiem Evans. Lilly był dwukrotnie żonaty. Ponieważ obie jego żony były kobietami majątnymi, mógł się poświęcić publikowaniu almanachów i prorocstw. W czasie angielskiej wojny domowej opublikował *A Profitable Conjecture of the Successes His Majestie or Parliament may expect in these their now-differences* (*Pożyteczne przypuszczenia o sukcesach, których Jego Wysokość lub Parlament mogą oczekiwać po ich obecnym poróżnieniu*), które rzucają światło na zdolność autora do unikania kłopotów w niebezpiecznych czasach. Nie mówi on, jak można by sądzić z tytułu, kto zwycięży. Zapewnia natomiast i króla i parlament, że wielce ich miłuje i daje wyraz najwytrawniejszemu lawiranctwu i oportunistyce:

„Jeśli napotkamy zmię, zanim nas spotka ostateczna zguba, możemy spodziewać się wiele dobra. Wenus kieruje się ku Marsowi, a to już zezwala nadzieję żywić i oczekiwać Wieści pocieszającej lub Słów dobrych, albo podobnych rzeczy dla Jego Wysokości lub od Jego Wysokości dla nas, i to wkrótce albo zaraz po Wejściu Słońca w znak Barana; w którym to czasie, jeśli nieszczęście jakoweś nie stanie na przeszkodzie ani żadne zło się nie przytrafi najwyższemu Zwierzchnikowi naszemu, Oczekiwania nasze mogą wzrosnąć, zaś Skutki tego, co nastąpi wówczas w ogólnym Niepokoju, mogą być znacznie lepsze, czego z serca życzę” *.

Któż poczułby się urażony tak elokwentnym belkotem?

* W. Lilly *An Introduction to Astrology by William Lilly with Numerous Emendations*, Bell, Londyn 1939, s. 15.

Pod koniec XVII wieku pewien szewc londyński, John Partridge z podziwu dla Lilly'ego zajął się publikowaniem jego almanachów. Partridge prosperował, póki Jonathan Swift, piszący pod pseudonimem „Isaac Bickerstaff”, nie zaatakował go swym morderczym piórem. Pierwsza ze Swiftowych burlesek, *Predictions for the Year 1708 (Przepowiednie na rok 1708)* zapowiedziała na dzień 29 marca śmierć kilku wybitnych osobistości, włącznie z Johnem Partridgem. Po tym terminie Swift opublikował *The Accomplishment of the first of Mr. Bickerstaff's predictions, being an account of the death of Mr. Partridge...* (*Spełnienie pierwszej przepowiedni pana Bickerstaffa, czyli opis śmierci pana Partridge'a...*), w którym opowiada ze wzruszającymi szczegółami o tym, jak Partridge kaja się na łożu śmierci za oszukanie tak wielu ofiar swymi astrologicznymi błazeństwami.

Rozwścieczony Partridge zbił chłopca, który kolportował pamflety Swifta. Towarzystwo Właścicieli Składow Papierniczych sądząc, że astrolog naprawdę nie żyje, skreśliło go ze swojej listy uniemożliwiając mu wydanie almanachu na następny rok. Przez wiele lat miał trudności z udowodnieniem, że nie umarł, gdyż Swift i jego dowcipni kompani nie zaprzestawali figłów, publikując różne satyry, jak na przykład:

„To leży jak długi, pięć stóp w głąb,
Szewc-łata, szarlatan i wielki głąb.
Dziś jeszcze wytrzeszcza chciwy wzrok
Na gwiazdy przez grobu zimny mrok.
Niech płacze go klient, poczciwy człek,
Co kupił pigułę, almanach i... flek” *.

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: C. J. S. Thompson *The Mystery and Romance of Astrology*, jw., s. 244.

Gdy Partridge'owi udało się wreszcie znów zacząć drukować, natarł swym dręczycielom uszu. Swift odpowiedział wówczas trzecim pamfletem, *A Vindication of Isaac Bickerstaff Esq.* (*Obrona jegomości Isaaca Bickerstaffa*), w którym dowodził, że Partridge istotnie nie żyje, bez względu na to, co mówi. Jego wywód zaczyna się następująco:

„Ponad Tysiąc Dzentelmenów nabyło ów Almanach na ten Rok jedynie po to, aby dowiedzieć się, co on napisał o mnie: a po każdym przeczytanym wierszu wznosili w górę Oczy i wykrzykiwali na poły z Gniewem, na poły ze Śmiechem, iż z pewnością jeszcze żaden żywy Człowiek nie napisał tak paskudnych Bredni. Nie słyszałem też, aby ich Opinia była kiedykolwiek poddana w wątpliwość. A zatem pan Partridge stoi przed Dylematem, czy wyrzec się swojego Almanachu, czy też zaliczyć się do Ludzi nieżywych” *.

Chociaż kampania Swifta nie uśmierciła Partridge'a, ani astrologii, była jednak znamieniem czasów. W wyniku odkryć astronomicznych Kopernika, Galileusza i Newtona astrologia utraciła status intelektualny i nigdy więcej go nie odzyskała.

Astrologowie od czasu do czasu wystosowują błagalne prośby, aby ich uznano za ludzi nauki. Twierdzą, że rozumują logicznie w oparciu o dawne, ustalone założenia. Jest to zgodne z prawdą, z tym jednak zastrzeżeniem, że założenia te są założeniami starożytnych kapłanów babilońskich. Kapłani owi podzielili krągłą czaszę nieba na odcinki; po czaszy tej poruszały się ich planety, pod czaszą zaś niby wyspa pływała po wodzie ich ziemia.

Niestety, założenia te już przed wiekami uznano za błędne. Arystarch z Samos w III wieku p.n.e., a dwa tysiące lat później Kopernik umieścili Słońce

* J. Swift *The Bickerstaff Pamphlets*, w: *Satires and Personal Writings*, Oxford Univ. Press, N. Jork 1932, s. 188.

na stałe w centrum naszego Układu Słonecznego. Pitagoras (lub jeden z jego zwolenników) poddał myśl o kulistości Ziemi; Arystoteles zaś ją udowodnił. W dodatku pierwsze teleskopy wykazały, że planety nie są boskimi organizmami ognistymi, jak sądził Platon, ani rydwanami powożonymi przez bogów, jak uważali Babilończycy.

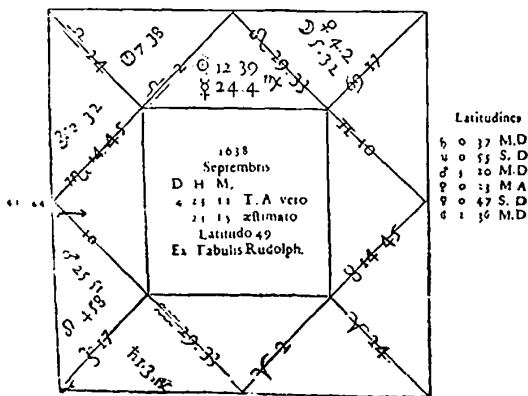
Jeżeli ludzie z jakimkolwiek wykształceniem nie mogą akceptować tych założeń babilońskich, czyż mogą brać serio konkluzje astrologów? Astrologowie czynią wszystko, co w ich mocy, by pokonać logikę nauki. Niektórzy ignorują odkrycia Kopernika. Inni protestują, że jeśli im się zdarzy czasem zbłądzić, to przecież błędzą również lekarze, meteorolodzy i inni naukowcy. Inni uśmiechają się po prostu i mówią, że każde nowe odkrycie planetarne czyni ich wiedzę dokładniejszą.

Wszyscy astrologowie i ich klienci jednogłośnie twierdzą, że bez względu na to, czy astrologia jest nauką, czy nie, to jednak „działalność astrologów jest ciągle żywa”. Ale jeśli próbujemy naukowo zbadać *metody* ich działania, wyniosłe protestują, że jest to wiedza tajemna, nie dająca się wtłoczyć w jakiegokolwiek ramy wulgarnej statystyki. Astrologowie potrafią dać astrologiczne wyjaśnienie pewnych minionych wydarzeń i przytaczają różne udane przewidywania. Bez względu na prawdziwość lub nieprawdziwość astrologii, zawsze można znaleźć astrologiczne wytłumaczenie jakiegokolwiek wydarzenia. Na przykład, niektóre zależności planetarne, takie jak koniunkcja Marsa i Saturna, mają przepowiadać okropne klęski. Ponieważ co rok ma miejsce kilka tego rodzaju złowróżbnych układów planet i co rok zdarza się na tym świecie kilka rozmaitych klęsk, nie sztuka połączyć daną klęskę z określoną koniunkcją dwóch planet.

Prawem przypadku niektóre z przepowiedni astrologa muszą być poprawne i tymi się on chwali; nie prowadzi jednak statystyki swych niepowodzeń. Co więcej, stara się je zataić. Niedawno zmarły amerykański astrolog Gustave Meyer chwalił się, że przewidział śmierć bandyty Dillingera w 1934 roku oraz elekcję Roosevelta w roku 1936. Jednak zapomniał jakby o tym, że według jego przepowiedni Dempsey miał pokonać Tunneya na mistrzostwach świata w podnoszeniu ciężarów, a Smith zwyciężyć Hoovera w wyborach prezydenckich w 1928 roku. Ponadto przewidział objęcie prezydentury Stanów Zjednoczonych przez kobietę i rewolucję w 1942 roku.

Nativitas LUDOVICI XIV. Galliae & Navarrae
Regis Christianissimi.

151. 44



Ryc. 6. Horoskop francuskiego króla Ludwika XIV. Jest to staromodny horoskop kwadratowy, zastąpiony w nowszych czasach diagramem okrągłym.

Kilka lat temu profesor Otto Bobertag, Niemiec, dokonał eksperymentu mającego na celu stwierdzenie, co astrologowie mogą zdziałać pod kontrolą naukową. Posał czterem czołowym astrologom niemieckim daty urodzenia pięciu osób nie podając ani ich nazwisk, ani żadnych innych faktów, i poprosił o opracowanie analizy ich charakterów. Otrzymane analizy dał do przeczytania dziewięciu osobom, które znały dobrze owych pięć osób. Ludzie ci ocenili poprawność każdej analizy i porównali je z poprzednio dokonanym badaniem naukowym charakterów, które dawało wierny obraz badanych osób.

Okolo 6 procent orzeczeń astrologów okazało się poprawne. Takiego właśnie wyniku można oczekiwać działając na podstawie przypadku. Profesor Bobertag słusznie zatem wywnioskował, że orzeczenia astrologów były jedynie próżnym wylewaniem atramentu*. Bowiem dla udowodnienia słuszności przepowiedni lub opisów charakterów opracowanych na podstawie układów gwiazd, procent poprawnych wyników powinien być znacznie większy od procentu poprawnych wyników uzyskanych drogą przypadkowych domysłów.

Bezspornie, astrologia jako nauka zawodzi. Jej podstawowe założenia są złudne. Planeta nie „wznosi się” po nocnym niebie. Po prostu Ziemia obraca się ku planecie. Planety nigdy nie są naprawdę w koniunkcji; bez względu na to, jak bliskie się wydają, są oddalone od siebie o miliony kilometrów. Nie licząc bardzo nieznacznych zmian jasności, grawitacji i magnetyzmu, planety w ogóle nie oddziałują na Ziemię. Owe „wibracje”, o których mówią astrologowie, nigdy

* *Sanfte Tintenfluss*; O. Bobertag *Ist die Astrologie zuverlässig?*, w: „*Zeitschrift für Menschenkunde*”, VIII (1932), s. 92.

nie poruszyły igły jakiegokolwiek przyrządu. Krótko mówiąc, wyniki uzyskane na podstawie astrologii niczym nie różnią się od zwykłych domysłów.

Cóż zatem sprawia, że astrologia cieszy się tak wielką żywotnością? W pierwszym rzędzie jej aparat fascynujących symboli, tajemniczych map i niezrozumiałych obliczeń, który stwarza pozory naukowości i olśniewa prostaczków. Nadto, astrologowie są mistrzami w mówieniu ludziom tego, co chcą oni właśnie usłyszeć. Któż nie lubi słuchać, że jest władczy i szlachetny, albo, że w ciągu kilku następnych miesięcy osiągnie sławę i majątek? Komu nie można powiedzieć: „najbardziej lubisz takie okazje, gdy możesz się popisać swymi szczególnymi zdolnościami”? W taki to sposób astrolog asekuruje swoje analizy charakteru i przepowiednie, aby bez względu na rzeczywistość móc zawsze dowieść, że miał rację.

Wreszcie, każdy człowiek lubi obciążać odpowiedzialnością za swe niepowodzenia wypadki, na które nie ma żadnego wpływu. Pocieszające jest, na przykład, usłyszeć, że się straciło pracę albo towarzysza nie przez swą własną głupotę lub słabość charakteru, ale z powodu kosmicznego wydarzenia, takiego jak koniunkcja planet. Jeszcze bardziej jest pocieszające, gdy się słyszy, że wkrótce wszystkie kłopoty zostaną pomyślnie rozwiązane.

Chociaż astrologia nie stanowi żadnej drogi do poznania charakterów ani losów ludzkich, i choć jej pretensje do naukowości nie mają żadnych podstaw, będzie pewnie długo jeszcze kwitła w naszej cywilizacji. Astrologowie dają ludziom usprawiedliwienie przeszłości, pochwałę teraźniejszości i nadzieję na przyszłość. Za usprawiedliwienia, pochwały i nadzieję ludzie zawsze będą płacili i to dobrze.

Rozdział III
UCHYLANIE ZASŁONY

To słowo nieme jest, którego lud słuchał wśród wzgórz Dodony,
Gdy wiatrów chór w dąbrowie dął i zagrział kotłów huk.
I Kamień Środka niemy jest przy źródle rozdwojonym;
Słuchają echa ciszy tam, gdzie dawny kłamał bóg*.

A. E. Hausman

Księżę czy wieśniak, mędrzec czy dzikus, uczony czy prostaczek, któż nie zastanawiał się, co kryje dla niego w zanadru przyszłość? Gdyby tylko wiedział, że jego droga usłana jest różami albo brukowana złotem, jakże by to było podtrzymujące na duchu! Jeśli zaś, z drugiej strony, jego droga miałaby być naszpikowana cierniami nieszczęść, czyżby nie było roztropnie obrać wówczas inną?

Ponadto, „człowiek jest zawsze na rozstaju”. Każdy z nas musi w ciągu życia często dokonywać wyboru. Zastanawiamy się, jaką obrać drogę — jakiego uczyć się zawodu, jaką przyjąć posadę, gdzie mieszkać, kogo poślubić, któremu z lekarzy zaufać. Tęsknimy za jakimś doradcą, który by nam mówił, kiedy wyruszyć, gdzie zawrócić i komu zaufać.

Gwiazdy, jak kiedyś wierzono, przepowiadały przyszłość potężnym władcom Babilonii, których astrologowie pilnie śledzili czyste nocne niebo nad wschod-

* Przekład czterowiersza Ewy Zycińskiej z: A. E. Hausman *The Oracles*, 11, 1—4.

nimi pustyniami. Jednakże ludzie, którzy żyli tam, gdzie chmury przesłaniają sklepienie niebios, lub ci, którzy nie rozporządzali skarbami królestwa, nie mogli się zdać na kierownictwo gwiazd. Tak więc wczesne ludy świata śródziemnomorskiego starały się znaleźć rozwiązanie zagadki przyszłości, wyjaśnienie dziwnych zdarzeń, ochronę przed własnymi ludzkimi słabościami i opiekę niewidzialnego świata bogów i duchów w wyroczniach, znakach i snach. Rozsądni ludzie stwierdzili, że gwiazdy mogą nam istotnie przewoźniczyć w podróżyach naokoło świata, ale nie w podróży po gościńcu życia. Czy któraś z innych form wróżenia może pomóc w tej drodze?

Większość wcześniejszych cywilizacji posiadała takie czy inne wyrocznie; ale ponieważ Grecy tak wiele swych doświadczeń uwiecznili na piśmie i ponieważ spora część ich piśmiennictwa dochowała się prawem przypadku aż do naszych czasów, więcej wiadomo o wyroczniach greckich niż innych ludów starożytnych. Rozmiłowani wielce w wyroczniach Grecy posyłałi kogoś w poselstwie lub sami podejmowali długie i pełne trudów podróże, aby zasięgnąć porady u co znakomitszych wyroczeni.

Wyrocznia, ściśle mówiąc, jest to medium, poprzez które bóg porozumiewa się z ludźmi. Tym medium może być człowiek, urządzenie mechaniczne albo zjawisko naturalne, takie jak bulgotanie strumyczka w świętym gaju. Słowo „wyrocznia” odnosi się zarówno do miejsca, gdzie padają wypowiedzi, jak i do samych wypowiedzi — aktualnych przepowiedni, porad lub nakazów. Ponieważ bogowie Hellady mieszkali na szczycie jakiejś pobliskiej góry albo w gajach i źródłach oraz w falach mórż wokół poszarpanych brzegów kraju, interesowali się więc sprawami śmiertelnych i — za opłatą — pomagali im.

Wyrocznie greckie działały na rozmaite sposoby. Wyrocznia Zeusa w Dodonie skupiała się wokół gigantycznego dębu, na którym wisiały spiżowe misy. Kapłani interpretowali zainteresowanym szelest świętych liści, gruchanie gołębi, pomruk pobliskiego źródła, a kiedy wiatr był silny, łoskot mis.

W wyroczni Trofoniosa w Lebadei klient spędzał kilka dni na ofiarach i oczyszczeniu. Potem, którejs nocy, opuszczał się do jamy, wpełzał wąskim przejściem do jaskini i tam stawał w obliczu boga. Gdy wracał, na wpół umarły ze strachu, kapłani prowadzili go do Tronu Pamięci, gdzie opowiadał, co zaszło.

Co działo się podczas takich spotkań z bóstwem, możemy wywnioskować z późniejszych odkryć poczynionych na miejscach innych wyroczni. W IV wieku n.e. biskup chrześcijański, Teofilos, rozbił posągi bożków egipskich wyroczni w Aleksandrii i stwierdził, że były wydrążone w środku, by kapłan mógł się w nich ukryć. W świątyni Apollina w Koryncie nowocześni archeolodzy odkryli podziemne pomieszczenie zawierające źródło świętej wody. Na drzwiach był napis: „Wstęp wzbroniony. Grzywna — siedem drachm”. Wewnątrz znajdowało się tajemne przejście do świątyni przez kamienne drzwi zamaskowane jako część ornamentacji architektonicznej. Za drzwiami tunel zwężał się na kształt komina i kończył się otworem wykutym w ścianie świątyni. Przez ten niewielki otwór chytry kapłani wypowiadali boskie odpowiedzi na pytania drżących ze strachu klientów.

Czasem wyrocznią była jakaś histeryczka, która na dany znak wpadała w ekstazę i bełkotała słowa interpretowane następnie przez kapłanów. Najsłynniejszą ze wszystkich wyrocznią była wyrocznia Apollina w Delfach, gdzie kapłanka piła najpierw wodę z podziemnego źródła proroczego, żuła liście laurowe i sia-

dała na wysokim trójnogu. Potem wypowiadała w transie dziwne słowa. W Delfach, według wierzeń greckich, Apollo zabił Pytona, a gnijące ciało tego smoka, znajdujące się głęboko pod ziemią, wypuszczało smugę cuchnącego gazu, który wydobywał się ze szczeliny w skale pod trójnogiem. Grecy sądzili, że owiewający kapłankę gaz dawał jej natchnienie, i zwali ją Pytją.

Świątynia w Delfach zatrudniała stale trzy Pytie, z których jedna była praktykantką. Wszystkie one były starszymi kobietami, pannami i pochodziły ze wsi. Nauczeni smutnym doświadczeniem kapłani uważali, że młodsze i ładniejsze mogły ziemskimi miłostkami zepsuć kontakt z bóstwem.

Mimo sławy wyroczni w Delfach i mimo faktu, że przez całe stulecia sznury pielgrzymów ciągnęły z mozołem skalnymi ścieżkami, które wily się nad urwiskami 300 metrów i więcej nad poziomem morza, gaz sprowadzający na Pytję natchnienie w rzeczywistości nie istniał. Parę dziesiątków lat temu francuscy archeologowie starannie zbadali teren świątyni i stwierdzili, że w podłożu nie ma żadnego otworu i że gaz nie mógł się wydobywać przez żadną ze skał. Być może wysokość nad poziomem morza, dzikie piękno skalistego krajobrazu oraz naglące obawy i zmartwienia klientów urealniały w ich oczach ów mityczny gaz.

Jednakże trans Pytii był całkiem realny. Realny był również bełkot przez nią wydawany, który kapłani interpretowali i przekazywali pełnym napięcia pielgrzymom. Pytia zawsze była skrajnie wyczerpana po takim seansie. Jedna z nich ponaglana do odpowiedzi, której dać nie mogła, rzuciła się w szale ku wejściu do świątyni i tam z krzykiem upadła na ziemię. Klienci i kapłani umknęli w trwodze. Kiedy zdobyli się na odwagę, by powrócić, stwierdzili, że kapłanka oszalała. Kilka dni później zmarła.



Ryc. 7. Pytia delficka w proroczym transie.

Prorocze wypowiedzi, które zachowały się do naszych czasów, są przeważnie podrabiane. Tym niemniej dają jakie takie pojęcie o ich rodzaju. Na przykład, wódz Epaminondas otrzymał ostrzeżenie przed *pelagos*. Uznał więc, że chodzi o *pelagos*, czyli po grecku „morze”, lecz chytra wyrocznia miała na myśli gaj dębowy o tej nazwie. Jest to tylko jeden przykład częstej anegdoty o człowieku, który ostrzeżony przed jakąś miejscowością pieczołowicie jej unika, aby w końcu znaleźć śmierć w innej o tej samej nazwie.

Olbrzymi wpływ wyroczni delfickiej na życie Greków był oczywistym wynikiem zřeczności kapłanów w udzielaniu dwuznacznych odpowiedzi, które sprawdzały się bez względu na to, co się stało. Stąd wyrażenie: „delficka odpowiedź”. Najsłynniejszą z takich odpowiedzi była odpowiedź dana przez wyrocznię królowi lidyjskiemu Krezusowi. Gdy przysłał on swoich wysłanników z zapytaniem, czy powinien wszcząć wojnę z imperium perskim, bóg odparł, że jeżeli wyprawi się na Persów, to zniweczy wielkie królestwo*.

Uspokojony Krezus przekroczył rzekę Halys i przegrał zarówno wojnę, jak królestwo. Gdy zarzucono bogu oszustwo, ten wcale się nie przejął — nie mówił przecież, które królestwo upadnie!

Mimo pretendowania do świętości, wyrocznia w Delfach często dawała się przekupić. W VI wieku p.n.e., podczas tyrańskich rządów Hippiasza w Atenach, wygnany ród Alkmeonidów zapłacił Pytii, aby mówiła wszystkim przychodzącym z pytaniami Spartanom: „Uwolnijcie wpierw Ateny”. Zamysł się udał. Z pomocą Spartan wygnańcy przywrócili republikę. W późniejszych czasach pewna Pytia, imieniem Perialla,

* Herodot *Dzieje*, I, 53; Cynceron *O wróżbach*, II, LVI, 115.

straciła stanowisko, bowiem pod wpływem polityka Kobona mówiła Spartanom, że jeden z ich królów nie jest prawowitym władcą.

Wyrocznie greckie straciły swe doniosłe znaczenie w okresie helleńskim i rzymskim. W dialogu Plutarcha *O zamilknięciu wyroczni*, napisanym w I wieku n.e., rozmówcy Plutarcha omawiają ten upadek*. Martwi ich fakt, że w wielu wyroczniach w ogóle nie zasięga się już porad i że nawet wielka wyrocznia w Delfach obywa się obecnie jedną Pytią, gdy przedtem zatrudniała trzy. Jeden z rozmówców Plutarcha sugeruje, że bogowie przestali odpowiadać, bo są oburzeni ludzką podłością. Inny uważa, że wyrokujące *daimones* opuścili Grecję na pewien okres, lecz kiedyś powrócą.

Inna postać dialogu przedkłada najznakomitsze wyjaśnienie upadku wyroczni. Powiada ona, że gramatyk Epitherses żeglując wzdłuż brzegów Epiru usłyszał głos wołający z wyspy Paksos. Ów głos po trzykroć wykrzyknął imię sternika statku, *Thamoussa*, a następnie rzekł: „Kiedy przybędziesz do Palides, obwieść śmierć Pana!”

Archeolog francuski Reinach przypuszcza, że opowieść może mieć swe źródło w okrzyku czczycieli Adonisa podczas dorocznej uroczystości śmierci i zmartwychwstania ich boga. Adonis, który był powszechnie czczony za czasów Plutarcha, miał się jakoby wywodzić od starszego, mezopotamskiego boga płodności i urodzaju, Tammuza. Jego czczyciele wykrzykiwali podczas obrządków: *Thamous Thamous Thamous pammegas tethneké!*, co znaczy: „Tamuz, największy z największych, nie żyje”**. Słyszac znad morza to

* Plutarch *O zamilknięciu wyroczni*, 27.

** S. Reinach *Orpheus: A History of Religions*, Liveright, N. Jork 1930 - 1942, s. 43.

zawołanie, przesądny sternik pomyślał zapewne, że został wybrany przez bogów dla obwieszczenia tej ważnej nowiny światu.

Jeszcze inna z postaci dialogu Plutarcha wysunęła bardziej wiarygodne wyjaśnienie, iż Grecja tak bardzo zubożała na skutek wojen i rozpusty, że już nie mogła utrzymywać tak wielu wyroczni, jak niegdyś. Mógł jeszcze dodać, że już nie traktowano ich tak poważnie. Podczas gdy poeta Pindar, żyjący w V wieku p.n.e., z całą pobożnością przyjmował słowa wyroczni delfickiej, Herodot kilkadziesiąt lat później demaskował niezdecydowany sposób, w jaki kapłani interpretowali odpowiedź bogów zawartą w bełkocie Pytii. Wkrótce zaś potem Tukidydes całkowicie odmawiał uzania dla wyroczni, a nieco później dramaturg Eurypides potępił wróżby jako wymysły i łągarstwa.

Był to okres tuż przed nastaniem pierwszej ery nauki, kiedy to dawni bogowie Grecji tracili swój wpływ na warstwę intelektualną. Bogowie Olimpu stopniowo zamierali, ale ludzie prości nadal oddawali im cześć przez kilka jeszcze stuleci. I choć pogłoski o oszustwach podkopały prestiż wyroczni, ich upadek był również łagodny. Żadna ugruntowana instytucja związana ze światem nadprzyrodzonym nie znika z dnia na dzień tylko dlatego, że ją zdemaskowano. Przeciwnie, może być dyskredytowana raz po raz, a mimo to cieszyć się zaufaniem wielu wiernych.

W ten sposób wyrocznie nadal uprawiały swój proceder, chociaż już na mniejszą skalę, mimo że najpierw Macedończycy, a później prokonsulowie rzymscy zastąpili rządy republikańskie niezależnych miast-państw. Chociaż w ciągu stuleci Delfy były grabione przez wojska Persów, Fokejczyków, Galów i Rzymian, pielgrzymi tak szybko naprawiali straty swoimi darami, że Neron mógł jeszcze zrabować 500

posągów z terenu świątyni. Dopiero w ostatnich dniach cywilizacji klasycznej inne wyrocznie zaćmiły sławę Delf.

W IV wieku n.e. tryumfujący chrześcijanie zlikwidowali wszystkie wyrocznie. Cesarz Konstantyn zabrał święty trójnóg z Delf do Konstantynopola, gdzie jego opleciona wężami podstawa pozostała do dziś. Syn Konstantyna, Konstancjusz, w swej potężnej kampanii przeciw magii wysłał urzędników, aby tępił bezlitośnie wyrocznie w całym Wschodnim Cesarstwie Rzymskim. Urzędnicy owi, Paulus i Modestus, utworzyli sąd w Palestynie i wyławiali wszystkich patronów wyroczeni, a następnie torturowali ich i zabijali. Inni cesarze, z wyjątkiem Juliana Apostaty, poszli śladem Konstancjusza.

Ale choć może się to wydać dziwne, wyrocznie w Grecji nie wymarły. Jeszcze w latach dwudziestych naszego stulecia prawosławny kapłan kościoła św. Jerzego Balsamitesa na wyspie Amorgos posiadał swą wyrocznie. Kościół był zbudowany nad strumykiem proroczym, który przepływał przez marmurowy basenik. Kapłan nabierał z basenu wody do kubka i wróżył przyszłość na podstawie pływających w nim robaczków, listków, włosów czy innych zanieczyszczeń.

Obok wyroczeni prorokujących, Grecja chlubiła się pewną liczbę wyroczeni uzdrawiających. Punktem wyjścia ich działalności były zazwyczaj sny. Ludzie bowiem próbują odpierać choroby i śmierć na wiele sposobów. Jeżeli rozczarowują się co do jednego sposobu, obmyślają inny, który by zaspokoił ich potrzebę ufności, poczucia bezpieczeństwa i zrozumienia.

Większość wyroczeni uzdrawiających była poświęcona Asklepiosowi (Eskulapowi), sławnemu lekarzowi, który

w-dług wierzeń greckich był synem Apollina oraz kobiety śmiertelnej. Asklepios miał jakoby wyleczyć tylu chorych w swojej praktyce medycznej, iż Pluton poskarżył się Zeusowi, że nikt już nie przychodzi do Hadesu. Król bogów zatem usłudnie poraził Asklepiosa piorunem.

Symbolem Asklepiosa była laska z oplecionym wokół niej wężem. Laska symbolizowała pomoc pacjentowi: wąż — czujność. Symbol ten używany jest w armiach wielu krajów jako znak służby zdrowia. Służba zdrowia armii i marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych używa jako insygniów znaku, który może uchodzić za laskę Asklepiosa; składa się on z dwu węży i pary skrzydeł. W rzeczywistości jednak jest to kaduceusz Hermesa. Ponieważ zaś Hermes był bogiem złodziei, znak ten wydaje się niestosowny.

Większość wyroczni leczących traktowana była jak uzdrowiska, do których kapłani chytrze nie dopuszczali gruźlików i innych nieuleczalnie chorych. Pacjentów zabierano na przechadzki do pobliskich świątyń, kąpano, masowano i zmuszano do regularnych kąpiei słonecznych. Śpiewali oni również hymny i wstrzymywali się od picia wina, a to niewątpliwie pomagało mniej wstrzemięźliwym spośród nich. W porównaniu z praktyką medyczną następnych 1500 lat, te uzdrowiska świątynne dostarczały chorym kuracji rozsądnej i światłej.

Grecy również usiłowali ze snów odgadywać przyszłość. Wróżenie poprzez interpretację snów, zwane *oneiromancją*, jest formą magii uprawianej na skalę światową. Ludy prymitywne przywiązują do snów wielką wagę. Wiemy, że jedno z plemion tubylców australijskich opuściło pewnego razu domostwo, bowiem jednemu z nich przyśniła się sowa, a rada

starszych zinterpretowała ten sen jako ostrzeżenie przed napaścią.

Opowiadania o snach są bardzo częste w literaturze starożytnej. Józef w *Księdze Rodzaju* tłumaczył sny faraonowi, któremu przyśniło się, że z Nilu wyszło siedem krów tłustych i pięknych, które zaczęły się paść na łące, a potem wyszło siedem krów chudych i pożarło siedem krów tłustych. Później faraon znowu zasnął i znów miał sen. Oto zobaczył siedem kłosów wyrastających z jednej łodygi, pełnych i pięknych, lecz zaraz wyrosło siedem kłosów zeschniętych i pustych. Żaden z wróżbitów i żaden z mędrców Egiptu



Ryc. 8. Wróżby w starożytnej Grecji: Legendarny król Egeusz słucha prorocstwa Pytii, kapłanki Apollina w Delfach.

nie mógł wyłożyć tych snów faraonowi. Wówczas przełożony podczaszych przypomniał sobie młodego Hebrajczyka, Józefa, który przebywał z nim w więzieniu, gdy był wtrącony do lochu za wykroczenie przeciw panu i który wytłumaczył mu jego sen.

Przyprowadzono więc Józefa z więzienia, aby wyjaśnił faraonowe sny. Józef rzekł: „Sen twój, o faraonie, jest jeden. To, co Bóg zamierza uczynić, zapowiedział tobie, faraonie”. I przepowiedział, że w Egipcie nastąpi siedem lat urodzajnych, a potem siedem lat głodu. Ostrzegł faraona, aby gromadził żywność w latach obfitości, aby lud jego nie zginął w latach głodu. Faraon uznał, że Józef był mądry i ma Ducha Bożego, uczynił go więc rządcą całego Egiptu i swoim namiestnikiem. Tak oto Egipt uchronił się od głodu w latach chudych.

Oczywiście, Józef, jak większość postaci *Starego Testamentu* przed Saulem, był na wpół legendarnym bohaterem ludowym, którego biografię spisała dużo późniejsza generacja. Opowieść o prorocznych snach faraona została więc napisana nie przed, a w długi czas po latach głodu w Egipcie.

Sny prorocze, które okazują się fałszywe, bywają z zasady szybko zapominane. Zaskakującym wyjątkiem jest opowieść greckiego historyka, Herodota, z V wieku p.n.e. Kiedy król perski, Kserkses, planował swoją niefortunną wyprawę na Grecję, jego wuj, Artaban, usiłował odwieść go od tego zamierzenia. Kserkses wahał się, lecz we śnie ujrzał męża o boskiej postaci, który nakłaniał go do wyprawy. Kserkses wciąż się wzdrygał. Następnej nocy mąż pojawił się znowu i zagroził królowi natychmiastowym upadkiem, jeśli nie powiedzie wojsk do szturmu. Przerażony Kserkses kazał wujowi przespać się w królewskim łożu. Wuj miał podobny sen. I tak fatalna inwazja ruszyła.

Herodot nie próbuje wytłumaczyć, czemu natarcie Persów na Grecję spotkało się z klęską mimo nadnaturalnej ingerencji. Może pragnął, aby czytelnik doszedł do wniosku, że ów mąż boskiej postaci był po stronie Greków i chciał, aby Persja ugięła karku przed wojskami Attyki.

Jeżeli sny nie są godnymi zaufania przewodnikami w krainie przyszłości, to może dzieje się tak z winy błędnego ich interpretowania. Oneiromanci, czyli wykładacze snów, obmyśliли kilka różnych sposobów odgadywania sensu snów swoich klientów.

Na przykład, sny mogą być interpretowane dosłownie i w sposób metaforyczny. Indianie Nawaho posługują się pierwszą metodą; Nagasowie z Burmy — drugą. Interpretacja dosłowna oznacza, że wiadomość podana w śnie proroczym jest przyjmowana dokładnie tak, jak ją przedstawia śniący. Interpretacja metaforyczna to taka, w której przypisuje się głębsze znaczenie faktom przedstawionym przez śniącego. Interpretacje metaforyczne bywają częściej stosowane w magii cywilizowanej, bowiem interpretator może pozwolić sobie na większą swobodę w dopasowywaniu snu do pytań dręczących klienta. Kiedy, na przykład, Aleksander Wielki oblegał Tyr, przyśnił mu się satyr. Jego oneiromanta, Aristandros, posługując się metodą metaforyczną, zinterpretował słowo *satyros* jako *sa Tyros* = „twój będzie Tyr”*. Zachęcił w ten sposób Aleksandra, by doprowadził oblężenie do zwycięstwa.

Sny można również interpretować w sposób pozytywny lub negatywny. Interpretacja pozytywna polega na akceptacji treści snu; interpretacja negatywna

* Plutarch *Żywoty sławnych mężów: Aleksander*, XXIV, 5. Przekład M. Brożka, Ossolineum, Wrocław 1955.

zakłada, że „sny ukazują przeciwieństwa”. Ten drugi system jest stosowany przez Zulusów i Maorysów. Niewątpliwie, spostrzegawczy ludzie prymitywni zwrócili uwagę, że gdy im się śni, iż z bogacili się, często robią się jeszcze ubożsi. Zamiast w ogóle zarzuścić interpretowanie snów, jakiś prymitywny czarodziej postanowił wprowadzić zasadę przeciwności. Odpowiada ona lepiej faktom niż interpretacja pozytywna, ponieważ większość rzeczy, które nam się śnią, nigdy się nie zdarza. Przyczyna jest prosta: wiele naszych snów to senne spełnienie pragnień; w snach spełniają się rzeczy, których pragniemy, ale nie możemy ich spełnić w rzeczywistości.

Niewielu miłośników snów proroczych zastanawia się, jak trudno przypomnieć sobie i zapamiętać sen tak dokładnie, aby przedstawić go w całości i bez upiększeń interpretatorowi. Jeżeli nie opisać snu zaraz po przebudzeniu, zmienia się on wkrótce nie do poznania. Przetwarza się wskutek zanikania niektórych elementów lub dzięki „opracowaniu wtórnemu”. Jest to proces, w którym nieświadomie usiłujemy uczynić sen bardziej logicznym, nadać mu większy sens albo uczynić bardziej interesującym przez wypełnienie luk wymyślonymi szczegółami.

Dawni oneiromanci nie dopuszczali, aby stopień dokładności opowiedzenia snu mógł wpłynąć na ich interpretację, skoro pieniądze klienta znalazły się w ich ręku. Tak pewni byli swych sił — albo przynajmniej siły wiary u klientów — że napisali senniki dla ustalenia praw, na których opierali swoje wieszczby. Jednym z pierwszych senników, który dochował się do naszych czasów, jest *Oneirokritika* Artemidora z Efezu. Artemidor działał za czasów cesarza Hadriana. W jego systemie każdy sen może mieć sto znaczeń.

Inne senniki, publikowane i w naszych czasach, nie wykazują żadnej poprawy w stosunku do *Oneirokritiki*. Mieszają bez zastanowienia interpretacje pozytywne i negatywne, dosłowne i symboliczne. Zasady ich są arbitralne; systemy beznadziejnie sprzeczne. Na przykład, w ubiegłym stuleciu młoda Angielka, której przyśniły się róże, oczekiwała uśmiechu losu; Normandka — rozczarowania. Anglik, któremu przyśnił się dąb, liczył na długie i dostatnie życie; Szwajcar spodziewał się klęski.

Sennik jest podręcznikiem oneiromancji dla samouków. Jeżeli jeden zestaw zasad okazuje się niesłuszny, wypróbuj inny. Z czasem, drogą prób i błędów — głównie błędów — człowiek dochodzi do takiej interpretacji, która odpowiada jego pragnieniom i już uprzednio naszkicowanym zamierzeniom.

Oczywiście, wiele snów proroczych sprawdziło się. Takie sny popierają teorię, że we śnie dusza ludzka ulatuje z ciała, buja swobodnie w czasie i przestrzeni i komunikuje się z duchami przebywającymi w świecie niewidzialnym. W I wieku n.e. pewien historyk żydowski, Józef Flawiusz, wyraził tę myśl pisząc:

„Pozwolę sobie przedstawić stan snu jako najoczywistsze wykazanie prawdziwości moich słów, kiedy to dusze, wolne od ciężaru ciała, od niczego niezależne, zażywają najśladszego odpoczynku i rozmawiają z Bogiem; wędrują wówczas, gdzie chcą i przewidują wiele wydarzeń przyszłych” *.

Ludy prymitywne często tłumaczą sny jako przygody wędrującej duszy. Być może, dawno temu jakiemuś dzikusowi przyśnił się przebywający daleko znajomy, więc po przebudzeniu wywnioskował, że jakaś odłączalna część owego znajomego przebyła dzielące ich kilometry, aby go odwiedzić. Następnie jakiś późniejszy filozof paleolityczny śnił, że rozmawia z kimś,

* Józef Flawiusz *Dzieje wojny żydowskiej*, VII, VIII, 7.

o kim wiedział, że nie żyje. Jakże łatwo było stąd wywnioskować, że owa odłączalna część żyje po śmierci ciała.

Ta odłączalna część — duch, czyli dusza — była identyfikowana z krwią, z oddechem, cieniem, lustrzanym odbiciem. Niektóre ludy wierzyły, że człowiek może mieć więcej niż jedną duszę. Indianie z Dakoty i niektórzy Egipcjanie sądzili, że każdy ma ich cztery. Zdolny czarodziej powinien potrafić wysłać jedną lub więcej tam, gdzie zapragnie. W legendzie helleńskiej Hermetimos z Klazomenai zwykł wysłać swoją duszę w podróże badawcze, aliści pewnego razu wrogowie przekonali jego żonę, że jego bezwładne przy takiej okazji ciało jest martwe i winno być spalone. Kiedy nieszczęsna dusza powróciła, znalazła zamiast swego mieszkania garść popiołu.

Jak przedtem Grecy, większość wykształconych Rzymian i średniowiecznych chrześcijan wierzyła, że choć na ogół sny są wywoływane lękiem, zmartwieciem lub niepokojem śpiącego, to niektóre z nich pochodzą od bogów albo posiadają znaczenie transcendentalne. Niestety, nikomu nie udało się wynaleźć sposobu rozróżniania ich. Papież Grzegorz Wielki uważał, że: „Ludzie święci, dzięki pewnemu wewnętrznemu smakowi duchowemu, potrafią w sposób istotny odróżnić prawdziwe objawienia od czczych iluzji” *, jednak inni ludzie mogą się stać ofiarami własnego złudzenia.

Nieliczni sceptycy stwierdzali, że sny są wynikiem całkiem materialnych przyczyn lub też wspomnieniami wrażeń zebranych podczas budzenia się. Zwracali również uwagę, że ludzie zapamiętują dłużej tylko te sny,

* Grzegorz Wielki *Dialogi*, IV, XLVIII. Cyt. wg: Gregory I Pope *The Dialogues of St. Gregory the Great*, Warner, Londyn 1911.

które wydają się zrodzone z późniejszych wypadków. Sir Francis Bacon, podobnie jak Arystoteles blisko 2000 lat przed nim, doszedł do następującego wniosku:

„I stąd w większości przesądów, jak w astrologii, snach, znakach wróżebnych, wyroczniach itd., ludzie lubujący się w tych próżnościach zawsze dostrzegają to, co się sprawdza, ale lekceważą i pomijają to, co się nie sprawdza, a co jest w istocie dużo częstsze” *.

Mimo całej swej mądrości, Sir Francis niewiele przerósł swą epokę; pragnął reformy astrologii, a nie całkowitego jej potępienia. Jednakże zasługuje na szacunek swoją ogólną bystrością percepcji, bowiem rygorystyczne rozgraniczenie pomiędzy magią a nauką nie było możliwe w czasach, w których żył. Przed XVII stuleciem zasób informacji, na których można by oprzeć to rozgraniczenie, był nieosiągalny. Nieliczne istniejące traktaty naukowe tak roily się od błędów, że chcąc oddzielić prawdę od fałszu trzeba było wnikliwości, jakiej nie można wymagać od ludzi śmiertelnych.

W minionym stuleciu sen jako narzędzie proroctwa został wśród ludzi cywilizowanych w dużej mierze zdyskredytowany. Tym niemniej, odkąd Freud stworzył podwaliny psychoanalizy, sny stały się cennym narzędziem do badań procesów psychicznych. Sny pomagają zanalizować głębsze pokłady udręczonego umysłu; mogą dopomóc w zgłębieniu stanu naszych reakcji na otoczenie i czasem odzwierciedlają dawne rany duszy, które jątrzą się w podświadomości.

Nawet jeszcze dziś niewiele wiemy o procesie snu. Psychologia eksperymentalna pilnie zajmuje się obmy-

* A. J. J. Ratcliff *The Nature of Dreams*. Nelson. Londyn 1939, s. 59.

śnianiem sposobów uchwycenia marzeń sennych i badania ich stosunku do osobowości śpiącego. Pragniemy wiedzieć, kiedy i jak długo mamy skłonności do marzeń sennych, czemu niektóre sny często się powtarzają, dlaczego jedne z nich zdają się barwne, dlaczego niektóre sprawiają, że budzimy się z bijącym sercem, i czy sny ludzi cywilizowanych bardzo się różnią od snów ludzi prymitywnych.

Ale te badania nowoczesnych psychologów różnią się ogromnie od poczynąń oneiromantów. Owi tłumacze snów zakładali, lub pozwalali zakładać swym klientom, że ich dusze mają w czasie snu kontakt z istotami z innego świata, że znaczenie snu można rozszyfrować, a przez to przepowiedzieć przyszłość. Psycholog zaś wykorzystuje sny do zgłębienia przeszłości i jedynie po to, aby pomóc pacjentowi w zrozumieniu samego siebie.

Jednak czasami sny mogą mieć wartość praktyczną dla śniącego bez pomocy oneiromanty lub psychologa. Podświadomość „zaintrygowana” jakimś problemem może rozpracowywać go podczas spoczynku człowieka i przedstawić rozwiązanie w formie snu. Wiemy o tym wszyscy i często mówimy zetknąwszy się z jakąś nową myślą: „Zostawmy to do jutra” lub „Ranek mądrzejszy od wieczora”.

Hermann V. Hilprecht, znany asyriolog amerykański pochodzenia niemieckiego, który zmarł w 1925 roku, zanotował efektowny przykład takiego procesu. Nałamawszy sobie głowy nad inskrypcją na dwóch kawałkach agatu ze świątyni Bel w Nippur, położył się spać i we śnie ukazał mu się kapłan babiloński, który zaprowadził go do świątynnego skarbcza, wyjaśnił sens inskrypcji i pokazał, jak złożyć kawałki agatu. Po przebudzeniu Hilprecht stwierdził, że informacja była prawdziwa.

W roku 1865 chemik Kekulé rozwiązał w bardzo podobny sposób problem pierścienia benzenowego. Przysnił mu się magiczny symbol Ouroborosa, węża kąsającego swój własny ogon. Ów sen nasunął mu po przebudzeniu myśl o atomach ułożonych w koło. Była to ściśle taka odpowiedź, jakiej szukał. Oczywiście, ludziom wolącym wyjaśnienia nadnaturalne od ziemskich takie przypadki dostarczają materiału do teorii o wizytach duchów, na przykład zmarłego przed wiekami kapłana babilońskiego.

W pasji odślaniania mglistej zasłony okrywającej przyszłość ludzie nie ograniczali się do gwiazd, wyroczni i snów. Omeny i znaki cudowne zawsze miały swoisty urok. Być może, że uśmiechamy się lekko, gdy mówimy: „Och, czarny kot przeszedł mi drogę!”. Albo jeżeli szpilka upadnie ostrzem w stronę drzwi: „Przyjdą goście”. Wszyscy znamy setki takich powiedzeń i wielu z nas prawie w nie wierzy.

Omeny to zdarzenia zapowiadające jakieś doniosłe wypadki. Różnią się one od czarów i uroków tym, że zapowiadają, ale nie powodują tych zdarzeń. Omeny bardzo niezwykle zwane są *znakami cudownymi*. Zasady interpretowania omenów wynikają ze zbiegu okoliczności albo nastroju ludzi, którzy te okoliczności tworzą. Wróżbici interpretują omeny jako przeczucia Losu lub dopatrują się jakichś magicznych związków między wydarzeniem głównym a mniejszymi wypadkami zachodzącymi mniej więcej w tym samym czasie, albo jako ostrzeżenia pochodzące od jakiegoś bóstwa lub ducha. Istnieją omeny naturalne, jak grzmoty czy głosy ptaków, oraz omeny sztuczne, uzyskiwane na przykład poprzez rzut kości do gry albo z wyglądu wnętrza zwierzęcia ofiarnego.

We wczesnych cywilizacjach zainteresowanie ome-

nami osiągnęło ogromne rozmiary. Kapłani babilońscy, na przykład, zebrali mnóstwo takich reguł, jak: „Jeśli kruk nawiedzi czyjś dom, spełnią się pragnienia właścicieli domu”. Albo: „Byk przykucnięty u bramy miasta to znak, że bramę zdobędzie nieprzyjaciel”*. Ponieważ byki nieczęsto przykucają u bram miasta, prawdziwość tego znaku-omena bardzo rzadko można było sprawdzić.

Zarówno Grecy, jak Rzymianie przywiązywali ogromną wagę do *znaków wróżebnych*. Planowali swoje wojny i sprawy prywatne tak, aby zbiegły się w czasie ze znakami pomyślnymi. Na przykład, Nikiasz, wódz ateńskiej wyprawy przeciw Syrakuzom w 415 roku p.n.e. stracił całą armię oraz własne życie, bowiem zaćmienie Księżyca nakazało mu opóźnić odwrót.

Rzymscy wróżbici państwowi, *haruspikowie*, zajmowali się tylko i wyłącznie interpretowaniem znaków. Tworzyli oni jeden z najpotężniejszych w historii zespołów oficjalnych czarodziejów. Wierzyli, że bogowie objawiają swoją wolę grzmotem, błyskawicą, zachowaniem się ptaków i dzikich zwierząt, oraz przez układ wnętrzości zwierząt ofiarnych. W czasach republiki do oficjalnych obowiązków haruspików należało zawieszanie publicznych czynności w razie zaistnienia niesprzyjających znaków. Nieoficjalnie zawieszali czynności publiczne, ilekroć zgromadzenie narodowe chciało podjąć kroki, które nie przypadły do serca arystokratycznemu senatowi. Nie udało im się jednak wyprowadzić w pole wszystkich ludzi taką taktyką. Katon Starszy Cenzor wybuchnął kiedyś: „Ciekawym, czy wróżbiarza nie bierze śmiech na widok innego wróżbiarza!”**.

* M. Jastrow jr. *The Religion of Babylonia and Assyria*, jw., s. 401.

** Cyceron *O wróżbach*, II, XXIV.



Ryc. 9. Augurowie rzymscy, czyli haruspikowie; powyższy obraz ilustruje zdanie Katona: „Ciekawym czy wróżbiarza nie bierze śmiech na widok innego wróżbiarza!”. Ptaki (po lewej stronie obrazu) służyły im do wróżb.

Rzymianie skrzętnie gromadzili różne znaki wróżebne. W czasach ogólnego podniecenia ludzie nerwowi lub żądni zwrócenia na siebie uwagi mają skłonności do przedstawiania nieistniejących zdarzeń. Jeszcze inni wyolbrzymiają każdą pogłoskę. Rzymianie zaś dawali wyraz tej ludzkiej słabości w większym stopniu niż ktokolwiek inny.

Historyk rzymski, Tytus Liwiusz, spisał setki znaków, aczkolwiek nie wszystkie uważał za prawdziwe. Pisał, że w czasie najazdu Hannibala na Rzym:

„Tej zimy w Rzymie lub koło miasta zdarzyło się wiele dziwów; jak to bywa, kiedy umysły ludzkie raz skłonią się ku wierzeniu, donoszono o wielu dziwach i łatwo w nie wierzono. Na przykład, na rynku jarzynowym wolnourodzone sześciomiesięczne dziecko zakrzyknęło «Io triumphe!»; a na targu był wół, przez nikogo nie nagoniony, wszedł na drugie piętro domu i stamtąd rzucił się w dół przestraszywszy się krzyku mieszkańców; na niebie zabłyszczało coś w rodzaju floty; zaś w świątynię Nadziei, znajdującą się przy rynku jarzynowym, uderzył piorun; w Lanawium poruszyła się włócznia i kruk wfrunął do świątyni Junony, i usadowił się na samym jej wezgiłowiu; a w wielu miejscach na terytorium armitęńskim widziano z daleka odziane w białe szaty, podobne do ludzi postacie, które do nikogo się nie zbliżały” *.

Takie wydarzenia, jak wół wspinający się na schody i kruk latający w świątyni, niekoniecznie muszą mieć nadnaturalne znaczenie. Kiedy jednak ludzie wierzą w znaki wróżebne, to nawet najzwyczajniejsze wypadki budzą w nich lęk, jeśli je opowiedzieć z zapartym tchem. Zatem „postacie odziane w białe szaty”, widziane z daleka, mogły być po prostu obywatelami rzymskimi ubranymi w świeżo uprane togi.

Dla pogorszenia sprawy, opowieści wróżebne, podobnie jak inne pogłoski, zdumiewająco rosną przy powtarzaniu. Te proste znaki zanotowane przez Liwiu-

* Tytus Liwiusz *Dzieje rzymskie*, XXI, 62, 1 - 5.

sza pojawiają się ponownie na liście, którą sporządził on kilka lat później. W tej drugiej wersji upiękzone opowieści wykazują o wiele bardziej budzącą lęk aurę magii — „Io triumphe!” wykrzykuje dziecko już w łonie matki; wół przemawia ludzkim głosem: kruki w świątyni Junony budują gniazdo; „ludzie w białych szatach” nie tylko ukazują się z daleka, lecz także stoją wokół ołtarza w obłokach. Ten proces dopracowywania może postępować w nieskończoność, ograniczony tylko stopniem wyobraźni ludzi frymarzących znakami wróżebnymi.

Rzymianie wcale nie byli ostatnimi z ludzi, którzy relacjonowali urojone wydarzenia w chwilach stresu emocjonalnego. W III wieku n.e. cesarz rzymski Konstantyn ujrzał przed bitwą u Mostu Mulwijskiego krzyż ognisty. Od tego czasu po dzień dzisiejszy powstawały niezliczone opowieści o pojawianiu się aniołów, świętych, madonn, duchów, bohaterów legendarnych, bóstw i różnych zjaw, które miały związek z bitwami, pogrzebami i poważnymi niebezpieczeństwami.

W czasie drugiej wojny światowej pewien obserwator sił lotniczych w New Jersey spostrzegłszy amerykański sterowiec zameldował, że zauważył niemiecką łódź podwodną unoszącą się w powietrzu. Czytelnik niewątpliwie potrafi sam przytoczyć na tym miejscu niejedną opowieść o latających talerzach i temu podobnych rzeczach, i może nawet zastanawia się, że pewnie „coś w tym jest”.

Istotnie, coś w tym jest — wizja tego rodzaju jest zjawiskiem masowej histerii, spowodowanej podnieceniem udzielającym się jednemu człowiekowi od drugiego. Taka masowa histeria jest czymś, co trzeba znać i przed czym należy się strzec na wypadek trzęsienia

ziemi, pożaru albo nieszczęśliwego wypadku na morzu. Bowiem w chwilach niebezpiecznych musimy mieć jasny umysł, nie przyćmiony żadną mgłą tajemniczości, jeżeli chcemy ocalić siebie i innych.

W klasycznym okresie starożytnym, jeśli człowiek zauważył jakiś omen, mógł go albo przyjąć, albo odrzucić, zastosowawszy drobną formułę słowną. Jeżeli omen zapowiadał zło, można było przy pewnej bystrości umysłu nawet odwrócić jego znaczenie. Kiedy Juliusz Cezar, prowadząc wojnę przeciwko Pompejuszowi, wylądował na wybrzeżu Afryki, potknął się i upadł twarzą w piach. Był to najgorszy ze znaków wróżebnych, żołnierzom dech zapało z przerażenia. Jednakże chytry Cezar zerwał się na nogi z okrzykiem: „Afryko, przyciskam cię do serca!” Żołnierze krzyknęli na wiwat i pomaszrowali na zwycięską wojnę*.

Jednym z najznakomitszych miłośników znaków wróżebnych był Synesios, grecko-libijski posiadacz ziemski i pisarz, który doszedł do szczytu swej kariery około 400 roku n.e. Synesios wierzył w skrajną formę sympatyizmu — doktryny magicznej, iż wszystkie części Wszechświata są wzajemnie powiązane nieznanymi siłami. Doprowadził on swą doktrynę do logicznego wniosku twierdząc, że nie tylko ludzie mogą przepowiadać przyszłość na podstawie obserwacji ruchów ptaków, ale że ptaki również mogłyby przepowiadać własną przyszłość na podstawie ruchów ludzi, gdyby miały dostateczny zasób inteligencji.

Jak wiele innych doktryn magicznych, sympatyzm zawiera ziarno prawdy zagrzebane w korcu błędów. Z całą pewnością istnieje wiele mało uchwytnych powiązań między różnymi rzeczami. Na przykład, wszystkie rzeczy na Ziemi podlegają naturalnej sile

* Swetoniusz *Żywoty cesarów: Juliusz Cezar*, 59.

ciężkości. Kiedy ktoś podnosi rękę do góry, to siła ciężkości zmienia się w niedostrzegalnym stopniu na całym świecie.

Ponadto, związki przyczynowe mogą być całkiem realne nie będąc wcale oczywistymi. Na przykład, nie ma żadnego oczywistego związku między wyprawami krzyżowymi a czarną ospą, która wyniszczyła Europę w XIV wieku n.e. Jednakże powracające statki krzyżowców przywoziły do Europy czarnego szczura, szczur przyniósł na sobie orientálną pchlę, a pchła zarazek. Nauka usiłuje wykryć podobne związki drogą cierpliwych obserwacji i eksperymentów. Magia, ze swojej strony, zakłada, że dzięki nadprzyrodzonej inspiracji związki te można przeczuć z korzyścią dla czarodzieja i jego klienta.

Od najwcześniejszych czasów ludy prymitywne i cywilizowane zdołały wymyśleć niewiarygodną liczbę metod wróżenia przyszłości. Zachowanie zwierząt, wygląd wnętrzości, wzory w soli, mące lub listkach herbaty, przypadkowe spotkania, kolejność liczb, linie dłoni ludzkiej, układ talii kart, kryształowe kule — wszystkie te i wiele innych środków magicznych stosowano, aby dać ludziom znajomość rzeczy przyszłych, z równie dobrą — albo równie złą — logiką.

Dawni wieszczowie i nowocześni wróżbici są pod dwoma względami bardzo do siebie podobni. I jedni i drudzy pozwalają korzystać z dobrodziejstw swej sztuki tylko tym, którzy dobrze płacą; i jedni i drudzy traktują swą magię optymistycznie. Na przykład, czarownicy plemienia Egba w Afryce przepowiadają przyszłość bliźniąt rzucając na ziemię ćwiartki orzeszka kola. Jeżeli wszystkie kawałki upadną zewnętrzną stroną na ziemię, albo wszystkie wewnętrzną stroną, albo dwa wewnętrzną a dwa zewnętrzną,

bliźnięta mają zapewnione długie życie. Inne kombinacje wróżą nieszczęście. Jednakże — i w tym cała rzecz — wróżbiarz może rzucać orzeszki ile razy zechce. Bardziej doświadczeni czarodzieje, zdając sobie sprawę z absurdalności tego nieskończonego powtarzania wróżby, często narzucają pewne ograniczenia możliwości powtarzania aktu magicznego, na przykład do trzech razy.

Ludzie, którzy są klientami wróżbiarzy, mówią, że chcą poznać przyszłość. W rzeczywistości jednak pragną nadziei i zachęty. Fakt ten wyjaśnia, dlaczego wróżby optymistyczne są nieporównanie liczniejsze. Niewielu ludzi miałoby odwagę pójść do jasnowidza, który by naprawdę przepowiadał im wszystkie nieuniknione rozczarowania i tragedie życia.

Tym, którzy mimo wszystko uparcie wierzą, że musi istnieć jakiś sposób odgadywania przyszłości i modyfikowania jej dla ich osobistego dobra, możemy powiedzieć, co następuje: Gdyby człowiek mógł poznać i zmienić swoją przyszłość, wówczas wszelki lęk, choroby i wszelka nędza znikłyby z powierzchni Ziemi. Nie byłoby głupców, wariatów i zbrodniarzy. Wróżby zapewniłyby wszystkim szczęście, bezpieczeństwo, bogactwo i długi żywot. Podatki mogłyby być poważnie zmniejszone. Wiedzielibyśmy dokładnie, jak uniknąć przyszłych wojen.

Oczywiście, człowiek nie posiada tego środka układania swej przyszłości. Nie może nawet zerknąć na niezapisaną kartę historii. Może to i lepiej. Szczęśliwy byłby człowiek, który mógłby się dowiedzieć, że czeka go życie usłane różami; ale w jakim żyłby lęku, gdyby wiedział, że czeka go śmierć w męce, że pozostawi swoją rodzinę bez środków do życia! Lepiej, aby każdy człowiek mógł sam wykuwać własny nieznanzy los.

Takimi słowy z groty Kymejska Sybilla
Grzmi i tajnie straszliwe przyszłości rozchyła,
Niejasną prawdę głosząc; tak Febus jej wodze
Rozpuszcza i bodźcami katuje pierś srodze*.

Wergiliusz

W ciągu całych swych dziejów ludzie pozostawali w niewoli proroków. Podobnie jak inne aspekty tego, co tajemne, myśl o ujrzeniu przyszłych zdarzeń przed ich nastąpieniem jest tak kusząca, że oczarowani nią mniej odporni ludzie tracą cały posiadany zmysł krytyczny. Aby zrozumieć pozycję proroka — móc rozstrzygnąć, czy jest czynnikiem przydatnym, czy też ciężarem dla bliźnich — musimy poznać nieco historię i metody prorokowania, wyostrzając przez to własny zmysł krytyczny.

Słowo „prorok” (dawniej „profeta”) nabrało z czasem dwóch odmiennych znaczeń. Pochodzi ono od greckiego *prophetés*, „ten, który mówi z natchnienia bożego”. Tłumacze Biblii posługiwali się nim dla oddania sensu hebrajskiego słowa *nábi*. Nabi w czasach *Starego Testamentu* był reformatorem religijnym albo kaznodzieją nie mającym związku z wyznawaną w kraju religią urzędową.

* Wergiliusz *Eneida*, ks. VI, 11. 98 - 101. Przekład T. Karyłowskiego, Ossolineum, Wrocław 1950.

Ponieważ owi kaznodzieje świeccy często ostrzegali w swych kazaniach dzieci Izraela, że czeka ich kara za grzechy, lub obiecywali nagrodzenie cnót, słowo „prorok” zaczęto również używać na określenie „kogoś, kto wróży lub przepowiada”. Z biegiem czasu to drugorzędne znaczenie objęło wszystkich, którzy wróżą, albo udają, że wróżą przyszłość, czy to z natchnienia jakiegoś boga, czy na podstawie gwiazd, czy też tłumacząc sny lub uprzedzając losy świata na sposób stosowany w opowieściach fantastyczno-naukowych.

Sybille, tajemnicza grupa prorokiń, kręcą się u progu historii Grecji i Rzymu, a różni autorzy klasyczni podają różną ich liczbę. Sybilla kymejska, najslynniejsza ze wszystkich, mieszkała jakoby w grocie koło Neapolu. Grota ta istnieje do dziś; jest to właściwie kompleks jaskiń i tuneli w pobliżu miejsca dawnego Kyme, małego miasteczka położonego około 10 km na zachód od Neapolu.

Sybilla spisywała swe proroctwa na liściach, które rozwiewał wiatr mieszając strofy nie do odczytania. Za młodu była kochanką Apollina, który kazał jej wypowiedzieć jakieś życzenie. Poprosiła więc o tyle lat życia, ile ziaren piasku mieści się jej w dłoni, lecz nie poprosiła o wieczystą młodość, toteż z wiekami stała się strasznie zgrzybiała.

Według poety Wergiliusza, bohater trojański, Eneasza, przybywszy do Italii odwiedził Sybillę kymejską. Sybilla powiedziała mu, co uważała za stosowane o przyszłości państwa rzymskiego, którego miał zostać założycielem. Następnie przystąpiła do spisywania proroctw. Wiele lat później zaferowała dziewięć ksiąg tych proroctw Tarkwiniuszowi Pysznemu, królowi Rzymu, żądając za nie 300 sztuk złota. Tarkwiniusz wyśmiał ją, na co ona rzuciła trzy z ksiąg do ognia, a za pozostałe sześć zażądała tę samą sumę. Gdy król

powiedział, że oszalała, wrzuciła trzy następne księgi w ogień i zażądała tych samych trzystu monet za pozostałe trzy księgi. Wówczas Tarkwiniusz zapłacił.

Takie oto było legendarne pochodzenie *Ksiąg Sybillińskich* dotyczących historii rzymskiej. Bez względu na to, jakie jest prawdziwe źródło owych ksiąg, wiemy, że je przechowywano w grocie pod Kapitołem i w czasach niebezpieczeństw Kolegium Piętnastu Kapłanów zasięgało w nich porad. Oświadczenia owego kolegium spowodowały wysłanie grupy Rzymian do Frygli po meteoryt poświęcony bogini Kybele, a później zachęciły Rzymian do obalenia Filipa V, króla macedońskiego.

Dochowało się do naszych czasów wiele opowieści o zatracie owych ksiąg w pożogach, albo o śmiałych akcjach, które je ratowały od tragicznego zniszczenia, ale opowieści te wzajemnie sobie przeczą. Wiemy jednakże na pewno, że księgi — lub ich imitacje — nie były tak tajemne jak się na ogół przypuszcza, bowiem ich kopie były w posiadaniu prywatnych właścicieli. Ostatnią z nich spalił podobno Flawiusz Stylichon, wódz germańskich wojsk najemnych, który władał Zachodnim Imperium Rzymskim w początkach V wieku n.e. Jednak fragmenty *Ksiąg Sybillińskich* przechowały się do dziś jako metaforyczne porzekadła wyrokujące, które ludzie nadal interpretują i zastanawiają się nad nimi i innymi proroctwami, jakby rzeczywiście miały coś oznaczać.

Proroctwo, podobnie jak inne formy wróżby, opiera się na jakimś czynniku nadnaturalnym. Różni się ono od przewidywań opartych na znanych faktach, tak jak się różni magia od nauki. Na przykład, towarzystwa ubezpieczeniowe badają liczbę zgonów w jakiejś grupie wieku przez pewien czas, a potem przewidują

dość dokładnie liczbę ludzi w tej samej grupie wieku, którzy umrą w następnym roku. Podobnie człowiek o zacięciu naukowym, świadom prądów panujących w technice, jest czasem w stanie przewidzieć przyszłe wynalazki tak dokładnie, że przez nieświadomych rzeczy ludzi może być uznany za proroka.

Przewidywania odnośnie do przyszłego rozwoju technologicznego powstały dopiero ze wzrostem cywilizacji zachodniej, bo we wcześniejszych społeczeństwach większość intelektualistów niedość interesowała się sprawami techniki. Jednakże już w XIII wieku Roger Bacon pisał:

„Mogą być zbudowane okręty poruszające się bez wiosłarzy... prowadzone przez jednego człowieka... Podobnie można skonstruować wozy jeżdżące bez użycia zwierząt pociągowych, napędzane niewiarygodną energią... Mogą być zbudowane maszyny latające... Mogą też być skonstruowane przyrządy służące do chodzenia po wodzie lub do nurkowania”^{*}.

Na podstawie swoich prac badawczych z dziedziny optyki Roger Bacon również wywnioskował, że istnieje możliwość zbudowania mikroskopów oraz teleskopów. Niewiele ponad 300 lat później jego imiennik, Francis Bacon, napisał fantazję utopijną *The New Atlantis* (Nowa Atlantyda), w której mieszkańcy tego urojonego lądu posługiwali się samolotami, łodziami podwodnymi i posiadali urządzenia klimatyzacyjne. Od tego czasu powstało wiele takich przewidywań odnośnie nowego wspaniałego świata. W roku 1872 Andrew Jackson Davis, jasnowidz z Poughkeepsie, przewidział

* R. Bacon *Epistola fratris Rogeri Baconis de secretis artis et naturae et de nulliate magiae*; cyt. wg przekładu Bolesława Orłowskiego w pracy: L. Sprangue de Camp *Wielcy i mali twórcy cywilizacji*, Warszawa 1968, s. 407.

bardzo dokładnie samochód, samolot i w ogóle silnik spalinowy. Pisał on:

„... wypatrujcie owych dni, kiedy po drogach będą się poruszały powozy oraz pojazdy podróżne — bez koni, bez pary, bez jakiegokolwiek widzialnej siły poruszającej — z ogromną szybkością i dużo bezpieczniej niż teraz. Powozy będą poruszane dziwną, a piękną i prostą mieszanką gazów w stanie płynnym i ciekłym — tak łatwo kondensowanych, w tak prosty sposób zapalanych i tak wykorzystywanych przez maszynę nieco przypominającą nasze, że może być ona całkowicie ukryta między przednimi kołami i całkowicie posłuszna... Siła ta będzie... nie tylko poruszała lokomotywę na szynach i wozy na drogach, ale też i powietrzne pojazdy, które będą latały po niebie od kraju do kraju; a piękny ich wpływ stworzy powszechne braterstwo...”*.

Przepowiednia Davisa, choć nieco zbyt optymistyczna co do bezpieczeństwa jazdy samochodem i powszechnego braterstwa, dowodzi albo wyjątkowej intuicji, albo niezwykłego szczęścia; i to bez pomocy czynnika nadnaturalnego.

Przewidywania techniczne bywają czasem imponujące, gdy przewidujący mówi o przyszłych wynalazkach w sposób ogólny, tak jak angielski uczyony, Robert Hooke, który w roku 1664 przepowiedział sztuczny jedwab. Jednakże, nawet gdy wybitni uczeni starają się na podstawie ograniczonej wiedzy swoich czasów opisać drobne szczegóły przyszłych wynalazków, mijają się z prawdą. Choć ludzie myślący wierzyli przez 2000 lat, że człowiek kiedyś będzie latał, wyobrażali sobie skrzydła dopasowane do ludzkich ramion, jak w greckiej legendzie o Dedalu, albo wytresowane ptaki ciągnące powietrzne rydwany, jak u Godwina

* A. J. Davis *The Penetration*, Austen, Rochester, N. Jork 1872 - 1911, s. 357.

w *The Man in the Moone* (Człowiek na Księżycu, 1638). Gdy w 1905 roku Kipling napisał opowieść o transoceanicznej poczcie, *With the Night Mail* (Z nocną pocztą), podając wiele szczegółów technicznych, prawie wszystkie z nich okazały się błędne. Tym niemniej, ci, którzy łączą wiedzę naukową z wyobraźnią i wglądem w ludzkie pragnienia, mogą niekiedy poczynić imponująco ściśle przewidywania dotyczące techniki.

Nie interesują nas tu te oceny przyszłego rozwoju technologicznego, a przewidywania całkiem odmiennego typu. Czasami ludzie, którzy utrzymują, że potrafią poznać przyszłość za pomocą środków nadnaturalnych, mogą się stać panami życia i śmierci swoich bliźnich. Proroctwa ich mogą doprowadzić ludzi do szaleńczych czynów. Sto lat temu kilku mieszkańców stanu Nowy Jork, zasłyszawszy o mającym rychło nastąpić końcu świata, biegało po ulicach rozdając swój majątek.

Bardziej dramatycznym przykładem skutków takich proroctw była krucjata dziecięca w roku 1212. We Francji pojawił się pewien chłopiec, pastuszek imieniem Stefan, który obiecał przeprowadzić innych chłopców suchą nogą przez morze, by odbić Ziemię Świętą. Tysiące chłopców, w tym wielu ledwo ośmioletnich, poszło za nim do Marsylii. Mniej więcej w tym samym czasie Mikołaj, chłopiec z Kolonii, rzucając podobne obietnice, zgromadził 20 000 młodocianych krzyżowców niemieckich i poprowadził ich do Włoch. Armię Stefana uprowadzili handlarze niewolników i sprzedali do Egiptu; większość zaś towarzyszy Mikołaja zginęła z trudów podróży podczas przechodzenia Alp bez odpowiedniego ekwipunku i z braku żywności. Krucjata dziecięca pozostawiła światu legendę o szczurołapie z Hamelin, a nam uczucie zdu-

mienia, iż tyle tysięcy rodziców dało się omamić prorocstwem i pozwoliło dzieciom pójść na niedolę i śmierć.

Ponieważ złoty głos i srebrne pióro proroka posiada tak złowrogą moc, przyjrzyjmy się bliżej sztuce prorokowania, aby zobaczyć, z jakiego przedziwa tkane są prorocтва i jak ukończona tkanina wygląda.

Przede wszystkim większość proroków mówi zagadkami. W jednej z opowieści Okrągłego Stołu legendarny czarodziej Merlin oświadcza: „Odtąd będę przemawiał wobec ludu albo u dworu tylko niejasnymi słowami, nie będą też wiedzieli, co mam na myśli, póki nie ujrzą iż rzecz się stanie”*. Merlin dotrzymał słowa i większość proroków, prawdziwych czy zmyślonych, poszło za jego przykładem.

Prawda, że kilku mędrców próbowało przepowiedzieć przyszłość w prostych, ścisłych słowach, które mógł sprawdzić tylko czas. Czas jednak szorstko obchodzi się z reputacją drobiazgowego proroka, który ośmiela się podać datę przepowiadanego wydarzenia; nieomal zawsze udowadnia, że prorok się mylił. Zatem prorocy mają skłonność do unikania zasadzek prostego języka. Pilnie omijają miesiące i lata, i używają języka metaforycznego, który daje możliwość dużej różnorodności interpretacji.

Język metaforyczny jest „giętkim” świadectwem. Można go nagiąć, w którą się chce stronę; z tej właśnie przyczyny nie można do niego przywiązywać zbyt wielkiej wagi jako świadectwa realności prorocтва. Dowód „nieugięty” wymaga konkretnych nazw i dat, niezamaskowanych anagramami, grą słów lub metafo-

* P. Paris *Les romans de la Table ronde*, t. II, s. 56; cyt. wg: V. Pareto *The Mind and Society*, N. Jork 1935, t. III, s. 1026.

rami. Joseph Smith, założyciel mormonizmu, trafnie przepowiedział w swoim proroctwie w 1832 roku, że wojna domowa rozpocznie się w Południowej Karolinie; zepsuł jednak cały efekt dodając, że rozprze-strzeni się ona na cały świat i rządy federalne zostaną zupełnie zniesione. Zanim się ktoś da porwać wypowiedziami jakiegoś proroka, powinien najpierw zbadać, czy zapowiadają określone wydarzenie w określonym czasie. Nadto, powinien pamiętać sprawdzić, gdy ów czas nadejdzie, czy prorocтво się spełniło.

Po drugie, podstawowym warunkiem chyba jest, aby prorocтво, jeżeli ma w ogóle zasługiwać na uwagę człowieka rozsądnego, nastąpiło przed wydarzeniem, które zostało zapowiedziane. Tym niemniej, ludzie stale się zachwycają „prorocत्वami”, które powstały po „przepowiedzianym” wydarzeniu.

Na przykład, w *Iliadzie* wieszcz Merops ostrzega swoich synów, by nie szli na wojnę trojańską. lecz:

„Ojciec ich z najbiegłych pierwszy był wieszczbiarzy
Przeglądając w przyszłość, co się synom zdarzy,
Gdy ich kusiła wojna, chciwa krwi szafarka,
Powściągał, ale ojca głos przemogła Parka” *.

To robi wrażenie, póki człowiek nie przypomni sobie, że Homer pisał o tej tragicznej przepowiedni wiele stuleci po wydarzeniu, które ów wieszcz jakoby przepowiedział.

Nie jeden z nas słyszał zapewne jakąś anegdotę, w której znajomy opowiadającego przewidział jakiś wypadek, jak na przykład zabójstwo prezydenta Kennedy'ego. Niestety, nigdy nie można mieć pewności, że narrator mówi ścisłą i dosłowną prawdę. Być może nie sfabrykował całej opowieści; może, chcąc dodać

* Homer *Iliada*, XI, 11; 330 - 33. Przekład F. Dmochowskiego, Warszawa 1805.

sobie znaczenia, upiększył tylko coś, co sam usłyszał, albo zapomniał niektóre elementy, albo połączył wypadki z kilku opowieści, by nadać swojej więcej nadnaturalnego blasku.

Na przykład: Plutarch i inni pisarze starożytni twierdzą, że Cezar otrzymał ostrzeżenie przed Idami Marcowymi od wieszczka Vestritiusa Spurinny. Gdy w owym dniu spotkali się w drodze na Forum, Cezar zażartował:

„Więc już nadeszły te Idy Marcowe! — Na to wieszcz odrzekł spokojnie: — Owszem, nadeszły, ale jeszcze nie przeszły!”*

I Cezar poszedł do gmachu Senatu po swoją śmierć. Przykład ten cytuje się na dowód prawdziwości proctw, ale jeśli uważniej przeczytać Plutarcha, okazuje się, że już przedtem krążyły pogłoski o spisku i Spurinna mógł się przedzej z nich o nim dowiedzieć, aniżeli z gwiazd.

Ponadto pamięć ludzka nie jest tak bardzo godna zaufania jak się na ogół przyjmuje. Wszystkim płata figle. Wielu z nas miewa dziwne uczucie, że „już byliśmy tu kiedyś” lub „robiliśmy to już przedtem”, choć z całą pewnością tak nie było. Albo zastanawiamy się, czy naprawdę telefonowaliśmy do kogoś, czy tylko nam się to śniło. Błędy odnośnie do lat i kolejności wydarzeń są tak pospolite, że umysły nasze mogą z łatwością wyczarować nadnaturalne wytłumaczenie dla pomieszanych strzępów faktów, które kryją się gdzieś w pamięci.

W roku 1943 John S. Morrel, były profesor matematyki na Uniwersytecie im. Vanderbilta, opowiadał autorom niniejszej książki o człowieku, który był przekonany, że przeczuwa wszystkie ważniejsze momenty

* Plutarch Cezar, 63; Swetoniusz *Juliusz Cezar*, 59.

swego życia. Profesor namówił owego człowieka, by zaopatrzył się w dwa notesy. Przez kilka miesięcy miał zapisywać w jednym notesie przeczucia, a w drugim rzeczywiste fakty, które, jak sądził, przeczuwał uprzednio. W pół roku później porównał oba notesy. Okazało się, że przeczucia spisane w pierwszym notesie spełniały się sporadycznie, zupełnie przypadkowo. W drugim notesie było mnóstwo zdarzeń, które, jak sądził, przeczuwał, ale o których w rzeczywistości żadne przeczucie go nie uprzedziło. Musiał więc ze wstydem przyznać, że jednak nie jest prorokiem.

W anegdotach o prorocत्वach rzadko wspomina się prorocтва nieudane. Jeśli prorocत्व się nie spełnia, wyznawcy proroka wykreślają całą rzecz z pamięci i z niecierpliwością wyczekują dalszych jego wypowiedzi. Niejeden z nas miewa zapewne przeczucie niebezpieczeństwa wyruszając na cały dzień z domu samochodem, albo przeświadczenie, że coś zagraża bliskim, którzy pozostają w domu, a po powrocie stwierdza, że nie uległ żadnemu wypadkowi, zaś wszyscy w domu są cali i zdrowi. Takie przeczucia szybko przechodzą w niepamięć, ale niech komuś rzeczywiście zdarzy się wówczas jakieś nieszczęście, to do końca życia będzie wszystkim opowiadał, jaki to z niego jasnowidz. Tylko w przypadku, gdyby procent spełnionych prorocत्व przewyższał procent nieudanych na tyle, że byłoby to statystycznie istotne, człowiek mógłby uważać się za proroka. A żaden z rzekomych proroków, o ile nam wiadomo, nie prowadzi dokładnego zapisu swoich sukcesów i niepowodzeń.

Wreszcie, ważne jest stwierdzenie, czy domniemane prorocत्व było napisane przez proroka, któremu jest przypisywane. Otóż legenda mówi, że Merlin był biegłym czarodziejem i wielkim prorokiem. Jednakże

zachowane na piśmie proroctwa Merlina są w rzeczywistości odzwierciedleniem domysłów jego dwóch średniowiecznych biografów, którzy oparli je na powszechnie znanych faktach swoich czasów. Stąd opowieści te przepowiadają dwie różne przyszłości Brytanii.

W *History of the Britons (Dzieje Brytów)* Nenniusa, napisanej około roku 800, proroctwa Merlina zgadzają się z faktami historycznymi do czasów Nenniusa. Ale wybiegając w przyszłość Merlin przepowiada ponowny podbój Brytanii przez Brytów, bowiem za czasów Nenniusa Brytowie wciąż trzymali się na zachodzie Anglii, można więc było wyobrazić sobie ich ewentualny powrót. Tymczasem w XII-wiecznej *History of the Kings of Britain (Dzieje królów brytyjskich)*, Geoffreya z Monmouth, Merlin przewiduje całkowitą klęskę Brytów, bowiem do czasów Geoffreya stało się jasne, że najeźdźcy sascy pozostaną w Anglii na stałe.

Ponieważ wszyscy prorocy posługują się językiem metaforycznym wymagającym interpretacji; ponieważ tak wiele proroctw powstaje po prorokowanym wydarzeniu, a nie przed nim; ponieważ pamięć ludzka jest taka kapryśna i ponieważ studia nad proroctwami przypisywanymi jakiemuś prorokowi przez różnych późniejszych pisarzy wykazują tak wielkie różnice, człowiek rozsądny musi wątpić w słuszność wszystkich proroctw pisanych, bez względu na to, jaką cieszą się opinią.

Co gorsza, pisarze przez wiele wieków stwarzali całkowicie fikcyjnych proroków, by sfabrykować podniecającą opowieść lub zadrwić sobie z łatwowiernych. Proces ten świetnie ilustruje stworzenie pseudoprorokini Matki Shipton.

Matka Shipton, której panięńskie nazwisko było podawane jako Ursula Southill, miała być jakoby kobietą wielkich rozmiarów i szczególnie brzydką, ale pobożną i inteligentną. Żyła rzekomo w Yorkshire między 1488 a 1561 rokiem. Najwcześniejsze dane



Ryc. 10. Prorokini Matka Shipton, według XVI-wiecznej ryciny.

o niej znajdują się w pamflecie pochodzącym z roku 1641. Pamflet ten opisuje wizytę lordów Suffolk, Percy'ego i Darcy'ego, w jej chacie, gdzie przepowiedziała im ich własny los, śmierć kardynała Wolseya i związane z tymi wydarzeniami walki, morderstwa i egzekucje.

Następni pisarze rozszerzyli tę legendę. W 1684 roku mało znany irlandzki dramaturg, Richard Head, napisał *The Life and Death of Mother Shipton* (*Życie i śmierć Matki Shipton*), gdzie opisał ją jako córkę diabła i wiązał z jej osobą setki nadzwyczajnych zdarzeń. Head załączył opowieść o tym, jak zdobył te informacje: dzięki destylacji wina otrzymał czystą

wodę, którą skropił bardzo stary manuskrypt, aby ukazało się ukryte pismo. (Z destylacji wina uzyskuje się koniak, nie wodę, ale mniejsza o to).

Każdy z kolejnych pamflicistów dodawał coś od siebie do tzw. prorocत्व Matki Shipton, jak to uczyniła, na przykład, Baker w swoich *Mother Shipton and Nixon's Prophecies* (*Proroctwa Matki Shipton i Nixona*), (1797), skąd pochodzi większość znanych z tradycji faktów odnoszących się do jej życia. Najwspianalszej jednak interpolacji dokonał Charles Hundley w roku 1862. Jak się później przyznał w liście do wydawcy pewnego magazynu, sam skomponował słynne pięćdziesiąt siedem wierszy, których część przytaczamy:

„Powozy będą jeździły bez koni,
W wypadkach wielu znajdzie swój koniec...
I w mgnieniu oka myśl przeleci
Po całutkim bożym świecie...
Człowiek po najwyższym stoku
Przejdzie bez osła u boku
I pod wodę sobie zejdzie,
Jeździć, spać i mówić będzie.
I w powietrzu go ujrzycie
W różnokolorowej szacie...
A świat się doczeka swojego wyroku
W tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku” *.

Przepowiednie te (prócz pomyłki co do daty końca świata) można by uznać za niezwykle trafny prognostyk rozwoju techniki, gdyby wyszły z ust XVI-wiecznej wieśniaczki. Ale Hindleyowi, który żył już w czasach kolei żelaznej, balonu, eksperymentalnej łodzi podwodnej i elektrycznego telegrafu, nie trzeba było

* Cyt. wg: D. W. Hering *Foibles and Fallacies of Science*, Van Nostrand, N. Jork 1924 - 32, s. 216 nast.; oraz: W. H. Harrison *Mother Shipton Investigated*, Harrison, Londyn 1881, s. 42. Przekład cytowanego fragmentu E. Życińskiej.

zdolności proroczych do poczynienia tych przepowiedni, tylko po prostu talentu do żartów. Nie musiał nawet się przyznawać, gdyż każdy lingwista mógłby z łatwością stwierdzić, że ten fragment nie był napisany w XVI wieku. W jednym z kupletów słowo „war” (wojna) rymuje się z „door” (drzwi), podczas gdy zgodnie z wymową używaną za życia Matki Shipton słowo „war” rymowało się raczej na przykład z „far” (daleko).

Chociaż obecnie rzadko stwarza się fikcyjnych pseudoproroków, ze względu na liczne zastępy sokolookich krytyków, którzy czekają tylko, żeby się rzucić na takie szachrajstwa, sztuka ich tworzenia jeszcze nie zamarła. Nie przejdzie ona do historii, póki ludzie będą otwierali szeroko ze zdziwienia oczy i odczuwali przyjemny dreszcz słysząc przepowiednie klęski czy nieszczęścia.

Tematyka prorocत्व rozpada się na kilka określonych klas: prorocтва dotyczące wojen, Millenium*, antychrysta i końca świata. W każdym pokoleniu ochoczy interpretatorzy zabierają się do odgrzebywania starych niezrozumiałych wypowiedzi i opowiadają swoim zwolennikom, że odkryli prawdziwe znaczenie magicznych słów. W każdym pokoleniu ogromna liczba ludzi daje się oczarować wielkością proroka i mądrością jego interpretatora. Fakt, że te same słowa były zupełnie inaczej interpretowane w różnych czasach albo w różnych krajach, w żaden sposób nie przyćmiewa ich blasku. Błędne interpretacje szybko przechodzą w zapomnienie; niepowodzenie wcale nie przynosi uszczerbku jasnowidzowi. Chęć i potrzeba wierzenia

* Millenium, czyli Tysiącletnie Królestwo — według wierzeń chrześcijańskich okres osobistego panowania Chrystusa na Ziemi (przyp. red. pol.).

w przepowiednie są czynnikami głęboko zakorzenionymi w naturze ludzkiej.

W czasie wszystkich wojen pojawiają się wieszczowie, którzy obiecują zwycięstwo swojej stronie, a klęskę wrogom, zaś mniej twórczy handlarze prorocत्व rozgłaszają optymistyczne interpretacje wcześniejszych przepowiedni. Ulubionym źródłem chrześcijańskich interpretatorów jest biblijna *Księga Daniela*. Ogromnie obrazowa, ma ona przedstawiać wizje Daniela, Żyda z Babilonii z ostatnich dni imperium chaldejskiego (nowobabilońskiego). Celem tej księgi, w rzeczywistości napisanej mniej więcej 370 lat później, było zachęcić Żydów do poparcia powstańców makabejskich w heroicznej walce przeciw monarchii Seleucydów.

Daniel opisuje mglistym językiem prorocत्व obalenie imperium perskiego przez Aleksandra Wielkiego, walki następców Aleksandra, przyszłą klęskę tych następców i wyzwolenie Izraela dzięki boskiej interwencji. Ponieważ *Księga Daniela* pełna jest grzmiących aluzji do wojny, klęski i ostatecznego triumfu, handlarze prorocत्व znaleźli w niej wszystkie możliwe rozwiązania wszelkich konfliktów zbrojnych.

Wielu proroków przepowiadało Millenium, ów tysiącletni okres spokoju obiecany w *Apokalipsie św. Jana*:

- 20, 1 „I ujrzałem anioła, zstępującego z nieba,
który miał klucz od Czułości
i łańcuch wielki w swej ręce.
- 2 I pochwycił Smoka,
Węża starodawnego,
którym jest diabeł i szatan,
i związał go na tysiąc lat.
- 3 I wtrącił go do Czułości...
- 7 A gdy się skończy lat tysiąc,
z więzienia swego szatan zostanie zwolniony.

8 I wyjdzie, by omamić narody
z czterech kątów ziemi,
Goga i Magoga,
by ich zgromadzić na bój..."*

Proroctwo to było łączone przez rozmaitych interpretatorów z wizjami Daniela, z obietnicą powtórnego przyjścia Chrystusa w *Dziejach Apostolskich*, z bitwą pod Armageddon przepowiedzianą w *Apokalipsie* i wielu innymi proroctwami biblijnymi. Próby łączenia tych różnych proroctw opierają się na powszechnym, lecz błędnym mniemaniu, że różne części Biblii nie tylko są zgodne z prawdą w sensie dosłownym, lecz również, że stanowią jedną, zwartą opowieść. W rzeczywistości Biblia jest ogromnym i heterogenicznym zbiorem mitów, legend, materiałów historycznych, propagandy, kazań, poglądów filozoficznych, praw, obrządków, danych genealogicznych, fikcji i poezji, pełnym ludzkich pomyłek i interpolacji. Na rozwikłanie tych rozmaitych elementów trzeba by poświęcić całe życie studiów.

Millenium, według Sextusa Juliusa Africanusa, miało się rozpocząć 500 lat po Chrystusie; według Hansa Huta — w 1582 roku; a według innych jasnowidzów w jeszcze innych terminach. W ubiegłym stuleciu sygnałem rozpoczęcia Millenium miało być, według R. C. Morgana, wynalezienie kolei żelaznej. Wyczytawszy w Biblii, że „wozy będą z płomiennymi pochodniami, w dniu jego przygotowania, a jodły będą dygotały” (obowiązujący obecnie polski przekład tego fragmentu brzmi: „ogniem stali iskrzą się wozy, w dniu jego przygotowania; a włącznie ich się poruszają”**),

* Apokalipsa św. Jana, 20; 1-3, 7-8. Przekład O. Augustyna Jankowskiego w: *Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*, Pallotinum, Poznań 1965.

** Proroctwo Nahuma, 2, 4. Przekład ks. Waleriana Szubzdzy w: *Pismo Święte...*, j.w.

zwrócił uwagę, że podkłady kolejowe są robione z drzewa jodłowego.

Innym ulubionym tematem prorocत्व jest przyjsie antychrysta. Takie przepowiednie były bardzo rozprzestrzenione w Europie między 1200 a 1600 rokiem. Powszechnie przypuszczano, że antychryst będzie Żydem ze „zgubionego” pokolenia Dana, który urodzi się na Bliskim Wschodzie poprowadzi „dziesięć zgubionych pokoleń” przeciwko chrześcijaństwu. Dlatego też pogłoski o antychryście wykorzystywano do grabieży i pogromów Żydów.

Prawdziwe nadejsie antychrysta obwieścili: w 380 roku św. Marcin z Tours; w 1080 Raineri, biskup Florencji; Vincens Ferrer w 1412. W roku 1600 francuska czarownica wyznała na torturach, że kołysała antychrysta na kolanach, kiedy był dzieckiem, że miał on u nóg szpony i mówił wszystkimi językami. Każdy niepopularny władca mógł otrzymać miano antychrysta; papieże i cesarze Świętego Imperium Rzymskiego obrzucali się wzajemnie tym epitetem.

Już w 1850 roku Josephine Lamartine, prorokini z Lorraine, przewidziała narodziny antychrysta na rok 1900. A w roku 1916 francuski propagandzista, Georges Stoffler, wydał pamflet *Wizja dziewicy z Hohenbourgą*, w którym przypisuje świętej Odyli z VIII wieku prorocत्व o narodzinach w Niemczech wielkiego miłośnika wojny, zasługującego na miano antychrysta. Był to przydatny kij na Wilhelma II, a później Hitlera.

Ale tematem, który przez wiele wieków najbardziej przyciągał uwagę proroków, jest koniec świata. W czasach późnego klasycyzmu filozofowie stoicy nauczali, że świat jest co pewien okres niszczoney ogniem lub potopem. Gdy w pewnych znakach zodiaku wszystkie planety znajdowały się w koniunkcji, niektórzy myśli-

ciele widzieli w tym gotowość świata do śmierci i ponownego narodzenia.

Chrześcijaństwo zawsze prześladowała groźba końca. Chrześcijański pisarz, Origenes, przejął myśl stoików o szeregu występujących po sobie światach, ale inni ojcowie Kościoła nie zgadzali się z nim. Kładli nacisk na groźbę ostatecznego i jedyne Końca, gdy Bóg zgromadzi żywych i umarłych, i będzie sądził ich czyny. Ponure wrażenie kończenia się Ziemi przeziera ze wszystkich pism chrześcijańskich od czasów *Nowego Testamentu* do dnia dzisiejszego. Grzegorz Wielki wypowiedział to przekonanie w swoim pierwszym orędziu papieskim:

„Tak już jest, że im świat terazniejszy bliższy jest swego kresu, tym bliższy staje się świat przyszły i tym wyraźniejszymi i jawniejszymi daje o sobie znać znakami”*.

Większe z sekt chrześcijańskich zadowolaly się na ogół prorokowaniem końca świata „w niedługim czasie”, lecz wielu mniejszych proroków i wiele mniejszych kultów dostarczyło nawet konkretnych dat. Historyk francuski z XI wieku, Raoul Glaber, pisał, że w poprzednim stuleciu były prorocstwa, iż koniec świata nastąpi w roku 1000; a kiedy nadszedł ów fatalny rok, powstała panika wśród chrześcijan; i że całe rzesze ludzi udały się do Jerozolimy, by oczekiwać tam końca. Choć wielu nowoczesnych historyków uważa opowieść Glabera za wymysł, istniało na przestrzeni wieków mnóstwo prawdziwych panik związanych z końcem świata, bardzo podobnych do tej, którą opisał.

Jedną z takich panik spowodował prorok William

* Grzegorz Wielki *Dialogi*, IV, XLI; cyt. wg: *The Dialogues...*, j.w.

Miller, farmer ze stanu Nowy Jork, który w 1832 roku obwieścił bliskość końca świata. Miller wykrzykiwał:

„Spójrzcie, niebiosy ściemniały od chmur; Słońce się ukryło; Księżyc błądzący i opuszczony, zawisł w powietrzu; grad się sypie; grzmi siedem gromów; błyskawice rzucają na Ziemię żywy blask czarnych płomieni; i wielkie miasto narodów rozpada się w gruzy, by już się nie podnieść...”*.

Studiowanie *Biblii* przekonało Millera, że koniec świata nastąpi w 1843 roku, 2300 lat po tym, gdy Bóg kazał Żydom odbudować Jerozolimę. Nikt nie przywiązywał do tego proroctwa zbytnej uwagi, póki deszcz meteorów niezwykłej jasności i przelatująca kometa nie wzniciły powszechnego zainteresowania. Roje zwolenników Millera oczekiwały, że w 1843 roku Chrystus powróci na Ziemię, że ludzie prawi zostaną porwani do nieba, a Ziemia będzie zniszczona ogniem. W związku z tym rozdali oni lub sprzedali swoje majątki, jak to często ludzie robią w przewidywaniu końca świata. Trudno zrozumieć logikę ich postępowania, skoro z nadejściem końca świata ani pieniądze, ani majątek nikomu nie będą potrzebne.

21 marca, w dniu oznaczonym przez Millera, jego zwolennicy przywdziali białe szaty i wdrapali się na szczyty gór, by łatwiej dać się porwać do nieba, ale nic się nie stało. Jeden z towarzyszy Millera wyjaśnił z wypiekami na twarzy, że prorok popełnił omyłkę i koniec świata nastąpi 22 października. Znowu nic się nie stało. Tym razem rozczarowani ludzie wrócili do trudów codziennych ziemskiego świata.

W 1938 roku Charles G. Long z Pasadeny, głowa niewielkiej sekty zwanej Pozostałością Kościoła Boże-

* Carl Carmer *Listen for a Lonesome Drum*, Farrar and Rinehart, N. Jork 1936, s. 134.

go i jeden z najnowszych proroków końca świata, oznajmił, że obudziwszy się kiedyś w nocy ujrzał świetlistą rękę wypisującą liczby na widmowej tablicy u stóp jego łóżka. Z tych liczb Long wywnioskował, że świat rozleci się 21 września 1945 roku o godzinie 17³³. W miarę jak ów fatalny dzień się zbliżał, kierowników planetariów i obserwatoriów zalał istny potop telefonów z pytaniami, czy nie zbliża się ku Ziemi jakaś zbląkana planeta. Gdy dzień Sądu Ostatecznego minął spokojnie, Long, jak niezliczeni prorocy przed nim, musiał obwieścić, że koniec świata został odłożony.

Byle wypadek w Kosmosie może w każdej chwili zakończyć życie na Ziemi — może jutro, może za dziesięć miliardów lat. Mając w swoich rękach bombę atomową człowiek ma obecnie większą możliwość własnej zagłady niż kiedykolwiek przedtem. Jeśli ten ponury wypadek zaistnieje, to czy będzie to dowodem, że można wierzyć prorokom? Będą mieli rację, skoro jeden z ich ślepych domysłów przypadkiem okaże się prawdziwy. Ale nie znaczy to, że posiadają jakąś nadnaturalną wiedzę lub są w jakikolwiek sposób mądrzejsi czy bardziej utalentowani od innych.

Czytelnik zapewne zdaje sobie już sprawę, że ta zabawa w prorokowanie jest dostępna dla każdego, kto chce w niej wziąć udział. Czy to dla pieniędzy, czy dla sławy albo z palącej potrzeby ostrzeżenia swego bliźniego przed strasznym losem, każdy może stać się prorokiem, jeśli będzie przestrzegał kilku prostych zasad, które brzmią:

1) Używaj potoczystego, poetyckiego języka. Przytępia to w jakiś sposób umysł słuchającego i sprawia, że twoje słowa wydają się niezmiernie mądre.

2) Przystawiaj i opuszczaj słowa. Zła gramatyka,

fragmentaryczność zdań i dwuznaczność pomagają interpretatorom, dając im większe pole do opisu w przemienianiu i rekonstruowaniu sensu.

3) Unikaj obciążających szczegółów. Zamiast prawdziwych nazw i dat używaj symbolicznych wyznaczników i skróconych opisów, które każdy interpretator może nagiąć wedle własnych życzeń.

4) Konstruuj swoje proroctwa na bazie normalnych wydarzeń ludzkiej egzystencji: narodziny, śmierć, małżeństwo, walka o władzę i tak dalej. Jeśli oświadczysz, że potworny tyran zginie straszną śmiercią, stawiasz na pewniaka, bo wszyscy tyrani z czasem umierają, a wielu w bolesny sposób.

5) Bądź ponurakiem. Skoncentruj się na głodzie, plagach, ucisku, perfidii, mordach, rewolucjach i wojnach. W czasach złych twoi zwolennicy będą sobie pochlebnieć, że myślałeś o ich troskach, a w dobrych i tak nikt nie zwróci na to uwagi.

6) Bądź płodny w przepowiedniach. Każde dodatkowe proroctwo zwiększa szansę przychwycenia kilku odpowiednich zbiegów okoliczności. Twoi uczniowie dopełnią reszty. A potem, kiedy za sto lat jakiś władca Antarktydy rozpocznie wojnę termonuklearną o prawa do skolonizowania Księżyca, ludzie będą szukali w twoich dziełach pociechy i przestrogi.

Najsłynniejszym prorokiem wszystkich czasów był Francuz Nostradamus z XVI wieku, który zdaniem swoich wielbicieli „widział poprzez czas”, a przepowiedział Napoleona i Hitlera. Tak znakomicie stosował się do wyżej wymienionych zasad, że jego mgliste czterowersze rozpały ludzką imaginację od jego własnych czasów aż po nasze. Kiedykolwiek zagraża wojna lub kryzys, wielbiciele wywołują ducha proroka, by go poprosić o radę i wskazówki dla żyjących.

Wywołują go za pomocą koła magicznego, inaczej niż średniowieczny czarnoksiężnik, ale daleko skuteczniej. Kołem tym jest logika zamkniętego koła. Logika owa argumentuje w taki oto sposób: Nostradamus musi być prawdziwym prorokiem, gdyż jego proroctwa są prawdziwe; wiemy, że jego proroctwa są prawdziwe, gdyż jest on prawdziwym prorokiem.

W ostatnim ćwierćwieczu ukazało się co najmniej siedem lub osiem ksiązek o Nostradamusie. Jego wypowiednie były tłumaczone na wiele języków; ludzie rozmaitego pokroju usiłowali rozszyfrować jego czterowersze mistyczne. W plątaninie zawilosci jego utworów każdy interpretator dostrzega nieuchwytny przeblask prawdy odnośnie przyszłości, choć wzorzec tych prawd — jak w kalejdoskopie — zmienia się w zależności od potrzeb i pragnień patrzącego.

Michel de Nostre-Dame, tak bowiem brzmi jego prawdziwe nazwisko, urodził się w San Rémy, w południowej Francji, w 1503 roku. Uzyskawszy stopień doktora medycyny w Montpellier podróżował po Francji i Włoszech, zdobywając praktykę. W czasie jednej z plag, które w owych czasach dewastowały okresowo Europę, Nostradamus stracił swoją pierwszą żonę. Widocznie dar proroczy rozwinął się w nim właśnie, gdy rozmyślał nad swoim nieszczęściem. Będąc w średnim wieku rezydował przez krótki okres na dworze Henryka II i jego żony, królowej Katarzyny Medycejskiej, która była wielką protektorką proroków i czarowników. W roku 1566 doktor Nostradamus zmarł w swoim domu w Salon, we Francji, pozostawiając drugą żonę i kilkoro dzieci. Jego syn, César, został później sławnym artystą i historykiem.

Główne dzieła Nostradamusa to *Centuries*, 12 ksiąg czterowerszy proroczych zawierających ogółem 996 strof; *Présages*, almanach złożony ze 141 czterowier-



*Dieu se sert toy de ma bouche
Pour annoncer la vérité
Si ma prediction te touche
Rends grace à sa Divinité*

Ryc. 11. Nostradamus, słynny XVI-wieczny astrolog i prorok.

szy na każdy miesiąc między 1556 a 1568 rokiem; i list do Henryka II o treści proroczej, ale pisany prozą. Aczkolwiek interpretatorzy wykorzystują czasem *Présages* i list do Henryka II, sława proroka opiera się głównie na *Centuries*.

Dosłowny przekład kilku strof może dać czytelnikowi pewne pojęcie o tym, jak wygląda tekst pocziwego doktora, zanim interpretatorzy uzupełnią brakujące słowa według własnego uznania, nadając każdemu czterowerszowi sens, jakiego pragną. Pierwsza *Centurie* zaczyna się od strof, które brzmią:

„Gdy zajęty w nocy studiowaniem tego, co tajemne,
Siedzę samotny na trójnogu spiżowym,
Mały płomień zapalający się w samotności
Pozwala mi przepowiadać to, w co można wierzyć” *.

W ten sposób, nieco chaotycznie, zostaje wprowadzony nastrój. W wyobraźni maluje nam się obraz jasnowidza z długą brodą, który siedzi w płaskim jak naleśnik kapeluszu na swym stołku z brązu, przygotowując się do „patrzenia poprzez czas”. W następnych czterowerszach zabiera się do dzieła:

„Gdy wir powietrza porwie śmieci,
A twarze ich będą zakryte płaszczami,
Republika dręczona przez ludzi nowych,
Wówczas pomiędzy białymi a czerwonymi zapanuje niezgoda.

Wszecławiat uczyni monarchę,
Który nie zazna długiego spokoju ni życia,

* Nostradamus *Centuries I*, 1. Przekład K. Chodkiewicza w: *Michał Nostradamus, jego życie, dzieło i przepowiednie*, Lwów 1939.

Oryginalny tekst brzmi:

Estant assis de nuit secret estude,
Seul, reposé sur la sele d'airan
Flambe exigue sortant de solitude
Falt prospèrer qui n'est à croire vain.

Wówczas łódź rybacka się zagubi,
Rządzona z najwyższym uszczerbkiem” *.

I tak przez niemal tysiąc czterowerszy. W żadnej ze strof nie ma ani wzmianki o Napoleonie, Hitlerze, czy Stanach Zjednoczonych albo silniku spalinowym. Mimo to zwolennicy Nostradamusa odnoszą te prorocstwa do tych czy innych postaci i wypadków czasów późniejszych, pilnie dopasowując te późniejsze wypadki do starych i pokrytych pyłem słów, aby „udowodnić”, że ich prorok przewidział dzisiejsze zdarzenia, a czasem służy dobrą radą.

Nostradamus ułatwił im zadanie, bo niemal nigdy nie używał rzeczywistych imion. Wspominał bohaterów mitycznych, jak Herkules, i mówił o czynach lwa, krokodyla, pijawki i różnych innych zwierząt. Ludzi nazywał czerwonymi, żółtymi, albo niebieskimi: o swych anonimowych łotrach mówił: „młody Neron” lub „fałszywy antychryst”. Jeśli więc jakiś interpretator nie lubi któregoś z nowoczesnych polityków, identyfikuje go z antychrystem; lecz jeśli podziwia, wówczas stwierdza, że musi on być „wielkim królem” lub „dzielnym człowiekiem” doktora-proroka.

Ponadto, Nostradamus podał bardzo niewiele dat. Wymieniał dzień i miesiąc, ale nigdy rok. Częściej umieszczał po prostu różne liczby, żeby interpretatorzy mieli się czym bawić. Jego wyznawcy twierdzą, że przewidział pożar Londynu w 1666 roku, bowiem napisał, że:

„Krwią sprawiedliwych spłynie Londyn
Zgorzały od piorunu dwadzieścia trzy sześć” **.

* Tamże, I, III - IV; cyt. wg: H. C. Roberts *The Complete Prophecies of Nostradamus*, Nostradamus, Inc., N. Jork 1949, s. 9 nast.

** Tamże, I, I - IV; cyt. wg: C. H. Roberts, *The Complete Prophecies...*, j.w., s. 60.



Ryc. 12. Panowanie antychrysta, według sztychu Michaela Wohlgemutha w *Liber chronicorum* (1934).

Otóż 20 razy 3 plus 6 równa się 66 i wystarczy tylko dodać 1600, aby otrzymać 1666. Oczywiście nie wolno interpretować *vingt trois les six* jako 23 razy 6, bo to nie byłoby „dowodem”, że Nostradamus przewidział pożar Londynu.

W dodatku czterowiersze są pełne dwuznaczności — stara to i cenna technika wziętej wyroczni. *De gent esclave* można zinterpretować jako „z narodu słowiańskiego” albo z „narodu niewolniczego”; w oparciu o te słowa zwolennicy Nostradamusa mogą „udowodnić”, że ich mistrz przewidział W. Rewolucję Październikową albo Rewolucję Francuską.

Wielu interpretatorów Nostradamusa przejawiało wytrwałość godną lepszej sprawy. Na ogół, kiedy łączą czterowiersze z wypadkami minionymi, udaje im się sprawić, że przepowiednia ma pozory zgodności z prawdą. Gdy jednak posługują się nimi dla przepowiedzenia przyszłości, zwykle kończą plajtą.

Na przykład, Theodore Bouys, Francuz żyjący w czasach Napoleona, przepowiedział, że Napoleon podbije Anglię, spacyfikuje całą Europę i będzie długo i pomyślnie rządził. Nostradamczycy francuscy zeszłego stulecia byli w większości zajadłymi rojalistami, którzy wykorzystywali czterowiersze doktora, by przepowiadać powrót Burbonów. Być może, skłonności, które wiedą ludzi do kupczenia prorocत्वami, prowadzą ich również ku przepychowi monarchizmu. Albo może zaufanie, które tacy ludzie zdobywają dzięki autorytetowi swego proroka, łączy się z poczuciem bezpieczeństwa, jakie daje ojcowska postać wszechwiedzącego władcy. Jednakże wbrew najelokwentniejszym komentarzom tego interpretatora Nostradamusowych strof, żaden pretendent burboński nie odzyskał jeszcze tronu Francji.

Pierwsza wojna światowa przyniosła obfite zbiory interpretatorom Nostradamusa. We Francji, Demar-Latour i Graffont interpretując czterowiersze przepowiedzieli poprawnie zwycięstwo Francji — chociaż Graffont zepsuł cały efekt dodając, że po zwycięstwie nastąpi 57 lat pokoju. W tym czasie w Niemczech Kneipf i Mayer z entuzjazmem, aczkolwiek błędnie, przepowiedzieli triumf Niemiec.

W drugim ćwierćwieczu naszego stulecia pojawiła się jeszcze większa mnogość Nostradamczyków. Zapewniali oni swych słuchaczy o niezawodności przewidywań ich wieszczą; rozgłaszali interpretacje jego tajemniczych strof w kilku językach; upiększali swoje interpretacje astrologią i piramidologią. Ruir głosił, że pojawi się jakiś Henryk V, który przywróci francuską monarchię, rozgromi w pojedynkę państwa Osi i przyłączy do Francji Hiszpanię i Włochy. Podał dokładny przebieg drugiej wojny światowej, lecz wojna złośliwie nie chciała się trzymać przewidzianego biegu. Nostradamczycy francuscy, angielscy i amerykańscy zgodnie twierdzili, że Hitler źle skończy; natomiast niejaki Herr „Norab” utrzymywał, iż Mistrz przewidział zwycięstwo nazistowskie.

Zwolennicy Nostradamusa lubią dokonywać przekładów jego chaotycznych strof na jakiś inny język, bo gdy się tłumaczy, można dodawać słowa, błędnie je pojmować, albo dokonać swobodnej parafrazy jakiegось fragmentu, by „udowodnić”, że jasnowidz przewidział to, co się chce. Fakt, że inny jasnowidz przewiduje całkiem co innego opierając się na tym samym fragmencie nikogo nie kłopotuje.

Kilka lat temu jeden z współautorów niniejszej książki zbadał rozmaite interpretacje dwudziestu Nostradamczyków, rozpoczynając od Jauberta, który

piisał w 1656 roku. Licząc każdą interpretację jako przepowiednię, wszystkich dwudziestu stworzyło ogółem 449 przepowiedni. Do roku 1950, 41 przepowiedni się spełniło; 18 okazało się zdecydowanie fałszywe w świetle zaistniałych zdarzeń; a 390 ma jeszcze szanse na spełnienie. Stosunek dwóch przepowiedni udanych do jednej nieudanej wydaje się imponujący — dopóki nie przyjrzeć się tym przepowiedniom bliżej.

Wszystkie przepowiednie, które okazały się fałszywe, miały określone granice czasowe. Rozważmy przepowiednię Demar-Latoura o egzekucji cesarza Wilhelma II. Póki Wilhelm żył, można było zakładać, że egzekucja kiedyś nastąpi; ale gdy umarł przeżywszy długą i spokojną starość, śmierć przez stracenie przestała być możliwa.

Otóż przepowiednia bez granic czasowych może się zawsze kiedyś później spełnić, a więc nie ma możliwości udowodnienia, że jest fałszywa. Jest zatem niesłuszne porównywać taką przepowiednię z inną, która zawiera wyraźnie określoną granicę czasu. Wśród przepowiedni drugiego rodzaju były dwa niepowodzenia na jeden sukces — wynik dla reputacji doktora Nostradamusa jako jasnowidza gorszy niż przeciętny w przypadku ślepych domysłów stosunek jeden do jednego. Jeśli przyjrzymy się bliżej pozostałym przepowiedniom udanym oraz tym 390, których nie można uznać ani za nieudane, ani za udane, widzimy, że dotyczą takich zdarzeń ludzkich, które najprawdopodobniej prędzej czy później zaistnieją.

Jedna i tylko jedna strofa ze wszystkich 996 czterowerszy *Centuries*, gdy ją rozważyć w oderwaniu od innych, mogłaby poprzeć wiarę w uprzednią znajomość późniejszych wypadków:

„Panu Fossano wódz światła
I psiarni poderżnię gardło;
Czyn uknuty przez tych z Tarpejskiej Skały,
Saturn w konstelacji Lwa, trzynasty luty” *.

Rzecz osobliwa, że 13 lutego 1820 roku ksiązę Berry, który nosił tytuł Lorda Fossano, został zasztyletowany przez niejakiego Louvela, nadzorcę królewskiej psiarni. Czy dowód istnienia uprzedniej znajomości wydarzeń może się opierać na jednym jedynym wypadku, gdy szczęście się uśmiechnęło do jasnowidza z Salon? Czy możemy z lekkim sercem machnąć ręką na 995 pozostałych czterowerszy, które bez interpretatorów niczego nie mówią, a z ich pomocą bardzo niewiele? Nie sądzimy, aby jeden sukces na tysiąc wątpliwych był dostatecznie silnym dowodem.

Jakkolwiek Michel de Nostre-Dame potrafił — zdaniem wielu — „patrzeć poprzez czas”, jednak na pewno nie udałoby się udowodnić słuszności jego przepowiedni tylko na podstawie napisanego przezeń dzieła; dzieło to bowiem nie zawiera nic, czego by nie mógł napisać byle człowiek z wyobraźnią, mający pióro i pergamin. Gdy w czasach narodowej klęski ludzie „wywołują” cień Nostradamusa i wysłuchują z zapartym tchem nowych interpretacji jego tajemniczych słów, to czy nie jest to wyrazem złudzenia — silnego, głęboko zakorzonego złudzenia, starego jak sam człowiek — że można rozchylić pajęczynową zasłonę przyszłości, gdyby tylko wiedzieć, jak się do tego zabrać?

Wiemy, że od najdawniejszych czasów ludzie wierzyli w realność przepowiedni, płacili złotem za spojrzenie w przyszłość i uzależniali swoje czyny od inter-

* *Centuries*, III, XCVI; cyt. wg: C. H. Roberts, *The Complete Prophecies...*, j.w., s. 109.

pretacji mglistych przepowiedni. Widzieliśmy, jak są zbudowane przepowiednie i jak różnie mogą być interpretowane. Dowiedzieliśmy się, że nawet Nostradamus, najbardziej czczony prorok doby nowoczesnej, mówił zagadkami, które, niczym lustro, jedynie odzwierciedlają myśli, marzenia i pragnienia ludzi studiujących jego słowa.

Jednakże myśl, że można spojrzeć prosto w twarz przyszłości jest tak intrygująca, iż prawie żaden człowiek nie przejdzie obojętnie obok niej. Niektórzy z czytelników sądzą może, że chociaż ludziom nie udało się dotychczas przewidzieć wyraźnie przyszłości, to jednak kiedyś znajdą na to jakiś sposób. Niezliczona liczba ludzi wierzyła, że bogowie naprawdę mówią ludziom o przyszłości przez prorocтва, sny lub media w transie. Inni przypisywali prorokom jakieś zdolności nadmysłowe, które zwykłym śmiertelnikom nie są dane. Jeszcze inni utrzymywali, że prorok mógł z pomocą bogów albo duchów wysłać swą duszę w podróż odkrywczą, pokonując czas i przestrzeń. Niektórzy rozumowali podobnie jak starożytny filozof Parmenides, który nauczał, że wszystkie wydarzenia, przeszłe, obecne i przyszłe, koegzystują w jakimś „wiecznym teraz” i że przemiana ich jest tylko złudzeniem.

Niestety, żadne z tych tłumaczeń nie może być słuszne, cała idea przepowiedni zawiera w sobie fundamentalny paradoks. Gdyby przepowiednia była dokładna i zrozumiała, to chociaż niektórzy ludzie mogliby uniknąć przepowiedzianego losu i w ten sposób dowieść fałszywości przepowiedni. Jednakże, zgodnie z teorią przepowiedni, nikt nie może zmienić swego losu.

Przypuśćmy, iż jakiś wieszcz mówi człowiekowi, że w przyszły czwartek utonie. Wie o tym, ponieważ jego dusza w czasie ostatniej z wycieczek w wiecz-

ność widziała owego człowieka, jak tonął tego dnia. Zbrojny w tę informację zainteresowany, będąc człowiekiem roztropnym, będzie się tego dnia trzymał jak najdalej jakiegokolwiek wody. Jeśli utonie, jedynym tego powodem może być szczególnie brak ostrożności albo wręcz fantastyczny pech; bowiem przy zachowaniu normalnych środków ostrożności, człowiek może zredukować możliwość utonięcia do mniej niż jednej na milion. Trzeba by być człowiekiem zupełnie nie-mądrym i naiwnym, aby się z własnej woli utopił tylko po to, by przepowiednia się spełniła.

Jeśli więc człowiek uniknie utonięcia w oznaczonym dniu, to tym samym dowiedzie fałszywości przepowiedni: dusza wieszczka widziała zatem coś, co ostatecznie wcale nie miało się spełnić. Toteż utonięcie tego człowieka w tym dniu nie może być „rzeczywistym wydarzeniem” istniejącym już w jakimś transcendentálním sensie w nierozwiniętej przyszłości.

Od tysięcy lat różni gawędziarze wykorzystywali temat wiedzy uprzedniej i nieuchronności losu. Obmyślali najrozmaitsze sztuczki, aby bohater, mimo znajomości przepowiedni, nie uniknął swego przeznaczenia.

Jedną z metod są drwiny z jasnovidza. W legendzie greckiej Apollo dał Kasandrze dar prorocstwa; później, niezadowolony z jej działalności, zarządził, by nikt jej nigdy nie wierzył. W irlandzkiej opowieści o Deirdrze bohaterowie otrzymali ostrzeżenie, że jeśli wkroczą do Irlandii, zostaną zabici, podjęli jednak fatalną podróż, by ich nie posądzono o tchórzostwo. Nawet sławny Merlin, który przepowiedział własną zgubę, spokojnie prowadził dalej swój romans z bezlitosną, złą Nimue, jakby mu wcale nie groziła śmierć. Większość kochanków, których zapalczywość doprowadza do upadku, ma na usprawiedliwienie miłosne zaślepienie, lecz Merlinowi brakowało nawet tej wymówki.

Takie pomysły jako sztuczki literackie są całkiem udane, nie tłumaczą jednak paradoksu przepowiedni. W świecie rzeczywistym, jeżeli ostrzega się ludzi przed niebezpieczeństwem osobistym, to zwykle udaje się im go uniknąć. A jeśli go unikają, to znaczy, że wcale nie nastąpiło ono w przewidziany sposób. Jeżeli przyszły wypadek zarówno istnieje w sposób możliwy do przewidzenia przez proroka, jak i nie istnieje, bo ewentualna ofiara uniknęła go, wówczas jego istnienie musi być jednocześnie prawdziwe i nieprawdziwe. Jednakże już ponad 2000 lat temu Arystoteles stwierdził, że przeciwieństwa nie mogą być jednocześnie prawdziwe, i ta podstawowa zasada logiki jest nadal słuszna. Porzucenie jej równałoby się, o ile chodzi o racjonalne myślenie, powrotowi do jaskini.

Cóż z tego, jeśli jakiś zatwardziały miłośnik przepowiedni, wciąż nieprzejednany dowodzi, że prorok potrafi przepowiedzieć nie przyszłość, a jedną z wielu możliwych przyszłości, przyszłość, która zaistnieje, jeśli ofiara nie przedsięwzięmie w porę środków ostrożności? Taka koncepcja zakłada, że jasnowidz musi potrafić przewidzieć nie jeden los, lecz jeden z ogromnej liczby możliwych losów. Zdawała sobie z tego sprawę molierowska Eryfila. Kiedy astrolog powiedział jej, co się stanie, kiedy poślubi któregoś z dwóch zalotników, żaliła się:

„Jednak, ponieważ niemożliwe jest, abym zaślubiła obu, musi być chyba zapisane w niebie nie tylko to, co ma, ale i to, co nie ma się zdarzyć” *.

Prorok jest odwiecznym aktorem w ludzkim dramacie, aktorem, który wypowiada zdanie długie i falujące jak jego tradycyjna broda, i przedkłada złowieszcze

* Molier *Dostojni współzalotnicy*, akt III. Przekład T. Boya Zeleńskiego, KiW, Warszawa 1952.

zagadki w dźwięcznych, potocznych strofach. Ale nie drżymy przed jego uniesionym w górę palcem. Zastanówmy się, czy uczynił swą przepowiednię przed, czy po zaistnieniu wydarzenia. Rozważmy, czy jego słowa mają dla nas ten sam sens, co dla kogoś obok przejętego grozą. Wreszcie pamiętajmy, że choć niebios są ogromne, nie wystarczyłoby na nich miejsca, aby zapisać wszystko, co się stanie, nie mówiąc o tym, co mogłoby się stać, ale się nie stanie. Wówczas zdamy sobie sprawę, że słowa proroka są „pełne furii i dźwięku, nie znaczące nic”.

Rozdział V
KRZYŻ I KOCIOŁ

Pewien człowiek, imieniem Szymon, który dawniej zajmował się czarną magią, uprawiał w zdumienie lud Samarii i twierdził, że jest kimś niezwykłym... Kiedy Szymon ujrzał, że apostołowie przez wkładanie rąk udzielali Ducha Świętego, przyniósł im pieniądze. „Dajcie i mnie tę władzę — powiedział — aby każdy, na kogo włożę ręce, otrzymał Ducha Świętego”. „Niech pieniądze twoje przepadną razem z tobą — odpowiedział mu Piotr — gdyż sądziłeś, że dar Boży można nabyć za pieniądze” *.

Dzieje Apostolskie

Podobnie jak historia naszej cywilizacji, magia wiąże się ściśle z dziejami chrześcijaństwa. Kościół chrześcijański przyswoił wiele idei starożytnego świata, w którym się zrodził, i odzwierciedlił wiele zabobonów średniowiecza, w którym się kształtował w pierwszych wiekach swego istnienia. W ciągu długiego czasu uporał się z problemami diabłów i potępienia wiecznego, cudów i czarów, taumaturgii i teologii. Dziś również wśród jego wzniosłych nauk moralnych dotyczących uzyskania łaski duchowej można dostrzec ślady wielu

* *Dzieje apostołskie*, VII, 9, 18 - 20. Przekład ks. M. Wolniewicza w: *Pismo Święte*, j.w.

wierzeń i praktyk magicznych zrodzonych za dni wcześniejszych.

Jak wiemy, chrześcijaństwo w swych początkach było żydowskim ruchem reformatorskim, opartym na zasadach wspólnoty i pokojowego współżycia. Jego zalecenia pokory, dobroci i czystości przemawiały do niewolników, ubogich i uciskanych, którzy za swoje doczesne cierpienia mogli oczekiwać nagrody jedynie w życiu przyszłym. Dogmat i teologia chrześcijańska w ujęciu św. Pawła i innych ojców Kościoła łączyły mitologię Żydów, metafizykę Greków, demonologię irańską i egipską wiarę w trójosobowość bogów.

Wydarzenia umożliwiające rozwój chrześcijaństwa miały miejsce na długo przed narodzeniem Chrystusa. Kiedy Aleksander Wielki dokonał podboju imperium perskiego, miejsce dawnych bogów greckich zaczęło zajmować w unysłach wielu Greków rosnące zainteresowanie nauką. W trzech wiekach między Aleksandrem Wielkim a Chrystusem — w epoce hellenistycznej — we wschodniej części Morza Śródziemnego kwitła nauka.

W Ptolemeuszowej Aleksandrii Euklides napisał swoją *Geometrię*; Eratostenes obliczył ze zdumiewającą dokładnością wielkość Ziemi. Hipparch ułożył słynny katalog gwiazd i stworzył pojęcie długości i szerokości geograficznej; Arystarch uznał Słońce, a nie Ziemię za ośrodek układu słonecznego; Herofilos dał podwaliny anatomii; Erasistratos dał podstawy fizjologii; a Ktesibios wynalazł pompę ssąco-tłoczącą, organy hydrauliczne, klawiaturę muzyczną, sprężynę metalową i zegar wodny.

Na Sycylii Archimedes poczynił wiele odkryć matematycznych, jako prawo wyporu i zasadę dźwigni, i prawdopodobnie wynalazł wielokąt. Inni helleń-

scy inżynierowie wymyślili młyny wodne, skomplikowane katapulty oraz instrumenty astronomiczne do obliczania pozycji ciał niebieskich. Właściwie, nowoczesna era nauki zaczęła się już w hellenistycznym świecie, mniej więcej 2200 lat temu.

Jednak z rozwojem państwa rzymskiego nastąpił upadek nauki. W czasach imperium rzymskiego postęp techniczny zwolnił tempa, a nauka czysta, praktycznie rzecz biorąc, stanęła w miejscu. Pomimo wielu osiągnięć technicznych — dróg, akweduktów, olbrzymich betonowych kopuł, pięknych galer i zegarów wodnych — Rzymianie bardzo nieznacznie przyczynili się do powiększenia zasadniczego zbioru faktów naukowych.

Wysuwano wiele przyczyn tego upadku nauki za czasów rzymskich. Można dopatrywać się przyczyny, przynajmniej częściowo, w ustroju niewolniczym. W społeczeństwie opartym na niewolnictwie praca fizyczna jest uznawana za niegodną ludzi wolnych. Ludzie tacy, jak Archimedes, którzy sporządzali prawdziwe maszyny, czuli się w obowiązku tłumaczyć z tak niecnego postępowania. Nie mogąc wynaleźć takich przyrządów, jak mikroskop, teleskop i zegar mechaniczny, uczeni helleńscy zaszli tak daleko, jak mogli, i stanęli w miejscu.

Inną z możliwych przyczyn była antyintelektualna tradycja rzymska. Rzymianie na ogół nigdy nie mieli skłonności do zajmowania się badaniami naukowymi. Byli praktyczni, przywiązani do uciech życia i głównie zainteresowani korzyściami materialnymi. W tym właśnie celu stworzyli armię zdolną podbić świat śródziemnomorski i rząd, który potrafił nim władać.

Być może najsilniejszą z przyczyn upadku nauki był wzrost zainteresowania zjawiskami nadprzyrodzonymi w pierwszych wiekach istnienia imperium.

Chociaż większość ludzi prostych nadal wierzyła w swe prymitywne zabobony, stanowiące część tradycji tego ludu od neolitycznych czasów, ci, którzy służyli w wojsku w daleko rozrzuconych prowincjach imperium rzymskiego, stykali się z nowymi religiami i przywozili je do kraju. Kwitła również astrologia, a także kultury magiczne neopitagorejczyków i neoplatonczyków.

Ta „inwazja orientalna” na Rzym zaczęła się już w 204 roku p.n.e., kiedy to senat posłuszny *Księgom Sybillińskim* kazał sprowadzić z Emessy w Anatolii meteoryt czczony tam jako Kybele, Wielka Macierz, Matka Bogów. Później z Egiptu przybyli Izysda i Ozyrys, Jehowa z Palestyny i Mitra z Iranu.

Te kultury wschodnie miały większy urok duchowy i emocjonalny niż dawny urzędowy kult rzymski, który zastąpiły. Pierwsi Rzymianie przyswoili sobie malownicze, jakkolwiek nie zawsze pociągające z punktu widzenia moralnego, bóstwa greckie, które mieszkaly na górze Olimp i, jeśli nie były zajęte uwodzeniem sobie wzajemnie swych żon lub barbarzyńskimi bójkami, interweniowały w sprawy ludzi. Rzymianie również uprawiali szereg ustalonych rytuałów ku czci przodków, a także pewne prymitywne praktyki magiczne dla zapewnienia płodności oraz obfitych zbiorów. Później od Rzymian wymagano uczestnictwa w patriotycznych ceremoniach ku czci imperatorów.

Władze państwowe nie krzywiły się na te wymyślniejsze i bardziej podniecające kultury wschodnie, o ile obywatele nie zaprzestawali przy tym oddawania czci imperatorowi, dawnym bogom swego kraju i przodkom swych rodów. Tolerowane w ten sposób przez Rzym wraz ze wszystkimi innymi nowymi religiami, które powstały we wschodniej połowie imperium,

głoszone przez apostołów, a później przez ojców Kościoła nauki Jezusa Nazareńskiego przedostały się do licznych miast i obozów rzymskiego świata.

Z biegiem czasu chrześcijaństwo zaczęło wyróżniać się zapalem, z jakim starało się pokonać swoich konkurentów. To prawda, że władze imperium zgładziły bezlitośnie tysiące chrześcijan. Władze rzymskie jednak prześladowały chrześcijan nie za to, w co wierzyli, a za to, że odmawiali formalności oddawania czci imperatorowi oraz niszczyli obrządki innych religii, które uważali za czczenie diabła. W oczach oszołomionych urzędników rzymskich tak fanatyczne postępowanie było wywrotowe i rewolucyjne.

W pierwszych trzech stuleciach chrześcijaństwo wydawało się po prostu jednym z wielu kultów wschodnich, które zalały imperium. Ocierając się o konkurencyjne kultury, w sposób naturalny wchłonęło niektóre ich legendy, rytuały i nauki. Z wolna wysunęło się na czoło otaczających je religii.

Chrześcijaństwo zwyciężyło z wielu przyczyn. Po pierwsze, miało lepszą dyscyplinę i organizację. Jego miejscowi przywódcy przekształcili się w kapłanów, którzy odpowiadali przed biskupami zarządzającymi większymi obszarami. Wszystkimi kierował papież, następca świętego Piotra jako biskup Rzymu i — dla chrześcijan — namiestnik Chrystusa na Ziemi.

Po drugie, chrześcijaństwo bardzo przemawiało do biedoty. W dodatku, jego sprzeciw wobec krwawych igrzysk i rozpasanego homoseksualizmu rzymskich czasów przyciągał te wrażliwe dusze, które były przerażone stopniem upadku publicznej moralności.

Po trzecie, chrześcijaństwo zjednało sobie wiele

zatrwożonych serc pogańskich przerażającymi doktrynami o wyłącznej możliwości zbawienia drogą przyjęcia wiary chrześcijańskiej, o wiecznym potępieniu i nadciągającym końcu świata. Pierwsi ojcowie Kościoła nie szczędzili słów ostrzegając przed zgubą, która oczekuje wszystkich, którzy nie są chrześcijanami. Na przykład, Tertulianus w swoich inwektywach skierowanych przeciw dramatowi zapewniał, że piekło będzie daleko bardziej imponującym widowiskiem niż jakiegokolwiek ziemskie przedstawienie.

„Jakże będę podziwiał, jakże śmiać się będę, radować i triumfować, gdy ujrzę, jak tylu pysznych monarchów... jęczy w najniższej otchłani ciemności; jak tylu dostojników, którzy prześladowali imię Pana, roztopia się w ogniach sroższych niż ogień kiedykolwiek przez nich rozniecany przeciwko chrześcijanom” *.

W szale nienawiści skazywał dalej na ognie piekielne wszystkich aktorów, gladiatorów, filozofów i poetów.

Takie wizje piekła uodporniały zwykłych chrześcijan na ziemskie cierpienia. Gdy ostatecznie doszli do władzy, znieśli walki gladiatorów, złagodzili niewolnictwo i prowadzili akcję dobroczynną na nie spotykaną dotąd skalę, a jednocześnie z całym zapalem urządzali masowe palenia heretyków, czarodziejów i czarownic, wierzyli bowiem, że chwilowa męka jest niczym w porównaniu z wieczystą męczarnią, która oczekuje nieopatrzna duszę w ogniu piekła.

Wreszcie ujednoczona teologia Kościoła dawała mu przewagę nad mnożącymi się politeizmami, z których każdy posiadał swoje specjalne praktyki magiczne i sprzeczne mity. Święta księga chrześcijańska zawiera dwa *Testamenty*. Pierwsza jej część, *Stary Testament*, obejmuje pisma hebrajskie, a więc mity, legendy, historię, prawa, poezję i kazania. Druga część, *Nowy*

* Tertullianus *De spectaculis*, 30.

Testament, składa się z czterech *Ewangelii*, które są biograficznymi opisami życia Jezusa; *Dziejów apostołskich*, czyli opowieści o podróżach i pracy duszpasterskiej jego bezpośrednich następców; dwudziestu jeden *Listów* tych apostołów do siebie wzajem i podległych im kongregacji; i wizji proroczej, *Objawienia św. Jana*, które według niektórych uczonych może być zamaskowanym pamfletem przeciw cesarzowi Neronowi.

Uczeni zapelnili do tej pory cale biblioteki swoimi dziełami, w których analizują i opatrują komentarzami *Ewangelie* napisane przynajmniej w pół wieku po śmierci Chrystusa. Usiłują dojść, na podstawie tych szkicowych i często sprzecznych opowieści, co się naprawdę zdarzyło w Palestynie w tych wczesnych latach ery chrześcijańskiej. Spierali się, czy termin „nazareński” odnosi się do miejscowości w Palestynie, czy do jakiejś sekty lub stowarzyszenia, jak „essen-czyzy”. Te interpretacje obu *Testamentów* dają wyraz wszelkim możliwym poglądom, do stanowiska bibliisty Williama Benjamina Smitha, który używając pomysłów, lecz nieprzekonywających argumentów, usiłował udowodnić w początkach naszego stulecia, że Jezus był czysto mityczną postacią.

Każdy musi zdecydować sam za siebie, w co ma wierzyć w sprawach religijnych. Nas tutaj interesują tylko stosunki magii i chrześcijaństwa, w miarę jak ta prosta religia Jezusa rozwijała się w potężny Kościół chrześcijański, który tak bardzo zaważył na myśli zachodniej przez ponad 1500 lat. Zbrojne w straszne doktryny o wyłączności zbawienia, wiecznym potępieniu i nadciągającym końcu świata, chrześcijaństwo zatryumfowało nad wszystkimi kultami i religiami naszej cywilizacji. Równow w trzy wieki po śmierci Chrystusa Konstantyn został pierwszym chrześcijańskim cesarzem Rzymu.

Zwycięski Kościół nie był tolerancyjny dla swych wrogów. Zwalczał współzawodniczące kultury tym samym orężem, który niegdyś stosowano wobec niego, lecz posługiwał się nim z większym rygiorem i sumiennością. Konstantyn wydawał dekrety przeciwko herezykom, poganom i żydom. Skazał na śmierć augurów, a ich klientelę na utratę majątności.

Syn jego, Konstancjusz, wysłał na wschód swojego pełnomocnika, aby poddawał torturom i zabijał podejrzanych o patronowanie wyroczniom i czarownikom. Czarodziejów schwytanych w Rzymie kazał oddawać lwom na pożarcie, a działających w prowincjach skazywać na tortury i ukrzyżowanie. Późniejsi cesarze zarządzili masową rzeź podejrzanych o wróżbiarstwo, następnie filozofów pogańskich, a w końcu spalenie wszystkich ksiąg pogańskich. Wielu intelektualistów spaliło pospiesznie własne księgozbiory, aby się ustrzec podobnego losu. Stąd wiele dzieł starożytnych, które przeżyły całe wieki, przepadło na zawsze.

Pogaństwo załamało się pod ciężarem tych poczynań. Jednakże magia okazała się trwalsza. Co innego stłumić kult ze znanymi przywódcami, posiadającymi majątki, które można skonfiskować, a całkiem co innego wykryć każdego drobnego maga, który wynajmuje gdzieś izbę, wiedzie nędzny żywot z datków niewielkiego kręgu popleczników i w razie czego znika.

Magia nie tylko przeżyła przyjście chrześcijaństwa, lecz nawet na przekór niemu rozkwitła. Astrologowie nadal stawiali horoskopy, mimo że Justynian kazał ich wychłostać i przewieźć na grzbietach wielbłądów ulicami Konstantynopola. Wiedźmy dalej sporządzały wywary roślinne na bóle głowy, pleców i serc, tak jak do dziś robią to ich następczynie.

Pierwsi przywódcy chrześcijańscy zajmowali niewyraźne i sprzeczne stanowisko wobec magii. Akcep-

towali cudowne zdarzenia opisane w *Starym Testamencie* i skrzętnie dołączali cuda z innych mitologii do *Nowego Testamentu*. Jednakże byli nieugięci w swej dezaprobachie wobec czarów. Dla nich piękne elfy, które fruwały po dolinach i polach świata klasycznego, to były złe duchy. Każdy czarodziej, który pragnął nawiązać z nimi stosunki, przestawał z diabłem i jego świtą.

Nie możemy jednak zbyt ostro potępiać tych ojców Kościoła; byli oni tylko ludźmi swoich czasów. Za ich życia nie sposób było rozróżnić między cudem, czarami a dziwami nauki. Myśliciele chrześcijańscy nie byli samotni w swoim zagubieniu. Wybitni filozofowie żydowscy, jak Filon, potępiali studiowanie astronomii jako przeszkodę w osiągnięciu doskonałości duchowej.

Duchowni chrześcijańscy nie mogli nie dostrzegać że nawet ludzie pobożni świeccy nadal patronowali czarodziejom w ich staraniach uzdrowienia chorych, odnalezienia zgubionych przedmiotów oraz uzyskania przewagi w ataku nad zbyt silnymi fizycznie wrogami. Aby sprostać konkurencji owych czarodziejów, duchowni chrześcijańscy wczesnego średniowiecza stworzyli własną drobiazgową magię religijną.

Kapłani wprowadzili do obrządków kadzidło i wodę święconą, gromadzili doczesne szczątki dostojników chrześcijańskich oraz upiększali żywoty męczenników, świętych i kapłanów rozmaitymi fantastycznymi zdarzeniami. Na przykład, żyjący w III wieku biskup Cezarei, w Anatolii, zwany był „Grzegorzem Cudotwórcą”. Mówiono o nim, że poruszał słowem głazy, wstrzymywał rzeki, uzdrawiał chorych, a raz nawet uśmiercił człowieka rzucając nań swój płaszcz. Święty Hilarion miał spowodować zwycięstwo w wyścigach należącego do chrześcijanina rydwanu poprzez spryskanie ciągnących go koni wodą święconą.

Relikwie chrześcijańskie z czasem wzbogaciły się o tak malownicze nieprawdopodobieństwa, jak łyż Jezusowe i mleko Marii. Z produkcji relikwii uczyniono cały przemysł. W końcu znalazło się tyle odłamków Świętego Krzyża, że można by z nich zbudować statek, tyle kawałków paznokci św. Piotra, że można by nimi napełnić spory kosz, siedem czy osiem kości udowych Najświętszej Panny i dwa szkielety św. Łukasza. Relikwiom tym przypisywano nieograniczone moce uzdrawiania. Zmieszany z wodą pył z grobu, w którym spoczywał jakiś święty, był ulubionym lekiem w średniowieczu. Wodę, w której zanurzono pierścień świętego Remy, zalecano przeciw febrze; olej z lampy, która paliła się u grobu świętego Galla — na guzy.

Ta forma łatwego żerowania na przesądach praktykowana jest do dzisiaj. W Palermo na Sycylii kobiety wspinają się na kolanach na górę, by się pokłonić czcigodnym szczątkom świętej Rozalii. A chociaż żyjący w XIX wieku osteolog, dr William Buckland, stwierdził, że kości domniemanej świętej są szkieletem zwykłej kozy, fakt ten nie wydaje się umniejszać przypisywanej owym szczątkom odwiecznej mocy uzdrowieńczej. Jednakże po dokonaniu tego odkrycia, kapłani umieścili kości w srebrnej urnie, aby ukryć je przed drwiącym wzrokiem heretyków.

Zważywszy na poziom medycyny europejskiej w średniowieczu, ludziom chorym tyleż mogły pomóc relikwie ich świętych, co lekarze. Wierzono powszechnie, że choroba jest wynikiem opętania przez demona. Zatem zarówno księża, jak lekarze starali się uczynić owo mieszkanie demona jak najbardziej niewygodnym, aby go przepędzić. Lekarze dawali pacjentom ohydne mikstury, w celu przyprawienia demona o mdłości; walono w bębny u łóżka chorego, żeby szatana przerazić; niekiedy nawet okładano nieszczęśnika pięściami albo

skuwano łańcuchami, aby zadać ból wstrętnemu diabłu. Szczęśliwy był pacjent, którego lekarz uprawiał tylko magię sympatyczną. Rana leczyła się wówczas sama, nietknięta szkodliwymi substancjami, zaś narzędzie lub broń, która ją zadała, podlegały pilnym zabiegom nacierania jakąś wyszukaną maścią.

Ponadto przywódcy Kościoła, jak święty Ambroży, potępili medycynę świecką jako grzeszną i bezużyteczną, i polecili wiernym, by pokładali całą swą ufność jedynie w modlitwie. Kilku papieży zabraniało kapłanom chrześcijańskim parać się jakąkolwiek medycyną. Inni zadowalali się zwykle zakazem zasięgania porad lekarskich u Żydów, którzy w owym czasie, choć ciemni i zabobonni, byli mimo wszystko najlepszymi lekarzami w Europie.

To potępienie medycyny nie było tak całkowicie bezinteresowne. Kościół przez kilka stuleci ciągnął znaczne zyski ze sprzedaży amuletów. Najbardziej z nich znany był *agnus dei*, woskowy krążek z wytłoczonym obrazem baranka i pobłogosławiony przez papieża.

Pod koniec V wieku Zachodnie Cesarstwo Rzymskie uległo pod naporem barbarzyńców. Cywilizacja na tym olbrzymim obszarze — gdzie zresztą nigdzie nie była zbyt dobrze ugruntowana — zaczęła raptownie upadać. Miasta skurczyły się i obwarowały murami; piękne drogi rzymskie zostały zaniedbane lub zniszczone: urządzenia sanitarne zapomniane. Sławetni zbójcy, zwący się panami feudalnymi, rządzą jak chcieli.

Nawet myśl podróżowała opornie wąskimi szlakami, które wiły się przez lasy, góry i ufortyfikowane miasta Europy. Zdawało się, że sztuka, rzemiosło, filozofia i ogromny zasób wiedzy technicznej, które niegdyś tak bardzo wzbogacały życie, zostały na zawsze zaprzepaszczone.

W następnym pięćsetleciu ciemnota była już po-

wszechna. Król, który potrafił napisać własne imię, był rzadkim wyjątkiem. Umiejętność czytania i pisania ograniczała się głównie do kleru i niemal całe piśmiennictwo było w języku łacińskim. W niektórych opactwach mnisi gromadzili szczątki dzieł klasycznych i przepisywali je swym pięknym pismem, ale biblioteki praktycznie nie istniały. Ludzie uczeni — a były to jednostki nader rzadkie — zajmowali się zagadnieniami teologii, a nie rozpowszechnianiem problemów świata przyrody.

Chociaż tak doniosłe wynalazki, jak podkowa końska, chomąto i oprawa szyb w ołowiu pochodzą z czasów średniowiecza, ludzie o zacięciu naukowym uchodzili wówczas za uprawiających czary. Świetnym przykładem jest żyjący w X stuleciu papież Sylwester II, który za młodu studiował w Hiszpanii, gromadził literaturę klasyczną, skonstruował zegar i organy, i napisał traktat o liczydło. Ludzie kiwali głowami i mówili, że uczył się magii w słynnej szkole muzułmańskiej w Kordobie, gdzie uczono astrologii, nekromancji oraz innych sztuk tajemnych; że ukradł czarnoksiężnikowi księgę, wprowadził córkę i że skonstruował złotą głowę, która mu odpowiadała na wszelkie pytania.

Ponieważ Kościół wprowadził zwyczaj czytania żywotów świętych na kazaniach, biografie te stanowią sporą część literatury średniowiecza. Wielu świętych występujących w tych opowiadaniach, zwanych hagiografiami, jest postaciami historycznymi; inni, to lekko zamaskowani bogowie świata pogańskiego i bohaterowie podań ludowych. W obu wypadkach ich życie składa się niemal wyłącznie z cudów.

Tę bezdenną otchłań, w jaką wpadło europejskie życie intelektualne, ilustrują dzieła papieża Grzegorza I, zwanego „Wielkim”. Grzegorz cieszył się sławą jednego z najzdolniejszych ludzi w VI wieku. A jednak

nie tylko nakazał spalić bibliotekę przy świątyni Apollina na Palatynie, aby uniemożliwić czytanie literatury pogańskiej, ale w dodatku napisał książkę pt. *Dialogi*, która swoją bajeczną fantazją rywalizuje z *Baśniami z tysiąca i jednej nocy*. Opisywał on, jak świętobliwy młodzieniaszek Honoratus, wezwawszy Jezusa Chrystusa i uczyniwszy znak krzyża, wstrzymał głaz, który się toczył z góry wprost na jego klasztor; jak, gdy jeden z mnichów wpadł do jeziora, drugi nadbiegł po powierzchni wody i wyciągnął go za włosy. W innym opowiadaniu jakaś zakonnica jadła sałatę nie przeżgnawszy się uprzednio i połknęła demona. Gdy dobry opat Equitius wypędził go z niej za pomocą egzorcyzmów, demon słusznie się użalał:

„A cóż ja zawiniłem? Siedziałem sobie na sałacie, a ona przyszła i mnie zjadła!” *

Okrutny to wybryk losu, że księga ta przetrwała, a tak wiele dzieł wspaniałej literatury klasycznej zginęło w mrokach średniowiecza.

W pierwszych wiekach chrześcijaństwa duchowni akceptowali rozpowszechnione w świecie klasycznym opinie naukowe, o ile nie pozostawały one w sprzeczności z naukami zawartymi w *Biblii*. Jednakże nauka tych czasów, mimo genialnych domysłów Greków jońskich i wnikliwych obserwacji Arystotelesa, składała się w olbrzymiej części z barwnych, ale mylnych informacji.

Dla przykładu, w I wieku n.e. znakomity żołnierz i urzędnik rzymski, Pliniusz Starszy, napisał pierwszą encyklopedię, słynną *Historię naturalną*. Aczkolwiek Pliniusz miał umysł badawczy i stracił życie usiłując

* Grzegorz Wielki *Dialogi*; cyt. wg: *The Dialogues*, j.w., s. 17 i nast.

zbadał istotę wybuchu Wezuwiusza, który zniszczył Pompeję, znajomość świata przyrody była tak niewielka, że nawet on nie zawsze umiał oddzielić prawdę od fantazji. Z przekonaniem twierdził, że język kameleona ułatwia poród, że od ukłucia skorpiona można się wyleczyć całując osła w ucho, i że istniał kiedyś jakiś słoń, który nauczył się pisać po grecku.

Chociaż ojcowie Kościoła posługiwali się wieloma takimi „faktami” w swoich wywodach teologicznych, pozostawali raczej obojętni lub wręcz wrodoży w stosunku do nauki. Jedni sądzili, że zainteresowania naukowe odciągnęłyby myśl ludzką od przyszłego świata; inni uważali, że kwestionowanie *Pisma* jest rzeczą bezbożną. Studia anatomii zostały zawieszono na tysiąc lat. Ludzkość musiała znosić bez żadnej ulgi choroby ciała, bo św. Augustyn uważał, iż ważniejsze jest, by dusza mogła stanąć na sądzie ostatecznym w swojej kompletnej powłoce, niż by lekarze mogli się uczyć polepszać ludzkie zdrowie na ich śmiertelnej postaci.

Mimo intensywnej religijności średniowiecza, prześladowania religijne heretyków i czarowników z czasem osłabły. Mrowie czarowników, które jest utrapieniem każdej cywilizacji, nadal egzystowało. Istniała pewna płaszczyzna porozumienia między Kościołem a wielorakimi guślarzami, o ile ci ze swojej strony nie wkraczali w te dziedziny ludzkich spraw, które Kościół przeznaczył dla siebie. Czarownice, które przedstawiały z diabłem i korzystały z jego usług dla dobra swych klientów, zawsze pozostawały w cieniu kościelnej niełaski, ale średniowieczny zakaz uprawiania magii zwykle interpretowano w taki sposób, że nie obejmował astrologii, wyrabiania amuletów z klejnotów, leczenia ran przez nacieranie balsamem oręza, który je zadał, i innych form magii sympatycznej.

Resztki systemów magicznych z czasów pierwotnych i klasycznych były przekazywane ustnie z pokolenia na pokolenie wiedzom gnieźdzących się po norach oraz wędrownych guślarzy. Na wpół zapomniane pradawne rytuały utrzymywały się przy życiu wśród chłopów pańszczyźnianych, którzy pragnęli uczynić swe życie wśród brudu i nędzy znośniejszym. Tymczasem panowie w dworach i opaci po klasztorach zbyt byli zajęci wyciskaniem danin z chłopstwa i odpieraniem najazdów Wikingów i Madziarów, by sobie zawracać głowę nędznymi strzępami klasycznej magii.

W X wieku cywilizacja europejska zaczęła się odradzać. Wiele ksiąg z czasów klasycznych dochowało się w języku greckim w Cesarstwie Bizantyńskim, inne, przełożone na arabski, w Kalifacie. Wiadomość o tym wolno docierała do barbarzyńskiej zachodniej Europy, głównie za pośrednictwem muzułmańskiej Hiszpanii. Żydzi, którzy swobodnie krążyli między światem chrześcijańskim a światem islamu, spełniali rolę tłumaczy i handlarzy książek, i podobnie jak przewozili złoto i srebro, przyczyniali się do przenikania różnych wpływów kulturowych.

W wieku XII i XIII zachodnia Europa zdołała odzyskać wysoki poziom cywilizacji. W późnym średniowieczu przywódcami intelektualnymi nadal byli duchowni. Choć zajmowali się oni przede wszystkim teologią, niektórzy interesowali się żywo naukami przyrodniczymi. Franciszkanin Roger Bacon pisał o prochu i optyce. Dominikanin Albertus zwany Wielkim prowadził obserwacje zwierząt dochodząc do słusznego przekonania, że żółwie nie piją słonej wody, a ostrygi nie jedzą żelaza. Z tak oto skromnych obserwacji odrodziła się na nowo nauka w Europie.

W owym okresie jednak wciąż podciągano ludzi

nauki i czarowników pod jeden strychulec. Nie istniało jeszcze wyraźne rozgraniczenie między magią a nauką. W istocie, przy tym stanie ludzkiej wiedzy o takim rozgraniczeniu nie mogło być mowy. Czarnoksiężnicy ówczesni, jak i zapewne większość dzisiejszych, uważali magię za naukę; często sami naukowcy mieszały swe badania z magią. Na przykład, Roger Bacon przypisywał zwycięstwo Mongołów (terroryzujących wówczas świat cywilizowany od Austrii po Katakaj *) faktowi posiadania przez nich lepszych astrologów. A jeszcze w XVII wieku wielki astronom Kepler zarabiał na życie stawianiem horoskopów.

Stanowisko Kościoła wobec tej mieszaniny magii i nauki było stanowiskiem luźnego obserwatora z wyjątkiem tych wypadków, gdy wierzenia ludzkie, złe czy dobre, były sprzeczne z jego doktrynami albo stanowiły zagrożenie jego interesów. W tych wypadkach Kościół bezlitośnie gromił grzeszników, zarówno czarowników, jak i uczonych. Skoro dopuścili się herezji, zasługiwali na karę.

Inkwizycja, powołana w początkach XIII wieku dla zlikwidowania herezji, ustanowiła rekord prześladowań, który przewyższył dopiero Oświęcim i Dachau. Jednakże twierdzenie, jakoby inkwizycja spaliła na stosie wszystkich uczonych, którzy wpadli jej w ręce, jest dużą przesadą. Kilku uczonym i pseudouczonym istotnie przypadł taki los w udziale, lecz raczej za głoszone przez nich doktryny teologiczne, nie zaś naukowe.

Urodzony pod nieszczęśliwą gwiazdą astrolog Cecco d'Ascoli został w 1327 roku spalony na stosie za próbę postawienia horoskopu Chrystusa. W roku 1600 inkwizycja potępiła w Rzymie filozofa Giordana Bru-

* Czyli Chiny (przyp. red. pol.).

na. Aczkolwiek oskarżono go o wyznawanie heretyckiej teorii, że Ziemia obraca się wokół Słońca, prawdziwym wykroczeniem Bruna było głoszenie antychrześcijańskiego panteizmu mistycznego. Ten sam los spotkał w roku 1619 Lucilia Vanini za poddawanie w wątpliwość ścisłości *Księgi Rodzaju* rozważaniami o pochodzeniu człowieka od zwierząt niższych.

W roku 1553 został spalony przez kalwinistów genewskich hiszpański lekarz Miguel Serveto. Jednym z jego wykroczeń było stwierdzenie, że Palestyna jest na wpół pustynią, a nie krainą mlekiem i miodem płynącą. Nie pomogło powoływanie się na świadectwa licznych podróżników; Kalwin nie pozwalał nikomu zarzucać kłamstw Mojżeszowi. Innym naukowcom grożono, odbierano stanowiska, palono księgozbiory. Wszyscy ci ludzie byli w równym stopniu męczennikami nietolerancji religijnej, co męczennikami ginącymi za naukową prawdę.

Przez ponad tysiąc lat kapłani chrześcijańscy oraz bezimienny tłum prywatnych czarowników żyli obok siebie, poświęcając swą energię uzdrawianiu chorych, pokonywaniu wrogów, niesieniu spokoju ducha skłopotanym możnym, cierpiącym biedakom i żeglarzom narażonym na niebezpieczeństwa czyhające w morskiej toni. Kościół dokonywał swoich cudów z pomocą Boga, świętych i aniołów; czarownicy czynili swoje z pomocą elfów albo diabłów.

Bardziej ostrożni z czarowników wczesnego i późnego średniowiecza ograniczali — albo twierdzili, że ograniczają — swoje poczynania do dziedziny magii sympatycznej. Myśliciele średniowieczni wierzyli, że cały Wszechświat przenikają różne tajemnicze wpływy i każdy przedmiot na świecie zna uczucia sympatii i antypatii. Spisano całe księgi, które dowodzą, że

związek sympatyczny łączy winorośl z wiażem, wroneę z czapłą, planetę Jowisz zaś łączy związek sympatyczny ze Słońcem, a związek antypatyczny z Marsem, i tak dalej.

Europa średniowieczna posiadała bogatą literaturę poświęconą tajemnej mocy kamieni szlachetnych. Marbod, biskup z Rennes w XI wieku, zapewniał, że szafiry przysparzają zdrowia, chronią przed oszustwem i więzieniem, zjednują Boga, dają prorocze odpowiedzi, leczą wrzody, bóle głowy oraz choroby oczu i języka. Magia sympatyczna została wprzęgnięta do produkowania amuletów-klejnotów, noszonych przez średniowiecznych bogaczy dla obrony przed niebezpieczeństwami, których ani medycyna, ani prawoowych czasów nie były w mocy odwrócić.

Amulety są powszechną formą magii. Mimo że różnią się między sobą zależnie od czasu i miejsca występowania, miały to samo uzasadnienie w średniowiecznej Europie, co w nowożytnej Afryce. Dzisiejsze amulety zachodniej Afryki obejmują łuski żuków, włosie końskie, zęby wielbłądów i skórki kameleonów. Nim jednak zaczniemy drwić z nieoświeconych Afrykanów, przypomnijmy sobie, że wśród rzekomo cywilizowanych ludzi współczesnych znajdujemy jeszcze wiele osób, które noszą szczęśliwe pieniądze, szczęśliwe pierścionki, szczęśliwe krawaty lub królicze łapki.

Klejnoty bardzo wczesnie wiązano z odpowiednimi znakami zodiaku. Temu, kto nosił klejnot, pod którym się urodził zapewniano szczęście. W obecnych czasach Amerykańskie Zrzeszenie Jubilerów ogłasza listę tych klejnotów. Niestety, lista ta łączy kamienie z miesiącami kalendarzowymi, a nie ze znakami zodiaku. Znaki te obejmują okresy od mniej więcej 22 dnia jednego miesiąca do 21 dnia miesiąca następnego; ale takie obliczenia to za wielki kłopot dla skrzętnego jubilera.



A



B



C



D

Ryc. 13. Amulety: A — malowany kamień z epoki kamiennej, pochodzący z Mas d'Azil we Francji; B — klejnot gnostyczny z podobizną boga Abrasaksa; C — klejnot będący jakoby własnością Katarzyny de Medici; D — moneta będąca stopem siedmiu metali, podobnie jak XVI-wieczne monety Leonharda Thurneissera.

Co więcej, nowocześni jubilerzy, mając na względzie ruch w interesie, nie zaś autentyczną tradycję okultystyczną, dołączają do spisu klejnotów diament i perłę, które nigdy się nie pojawiały w średniowiecznych spisach.

Magia średniowieczna przypisywała również tajemne moce drzewom i roślinom. W Anglii przed czarownicami chroniła jarzębina. Tę samą rolę w Rosji spełniała brzoza, we Włoszech ruta, w Szkocji krzyżownik, a w Niemczech rzodkiew. Smocza krew — żywica jednego z gatunków drzew indyjskich — znalazła uznanie nawet w czasach nowożytnych jako środek na zaskarwienie miłości.

Być może u podstaw tych wierzeń leżała mglista świadomość, że niektóre krzewy i rośliny istotnie zawierają substancje lecznicze lub uśmierzające ból. Z całą pewnością wyciąg z liści i kory oczara wirginijskiego* (*Hamamelis virginiana*) był już wówczas znany, robiono też okłady ze spleśniałego chleba. Jednakże te swojskie leki nie stanowiły wszystkich środków stosowanych przez średniowiecznych lekarzy. Stosowali oni magię sympatyczną i ustalili błędne zasady, jak „podobne leczy podobne” („klin klinem”) „przeciwnie leczy przeciwne”. Tylko w magii mogą działać jednocześnie dwie bezpośrednio sprzeczne ze sobą zasady. Dopiero w XVIII wieku te błędne przesłanki i wiele innych elementów magicznej natury opuściły medycynę.

Choć mniej tolerowane przez Kościół niż magia sympatyczna, czary również bujnie rozwijały się przez całe średniowiecze. Według poglądów oficjalnych czarnoksiężnicy nie tylko zadawali się z diabłami, co już było dostatecznym złem, ale na dodatek sądzono, że czczą diabły, a tym samym pomnażają szeregi piekielne dążące do obalenia rządów Boga na Ziemi. Czarnoksiężnicy owi twierdzili zdecydowanie, że mają do czynienia jedynie z dobrymi duchami, a jeśli obcuja

* Zwanego także orzechem czarnoksiężskim (przyp. red. pol.).

z diabłami, to dla szczytnych celów. Jeżeli zawierali z diabłem pakt, to z zamiarem wystrychnięcia go na dudka.

Z czysto ekonomicznych względów czarodziej musi zakładać, że jego demony są głupie i naiwne. Zarabia on na życie chronieniem swych klientów przed złymi duchami albo zmuszaniem ich, by tym klientom służyły, odnajdywały im zgubione przedmioty lub wyrządzały szkody ich wrogom. Klienci muszą wierzyć, że demony są potężne i okrutne, lecz nie są tak silne, aby czarodziej nie mógł nagiąć ich do swojej woli, i nie tak sprytne, by paktując z nimi nie mógł ich oszukać.

Czarodzieje średniowieczni uznawali duchy trzech rodzajów: anioły, czyli dobre duchy, których człowiek nie może ujarzmić; przedchrześcijańskie duchy przyrody, jak nimfy starożytnej Grecji; i diabły, czyli upadłe anioły zbuntowane przeciw Bogu. Najodpowiedniejsze do usług demony znajdują czarodzieje całego świata pośród upadłych bogów odrzuconych wierzeń. Na przykład, babilońska bogini miłości, Isztar, została przemieniona w porośniętego włosem średniowiecznego diabła Asztoreta. Ciężki to los jak dla ślicznej dziewczyny, której jedynym błędem był ognisty temperament i właściwe bogini płodności miłosne zapaly.

Czarodzieje średniowieczni wiedli żywot pełen niebezpieczeństw. Zadając się z diabłami byli ciągle narażeni na płomień inkwizycji. Jeżeli nawet Kościół zajęty innymi problemami nie poświęcał im zbytnej uwagi, żyli i tak w strachu przed własnymi niebezpiecznymi sługami. Czarnoksiężnicy bowiem wierzą na ogół, przynajmniej w części, swoim czarom — w przeciwnym razie nigdy by nie zdołali przekonać o swej mocy tak wielu ludzi.

Aby się obronić przed swymi demonami, rozważny



Ryc. 14. Pentagram, czyli diagram magiczny służący do przywoływania wrózek, zwłaszcza ducha Baelpharesa w godzinach Jowisza lub Wenus.

czarodziej średniowieczny rysował pentagram, czyli wykres magiczny. Gdy przeprowadzał swoje magiczne działania, stawał wraz z klientami na wykresie. Na dworze rysował diagram końcem noża lub miecza; w domu — kredą albo węglem. Wykres ten przedstawiał zwykle podwójne lub potrójne koło, w którym była narysowana jakaś figura geometryczna albo kombinacja figur. Ulubionym diagramem czarnoksiężników była gwiazda pięcioramienna, niektórzy jednak posługiwali się trójkątem, gwiazdą sześcioramienną

albo kwadratem. Przestrzeń pomiędzy liniami czarodziej ozdabiał świętymi imionami w łacińskim lub hebrajskim brzmieniu, tajemniczymi słowami, krzyżami, symbolami astrologicznymi i wymyślnymi zawijasami. Często wykańczał swój diagram umieszczając na nim tak wstrząsające przedmioty jak sztylet, czaszkę ludzką albo koci łeb.

Diagram był tak obmyślany, by demon bał się nań wstąpić i porwać czarodzieja. Uczniów ostrzegano, żeby pod żadnym pozorem nie występowali ani wychylali się poza diagram póki duchy nie odejdą.

Zaklęcia, które sprowadzały duchy z bezmiernych otchłani, składały się ze świętych imion wymawianych po łacinie i hebrajsku, i niezrozumiałej paplaniny, po czym padał rozkaz wypowiedany już normalnie. Gdy w latach 1627 - 1629 w okolicach Würzburgu spalono na stosie 157 osób oskarżonych o czary, jeden z podejrzanych wyznał, że następujące zaklęcie posiada moc wywoływania diabła pod postacią kozy:

*Lalle, BACHERA, Magotte, Baphia, Dajam,
Vagoth Heneche Ammi Nagaz, Adomator
Raphael Immanuel Christus, Tetragrammaton
Agra Jod Loi. König! König! **

Po zanalizowaniu, powyższe słowa tracą nieco na swej tajemniczości. *Raphael Immanuel Christus* to święte imiona, za pomocą których czarodziej starał się utrzymać po stronie aniołów. *Tetragrammaton* znaczy po grecku „cztery litery”, na oznaczenie imienia *Jahwe*, pisanego po hebrajsku YHVH. *Jod* (*yod* lub *yodh*), hebrajska litera odpowiadająca „y” i pierwsza litera słowa *Bóg*, był, podobnie jak *tetragrammaton*,

* Horst *Zauberbibliothek*; cyt. wg: Ch. Mackay *Extraordinary Popular Delusions and the Madness of Crowds*, Page, Boston 1841 - 1932, s. 534.

często używany jako symbol magiczny. *König* jest, oczywiście, słowem niemieckim, które znaczy „król”.

Jeśli czarodziej nie potrafił nagiąć demona do swojej woli intonowaniem imion, wówczas mogła zajść potrzeba paktu. Istnieje wiele średniowiecznych opowieści o paktach, spisanych krwią czarodzieja na świeżym pergaminie. Obiecywały one diabłu ciało i duszę czarodzieja w zamian za bogactwa, miłość czy władzę za życia. Takie opery, jak *Faust*, i opowiadania, jak uroczą historyjką Benéta *Diabeł i Daniel Webster*, dowodzą trwałego zainteresowania opowieściami o konszachtach z diabłem.

Jedna ze starych opowieści mówi o człowieku, który zaprzedał się diabłu w zamian za pieniądze na spłacenie wierzycieli. Człowiek ten zgodził się oddać w ręce diabła w chwili zapłacenia ostatniego długu. Zaczęło mu się świetnie powodzić i w końcu szatan zjawił się po należność. Kiedy człowiek zaczął kręcić, pragnąc się wymigać od kontraktu, szatan zaproponował, by pierwszy nadarzący się przechodzień rozstrzygnął spór. Trzeba trafu, że przechodniem tym okazał się filozof Roger Bacon, który wykazał, że ponieważ ów człowiek winien był jeszcze szatanowi swe ciało i duszę, zatem nie pospłacał wszystkich długów. Szatan więc nie ma podstaw do roszczeń. Zbity z tropu diabeł czmychnął.

Prawdziwi czarodzieje doradzali umieszczanie klauzul osłabiających sens paktów, by uniknąć zobowiązań wobec diabła. Wiele ksiąg czarodziejskich pisanych od XIV do XVI wieku dochowało się do dziś. Z tych cudownych książeczek dowiadujemy się o wielu praktykach magicznych Europy średniowiecznej. Na przykład, *Wielka księga czarów* uczy, jak zawrzeć pakt z demonem Lucifuge Rofocale. Demon odezwie się w następujące słowa:

„Spełnię twoją prośbę, jeśli za lat dwadzieścia oddasz mi się w ręce, abym mógł robić, co zechcę z twym ciałem i duszą”.

Na to czarodziej winien odpowiedzieć:

„Przyrzekam wielkiemu Lucifuge, że za lat dwadzieścia wynagrodzę go za wszystkie skarby, których mi użyczy” *.

Głupi diabeł ma jakoby przeoczyć rozbieżność pomiędzy swoim żądaniem a odpowiedzią czarodzieja. Książka nie mówi jednak, co robić, jeżeli demon przejrzy podstęp.

Aby dowiedzieć się, jak wyglądał seans prawdziwego czarodzieja, rozważmy opis pozostawiony przez artystę, złotnika i wynalazcę, Benvenuto Celliniego, tego prawzoru wybitnego, wszechstronnie uzdolnionego, zuchowatego, pyszałkowatego, błyskotliwego, kłótliwego renesansowego zбира. W roku 1534 pewien ksiądz sycylijski, z którym Cellini spotkał się w Rzymie, zgodził się zademonstrować mu wywoływanie diabłów. W oznaczonej noc Cellini przyszedł z przyjaciółmi do Koloseum. Patrzyli jak ksiądz rysuje pentagramy, pali kadzidła i recytuje zaklęcia. Po przeszło półtoragodzinnych zabiegach

„... ukazało się kilka legionów diabłów, tak że całe Koloseum było ich pełne. Gdy ujrzał takie mnóstwo diabłów, zwrócił się do mnie i rzekł: «Benvenuto, zażądaj czegoś od nich». Zażądałem, bym mógł spotkać moją Sycylijkę, Angelikę”.

Ponieważ nie uzyskano żadnej odpowiedzi, seans został odłożony. Następnym razem Cellini znowu przeprowadził dwóch przyjaciół. Na żądanie księdza przeprowadził również swojego dwunastoletniego ucznia.

* A. E. Waite *The Book of Black Magic and of Pacts*, 1910, s. 225.

bowiem czarodzieje żywią przekonanie, że niewinni chłopcy potrafią wejrzeć głębiej w dziedzinę ducha niż ludzie dorośli. Ksiądz zaczął jak poprzednim razem.

„Potem polecił mojemu Vincenziowi i Agnolinowi Gaddi pieczę nad ogniem i kadzidłem, dał mi w rękę pentagram i kazał mi trzymać go tak, jak mi poleci; pod pentagramem stał mój uczeń. Czarnoksiężnik rozpoczął najstraszliwsze zaklęcia: wzywał po imieniu diabłów, którzy przewodzili owym legionom, i rozkazywał im w imię mocy i potęgi niestworzonego, żyjącego i wiecznego Boga, słowami hebrajskimi, greckimi i łacińskimi. W krótkim czasie całe Koloseum napelniło sto razy więcej diabłów niż za pierwszym razem. Vincenzio Romoli wraz z Agnolinem podtrzymywali ogień i palili mnóstwo drogich kadzideł. Z rozkazu czarnoksiężnika zażądałem znowu, bym mógł być razem z Angeliką. Wtedy czarnoksiężnik zwrócił się do mnie i rzekł: «Słyszysz, co powiedzieli? Za miesiąc będziesz tam, gdzie ona».

Potem prosił mnie znowu, bym się mocno trzymał, bo zjawilo się tysiąc razy więcej legionów, niż on żądał, a wszyscy diabli są najniebezpieczniejszego rodzaju; ponieważ spełnili moje żądanie, trzeba być dla nich uprzejmym i zwolnić ich łagodnie.

Chłopak, który stał pod pentagramem, krzyczał przerażony, że wkoło jest milion dzikich mężów, którzy nam grożą; potem rzekł, że ukazało się czterech uzbrojonych olbrzymów, którzy chcą dostać się do nas. Tymczasem czarnoksiężnik, trzęsąc się ze strachu, starał się w jak najłodszy i jak najłagodniejszy sposób odprawić ich. Vincenzio Romoli, drząc jak osika, palił ciągle kadzidła. Bałem się tak samo, jak oni, starałem się jednak nie okazywać trwogi i dodawałem im ducha; gdym jednak ujrzał przerażenie czarnoksiężnika, omal nie umarłem” *.

Całe towarzystwo kulilo się ze strachu, póki Gaddi nie naruszył mimo woli zasad dobrego wychowania, co rozśmieszyło Celliniego. Chłopiec, usłyszawszy śmiech, ochłonął nieco ze strachu i rzekł, że diabły zaczynają uciekać co sił. Nad ranem chłopiec powie-

* B. Cellini *Żywot własny*, I, LXIV. Przekład Leopolda Staffa, KIW, Warszawa 1949.

dział im, że pozostało tylko kilku diabłów i trzymają się z daleka. Ksiądz-czarownik zebrał swoje księgi i wyszli wszyscy przyciskając się do siebie dla bezpieczeństwa. Chociaż ksiądz chwalił odwagę Celliniego i prosił go, aby wziął udział w dalszych eksperymentach, Cellini wdał się w jakąś nową zwadę i nie mógł skorzystać z propozycji.

Proszę zauważyć, że Cellini wcale nie twierdzi, że sam widział demony. Mówi tylko, że ksiądz i przerażony uczeń utrzymywali, że je widzieli. Sceptycy mogą przypisywać to widzenie demonów halucynacji lub oszustwu księdza, a także podnieconej wyobraźni i pragnieniu zaimponowania dorosłym ze strony chłopca.

Chociaż zarówno Roger Bacon, jak i Albertus Magnus kierowali wysiłek swoich badawczych umysłów na praktyki czarnoksięskie, nie potrafili oni dostrzec wyraźnie zagadnienia poprzez mgłę mylnych informacji, która je otaczała. To prawda, że potępiali magię, ale pewne wróżby, astrologię i alchemię uznawali za naukę. Czynili jednak szczerze wysiłki, aby odróżnić ziarno prawdy od plew fantazji, zapoczątkowując w ten sposób długie i uciążliwe zadanie rozdzielania ich od siebie. Wiek XIII zatem oznacza początek rozdziału pomiędzy magią czarnoksięską a nauką.

W miarę jak mijały wieki, ów rozdział pogłębiał się coraz bardziej. Już w XVI stuleciu Leonardo da Vinci drwił z całej alchemii i astrologii jako pseudonaukowej bzdury. Do roku 1700 ów rozdział stał się praktycznie faktem dokonanym; mimo to i później niektórzy naukowcy parali się niekiedy magią. Na przykład, znany biolog brytyjski, Alfred Russel Wallace, i równie sławny fizyk, Sir Oliver Lodge, zasłynęli na początku naszego stulecia w kręgach spirytystycznych.

Wyodrębniona nauka zaczęła współzawodniczyć z magią w pozyskiwaniu sobie ogólnego zaufania i poparcia, i konflikt ten dotrwał do naszych czasów. Aczkolwiek linie bitewne w walce pomiędzy magią a nauką są wyraźnie nakreślone, a hasła bojowe wyraźnie sformułowane, przez ponad dwa stulecia Kościół katolicki i jego protestanckie córy ignorowali te zmagania. Gdy nauka dążyła wielkimi krokami ku udoskonaleniu medycyny, lepszym środkom transportu i maszynom, które pracują dla człowieka i dają mu rozleglejszą wiedzę o Ziemi, przestworzach i oceanach, Kościół potępiał rewolucyjne teorie Kopernika i Darwina, i próby ograniczenia nadmiernej populacji.

W ostatnich dziesięcioleciach jednakże Kościoły chrześcijańskie postanowiły opowiedzieć się zarówno po stronie nauki, jak i aniołów. Dyskusje antropologiczne o równości ras, medyczne o metodach kontroli urodzeń i psychologiczne studia nad rolą seksu w tworzeniu dobranych małżeństw, a także wiele innych spraw, które jeszcze dla poprzedzających nas pokoleń stanowiły *tabu*, są obecnie tematem kazań, artykułów czasopism religijnych i kursów.

Można by sądzić, że wraz ze wzrostem prestiżu nauki i ostatecznym przyjęciem jej przez Kościoły chrześcijańskie, nastąpił zmierzch czasów wielkich czarowników. Jest jednak inaczej. Wiele rodzajów magii kwitnie również dziś; nowocześni czarodzieje nieźle sobie żyją z ofiar swoich zwolenników.

DIABEŁ INTRONIZOWANY

Wiedzmy i czarownicy w tańcu;
 To nie kotyliion prosto z Francji,
 Lecz szkockie: „z kobzą”, „jig” i „kręty”,
 Ze tylko im śmigaly pięty.
 A we framudze w oknie wschodnim
 Śladł bies — do zwierza był podobny;
 Kudłaty, czarny pies i duży,
 On im muzyką wszystkim służył:
 Piszczalki kręcił, aż wrzeszczały,
 Ze dach i krokwie grzechotały*.

R. Burns

W zaraniu dziejów Grecji, w całej średniowiecznej i renesansowej Europie, w Ameryce okresu kolonializmu i w dzisiejszej Afryce, ludzie trzęśli się i trzęsą ze strachu przed czarami. Dzieje tego strachu stanowią jedną z najczarniejszych kart historii ludzkości.

Ta trwoga przed czarami i idące w ślad za nią oszalałe łowy na czarownice wybuchały co pewien czas jak epidemie. Kilka wybuchów tej manii tępienia czarownic dotknęło w ubiegłym stuleciu różne plemiona afrykańskie. Na przykład plemię Balengi znad rzeki Benity, niegdyś bardzo liczne, wytraciło między 1865 a 1900 rokiem tyłu ludzi za uprawianie czarów, że omal się doszczętnie nie wyniszczyło.

* Robert Burns *Tam O'Shanter* w: *Z wierszy szkockich*, Warszawa 1956. Przekład St. Kryńskiego.

W plemieniu Matabele istniał doroczny zwyczaj zbierania się ponad dwunastu tysięcy wojowników na „węszenie czarowników”. Wojownicy stali uformowani w oddziały: a „węczacze” tańczyli, śpiewali i przeszukiwali wśród oddziałów. Kiedy znajdowali czarownika, dotykali go i zaczęli wyć, po czym nieszczęsnego natychmiast tracono. Przy każdym wężeniu mordowano setki ludzi. Był to dla króla bardzo dogodny sposób pozbywania się niełojalnych poddanych.

Tropienie czarownic jest stare jak cywilizacja, sposoby zaś ich wykrywania są na całym świecie bardzo podobne. W starożytnej Babilonii wrzucano podejrzaną osobę do Eufratu. Jeśli utonąła, była winna; jeśli wypłynęła — niewinna. W Europie związywano podejrzanemu prawy kciuk z wielkim palcem lewej nogi, a lewy z wielkim palcem prawej i ciskano w wodę. Podczas gdy system babiloński dawał podejrzanemu szansę ocalenia, Europejczycy stosowali logikę przeciwną. Nieszczęśnik musiał utonąć lub prawie utonąć, by udowodnić swą niewinność.

Spółczeństwo klasyczne również bało się czarownic i czasem je karało, ale grecko-rzymskie paniki przed czarownicami rzadko osiągały rozmiary epidemii. Jak to wyraził historyk angielski Gibbon:

„Narody i sekty rzymskiego świata uznawały, z równą łatwowiernością i podobną odrazą, realność tej sztuki piekielnej, która zdolna była władać wieczystym porządkiem ruchów planet i nieprzymuszonym działaniem ludzkiego umysłu... Wierzyli, z niezwykłym brakiem konsekwencji, że powietrzem, ziemią i piekłem rządziły w nadnaturalny sposób, powodowane chęcią czynienia zła albo pragnieniem zysku, jakieś pomarszczone jędze i wędrowni czarodzieje, którzy pędzili swój ponury żywot w nędzy i pogardzie” *.

* Edward Gibbon *Zmierzch cesarstwa rzymskiego*, XXV.

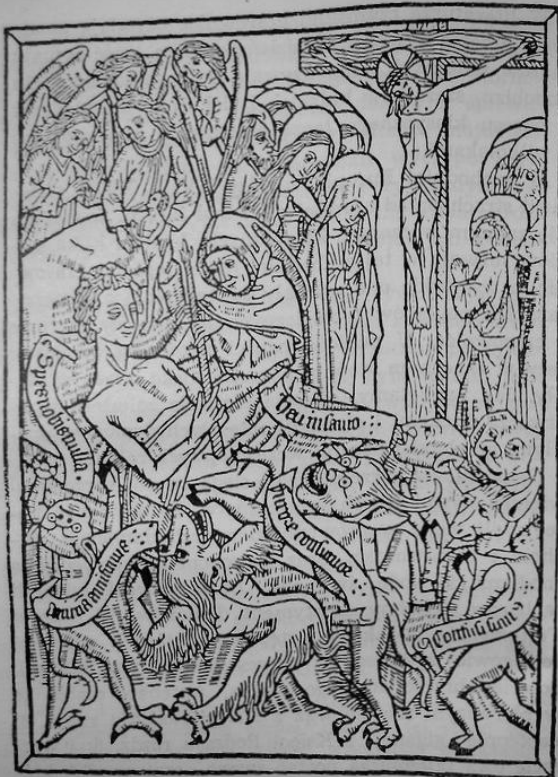
W literaturze rzymskiej czarownice ożywiają zmarłych, grzebią żywcem młodzieńców jako część rytuału czarów miłosnych, albo używają do tego samego celu podobizn, szczątków ludzkich i ziół. Inne opowiadania z okresu klasycznego łączą czarownice z wampirami i wilkołakami.

W zachodniej Europie, między XVI a XVIII stuleciem strach przed czarami oświadczył ludzi w stopniu nie znanym w czasach klasycznych. Istnieje kilka stadiów rozwoju w tej zachodniej manii tępienia czarownic, a wszystkie one wynikły sukcesywnie z chrześcijańskich poglądów teologicznych na demony, herezje i czarownice. U podłoża paniki przed czarownicami leży w znacznym stopniu chrześcijańska wiara w diabły. Jak pamiętamy, ojcowie Kościoła zaludnili przestworza duchami i obsadzili role złych demonów upadłymi aniołami i bogami wcześniejszych religii.

Demonologia chrześcijańska sięga swymi korzeniami wierzeń dawniejszych społeczeństw. Babilończycy pozostawili wiele zapisów poświęconych demonom, duchom i czarownicom, oraz sposobom ich wypędzenia modłami i wodą święconą. Dawni Żydzi wierzyli w bardzo podobny asortyment demonów. W *Starym Testamencie* jest kilka ustępów, z których późniejsi teologowie żydowscy i chrześcijańscy ukształtowali pojęcie chrześcijańskiego diabła. Antenaci diabła to w pierwszym rzędzie wąż z *Księgi Rodzaju* rozdz. 3; następnie „giganci” z *Księgi Rodzaju* rozdz. 6; i wreszcie owa tajemnicza postać zwana „szatanem”*, który w *Księdze Joba* łączy swe siły z Bogiem, by poddać próbie pobożność Joba.

Późniejsi teologowie obdarowali szatana rogami i kopytami greckiego boga płodności, Pana, którego

* Wyraz ten po hebrajsku oznacza: „przeciwnik”.



Ryc. 15. Diabły i aniołowie walczący o duszę umierającego.

wielce swawolny stosunek do spraw płci miał w oczach ojców Kościoła cechy diaboliczne. Zasymilowano też szatana z greckim Plutonem, panem podziemi. Wprowadziło to do teologii chrześcijańskiej sprzeczność,

która nikogo jakoś nie kłopotowała. Był więc szatan jednocześnie zajadłym wrogiem Boga i usłużnym policjantem, który miał za właściwe zadanie kierować piekłem i karać przebywających w nim grzeszników.

Ani jako przestępcy nadnaturalni, ani jako policja boża, demony w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej nie wydawały się ludziom zbyt straszne. Późniejsi ojcowie Kościoła uznali jednak za wskazane powiększyć moce demonów. Na przykład, święty Augustyn tłumaczył, że Bóg dozwolił im wywoływać szaleństwo i plagi. Mnożono w ten sposób i wyolbrzymiano demony, aż w średniowieczu ludność Europy zaczęła z drżeniem dostrzegać je w każdym cieniu i słyszeć w każdym skrzypnięciu desek podłogi.

Malarze średniowieczni ukazywali diabły jako istoty nibyludzkie z groteskowymi upiększeniami, jak rogi, ogony, skrzydła nietoperzy, zwierzęce łby i twarze na pośladkach. Ze słów Izajasza o „paktowaniu ze śmiercią” teologowie średniowieczni wykoncypowali, że ludzie paktuują z diabłem, Bóg zaś zezwala demonom na wywoływanie burz, plag i innych klęsk przy współpracy ludzi, którzy takie paktki podpisali. Stąd powstało przekonanie, że diabły i ich sprzymierzeńcy pośród ludzi knują obalenie nie tylko wszelkich prawowitych rządów, ale i samej religii chrześcijańskiej.

Demonologia chrześcijańska osiągnęła punkt kulminacyjny w dziełach szesnastowiecznego niemieckoholenderskiego lekarza Johanna Weihera, który uroił sobie królestwo piekielne z 6666 legionami, z których każdy był złożony z 6666 diabłów, z Belzebubem w roli króla i szatanem w roli wodza opozycji. Skoro duchowni i intelektualisci rozprzestrzeniaли podobne idee, nic dziwnego, że opowiadania o diabłach wywierały wrażenie na ludziach prostych.

Ponieważ na dobitkę tak mało wiedziano o toksykologii, ludzie przyjmowali różne fantastyczne bajdy o mocy leków i trucizn. Każdy pomór wywoływał epidemie oskarżeń o zatrucie studni. Oskarżenia te kierowano często przeciw Żydom, których w konsekwencji raz po raz ograbiano i masakrowano. Na przykład w 1630 roku, w czasie zarazy w Mediolanie rozeszła się pogłoska, że diabeł zamierza otruć całe miasto. Poddano torturom pewnego balwierza, który się parał wyrabianiem leków i wydobyto z niego zeznanie, że był w porozumieniu z diabłem i podjął się tego okropnego zadania.

Demonomania zanikła w Europie pod koniec XVII wieku. Jej czołowym przeciwnikiem był pewien duchowny holenderskiego Kościoła zreformowanego, Balthasar Bekker, który w swym dziele *Świat zaczarowany* dowodził, że ludzie bardzo mało wiedzą o demonach, a demony jeszcze mniej troszczą się o ludzi. Aczkolwiek Bekker został usunięty z urzędu kościelnego, jego ataki odepchnęły falę błędnego rozumowania. Obecnie wielu gorliwych chrześcijan z powodzeniem wyznaje swą wiarę bez wierzenia w personifikowanego diabła i strachu przed jakimikolwiek złymi duchami.

Następnym krokiem w rozwoju zachodniej paniki przed czarownicami było prześladowanie heretyków w XIII i XIV wieku. Nic tak nie zapewnia gorliwości, jak sprzężenie przekonania i własnej korzyści dla wspólnego celu. I tak, w miarę jak w średniowieczu rósł prestiż i potęga Kościoła katolickiego, rosła też jego surowość wobec ugrupowań, które mogły stworzyć konkurencyjną organizację. W końcu doszło do tego, że Kościół nie mógł ścierpieć ani jednego żywego heretyka.

W pierwszych wiekach ery chrześcijańskiej ojcowie

Kościół zalecali, by nakłaniać heretyków do porzucenia wierzeń nie usankcjonowanych przez Kościół za pomocą wszelkich środków perswazji, nie stosując jednak kary śmierci. Jednak w XV wieku teologowie ponownie rozpatrzyli ustęp *Ewangelii św. Jana*, w której przypisał on Jezusowi następujące gniewne słowa: „Ten, kto we mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płonie” *. Ustęp ten stał się podstawą do nakłonienia urzędników świeckich, aby palili heretyków. Twierdzili, że taka egzekucja jest w istocie litościwym czynem, „bowiem”, jak to wyraził święty Hieronim, „kara doczesna może odwrócić wieczne potępienie” **.

Później, w czasie Reformacji, większość sekt protestanckich okazała się równie nietolerancyjna, jak Kościół katolicki. Reformator Jan Kalwin powiedział: „Ktokolwiek będzie teraz utrzymywał, iż karanie heretyków i bluźnierców śmiercią jest niesprawiedliwe, ten świadomie i dobrowolnie weźmie na siebie ich winę” ***. Jednakże protestanckie prześladowania heretyków, choć równie zajadłe jak katolickie, były mniej skuteczne, gdyż Kościoły protestanckie miały mniejszą kontrolę nad władzą świecką i ponieważ protestantyzm z natury popierał różnorodność wierzeń.

Pierwszy na wielką skalę atak na herezję odbył się ok. 1200 roku we Francji. W Langwedocji, w XI wieku, powstała nowa sekta oparta na nauce irańskiego proroka Mani z III stulecia. Członkowie tej sekty, zwani

* *Ewangelia św. Jana* 15, 6. Przekład ks. Jana Drozda w: *Pismo święte*, j.w.

** H. Ch. Lea *A History of Inquisition of the Middle Age*, N. Jork 1887, t. I, s. 214.

*** J. Jastrow *Wish and Wisdom (Episodes in the Vagaries of Belief)*, N. Jork 1935, s. 88.

katarami (czystymi) lub albigensami (od miasta Albi w Langwedocji), głosili wiarę w dobre i złe siły duchowe we wszechświecie. Katarowie aprobowali celibat, wegetarianizm i pacyfizm. Rozkwitłszy w Prowansji sekta rozszerzyła się na całe Bałkany i północną część Włoch, aż stała się dość liczna, by móc otwarcie uprawiać swoje praktyki, urządzać zbory i wybierać własnych biskupów.

W tym punkcie wkroczył do akcji przeciwko katarom papież Innocenty III. Wysłał do Prowansji swych legatów i rozkazał najwyższemu feudałowi tamtego okręgu, hrabiemu Tuluzy, Rajmundowi VI, aby współdziałał z nimi w tępieniu heretyków. Nie chcąc poddawać masakrze połowy swych poddanych, hrabia Tuluzy grał na zwłokę. Wreszcie, w 1207 roku, papież Innocenty III skierował krucjatę przeciwko Prowansalczykom. Chociaż hrabia Rajmund przychylił się poniewczasie do życzeń papieża, krucjata złożona z francuskiego i niemieckiego rycerstwa nie zawróciła z drogi pustosząc Prowansję i wybijając co do nogi 20 000 mieszkańców miasta Béziers.

Wojna ta, mimo swojego okrucieństwa, nie położyła kresu katarom. Papież więc, w nadziei że znajdzie roztropniejsze środki położenia kresu owej herezji, zwrócił się do inkwizycji, grupy biskupów, których zadaniem było wykrywać herezje i domagać się od władz miejscowych ukarania heretyków. W owym okresie, pod papieskim naciskiem, większość krajów zachodnich stosowała jako karę za herezję śmierć przez spalenie. Była to dawna forma egzekucji, oparta zapewne na znanym ludowym wierzeniu, że nie można rozprawić się skutecznie z czarownikiem w żaden inny sposób.

Ale biskupi XIII wieku byli ludźmi światowymi, nazbyt zainteresowanymi w dążeniu do majątku i roz-



Ryc. 16. Inkwizycja: podejrzany przed Świętym Trybunałem.

koszy życia, by tracić czas na wyławianie heretyków. Kiedy Ojciec Święty stwierdził, że inkwizycja działa nieudolnie, postarał się wówczas o lepsze narzędzie, jakim były zakony żebrzące — dominikanie i franciszkanie. Zakonnicy ci wędrowali po kraju, głosząc kazania i żyjąc o żebranym chlebie. Gdy im kazano odszukiwać, chwycić i karać heretyków, ci odpowiedzialni jedynie przed papieżem wędrowni zakonnicy stali się skuteczną i siejącą postrach tajną policją papieską.

Tak oto ukształtowała się w XIII wieku inkwizycja zakonna, nazywana zwykle po prostu inkwizycją. Jej procedura była bez wątpienia „najgorszym zbiorem

prawoznawstwa, jaki wynalazł człowiek"*. Wyznaczano któregoś z mnichów na inkwizytora całego okręgu i mnich ten, nie będąc odpowiedzialnym wobec króla ani duchowieństwa, miał całkowitą swobodę działania. Również poza prawem pozostawały jego najemne zbiry, które przeszukiwały okolice węsząc za podejrzanymi o herezję. Podejrzanych chwymano bez ostrzeżeń i zamykano w odosobnieniu nie mówiąc, o co są oskarżeni, jakie są przeciw nim dowody, nawet nie podając nazwisk ich oskarżycieli.

Każda plotka, pogłoska albo oskarżenie wysunięte przez krewnego stanowiły dostateczny dowód przeciwko podejrzanym o herezję. Rozprawa była tajna; apelacje zazwyczaj ignorowane. Teoretycznie oskarżony mógł najać adwokata, ale niewielu adwokatów chciało występować w takich sprawach w obawie, aby ich nie posądzono o herezję. Inkwizytor mógł zadawać pytania podsuwające odpowiedź i dawać fałszywe obietnice łaski, bo jak powiedział papież Innocenty: „Nie należy dotrzymywać słowa temu, kto nie dotrzymuje słowa Bogu”**.

Podejrzany, który odmawiał przyznania się do winy, mógł być ponownie wtrącony do więzienia i pozostawiony tam przez długie lata dla przemyślenia sprawy. Trudy więzienia zwiększały cele bez okien, łańcuchy, głód. Ponadto, podejrzanych torturowano do woli. Jeśli poddany torturom więzień przyznał się do winy, zabierano go z celi tortur i odczytywano mu jego „dobrowolne” wyznanie herezji. Jeżeli wycofywał przyznanie się do winy, torturowano go ponownie. Zasady prawne, które już się rozwinęły w średniowieczu, przestały dotyczyć podejrzanych o herezję. Nie

* H. Ch. Lea *A History of Inquisition...*, j.w., s. 430.

** Tamże, s. 431.



Ryc. 17. Inkwizycja: sposoby torturowania podejrzanych.

należy sądzić, że hierarchia katolicka w całości składała się z sadystów, ale zdarzali się wśród niej sadyści. Jednakże większość duchowieństwa była po prostu ludźmi ogromnie uprzywilejowanymi, bardzo zamożnymi i bardzo wysoko postawionymi w średniowiecznym świecie; toteż bronili swej pozycji z taką samą bezlitosną zaciętkością, jaką w podobnych okolicznościach stosowali królowie, czy kapitaliści.

Heretyków zazwyczaj nie palono przy pierwszym wykroczeniu. Najpospolitszą karą było dożywotnie

więzienie o chlebie i wodzie, lecz bardzo niewielu ludzi zdołało dłuższy czas przeżyć w podobnych warunkach. Często stosowano pokuty, jak okresowe chłosty, których dokonywał proboszcz, lub długotrwałe pielgrzymki. Pielgrzymki te, odbywane pieszo, były połączone z wielkimi trudami i zajmowały większą część życia ofiar. Pokuta polegająca na noszeniu żółtego krzyża naszytego na ubraniu narażała heretyka na ostracyzm społeczny i żebracze życie. Na domiar złego karę tę można było w każdej chwili zwiększyć.

Jeśli podejrzany był już raz karany, uznawano go za heretyka zatwardziałego i wyzbytego skruchy. Inkwizytor bezzwłocznie przekazywał go władzom świeckim, informując je, że Kościół wyłącza go spod swej opieki, i prosząc, aby władze świeckie obeszły się z nim litościwie. To ostatnie było li tylko zwykłą formułą. Papieże często ostrzegali świeckich urzędników, że jeśli z miejsca nie spalą skazańca na stosie, będą ekskomunikowani za współuczestnictwo w herezji. Ponieważ zaś urzędnicy świeccy dzielili się z Kościołem majątkiem skazańca, zazwyczaj bardzo chętnie spełniali żądania władz kościelnych.

Najwyższy rozkwit niestawnej inkwizycji przypada na XIII wiek, a jej najbardziej ożywiona działalność miała miejsce w Prowansji, gdzie jeszcze przed końcem XIII wieku niemal doszczętnie wyniszczono katarów. Kościół patrzył krzywo również na innych heretyków, jak na przykład waldensów — grupę ortodoksyjnych chrześcijan, którzy buntowali się przeciw tyranii papieskiej, ale tego rodzaju heretycy byli zbyt nieliczni i ubodzy, aby móc spowodować żywą działalność inkwizycji.

Z nadejściem XIV wieku w większości krajów europejskich inkwizycja przycichła. Mimo to, nawet



Ryc. 18. Inkwizycja: akt wiary — heretycy w specjalnych ubiorach, w procesji, przed spaleniem ich.

u schyłku zdołała tak skorumpować swym przykładem sądy świeckie, że coraz to częściej zaczęły one stosować dla wymuszenia zeznań tortury, fałszywe obietnice łaski i inne podobne środki.

Niestety, dzieje inkwizycji nie kończą się na zaprzestaniu ścigania heretyków. Z powstaniem wiedźmomanii pod koniec XV wieku i z rozwojem opozycyjnych sekt protestanckich inkwizycja odrodziła się w krajach katolickich na nowo, a jej metody zostały włączone do podręczników sądzenia czarownic, zarówno u katolików, jak i protestantów.

W ciągu pięciu wieków od upadku Rzymu ludzie żyli sobie w średniowieczu dość szczęśliwie ze swoimi odwiecznymi wierzeniami w czarownice. Duchowni zaś, mówiąc ogólnie, ustosunkowywali się do tego łagodnie. Biskup Agobard, współczesny Karolowi Wielkiemu, żywił przekonanie, że prawdziwe czary nie istnieją, jest tylko wyobraźnia pomyślonych starych bab. Opowiadał on, jak kiedyś wyratował trzech mężczyzn i kobietę, których tłum chciał ukamienować w przekonaniu, że byli czarownikami, którzy spadli na Ziemię z jakiejś piekielnej maszyny latającej.

Średniowieczne kary dla czarownic były na ogół lekkie. Władze cywilne karały je grzywnami, a Kościół pokutą. Uprawianie czarów zaliczano w owych czasach do wykroczeń tego rzędu, co kradzież, cudzołóstwo i morderstwo, a wykroczenia te traktowano po-błażliwie.

W miarę, jak mijały wieki i diabeł chrześcijański osiągnął swoją w pełni rozwiniętą postać, duchowni zaczęli coraz to bardziej dochodzić do przekonania, że czary stanowią rzeczywistą i skuteczną siłę. Rosło wśród nich też i oburzenie na owych świeckich czarowników, którzy współzawodniczyli z nimi w sztuce powściągnięcia demonów. Obstając przy dawnym wierzeniu, że duchy, podobnie jak ludzie, są w części dobre, a w części złe, czarownicy uważali, iż mogą rządzić swoimi demonami nie popełniając przy tym jakiegoś strasznego grzechu. Toteż nadal wiodli swój mizerny żywot opierając się na praktykach z pentagramem i czarach.

Sprawą czarów zajął się gorliwie żyjący w X stuleciu biskup, Regino z Prüm, który w swoim zbiorze praw rządzących światem niewidzialnym pisał:

„Biskupi i ich urzędnicy muszą skierować wszystkie wysiłki na wykorzenienie ze swych parafii zgubnej sztuki czynienia

czarów, wynalezionej przez diabła, i jeśli znajdą mężczyznę lub kobietę oddaną tej niegodziwości, niechaj wyda ją ich okrytych sromem ze swych parafii”.

A dalej:

„Niektóre złe kobiety, zepsute przez diabła, zwiedzione złudnym urojeniem demonów, wierzą i same twierdzą, że jeżdżą nocną porą na zwierzętach razem z Dianą, pogańską boginką, i niezliczonym tłumem innych kobiet, że w nocnej ciszy są powolne jej, jako swej pani, rozkazom i w niektóre noce są przyzywane na jej usługi” *.

Otóż rozsądny biskup Regino wcale nie wierzył, iż owe nocne jazdy naprawdę się zdarzały. Zwał też tych, którzy w nie wierzyli, „niewiernymi”. Jednakże to szeroko rozprzestrzenione w starożytności wierzenie ludowe miało odegrać dużą rolę w późniejszych dysputach nad czarną magią.

Poglądy biskupa Regino zostały później włączone do *Canon Episcopi* mnicha Franciszka Gracjana, który usiłował zebrać i uporządkować to ogromne nagromadzenie przepisów prawa kanonicznego lub kościelnego, które przedłożyli do tej pory ksiądz Kościoła. W XIII wieku Kościół uznał *Canon Episcopi* za swoją autorytatywną doktrynę. W ten sposób niewiara biskupa Regino w nocne jazdy czarownic sprzeciwiła się na pewien czas co wymyślniejszym bajkom o bujających w przestworzach czarownicach, bajkom, które stały się tak popularne w okresie wiedźmomanii. Jednakże, jeszcze w tym samym stuleciu Tomasz z Akwinu i inni scholastycy rozniecili przesadną odrazę do uprawiających czary, obwołując ich heretykami *ipso facto*. Święty Tomasz posunął się nawet do stwierdzenia, że byłoby herezją zaprzeczać istnieniu czarów.

Wzoru dla XV-wiecznych procesów czarownic dostarczył król Filip IV, kiedy sprowadził templariuszy

* Ch. Williams *Witchcraft*, Londyn 1947, s. 72.

z ich głównej siedziby na Cyprze do Francji. Kiedy przybyli, złożył na nich oskarżenie o herezję na ręce papieża Klemensa V, który rezydując w Awinionie był w dużym stopniu uzależniony od władzy królewskiej. Mimo że papież oddalił oskarżenie jako nieuzasadnione, król przekazał sprawę w ręce francuskiej inkwizycji, którą podciągnął pod swoją władzę polityczną. W ciągu kilku lat ponad 1500 templariuszy, zarówno z Cypru jak i tych, którzy stale przebywali we Francji, przyznało się na torturach do winy i zginęło śmiercią heretyków na stosie. Majątek ich przypadł naturalnie zachłannemu królowi, który dla ułagodzenia słabych protestów papieża Klemensa, oddał mu część łupu.

W ciągu dwóch stuleci po upadku templariuszy teologowie zadawali sobie wiele trudu, aby utożsamić magię i czary z herezją. W końcu ich wysiłki wydały owoce. Procesy czarownic zaczęły następować coraz częściej. W roku 1315, Enguerrand de Marigny, zaufany poprzedniego króla, Filipa IV, został powieszony za zdradę, sprzeniewierzenie i rzucanie czarów przez wbijanie szpilek w podobizny swoich wrogów. Później, w 1324 roku, w Irlandii zadawniony spór pomiędzy biskupem z Ossory i Lady Alice Kyteler zakończył się oskarżeniem Lady Alice przez biskupa o zabójstwo za pomocą czarów trzech swoich mężów, doprowadzenie nieomal do śmierci czwartego i przyjmowanie kochanka-demonia. Lady Alice umknęła, lecz jedna z jej towarzyszek, Petronilla de Meath, skłoniona batem biskupa przyznała się do winy i została następnie spalona na stosie.

Takie procesy trwały przez cały wiek następny. W 1419 roku Henryk V, król angielski, oskarżył swą macochę, Joannę Nawarską, o rzucanie czarów. W roku 1430 oskarżono Joannę d'Arc o czczenie demonów. W roku 1441 księżna Gloucester, żona regenta Anglii,

została uznana winną uprawiania magii. W taki sposób został przygotowany grunt dla wielkiej paniki przed czarownicami.

W dzisiejszych czasach słowo „czarownica” przywodzi na myśl obraz starej panny w wysokim kapełuszu, która w wigilię wszystkich świętych pomyka na miotle trzymanej trzonkiem naprzód, różgami do tyłu; albo jakąś nieszczęsną staruszkę paloną na stosie z rozkazu średniowiecznej inkwizycji lub purytanów z Salem. Wszystkie te wyobrażenia są jednak nieścisłe. Niektóre czarownice były męskiego rodzaju; zdarzały się wśród nich osoby młode, osoby zamożne. Źródła oryginalne przedstawiają czarownice na miotłach różgami do przodu, czasem z palącymi się świecami umocowanymi w różgach dla oświetlenia drogi. Wczesna inkwizycja nakazywała palenie heretyków, nie czarownic; wielkie palenia czarownic nastąpiły w wiekach późniejszych. Wreszcie purytanie z Salem nie palili swych czarownic, tylko je wieszali.

Panika przed czarami, która ogarnęła cywilizację zachodnią, wybuchła po raz pierwszy w Arras w 1459 roku. Opowiemy o niej dosyć szczegółowo, bowiem ukazuje ona ową zaraźliwą cechę polowań na czarownice, a także interesowność, którą powodowało się wielu oskarżycieli. Później, gdy wiedźmomania znalazła się w pełni rozkwitu, tortury były tak mistrzowsko i powszechnie stosowane, zaś oskarżenia tak ujednoczone i niewiarygodne, że nikt nie mógł się połapać, o co właściwie chodzi.

Wybuch paniki w Arras nastąpił, kiedy pewien pustelnik z Langres, niejaki Robinet de Vaultx, wyznał na torturach, że widział ładacznicę Deniselle z Douai i przedstawiciela cyganerii artystycznej, Jeana La Vitte z Arras, na zgromadzeniu czarownic. Odda-

wszy pustelnika na pastwę płomieni inkwizytor zaareztował tych dwoje. Gdy La Vitte uciał sobie język, by nie móc odpowiadać na pytania, pomysłowy inkwizytor zmusił go torturami do spisania nazwisk współuczestników zgromadzenia. W sprawę zostało uwikłane tak wiele różnych osobistości miasta, że inkwizytor zląkł się. Jednak za sprawą pewnego dominikanina i oficera księcia Filipa Burgundzkiego, którzy zrozumieli, że oskarżenia te mogą okazać się korzystne, powróciła mu odwaga.

W roku 1460 zgromadzenie księży uznało Deniselle, La Vitte'a oraz ośmiu innych podejrzanych za czarowników i „przekazało” ich świeckim urzędnikom, którzy spalili zapewniających krzykami o swej niewinności skazańców. Nastąpiły dalsze aresztowania i dalsze palenia na stosie. W zamian za bardzo wysokie łapówki niektórym z aresztowanych bogaczy udało się uzyskać kary więzienia albo niewielkiej grzywny i pokuty. Ponieważ takie postępowanie zyskało rozgłos, a oskarżyciele zostali posądzeni o motywy polityczne oraz materialne, książę Filip wysłał do Arras urzędników, w celu zbadania sprawy. Urzędnicy ci, niestety dokonali z żądzy zysku dalszych aresztowań.

W tym właśnie czasie synowie skazanego na siedmioletnie więzienie kawalera de Beaufort uwolnili ojca zbrojną ręką, zawieźli do Paryża, postawili przed parlamentem i zmusili władze, by przesłuchały również innych więźniów. Oskarżeni wytoczyli wówczas długotrwały proces swoim prześladowcom. Trzydzieści lat później parlament ostatecznie anulował ich wyroki i zarządził restytucję dóbr ofiarom, z których wszystkie, oprócz jednej zdążyły już umrzeć. Inkwizytorzy, których udało się odnaleźć, zostali obłożeni grzywną — jedyny ze znanych wypadek, kiedy inkwizytor

został ukarany przez sąd świecki za urzędową działalność.

Z końcem XV wieku wiedźmomania osiągnęła rozmiary prowadzące do paniki. Papież Innocenty VIII wydał bullę przeciwko uprawianiu czarów stwierdzając, że w częściach północnych Niemiec „wiele osób płci obojga, nie bacząc na własne zbawienie i odbiegając od wiary katolickiej, oddało się diabłu” *. Następnie papież wylicza ich potworne zbrodnie przeciw człowiekowi i naturze i potępia zarówno sceptyków, jak i pretendentów do wiedzy tajemnej. Kończy żądaniem, aby mieszkańcy północnych Niemiec udzielili jak najdalej idącej pomocy inkwizytorom, zakonnikom Jacobowi Sprengerowi i Heinrichowi Krämerowi, czego dotychczas złośliwie nie czynili.

W świętym oburzeniu na powściągliwy kler niemiecki, który nie chciał widzieć heretyka w każdym mieszkańcu szopy, Krämer zasiadł do pisania — w czym pomógł mu drugi inkwizytor — wielkiego traktatu o czarownicach i metodach postępowania z nimi. Jego *Malleus Maleficarum*, czyli *Młot na czarownice* został opublikowany w roku 1490, z bullą papieża Innocentego jako wstępem. Datę tę można przyjąć za początek głównego okresu paniki przed czarownicami, zaś odwołanie członków sądu przysięgłych w Salem w 1693 roku za koniec.

Młot na czarownice, kompilacja wiedzy o czarownicach, ich prawach i obyczajach, w sposób kompetentny zsyntetyzowanych i ściśle udokumentowanych, stał się w krajach katolickich biblią łowców czarownic. Pierwsza z trzech części dzieła traktuje o „trzech koniecznych współczynnikach czarnoksięstwa, którymi są

* T. Wright *Narratives of Sorcery and Magic*, 2 t., Bentley. Londyn 1851, s. 72.

diabeł, czarownica i przyzwolenie Boga Wszechmogącego”. Krämer dowodzi, że diabeł pragnie zająć miejsce Boga na ziemi i w tym celu — rzecz dziwna, z przyzwoleniem bożym — tworzy ogromną konspirację przeciw Prawdziwej Wierze i uporządkowanym rządóm, mając za swe narzędzie czarownice.

Druga część tomu zawiera szczegółowy opis czynów czarownic. Cytując dzieła klasyczne oraz miejscowe przesady, Krämer omawia: pakt z diabłem; sabaty, czyli zgromadzenia, na których diabeł wyznacza czarownicom ich dalsze zadania; i praktyki magiczne, które są znakami porozumiewawczymi czarownic z ich przyjaciółmi czartami.

Trzecia część *Młota* zajmuje się metodami zwalczania czarów. W stosunku do ludzi opętanych lub zczarowanych można próbować wody święconej, egzorcyzmów i podobnych rzeczy, lecz autor nie gwarantuje wcale pomyślnego skutku. Lęk przed tym, że nie ma skutecznego środka na czary, wyjaśnia w części ów strach, jakie czarnoksiężstwo budziło w średniowieczu, a także nadal budzi w niektórych krajach. Aby uwolnić społeczeństwo od czarownic, autorzy *Młota* zalecają bezlitosną i perfidną procedurę prawną, którą inkwizycja stosowała w procesach o herezję — z tą różnicą, że podczas gdy zwykli heretycy mogli wymigać się pokutą, czarownice zawsze spotykała śmierć.

Traktaty o czarach stały się kwitującym gatunkiem literackim doby reformacji. Te fantastyczne opowieści o poczynaniach czarownic mogłyby być lekturą dość zabawną, gdyby nie świadomość faktu, że tysiące ludzi padło ofiarą bezlitosnych mordów, ponieważ ludzie jakoby cywilizowani dali tym opowieściom wiarę. Owe potworne księgi wykazują, z wyjątkiem drobnych szczegółów, monotonne podobieństwo. Na przykład, sędzia Nicolas Remi, za którego kadencji stracono

w Lotaryngii 900 czarownic, pisał, że czarownica potrafi jednym spojrzeniem skorumpować sędziego; natomiast inny równie wybitny sędzia, Henri Boguet, uważał to za zwykły przesąd. Z drugiej strony, Henri Boguet zalecał palenie na stosie nawet najmniejszych dzieci, podczas gdy łowca czarownic, Jean Bodin, skłaniał się do nakładania na nie lżejszych kar niż śmierć.

Łowcy czarownic rekrutowali się z najrozmaitszych rodzajów ludzi. Z jednej strony byli to intelektualiści, jak Jean Bodin, nie tylko znakomity jurysta, ale też i pionier filozofii politycznej; z drugiej ciemni, chciwi donosiciele, jak Matthew Hopkins, który podróżował po hrabstwie Essex za czasów Cromwella. Za cenę 20 szylingów chwycił kilka kobiet w każdym mieście, po czym płaścił je, kłuł i maltretował, jak tylko się dało, póki nie przyznały się do winy, a wówczas je wieszał.

Nikt nie wie, ilu ludzi zabito w XVI i XVII wieku pod zarzutem czarów, kiedy panika ta rozszalała się w całej Europie. Podawane liczby różnią się znacznie. Liczba 750 000 ofiar dla całej Europy wydaje się oceną rozsądną; na samą Anglię w tym okresie przypada około 1000. Nikt nigdy nie zdoła określić dokładnie, ile zginęło osób; jest jednak pewne, że wśród ofiar było siedem razy więcej kobiet niż mężczyzn, oraz że obok procesów legalnych, zdarzało się również wiele samosądów, które nie pozostawiły żadnych śladów w aktach.

W wieku XVII panika przed czarownicami przybrała na gwałtowności. Szaleństwo to nie miało jednego szczytu, lecz szereg szczytów mniejszych, w różnych miejscowościach. W Anglii, na przykład, najgwałtowniejszy wybuch tego obłędu wystąpił w hrabstwie Essex w latach 1570-80, a następny wybuch

tej „epidemii” nastąpił w hrabstwach Kent i Essex w latach 1640 - 50.

Torturowanie ofiar osiągnęło zenit z początkiem XVII wieku i było powszechnie stosowane, zwłaszcza w Niemczech i Szkocji. Wymyślono całe komplety straszliwych narzędzi; żelazne krzesło podgrzewane do czerwoności; żelazny but, który wkładano na nogę podejrzanego i stawiano na plenisku; ramę do druzgotania nóg i wiele, wiele innych. W 1589 roku w Nördlingen, torturowano pewną kobietę 56 razy, zanim jej wreszcie pozwolono umrzeć.

W Anglii i jej koloniach czarownice zazwyczaj wieszano; palono je tylko wtedy, gdy sprowadzały śmierć na swoich współmałżonków. W Szkocji na ogół najpierw je duszono, a potem palono ich ciała, a w specjalnych wypadkach palono je żywcem. Gdzie indziej czarownice z reguły palono żywcem; a w XVII wieku szarpano nieszczęsne istoty rozpalonymi do czerwoności obcęgami przed wtrąceniem w płomień.

Mania prześladowania czarownic osiągnęła rozmiary epidemii we Francji, Niemczech, Szwajcarii i Szkocji. Głównym ośrodkiem tego obłędu była dolna część Nadrenii, ta sama kraina, gdzie w czasach Karola Wielkiego wystrzeliły nad bagnisko średniowiecza pierwsze delikatne pędy cywilizacji zachodniej. Mania zaatakowała zarówno katolików obrządku rzymskiego, jak i szkockich kalwinistów, jednakże szkoccy łowcy czarownic ograniczyli swoją działalność tylko do nizin, gdyż wojowniczy górale nigdy by na nią nie zezwolili.

Niderlandy, Irlandia i Portugalia zachowały się stosunkowo łagodnie. Najprzyzwoitsze były pod tym względem Anglia i — o dziwo — Hiszpania. W Anglii tortury, pomijając ogromnie rzadkie okoliczności, nigdy nie były legalne. Stosowano, oczywiście, brutalne

Ein erschütterliche geschicht / so zu Dornenburg in der Graff-

schafft Kempten am Sarz gelegen von dreyen Gauberein vmb zwapen
Hraim / In welchem tagen des künigz Maximilian Im 1555. Jare ergangen ist.



Ryc. 19. Czarownice płonące na stosie w Góracz Harzu, w Niemczecz, w 1555 roku.

postępowanie podobne do tzw. badań trzeciego stopnia stosowanych przez policję amerykańską. Mimo to, znamienne jest, że w Anglii bardzo mało oskarżonych o czynienie czarów przyznało się do winy; natomiast w Szkocji i na kontynencie europejskim, gdzie stosowano tortury do woli, olbrzymia większość przyznawała się do nieprawdopodobnych czynów.

Mania prześladowania czarownic nawiedziła Hiszpanię dość późno, choć kraj obfitował w czarowników, którzy zajmowali się odnajdywaniem skarbów lub sprzedają amuletów przeciw czarom. Hiszpańska inkwizycja była w dużym stopniu niezależniona od Rzymu. Współpracowała ona z królami hiszpańskimi w dążeniu do ich politycznych celów i wyładowywała energię na prześladowania żydów, maurów i heretyków. Poprzez wydalenie z kraju większości inteligentnych i pracowitych ludzi, i stłumienie działalności intelektualnej pozostałych, hiszpańska inkwizycja wtrąciła kraj w stan ciemnoty i ubóstwa, z którego do dziś nie zdołał się podźwignąć.

Jednakże w sprawie łowów na czarownice hiszpańska inkwizycja wykazała szczególną powściągliwość. Po wybuchu tej manii w Nawarze, Suprema, czyli Sąd Najwyższy Inkwizycji, wysłał inteligentnego inkwizytora, Alonza Salazara de Frias, aby zbadał sprawę. Raport jego stał się ostatecznym rozpoznaniem hiszpańskiej fobii przed czarownicami.

Salazar stwierdził, że oskarżenia były wyssane z palca, że dziewice przyznawały się do utrzymywania stosunków płciowych z diabłem, dzieci donosiły o wielkich zebraniach czarownic w miejscach, gdzie jego własni wysłańcy spędzili na czuwaniu całą noc i nic nie dostrzegli. Dowiedział się również, że przyznanie się do winy osiągnano za pomocą rozżarzonych węgli i że krewni oskarżonych usilnie się do tego przykła-

dali. Niektórzy oskarżyciele mieli na widoku pozbycie się wrogów; inni pragnęli w ten sposób zwrócić na siebie uwagę i zyskać rozgłos. W roku 1614 Suprema wydała zbiór przepisów dotyczących procesów o czary, opartych na mądrych wskazówkach Salazara. Od tego czasu w Hiszpanii było bardzo niewiele takich procesów, a jeszcze mniej wypadków spalenia stosie.

W Ameryce najbardziej znana epidemia łowów na czarownice wybuchła pod koniec manii europejskiej. Podobnie jak w Europie, obłęd ten rozpoczął się powoli od nielicznych prześladowań czarownic w różnych koloniach i ponawiał się w dużych odstępach czasu. Nabrał dopiero siły po sławetnym procesie w Bostonie, kiedy to dzieci „statecznego i świątobliwego” Johna Goodwina oskarżyły praczkę o rzucenie na nie czarów. Pod tym zarzutem stara wdowa, Goody Glover, nieco upośledzona na umyśle irlandzka katoliczka, została bezzwłocznie wtrącona do więzienia.

Otóż czołowymi przedstawicielami purytańskich duchownych w Nowej Anglii byli w owym czasie Increase Mather i jego syn Cotton. Byli to zdolni, energiczni ludzie, którzy przewodzili całej społeczności w sprawach politycznych i intelektualnych. Zwłaszcza Cotton Mather wyprzedzał często własne czasy; był orędownikiem nowej techniki szczepienia ospy zaproponowanej przez doktora Z. Boylsona, która spotkała się z tak silną opozycją, że jeden z jej przeciwników wrzucił bombę do domu pastora Mathera. Mimo to, na ironię losu, Cotton Mather najbardziej się upamiętnił tym, że stanął na pozycji przesądu i reakcji.

Wielebny Cotton Mather zainteresował się sprawą Goody Glover. W czasie procesu wziął do swego domu jedno z dzieci Goodwina i później napisał książkę o swych doświadczeniach z rodziną Goodwinów. Z całą powagą zanotował, że: „...zwłaszcza, gdy rodzice

choćby najłagodniej karcili je za jakąś niestosowną rzecz, którą powiedziały albo uczyniły, okropnie bolesne i przerażające męki spadały na dzieci. Jeśli należało zrobić jaką pożyteczną pracę, napotykały najrozmaitsze przeszkody”*. Ze zdumiewającą niezajomością dziecięcej psychologii Mather przypisywał te błazeństwa nadnaturalnym poczynaniom niešťycznej Goody Glover, która po pewnym czasie została powieszona.

Proces Goody Glover zapoczątkował w Salem panikę przed czarownicami. W roku 1692 pastorem purytańskim w Salem był wielebny Samuel Parris, człowiek o dużym zamiłowaniu do wścibstwa i silnej wierze w istnienie czarownic. Ponadto pozostawał w sporze z większością swych parafian o prawo do domu, który zamieszkiwał. Wkrótce po procesie Goody Glover, dziewięcioletnia córka pastora, Elizabeth, jej jedenaśtoletnia kuzynka Abigail Williams i dwunastoletnia przyjaciółka dziewczynek, Anne Putnam, zaczęły się dziwnie zachowywać: „zaszywając się w różne kąty, wczolgując się pod krzesła i ławy, przyjmując różne dziwne pozy, strojąc błazeńskie miny i wygłaszając głupie i śmieszne mowy...”**.

Wielebny Parris zaważwał lekarzy. Jeden z lekarzy napomknął o czarach, co dziewczynki szybko podchwyciły i oskarżyły Titubę, żonę Indianina Johna, niewolnika Parrisa, o rzucenie na nie czarów. Tituba została uwięziona i (jak oświadczyła później) biciem zmuszona do przyznania się do winy oraz wskazania współników. Następnie dziewczynki oskarżyły dwie ubogie staruszki z Salem, Sarah Good i Sarah Osburn, które również zamknięto.

* G. L. Burr (wyd.) *Narratives of the Witchcraft Cases (1648 - 1706)*, Scribner's, N. Jork 1914, s. 109.

** Tamże, s. 341.

Terror rozprzestrzenił się jak pożar stepu. Nowy gubernator kolonii, Sir William Phips, zdolny, wybijający się człowiek, nie dorósł do swego zadania i zwrócił się o pomoc do duchownych. Utworzyli oni komitet, w skład którego wszedł również Increase Mather i przedstawili mu raport wyrażający ubolewanie z powodu zaistniałego stanu i zalecający „szybkie i energiczne kroki sądowe”, jednakże „z zachowaniem nadzwyczajnej delikatności wobec oskarżonych” *.

Phips utworzył sąd specjalny o wątpliwej legalności. Sąd ten pod kierownictwem fanatycznego zastępcy gubernatora, Williama Stoughtona, zignorował ostrzeżenie o „nadzwyczajnej delikatności”, przyjmując, podobnie jak większość łowców czarownic, że Bóg nie pozwoliłby cierpieć niewinnym. Cotton Mather regularnie uczestniczył w posiedzeniach sądu i podjudzał przysięgłych.

W tym czasie pojawił się niejaki Joseph Ring, zawodowy donosiciel, który zaczął opowiadać fantastyczne bajdy o tym, jak diabły włóczyły go po całym świecie. Kilka starszych salemianek dołączyło swoje oskarżenie, zaś John Indianin, aby uratować własną skórę, oskarżał wszystkich na lewo i prawo. Wszyscy utrzymywali, że są prześladowani przez upiorne zjawy oskarżonych. Widzieli diabły podpowiadające oskarżonym w sądzie; naśladowali ruchy oskarżonych, wykrzykując, że są do tego w jakiś tajemniczy sposób zniewoleni; dostawali spazmów za zbliżeniem się któregoś z oskarżonych. Wszystko to było skrzętnie przyjmowane za dowód winy. Tituba oraz Sarah Good zostały powieszona, a Sarah Osburn umarła w więzieniu.

* K. B. Murdock *Increase Mather: The Foremost American Puritan*, Harvard Univ. Pr., Cambridge, Mass. 1925, s. 405.

Wysuwano dalsze oskarżenia, przeprowadzano dalsze procesy. Interesujące jest, iż niemal wszyscy podejrzani albo należeli do antyparrisowskiej frakcji w parafii, albo byli ludźmi, którzy wyrażali swą niewiarę w czary. Aczkolwiek prawo nie zezwalało na torturowanie, mimo to byli wiązani, pozbawiani snu i nękanii na inne sposoby, aż wielu z nich przyznawało się do nocnych lotów, podpisywania diabelskich cyrografów i wykonywania diabelskich poleceń. Ci, którzy się przyznali, byli skazywani na więzienie, innych, odmawiających przyznania się do winy, na ogół wieszano. Stary Giles Corey, którego żona została skazana na śmierć, nie chciał wypowiedzieć słów: „poddaję się dobrowolnie próbie”; wstrzymał tym postępowanie sądowe, więc (zgodnie z praktyką stosowaną odnośnie tak uporczywych przypadków) położono na nim deskę, na którą kładziono coraz to większe ciężary, póki nie wyzionął ducha.

W miarę rozprzestrzeniania się epidemii, toczył się proces za procesem. Poprzedni pastor w Salem, George Burroughs, został aresztowany w swej nowej parafii i postawiony przed sądem. Oskarżyciele nazwali go przywódcą miejscowego sabatu czarownic i zarzucili mu zamordowanie swoich dwóch żon. Fakt, że pastor potrafił utrzymać muszkiet w wyprostowanej ręce, uznano za dowód diabelskiej pomocy. Powieszono go 19 sierpnia. Przed śmiercią wygłosił wzruszającą mowę, w której dowodził swej niewinności i wyrecytował *Modlitwę Pańską*.

Niezdolność poprawnego wyrecytowania słów modlitwy poczytywano za dowód uprawiania czarów i Cotton Mather wykorzystał tę słabą stronę w przypadku niepiśmiennej Goody Glover. Jednak nieskazitelne ich wyrecytowanie przez Burroughsa wcale go

nie ocaliło. Postarał się o to Mather, dając szczytowy wyraz najwyższej nielogiczności:

„Oskarżyciele mówili, że Czarny stanął obok niego i dyktował mu te słowa; a gdy go powieszono, Cotton Mather, siedzący na koniu, zwrócił się do ludu, aby oświadczyć, że skazany nie był wyświęcony na pastora, i zapoznał lud z jego przewinieniem; dokonał tego mówiąc, że diabeł często przyjmuje postać anioła światłości...” *.

Wkrótce po tym skazano Sarah Martin za to, że podobno przeszła w dzień deszczowy z Amesbury do Newbury i nie zmokła. Kiedy uniewinniono sędziwą, zącą matronę Rebeke Nurse, jej oskarżyciele podnieśli taki wrzask, że sędziowie — niezgodnie z prawem — zmusili sąd przysięgłych do zmiany werdyktu, a gubernatora do wycofania unieważnienia wyroku. W szczytowym punkcie szału zabito nawet dwa psy jako diabły. Później obłąd objął również Andover, gdzie oskarżono ponad pięćdziesiąt osób.

Gdy powieszono dziewiętnaście osób, a jedną zaduszono na śmierć, łowcy czarownic w końcu przeholowali. Oskarżyli jednego z czołowych pastorów kolonii, żonę drugiego pastora i wreszcie żonę samego gubernatora. Phips spiesznie rozwiązał sąd specjalny i wyznaczył inny, który zwolnił wszystkich z wyjątkiem trzech podejrzanych. Tych uwolnił sam Phips; wydał również amnestię dla uprzednio skazanych czarownic, które jeszcze męczyły się w więzieniu.

W ten sposób panika przed czarownicami ustąpiła, pozostawiając po sobie obszerną literaturę. Niektórzy z odpowiedzialnych za ten obłąd ludzi usiłowali odpokutować za swoje winy. Parris został przepędzony z ambony w Salem. Samuel Sewall, jeden z sędziów, stojąc przed kongregacją kazał odczytać pismo, w któ-

* G. L. Burr, *Narratives of the Witchcraft Cases*, j.w., s. 360.



Ryc. 20. Średniowieczne czarownice uprawiające magię.

rym pokornie przeproszał za swój udział w aferze. Sędziowie przysięgli podpisali podobne wyznania.

Te akty skruchy nie mogły jednak pomóc ludziom, którzy stracili życie lub majątek; bowiem majątek wszystkich podejrzanych przechodził na własność szejfy i tylko nieliczni zdołali odzyskać choć znikomą jego część, niezależnie od wyniku sprawy. Mimo wszystko wieści o kajaniu się dotarły do Anglii i pomogły również tam do zduszenia manii. Kilka lat później Anna Putnam przyznała się do oszustwa, winiąc za swe postępowanie diabła. W końcu nawet Cotton Mather zaczął pomrukiwać, że w procesach w Salem było „nieco przesady”.

Salemska panika przed czarownicami wyznacza kres trwającego przeszło dwa wieki terroru, który przeciągnął przez kraje cywilizacji zachodniej. Terror ten ustąpił powoli, niby odpływająca fala i właściwie bez przyczyny.

Zawsze istnieli ludzie, którzy do czarów odnosili się sceptycznie, chociaż przez całe wieki bardzo niewiele odważało się do tego przyznać. Jednym z odważnych był demonolog Weiher. W roku 1563 przedstawił swe wywody, że diabły niezaprzeczalnie istnieją, ale wszelkie czary są czczym złudzeniem stwarzanym przez te diabły dla spowodowania ludzkiego cierpienia. Dowody Weihera są słabe, ale nie można odmówić mu odwagi. Mimo że cieszył się protekcją księcia Cleves, wypowiadając podobne poglądy ryzykował życie.

Inni nie kryjący się ze swoim sceptycyzmem ludzie ciężko za to odpokutowali. W roku 1589, Dietrich Flade, rektor Uniwersytetu w Treves, zapłacił za swą szczerość życiem. Przewodnicząc w procesach czarownic i wiele z nich skazując, przekonał się z czasem o niewinności ofiar i zaczął jawnie głosić o tym. Został

aresztowany, zmuszony torturami do odwołania swoich słów i spalony. W roku 1593 Cornelius Loos ogłosił dzieło potępiające szal ścigania czarownic i uniknął losu Flade'a tylko dlatego, że umarł w czasie zarazy. Książki innych sceptyków wycofywano z obiegu, jeżeli nawet nie prześladowano samych autorów. Nie ma żadnego bezpośredniego dowodu, że którekolwiek z tych dzieł skierowanych przeciwko łowom na czarownice pomogło uciszyć panikę, bowiem nowe myśli rozchodziły się w owych czasach bardzo wolno.

Nie możemy dokładnie stwierdzić, czemu lęk przed czarownicami ustał pod koniec XVII stulecia; wiemy jedynie, że ustał. Wiara w czynniki nadprzyrodzone zaczęła wtedy już od pewnego czasu słabnąć, aż ostatecznie stała się całkiem niemodna. W Anglii ostatnia egzekucja za uprawianie czarów miała miejsce w roku 1682, ostatni wyrok skazujący, wydany na Jane Wenham w 1712, nie został wykonany, gdyż sędzia wystąpił do króla o prawo łaski dla nieszczęśliwej kobiety. W roku 1736 stare angielskie prawo dotyczące uprawiania czarów zostało zastąpione łagodnym statutem. Statut ten określał mianem wykroczenia wszelkie „udawanie” posługiwania się siłami tajemnymi z chęci zysku. Ostatnia legalna egzekucja za uprawianie czarów w Europie odbyła się w roku 1782 w Szwajcarii; ale w Meksyku skazano na śmierć czarownicę jeszcze w roku 1860.

Lęk przed czarownicami nie wygasł jednak zupełnie w ośrodkach wiejskich. Skryte znęcanie się nad podejrzanymi o czary praktykowane jest gdzieś tam na niewielką skalę do dziś. We Francji, w roku 1850, sąd orzekł wyrok skazujący na małżeństwo Soubervie za to, że wypalili usta rozgrzanym do czerwoności żelazem posądzoną o czary staruszkę, która wskutek

tęgo zmarła. W roku 1895, w Irlandii, Michael Cleary spalił własną żonę, gdyż posądzal ją o czary.

W obecnym stuleciu miała miejsce pewna liczba „mordów czarownic” wśród Niemców osiadłych w Pensylwanii. W roku 1928, John Blymire z Jorku w Pensylwanii posiekał i spalił starego Nelsona Rehmeyera. Blymire twierdził, że stary rzucał na niego uroki i odmówił wydania swej księgi magicznej.

Jeszcze w marcu 1964 roku doniesiono o przypadku wiary w demony. Pewien chłop z okolic Agrigento, na Sycylii, przywiózł do szpitala umierającą żonę z wyrwaną połową twarzy. Oświadczył on władzom, że zdarł jej ciało z twarzy paznokciami, nożem i nożyczkami, aby uwolnić ją od złych duchów, które ją opętały*.

Przesądni wieśniacy nie są osamotnieni w swych lękach przed demonami i czarownicami. Lęki te opanowują czasem ludzi rzekomo inteligentnych i wykształconych. Jednym z nich był duchowny Kościoła anglikańskiego, silnie skłaniający się ku katolicyzmowi, wielbny Montague Summers, który zyskał rozgłos dzięki swej erudycji w dziedzinie sztuki czarno-księskiej i znajomości teatru okresu Restauracji. Summers napisał kilka dzieł na temat sztuki czarno-księskiej, a także przetłumaczył oraz wydał pewną liczbę wcześniejszych traktatów na ten temat.

Pastor Summers wierzył w demony, czarownice, wampiry, wilkołaki, zjawy uwodzące kobiety podczas snu i pozostałą świtę diabła. Sądził, że katarowie z Prowansji rzeczywiście brali udział w wielkim szatańskim spisku przeciw cywilizacji. Pisał o inkwizycji, że

„...gdyby ten jakże doskonały trybunał zachował pełnię swolch prerogatyw i pełnię swych zbawiennych mocy, świat

* „New York Times”, 22 marzec 1964, s. 44.

byłby dzisiaj w dalece szczęśliwszym i bardziej uporządkowanym stanie” *.

Krótko mówiąc, Summers chciał odrodzić panikę przed czarownicami, razem z kołem tortur, narzędziem do ściskania palcy i stosem całopalnym.

Ponieważ nazwisko Summersa jest znane, czytelnicy, którzy stykają się z jego dziełem po raz pierwszy, mogą dać się zwieść jego dźwięcznej, archaizowanej prozie i wojowniczej pewności siebie. Jednak wnikliwy czytelnik wkrótce spostrzeże, iż większość argumentów to czcze wyzwiska. Summers czyni aluzje do heretyków jako „wściekłych anarchistów, usiłujących zniszczyć wszelki porządek społeczny”, łowców czarownic nazywa „świętymi i czcigodnymi kapłanami”, a ich nowoczesnych krytyków określa mianem „brudnych materialistów”, pełnych „ślepego przesądu”. Aczkolwiek dzieła Summersa udostępniają masę informacji na temat czarów, jego krwiożerczy fanatyzm, tendencyjność i specjalne naświetlenie sprawiły, że wnioski, do jakich doszedł, są zupełnie bezwartościowe.

Tym niemniej, mogłoby powstać pytanie: a co z prawdziwymi czarownicami w cywilizacji zachodniej? W poprzednich rozdziałach mówiliśmy przecież o czarownicach, czarownikach, czarnoksiężnikach i innych ludziach uprawiających czarną magię, jako ludziach rzeczywiście istniejących, ludziach przypisujących sobie tajemne moce, za które z całą pewnością zyskałoby karę śmierci w czasie wielkiej europejskiej paniki przed czarownicami. Co się z nimi stało? Czy istotnie posiadali jakąś moc? Czyżby więc istniały faktyczne podstawy do oskarżeń wysuwanych przez inkwizytorów? Ten temat zasługuje na osobny rozdział i tym właśnie tematem zajmiemy się obecnie.

* J. Sprenger i H. Krämer *Młot na czarownice* s. XVIII.

POMIĘDZY NIEBEM A PIEKŁEM

„Czemu stopiłaś woskowego ludka,
Helenko?”
„Czas był długi, choć praca króciutka,
Braciszku”.
(O Matko, Mario Matko,
Trzeci dzień mija między Niebem a Piekłem!)*

D. G. Rosetti

Okrutni i nieobliczalni byli łowcy czarownic. Widzieli czarownicę w każdej zmęczonej, wynędzniałej twarzy i przypisywali jej moce urągające wszelkim prawom grawitacji, wszelkim zasadom leczenia. Jednakże uprawianie czarów nie było tylko i wyłącznie tworem wyobraźni.

Czary uprawiano na całym świecie, we wszystkich wiekach i wszystkich społeczeństwach. Świadczą o tym dzieła sztuki ludów prymitywnych oraz starożytnych i najwcześniejsze źródła pisane. W istocie to samo umiłowanie cudowności i lęk przed nieznanym, które przyczyniły się do powstania sztuki czarnoksięskiej, zapoczątkowały również pierwsze pojęcia religijne.

W poprzednim rozdziale mówiliśmy trochę o wierze w czary. O terrorze, jaki wiara ta wzbudziła i ludzkiej krzywdzie, którą ów terror zrodził. W niniejszym roz-

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: D. G. Rosetti *Sister Helen*, 11. 1 - 7.

dziale przyjrzymy się praktykom czarnoksięskim w naszej cywilizacji. Zobaczymy, jacy ludzie zajmowali się w przeszłości magią i dokąd ich to doprowadziło. Zobaczymy, że uprawianie magii jest sztuką wciąż żywą i że ma ona wciąż moc nad tymi, którzy w nią wierzą.

Czarownice, ów podejrzany margines magicznej profesji, działały amatorsko i zawodowo, pojedynczo i grupami. Na przestrzeni całych dziejów poszczególne czarownice warzyły napoje, mruzczały zaklęcia i zgarbiały datki, nie pozostawiając żadnych świadectw co do liczby swych klientów czy miary osiągniętego rezultatu. Wiemy, że żyły z ludzkiej łatwowierności; wiemy też, że owo życie było bardzo nędzne. Ich władza nad istotami nie z tego świata była, skromnie mówiąc, wątpliwa. Dla nowoczesnego człowieka o naukowym spojrzeniu na świat samo istnienie pomocnika czarownicy — tego specjalnego ducha pozbawionego ziemskiej powłoki, „wspólnika wiedzy” — jest jeszcze bardziej wątpliwe.

Aczkolwiek mało posiadamy danych i nie istnieje żadna wiarygodna statystyka osiągnięć indywidualnych czarownic, wiemy, że ich intencje były różne. Niektóre, powodowane chęcią zyskania pieniędzy lub darów, starały się dla swoich klientów pozyskać zaklęciami serce ukochanego, ukrećić łeb wrogowi lub zdobyć władzę i majątek. Inne używały swoich wątpliwych umiejętności w tak nieszkodliwych celach, jak odzyskanie zgubionych przedmiotów lub leczenie chorych.

Jakieś wieśniaczki odkryły, że okłady ze spleśniałego chleba przyspieszają gojenie się ran, a z miejscowych ziół można uzyskać uśmierzające ból wywary, i stosowały te swojskie metody do leczenia ran i bólów brzucha swoich bliźnich. Aby uczynić okład czy wywar bardziej frapującym i skuteczniejszym, często

dodawały kilka zdań magicznych. My, którzy wiemy coś niecoś o sile znaczenia sugestii, łatwo rozumiemy, jak podtrzymujące na duchu słowa mogą spotęgować słabą skuteczność leków. Rozumiemy również, jak zazdrośni, podstępni lub bojaźliwi ludzie mogli przypisywać uzdrowienie czarom i dopatrywać się w niewinnym kocie znachorki wcielenia diabła.

Tak wielki był strach przed czarami w dobie oblędu na punkcie czarownic, że za stosowanie magii wiele osób skazano na śmierć, choć ich intencje były dobre, a cel szlachetny. Wśród zakurzonych, pięknie wykaliografowanych dokumentów prawnych XVI-wiecznego sądu w Szkocji znajduje się protokół śmierci przez uduszenie i spalenie za tak proste praktyki magiczne, że aż niemal śmieszne. Niejaka Agnes Sampson z North Berwick Kirk wyznała na torturach, których osobiście doglądał król Jakub, że stosowała przed snem następujące zaklęcie:

„Mateuszu, Marku, Łukaszu i Janie
Błogosławcie moje na łożu tym spanie”*.

Dzisiaj taki nieudolny wiersz brzmi niewinnie, lub nawet pobożnie; trzy stulecia temu uważany był za straszny grzech.

Trudno teraz nam — stykającym się z wciąż rosnącą masą faktów naukowych — wyobrazić sobie bezgraniczną ciemnotę naszych przodków i ich łatwość popadania w strach. W czasach, gdy człowiek, który strzygł ludziom włosy, trudnił się również chirurgią, kiedy filozofowie wiedli długotrwałe spory, ile diabłów może się zmieścić na główce od szpilki, kiedy miejscowi kapłani przestrzegali swych parafian, by

* E. Lynn Linton *Witch Stories*, Chapman & Hall, London 1861, s. 30.

nie zadawali się z diabłami, każda nieprzeciętna wiedza musiała być przypisywana paktom ze złymi duchami.

Niewiele posiadamy materiałów odnośnie do sztuk magicznych tych czarownic, które pracując w samotności siały przestach w przesądnych sercach swoich ziomek. Dużo częstsze i dokładniejsze są protokoły sądowe dotyczące czarów uprawianych przez grupy amatorów, którym pomagał jeden lub więcej płatnych ekspertów. Obie metody powstały spontanicznie. Ich cele były różne, techniki podobne, lecz nie identyczne, osiągnięcia wątpliwe. Jednakże popełnianie niesławnych zbrodni podczas obrzędów magicznych zdarzało się z monotonną regularnością.

Niegdyś próbowano czarów w celach politycznych. Na przykład, w Egipcie około roku 1300 p.n.e. grupa urzędników i kobiet z haremu zawiązała spisek przeciw Ramzesowi III. Przywódca spisku, Hui, dozorca królewskiego stada, pożyczył księgę magiczną z biblioteki samego faraona. Hui powypisywał zaklęcia, od których ludzie szaleli ze strachu; zrobił woskowe podobizny, które paraliżowały osoby w nich przedstawione, spowodował przeszmuglowanie amuletów do pałacu. Ramzes, który, o dziwo, przeżył tę napaść, odkrył spisek i wydał rozkaz, aby złoczyńcy „umarli z własnej ręki” *.

Czasem, dla osobistego zysku, uprawiano zbiorowe czary. Dość często zdarzało się, że w takich imprezach brali udział księża-odstępcy, bowiem z tytułu swego zawodu znali zasady magii. Fray Miguel Rexasque przyznał się hiszpańskiej inkwizycji do poszukiwania skarbów przy użyciu magii. Najpierw — wy-

* Budge, s. 75.

jaśniał — kopał z kilkoma przyjaciółmi dół. Potem pewien mnich włoski zakreślał gałązką oliwną krąg i wewnątrz kręgu zapalał świecę. Następnie poszukiwacze skarbów palili kadzidła i przyzywali anioły, by przepędziły demony, które strzegły skarbu na użytek antychrysta. Wreszcie dziewczica patrzyła w lustro i otrzymywała odpowiedź od demona. Protokół nie wspomina, czy kiedykolwiek znaleźli jakiś skarb, wiemy jednak, że wyrozumieli inkwizytorzy stosowali w stosunku do poszukiwaczy skarbów tylko umiarkowane pokuty i krótkotrwałe wygnania.

Czary stosowano często dla pozyskania lub zatrzymania kochanka, albo w celu zapewnienia płodności. Ale tam, gdzie uczestnicy tych zabiegów pochodzili z królewskiego rodu, tego rodzaju praktyki mogły okazać się wręcz tragiczne. Tego rodzaju przypadek czynienia czarów przez osoby należące do bardzo wysokich kręgów wyszedł na światło dzienne w roku 1441, podczas procesu Eleanory Cobham, żony Humphreya, księcia Gloucester, który był wujem tępawego Henryka VI i politycznym przywódcą królestwa angielskiego. Gdy księżna sprowadziła kilku czarnoksiężników z Londynu, aby jej wyświadczyli pewne usługi w zakresie magii, jeden z nich, John Hume, doniósł o tym. Wówczas pozostali, dwaj księża, Roger Bolingbroke i Thomas Southwell, oraz Margery Jourdemayne, zwana „Urokliwym Okiem”, zostali aresztowani.

Strona oskarżająca utrzymywała, że księżna skłoniła księcia do poślubienia jej za pomocą napoju miłosnego sporządzonego przez Margery. Co gorsza, zaangażowała Bolingbroke'a, aby jej przepowiedział przyszłość. Wścibianie nosa w przyszłość było rzeczą nikczemną, bowiem każdy wiedział, że jeśli król umrze bezpotomnie, Humphrey, książę Gloucester, obejmie po nim tron. Ponadto czarodzieje ulepili figurkę

z wosku i gdy kanonik Southwell odprawił mszę nad rekwizytami Bolingbroke'a, figurkę roztopiono. Obrońcy twierdzili, że był to obrzęd mający zapewnić księżnie płodność. Strona oskarżająca dowodziła, że figurka przedstawiała króla i chodziło o ściągnięcie nań śmierci.

Margery, która już raz była aresztowana za czynienie czarów, została spalona jako heretyczka-recydywistka, Southwell zmarł w więzieniu, Bolingbroke'iem posłużono się ku zbudowaniu lub zbawieniu londyńskiego tłumu. Najpierw wystawiono go w St. Paul's Cross na widok publiczny ubranego w płaszcz czarnoksiężnika, siedzącego na malowanym krześle, z mieczami magicznymi i miedzianymi figurkami. Potem został powieszony, utopiony i poćwiartowany. Księżnę skazano na skomplikowaną pokutę, polegającą, między innymi, na chodzeniu przez trzy kolejne dni ulicami Londynu z dwufuntową (=0,9 kg) świecą. Poza tym została skazana na dożywotnie wygnanie i zakończyła żywot na niegościnniej wyspie Man.

Czasami uprawiano czary z czystej przyjemności wyrządzania zła. Być może najbardziej sensacyjnym tego rodzaju przypadkiem w historii zachodniej Europy jest sprawa Gillesa de Laval, barona de Rais, XV-wiecznego szlachcica bretońskiego, która zainspirowała legendę o Sinobrodym. Wcześniej osierocony młody Gilles odziedziczył ogromny majątek i wychowywał się pod okiem dziadka, który z pobłażliwością patrzył na jego literackie, hedonistyczne i homoseksualne gusty. Ukończywszy lat szesnaście ożenił się ze swą rodaczką, dziedziczką Catherine de Thouars; małżeństwo jednak nie okazało się szczęśliwe. Mimo swojego pochodzenia Gilles tak bardzo odznaczył się w walkach pod wodzą Joanny d'Arc, że uczyniono go marszałkiem Francji.

Wkrótce potem wycofał się do swych zamków i zaczął wieść życie pełne rozrzutności na miarę królewską. Utrzymywał dwustu konnych jako straż przyboczną, bawił gości kosztownymi widowiskami, a kiedy zbrakło mu pieniędzy, usiłował sprzedać swoje dobra, lecz przeszkodzili mu w tym procesami spadkobiercy.

Po pewnym czasie Gilles de Rais zapragnął bardziej ekscentrycznych rozrywek. Zgodnie z protokołami procesu, które może przesadzają, a może nie przesadzają w opisie jego zbrodni, baron wysyłał ludzi, aby mu dostarczali małych chłopców; sąd określił później liczbę jego ofiar na 140. Jednych porywał, innych nakłaniał sutymi napiwkami, jeszcze innych przyjmował na paziów. Wszyscy zostali użyci dla zaspokojenia jego homoseksualnych pragnień, a później w sposób wymyślny zamordowani. Ich zwłoki były zakopywane lub palone, z wyjątkiem kilku ładnych głów, które baron zachował na pamiątkę.

Zaczęły krążyć okropne plotki o znikaniu dzieci w sąsiedztwie baronowych włości; nikt jednak nie ośmielił się wystąpić przeciwko tak potężnemu panu, zwłaszcza takiemu, który ostentacyjnie wypełniał akty pobożności i dobroczynności. Widocznie Gilles ufał, że owe dobre uczynki, plus ewentualna skrucha, doprowadzą go do wiecznej chwały.

Odczuwając brak pieniędzy Gilles kazał sprowadzić alchemików. Był wśród nich pewien lekarz z Poitou, który wywoływał w pobliskim lesie Belzebuba w postaci lamparta. Tak przynajmniej twierdził sam lekarz, gdyż Gilles nie widział nic. Zapewniony, że potwora można zmusić do mówienia tylko za pomocą bardzo rzadkich ziół z Hiszpanii i Afryki, Gilles dał lekarzowi całą gotowiznę, jaką mógł w tym momencie zebrać, wysłał go do Hiszpanii i nigdy więcej nie ujrzał na oczy.



Ryc. 21. Gilles de Rais, „Sinobrody Orleański”.

Przyzwano innego alchemika. Był nim Francesco Prelati, włoski ksiądz, który oczarował Gillesa opowiadaniem o nawiedzeniach przez diabła występują-

cego w postaci ładnego młodzieńca imieniem Barron. Z niewiadomych przyczyn Barron nigdy nie pojawił się w obecności Gillesa i pozostał nieugięty, mimo że ten złożył demonowi kilkoro dzieci w ofierze.

Kiedyś, na prośbę Prelatego, Barron wypełnił cały pokój złotem, ale zabronił swym ziemskim stronnikom patrzeć na nie przez kilka dni. Gilles, niecierpliwy, skłonił księdza, by mu pozwolił zajrzeć. Gdy otworzyli drzwi, Prelati wrzasnął, że w środku pokoju znajduje się wielki zielony wąż. Kiedy uciekli w popłochu, obrażony demon przemienił złoto w świecidełka.

Innym znów razem diabeł obiecał złożyć sztaby złota pod pobliskim dębem w zamian za narządy płciowe dziecka. Gilles skrupulatnie dotrzymał swych zobowiązań, ale gdy obaj z Prelatim chcieli wykopać skarb, nie znaleźli nic, prócz łupek.

Okolo 1434 roku opuściła Gillesa żona. Być może, rzeczywiście — podobnie jak w legendzie o Sinobrodym — odkryła pod nieobecność męża szczątki jego ofiar. Może naprawdę zagroził, że ją zabije, kiedy wrócił. Protokół sądowy nic o tym nie mówi.

W roku 1440 ten szalony i zły człowiek popełnił jednak błąd; w czasie błahej sprzeczki porwał się na osobę księdza. To było świętokradztwo. Biskup z Nantes zaczął gromadzić dowody przeciwko Gillesowi de Rais; w odpowiednim zaś czasie kazał go pojmać i postawić przed sądem kościelnym pod szeregiem zarzutów.

Gilles wypierał się wszystkiego, póki nie wywleczono z kryjówki Prelatego, który przyznał się do winy. Wówczas Gilles, zagrożony torturami, wyśpiewał swoje przewinienia. Kiedy powiedział wszystko, został uwolniony od winy i kary, bowiem biskup pragnął położyć rękę na jego majątku i popełnił kilka nieścisłości w procedurze. Późniejszy proces, już przed

sądem świeckim, powtórzył całą scenę; tylko że tym razem Gilles został skazany na śmierć i powieszony, a jego ciało częściowo spalono. Jedni z jego towarzyszy uciekli, innych uwolniono; wdowa po nim i córka wyszły dobrze za mąż; jednakże jego olbrzymi majątek został w procesach podzielony.

Fala czarnoksięstwa zawadziła nawet o tron zarumianego Ludwika XIV, króla francuskiego. Przyniosła tam nie tylko śmierć i groźbę śmierci, ale i zło-wrogą „czarną mszę”, tak umiłowaną przez moce ciemności.

Sprawa rozpoczęła się, kiedy policja paryska areztowała kilka osób podejrzanych o trucicielstwo, a wśród nich okultystkę Catherine Deshayes, żonę niefortunnego jubilera. Kobieta owa, znana jako La Voisin, była tęga, niewielkiego wzrostu, dość ładna i miała wielu kochanków, między innymi kate Paryża. Trudniła się chiromancją, jasnowidztwem i usuwaniem ciąży. Sprzedawała napoje miłosne, a zaufanym klientom, którym obrzydli mężowie, nie tylko przepowiedziała ich śmierć, lecz także dostarczała trucizny, by przepowiednie znalazły potwierdzenie w faktach. Z całego interesu ciągnęła znaczne zyski.

Ponieważ uwięzieni obciążyli zeznaniami kilka osobistości, Ludwik XIV wyznaczył specjalną komisję publiczną mającą przesłuchać podejrzanych. Jeden z członków komisji, Gabriel Nicolas de la Reynie, był człowiekiem wyjątkowego charakteru i inteligencji. Prowadził notatki, które dostarczyły nam zakulisowego materiału, mimo późniejszych wysiłków króla, by całą sprawę zatuszować.

Siedząc w pokoju obwieszonym czarnymi drape-riami i oświetlonym jedną świecą, komisja przesłu-chała wszystkich po kolei. Żona pewnego sławnego

muzyka, skazana na śmierć za otrucie swego męża, została stracona. Inne kobiety, których trucizny okazały się nie tak skuteczne, skazano tylko na wygnanie. Niektórzy truciciele uniknęli kary dzięki znacznym wpływom. Do nich należał dramaturg Racine, który był oskarżony o otrucie swej kochanki, a także księżna de Soissons, która usiłowała otruć poprzednią kochankę króla. W lutym roku 1680 La Voisin wraz z towarzyszką uznane zostały za winne, po czym obcięto im dłonie i stracono na stosie.

Od chwili pierwszych aresztowań dowody zaczęły napływać do komisji całą falą. Wkrótce wyszły na jaw zaskakujące fakty obciążające aktualną kochankę królewską, markizę de Montespan. Król, który uprzednio wydał rozkaz przeprowadzenia jak najdalej idącego śledztwa, stwierdził, że do takiego obrotu spraw nie był przygotowany. Zmienił więc śledztwo na poufne przesłuchanie przez La Reyniego i jeszcze jednego komisarza.

Skrupulatny La Reynie zanotował, że pani de Montespan zaczęła się bawić czarnoksięstwem w roku 1667, gdy po raz pierwszy została królewską kochanką. Współzawodnictwo o to, co eufemistycznie nazywano „względami” króla, było ogromne, pomimo tego, iż — jak biadała jedna z kochanek — „cuchnął jak ścierwo” *. W owym czasie pani de Montespan zyskała pomoc pewnego czarnoksiężnika i księdza, który odprawił trzy „msze miłosne” — katolickie msze zmodyfikowane słowami magicznymi, które miały odwrócić króla zarówno od królowej, jak i poprzedniej kochanki.

Owe obrządki magiczne widocznie okazały się skuteczne, pani de Montespan bowiem urodziła Ludwi-

* O. Spengler *The Decline of the West*, N. Jork 1928 - 34, t. I, s. 260.

kowi troje dzieci, które zostały później uznane za prawowite i obdarzone tytułami. Żadne jednak czary nie zdołały powstrzymać króla od przypadkowych miłostek, a pani de Montespan nie uwolniły od mąk zazdrości. Msze odprawiano nadal. Ponadto La Voisin dostarczyła pani de Montespan jakichś proszków, które dosypywano potajemnie do królewskiego jadła. Ponieważ jednak proszki nie wywarły trwałego wpływu na błędzący wzrok Ludwika, aczkolwiek mogły przyczynić się do jego choroby w roku 1673, pani de Montespan zażądała od La Voisin silniejszego magicznego wsparcia.

La Voisin zaspokoila to żądanie dostarczając księdza, l'Abbé Étienne Guibourga. Był to opasły, zezowaty starzec, który za skromną opłatę i kościelny wikt zgodził się rzucić czar na króla. Czary Guibourga były odmianą sławetnej „czarnej mszy”, czyli obmyślanej w sposób najbardziej jak tylko można bluźnierczy. W takim rytuale krzyż odwrócony był do góry nogami; na ołtarzu leżała naga kobieta, a za ministranta służyła odziana w czerwone szaty ladacznica. Kapłan recytował mszę od końca do początku, zamieniając słowa „dobro” na „zło”, a „Bóg” na „szatan”, oraz plugawiąc hostię.

Ludzie, którzy pasjonowali się bluźnierstwem, zabawiali się w ten sposób od stuleci. Prawowierni katolicy często zakładali, że takim praktykom oddają się tylko niekatolicy lub wrogowie katolicyzmu, dla których jednak tego rodzaju widowiską nie byłoby ani grzeszne, ani pasjonujące, lecz bezsensowne i nieciekawe. Z tego wyciągano wnioski, że jeśli ktoś odprawia czarną mszę, to tylko jakiś zły katolik.

Według protokołu sprawy La Voisin, pani de Montespan udała się z kilkoma osobami do zamku Villebousin koło Mesnil. Wszedłszy do kaplicy rozebrała

się i położyła na wznak na ołtarzu. Guibourg, obleczony w kapłańskie szaty, wszedł, postawił kielich na jej brzuchu i rozpoczął mszę. Wniesiono małe dziecko. Podczas ofiarowania przecięto dziecku gardło. Zebrawszy krew do kielicha czarodzieje zmieszali ją z mąką, by zrobić opłatek. Msza postępowała dalej. Podczas konsekracji wyrecytowano następujące zaklęcie:

„Asztarte, Asmodeuszu, księżęta miłości, zaklinam was, abyście przyjęli ofiarę składaną wam z tego dziecka, w zamian za rzeczy, o które proszę: aby miłość króla i pana mego, delfina, do mnie nadal należała; i aby mnie szanowanej przez księżęta i księżniczki dworu, a także krewnym i sługom moim król niczego nie odmawiał” *.

Taką „mszę” odprawiano trzy razy — widocznie bez rezultatu, bowiem w roku 1676 zwrócono się do Abbé z prośbą o odprawienie następnej serii czarnych mszy. W dwóch z nich La Voisin zastąpiła panią de Montespan, aby kochanka królewska nie pozostawała z dala od dworu podejrzanie długo. Dzieci kupowano lub kradziono; córka La Voisin na wszelki wypadek ukryła swoje dziecko.

Jednakże król nie przestawał romansować. W roku 1679 pani de Montespan, nie mogąc w pełni zawładnąć sercem króla, postanowiła go uśmiercić. W związku z tym kazała Guibourgowi odprawiać msze żałobne za Ludwika — odmiana śmiercionośnych czarów uprawianych o północy w opuszczonym kościele. Dla dodania czarom mocy wręczono królowi zatrutą petycję. Ani jednak czary, ani trucizna nie poskutkowały i w następnym tygodniu La Voisin została aresztowana.

Ludwik był w kłopotliwym położeniu. Chciał postawić czarownice przed sądem, ale nie chciał demasko-

* Charles Williams *Witchcraft*, Faber and Faber, Londyn 1941, s. 270.

wać pani de Montespan. W końcu odsunął kochankę od łoża, choć nadal traktował ją dwornie. Zapewne świadomość, że był tak bardzo kochany, wynagrodziła mu oburzenie na prawdziwe, acz nieskuteczne próby zamachu na jego życie.

La Voisin i jeden z jej współników zostali bezzwłocznie straceni. Innych spiskowców uwięziono bez sądu na podstawie *lettres de cachet** i przykuto do ścian w lochach różnych fortec. Guibourg żył trzy lata; ostatni ze spiskowców skonał w łańcuchach w roku 1724, czterdzieści cztery lata po zakończeniu tej smutnej afery.

Mimo, że czarnoksiężstwo i wiara w nie były szeroko rozprzestrzenione wśród ludów Europy przez ponad dwa tysiące lat, do dziś zachowały się drobne okruchy jego założeń i jedynie ślady stosowanych niegdyś metod. Ten jawny paradoks można łatwo wytłumaczyć. Istnieje pewna analogia między uprawianiem czarów w dawnych czasach a uprawianiem gier hazardowych przez nowoczesnych Amerykanów. Ponieważ gry hazardowe są w większości stanów nielegalne, przeto są ryzykowne. Jednak miliony ludzi lubią grać i nie uważają tego za rzecz bardzo zdrożną. W takich warunkach organizowanie gier hazardowych — jeżeli ktoś potrafi uniknąć poszukującego hazardzistów ramienia prawa — jest wielce zyskowne.

Powstała więc grupa ludzi, którzy zaspokajają żądzę hazardu, ale za odpowiednią cenę. Ludzie ci działają na ogół w cichych zaułkach, a ich miejsce zamieszkania znane jest tylko klientom. Nie prowadzą żadnych

* *Lettre de cachet* — list zapieczętowany królewską pieczęcią, który zwykle zawierał rozkaz banicji lub uwięzienia (przyp. red. pol.).

ksiąg, nie płacą podatków, a przy lada niebezpieczeństwie wyprowadzają się cichaczem. A zatem, hazardu nie da się opanować drogą prawodawczą, nie można też powiedzieć, jakie przybiera formy, ani też odtworzyć jego dokładnej szczegółowej historii. Właśnie tak samo było zawsze z uprawianiem magii.

Wiemy, że ludzie wysokiej i niskiej pozycji społecznej, bogaci i biedni, wykształceni i prostaczkowie wierzyli od dawna w skuteczność magii, bali się czarownika i w taki czy inny sposób uprawiali czary. Wiele miedzianych, srebrnych i złotych monet przeszło przez ręce samozwańcych czarownic, dla osiągnięcia celów politycznych, zyskania bogactwa, zdobycia wzajemności w miłości, zjedzenia zakazanego owocu zła. Czy akty wykonywane przez te czarownice były po prostu mamrotaniem niezrozumiałych słów, czy skomplikowanymi, lecz nieszkodliwymi obrządkami, lub też bezlitosnymi i zbrodniczymi poczynaniami, intencje zawsze były te same — pokierowanie nieznanymi siłami natury oraz niewidocznymi istotami, od których rojno w powietrzu, na ziemi i w morzu, w taki sposób, aby służyły jednostce. Podobnie jak gracze wierzą, że mają „systemy” zapewniające im wygraną, jeżeli tylko nauczą się stosować je jak należy, tak klienci czarownic czy czarnoksiężników wierzyli i wierzą w skuteczność czarów.

W czasach, gdy prawa nauki były równie tajemnicze jak prawidła magii, takie stanowisko było wybaczalne. Jest jednak zdumiewające, że w cywilizowanej Europie i Ameryce XX wieku bezpodstawne prawidła magii bywają przyjmowane obok udowodnionych faktów naukowych. Długo jeszcze potrwa, nim człowiek upora się z nielogicznym sposobem myślenia, który przez tak wiele tysięcy wprowadzał w błąd jego przodków.

Obecnie bardzo wielu badaczy czarnoksięstwa w naszej cywilizacji sądzi, że czarownice działały samotnie lub w niewielkich grupach. Co więcej, w minionym pięćdziesięcioleciu antropolodzy, historycy i badacze okultyzmu zebrali dostateczną ilość materiału, aby podjąć próbę odpowiedzenia na pytanie, czy w Europie istniała powszechna, zwarta organizacja czarownic, czy też nie.

Niektórzy badacze, jak egiptolog brytyjski pani Margaret Alice Murray, która poświęciła wiele lat studiom nad czarami, oraz pastor Montague Summers, duchowny anglikański, który był w głębi serca tak zagorzałym łowcą czarownic, jak sam Cotton Mather, widzą ludzkość zaplątaną w ogromną sieć zorganizowanego czarnoksięstwa. Inni badacze przedmiotu, zdając sobie sprawę z mglistości danych odnośnie do zorganizowanego czarnoksięstwa, odrzucają całe zagadnienie jako fantastyczny koszmar.

Przypuszczamy, że prawda leży gdzieś pomiędzy tymi dwoma punktami widzenia. Podobnie jak większość religii zawiera elementy magiczne, większość kultów magicznych posiada elementy religijne. Nie łatwo jest przeprowadzić wyraźną granicę między ugrupowaniami wyznającymi jakąś religię a uprawiającymi magię. Pełne rozstrzygnięcie tego zagadnienia leży pogrzebane na cmentarzysku historii nieudokumentowanej. Jednak przez zestawienia zwyczajów, tradycji i skrawków bezspornych dowodów można wyłonić kilka niewątpliwych faktów i wyciągnąć kilka wniosków.

Ludy Europy czciły swych dawnych pogańskich bożków jeszcze przez kilka stuleci po rozprzestrzenieniu się chrześcijaństwa w rozległym świecie wpływów rzymskich. Po upadku Zachodniego Cesarstwa Rzymskiego w V wieku nastąpił upadek aktywności kultu-

rowej i gospodarczej, zapoczątkowując okres, który zwiemy wczesnym średniowieczem. Edukacja, wiedza medyczna, przyjemności życia, sztuka, handel — wszystko to zamarło. Wojny trwały bezustannie, osiągnięcia starożytności zostały zapomniane, biblioteki zniszczone. Chociaż na Wschodzie kultura kwitła nadal, w zachodniej Europie człowiek zstąpił na ten poziom życia, na którym egzystował przed powstaniem cywilizacji klasycznej.

W ciągu tysiąclecia obejmującego wczesne i późniejsze średniowiecze chrześcijaństwo triumfowało nad wszystkimi innymi religiami zachodniej Europy. To, co pozostało z nauki, jest zasługą klasztorów, w których zachowały się nieliczne manuskrypty i w których byli ludzie umiejący czytać. Jednocześnie Kościół nie tolerował rywalizacji. Wszystkie inne religie i kultury były stale zwalczane.

Mimo to, na przekór Kościołowi, resztki pogańskich praktyk trwały nadal w zachodniej Europie. Wieśniacy, którzy już dawno zdążyli zapomnieć o starych bogach, nie zapomnieli o obrządkach odprawianych na ich cześć. Na przykład, majowe tańce wokół słupa albo jakiegoś sterczącego głazu, typowe prymitywne obrządki dla zapewnienia urodzaju, dotrwały do dziś we wsiach angielskich i były często wspominane na procesach czarownic.

Cztery święta dotychczas obchodzone na wsi w wielu krajach Europy mają zdecydowanie przedchrześcijańskie pochodzenie, a ich rytuały sugerują podobne obrządki pogańskie, odprawiane dla zapewnienia urodzaju. Święto Matki Boskiej Gromnicznej, Wieczór Majowy, Lammas i wigilia Wszystkich Świętych (ang. *Halloween*, dawniej zwane *Samhain*) dzielą rok na okresy: siewu, wzrostu i żniw, tak jak rolnicy dzielili lato od tysiącleci. Obecne święto Matki Boskiej Grom-

nicznej było obchodzonym niegdyś 1 lutego ceremoniałem święcenia ognia dla zaznaczenia wiosennego odradzania się natury. Wieczór Majowy, staroceltycka majówka, był też świętem ognia dla pobudzenia słońca jako czynnika życiodajnego. Każdy, kto był w Anglii, wie, że „mizerne” słońce angielskie potrzebuje dużo zachęty, dlatego też w Szkocji do dziś płoną ogniska w Wieczór Majowy. Lammas było świętem obchodzonym 1 sierpnia na powitanie okresu żniw; a w wigilię Wszystkich Świętych pasterze powtarzali obrządki majowe w celu zapewnienia płodności zwierzętom domowym w czasie zimy.

Inne przeżytki wiary w dawne bóstwa można znaleźć w wierzeniach wieśniaków we wróżki i inne duchy, aczkolwiek dawne oblicza i funkcje tych istot zostały bardzo zmienione przez doktrynę chrześcijańską. Na przykład, Robin (albo Robin Goodfellow) chochlik, który występuje w wielu baśniach angielskich; sprytny, czasem pomocny, ale częściej złośliwy, mógłby się wydawać po prostu duszkiem z dziecinnych bajeczek, lecz trzeba pamiętać, że jego imieniem najczęściej nazywano diabła albo przywódcę sabatu czarownic. Jeszcze dziś w różnych zakątkach Anglii wieśniacy pozostawiają w wigilię Wszystkich Świętych miski z mlekiem i innym jadłem, by ułagodzić Robina. Dla nich diabeł wciąż jeszcze jest istotą żywą.

Wreszcie istnieją jeszcze pozostałości praktyk, które pisarze klasycyści przypisywali druidom. Ponieważ druidzi oddawali część bóstwom nie w świątyniach, lecz w świętych gajach, i nie używali pisma, żadna z ich doktryn nie dotarła do nas w sposób bezpośredni. Pomimo wielu zmyślonych opowieści o ich mądrości, które wysnili sobie nowocześni okultyści, wiemy tylko tyle, że druidzi byli kapłanami celtyckimi w czasach najazdu rzymskiego na Galię i Wyspy Brytyjskie.

Czcili oni mnóstwo bożków lokalnych i prawdopodobnie wierzyli w reinkarnację. Szóstego dnia miesiąca jeden z nich wspinał się na dąb i ucinał złotym sierpem gałązkę jemioli, a inni stojąc na dole chwytali ją w płachtę białego płótna.

Tacyt opisuje, jak druidzi wiedli swój lud do boju „wznosząc ramiona ku niebu i wypowiadając straszliwe przekleństwa” *. Mówi też, że wróżyli z wnętrzości ludzkich. Juliusz Cezar opowiada, że w czasie uroczystości świątecznych:

„Mają oprócz tego ogromne posągi plecione z wikliny, do których wrzucają żywych ludzi i podpalają, a ofiary giną pochłonięte ogniem. Uważają za miłe bogom to, że karzą ludzi, których przyłapano na kradzieży, rabunku lub innym przestępstwie, ale z braku przestępców składają ofiary z niewinnych” **.

Chociaż druidyzm w czasach rzymskich stracił znaczenie i jako jedna z większych religii został wytopiony wskutek zwycięstwa chrześcijaństwa, pozostawił jednak wiele śladów w zwyczajach święta wigilii Wszystkich Świętych. W miastach belgijskich jeszcze w ubiegłym wieku przechowywano kukły olbrzymów z plecionki — podobne do tych, które wcześniej używano w miejsce ofiar z ludzi — i obwożono po ulicach w dorocznych pochodach. Jednakże w innych miejscach dochowała się do naszych czasów bardziej krwawa pozostałość obrządków druidów: w wiklinowych klatkach palono żywe zwierzęta; w Pirenejach węże, a w Ardenach koty.

Z całą pewnością, w ciągu ponad tysiąca lat od triumfu chrześcijaństwa, Kościół czynił co mógł, aby stłumić stare pogańskie religie europejskie, chociaż

* Tacyt *Annales*, XIV, 30.

** Juliusz Cezar *De bello Gallico*, VI, 16.

metody jego były początkowo mniej surowe, niż w wiekach manii prześladowania czarownic. Z pewnością również pewne przeżytki pogaństwa ukryły się wśród przesiąkniętych tradycją zwyczajów średniowiecznych chłopów, bez względu na to, czy jednostki zdawały sobie sprawę, że te odwieczne zwyczaje są pozostałością bardziej prymitywnej religii.

Otóż w warunkach swobody religijnej politeistyczne czy pogańskie praktyki religijne są zasadniczo różne od czarnoksięstwa; jednakże wskutek długotrwałego ucisku mogą się one z konieczności sprzymierzyć, a nawet połączyć w jedno. Po takim scaleniu aspekt religijny traci swoją integralność i staje się zwykłą przykrywką dla kultów magicznych. Proces ten następuje tym szybciej, im surowiej jest tępiona cześć starych bogów. Na Haiti, na przykład, gdzie ucisk był tylko sporadyczny, kult *voodoo* — zmodyfikowana forma zachodnioafrykańskiego pogaństwa — zachował po dwóch wiekach bardzo wiele ze swej oryginalnej formy. Na Jamajce zaś, gdzie rządy białych i niewielki obszar wyspy były czynnikami utrudniającymi zachowanie dawnych obyczajów, cześć dla starych bogów przeważnie zanikła.

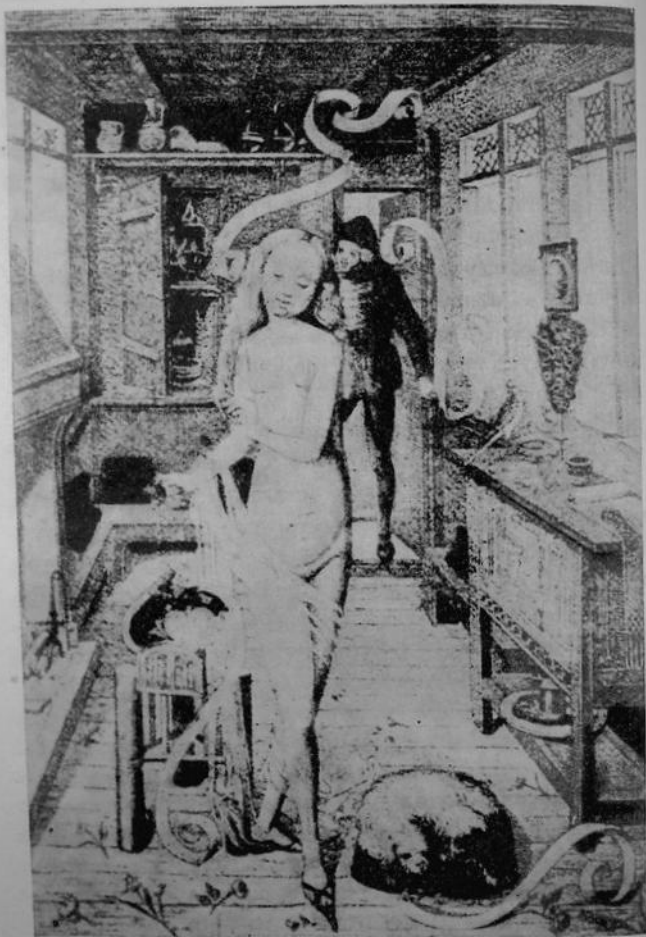
W Europie Zachodniej wyznawcy obrządków pogańskich zapewne długo różnili się od zwykłych czarownic traktujących swą profesję komercyjnie, choć nie wykluczone, że wspólne niebezpieczeństwo stworzyło coś w rodzaju luźnego pobratymstwa między prześladowanymi czarownicami a poganami. Nie wiemy, czy kiedykolwiek się wspierali. Na pewno zapożyczali od siebie nawzajem idee i metody działania, zwiększając chaos otaczający ich motywy działania, ich umiejętności, źródło ich sztuki i wpływ na porządek społeczny.

Mimo panującego w średniowieczu zamieszania

w umysłach duchowieństwa i osób świeckich, ludzie prześladowani w okresach wielkich łowów na czarownice mogą być podzieleni na trzy mniej lub więcej różniące się klasy. Pierwsza i prawdopodobnie największa grupa składała się z ludzi, którzy kulturowali przestarzałe pogańskie obrzędy, nie znając często znaczenia lub pierwotnego celu tych odziedziczonych po swoich przodkach praktyk. Druga obejmowała pobożnych, bogobożnych ludzi, takich jak waldensi we Francji, którzy obstawali przy jakiejś formie chrześcijaństwa uznawanej przez średniowieczny Kościół za heretycką. Trzecia grupa składała się z czarowników i innych zawodowych magików, którzy świadczyli swe usługi zarówno księciu w zamku, jak i jego poddanemu gnieźdzącemu się w norze, dostarczając zaklęć i wywarów na co tylko się dało.

W dniach paniki przed czarownicami ludzie nie widzieli różnic pomiędzy tymi grupami. I heretycy i poganie byli przeklęstwem dla Kościoła; zaś czarownice ze swymi amuletami i zaklęciami przypisywały sobie moc ozdrowiającą, którą — w myśl nauki chrześcijańskiej — miały jedynie święte relikwie i nabożne modły. Kościół natychmiast dobierał się do wszystkich, którzy według niego podkopywali jego pozycję.

W okrytych kurzem protokołach z procesów czarownic w Anglii, Szkocji i Francji rzadko można znaleźć wyraźną wzmiankę o heretykach lub poganach; jest za to wiele relacji o zorganizowanym uprawianiu czarów i oddawaniu czci diabłu. Z tych to dokumentów prawnych wywodzi się zarzut zakrojonego na szeroką skalę, zorganizowanego spisku diabelskiego, mającego za cel usidlenie i sprofanowanie ludzkości. Ponieważ oskarżenia są poważne, a materiał dowodowy znaczny, trzeba poddać te oskarżenia rozważnej ocenie.



Ryc. 22. Młoda czarownica przygotowująca napój miłosny.

W swojej słynnej książce *The Witch-Cult in Western Europe* (*Kult czarownic w Europie Zachodniej*) nie żyjąca już dziś Margaret Alice Murray przytoczyła liczne wyjątki z protokołów procesów czarownic dla poparcia swego przekonania o istnieniu zorganizowanej działalności czarownic w Szkocji, Anglii i Francji. Współczesny jej pastor Summers zakładał istnienie trwałego i skutecznego satanizmu, który powoli osacza chrześcijan i jeśli się go nie opanuje, sprowadzi z czasem na nich zagładę. Wierzył w to z takim fanatyzmem, że nakłaniał do bezlitosnego tępienia wszystkich czarownic przy użyciu metod inkwizycji. Ponieważ ci autorzy cieszyli się ogromną poczytnością i mieli pretensje do naukowości, materiał dowodowy panny Murray i wnioski pastora Summersa wymagają baczego przejrzania.

Zgodnie z wypowiedziami niezliczonych czarownic na procesach najpospolitsze były sabaty złożone z dwunastu czarownic plus przywódca. Czarownicami były przeważnie kobiety w różnym wieku, chociaż zdarzali się i mężczyźni. Czarownice często przyznawały się do posiadania „pomocników” — kota, psa, ropuchy, kurczęcia albo innego zwierzęcia, otrzymanego jakoby od diabła i karmionego ich własną krwią. Zwierzę to było wcieleniem diablika lub innego piekielnego stwora, który wykonywał zlecenia czarownicy.

Przywódcą sabatu, według świadectwa czarownic, był mężczyzna, zwany Diabłem lub Panem, który wędrował od wioski do wioski i zajmował się organizowaniem miejscowych czarownic. Ubrany był na czarno lub miał przynajmniej czarną maskę; zwykle bowiem napomykano o nim jako o „czarnym”. Donosił czarownicom o comiesięcznych zebraniach — esbatach, oraz czterech wielkich dorocznych świę-

tach — sabatach, na których podległe mu czarownice musiały mu usługiwać.

Spotkania, które odbywały się na oddalonych wrzowiskach albo skalistych wzniesieniach, miały charakter quasireligijny, quasitowarzyski. Sabat zbierał się po zapadnięciu zmroku — każda czarownica pojawiała się z miotłą, którą trzymała między nogami, jak „konia” z patyka. Zebranie rozpoczynało się od ceremonialnego powitania „Pana”, kiedy to czarownice kłaniały się i składały hołd swemu przywódcy, całując go w pośladki albo genitalia. Po śpiewach i dzikich tanach następowała uczta i uroczystość często kończyła się zbiorową orgią. Uczta nie zawsze była lukullusowa, czego dowodzi wzruszające zeznanie na procesie jednej z czarownic, która oświadczyła, iż po wszystkich ceremoniach siadały nad rzeką, by zjeść chleb z serem i zaspokoić pragnienie wodą.

W swoich zeznaniach czarownice często mówiły o nocnych lotach. Jedna z najnowszych teorii dowodzi, że w czasie spotkań czarownice piły napar z domieszką belladonny, ziela wywołującego halucynacje. Opowieści o unoszeniu się w powietrze, oglądaniu potwornych zjaw i zaznawaniu królewskich rozkoszy mogą mieć źródło w iluzjach, które ten narkotyk wywołuje.

Wszystkie te wyznania są tak obszerne i tak podobne w treści, że niewtajemniczony czytelnik książki panny Murray skłonny jest podzielać niepokój pastora Summersa o losy społeczeństwa z powodu istnienia tak ogromnego spisku sił zła. Ponieważ jednak czarownice z uporem dowodziły, że nie zrobiły nic bardzo złego, jesteśmy przekonani, iż wiele z nich po prostu odprawiało przekazane jeszcze z pogańskich czasów i niedokładnie zachowane w pamięci ludzkiej obrządku mające zapewnić płodność i urodzaj. Nadto, jeste-



Ryc. 23. Sabat według łowców czarownic; czarownice i demony tańczą wokół diabła.

śmy przekonani, że obrządków tych dokonywano w małych odizolowanych grupkach, zgodnie z miejscowym obyczajem, i że grupki te nie były zorganizowane w żadne zakrojone na szeroką skalę konspiracyjne związki.

Do dziś istnieją we Włoszech i Francji takie zakątki, których cywilizacja i nowoczesna kultura nieomal nie tknęły. Wciąż jeszcze można znaleźć porozrzucane w tych zakątkach, niczym miedziaki w kieszeniach, ślady obrządków poprzedzających naszą obecną kulturę. Na takich odizolowanych terenach istnieje dość pozostałości dawnych obyczajów, aby móc wysunąć naukową hipotezę odnośnie do czarów.

Charles G. Leland, badacz folkloru z końca XIX wieku, opisał w niewielkiej książce pod tytułem *Aradia, czyli Ewangelia czarownic* aktualne praktyki czaroksięskie w północnych Włoszech. Nakreślony przez niego obraz ginącego kultu przedstawiał pogaństwo w stanie agonii. Wyznawcy tego kultu, który zwano *la vecchia religione* — „stara religia” — czcili Dianę i Aradię. Czarownice mówiły Lelandowi, że na zebraniach ucztowały rozebrane do naga, tańczyły, śpiewały, gasiły światło i oddawały się rozpuście.

Mitologia owego kultu jest bezładną i żalną mieszaniną skrawków wiedzy klasycznej i chrześcijańskiej. Mit mówi o tym, jak Lucyfer spłodził ze swą siostrą Dianą Aradię, dziewczynę, która została posłana na Ziemię, by ocalić biednych ludzi, uciśnionych przez bogaczy i kapłanów. Aradia ulżyła nieco losowi biedaków ucząc ich czarów. Diana była boginią starożytną, Aradia — historyczną żydowską księżniczką Herodiadą z czasów *Nowego Testamentu*. Mielibyśmy więc tu do czynienia nie z prawdziwym satanizmem, tylko ze szczątkami staropogańskiej religii, połączonej z wrogością do religii panującej.

Ponieważ panna Murray, przeświadczona o istnieniu potężnych i licznych organizacji czarownic, nie była w stanie zrozumieć znaczenia tych strzępów dawnego pogaństwa, dlatego zebrany przez nią ma-

teriał dowodowy wymaga ponownego, spokojnego rozpatrzenia. Przede wszystkim należy wziąć pod uwagę, że materiał ów składa się niemal wyłącznie z wyznań wydobytych podczas procesów czarownic, a wyznania te cechuje jednostajne podobieństwo. Niemal wszystkie czarownice przyznały się na procesach do wzbijania się w przestworza na miotłach i wyrządzania różnych złośliwości swym bliźnim za pomocą magii. Czy oznacza to, że wszystkie czarownice słuchały rozkazów szatana, króla zła, czy może tylko, że wszystkie — i te starsze i te w młodocianym wieku — były zmuszane do mówienia tego, co oskarżyciele chcieli słyszeć?

Środki, służące do wydobywania owych zeznań — tortury — dają odpowiedź na to pytanie. Na kontynencie europejskim były one zawsze stosowane w podobnych wypadkach, toteż w Szkocji uważano je za zwykły tok postępowania. W Anglii, gdzie tortury stosowano mniej nagminnie, przyznanie się do winy wymuszano innymi brutalnymi metodami, jak głodzenie, forsowne marsze, krępowanie, pozbawianie snu. Ani rodzina, ani miejscowi prawnicy nie ośmielali się bronić oskarżonego, w obawie, że i oni zostaną oskarżeni o czynienie czarów. Majątek przechodził na rzecz skarbu państwa przy lada podejrzeniu o czary. Rzadko się zdarzało, aby oskarżony zdołał udowodnić swą niewinność; śmierć pozostawała jedyną ucieczką od cierpiących mąk. W takich okolicznościach bardzo niewielu oskarżonych — bez względu na to, czy kiedykolwiek brali udział w sabatach czarownic — znajdowało dosyć hartu ducha, aby móc się wyprzeć przestępstw, które im zarzucali oskarżyciele.

Ponieważ zeznania, tak starannie zebrane przez pannę Murray, były wymuszone na przerażonych i pozbawionych nadziei więźniach torturami, i ponieważ po-

wtarzają się w nich jednostajnie takie oczywiste nieprawdopodobieństwa, jak nocne loty na miotle, przemiana w zwierzęta i morderstwa na odległość za pomocą czarów, człowiek rozsądny musi je uznać za niedostateczny dowód istnienia szeroko zakrojonego, zorganizowanego czarnoksięstwa.

W rzeczywistości mamy wszelkie powody, by sądzić, że w Europie nie powstała nigdy żadna organizacja sabatów czarownic. Gdyby kiedykolwiek istniała, jakiś jej ślad wyszedłby na światło dzienne; niektórzy z jej przywódców wpadliby z pewnością w ręce łowców czarownic. Jednakże nigdy nie złapano żadnego ze znaczniejszych „diabłów”. Dwaj najśłynniejsi z rzekomych przywódców sabatów to Burroughs z Salem i hrabia Bothwell w Szkocji. Burroughs został uniewinniony w roku 1711, a Bothwell zbiegł.

Ponadto każda większa organizacja satanistów stworzyłaby ideologię, mającą pozyskać entuzjazm członków, i prawdopodobnie dałaby wyraz swym przekonaniom na piśmie. Jednakże nie natrafiono jeszcze na żadną literaturę z tej dziedziny, prócz wątpliwych zeznań ustnych na procesach oraz fragmentów zebranych przez Lelanda i jego towarzyszy. W przypadku istnienia takiej organizacji można by było znaleźć choć kilka stron spisanych ręką jakiejś renegatki, która zdradziła kult na rzecz Kościoła; tak cenne dokumenty byłyby z pewnością zachowane przez księży lub zakonników, którzy przyjęli eksczarownicę na powrót do owczarni.

Jeśliby nawet żadna czarownica nie powróciła na łono Kościoła z własnej woli, władze z pewnością wprowadziłyby swych szpiegów do organizacji, a ci wywiedzieliby się o sposobie działania grup i donieśli o swych odkryciach, nie upiększając ich tak wymyślnymi opowieściami, jak o lataniu na miotle,

tuczonych mlekiem ropuchach i podróżach do Krainy Czarów. Jedyna z zanotowanych prób takich przespiegów nie przyniosła rezultatów. Reginald Scot opłacił kilka staruszek, aby pozyskały przyjaźń rzekomych czarownic i przystąpiły do ich stowarzyszenia. Gdy jednak szpiegom nie udało się zdobyć żadnych interesujących informacji, Scot doszedł do wniosku, że czary to „czyste oszustwo” *.

Wreszcie, gdyby kiedykolwiek istniały wielkie odbywające się okresowo sabaty setek czarownic, władze z pewnością dowiedziałyby się o tym i urządziłyby obławę. To się jednak nigdy nie zdarzyło. We wszystkich opowiadaniach o czarownicach, narrator albo był sam, albo w niewielkim gronie, kiedy się natknął na sabat. Czarownice spostrzegały go i znikaly, albo chwytaly go i biły, lub sprawiały, że go porwał wir powietrza. W świecie realnym, byle przedsiębiorczy urzędnik wiejski na czele garstki śmiałych i uzbrojonych ludzi mógłby zlokalizować hałaśliwą, oświetloną ogniskami orgię i wyciąć nagich hulaków.

Krótko mówiąc, niewielkie sabaty czarownic, zachowujące szczątki dawnego druidyzmu i innych pogańskich kultów przemieszanych z chrześcijańskimi pojęciami, odbywały się prawdopodobnie w szeroko rozrzuconych miejscach. Nie były one wyrazem ani pojedynczego rozprzestrzenionego kultu religijnego, ani ogromnej satanistycznej konspiracji, choć przypominały bardziej kult niż organizację. Niektóre czarownice były zapewne pogankami, inne chrześcijankami, jeszcze inne nie wyznawały żadnej wiary lub, jak wielu nowoczesnych ludzi, żywili jednocześnie kilka różnych i wzajemnie wykluczających się przekonań. Pewna liczba czarownic była niewątpliwie przywódcami kultu:

* R. Scot *The Discoverie of Witchcraft*, Rodker, Londyn 1930, s. 27.

większość była po prostu przedsiębiorczymi wieśniaczkami, które sprzedawały swoje jady i balsamy za gotówkę, podobnie jak dzisiaj. Nigdy jednak nie dowiemy się dokładnej prawdy o nich i ich poczynaniach.

Przed epoką Oświecenia, Europa Zachodnia hołdowała do XVII wieku innemu wierzeniu, ściśle związanemu się z czarami — wierze w opętanie przez demona. Ta pradawna idea, powszechna wśród ludów prymitywnych, przypisywała wszelkie choroby obecności diabła w ciele cierpiącego. W miarę jak ludzie poznawali naturalne przyczyny choroby, ograniczali pojęcie opętania do obłądki oraz zaburzeń psychicznych i odstąpili od tego poglądu dopiero, gdy odkryli zasady funkcjonowania mózgu.

Kilku oświeconych ludzi doszło do owego wniosku już w epoce klasycznej. Ale w okresie wczesnego chrześcijaństwa nieomal cała wiedza medyczna zaginęła. Platon, którego filozofia wywarła silny wpływ na myśl chrześcijańską, przypisywał obłądki źródło duchowe; także Biblia podtrzymywała wiarę w opętanie złymi duchami, głosząc takie przypowieści, jak na przykład o Jezusie i świniach gadareńskich*.

We wczesnym okresie rozwoju społeczeństwa zachodnioeuropejskiego uważano, że wszelkie zaburzenia nerwowe można leczyć wyłącznie drogą wypędzenia z ofiary diabła. Od III wieku n.e. każdy ksiądz katolicki był oficjalnie uznawanym egzorcyستą.

Pierwszą rzeczą przy dokonywaniu egzorcyzmów było zranienie dumy demona obelgami. Jeśli to nie odnosiło skutku, egzorcyستا straszył go wygłaszając długie słowa. Potem następował egzorcyzm właściwy:

* Ewangelia św. Mateusza, 8, 28 - 32.

„Przez Apokalipsę Jezusa Chrystusa, którą Bóg zesłał, aby zaznajomić swoje sługi z rzeczami wkrótce nastąpić mającymi; i wyraził, posyłając Swojego anioła... Egzorcyzmuję was, aniołowie niewypowiedzianej przewrotności!” *.

Opis pełnego egzorcyzmu zajmował wiele stron; były w nim zawarte modlitwy, jak stosować relikwie świętych i wodę święconą. Jeżeli ta kapłańska magia zawodziła, nieszczęsny obłąkany bywał bity, przywiązywany do belki albo w inny sposób dręczony, aby uczynić jego ciało niewygodnym mieszkaniem demona.

Większość opętanych były to kobiety liczące powyżej czterdziestu lat życia. Epidemie opętania zdarzały się szczególnie często w zakonach żeńskich, gdzie te kobiety, które nie nadawały się do klasztornego życia, szukały rozrywki udając symptomy opętania, lub nabawiając się prawdziwej histerii.

Słynny przypadek opętania zakonnicy wydarzył się w początku XVII wieku w klasztorze urszulanek w Loudun, gdzie kilka zakonnicy, za namową spowiednika, kanonika Mignona, obwieściło, że zostały one opętane przez demona. Duchowny ów miał wroga, Urbaina Grandiera **, zawadiackiego młodego księdza o wielkim uroku osobistym, ale przy tym człowieka upartego i lubiącego się procesować, który mu groził wytoczeniem sprawy w sądzie.

Mignon nakłonił matkę przełożoną, aby oświadczyła, że jest opętana przez potężnego diabła Asmodeusza, a jedna z siostr przez mniejszego demona. Następnie uplanował publiczne egzorcyzmy. Matka przełożona, po serii konwulsji, grymasów twarzy i wrzasków, powiedziała egzorcystie, że to Urbain Grandier zesłał na nie demony. Sceptyczni sędziowie zażądali dal-

* A. D. White *A History of the Warfare of Science with Theology in Christendom*, Appleton, N. York 1908, t. II, s. 108.

** Niekiedy zwany w Anglii Urbanem.

szych dowodów, ale Mignon sprytnie się z tego wymigał. Wkrótce następne zakonnice z Loudun stwierdziły, że są opętane przez diabła, aż musiał ostro zainteresować sam arcybiskup z Bordeaux.

Sprawa jednak na tym się nie kończy. Kilka lat później, w roku 1633, wrogowie Grandiera skłonili kardynała Richelieu, który już zdążył rozczarować się do młodego księdza, by zbadał stawiane Grandierowi zarzuty. Grandier, mimo ostrzeżeń, odmówił — z charakterystycznym dla siebie uporem — ucieczki i dał się uwięzić.

Teraz już liczba zakonnice opętanych wzrosła do jedenastu. Na procesie wszystkie oskarżyły Grandiera o uwiedzenie i świętokradztwo, o spowodowanie opętania ich przez demony i wzbudzanie namiętnej miłości samym spojrzeniem. Gmach sądu był zatłoczony; ludzie wiedzieli, czego chciał straszliwy Richelieu; nie wątpiono o wyniku sprawy.

Sędziowie uznali Grandiera winnym czynienia czarów i skazali na tortury, a następnie spalenie na stosie. Pod koniec procesu matka przełożona odwołała zeznania oświadczając, że tylko udawała opętaną namówiona przez kanonika Mignona. Sędzia zignorował jej oświadczenie wychodząc z założenia, że to diabeł czyni próbę ocalenia swego sługi. Grandier został poddany okrutnym torturom. Mimo że miał zmiążdżone nogi, nie chciał się przyznać do winy i obstawał przy swej niewinności, póki płomień nie zakończył jego męki.

Nie wszystkie przypadki opętania można uważać za udawanie. W niektórych przypadkach osoba opętana cierpiała na prawdziwą chorobę umysłową, którą nowoczesna psychologia nazywa rozszczepieniem jaźni (osobowości).

Takie rozszczepienie osobowości zostało wyraźnie

opisane przez księdza, który podjął się egzorcyzmowania diabłów nawiedzających jedenaście sióstr jeszcze po egzekucji Grandiera. Kapłan ów, ksiądz Surin, opisał, jak się sam czuł, gdy jeden z diabłów zaatakował jego ciało: „Nie jestem w stanie wam określić, co dzieje się ze mną w takich razach i jak ten duch jednoczy się z moim, nie pozbawiając mnie przy tym świadomości ani swobody mojej duszy, a jednocześnie stając się drugim ja, jakbym posiadał dwie dusze...”.

Ta druga osobowość zmagająca się z pierwszą o władzę nad jego ciałem i często przeszkadzała mu w normalnych czynnościach: „Kiedy chcę mówić, głos więźnie mi w gardle; przy stole nie mogę unieść kęsa do ust, przy spowiedzi zapominam nagle grzechy i czuję, jak demon porusza się we mnie jak we własnym domu”.

Dzisiaj przypisujemy takie wrażenia nie dziełu diabła, a załamaniu się prawidłowego funkcjonowania umysłu ludzkiego. W psychice naszej zawarty jest ogromny asortyment wspomnień, wrażeń, myśli, sądów i uczuć. W normalnych warunkach jedynie częśćka ich zostaje zorganizowana w osobowość. Reszta zatopiona jest w podświadomości. Jeżeli mózg ulega uszkodzeniu na skutek urazu lub przemęczenia, może się zdarzyć, że część zorganizowanej osobowości odszczepia się. Kiedy ta oderwana część nie rozłoży się na składowe myśli i nie zatone następnie w podświadomości, staje się drugą osobowością zdolną do przejmowania władzy nad ciałem na dłuższe lub krótsze okresy czasu. Ludzie, których umysły łatwo ulegają rozszczepieniu, to histerycy, skłonni do poddawania się sugestii i hipnozie. Tak, jak owemu księdzu z XVII wieku, w pewnych okresach życia, wydaje się im,

* Ribot *Diseases of Personality*, cyt. w: G. B. Cutten *The Psychological Phenomena of Christianity*, Scribner's, N. Jork 1908, s. 109.

iz znajdują się we władzy jakiejś przerażającej, nieznaney istoty.

Z czasem demona jako przyczynę chorób fizycznych zastąpił zarazek, zaś psychologia wyjaśniła rozszczepienie osobowości i w roku 1951 parlament brytyjski zniósł ostatnią ustawę zakazującą czynienia czarów.

Tym niemniej ludzie wciąż wierzą w czarownice. Wydaje się nawet, że powszechne zainteresowanie czarami wzrasta. Bardzo popularne są, na przykład, filmy o dobrotliwych czarownicach. W Stanach Zjednoczonych w 1965 roku dwa seryjne widowiska telewizyjne miały za główne postacie czarownice. 10 czerwca 1964 roku, w Waszyngtonie, pewien poszukujący sensacji lokalny program telewizyjny udzielił miejsca na antenie „astrologom, różdżkarzom, spirytystom i wróżbitom”, by mogli objaśnić, co robią.

W amerykańskich czasopismach pojawiają się często artykuły na temat poczynań czarownic. Jednym z najciekawszych z tej serii był artykuł zamieszczony w 1964 roku w „New York Times”, poświęcony brytyjskiej czarownicy Sybili Leck, która przyleciała do Stanów Zjednoczonych odrzutowcem — nie na miotle — aby wyczarować rozgłos swojej książce. Co jednak najbardziej zasługuje na uwagę, to nie jej ozdobne peleryny i jej kawka jako pomocnica, ani jej pretensje do tajemnych mocy, lecz fakt, że stateczny „New York Times” poświęcił jej 55 centymetrów druku na szpalcie*.

Jeszcze bardziej interesujący jest artykuł, który ukazał się w „Life”**. Omawia on zrekonstruowane obrządki pogańskie dla zapewnienia płodności i urodzaju, spełniane przez grupę Anglików i Angielek, którzy przyjęli miano czarownic. Wykonują oni takie

* „New York Times”, 14 kwiecień 1964.

** *Real Witches at Work*, „Life”, 13 listopad 1964.

odwieczne praktyki, jak oddawanie bóstwom czci nago, wyrabianie świec woskowych do celów magicznych i urządzenie zebrań na oddalonych wrzosowiskach, aby tańczyć wokół olbrzymich ognisk.

Członkami tego nowoczesnego kultu są gospodynie, wykwalifikowani robotnicy, sklepikarze i inni zwykli ludzie. Utrzymują, że interesuje ich tylko czynienie dobra, a spełniają pogańskie obrządki prawdopodobnie dlatego, aby urozmaicić nieco swój ziemski żywot. Taki neopoganizm, aczkolwiek pełen nowych rumieńców, jest próbą odrodzenia religii przedchrześcijańskiej. Niewiele ma on — albo wręcz nic — wspólnego z uprawianiem czarów.

Istnieje obecnie tak wielkie zainteresowanie tym zagadnieniem, że przynajmniej jeden uniwersytet amerykański prowadzi kursy poświęcone gusłom i czarom. Deward Walker, który w 1965 roku wygłaszał tego rodzaju wykłady w Uniwersytecie G. Waszyngtona, określił je jako „studium porównawcze metod instytucjonalnych redukcji napięcia we wszystkich systemach społecznych” dodając, że „czarnoksięstwo miało doniosłe znaczenie w społeczeństwach o niższej kulturze jako wytłumaczenie choroby, nieszczęścia i innych napięć zrodzonych z konfliktu i współzawodnictwa”. Czasy łowców czarownic są poza nami; jednakże czarownice są wśród nas do dziś.

Niezależnie od wyznawców pogańskich kultów religijnych i zakazanych przez Kościół herezji, czary uprawiano od najbardziej okrytych mgłą czasów przedhistorycznych po dziś dzień. Cele ich były różne: by zaspokoić pożądanie, żarłoczność albo zazdrość; żeby zyskać miłość, zdrowie lub potomka. Ludzie, którzy je uprawiali, to nie wyłącznie samotne wiedźmy, żyjące w norach, ale też i nie pozbawieni pewnych

wiadomości czarnoksiężnicy i osoby wykształcone, działające w porozumieniu ze sobą.

Mężczyźni i kobiety zważy się czarownicami warzyli napary, intonowali tajemnicze śpiewy, rzucali przerażające uroki, wytwarzali szczęśliwe maskotki dla swoich przyjaciół. Inni ludzie dobrze im za to płacili, wierząc, że są nasycone niewidzialną mocą.

Ktoś na pewno spyta: „Czy choć niektóre z tych czarownic były prawdziwe, obdarzone prawdziwą mocą?” Niektóre z nich rzeczywiście wykazywały pewnego rodzaju moc. Ludzie chcieli wierzyć — musieli wierzyć — że istnieje ktoś, kto chce i może im pomóc w problemach zbyt błahych lub nazbyt niegodziwych, aby mogli przypuszczać, że bogowie zechcą poświęcić im uwagę. Ludzie musieli czuć, stojąc oko w oko ze straszliwymi siłami natury, że nie są sami, nie wspomagani przez nikogo. Chęć wiary może sprawić, że widzimy to, co nie istnieje, może doprowadzić do samoulepszenia lub samozniszczenia i może również nadać jakiejś wynędzniałej starowinie, która zna kilka magicznych sztuczek, moc niesienia pomocy lub czynienia krzywdy.

Może Czytelnik nam zarzuci, że wykręcamy się od odpowiedzi; że trzeba jasno postawić pytanie: „Czy wiemy, że żaden mężczyzna lub żadna kobieta nie rozmawiali z diabłem albo innym mieszkańcem zaświatów?” Jeśli podobnie jak prosty lud w średniowieczu zaludniacie powietrze nad głową i ziemię pod stopami niezliczonymi, a niewidzialnymi istotami, jeżeli wypatrujecie średniowiecznego diabła z ogonem, rogami i kopytami w każdym nocnym cieniu, wówczas przejdziecie całe życie nie znalazłszy odpowiedzi i jak wielebny Montague Summers zabierzecie to poczucie niepewności do grobu.

Nasze studium demonologii, łowów na heretyków

(które prowadził Kościół chrześcijański), łowów na czarownice (prowadzonych zarówno przez Kościół, jak i ludzi świeckich) oraz najrozmaitszych przypadków uprawiania czarów prowadzi do jednego wniosku: że bezsprzecznie złe siły, o których uczyli teologowie chrześcijańscy i które nazwali diabłem, wywierały od czasu do czasu wpływ na umysły ludzkie. Owe złe siły, jednakże, nie były wynikiem ugody zawartej pomiędzy „czarnym” a tysiącami tysięcy ludzi, których torturowano i palono. Te siły były zwykłym, ludzkim, śmiertelnym strachem — strachem, który zawładnął umysłami całych pokoleń i nawet zamurował usta władcom i uczonym, tak że nie śmieli oburzać się na te straszliwe niesprawiedliwości.

Czy my, żyjący dzisiaj, możemy mieć pewność, że owe złe siły strachu już nigdy nie zawładną Ziemią? Przecież, powiecie, żyjemy w wieku nauki. Nawet najbardziej prymitywni ludzie widzą nad głowami samoloty, słuchają w dżunglach radia, korzystają z dobroczynnych leków. Z pewnością, przynajmniej wśród cywilizowanych ludzi, diabeł dokonał już swego żywota.

Nie bądźmy jednak zbyt pewni. We wrzący kocioł lęków i niepewności wrzucmy przechwałki samozwańczych czarownic, potem dodajmy szczyptę masowej hysterii, a otrzymamy wywar piekielny. Miejmy nadzieję, że w naszych czasach wywar ten będzie tylko leciutko bulgotał. Możemy sobie życzyć, aby ta mikstura nigdy już więcej nie eksplodowała zajadłymi prześladowaniami, które w XX wieku pozbawiły życia miliony niewinnych ludzi pod pretekstami walk rasowych lub politycznych. Ludzie chlubiący się swoją inteligencją i dobrą wolą nie chcą widzieć, jak bardzo nieraz cienka warstewka cywilizacji okrywa prymitywne namiętności ludzi.



KAMIEŃ FILOZOFICZNY

Sięczał całe swe życie (a stary już oto)
 Nad cudownym zaklęciem: „Hokus-pokus,
 Ten ekranik z kominka to złoto!”. I jest złoto!
 (Albo szczypce, albo pręt do firanek)
 Lecz nie całkiem jest pewny swej mocy:
 W czarodziejskiej miksturze coś sknocił,
 Bo się jeszcze noc w noc nad nią pochl,
 Nim triumfu zaświta poranek*.

A. A. Milne

Wszyscy znamy obraz siwobrodego alchemika, który głęboką nocą pracuje nad wynalezieniem kamienia filozoficznego — owej cudownej substancji zdolnej przemieniać metale nieszlachetne w złoto. Kiedy myślimy o nim, w naszych oczach odbija się migotliwy płomyk świecy z okienka na wieży. Każdy z nas bowiem chciałby osiągnąć coś, nie wkładając w to wiele wysiłku i zastanawia się, czy jakimkolwiek alchemikowi udało się odkryć magiczną formułę, a jeżeli tak, to czy i nam może się udać.

Dawni alchemicy uważali się za naukowców; tak też w większości myśleli o nich ich współcześni. Nawet w czasach wielkich łowów na czarownice prawa zakazujące czarnej magii na ogół nie dotyczyły alchemi-

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: A. A. Milne *The Alchemist*, 11. 9. 16; cyt. wg: *When we Were Very Young*, N. Jork 1924.

ków, chyba że przyłapano ich na oszustwie. A przecież alchemicy uprawiali czary tak samo, jak czarownice. Choć do wykonywania swej sztuki posługiwali się piecami, tyglami i różnymi odczynnikami, ich podstawowa filozofia była oparta na zasadach magicznych. Dzisiaj alchemia jest tylko błyskotliwą ciekawostką historyczną, ale jej język oraz pojęcia przetrwały i zasłużyły sobie na miejsce w historii magii.

Jak astrologia zrodziła astronomię, tak alchemia dała początek chemii. W istocie alchemia i chemia miały pierwotnie to samo znaczenie. Obie te dyscypliny zajmowały się naturą materii i formułowały prawa, które rządzą jej jakościowymi zmianami. Jednakże, podczas gdy chemia dokonuje eksperymentów nad materią dla niezliczonych celów przemysłowych i leczniczych, alchemia posługiwała się magią koncentrując swe wysiłki w celu przemiany metali nieszlachetnych w złoto i uwarzenia eliksiru nieśmiertelności.

W celu rozpoczęcia działania, alchemik potrzebował jakiejś *prima materia*, czyli „pierwszej materii”. Alchemicy próbowali uważać za nią — albo jak mówili, że próbują — wielu prawdziwych i nierzeczywistych substancji, jak: rtęć, sól, ocet, powietrze, ogień, krew, chmury, woda morska, blask księżyca, a także cień. Z tymi substancjami podejmowali szereg skomplikowanych manipulacji chemicznych, opartych na magicznych analogiach. Na przykład, alchemik Morienus uczył, że dla stworzenia kamienia filozoficznego owa nieznaną substancję musi przejść przez chemiczne poczęcie, ciążę, narodziny i okres karmienia. Dla zwiększenia szansy powodzenia alchemicy uzgadniali czas swoich poczynań z pomyślnymi znakami astrologicznymi niebios.

Pokolenia alchemików spędziły długie lata pracy na poszukiwaniach kamienia filozoficznego, tego podsta-

wowego materiału, mającego przemieniać metale nieszlachetne w złoto lub srebro. Wielu wierzyło, że ów kamień przyniesie nie tylko bogactwo, lecz również zdrowie i szczęście. Sądzili, że kamień, skoro zostanie wynaleziony, da się rozpuścić w alkoholu, tworząc „eliksir życia”, czarodziejski napój, który wyleczy ich dolegliwości i przedłuży życie.

Kamień, którego pragnęli, był przedmiotem znanym jedynie z opowieści — substancją legendarną. Ci, którzy jakoby go widzieli, twierdzili, że wygląda jak czerwony proszek. Nazywany był rozmaicie: tinktura, kwintesencja, kamień mądrości, karbunkulus.

Niektóre z recept na ten cudowny proszek były wręcz fantastyczne. Około XII wieku pewien mnich niemiecki, piszący pod pseudonimem „Teofila”, napisał książkę pod tytułem *Schedula diversarum artium*. W traktacie tym na temat sztuk rozmaitych opisał umiejętności, które duchowny owych czasów winien posiadać, by móc ozdabiać kościoły, wyrabiać naczynia liturgiczne i inne akcesoria, i ilustrować manuskrypty. Pośród przepisów Teofila znajdujemy szczególnie receptę alchemiczną, która zapewne doń dotarła ze świata muzułmańskiego:

„Znajduje się też złoto, hiszpańskim zwane, które się otrzymuje z czerwonej miedzi, proszku bazyliżkowego i krwi ludzkiej oraz octu. Narody pogańskie, których biegłość w tej sztuce jest znaną, tworzą sobie bazyliżków w taki sposób. Mają pod ziemią dom, u góry w spodzie i z każdej strony kamienny, z dwoma okienkami tak szczupłymi, że przez nie zaledwie co widzieć można; tam umieszczają dwa stare koguty, dwunasto- lub piętnastoletnie, i dodają im obfitej żywności. Te, gdy się utuczą, skutkiem gorąca parzą się i znoszą jaja. Po zniesieniu jaj wyjmują się koguty, a wsadzają ropuchy, które by jaja wysiadywały, a którym daje się chleba na pożywienie. Z jaj tych wylęgają się samczyki do kurzych kurcząt podobne, którym po siedmiu dniach wyrastają węzowate ogony, i zaraz by się w ziemię wkopały, gdyby podłoga domu nie była ka-

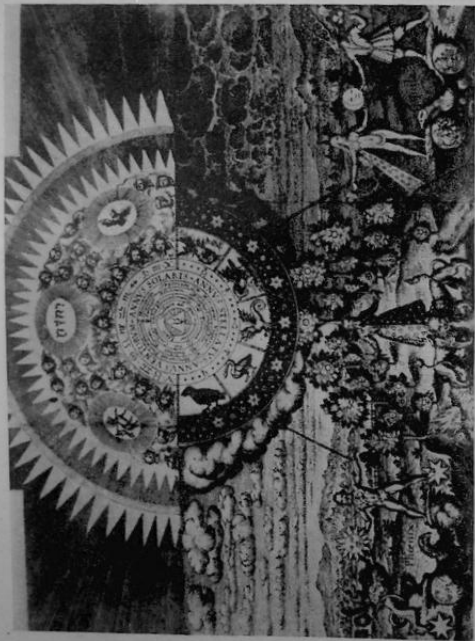
mienną. Zaradzając temu ich dozorczy mają okrągłe naczynia miedziane, bardzo obszerne i ze wszystkich stron podziurawione, z ciasnymi ościeżkami; do tych wkładają owe stworzenia, a ościerze pokrywają miedzianymi pokrywkami i w ziemię zakopują, a wchodzącą przez dziury rozdrobnioną ziemią żywią się przez sześć miesięcy. Po upływie tego czasu wydobywają się i na obfitym ogniu kładą, aż się w nich zwierzątko zupełnie spala. Po ostudzeniu wyjmują się i trą starannie z dodatkiem krwi ludzkiej w jednej trzeciej części z człowieka rudego, która wysuszoną i startą być powinna. Dwie te części składowe skraplają ostrym octem w czystym naczyniu; potem się biorą jak najcieńsze blaszki z najczystszej miedzi czerwonej, smarują z obu stron rzeczoną substancją i kładą do ognia. Gdy się do białości rozgrzeją, wyjmują je, gaszą w tejże samej zaprawie i obmywają, i tak długo to powtarzają, aż zaprawa zupełnie miedź przegryzie, a ta i wagi i barwy złota nie nabierze. To złoto zdadne jest do wszelkich wyrobów" *.

Bazyliśzek był rodzajem karłowatego smoka, mogącego swym spojrzaniem obracać ludzi w kamień. Dlatego polowano na niego za pomocą zwierciadeł, dzięki którym bazyliśzek zabijał siebie własnym wzrokiem. Chociaż koguty jaj nie znoszą, ropuchy nie żywią się chlebem i nie wysiadują jaj, a bazyliśzki nie istnieją, podobne przedsięwzięcia zabierały alchemikom lata pełnej przejęcia pracy.

Zdecydowany alchemik potrafił spędzić całe lata na destylowaniu i redestylowaniu rtęci. Zakładał on, że chcąc uzyskać kamień filozoficzny, trzeba rozpocząć od rtęci filozoficznej, którą można uzyskać z rtęci zwykłej drogą powtarzanej ciągle destylacji. A więc powtarzał ową czynność raz po raz, póki nie zbrakło mu funduszków lub nie uśmierciły go opary.

Z upływem wieków pracownicy alchemicy nauczyli się wiele o chemikaliach. Jednak minęło kilka dal-

* Teofila, kapłana i zakonnika *O sztukach rozmaitych ksiąg troje, III, 48; przekład Teofila Żebrowskiego, w: O złocie hiszpańskim (De auro hispanico). Kraków 1880, s. 112 - 114.*



Ryc. 24. Symboliczne przedstawienie zasad alchemicznych. Na górze: świat niebiański z imieniem Boga w otoczeniu aniołów. Poniżej: symbole świata planetarnego i zodiakalnego. Na dole: świat ziemski z ogrodem alchemicznym, w którym rosną drzewa symbolizujące siedem metali. Mężczyzna i kobieta symbolizują męskie i żeńskie zasady.

szych stuleci zanim późniejsi naukowcy wyselekcjonowali z owej masy wiadomości te kluczowe fakty, które stanowią podstawę nowoczesnej nauki chemii. Prawa chemiczne są tak złożone i współzależne, że formułując je trzeba niemal równocześnie uchwycić właściwe zależności między atomami i cząsteczkami. Nie można tutaj przejść, jak w wielu innych dyscyplinach naukowych, od problemów prostszych do bardziej złożonych. Jednakże bez podwalin położonych przez alchemików, nowoczesna chemia nie mogłaby powstać.

Alchemicy średniowieczni wierzyli, iż alchemia została wynaleziona przez Kaina, Noego, albo jakiegoś innego patriarchę biblijnego, a następnie przekazywana z pokolenia na pokolenie przez takie postacie, jak Mojżesz, Demokryt i Kleopatra, z których żadna faktycznie nie miała nic wspólnego z alchemią.

W rzeczywistości alchemia ma kilka źródeł. Jednym z nich są poglądy filozofów klasycznych na naturę materii. Inne wywodzi się z technik dawnych śródziemnomorskich hutników i kowali. Jeszcze inne czerpią swój początek z poglądów taoistycznych filozofów chińskich, którzy twierdzili, iż życie ludzkie można przedłużać w nieskończoność za pomocą eliksiru wykonanego z rzadko spotykanych substancji, jak na przykład sproszkowane złoto (podobno nawet jeden z cesarzy chińskich zmarł po zażyciu takiego eliksiru). Myśl ta przywędrowała na zachód szlakami handlowymi środkowej Azji — słynnym „szlakiem jedwabiu” — w późnohellenistycznych lub rzymskich czasach, następnie została podjęta przez pierwszych alchemików i dołączona do istniejącego zasobu ich wiedzy.

Kilku Greków azjatyckich zaczęło spekulacje na temat natury materii już w VII wieku p.n.e. Chociaż przeprowadzili oni niewiele doświadczeń, udało im się po-

czynić kilka trafnych domysłów odnośnie natury człowieka i świata. Rzecz jasna, owi Grecy jońscy dokonali również szeregu domysłów z gruntu złych. Nie mogło być jednak inaczej, ponieważ eksperymenty nie były prowadzone według żadnego ustalonego planu.

Jednym z jońskich przyczynków do alchemii była myśl, że Wszechświat jest zrobiony z jednej substancji pierwotnej, a różne substancje są jej modyfikacjami. Tales z Miletu sugerował, iż ową „pierwotną substancją” jest woda; Anaksymenes twierdził, że powietrze; Heraklit, że ogień i wieczny ruch lub ziemia.

Ponieważ te domysły nikomu nic nie wyjaśniały, zaczęto je później łączyć. Empedokles z Akragas, grecki filozof żyjący na Sycylii w V wieku p.n.e. wysunął klasyczną teorię chemiczną starożytności: że cała materia powstała z mieszaniny czterech zasadniczych elementów — ziemi, wody, powietrza i ognia. W następnym stuleciu Arystoteles skomplikował ten obraz dodając piąty element, eter. Miało nim być czyste powietrze na wielkiej wysokości. Uczeni okresu klasycznego poświęcili mnóstwo myśli i czasu żonglowaniu tymi pierwiastkami. Cała teoria, którą stworzyli, zasługuje na uwagę swą pomysłowością, siłą oddziaływania na umysły ludzkie i całkowitą bezużytecznością w wyjaśnianiu praw przyrody.

Alchemia wywodzi się również z egipskiej sztuki robienia takich stopów, które wyglądały jak złoto i srebro. Od czasów pierwszych dynastii w Egipcie kształcono zręcznych jubilerów i złotników. Sztuka imitowania cennych metali ożywiła się dzięki odkryciu rtęci około III wieku p.n.e. W czasach Ptolemeuszów — dynastii macedońskiej, która władała Egiptem po Persach a przed Rzymianami — rzemieślnicy egipscy stworzyli stop srebra, arsenu i siarki do tego stopnia przypominający złoto, że późniejsi filozofowie czytając o tym

osiągnięciu zastanawiali się, czy nie był to istotnie ów szlachetny metal uzyskany sztucznie. Inną imitacją złota był nowo odkryty mosiądz, początkowo niemal tak samo kosztowny jak złoto, które przypominał.

W kilku miejscach wokół Bagdadu znaleziono pewną liczbę osobliwych słoiczek z czasów imperium rzymskiego; niektóre z nich zawierały miedziane walce i żelazne pręty. Te zagadkowe naczynia podsunęły kilku historykom technologii myśl (choć inni zdecydowanie się temu przeciwstawiają), że starożytni złotnicy mezopotamscy umieli galwanizować wyroby ze srebra cienką warstwą złota i że słoiki są pozostałością baterii używanych w tym celu.

Alchemicy okresu klasycznego napisali wiele rozpraw, z których kilka przetrwało do dziś. Traktat Bologa z Mendes pochodzi z około 300 roku p.n.e. Inne powstały zapewne w pierwszych wiekach n.e. Niektóre są podpisane imieniem *Hermes Trismegistos** — jest to bóstwo powstałe z utożsamienia greckiego boga-posańca Hermesa z egipskim bogiem mądrości o głowie ibisa, zwanym Dehuti lub Thoth, przemienionym według legendy, w śmiertelnego króla Egiptu, który rządził przed potopem i napisał 36 525 ksiąg o alchemii. Inne księgi przypisywano różnym bóstwom, jak Izydzie i Agathodaimonowi, lub takim śmiertelnikom, jak król Salomon i Ostanos, z których żaden nigdy nie był prawdziwym alchemikiem. Z dziełami tymi wiąże się również imiona prawdziwych alchemików, jak Komarios oraz Maria Żydówka. Maria Żydówka dokonała, jak się zdaje, kilku doniosłych odkryć chemicznych i wynalazła kocioł destylacyjny, a w każdym razie była pierwszą, która go opisała. Wynalazek ten z kolei doprowadził do odkrycia alkoholu za czasów kalifatu. Nazwa *Bain-*

* Trismegistos — po trzykroć wielki (przyp. red. pol.).

-marie, czyli podwójny kocioł, pochodzi od jej imienia.

Podczas gdy jedni z tych wczesnych alchemików dokonywali praktycznych odkryć, większość zaczęła niebawem zajmować się poszukiwaniem takich mrzonek, jak kamień filozoficzny, eliksir życia czy alkahest, czyli uniwersalny rozpuszczalnik. Tylko niewielu miało na tyle rozumu, aby postawić pytanie: Jeśli ktoś odkryje uniwersalny rozpuszczalnik, w jakim naczyniu będzie go trzymał?

Po upadku Cesarstwa Rzymskiego alchemia nadal się utrzymywała w Cesarstwie Bizantyjskim i kalifacie. Pionierem muzułmańskich alchemików był Dżabir ibn-Hajjan, którego średniowieczni Europejczycy zwali Geberem. W VIII wieku Dżabir odrodził zapomniane niemal już metody eksperymentalne uczonych helleńskich. Jemu to właśnie przypisuje się większość dzieł arabskich. Niektóre są adaptacjami greckich rozpraw o alchemii, inne dają świadectwo nowym odkryciom chemicznym, takim jak metoda uzyskiwania węglańcu ołowiu. Nie wykluczone, że Dżabir odkrył kwas siarkowy. Około 200 średniowiecznych dzieł pisanych po łacinie przypisuje się również Geberowi, są to jednak późniejsze prace podpisane imieniem uczonego Araba ze względów prestiżowych.

Dżabir wyznawał pogląd, że wszystkie substancje są związkami chemicznymi siarki i rtęci. Tak jak u Greków przed nim, a u innych europejskich alchemików po nim, jego wypowiedzi były zabarwione magią. Siarka była dla niego *zasadą palności i barwy*. Rtęć *zasadą płynności i blasku*. Późniejsi alchemicy dodali do tego arsen jako *zasadę trwałości*. Oto jak mieszała pojęcia substancji z ich właściwościami.

Pewien żyjący w X wieku alchemik irański, Muhammed ibn-Zakarija el-Razi (zwany przez Europejczy-

ków Razesem) próbował sklasyfikować wszystkie substancje chemiczne jako duchy, ciała, kamienie, witriole, borany i sole. Mając lat trzydzieści parę el-Razi porzucił alchemię dla medycyny i wyrobił sobie świetną praktykę w Bagdadzie. Niektórzy twierdzą, że oślepił od oparów chemikaliów, inni, że od batów, które mu kazał wlepić jakiś książę, gdy eksperyment alchemiczny zawiódł. Dość na tym, że kiedy lekarz, który go wyleczył, przysłał mu rachunek na 500 dinarów, Razes oświadczył, iż wreszcie znalazł prawdziwy sekret robienia złota i obrał zawód lekarza.

Ze schyłkiem kalifatu w X i XI wieku główny ośrodek intelektualny świata muzułmańskiego przeniósł się z Bagdadu do Hiszpanii. Stamtąd alchemia rozprzestrzeniła się na całą zachodnią Europę. Alchemicy średniowieczni eksperymentowali za pomocą aparatów, które miały arabskie nazwy (na przykład atkanor, alembik, aludel) i w trakcie swych eksperymentów wynaleźli wiele urządzeń prostszych, używanych w nowoczesnej chemii. Alchemikom patronowało wielu królów, między innymi Henryk IV, Henryk VI i Edward IV angielski; idea przemiany metali nieszlachetnych w złoto wydawała im się deską ratunku wobec chronicznego problemu napełniania pustego skarbcza.

Ci średniowieczni alchemicy czytali tłumaczenia dzieł arabskich i podejmowali sami pisanie traktatów, które podpisywali nazwiskami swoich muzułmańskich poprzedników, a później imionami wcześniejszych uczonych europejskich. Każdy wybitny scholastyk był narażony na to, że mu przypiszą dzieła z dziedziny alchemii, nawet jeżeli — jak w przypadku świętego Tomasza z Akwinu — nie miał w rzeczywistości z alchemią nic wspólnego.

W ten sposób powstał ogromny i nie nadający się

do czytania zbior literatury alchemicznej. Dzieła te, mocno przesiąknięte magią, opisują wyobrażenia węża Ouroborosa kłusającego swój ogon — starożytny symbol okultystów — i zapewniają, że sekret przemiany w złoto został ukryty przez dawnych mędrców, którzy lękali się gniewu demonów. Niektóre dzieła zachowują nawet stare egipskie przepisy na wykonywanie stopów, tak jednak zniekształcone tłumaczeniem i symboliką, że z trudem je można rozpoznać.

W średniowieczu odkryciom chemicznym dotrzymywał kroku mistycyzm, symbolizm i magia sympatyczna. Działając zgodnie z magiczną zasadą, że „jak na górze, tak na dole”, alchemicy uważali, iż czyny ludzkie w płaszczyźnie duchowej oddziałują na reakcje metali na płaszczyźnie materialnej. Pragnąc zatem oczyścić swe metale, dążyli do nieskazitelności moralnej. Traktatom swym nadawali poetyckie tytuły: „Nowa perła wielkiej kosztowności”, albo „Rydwany tryumfalny antymonu”. Używali zaszyfrowanych nazw substancji: „krew szarej gołębiczy” oznaczała minę; „czerwony lew” — złoto; a — wierście, lub nie — „produkt cór ateńskich byków” — miód. „Smocza krew”, bardzo popularna substancja w magicznych receptach, mogła oznaczać niemal wszystko.

Dzieła alchemików stawały się wciąż bardziej i bardziej mistyczne i symboliczne, aż w ogóle ich sens się zagubił. Słynna *Tabula Smaragdina*, czyli *Tablica szmaragdowa* jest właśnie tego przykładem. Jest to zbiór twierdzeń zebranych z wczesnomuzułmańskich traktatów. Średniowieczni alchemicy utrzymywali, że została ona odkryta przez Aleksandra Wielkiego na szmaragdowej płycie w grobowcu Hermesa. *Tablica szmaragdowa* głosi, co następuje:

„1. Nie głoszę rzeczy zmyślonych, ale to, co jest prawdziwe i pewne. 2. Co jest na dole podobne jest temu, co na górze.

a co jest na górze podobne jest temu, co na dole, aby spełnić cudowności jednej rzeczy. 3. A ponieważ wszystkie rzeczy zostały stworzone za przyczyną jednego Bytu, więc wszystkie rzeczy zostały stworzone z tej jednej rzeczy w drodze przetworzenia. 4. Jej ojcem jest Słońce, jej matką Księżyc; wiatr nosił ją w swym brzuchu, a wykarmiła ją Ziemia. 5. Jest ona przyczyną wszelkiej doskonałości na całym świecie. 6. Jej moc jest doskonała, choćby była przemieniona w ziemię. 7. Oddzieli ziemię od ognia, delikatność od prostactwa, działając roztropnie i rozważnie. 8. Wstąpił z najwyższą roztropnością z Ziemi na niebiosa, a potem znowu zstąpił na Ziemię i połączył moce rzeczy wyższych i niższych. W ten sposób zyskasz chwałę całego świata i wszelkie niejasności odstąpią od Ciebie. 9. Rzecz ta jest męstwem wszelkiego męstwa i pokonuje wszelkie rzeczy subtelne i przenika wszelkie ciała stałe. 10. Tak stworzone zostały wszystkie rzeczy. 11. Stąd wywodzą się wszystkie cudowne przemiany w ten sposób stworzone. 12. Dlatego zwę się Hermes Trismegistos, który posiada trzy części filozofii całego świata. 13. To, co miałem do powiedzenia o działaniu Słońca, jest skończone” *.

Choć napisano przeszło 40 ksiązek wykładających sens *Tablicy szmaragdowej*, nikt nie zdołał odkryć, czym jest właściwie ta „jedna rzecz”. Wydaje się, że *Tablica* zawiera niejasne sformułowanie zasad magii sympatycznej. Dla dzisiejszego czytelnika zasługuje na uwagę tylko z tego względu, że ukazuje, jak taki utwór mistyczny może zyskać duże znaczenie i rozgłos, nie zawierając żadnego sensu.

Tradycja kwiecistego i symbolicznego stylu była ogromną zawadą dla późniejszych alchemików, którzy próbowali robić poważniejsze doświadczenia. Sprawiała, ona, że do tego stopnia „maskowali swoje tajem-

* Cytowane w wielu książkach o alchemii, m. in.: H. S. Redgrove *Alchemy: Ancient and Modern*, Rider, Londyn 1911 - 1922, s. 40; J. Read *Prelude to Chemistry*, Macmillan, N. York 1937, s. 51; F. S. Taylor *The Alchemists*, Schuman, N. York 1949, s. 89 i nast. Oryginał ukazał się między innymi w XIV-wiecznym *De mineralibus*.

nice mglistą mową”, iż księgi ich stały się arcydziełami niejasności. Niech sobie ktoś wyobrazi próbę sporządzenia kąpieli leczniczej według następujących wskazówek:

„Lecz jeśli dodasz Orła do lodowatego Smoka, który długo zamieszkiwał pośród skał i wypełził z jaskiń Ziemi, następnie zaś oba umieścisz nad ogniem, wówczas wydobędzie się z lodowatego Smoka duch ognisty i swoim olbrzymim gorącem spali skrzydła Orła, dając tym samym łaźnię napotną o tak niezwyklej gorącości, iż śniegi poczną topnieć na wierzchołku góry i w wodę się przemienią, z której to wody ożywcza kąpiel mineralną można przygotować i szczęście, zdrowie, życie i siły przywrócić Królowi” *.

W rzeczywistości większość alchemików nie była tak głupia, jak można by sądzić z powyższych urywków. Alchemikowi zdawało się zazwyczaj, że zna jakąś określoną chemiczną metodę sporządzania kamienia filozoficznego. Jednocześnie pragnął znajomość tę zachować dla siebie albo podzielić się nią z kilkoma zaufanymi kolegami, bowiem nie posiadając patentu (pierwszy wydano w XV wieku we Włoszech) nie mógłby zarobić na swej tajemnicy, gdyby się stała powszechnie znana. Używał więc przy pisaniu szyfrów i symboli.

Na przykład, „bazyliuszki” brata Teofila mogły być kiedyś symbolami prawdziwych substancji chemicznych; ale czy Teofil zdawał sobie z tego sprawę, czy przyjmował alegoryczny opis alchemicznego procesu za opis dosłowny, tego nie wiemy. Bardzo trudno było przekazać informację w sposób zrozumiały, skoro każdy alchemik miał własny system symboli. Autor jednego z XIII-wiecznych traktatów alchemicznych, *Turba philosophorum*, czyli *Zgromadzenie filozofów*, dokonał śmiałej, lecz całkiem bezskutecznej próby ujednoczenia terminów alchemicznych.

* *Basilius Valentinus Practica*; cyt. wg: A. E. Waite (wyd.) *The Hermetic Museum*, Elliott, Londyn 1893, t. I, s. 328 i nast.

Alchemik zawsze mówił swemu potronowi, że znajduje się o włos od sukcesu. Twierdził, że mu się niemal udało, albo udało się, ale w bardzo małym stopniu. Teraz trzeba mu tylko jeszcze tysiąc marek, a zaraz będą mieli w rękę niezmierzone bogactwa. Wielu alchemików niewątpliwie szczerze w to wierzyło. Mógł ich, na przykład, zwodzić fakt, że spotykany w przyrodzie ołów często zawiera drobny procent srebra i gdy odparować cały ołów, w tyglu pozostaje srebrna kropla.

Takie opowieści rosły przekazywane z ust do ust, aż większość wybitnych alchemików — takich jak Flamel i Helwecjusz — zaczęła uchodzić za ludzi, którzy rzeczywiście wytworzyli złoto. Jedna z opowieści, odnoszonych do kilku różnych alchemików, mówi, że kiedy „ów człowiek” był w rozpacz, gdyż nie mógł opanować ostatniego stadium procesu, jakiś tajemniczy nieznanomy dał mu nieco prawdziwego kamienia filozoficznego, który mu pomógł wyprodukować złoto. Nieznanomy obiecał alchemikowi wyjawić tajemnicę, ale zaraz znikł i nigdy go już nie ujrzano. Inni alchemicy mieli rzekomo wynaleźć eliksir życia i były pogłoski, że krążą po Europie setki lat od tego czasu.

Jeśli który z alchemików stał się bohaterem takiej opowieści, mogło mu to ułatwić zdobycie owego tysiąca marek. Chęć uzyskania czegoś za nic pozbawia wielu zdrowych na umyśle i rozsądnych ludzi zmysłu krytycznego. Ale opowieść taka może także kosztować alchemika głowę. Znane są przypadki, że chciwy książę porywał renomowanego alchemika, ażeby siłą wydobyć z niego tajemnicę. W roku 1575 Juliusz, książę Brunszwiku, kazał żywcem upiec na żelaznym krześle kobietę-alchemika, która nie chciała mu zdradzić zlotodajnej formuły.

Podobny los przypadł w udziale Aleksandrowi Setonowi, otyłemu Szkotowi, który w roku 1602 podróży-



wał po Europie. Rozeszły się pogłoski, że Setonowi udało się dokonać przemiany metali. Elektor Saski zawezwał go do Drezna i gdy nie udało mu się wydobyć z Setona tajemnicy, uwięził go i poddał torturom. Chociaż Michał Sędziwój, młody alchemik polski zamieszkały w Dreźnie, spoił pewnej nocy strażę i umknął z Setonem do Krakowa, Seton zmarł w 1603 roku wskutek przeżytych tortur.

Żywot Michała Sędziwoja czyta się jak sensacyjną powieść o zaskakującym zakończeniu. Alchemik ten ocalił Setona nie z litości, ale żeby za to ocalenie zyskać tajemnicę transmutacji. Seton jednakże nie dotrzymał obietnicy, tłumacząc się, że wyjawienie tak strasznych tajemnic byłoby grzechem. Po jego śmierci wytrzymały Sędziwój poślubił jego żonę w nadziei, że ona zdradzi mu sekret alchemika. Tutaj też się rozczarował, choć według jego biografa, Seton zostawił swemu wybawcy uncję kamienia filozoficznego. Jak w wielu innych legendach alchemicznych, Sędziwój skorzystał z tej spuścizny produkując nieco złota, co prawdopodobnie wynagrodziło rozżalenie z powodu straty recepty na cudowny proszek.

W każdym bądź razie szczęście uśmiechnęło się do Sędziwoja. Zaprzyjaźnił się z cesarzem rzymskim Rudolfem II, wyniosłym, niesympatycznym człowiekiem, który miewał okresowe napady obłędu i entuzjazm dla nauk przyrodniczych. Gdy pewien skąpy szlachcic morawski porwał Sędziwoja, aby wydobyć z niego tajemnicę, Sędziwój umknął i poskarżył się cesarzowi. Rudolf natychmiast skonfiskował majątek szlachcica i podarował alchemikowi.

Sędziwój zmarł w 1646 roku przeżywszy 80 lat. W ciągu swego długiego życia przejrzał i opublikował manuskrypty alchemiczne Setona, a poza tym zajmował stanowisko radcy stanu czterech kolejnych cesarzy.

Był jednak realistą, który wiedział, że nie potrafi odkryć kamienia filozoficznego, i znał nastroje swoich czasów. W fikcyjnym dialogu rozczarowany Alchemik Sędziwoja przyznaje:

„Teraz wiem, że nic nie wiem; tylko nie mogę tego mówić. Bo inaczej stracę dobrą opinię u bliźnich i nie będą więcej powierzali mi pieniędzy na eksperymenty. Muszę więc dalej mówić, że wiem wszystko, bo wielu ludzi oczekuje, iż dokonam dla nich rzeczy wielkich... Istnieje wiele krajów i wielu chciwych ludzi, którzy dadzą się złapać na moje obietnice gór złota” *.

Sędziwój nie był jedynym z alchemików, którzy przyznali się z czasem, że ścigali błędne ogniki. Bernard Trevisan z Padwy stracił 60 lat z górą i cały majątek na poszukiwania kamienia filozoficznego. W 82 roku życia, gdy mieszkając na wyspie Rodos żył za pożyczone pieniądze, obwieścił, iż wreszcie odkrył prawdziwą tajemnicę, której tak długo szukał. Ową tajemnicą było zadowolenie z własnego losu.

Zapowiedź ostatecznego upadku alchemii i narodzin chemii przyszła w osobie Paracelsusa, jednego z największych w dziejach geniusza i zarazem szarlatana. Aczkolwiek wiele się o nim pisało, nazwisko jego i data urodzenia nie są dokładnie ustalone. Prawdopodobnie urodził się w Szwajcarii około 1490 roku ** i został ochrzczony imionami Philippus Aureolus. On sam rozwinął te imiona do Philippus Aureolus Theophrastus Bombastus von Hohenheim „Paracelsus”, z których ostatnie miało oznaczać, że był większy od rzymskiego

* M. Sendivogius *Cosmopolitani novum lumen chymicum*, 1604; cyt. wg: A. E. Waite, *The Hermetic Museum*, j.w., t. II, s. 125.

** A. Szumowski *Historia medycyny*, Warszawa 1961, podaje jako datę i miejsce urodzenia Paracelsusa: 10 XI 1493 rok w Einsiedeln (*przyp. red. pol.*).

lekarza Celsusa, czołowego autorytetu medycznego w okresie średniowiecza.

Mając lat 16 Paracelsus uczęszczał na Uniwersytet w Bazylei, następnie studiował mineralogię w kopalniach Fuggerów w Tyrolu. Nabawiwszy się tam kłopotów wyruszył w podróż po Europie i, być może, na Bliski Wschód. W pewnym etapie swojej kariery studiował magię czarnoksięską u opata Trithemiusa.

W 1526 roku Paracelsus pojawił się ponownie w Niemczech już jako chirurg wojskowy i tego samego roku zaoferowano mu stanowisko lekarza miejskiego w Bazylei. Ze stanowiskiem tym łączyła się katedra medycyny na Uniwersytecie w Bazylei, gdzie wkrótce Paracelsus wywołał wrzawę wśród swoich kolegów. Wykładał bowiem po niemiecku, a nie po łacinie; potępił swych kolegów jako szarlatanów i proklamował się mesjaszem nowej medycyny. Usunięty z powodu swej kłótniwości, pijaństwa i egotyzmu, rozpoczął znowu wędrówkę, aż umarł w Salzburgu w 1541 roku.

Aczkolwiek Paracelsus ostro krytykował doktryny Galena i innych autorytetów medycznych, jego własne teorie były w większości równie fantastyczne. Pozostawił po sobie równie niezrozumiałe dzieła alchemiczne, jak większość dzieł tego rodzaju, i twierdził, że potrafi stworzyć homunkulusa — małego żywego człowieczka. Główny wkład Paracelsusa do nauki polega na jego znajomości chemii. Wprowadził do medycyny opium, rtęć i związki antymonu. Badał zagadnienie znieczulenia za pomocą narkozy eterem. Głosił, że prawdziwym celem alchemii było sporządzanie leków, a nie złota.

Można powiedzieć, że Paracelsus osiągnął szczyty alchemii. Z jego alchemicznej szkoły farmaceutycznej wywodzi się prawdziwa nauka chemii. Jego odkrycia



Ryc. 25. Paracelsus, słynny XVI-wieczny lekarz, czarodziej, alchemik i farmakolog.

i badania nad preparatami leczniczymi podjęli i posunęli naprzód inni ludzie.

W XVII wieku, kiedy upadek alchemii był jeszcze mało dostrzegalny, prawdziwi chemicy wypłukiwali ziarenka faktów z błota alchemicznej tradycji i budowali z nich zręby nowej nauki. Robert Boyle wysunął pierwszą nowoczesną teorię atomistyczną w dziele zatytułowanym *Sceptical Chimyst* (1661). Podał on także definicję pierwiastka chemicznego jako substancję,

której nie można już rozłożyć *. W świetle tej definicji pierwiastkami były wszystkie metale, a także siarka, węgiel i wiele innych substancji znanych alchemikom. Cztery słynne pierwiastki filozofów greckich okazały się nie pierwiastkami, a mieszaninami i związkami chemicznymi.

Boyle i jego współpracownicy, Hooke i Mayow, założyli szkołę „chemii pneumatycznej”, której pracownicy odkryli złożoną naturę powietrza. Boyle zorganizował również wydział chemii w Oxfordzie. Do jego uczniów należeli tacy ludzie, jak astrolog Elias Ashmole i wielki Isaac Newton, którzy brali udział w doświadczeniach alchemicznych i w końcu z żalem rozstali się z nadzieją transmutacji.

Boyle wyprzedzał swoje czasy. Minęło więcej niż sto lat zanim jego teoria pierwiastków została powszechnie uznana. Chociaż kilku późniejszych chemików próbowało uratować, co się da, z teorii alchemicznych, podstawowe założenia alchemii zostały zdyskredytowane. Odtąd miejsce alchemii zajęła chemia.

To prawda, że prowadzone w XX wieku badania nad promieniotwórczością dowodzą, iż transmutacje istotnie występują w naturze, a nowoczesna fizyka wykazała, że można — olbrzymim kosztem — przemieniać metale w cyklotronie. Ale nie można przemienić jednego metalu w drugi na wpół chemicznymi, na wpół magicznymi metodami alchemików. A zatem, wbrew szumnym opowieściom o alchemikach, musimy rozstać się z romantyczną myślą, że jakkolwiek alchemik na-

* Definicja Boyle'a brzmiała: „Za pierwiastki uważam pewne pierwotne lub proste, z niczym nie połączone ciała; nie są one utworzone z innych ciał ani nie powstały jedno z drugiego; są składnikami ciał doskonale zmieszanych, które z nich mogą bezpośrednio powstawać i na które można je ostatecznie rozłożyć” (przyp. red. pol.).

prawdę kiedykolwiek zrobił złoto, posługując się przy tym długo poszukiwanym kamieniem filozoficznym.

Alchemia zaczęła tracić powszechny szacunek w XVII wieku. Zapewne wpłynęło na to specyficzne stanowisko takich uczonych, jak Sir Isaac Newton, ale niemały wpływ miało rozpowszechnienie się rządów republikańskich. Rządy republikańskie okazały się bardziej odporne na obietnice darmowego złota, niż księżęta, którzy dotychczas byli głównymi protektorami alchemików. Być może jest coś symbolicznego w fakcie, że jeszcze w roku 1929 pewien niemiecki alchemik uzyskał od przeciwnika demokracji, generała Ludendorffa znaczne sumy pieniędzy, obiecując mu w zamian wyprodukowanie takiej ilości złota, która wystarczy cesarzowi Wilhelmowi na odzyskanie tronu niemieckiego.

Do innych przyczyn upadku alchemii należały koszty aparatury alchemika oraz fakt, że nie mógł on sprzedawać swych umiejętności tak masowo, jak na przykład astrolog. O ile klient astrologa musiał czekać miesiącami, a nawet latami na sprawdzenie przepowiedni, za którą zapłacił, protektor alchemika oczekiwał natychmiastowych wyników. Kiedy, na przykład, w 1781 roku James Price obwieścił, że umie dokonywać przemiany metali, Królewska Akademia, której był członkiem, chwyciła go za słowo i zażądała demonstracji. Nieszczęśnik wolał odebrać sobie życie niż dać się zde-maskować.

Wreszcie zaczęto lepiej rozumieć prawa ekonomiczne. Gdyby alchemikom udało się produkcja złota na szeroką skalę, rozminęliby się z celem, obniżając jego wartość. Wydaje się, że możliwość inflacji nie bardzo ich przejmowała. Jeden z ich grona, Thomas Norton, ostrzegął ich jednak, by nie wyjawiali swych tajemnic

pospólstwu, aby jakiś łotr „nie usunął z dziedzicznych tronów owych prawowitych książąt, którzy rządzą narodami chrześcijańskiego świata” *.

Inny z późniejszych alchemików ze szczerą filozoficzną troską o swych bliźnich żywił nadzieję, że alchemicy zwyciężą, „bo wówczas złoto, wielkie bożyszcze ludzkości, zatraci swą wartość i będziemy je cenili tylko za to, czego nas nauczyło” **. Gdyby pisarz ten był ekonomistą, zdawałby sobie sprawę, że wówczas co innego musiałoby zająć miejsce złota: ożywiony handel światowy wymaga dogodnego środka płatniczego. Obecnie świetnie radzimy sobie posługując się arkusikami papieru.

Obok tych pełnych dobrych chęci, acz niefortunnych alchemików, o których losach opowiedzieliśmy, działali jeszcze innego typu ludzie mieniący się także alchemikami. Możemy ich podzielić na trzy grupy:

Jedną z tych grup stanowili alchemicy mistycy (można ich nazwać „alchemistami”), którzy mieszały magię z poważnymi eksperymentami chemicznymi; alchemicy mistycy często nie zajmowali się w ogóle pracami chemicznymi, lecz poświęcali czas na wysuwanie kosmicznych spekulacji formułowanych w języku alchemicznym.

Najznakomitszym z nich był szewc niemiecki, Jacob Böhme (1575 - 1624). Ten drobny, potulny, niepozorny człowiek żył sobie spokojnie w Görlitz i dopiero w ostatnim roku życia prześladowania miejscowego pastora zmusiły go do wyjazdu do Drezna. Miał Böhme jednak okresy „objawienia” i opierając się na tych

* T. Norton *Belive-me, or the Ordinal of Alchemy*; cyt. wg: A. E. Waite, *The Hermetic Museum*, j.w. t. II, s. 12.

** Ireneusz Filaletes *Klucz do zamkniętego pałacu króla*; cyt. wg: A. E. Waite, j.w., t. II, s. 178.

przeżyciach napisał szereg traktatów mistycznych o naturze świata. Bóg, według niego, jest Otchłanią i Jedną Wielką Myślą. Chrystus jest Kamieniem Filozoficznym. Istnieją również Trzy Zasady i Siedem Wartości. Aniołowie, planety, metale, klejnoty, upadek Lucyfera i Adama, pokuta i odkupienie — wszystko znalazło miejsce w wielkim systemie Böhme'a.

Niektórzy z późniejszych autorów, jak Ethan Allen Hitchcock w XIX wieku, twierdzili, że Böhme i jemu podobni byli „szczerymi” alchemikami, a wszyscy inni to tylko „nędzni poszukiwacze złota”. Aczkolwiek wiele z tego, co zwykli alchemicy mówili o Złocie Filozofów, było niewątpliwie zasłoną dymną, którą się zasłaniaли rozczarowawszy swoich protektorów, byłoby niesłuszne odbierać im miano „alchemików” i obdarzać nim mistyków, którzy nigdy nie wachali oparów znad tygla.

Druga grupa, którą należy odróżnić od pracowitych alchemików, obejmuje zdecydowanych oszustów. Mówili oni wiele o robieniu złota i czasem nawet urządzali oszukańcze demonstracje swych umiejętności, ale nigdy nie próbowali naprawdę rozwiązać problemu kamienia filozoficznego. Trudno odróżnić tych szarlatanów od prawdziwych alchemików, bowiem ci ostatni nieraz uciekali się do kuglarstwa, by zdobyć pieniądze na eksperymenty.

Jedną z wielu sztuczek tych oszustów opisał w latach osiemdziesiątych XIV wieku G. Chaucer:

„Ten fałszywy kanonik — niechże go Zły porwie!
— Z zanadru dobył węgielek z buczyny,
W którego wnętrzu srebra okruszynę
W dziurkę misternie złobioną wsunęto
I potem woskiem zaklejono pięknie,
Nie do poznania dla ludzkiego oka...” *

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: G. Chaucer *Opowieści kanterberyjskie*.

Krótko mówiąc, gdy wrzucono węgielek z drewna bukowego do tygla, w którym podgrzewała się rtęć, wosk rozpuszczał się i ukryte opiłki łączyły się z rtęcią, tworząc amalgamat srebra.

Do innych sztuczek należało używanie tygla o podwójnym dnie, niższym z metalu, a drugim, umieszczonym wyżej, z wosku. Oszust wypełniał przestrzeń między nimi sproszkowanym złotem lub srebrem i podgrzewał tygiel. Kiedy sztuczne dno się roztopiło a złoto przeszło w stan ciekły, chłodził tygiel i pokazywał zdumionemu księżątku bryłkę złota. Jeszcze jedną sztuczką było wypełnienie wydrążonego pręta proszkiem cennego metalu i zatkanie otworu woskiem. Następnie używało się tego pręta do mieszania jakichś wrzących chemikaliów; wówczas wosk topniał, a ukryty w otworze proszek wsypywał się do tygla i roztopiał w miksturze.

Nawet jeszcze dziś można znaleźć mistyków i oszustów wertujących traktaty alchemiczne w amerykańskich bibliotekach publicznych. W ich umysłach roją się ukryte znaczenia cyfr i symboli. Piszą rozwlekłe sprawozdania ze swych mistycznych objawień. Na szczęście mało kto interesuje się ich „odkryciami”. Nie należy jednak zapominać, że jakkolwiek nie można znaleźć praktycznego zastosowania alchemii, to jednak ze snów, czarów i wysiłków alchemików zrodziła się nowoczesna chemia, która wzbogaca i niejednokrotnie ratuje życie ludzkie.

Oprócz zaczątków wiedzy chemicznej, średniowieczni alchemicy pozostawili język pełen mistycznego symbolizmu, bardzo podobny do sposobu wyrażania się przez okultystów. Okultyzm jest sztuką sięgania w niewidzialny świat, w celu zapożyczenia wiedzy od starożytnych mędrców, porozumienia się z duchami zmarłych, zyskania władzy nad jakimś demonem lub bóstwem,

albo po prostu przeniesienia się z nudnego, ziemskiego świata realnego w fascynujący świat astralny. Frapująca niezrozumiała terminologia alchemików wydaje się wielu ludziom złotym kluczem, który otwiera drzwi tego niewidzialnego świata.

W ten sposób trzecia grupa pseudoalchemików, która egzystuje do dziś, używa języka alchemii do celów korporacyjnych lub komercyjnych. Spośród rozmaitych organizacji, które wywodzą swój rodowód od wczesnych alchemików, najbardziej znani są różokrzyżowcy. Historia ich jest burzliwa, a cele niejasne. Tym niemniej dzieje różokrzyżowców są bardzo pouczające i wskazują, jak łatwo ludzie tworzą wielkie organizacje, opierając się na jakiejś nieistotnej idei, jak można użyć języka mistycyzmu jako dymnej zasłony dla całkiem nieprzewidzianych celów, i jak łatwo sprawić, by ludzie uwierzyli, że to, czego nie mogą zrozumieć, musi koniecznie być szczytem mądrości.

Różokrzyżowcy pojawili się w roku 1614 w Cassel, w Niemczech, w czasie wojen religijnych, gdy sekty protestanckie gromadziły siły przeciw katolicyzmowi. Ukazał się wówczas anonimowy pamflet pod tytułem *Odkrycie najchwalebniejszego zakonu różanego krzyża (Fama fraternitatis Rosae Crucis)*. Autor urągał papieżowi, potępiał alchemię i opisywał losy tajemniczej postaci, określanej inicjałami „C. R. C.”.

Owym cudownym człowiekiem miał być pewien Holender urodzony w 1378 roku. Jako młody chłopiec pojechał na Wschód, gdzie w Damaszku studiował mądrości starożytnych. Odwiedził również tajemnicze miasto Damcar w Arabii, gdzie przetłumaczył wyimaginowaną „Księgę M”.

Aby przekazać swą wiedzę innym, C.R.C. powrócił do Europy i założył bractwo złożone z ośmiu członków, którzy zaprzysięgli celibat i przez wiek zachować ta-

jemnicę. Ponieważ jednak wiek ten już minął, bractwo werbuje nowych członków do jawnego spisku, mającego na celu zreformowanie Europy. Autor zachęcał wszystkich zainteresowanych, aby przesłali listy stwierdzające gotowość do przystąpienia do bractwa.

W następnym roku ukazała się dalsza część pamfletu. Ten kwiecisty utwór, zatytułowany *Wyznanie bractwa różokrzyżowców erudytom europejskim*, ostrzegał, że różokrzyżowcy są o krok od opanowania Europy i przebudowania jej na obraz Damcaru mądrych Arabów. Obie książki są jawną propagandą luteranizmu. Wyznanie określa papieża jako „antychrysta” i posługuje się motywem z pieczęci Lutra: zarys róży, na którym jest umieszczone małe serduszko z krzyżykiem u góry.

Trzecia księga kanonu różokrzyżowców, *Chemiczne wesele Christiana Rosenkreuza, Anno 1459*, wymienia po raz pierwszy nazwisko domniemanego Holendra. Był to okres w dziejach, kiedy każdy mąż uczony nosił dwa nazwiska: swoje rodowe, używane na codzień, i jego łaciński odpowiednik. Nazwisko Christian Rosenkreuz brzmiałoby po łacinie Christianus Rosae Crucis, a stąd inicjały „C.R.C.”.

Chemiczne wesele należy do grupy utworów mistyczno-alchemicznych, które językiem symboli alchemicznych opisują zjawiska tego świata. W traktatach alchemicznych pełno jest takich opowieści, bardzo obrazowych, często o silnym zabarwieniu seksualnym. Te zaskakujące kompozycje można rozpatrywać jako freudowskie marzenia senne albo zaszyfrowane recepty alchemiczne, ewentualnie jedno i drugie razem.

W *Chemicznym weselu* opowieść zaczyna się od momentu, gdy piękna anielica wręcza narratorowi zaproszenie na królewskie zaślubiny. Zachwycony narrator wtyka cztery róże za opaskę kapelusza, rusza

w daleką drogę i wreszcie staje przed „okazałym wejściem”. Mijając szereg bram doznaje przygód ze lwem, dziewczyną, oddziałem niewidzialnych cyrulików, a wreszcie przybywa na bankiet. Jest to, oczywiście, satyra na Europę w XVII wieku, w której fanfaroni i szarlatani naciągają prostodusznych możnowładców. Do innych przygód narratora należy widok obnażania, chłosty, odrąbywania głów i przywracania ludzi na powrót do życia.

Chociaż te trzy księgi różnokrzyżowców wywołały wiele wrzawy, żadna z osób, które wystosowały listy wyrażające gotowość do przystąpienia do bractwa, nie otrzymała odpowiedzi. Najprawdopodobniej bractwo takie w ogóle nie istniało.

Obecnie wielu uczonych sądzi, że autorem owych utworów był Johann Valentin Andreaë (1587 - 1654), zagorzały młody pastor luterański ze Stuttgartu, który miał pasję reformowania świata i, jak wielu ludzi owych czasów, upodobanie do tajnych organizacji. W autobiografii opublikowanej pośmiertnie, Andreaë twierdzi, że napisał *Chemiczne wesele* mając lat piętnaście. Ponadto, pieczęć jego, jak pieczęć Lutra, zawierała motyw róży i krzyża: krzyż z czterema różami w rogach.

Przyпуска się, że Andreaë napisał te utwory albo dla żartu, albo w rzeczywistej nadziei założenia luterańskiego stowarzyszenia alchemicznego. Być może, przestraszył się, gdy zaczęły napływać odpowiedzi. Niektórzy autorzy dzieł o okultyzmie, jak Waite i Spence, twierdzą, że człowiek o tak „znanej szlachetności intelektu”, jak Andreaë, nie płatałby podobnego figla. Ale szlachetność intelektu Johanna Andreaë jest kwestią zapatrywania, ponieważ albo rzeczywiście napisał przynajmniej jedną część, albo skłamał mówiąc, że napisał. Ponadto, wielu skądinąd uczciwych ludzi nie widzi

nie drożnego w tego rodzaju oszustwie, zwłaszcza w stosunku do tych, którzy z całą powagą traktują okultyzm.

W każdym razie utwory te są dziełem jednego lub więcej luteranów, którzy byli zwolennikami doktryn Paracelsusa, alchemika. Byli to z pewnością ludzie żyjący w XVII stuleciu. Mogli mieć powiązania z Ewangelicznym Rycerstwem Krzyża, rodzajem luteranских oddziałów szturmowych zawiązanych kilka lat przedtem w Norymberdze przez alchemika Simona Studiona. Podobnie jak o wielu innych sprawach z historii okultyzmu, nigdy zapewne już się nie dowiemy, jak było naprawdę.

Interesujące jest i nieco zatrważające, jak łatwo ludzie ulegają wpływom nieznanym, a w przypadku różokrzyżowców zapewne nieistniejących stowarzyszeń. Na przykład, niemiecki alchemik, Michael Maier (1568 - 1622), wystąpił w obronie różokrzyżowców nie spotkawszy nigdy ani jednego z nich. Za jego przykładem poszedł mistyk angielski, Thomas Vaughan, który zmarł w 1666 roku na skutek zatrucia oparami rtęci w czasie eksperymentu alchemicznego. Trzecim obrońcą był astrolog, John Heydon, który opisał swe odwiedziny we wspaniałym, podziemnym zamku różokrzyżowców na zachodzie Anglii i podróż do utopijnej złotej siedziby różokrzyżowców na jakiejś wyspie na Morzu Arabskim.

Późniejsi powieściopisarze wykorzystywali nieraz temat różokrzyżowców w swoich utworach. Poeta P. B. Shelley napisał pod pseudonimem utwór *St. Irvine; or, The Rosicrucian* (1811). Najbardziej znaną powieścią o różokrzyżowcach jest *Zanoni* Lorda Bulwer-Lyttona (1853). Książka ta opisuje przygody malarza angielskiego, przebywającego we Włoszech pod koniec

XVIII wieku, który zaprzyjaźnia się z Zanonim, jednym z dwóch ostatnich członków dawnego bractwa.

Taka reklama sprawiła, że różokrzyżowcy cieszyli się przez ostatnie trzy wieki ogólnym zainteresowaniem, chociaż Andreä i jego mistyczne — jeżeli nie mityczne — stowarzyszenie dawno poszło w zapomnienie. Od czasu do czasu wyrastają różne sekty czy grupy różokrzyżowe, a każda z nich wywodzi rodowód od „pierwotnego” stowarzyszenia z czasów Johanna Andreä. W XVIII wieku pewna grupa ludzi próbowała zorganizować wolnomularzy wyższego stopnia wtajemniczenia w „różokrzyżowym”, ściślejszym kręgu. Aczkolwiek zamysły te speliły na niczym, loża szkocka nadal posiada stopień „Rose Croix” jako pozostałość tych usiłowań.

W 1781 roku król pruski, Fryderyk Wilhelm II, przystąpił do luterańskiego stowarzyszenia różokrzyżowców. Z chwilą wstąpienia na tron wyznaczył dwóch przywódców stowarzyszenia na stanowiska ministrów. Ludzie ci bezzwłocznie wprowadzili w Prusach rodzaj luterańskiej inkwizycji, równie gnębielskiej i antyintelektualnej, jak inkwizycja hiszpańska.

W połowie XIX wieku część wolnomularzy angielskich utworzyła Stowarzyszenie Różokrzyżowców w Anglii (Societas Rosicruciana in Anglia), z najwyższym magiem w osobie sławnego okultysty, doktora W. Wynn Wescotta, na czele. Chociaż cele stowarzyszenia miały być jakoby „literackie i antykwarskie”, i miało ono nawet swoje filie w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych, to jednak poza dorocznymi obiadami nie mogło się poszczycić żadnymi osiągnięciami. Człowiek jest nie tylko „zwierzęciem towarzyskim”, ale również i niewybrednym. Ludzie chętnie przyłączają się do ruchu o imponująco brzmiącej, aczkolwiek fikcyjnej przeszłości i delektują się jego roszczenia-

mi do starożytnego pochodzenia oraz mądrości transcendentnej, nawet jeżeli cała rzecz sprowadza się do zjedzonego wspólnie obiadu.

Oceany nie są przeszkodą dla okultystycznych towarzystw, tak jak nie jest nią istnienie innego towarzystwa, które już wcześniej rościło pretensje do pochodzenia od oryginalnego źródła mądrości. W Ameryce XX wieku istniały cztery bractwa różokrzyżowców jednocześnie. W 1905 roku R. Swinburne Clymer zorganizował Bractwo Różokrzyżowców w Quakertown, w Pensylwanii, którego główną działalnością było, jak się okazało, wydawanie książek. Mimo to, Wielki Mistrz Clymer utrzymywał, że jego organizacja wywodzi się z zaginionego kontynentu Atlantydy i zachowała kult ognia z tego urojonego lądu.

W roku 1909 G. Winslow Plummer założył w Nowym Jorku Stowarzyszenie Różokrzyżowców, które wydawało mdłą, pełną „natchnienia” literaturę jeszcze po śmierci założyciela w roku 1944. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Plummer zakładał swoje stowarzyszenie, na wschodzie Stanów Zjednoczonych Max Heindel tworzył Związek Różokrzyżowców w Ocean-side, w Kalifornii. Okultysta ten, który studiował teozofię w Austrii, znalazł w Kalifornii życzliwy klimat, bowiem jego grupa istniała jeszcze długo po jego śmierci, która nastąpiła w 1919 roku.

Najpopularniejsze z amerykańskich towarzystw różokrzyżowców, jest stowarzyszenie założone przez nie żyjącego już H. Spencera Lewisa. Lewis, mężczyzna o jajowatej figurze, z kozią bródką i zupełną obojętnością wobec brudu za paznokciami, był ilustratorem pewnego magazynu w Nowym Jorku. W roku 1915, zebrawszy kilku znajomych, założył Starodawny i Mistyczny Zakon Rosae Crucis w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Z typowym brakiem konsekwencji Lewis nalegał, by „zakon w Ameryce przyjął ściśle autokratyczne zasady rządzenia”, ale jednocześnie napisał: „Wszystkie władze organizacji są wybieralne”. Ośmieszał teozofów, a zarazem głosił doktryny będące wyraźnym naśladownictwem ich doktryn. Zapewniał czytelników, że nie potrzebują się obawiać czarów na odległość, bowiem „przestrzeń kosmiczna nie transmituje takich destrukcyjnych myśli”, a w innym miejscu w tej samej książce ostrzegał, że: „Miliony ludzi są co roku duchowo zatrwane” *.

Zakon Lewisa znalazł sobie stałą siedzibę w San Jose, w Kalifornii, gdzie Lewis wybudował imitację świątyni egipskiej stanowiącą jego kwaterę główną i skąd udzielał korespondencyjnych lekcji okultyzmu. Prowadził zaciekłe spory z Clymerem i groził odstępcom od swego zakonu niestęchanymi karami. Po jego śmierci w 1939 roku jego syn prowadził dalej dzieło ojca. Obecnie stowarzyszenie to egzystujące pod nazwą AMORC (Ancient and Mystical Order Rosae Crucis), wydaje znaczne sumy na reklamę w różnych magazynach, stawiając frapujące pytania, jak na przykład: „Jaką posiadali oni moc tajemną?” i „Czy zbywasz śmiechem swe największe możliwości?”.

Chociaż zakon przypisuje sobie pochodzenie od Amosa i nazywa esseńczyków współczłonkami, i choć zapożyczył z teozofii ideę Wielkiego Białego Braterstwa, człowiek poszukujący „wyższej mądrości” łatwo może się przekonać, że kursy tam prowadzone są niczym innym, jak zwykłym okultystycznym bełkotem. Przyziemna droga do wiedzy poprzez normalne szkoły i wyższe uczelnie może czasami wydawać się okropnie

* H. S. Lewis *Rosicrucian Manual*, Rosicrucian Pr., San Jose, California, 1929 - 41, s. 211; 1918 - 38, s. 157, 200.

powolna, ale z pewnością mniej na niej pułapek dla nieostrożnych. Dla tych, którym prawdziwa edukacja wydaje się zbyt pracochłonna, aby nią sobie zawracać głowę, AMORC wydaje książki o piramidologii, Lemurii i temu podobnej pseudonaukowej tematyce.

Triumf Lewisa może być ilustracją, jak pseudonaukowe idee wciskają się do poważnej literatury i wydawnictw naukowo-informacyjnych. W latach dwudziestych XX wieku, kiedy wydawcy *Encyclopaedia Britannica* przygotowywali jej czternaste wydanie, zapragnęli spopularyzować to dzieło prosząc sławnych ludzi o artykuły dotyczące ich specjalności. Lewis miał to szczególne szczęście, że poproszono go o artykuł o różokrzyżowcach. W ten sposób oparł on nieco zmyśloną własną wersję historii tego ruchu w ramy, w których niewielu ludzi miałooby odwagę ją krytykować. Naturalnie, zdołał wtrącić dobre słowo pod adresem własnej organizacji. Przez kilka dziesiątków lat, zanim nie ukazało się nowe wydanie, można było się dowiedzieć z tej encyklopedii, że jedynie AMORC dostarcza prawdziwego okultystycznego oleju węzowego — „nie używajcie żadnych namiastek i strzeżcie się falsyfikatów”. Podobnie Henry Ford, który napisał artykuł o masowej produkcji w tej samej encyklopedii, zrobił podobną reklamę swoim samochodom.

Historia ruchu różokrzyżowego ukazuje wspólne całemu okultystycznemu bractwu cechy, zarówno w krajach prymitywnych, jak i cywilizowanych. Grupy takie pretendują do długiej tradycji i skwapliwie zagarniają fragmenty starożytnej wiedzy, aby użyczyła fałszywej świetności ich doktrynom i rytuałom. Dzieje ich istnienia są zazwyczaj krótkie, a ich polityka roi się od schizm i mactw. Ich doktryny są poprzy-

właszczane od starszych stowarzyszeń bez zbytnej troski o sens i konsekwencję. Usiłują być tajemniczy i niezrozumiali, gdyż cechy te dla wielu ludzi są dowodem starożytności idei, jej mądrości i głębi. Wreszcie, pewne grupy posługują się językiem okultyzmu jedynie dla zamaskowania swoich podejrzanych celów.

Bractwa okultystyczne rozwijają się, ponieważ ludzie ludzą się. uparcie, że osiągną nowoczesny odpowiednik kamienia filozoficznego, który szybko i bez trudu przemieni nieszlachetny metal ich codziennych przypadłości i frustracji w szczerę złoto szczęśliwości. Podobnie jak dawni alchemicy, są oni skazani na niepowodzenie, bowiem taki kamień nie istnieje. Tylko drogą obiektywnej, naukowej oceny własnej sytuacji i rygorystycznej dyscypliny, oraz stałego kształcenia się mogą, jak nowocześni chemicy, postąpić naprzód w swych poszukiwaniach.

To trzecia próba; spodziewam się, że fortuna sprzyja nieparzystej liczbie. ...Powiadają ludzie, że nieparzysta liczba jest świętą liczbą przy urodzeniu, przedsięwzięciu i śmierci*.

W. Szekspir

Liczby fascynują wielu ludzi. Dzieje się tak od czasów, gdy ludzie pierwotni nauczyli się liczyć do dziesięciu na palcach swoich krzepkich dłoni. Każdy z nas ma jakiegoś znajomego, który uważa tę czy inną liczbę za szczęśliwą, albo kiedy natrafi na dwie bardzo do siebie podobne, mówi z powagą w oczach: „Prawda, jakie to dziwne? Ciekawe, co to znaczy?”

Czy są specjalne liczby posiadające znaczenie kosmiczne, albo transcendentalne? Czy można znaleźć liczby, które przynoszą szczęście, albo posłużyć się liczbami dla odwrócenia nieszczęścia? Ludzie sądzą tak od dawna, bowiem istnieje cała gałąź magii poświęcona symbolom — słownym i cyfrowym — i wyssanym z palca zależnościom między nimi.

Magia symboliczna zaczęła się od słów. Słowa is-

* W. Szekspir *Wesołe windsorskie kobiety*, akt V, scena 1. Przekład L. Ulricha w: *Dzieła dramatyczne*, t. I (Komedia, t. I), PiW, Warszawa 1964.

totnie posiadają moc. Na wyrażoną słowami komendę ludzie (a nawet wyuczone psy) spełniają określone polecenia. Dlaczego więc, używszy odpowiedniego zaklęcia, nie można by spowodować wybuchu Wezuwiusza, lub jego uciszenia? Większość ludzi od tysięcy lat bezkrytycznie wierzyła, że słowa posiadają moc. Przyjmowali oni także, że niektóre słowa mają moc specjalną. Byli przekonani, że do czarowników należy znać tę moc i wykorzystywać ją dla dobra swych klientów.

Wielu prymitywnych ludzi uważa, że imię człowieka jest częścią jego samego. Skoro zaś można zaczarować człowieka używszy w tym celu skrawka jego paznokcia, albo włosa z jego głowy, równie dobrze można mu pomóc lub zaszkodzić posługując się jego imieniem. Roztropna zmiana imienia ma, ich zdaniem, przynosić szczęście. Ludzie prymitywni nie są osamotnieni w tym przekonaniu. Aktorzy i aktorki często obierają sobie nazwiska sceniczne nie tylko ze względu na łatwość ich wymawiania i zapamiętywania, lecz także dlatego, że zdaniem numerologów, litery nowego nazwiska mają przyczynić się do sukcesu.

I odwrotnie: wielu ludzi obawiało się, że różni złooczyńcy mogą wyrządzić im krzywdę poprzez czarodziejskie nadużycie imion. U niektórych ludów nadawano dzieciom obok imion używanych na codzień prywatne lub „rzeczywiste” imiona, których nigdy nie ujawniano. Jeden z egipskich mitów świetnie ilustruje owo wykorzystanie tajemnego imienia. Zwyczajna śmiertelna kobieta Izyda zebrała nieco śliny boga Słońca Ra (który na starość ślinił się) i mieszała ją z gliną, żeby zrobić węża. Następnie sprawiła, że wąż ukąsił Ra; a kiedy bóg skręcał się z bólu, wydobyła z niego za cenę uleczenia jego tajemnicę, czyli „Wielkie Imię”. Mocą tego imienia sama stała się boginią.

Łatwo było ludziom rozszerzyć swą wiarę w moc słów na liczby, gdyż jedne, jak i drugie są przede wszystkim symbolami, rzecz można, inicjałami idei, cennymi tylko wtedy, gdy rozumiemy ich znaczenie.

Starożytni używali bardzo wielu symboli, a my, dzisiaj, także ich używamy. Nasze sztandary, znaki ostrzegawcze, znaki drogowe, choinka ubrana w świecidelka — wszystko to są ważne dla nas symbole. Jeśli się nie zna bliżej danej kultury, trudno rozpoznać, czy jakaś rzecz, na przykład krzyż, gwiazda lub pęk strzał, jest ozdobą czy symbolem; nawet jeżeli jest to symbol często stosowany, można nie znać jego sensu lub przypisywać mu znaczenie większe niż jest w rzeczywistości.

„Czarodziejskie znaki” potomków niemieckich kolonistów w Pensylwanii są doskonałym tego przykładem. Na dobrze uprawionych polach Lancaster County, w Pensylwanii, ponad schludnymi domkami tego pracowitego ludu piętrzą się wielkie, czerwone stodoły. Niemal na każdej można zauważyć jedną lub więcej jaskrawo namalowanych, sześcioramiennych gwiazd, zamkniętych w kole. Wielu Amerykanów, którzy niewiele wiedzą o kulturze tych potomków niemieckich emigrantów, sądzi, że znaki te są odmianą pentagramów — średniowiecznych symboli magicznych służących do odstraszenia złych duchów. Ale sami mieszkańcy Lancaster County zapewniają, że owe „czarodziejskie znaki” są jedynie ozdobą umilającą ich surowy żywot. Fakt, że te same gwiazdne wzorki występują na robionych ręcznie kołdrach i haftowanych rękami tamtejszych kobiet makatkach, potwierdza ich słowa.

Wiele cywilizacji ułatwiło rozszerzenie wiary w magiczną moc słów na liczby przez to, że ich przedstawiciele używali liter swego alfabetu dla wyrażenia

cyfr. Hebrajczycy, Grecy i Rzymianie — wszyscy bez wyjątku posługiwali się literami na oznaczenie liczb. Łatwo więc było ich czarownikom odczytać „wartość liczbową” liter rozmaitych słów i po dodaniu ich rozstrzygać, czy dane słowo jest złe czy dobre. Na przykład, Hebrajczycy stwierdzili, że litery imienia anioła Metatrona i Shaddai (jedno z imion bożych) dają po dodaniu sumę 314. Nabrali zatem przekonania, że jedno imię symbolizuje drugie. Identycznie postępują dzisiejsi numerolodzy: dodają wartości liczbowe liter jakiegoś imienia, po czym mówią zainteresowanym, czy suma jest szczęśliwa czy nie.

Oczywiście, ludy różnych epok i różnych części świata obrały sobie wiele różnych liczb za święte, szczęśliwe, nieszczęśliwe albo mające znaczenie z jakichś innych czarnoksięskich względów. U Indian w Ameryce Północnej ulubioną liczbą była *czwórka*; u Chińczyków — *piątka*; w starożytnej Babilonii — *siódemka*. Babilończycy rozpoznawali siedem wiatrów, siedem chorób, siedem kierunków, siedem stref świata i siedem demonów burzy. Być może, do tej obsesji przyczynił się fakt, że w niektórych językach semickich słowo „siedem” znaczy również „wiele”. W każdym bądź razie, jak wszyscy wiemy, magiczne znaczenie *siódemki* dotrwało aż do czasów naszej cywilizacji.

Siódemka nie jest jedyną liczbą działającą silnie na umysł człowieka zachodniego. Zła sława *trzynastki* jest tak powszechna w Stanach Zjednoczonych, że w wielu budynkach mieszkalnych i biurowych nie ma w ogóle trzynastego piętra, albo oznacza się je gwiazdką, w dzieciennym usiłowaniu uniknięcia zła, które jakoby ma sprowadzać owa niegodziwa liczba. Można by sądzić, że przesąd ten powinien być już dawno obalony, jeśli się weźmie pod uwagę duże szczęście, które towarzyszy Stanom Zjednoczonym

Ameryki Północnej, mimo że wywodzą się one z trzynastu kolonii i nadal mają trzynaście pasów na sztandarze.

Jednym z pierwszych numerologów, którzy zapisali się w historii, jest Pitagoras z Samos, urodzony w VI wieku p.n.e. Pitagoras — na wpół geniusz, na wpół szarlatan — był wysokiej klasy naukowcem i matematykiem. Każdy uczeń szkoły średniej słyszał o jego twierdzeniu, stanowiącym podstawę trygonometrii. Niektórzy uważają, że był on pierwszym człowiekiem, który dowodził kulistości Ziemi. Faktem jest natomiast, iż badając prawa muzyki dokonał pierwszego ze znanych doświadczeń naukowych.

W czasie owych badań wykrył, że harmonia w muzyce jest wynikiem drgania strun, których długości są w prostym stosunku liczbowym 2 : 1, 3 : 2, 4 : 3. Z powyższego faktu wywnioskował, że cały świat musi być zbudowany z dodatnich liczb całkowitych, albo stosunków tych liczb. Uważał również za możliwe wyrażanie pojęć abstrakcyjnych, jak „sprawiedliwość”, za pomocą cyfr, i przypisywanie własności kosmicznych samym liczbom.

Liczba *jeden* — głosił — jest porządkiem, jednością, oznaką cech męskich. *Dwa* jest nieporządkiem, rozdzielaniem, kobiecością. (Pitagoras, rzecz jasna, patrzył ze stanowiska męskiego). *Trzy* jest świętością, *cztery* — sprawiedliwością, *pięć* — małżeństwem, gdyż składa się z żeńskiej dwójki i męskiej trójki (zapomnijmy o męskiej jedynce). *Szóstka* jest „doskonałością”, bowiem jest sumą składników 1 + 2 + 3. *Siódemkę* zwano „dziewicą”, ponieważ nie ma ona czynników, ani nie ma wielokrotności zawartych między nią a dziesiątką. *Dziesiątka* miała być również „doskonała”, gdyż była czwartą liczbą trójkątową 1 + 2 + 3 + 4. Stąd

była uznawana za świętą i w sensie mistycznym równą czwórce.

Życie tego człowieka, który wykrył zarówno wielkie prawa matematyczne, jak i stworzył sporo materiału magicznego, jest bardzo interesujące. Opisy dziejów jego życia są często sprzeczne, sądząc jednak z najbardziej prawdopodobnych opowieści, zjeździł za młodu Jonię, odwiedzając takich filozofów, jak Tales, następnie wyjechał na naukę do Egiptu. Kapłani egipscy, niekorzy do dopuszczania obcokrajowców do swych tajemnic, odsyłali Pitagorasa od świątyni do świątyni, obrzezali, a w ogóle traktowali z wyraźnym brakiem gościnności.

Pitagoras wytrwał w Egipcie dwadzieścia dwa lata, aż został pojmany przez najeźdźców perskich i uprowadzony do Babilonu. Tam uczył się przez następnych lat dwanaście. Wreszcie, w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, wrócił na Samos i zaczął nauczać.

Używanie jednak niezrozumiałego egipskiego symbolizmu nie zyskało mu popularności. Musiał nawet na czas pewien wynająć młodego zawodowego zapaśnika, który słuchał jego nauk za opłatą, by wyglądało na to, że ma słuchaczy. Wreszcie, rozgoryczony, przeniósł się do Italii i osiadł w greckim mieście, Krotonie. Tam poślubił Theano, córkę swego gospodarza, i małżeństwo było, zdaje się, szczęśliwe, pomimo faktu, że Pitagoras był prawie trzy razy starszy od swej małżonki.

W Krotonie założył słynny związek, do którego tolerancyjnie dopuścił kobiety i ludzi nie będących Grekami. Nowicjusze musieli przejść kilkuletni staż jako „słuchacze”, wysłuchujący Mistrza spoza zasłony. Poświęcali oni swój majątek na wspólny fundusz, którym zarządzał komitet. Po pewnym czasie słuchacz albo dopuszczany był do bliższego kręgu Mistrza, albo był

usuwany ze zgromadzenia; w tym drugim jednak przypadku zwracano mu majątek.

Pitagoras głosił swe idee naukowe i moralne — w których przywiązywał wielką wartość do umiarkowania i zrównoważenia — opierając się w znacznym stopniu na teologii i magii orfizmu. Do zasad moralnych Pitagorasa należały również tak obce ludom śródziemnomorskim idee, jak dobroć dla zwierząt i potępienie wojen napastniczych.

Orfizm, który wywarł wpływ na Pitagorasa, był kultem popularnym w owym czasie w Azji Mniejszej, na wyspach greckich i w samej Grecji. Oparty, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, na wierze w panteon bogów olimpijskich i w bogów trackich, Orfeusza i Dionizosa, kładł nacisk na wędrówkę duszy poprzez szereg ciał, dopóki nie oczyściła się ona całkowicie z grzechu. Ponieważ nowicjusze przysięgali zachowanie tajemnicy, kult zdobył sobie taką wielką aurę doskonałości, że wielu nowoczesnych okultystów utrzymuje, iż są jego duchowymi potomkami.

Pitagoras i jego zwolennicy używali jako emblematu trójkąta z dziesięciu kropek, rozstawionych następująco:



Używał również pentagramu, pięcioramiennej gwiazdy, która jest wciąż popularna jako symbol magiczny. W celu uzupełnienia liczby ciał (sfer) niebieskich do mistycznej dziesiątki, zwolennicy jego musieli wymyśleć rzekomą planetę, tak zwaną „przeciw-Ziemię”; przyjmowali bowiem błędnie, że dziesiątka — podstawa

naszego systemu liczbowego jest również fundamentalną zasadą Kosmosu.

Pitagorejczycy wkrótce przekonali się, że Wszechświat nie da się wymierzyć liczbami całkowitymi lub ich stosunkami. Większość liczb w świecie rzeczywistym jest niewymierna — są to liczby, których nie można wyrazić dokładnie za pomocą jakiejkolwiek kombinacji liczb całkowitych, choć można zbliżyć się do dokładności przez powiększanie w ułamku dziesiętnym liczby cyfr na prawo od przecinka. Na przykład, długość okręgu równa się iloczynowi średnicy i liczby 3,1415926536...; liczba ta podawana jest zwykle w skrócie 3,1416. Komputery doprowadziły to wyliczenie do setek miejsc po przecinku, a matematycy już dawno udowodnili, że liczba skończona, która wyrażałaby dokładny stosunek długości okręgu do długości średnicy, po prostu nie istnieje.

Kiedy Pitagorejczycy dokonali tego ważnego odkrycia, że istnieje wiele liczb niewymiernych, usiłowali utrzymać ten fakt w tajemnicy, obawiając się, że ich układ liczbowy rozleci się z trzaskiem. Jednakże, kiedy tajemnica się wydała około roku 410 p.n.e. — nawet ten potężny cios nie zdołał uczynić wyłomu w murze numerologii.

Za życia Pitagorasa było wśród jego zwolenników tak wielu arystokratów, że jego związek właściwie rządził Krotonem i innymi miastami Wielkiej Grecji. W końcu jakiś usunięty ze związku człowiek zebrał grupę malkontentów i spalił dom, w którym odbywały się spotkania pitagorejczyków. Według jednego źródła Pitagoras zginął w płomieniach; według innego, uciekł, przeniósł się do innego miasta i dożył lat osiemdziesiątych. Pół wieku później związek został przepędzony z Wielkiej Grecji, a jego członkowie rozproszyli się po Italii i Grecji.

Gdy związek pitagorejski przestał istnieć, ich miejsce zajęli zwolennicy Platona, który, będąc pod wpływem pitagoreanizmu, również parał się numerologią. Spekulacje Platona zostały rozwinięte przez filozofów i magów aleksandryjskich w dwie wielkie szkoły: neopitagoreanizm i neoplatonizm.

Miasto Aleksandria, założone przez Aleksandra Wielkiego w 332 roku p.n.e., stało się głównym ośrodkiem intelektualnym świata hellenistycznego. Jednakże to grecko-egipskie miasto interesuje nas przede wszystkim jako ośrodek magii. Jego ludność składała się z Greków, Egipcjan i wielu innych narodowości. Tu znajdowała się największa na świecie gmina żydowska. W ten sposób do Aleksandrii napływały idee nadprzyrodzone Egiptu, Iranu, Babilonii, Palestyny, Syrii i Grecji, aby następnie ulec przepracowaniu i zsyntetyzowaniu w rodzinę cudownych nowych kultów, które z czasem rozprzestrzeniły się na cały świat śródziemnomorski.

Idee i praktyki magiczne, które się tu zrodziły, zawędrowały z rzymskimi legionami na zachód, aż po Atlantyk, i w chałupach chłopów pańszczyźnianych i zamkach królewskich przetrwały średniowiecze. Wiele z nich, z niewielką zmianą, dotarło razem z odkrywcami i kolonistami do Ameryki, gdzie są do dziś pielęgnowane.

Nie tylko symbole, idee i wierzenia magiczne miały swoje źródło w Aleksandrii; wynaleziono tam również wiele przydatnych urządzeń wspomagających umiejętności cudotwórców. W I wieku p.n.e. słynny inżynier, Heron, wynalazł urządzenie pneumatyczne, służące do tajemniczego otwierania drzwi świątynnych, czemu towarzyszył dźwięk trąb. Inny z jego wynalazków pozornie przemieniał wodę w wino. Pomysłowy

Heron opracował nawet metody ukazywania widziadeł za pomocą luster. Wynałazł też automat do wody święconej z napisem: „Naczynie z wodą święconą, która wypłynie tylko po wrzuceniu w otwór pieniądza” *.

Jednocześnie pomysłowi czarownicy w Aleksandrii obmyślali środki podobne do tych, które stosują nowoczesne media podczas seansów spirytystycznych. Niektórzy kazali klientowi pisać pytanie niewidocznym atramentem, który stawał się widoczny, gdy magik w sekrecie podgrzewał papier. Szeleszczono zwojami pergaminu, by upozorować głosy duchów w ciemnym pokoju. Umieściwszy warstwę sproszkowanego alunu na palenisku sprawiano, że węgle podskakiwały. Te i wiele innych budzących grozę sztuczek, potępił w III wieku biskup chrześcijański, Hipolit. Niektóre z takich oszustw są do dziś stosowane przez magików i media.

Inną techniką popularnego czarownika, dawnego czy nowoczesnego, jest układanie bezsensownych zdań wypowiedzianych z taką swadą i powagą, że oszołomiony słuchacz sądzi, iż muszą wyrażać zbyt głęboką mądrość, by on mógł ją podjąć. Proszę rozważyć wywód okultysty Lévięgo:

„W naturze istnieją dwie siły, wytwarzające ekwilibrium i ta trójka stanowi jedno prawo. Mamy więc triadę podjętą w jedności i przez dodanie pojęcia jedności do pojęcia triady dochodzimy do czwórki, pierwszej kwadratowej i doskonałej liczby, źródła wszelkich kombinacji liczbowych i podstawy wszelkich form” **.

Tysiące ludzi pragnęło przeniknąć sens ukryty w tym fragmencie, ale cała rzecz w tym, że nie ma on w ogóle sensu. Niestety, niełatwo jest czasem odróżnić bezsens od niezrozumiałych, lecz nie pozbawionych znaczenia wywodów, jakie napotyka się w technicznych książ-

* Heron *Pneumatyka*.

** E. Lévi *Transcendental Magic*, Dutton, N. York b.r., s. 65.

kach dla zaawansowanych. W takich przypadkach jedyną bronią inteligentnego czytelnika jest odwołanie się do uznanego podręcznika elementarnego na ten temat. Jeżeli po tych podstawowych studiach nadal trudno jest w książce coś zrozumieć, czytelnik może przyjąć, że w ogóle nie zawiera ona sensu.

Z aleksandryjskiego tygla nauk przyrodniczych, filozofii oraz magii, wypłynęło wiele kultów magiczno-religijnych, których nie da się omówić szczegółowo w skrótowym przeglądzie. Kilka z nich zasługuje jednak na wzmiankę, ponieważ mają związek z Biblią. *Nowy Testament* spisany w pierwszych stuleciach n.e. wchłonął niektóre z idei mistycznych rozpowszechnionych na wschodnim wybrzeżu Morza Śródziemnego, a zwłaszcza w Aleksandrii.

Jednym ze znaczniejszych przywódców religijnych owych czasów był Filon Iudaeus, działający w I wieku n.e., sławny Żyd aleksandryjski, który połączył judaizm z filozofią platońską. On to rozwinął grecką ideę Logosu, Słowa Bożego, jako zasady twórczej, która emanowała z Boga tworząc Kosmos. Według Filona Słowo (*Logos*) miało być czymś na kształt „boskiej mądrości”. Doktryna ta osiąga swój najwyższy wyraz w pierwszym wierszu *Ewangelii św. Jana*, której autor był prawdopodobnie ochrzczonym Żydem, pozostającym pod wpływem Filona: „Na początku było Słowo, a Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo”.

W swoich wielotomowych dziełach Filon pisał również o esseńczykach, purytańskiej sekcji Żydów palestyńskich, oddających się prorocत्वu i wróżbiarstwu. Niewiele wiemy o ich kultach, ale odkrycie rękopisów nad Morzem Martwym*, które tworzyły bibliotekę

* Rękopisy te odkryto w Qumran — ruinach starożytnej osady w Jordanii (przyp. red. pol.).

jednego z tych kultów, rzuca pewne światło na ich praktyki. Sekty te, które wyprzedziły ideę życia klasztornego chrześcijan oraz potępiały niewolnictwo, zanikły mniej więcej w wiek po śmierci Filona. Ponieważ tak mało wiadomo o esseńczykach, wyznawcy niektórych późniejszych kultów, jak na przykład różokrzyżowcy, wynosili ich pod obłoki i często zapewniali, iż zaczerpnęli swą mądrość od tych starożytnych sekt. Takie roszczenia robią wrażenie na ludziach oczarowanych myślą o władczych umysłach zachowujących wiedzę tajemną przez wiele wieków; ale nie mają żadnego poparcia w faktach.

Z czasem do Aleksandrii dotarła nowa religia, chrześcijaństwo i, jak wiele innych, została przesycona filozofią grecką. W ten sposób wczesne chrześcijaństwo stało się aktywnym rywalem całej rodziny sekt synkretycznych, zwanych od greckiego słowa *gnosis* (= poznanie, wiedza) gnostycznymi. Te sekty gnostyczne łączyły w rozmaity sposób idee magiczne i religijne zaczerpnięte ze źródeł żydowskich, chrześcijańskich, greckich, egipskich, babilońskich i perskich. Kilka sekt gnostycznych silnie przepojonych magią wywarło trwały wpływ na magię nowoczesną i okultyzm, mimo faktu, że z dużej niegdyś literatury gnostycznej bardzo niewiele ksiąg ocalało z pożaru, który urządzili w IV wieku n.e. tryumfujący chrześcijanie. Jednym z dzieł, które uniknęło zniszczenia było *Pistis Sophia*, pięć dokumentów w języku koptyjskim, późnej formie języka egipskiego. Sądząc z bzdur tam pisanych, strata pozostałej literatury gnostycznej nie jest zbyt wielką tragedią.

Gnostycyzm upadł w III i IV stuleciu n.e. Po tryumfie chrześcijaństwa zachował się jedynie w drobnych tajemnych kultach, z których jeden istnieje dziś w Iraku. Gnostycyzm jednak wywiera trwały urok na wielu

ludzi, skłaniających się do magii. Pod koniec XIX stulecia powstało we Francji kilka neognostycznych organizacji, które być może istnieją nadal.

Esseńczycy i gnostycy byli jedynie dwoma z licznej rodziny kultów, które kwitły na bogatej glebie Aleksandrii. Neopitagorejczykowi przewodził niejaki Apollonios, żyjący w I wieku n.e. asceta, który jakoby bosko wędrował po Anatolii, a potem odwiedził Indie, gdzie doznał cudownych przygód. Następnie, według jego nie pozbawionego wyobraźni biografa, wędrował po rzymskim świecie, wypędzając złe duchy, uwalniając ludzi od demonów i unikając zupełnie już realnego więzienia Cesarza Domicjana. W latach osiemdziesiątych czy dziewięćdziesiątych I wieku znikł z widowni dziejowej. Możemy przypuszczać, że umarł, choć pewien alchemik z XII wieku twierdził, że jest Apolloniosem, który cały ten okres czasu przeżył dzięki „eliksirowi życia”. Z kolei miejsce neopitagoreizmu zajęła podobnie mistyczna filozofia, neoplatonizm. Neoplatonicy oddawali się mistycyzmowi liczb i wierzyli, że świat jest pełen duchów i innych oddziałujących nań sił.

Odkąd Żydzi stali się mniejszością we wrogim im świecie chrześcijańskim, zyskali sobie dość szeroką i niezасłużoną reputację czarowników. Na przykład, kiedy w roku 536 bizantyjski wódz Belizariusz wtargnął do Italii, ostrogocki król Teodahad „spytał jednego z Hebrajczyków, który słynął ze swoich zdolności proroczych, jaki też może być wynik tej wojny”*. Ów wróżbita żydowski kazał mu wygłodzić trzy stada świń, każde złożone z dziesięciu sztuk, i jedno oznaczyć mianem „Gotów”, drugie „Rzymian”, a trzecie „Cesar-

* Prokopiusz z Cezarei *Historia wojen*, V, IX.

skich". Kiedy po pewnym czasie czarownik odwiedził z królem zagrody, nie żyła już większość z „Gotów”, połowa „Rzymian”, ale „Cesarskich” padło niewiele. Teodahad, przekonany, że wojska cesarskie — to znaczy bizantyjskie — muszą zwyciężyć, tak zaniedbał obronę, że rozżaleni Goci zamordowali go i posadzili na tronie innego króla.

W czasie wypraw krzyżowych i później, duchowieństwo chrześcijańskie zachęcało wiernych do przesładowania Żydów i stawiało im zarzuty uprawiania czarów. Oskarżano ich o porywanie dzieci chrześcijańskich, a następnie zabijanie i używanie ich krwi do celów czarnoksięskich („mord rytualny”).

Oskarżenia te, które czasami kierowano zarówno przeciw chrześcijanom, jak i Żydom, są absolutnie bezpodstawne. Nikt, oczywiście, nie może powiedzieć, że ani jedni, ani drudzy, nie składali ofiar z ludzi, albo nie popełnili kanibalizmu; we wszystkich czasach i społeczeństwach zdarzały się okrutne zbrodnie i dziwaczne praktyki kultowe. Materiał dowodowy żydowskich „mordów rytualnych” składa się głównie z kilku wymuszonych torturami zeznań z okresu średniowiecza. Ze względu na surowe przepisy odnośnie krwi, Żydzi powinni być raczej mniej skłonni do podobnych czynów niż inne narodowości. Być może, źródłem oskarżeń o „mord rytualny” były często niezamężne matki, które same zabijały niepożądane dzieci, a potem, aby nie stanąć przed zarzutem morderstwa, oskarżały miejscowych Żydów o ich porwanie.

Prawdziwa magia hebrajska była czymś całkiem odmiennym. Wywodząc się ze źródeł egipskich, babilońskich, kannaańskich i hellenistycznych, przypominała praktyki magiczne chrześcijan różnych krajów, w których żyli żydowscy czarownicy. Miała duży związek z magią symboliczną — przywiązywała wagę do mocy

liter i liczb, i posługiwała się imionami Boga i aniołów do nieszkodliwych na ogół celów czarnoksiężskich.

Pod jednym względem magia żydowska różniła się od chrześcijańskiej. Judaizm tolerował czary w przekonaniu, że nie jest zbrodnią zmuszanie złych duchów do czynienia dobra; ale judaizm odnosił się wrogo do magii sympatycznej. Chrześcijaństwo, przeciwnie, zezwalało na niektóre formy magii sympatycznej, takie jak astrologia i posługiwanie się amuletami, ale nie aprobowało żadnych układów z diabłami.

Literatura średniowieczna zanotowała wiele praktyk żydowskich czarowników. Na przykład, odpierali oni napaści czarownic recytowaniem wersetu z *Proroctwa Izajasza*: „Otóż wy jesteście niczym i wasze dzieła są niczym; obrzydliwością jest ten, kto was wybiera”*. Egzorcyzmowali demona Shabriri za pomocą następującego zaklęcia: „Shabriri, briri, riri, iri, ri”, w nadziei, że sam demon skurczy się w miarę kurczenia się jego imienia. Ogólnie rzecz biorąc, w uprawianiu magii, Żydzi postępowali podobnie jak ich chrześcijańscy bliźni.

Mądrzy, czy głupi, owi żydowscy czarodzieje zbudowali w ciągu wieków imponujący gmach myśli magicznej, który budzi grozę i intryguje wierzących weń po dzień dzisiejszy. Gmachem tym jest kabała, system filozofii mistycznej, teologii i magii, przedstawiony w kilku księgach hebrajskich, napisanych między VI a XVIII wiekiem. Kabała, jedna z najważniejszych gałęzi magii symbolicznej, jest wykwitem żydowskiego okultyzmu.

Najstarsza z zachowanych ksiąg kabalistycznych, *Księga stworzenia*, mówi, jak Bóg stworzył świat zbu-

* *Proroctwo Izajasza* 41, 24. Przekład O. J. Paściaka w: *Pismo Święte...*, j.w.

dowany na zasadzie alfabetu hebrajskiego. Autorstwo tej księgi przypisywano rabinowi Akibie, wybitnemu uczonemu i przywódcy ostatniej żydowskiej wojny przeciwko Rzymowi na początku II stulecia n.e. Prawdopodobnie jednak napisał ją jakiś późniejszy, nieznanym pisarz i obarczył autorstwem bardziej sławnego i wcześniej żyjącego, jak to było w zwyczaju w średniowieczu.

Najważniejsze dzieło kabalistów, *Sepher Zohar*, czyli *Księga wspaniałości*, wydane przez Mojżesza de Leon w XIII wieku, jest rzekomo boskim objawieniem, jakie spłynęło na rabina Symeona ben Jochai. Mimo swego pretensjonalnego tytułu, *Księga wspaniałości* jest tak symboliczna i mętna, że można się w niej dopatrzeć jedynie bezsensownego gadania. Autor pisze w niej o „wykopalisku nad wykopaliskami... w kształcie ogromnego węża”, którego „ogon tkwi w paszczy. Na jego łuskach są zgrubienia. Grzbiet jego jest nienaruszony, ale łeb strzaskany falami olbrzymiego morza. Dwa były. Teraz stały się jednym...” *.

Podobne dzieła można interpretować na niezliczoną ilość sposobów. Dają one magom coś, w co mogą wglębiać się myślą, a ich zwolennikom należyte poczucie własnej ignorancji. Na przykład, niektórzy kabaliści dostrzegli w *Księdze wspaniałości* prorocstwo, według którego w roku 1648 miało nastąpić przyjście Mesjasza. Sabbathai Zevi ze Smyrny wykorzystał to prorocstwo, żeby w odpowiednim czasie ogłosić się Mesjaszem. Całe lata wzniecał w świecie żydowskim zamieszanie, aż raptem przeszedł na muzułmanizm. Jego zaambarasowani zwolennicy pokryli zmartwienie zapewnieniem, że prawdziwy Sabbathai odszedł, aby odwiedzić Dziesięć Zagubionych Pokoleń Izraela, a to

* *Sepher Yetzirah*, III, 9.

tylko zły duch pod jego postacią przeszedł na stronę Turków.

Wszystkie kabalistyczne traktaty są bardzo rozwlekłe i rozgadane na temat powstania materii z boskiej emanacji, na temat reinkarnacji dusz, skal i sfer, aniołów i demiurgów. Wszystkie są ilustrowane diagramami o oszałamiającej zawikości. Jest w nich również mnóstwo magicznej zabawy ze słowami i literami, gdyż Hebrajczycy, podobnie jak Grecy i Rzymianie, używali liter na oznaczenie liczb. Ponieważ słowa można rozwinąć w zawile zdania, każdy zmyślny kabalista mógł sprokurować dowody na poparcie swoich idei teologicznych z najbardziej bodaj nieprawdopodobnych źródeł.

Taka oto była oryginalna kabała, czyli system żydowskiej magii. W XVI wieku okultyści europejscy innych wyznań stwierdzili, że kabała zawiera świetny surowiec dla magii symbolicznej i zaczęli ją dalej eksploatować. Przystosowana do warunków zachodnich, kabalistyka przetrwała jako część okultyzmu zachodniego do dziś. Dzieje pewnego XIX-wiecznego czarownika i jego „chrześcijańskich kabalistów” są nie tylko zajmujące same w sobie, ale również dają pojęcie o życiu takich ludzi, o rodzaju zwolenników, jakich pozyskują, o tym, jacy są próżni i ekscentryczni i jak w końcu jakiś niezadowolony pieczeniarsz często doprowadza do ich upadku.

Ten angielski czarodziej, urodzony około roku 1852, jako Samuel Liddell Mathers, był szczupłym, atletycznie zbudowanym, przystojnym mężczyzną, skłonnym do symulowania tajemniczości. Dożywszy średniego wieku, dodał do swego nazwiska MacGregor, jako wyraz celtyckiego romantyzmu. Po roku 1880 poślubił przystojną siostrę Henriego Bergsona, filozofa fran-

cuskiego, i został kustoszem pewnego prywatnego muzeum w Anglii. Zajęcie to dawało mu mnóstwo czasu na prowadzenie założonego przez niego towarzystwa okultystycznego i tłumaczenie starych ksiąg czarodziejskich i ksiąg kabalistycznych, które wygrzebywał w British Museum.

MacGregor Mathers nazwał swoje towarzystwo Zakonem Złotego Brzasku. Uprawiał kontemplację zawiłych symboli i przyciągał takich zwolenników, jak pisarz utworów fantastycznych Algernon Blackwood oraz poeta irlandzki William Butler Yeats, który z przymrużeniem oka parał się okultyzmem. Jeden z członków towarzystwa, starszawy już duchowny, sporządził „eliksir życia”; wzdragał się jednak przed jego wypiciem, kiedy towarzysz alchemik ostrzegł go, że podczas pozyskiwania nieśmiertelności straci włosy i paznokcie. Kiedy się tak wahał, cenny płyn niestety wyparował.

W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku Mathers przeniósł się z żoną do Paryża, gdzie żył z funduszków dostarczanych przez jednego ze swych zwolenników. Yeats, który go tam odwiedził, pisze, jak kiedyś grał z Mathersami w szachy. Partnerką Yeatsa była pani Mathers, a Mathersa — duch. Gdy przychodziła kolej na ruch ducha, Mathers wpatrywał się pilnie w puste krzesło na przeciwko, potem z powagą wykonywał ruch za ducha.

Mathers miał zwyczaj paradowania po ulicach Paryża w góralskim stroju, gdyż, jak wyjaśniał: „Kiedy jestem tak ubrany, czuję się jak chodzący płomień”*. Jednak za tym komedianctwem kryła się natura tak bojaźliwa, że Mathers bał się usunąć dokuczliwego po-

* W. B. Yeats *The Autobiography of William Butler Yeats*, Doubleday, Garden City, N. York 1916 - 58, s. 227.

lipa w nosie, i tak czuła, że schwytałwszy mysz w pułapkę nie zabijał jej, lecz wsadzał do klatki i karmił.

Wreszcie rosnące wciąż pretensje do miana czarownika doprowadziły Mathersa do upadku. Gdy usiłował narzucić zwolennikom swoje rozszczenia, by uznali go za boskiego kierownika, Yeats wzniecił rewoltę londyńskich członków Zakonu Złotego Brzasku. Mathers, oburzony, wysłał demonicznego Aleistera Crowleya, wówczas muskularnego młodzieńca (którego przedtem usunięto z londyńskiej grupy), aby wtargnął do miejsca ich spotkań i porwał pewną magiczną księgę. Intruz został schwytyany i wyrzucony. Za drugim razem Crowley przybył odziany w szkocką spódniczkę, w czarnej masce i ze złotym sztyletem w dłoni, ale i ta napaść skończyła się jak poprzednio. Słońce zaszło nad Zakonem Złotego Brzasku, gdy zbuntowana grupa odłączyła się przybierając nazwę Stella Matutina (Gwiazda Poranna). Pozbawiony w ten sposób zwolenników i imienia, zakon przestał istnieć. Mathers pozostał w Paryżu aż do śmierci, która nastąpiła pod koniec pierwszej wojny światowej.

Podczas gdy większość okultystów popisywała się altruizmem, surowością i wysokim poziomem moralnym, młody przyjaciel Mathersa, Aleister Crowley (1875 - 1947) chełpił się swoim łotrostwem. Okultysta, poeta, odkrywca, myśliwy na grubego zwierza, narkoman, handlarz narkotykami, biseksualny satyr i narwaniec, chlubił się nadanym sobie przez siebie samego tytułem „najniegodziwszego człowieka na świecie”. Jego losy dowodzą, że okultyści żyją często poza prawem, że mogą sprawiać swoim towarzyszom najrozmaitsze kłopoty i że często narażają na szwank zdrowie i życie ludzi, którzy z nimi przestają.

Crowley pochodził z zamożnej rodziny w Plymouth

Brethren, należącej do purytańskiej sekty brytyjskich protestantów i strawił całe życie na przeciwstawianiu się surowym zasadom religii swych rodziców. W okresie spędzonym w Cambridge i w ciągu następnych dziesięciu lat opublikował około trzydziestu tomików poezji, w większości nakładem własnym, w kosztownym wydaniu. Jego poezja pozostająca pod wpływem Swinburne'a, jest dość efektowna. Jest również silnie erotyczna, z dużym posmakiem perwersyjności.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XIX stulecia Crowley przybył do Londynu z odziedziczonym majątkiem w wysokości 40 000 funtów i fanatycznym postanowieniem zabłąsnięcia. Początkowo mieszkał jako „hrabia Svaroff” w mieszkaniu urządzonym na pracownię czarnoksiężnika, potem nabył majątek w Szkocji, nosił spódniczki szkockie i pozował na „dziedzica z Boleskine”. Był wysokim, silnie zbudowanym i — zanim utył — przystojnym mężczyzną, aczkolwiek wiele jego wczesnych fotografii ukazuje go ze zniechęconymi w górze powiekami w symulowanym spojrzeniu hipnotyzerskim.

Od roku 1899 do 1906 Crowley podróżował. Studiował jogę na Cejlonie. Brał udział w dwóch ekspedycjach w Himalaje i polował na tygrysy. Po powrocie z jednej ze wspinaczek w Himalajach zaczął rozpowiadać, że zjadł podczas wyprawy dwóch swoich tagarzy. Pogłoska ta bardzo się przyczyniła do wzrostu legendy Crowleyowskiej.

Późniejsze książki Crowleya stawały się coraz bardziej i bardziej ekscentryczne, a zarazem kosztowne. Na przykład, w 1904 roku ukazał się *The Sword of Song (Miecz pieśni)*, duży tom wydrukowany czarną i czerwoną czcionką z liczbą „666” (liczba Bestii Apokalipsy) na jednej okładce i nazwiskiem Crowleya wytłoczonym hebrajskimi literami na drugiej. Książka



Ryc. 27. Aleister Crowley, brytyjski okultysta i samozwańczy „najniegodziwszy człowiek na świecie”.

zawiera zbiór poezji, esejów o buddyzmie, mów przeciwko chrześcijanom i materializmowi, i jest przejawem egomanii autora.

Crowley przeniósł swoją kwaterę główną do Paryża, gdzie nadal płatał swoje żarciki. Kiedy policja zakazała odsłonięcia pomnika Oskara Wilde'a, dłuta Epsteina, ze względu na zbytnią nagość posągu, Crowley dokonał odsłonięcia pomnika podstępem. Następnie, kiedy żandarmeria zakryła części obrażające moralność publiczną metalowym motylem, Crowley skradł motyla i wszedł do Café Royal z motylem umocowanym w odpowiednim miejscu wieczorowego stroju.

Od roku 1909 do 1913 Crowley wydawał magazyn fantastyczny „The Equinox, The Official Organ of A..A..” (Zrównanie dnia z nocą, Oficjalny Organ A..A..). Inicjały oznaczają „Atlantean Adepts” (Adepci z Atlantydy), towarzystwo okultystyczne lansowane przez Crowleya. Wkrótce dołączył do tego towarzystwa inną grupę, O.T.O. czyli Order of Oriental Templars (Zakon Templariuszy Wschodnich). Dprowadzał do wściekłości innych okultystów, drukując w magazynie ich „sekrety” i ośmieszając je swoim morderczym, przewrotnym humorem. W okresie tym Somerset Maugham opisał Crowleya jako łotra w jednej ze swych wczesnych powieści fantastycznych *The Magician* (Czarnoksiężnik).

W roku 1910 Crowley urządził serię „obrzędów eleuzyjskich” w Londynie. Na jednym ze spotkań reportera powitał ubrany w białe szaty mężczyzna ze szpadą i wprowadził gościa do zaciemnionego pokoju, w którym paliło się tylko bladoczerwone światełko na ołtarzu. Przez gęste od dymu kadzideł powietrze dziennikarz dostrzegł innych mężczyzn odzianych w białe szaty. Ktoś dokonał „oczyszczenia świątyni wodą” po czym poświęcił ją ogniem. Następnie Crowley, cały

w czerni, prowadził wszystkich w „mistycznym okrażeniu” dookoła ołtarza i rozkazał jednemu z braci „wzniesć kielich libacji”, wielki złoty puchar, z którego każdy przełknął jakiś aromatyczny płyn. Nastąpiła inwokacja do bogini Artemidy z uroczystym użyciem heksagramu (sześcioramiennej gwiazdy). Crowley recytował wiersze, Leila Waddell, druga z jego trzech żon, grała na skrzypcach, a znany młody poeta tańczył taniec nimfy Syngis i bożka Pana na cześć Artemidy, póki nie upadł z wyczerpania.

Ta gimnastyka mistyczna nie bardzo odpowiadała Brytyjczykom. Gdy wrogi tygodnik „The Looking Glass”, napomknął o homoseksualnych stosunkach pomiędzy Crowleyem a dwoma mężczyznami mieszkającymi z nim wówczas pod wspólnym dachem, jeden z nich, chemik, nazwiskiem Jones, wytoczył tygodnikowi proces o zniesławienie. Sprawa Jonesa contra „The Looking Glass” była jak żywcem wyjęta z utworów Lewisa Carrola. Przesłuchanie powołanego na świadka MacGregora Mathersa brzmiało następująco:

„Adwokat: Czy nie jest faktem, że nazwisko pana brzmi Samuel Liddell Mathers?

Mathers: Tak, albo MacGregor Mathers.

A.: Ale pierwotnie brzmiało Samuel Liddell Mathers?

M.: W istocie.

A.: A zatem później dodał pan do niego MacGregor?

M.: MacGregor datuje się od roku 1603.

A.: To znaczy, że nazwisko pana brzmiało MacGregor w 1603 roku? (śmiechy)

M.: Tak, jeśli pan chce to w ten sposób ująć.

A.: Pan tytułował się hrabią MacGregor z Glenstrae?

M.: Tak jest.

A.: A także Kawalerem MacGregor?

M.: Nie. Pan mi przypisuje jeden z pseudonimów Crowleya” *.

* P. R. Stephenson *The Legend of Aleister Crowley*, Mandrake Pr., Londyn 1930, s. 91.

Sąd przysięgłych uznał, że fakty przedstawione w „The Looking Glass” są istotnie zniesławiające, ale zgodne z prawdą, i Jones nie poniósł przez to uszczerbku. Innymi słowy, każdy człowiek o tyle nierozsądny, by zamieszkiwać z Crowleyem, powinien oczekiwać, że straci co najmniej dobrą reputację.

Resztki majątku Crowleya zostały pochłonięte na koszty jego ekstrawagancji i stał się w końcu z musu zwykłym komercyjnym okultystą, żyjącym z opłat swoich zwolenników. Z chwilą wybuchu pierwszej wojny światowej wyjechał do Stanów Zjednoczonych pozując na bojownika o wolność Irlandii i pisząc do czasopism wydawanych przez dwóch niemieckich propagandystów. Podróżował po Stanach zakładając filie A.A. i O.T.O. Spędził nawet czterdzieści dni w mistycznym odosobnieniu na wyspie Esopus na rzece Hudson, malując na skałach na południe od Kingston motta:

„Każdy mężczyzna i kobieta gwiazdą!
Rób, co chcesz; będzie jedynym
prawem!”

Zgolił sobie głowę i zapuścił później długi lok na czubku głowy. W Nowym Jorku żył z aktualną kapłanką swojego kultu, nauczycielką z Bronx, Leah Hersig. Ta młoda dama przyjmowała gości całkiem nago, ozdobiona tylko gwiazdką, którą Crowley wypalił jej na piersi podczas magicznych obrządków rozżarzoną do czerwoności końcem szpady.

W roku 1919 Crowley zabrał Leah na Sycylię, gdzie kupił sobie dom w Cefalù i założył Kolegium Świętego Ducha. Zjechali się uczniowie. Na nieszczęście jeden z młodych wyznawców kultu, Raoul Loveday, zmarł wypiwszy nieprzetworzoną sycylijską wodę. Wdowa po nim, młoda doświadczona kobieta, która mówiła o sobie, że jest byłą narkomanką i członkinią paryskiego gangu, sprzedała gazetom brytyjskim sensacyjne

wieści o tym, co się działo w Cefalù. Na całą tę działalność składały się głównie zwykłe cudzołóstwa i skomplikowane obrządku magiczne, podczas których korpu-lentny już Crowley skakał wokół pentagramu wyma-chując szpadą i recytując:

„Drżij od zwinnej światła mocy
Mężu mój,
Przyjdź zachwiany w środku nocy,
Do mnie przyjdź” *.

Miłujący zwierzęta Anglicy byli specjalnie zgorsze-ni, kiedy się dowiedzieli, że Lovedayovi kazano kie-dyś poderżnąć gardło kotu i wypić jego krew. Gdy prasa brytyjska opisała „bestialskie okropności” i „nis-kie żądze” Crowleya, Mussolini, który tępił wszelkie tajne stowarzyszenia, kazał mu opuścić Włochy.

Crowley wiódł dalej swój osobliwy tryb życia w Pa-ryżu, póki go ostatecznie policja nie wydalila za han-del narkotykami. Od lat zażywał codziennie taką dozę narkotyków, jaka mogłaby niejednego zabić, zachęcał też swoich zwolenników do narkotyzowania się. Ostat-niego publicznego wystąpienia dokonał w 1937 roku, kiedy to odczytał swoje prorocstwo u stóp obeliska Kle-opatry w Londynie, ostrzegając, że grożąca wojna jest do uniknięcia tylko w przypadku, gdy wszyscy pójdą za wskazaniem Aleistera Crowleya.

W latach trzydziestych bieżącego stulecia jedna z filii O.T.O. działała w Los Angeles. Członkowie tej

* W. Seabrook *Witchcraft, its Power in the World Today*, Harcourt Brace, N. Jork 1940, s. 239. Przekład fragmentu Ewy Życińskiej. Opisom Seabrooka nie należy jednak zbyt ufać. Na przykład, przygoda opisana w jego książce, w rozdziale *Ciało astralne na jachcie* jest czystą fantazją. Autorzy niniej-szej pracy znają właściciela jachtu, na którym przygoda ta miała rzekomo się wydarzyć; twierdzi on, że Seabrook nigdy nie przebywał na tym jachcie.

grupy zbierali się okresowo w siedzibie pewnego magnata, wchodzili do tajemnej sali spotkań przez ukryte drzwi w podłodze i schodzili po drabinie. Kapłanka, w przezroczystych szatach, wychodziła z trumny i dokonywała mistycznych obrządków. Dwoje ze znajomych autorów niniejszej książki, którzy uczestniczyli w takiej sesji, opowiadało później, że cała rzecz jest w zasadzie nudna i jedyny dreszcz można odczuć na dźwięk wymyślnych bluźnierstw.

O ile dobrze rozumiemy, teoria przywódcy kultu — Anglika nazwiskiem Wilfred Smith — była taka, że światem rządzi zbyt wielu ekstrawertyków. Podjął więc myśl zgromadzenia wszystkich introwertyków i zorganizowania (jak by introwertyków można było zgromadzić i zorganizować) w ogromnej konspiracji, w celu przejęcia władzy od ekstrawertyków. Wkrótce jednakże kapłanka umarła, Smith uciekł z żoną jednego ze swych zwolenników — Johna W. Parsonsa, specjalisty od materiałów wybuchowych — i z początkiem drugiej wojny światowej kult zamarł.

Po wojnie Parsons odnowił kult w starym dworku w Pasadena. Kiedy jednak zgodnie z wymogami rytuału naga kobieta w ciąży przeskoczyła dziewięć razy święte ognisko, zgorszeni sąsiedzi wezwali policję. Wkrótce potem Parsons stracił życie, upuściwszy na podłogę w swym laboratorium naczynie z mieszanką wybuchową, która eksplodowała. Wraz z nim przemiął wpływ Crowleya na ludzi.

W ostatnim ćwierćwieczu sztandar kabalizmu przejął w Stanach Zjednoczonych starszawy, tęgawy Amerykanin włoskiego pochodzenia, nazwiskiem Joseph De Vincent, który przewodził niewielkiemu gronu swych zwolenników w Nowym Jorku, zwanemu „Kościołem Absolutnego Środka”. De Vincent dokonał przed kilku

laty numerologicznego „badania” imienia i nazwiska jednego z autorów niniejszej książki. Określił jego osobowość, przeszłość i przyszłość. Wszystko to wykonał mylnie. Istnieje pogłoska, że w czasie drugiej wojny światowej „aplikował” przebywającym w wojsku krewnym swych klientów „promienie psychiczne”, które miały ich ustrzec przed wysłaniem za Ocean. Opłata wynosiła dolara miesięcznie; ale o ile wiemy, nikt nie przeprowadził badań skuteczności tej metody.

Aczkolwiek poczynania okultystów koncentrujących się na liczbach mogą wydawać się odległe od praktyk średniowiecznych kabalistów, dzieląca ich przepaść nie jest tak szeroka, jak by to sobie można było wyobrazić. W dobie bibliotek publicznych i szybkiej komunikacji, okultyści zbliżają się do szerokiej różnorodności swych prekursorów. Typowy nowoczesny okultysta łączy oderwane od świata i pseudonaukowe wierzenia wielu epok w jeden wielki spirytystyczny koktail. Bez względu na to, jak głośno każdy przywódca kultu głosi własną oryginalność i dowodzi, że on jeden ma dostęp do „Utajonych Mistrzów”, jego doktryny i doktryny jego konkurentów okazują się po zbadaniu niemal tak samo wymienne jak części nowoczesnych maszyn.

Zainteresowanie numerologią nie ogranicza się do czarowników żydowskich i nowoczesnych przywódców kultów. Ojcowie Kościoła, chociaż zajadłe występowali przeciw większości form magii, pobłażliwie traktowali zabawy liczbowe. Najstraszniejszą z nich było „obdarzanie mianem Bestii”. Autor *Apokalipsy* obrzucił stekiem obelg jakąś postać — być może cesarza Nerona — którą oznaczył liczbą 666. Od tego czasu numerolodzy starali się przypiąć tę pogardliwą liczbę komuś, kogo specjalnie nie lubili, by udowodnić, że jest „Bestią Apokalipsy”.

Obdarzanie mianem Bestii osiągnęło szczyt w XVI-wiecznej „bitwie z wiatrakami” między luterzańskim matematykiem Michaellem Stifelem a katolickim numerologiem Peterem Bungiem. Rozpoczął Stifel, który udowodniał, że Bestią jest wielki światowiec, papież Leon X. Najpierw ułożył równanie:

$$\text{LEO DECIMUS} = \text{LEO X}$$

Następnie wybrał z tego równania wszystkie litery, które występują w rzymskim systemie liczbowym: L + D + C + I + M + V + X. Liczby te wyrażone cyframi arabskimi, wynoszą: 50 + 500 + 100 + 1 + + 1000 + 5 + 10, w sumie 1666. Ponieważ celem Stifela było zdjąć z Bestii tajemniczość, odjął więc od tej sumy M, które może oznaczać zarówno „misterium” jak 1000. Pozostałe 666 stanowi „dowód”, że Leon X jest „Bestią Apokalipsy”.

Trudniej przyszło Bungowi zrobienie Bestii z Lutra, ale zdołał sobie poradzić. Złotyzył nazwisko Luter na „Lutera”. Następnie obmyślił system oznaczania liter alfabetu od A do I jednostkami, od K do S dziesiątkami, i od T do Z setkami. Wreszcie dodał wartości liczbowe liter niemiecko-łacińskiego imienia i nazwiska „Martin Lutera” i uzyskał upragnioną liczbę 666.

Można by sądzić, że na tym powinna się zakończyć zabawa w obdarzanie mianem Bestii, bowiem tylko zatwardziały ateista byłby zdolny sobie wyobrazić, że zarówno papież Leon, jak i Marcin Luter są jednocześnie Bestią Apokaliptyczną. Niestety tak nie jest. Podczas pierwszej wojny światowej, w liście do „Adventure Magazine”, pewien numerolog obarczył mianem Bestii cesarza Wilhelma II, wykazując, że cesarz miał 666 miesięcy, kiedy wypowiedział wojnę. Krótko mówiąc, przy odrobinie pomysłowości i mnóstwie pa-

pieru do obliczeń, oraz płomiennej wierze w magiczną moc liczb, można przypisać miano Bestii niemal każdemu.

Zrodzona z mistycyzmu liczbowego Babilończyków i Egipcjan numerologia, wykarmiła się na filozofii Pitagorasa, a doksztąpiła alfabetomanią gnostyków i zażyłym stylem kabalistów. Jednakże numerologia niewiele się zmieniła od czasów klasycznych. Ówczesny Marcus Varro pisał o „różnorodnych zaletach i mocach liczby „siedem”, ilustrując swe twierdzenie takimi przykładami, jak „siedmiu mędrców”, „siedem cudów świata” i „po siedem gwiazd w obu gwiazdozbiorach Niedźwiedzicy”. W naszych czasach człowiek nazwiskiem Eilenberg pisał listy do gazet na temat mistycznej wartości siódemki, zwracając uwagę na siedem barw, siedem nut, siedem dni tygodnia, siedem mórz, siedem kontynentów i siedem planet.

Obaj, oczywiście, mówili bzdury; liczby cudów, mędrców i mórz są zupełnie niezależne od siebie. Liczba zaś znanych planet zwiększyła się w minionym wieku z siedmiu do dziesięciu. Tym niemniej numerologia chwilami oczarowuje intelektualistów, jak to widać z potknięcia słynnego niemieckiego filozofa, Hegla. Hegel radził astronomom, aby nie tracili czasu na poszukiwanie nowych planet, bowiem siódemka dotychczas znanych stanowi liczbę doskonałą, a więc pełną. Niemal natychmiast, w roku 1802, astronomowie odkryli planetoidy Ceres i Pallas, do których od owego czasu doszło jeszcze trzy planety i setki planetoid.

Obecnie numerologia nie należy do bardziej popularnych form magii, pomimo faktu, że numerolodzy wywodzą swą wiedzę od Pitagorasa lub od średniowiecznych kabalistów. Numerolodzy nie obiecują swoim zwolennikom pokonania wrogów, tak jak czarownice, ani

nie proponują bezpośrednich kontaktów z drogimi zmarłymi osobami, tak jak spirytyści. W nowoczesnej numerologii spece łączą liczby z imionami i nazwiskami klientów, następnie zgodnie z różnymi niejasnymi zasadami dodają te liczby i z otrzymanej sumy przepowiadają przyszłość. Często zalecają klientom zmianę imienia lub nazwiska, aby uzyskać pomyślniejszą kombinację liter. Pewien Kalifornijczyk, Edward L. Hayes, pilnie rozmyślał nad brzmieniem swojego nazwiska, póki go nie przekształcił na Tharnmidsbe L. Praghustspondgifeem, a w końcu zwrócił się do sądu o zatwierdzenie jeszcze dłuższej, pomyślniejszej wersji.

Numerolodzy, podobnie jak astrologowie, specjalizują się w mówieniu swym klientom tego, co tamci pragną słyszeć. Ktoś urodzony 27 dowiadyuje się, „że ma zacięcie intelektualne, jest spostrzegawczy, sympatyczny, głęboko myślący, obdarzony dużą wyobraźnią”. (Słyszycie, jak mruczy z zadowolenia?). Jednak, gdy sceptycy wypróbują zasady podane w takich książkach, jak *Modern Numerology* Goodmana, z której wzięliśmy powyższy cytat, rezultaty bywają zdumiewające. Według zasad Goodmana imię i nazwisko Adolfa Hitlera czyni z niego „dwójkę”, a „dwójka” ma reprezentować ducha współpracy, współczucie i dobrą wolę. W dodatku jest cechą „kosmicznych pacyfistów”, którzy znajdują przyjemność w „taktownym rozładowywaniu napiętych sytuacji”.

Ludzie, którzy mają skłonność stawiania na konie lub żywią niemiłe uczucie, że pewne liczby są dla nich nieszczęśliwe, albo zauważają ze zdumieniem, że dwóch przyjaciół ma dokładnie ten sam numer telefonu w dwóch różnych miejscowościach, powinni zastanowić się chwilę nad następującą rzeczą. W naszych port-

felach i notesach możemy w każdej chwili znaleźć setki liczb wydrukowanych na banknotach, zaświadczeniach, legitymacjach, czekach i rozkładach jazdy. Jeśli dodamy do tego numery domów, telefonów, ubezpieczeń społecznych i inne, stwierdzimy, że codziennie stykamy się z tysiącami liczb. Nic więc dziwnego, iż niektóre z nich często się powtarzają; nic dziwnego, że jedne z nich budzą miłsze skojarzenia niż drugie. Ale czy to znaczy, że liczby mogą nam pomóc w oświeceniu tajemnicy Losu? Czy to znaczy, że przez magię liczb uplatamy ciemną przędzę przyszłości w specjalny wzór? Wątpliwe.

Liczby, podobnie jak litery, są symbolami. Symbole są w każdej cywilizacji nieodzowne. Ale symbole są wynalazkiem ludzkim i tak samo nie można ich czcić, jak nie czci się śrubokrętów, łyżeczek czy krawatów. Jeżeli ludzie będą o tym pamiętali, może oszczędzą sobie kłopotu zmiany nazwiska na inne długie, dziwaczne i rzekomo szczęśliwsze. Jeżeli będą mocno trzymali się myśli o ludzkim pochodzeniu symboli, może oszczędzą sobie nawet rozczarowania, jakie przeżyła pewna okultystka. Poprosiła ona kiedyś swego męża, inżyniera, aby wyjaśnił jej podstawy rachunku różniczkowego i całkowego. Kiedy skończył, rozczarowana dama wykrzyknęła:

„Chcesz mi powiedzieć, że cała ta cudowna «wyższa matematyka» jest po prostu po to, aby móc znaleźć najtańszy sposób przeprowadzenia rury kanalizacyjnej? A ja myślałam, że całki i różniczki to klucz do tajemnic Wszechświata!”

Rozdział X
BRAMY KRAINY CZARÓW

... przez cały dzień tłuc pięściami
w bramy Krainy Czarów i stwierdzić,
że są zamknięte, kraina zaś opusto-
szała, a jej królowie wyjechali*.

Dunsany

Dla większości ludzi, którzy osiągnęli wiek dojrzały, bramy Krainy Czarów są zamknięte, a jej królowie wyjechali. Często odczuwamy z lekkim smutkiem, że coś wspaniałego w jakiś sposób na zawsze przeminęło. A jednak zdajemy sobie sprawę, że fakt ten łączy się z dorastaniem; uczymy się z tym jakoś godzić i zaczynamy szukać sobie na tej doczesnej płaszczyźnie innych radości w miejsce Krainy Czarów.

Każdy o tym wie, że dzieci i młodzież mają skłonności do marzeń. Wielu posuwa się nieco dalej. Wpa-trzywszy się nieruchomo w jakiś przedmiot o wyraźnie zaznaczonym wzorze, mogą wywołać osobliwy stan emo-cjonalny, w którym się im wydaje, że zaraz zdarzy się coś cudownego. Sam wzór przemienia się w jakąś piękną scenę, istną furtkę do Krainy Czarów, i młoda osoba wchodzi w nią pełna nadziei.

* Lord Dunsany *Nowadays*, Boston 1918, s. 22.

Dla niektórych dorosłych, lecz nie dojrzałych ludzi drzwi Krainy Snów nigdy się nie zamykają. Walczą z własnym dojrzwaniem i kultuwują ów trans. Wielu czarnoksiężników to wcale nie szarlatani posługujący się sztuczkami magicznymi, aby wyłudzić od łatwo-wiernych pieniądze, lecz ludzie, którzy szczerze wierzą, że porozumieli się z duchami lub przewidzieli przyszłość, bowiem doprowadzili się do stanu nibytransu, w którym ni to we śnie, ni na jawie, są tylko w części świadomi otaczającego ich świata. Ten stan transu jest główną bramą do czarodziejskiego kraju z jego niewidzialną fauną bożków, aniołów, demonów, duchów, wróżek i nadziemskich istot.

Niektórzy ludzie zapadają w transe spontanicznie. Zachowują zdolność samohipnozy, tak właściwą dzieciom. Wiele transów wiąże się z somnabulizmem, histerią i rozdwojeniem osobowości.

Inni wywołują transy sztucznymi środkami, z których najbardziej znane są narkotyki. Opium zawarte w maku wywołuje senne wizje, głęboki sen, a przy odpowiedniej dozie, śmierć. Opium i jego główny składnik, morfina, są przyczyną tak niebezpiecznych nałogów, że ludzie, którzy ich regularnie używają, mają niewielką szansę na wyzbycie się nałogu i powrót do normalnego życia.

Haszysz, czyli marihuana, otrzymywany z kwiatu konopi i używany od tysięcy lat, wywołuje podobnie dziwne halucynacje. Zniekształca poczucie czasu i przestrzeni, daje chwilowe wrażenie ogromnej siły i rozdwa-ja osobowość. Haszyszem wprowadzali się w trans dawni Scytowie, a także asasini, wyznawcy kultu, który sterroryzował Środkowy Wschód w XII wieku.

Tunguzi, Koriacy i inne plemiona syberyjskie oszala-łami się żując muchomory, owe trujące, pomarań-czowe w białe plamki grzyby, tak ulubione przez ilu-

stratorów bajek dla dzieci. Indianie meksykańscy od wieków używają do tego celu wysuszonych wierzchołków kaktusa *peyote*. Nowy związek chemiczny, zwany popularnie LSD, jest używany od roku 1943 w badaniach medycznych nad przypadkami schizofrenii, nad działaniem ludzkiego umysłu i czasem też nad rozmaitymi reakcjami jednostek na stan transu.

Ludzie mogą również popadać w trans bez używania narkotyków. Muzyka, taniec, wycie i biczowanie mogą wywołać stan podobny do transu. Podobnie długie okresy postu lub kontemplacji. W Indiach i Tybecie kontemplacja przybiera formę koncentrowania umysłu na pojedynczej myśli — na obrazie myślowym plamki światła, albo jakimś dźwięku, na przykład *om*. Kwiatyści z góry Athos w Grecji kontemplują własne pępki. Na Zachodzie transy często bywają wywoływane przez wpatrywanie się w jakiś lśniący przedmiot, na przykład kryształową kulę.

Każdy trans staje się „transem mistycznym”, gdy człowiek, który go przeżywa, przypisuje mu znaczenie nadnaturalne. Trans mistyczny daje poczucie jedności z Bogiem lub Wszechświatem, albo wywołuje wrażenie jakiegoś objawienia o najwyższej dla świata doniosłości.

Większość religii jest atrakcyjna dla jednostek, zgromadzeń lub sekt z powodu mistycyzmu, a objawienia, o których donoszą, mają głęboki wpływ na myślenie religijne następnych pokoleń. Trans mistyczny ma również doniosłe znaczenie w uprawianiu rozmaitych rodzajów magii. Prorocy, wyrocznie, czarodzieje i spirytyści — wszyscy odwołują się do transów. Powinniśmy zatem wiedzieć, jak takie transy powstają, jak się człowiek w transie czuje i jaki efekt wywiera stan tran-

su na jednostkę oraz łatwowierny ludek, który ją obserwuje. Gdy uzbroimy się w tę wiedzę, staniemy się mniej podatni na to, by stracić poczucie rzeczywistości i dać się nabrać na czyjaś bajeczkę o pełnym swobodzie unoszeniu się w płaszczyźnie astralnej. Prawdopodobnie nie będziemy spoglądać z podziwem na wróżkę, która wpatruje się w swoją kryształową kulę i przeraża nas tym, co widzi.

W czasie transu media lub mistycy popadają istotnie w stan połowicznej świadomości. Aczkolwiek wielu z nich zaprzecza, że trans wywołuje w nich ból, często aż skrecają się i jęczą. Sam ich wygląd budzi wówczas grozę, a magia działa najlepiej w atmosferze lęku.

Mistycy mówią, że ich transy są nie do opisania, tym niemniej wielu próbowało je opisać. Z opisów tych i z najnowszych badań naukowych przeprowadzonych w kilku uniwersytetach amerykańskich wynika, że trans mistyczny, bez względu na sposób jego wywołania, ma następujący określone cechy:

Czas. Aczkolwiek trans zwykle trwa około pół godziny, a rzadko lub nigdy więcej niż dwie, normalne poczucie czasu u osoby pozostającej w transie ulega tak wielkiemu zaburzeniu, że sekunda może się wydawać kilkoma godzinami lub nawet dniami. Popadając w trans, mistyk przechodzi przez senny stan pośredni, który obfituje w halucynacje. Następnie stan pośredni ustępuje miejsca transowi właściwemu, w którym mistyk doznaje swojego „olśnienia”.

Halucynacje. W stanie przejściowym (dla niektórych już końcowym) słyszy się nieziemskie głosy i muzykę, pojawiają się jaskrawe światła i obrazy, a czasem zdarza się wrażenie lewitacji, czyli unoszenia się w powietrzu. Mistyk często widzi bogów lub świętych wy-

znawanej religii. George Fox, założyciel sekty kwa-
krów, widział ulice Lichfield w Anglii spływające
krwią. Czasem halucynacje mają charakter zgodny
z teorią Freuda, jak na przykład wizja świętej Teresy,
której mężczyzna wbił płonąca złotą włócznię w ciało.
George William Russell miał rozkoszne wizje „czystych
promiennych twarzy, olśniewających pochodów posta-
ci, w większości żyjących w starożytności, antycznych
miast i ludów, i ślicznych krajobrazów jakby utra-
conego Raju” *.

Wzruszenie. Mistyk zazwyczaj doświadcza silnego
wzruszenia. Czuje, że jest połączony z jakąś wyższą
siłą. Odnosi wrażenie silnej radości lub ekstazy. Czę-
sto zaznaje całkowitej egzaltacji moralnej, jakby się
nagle uwolnił od grzechu i śmiertelności. Jednakże,
gdy trans się przedłuża, ekstaza może się zmienić
w trwogę i przygnębienie.

Fotyzm. Powszechne są halucynacje światła fizycz-
nego: „Gdy zbliżał się już (Szawel) w swojej podróży
do Damaszku, olśniła go nagle światłość z nieba” **.
Charles G. Finney, XIX-wieczny amerykański przed-
stawiciel nurtu odrodzenia religijnego, wspomina:
„Padł na moją duszę blask niewypowiedziany... jak
jasność słoneczna na wszystkie strony” ***. Psychiatra
kanadyjski, Bucke pisał, że nagle ni stąd, ni zowąd”
„stwierdził, że jest spowity płomienną chmurą” ****.

* G. W. Russel *The Candle of Vision*, Macmillan, Londyn
1931, s. 28.

** *Dzieje apostołskie*, 9,3, w: *Pismo Święte...*, j.w.

*** Finney *Memoirs*, s. 34; cyt. wg: W. James *The Varieties
of Religious Experience*, Longmans, Green, N. Jork 1902 - 10,
s. 252.

**** R. M. Bucke *Cosmic Consciousness (A Study of the
Evolution of the Human Mind)*, Dutton, N. Jork 1901 - 31, s. 9
i nast.

Objawienie. Obok fizycznej iluminacji występuje również poczucie duchowego olśnienia — nagłego ujrzania tajemnic Wszechświata. W zwykłych transach osoby, które je przeżywają, szukają po omacku jakiegoś na wpół wyczuwanego ukrytego sensu. Charles Kingsley, który najwidoczniej wywoływał u siebie takie transy długimi marszami, pisze: „Chwilami gnębi mnie skryte uczucie, że wszystko, co widzę, ma jakieś znaczenie, gdybyż je tylko móc pojąć” *. W głębszym transie, Jacob Böhme, mistyk niemiecki, „ujrzał” prawdziwą naturę Trójcy Świętej, Trzech Światów, Dobra i Zła, oraz budowy Kosmosu. Wraz z takim objawieniem przychodzi silne subiektywne przekonanie o jego prawdziwości: „Wiem, że to, co ujrzałem w wizji, jest prawdziwe. Osiągnąłem punkt widzenia, z którego widziałem, że musi być prawdziwe” **.

Oczywiście, owa prawda okazuje się całkiem odmienna dla mistyków różnych kultur i różnych środowisk. Chrześcijanin wierzy, że człowiek zyskał zbawienie przez Chrystusa; weddantyści, że jedyną rzeczywistością jest Brahman; joga, że jego *purusha*, czyli duch, jest realnie istniejącym oddzielnym bytem. Niektórzy mistycy mówią o istnym potopie błyskotliwych idei, lecz gdy próbują je spisać, rezultat jest bełkotem. Trans zatem wywołuje ogromne poczucie wiedzy, intelektualnych fajerwerków, ale po przebudzeniu nie pozostawia mistykowi żadnych istotnie nowych wiadomości.

Szereg psychologów i badaczy okultyzmu wprowadzało się w trans i opisywało go ze szczegółami. Zwo-

* Ch. Kingsley *Life*, t. I, s. 55; cyt. wg: W. James *The Varieties...*, j.w., s. 385.

** R. M. Bucke *Cosmic Consciousness*, j.w., s. 8.

lennik koncepcji czterowymiarowego świata w wersji okultystycznej, P. D. Ouspensky, opisał bardzo wyraźnie swoje sensacje podczas transu. Około 20 minut po rozpoczęciu kontemplacji zdał sobie sprawę z rozdwojenia osobowości, jak gdyby jedna jego część obserwowała drugą. Przyszedł stan słyszenia głosów i chwilami muzyki. Był to rodzaj głosów słyszanych przez media podczas transów i głosy te nie powiedziały mu nic, czego przedtem nie wiedział.

Potem przekroczył następny próg, wstępując w świat złożonych stosunków matematycznych, gdzie wzory oraz harmonie muzyczne wyrastały w sposób widoczny z prostych składników. W świecie tym wszystkie części były wzajemnie powiązane i równie dostrzegalne; rzeczy subiektywne były jednoznaczne z obiektywnymi. Stosunki matematyczne były wyrażane dźwiękami, muzyką, wzorami i promieniami światła. Ouspensky nagle stwierdził, że nie może mówić, ponieważ przy każdej próbie mówienia umysł jego zalewały miliony błyskotliwych myśli na temat słów, których chciał użyć.

Następnie czas wyciągnął się tak bardzo, że sekunda stała się nużąco długa. Ouspensky widział idee wyrażone symbolami. Magiczne pojęcia triady i czterech żywiołów miały ogromną doniosłość, ale idee, do których czuł niechęć, jak ewolucja, były pominięte. Jakiś pojedynczy głos odpowiadał na wszystkie pytania, chociaż odpowiedzi były często enigmatyczne. Zdecydował, że głosem tym była część jego samego. W miarę jak nieskończoność jakby wszystko pochłaniała, Ouspensky przeraził się, że wreszcie pochłonie i jego. Coś go ostrzegało, by nie zapuszczał się dalej w nieskończoność.

William James, wielki psycholog amerykański, dokonał podobnego eksperymentu na sobie. Wprowadził

się w trans za pomocą podtlenku azotu. Tuż przed eksperymentem James właśnie zakończył studia nad filozofią mistyczną Hegla. W stanie transu doświadczył zaskakującego uczucia objawienia, przekonania o wieczystej prawdzie teorii Hegla, oraz istnego potoku myśli ilustrujących tę prawdę.

Podyktował wiele z tych myśli, „które w momencie zapisywania były stopione ogniem bezgranicznej racjonalności”, ale po przebudzeniu z transu okazały się kompletną bzdurą, jak na przykład: „Boże, jak boli! Boże, jak nie boli! Pojednanie dwóch skrajności”^{*}. Krótko mówiąc, aczkolwiek transy mistyczne mają w odczuciu podlegających im transcendentalną doniosłość, nie utorowały one drogi do żadnych wielkich wynalazków czy odkryć.

Jaki rodzaj ludzi reprezentują ci mistycy, którzy rozmyślnie uprawiają dziecięcy nawyk marzenia? Są to ludzie najrozmaitszych zawodów, najrozmaitszych stopni inteligencji. W rzeczywistości jednak posiadają pewne wspólne cechy. Są to ludzie prawego charakteru, wpatrzeni w siebie, skorzy do ucieczki przed nieprzyjemnymi aspektami życia; jednocześnie są zarozumiali, egoistyczni i bardzo zajęci sprawą własnego zbawienia lub rozwoju psychicznego. Łatwo ulegają przesądom i brak im samokrytyki. Żaden dowód nie zachwieje ich wiary w prawdziwość doznanych objawień, bez względu na absurdalność tych objawień. Niechętnie odnoszą się do nauki, gdyż nauka nie godzi się przyjmować ich przekonań za dobrą monetę, oraz dlatego, że uważają badania naukowe za nudne i niezadowolające. Wśród mistyków przeważa większość mężczyzn, może dlatego, że mężczyźni mieli zazwyczaj wlecej swo-

^{*} W. James *The Will to Believe*, Longmans, Green, N. York 1896, s. 296.

body w kultywowaniu i spisywaniu swoich mistycznych doświadczeń, a może też dlatego, że kobiety bywają z zasady bardziej praktyczne.

Efekt powtarzania transów mistycznych jest zależny od osobowości ludzi, którzy się w nie wprowadzają. Ludzie o bardzo przeciętnym intelekcie lub słabego charakteru mogą stać się otepiali aż do stopnia całkowitego zniedołężnienia. Jedno z osiągnięć nowoczesnej techniki, wywołujących pewien rodzaj transu, zmusza nas w tym miejscu do wypowiedzenia słów przestrogi. Dzieci i dorośli, którzy spędzają całe godziny siedząc beczynnym przed telewizorem, często stwierdzają, że nieruchoma pozycja, w połączeniu ze światłami i cieniami na ekranie, wywołuje w nich rodzaj stanu sennej nierzeczywistości. Przywierają do aparatu, odcinając się od problemów i obowiązków normalnych, czynnych ludzi i czasami doprowadzają się do stanu całkowitego bezwładu.

Z drugiej zaś strony, osoby o silnej woli i mocnym charakterze mogą, podobnie jak hiszpański duchowny Ignacy Loyola, założyciel zakonu jezuitów, umocnić się poprzez transy w swych postanowieniach. Praktyki jogów wpływają jakoby dobrze na zdrowie i równowagę psychiczną; ale jogowie kształcą się nieraz całe lata poprzez ćwiczenia i dyscyplinę ducha. Skutki przeżytych transów mistycznych nie są jeszcze w sposób dostateczny zbadane naukowo, aby móc określić ich pełny wpływ na osobowość człowieka. Być może, podobnie jak większość przyjemności w życiu, są dobre, ale nie dla wszystkich i w umiarkowanym stopniu.

W historii magii i okultyzmu wpływ mistyka na społeczeństwo jest ważniejszy niż sam wpływ transu na mistyka. W religiach wszystkich krajów i wszystkich czasów objawienie doznane przez mistyka i jego bez-

kompromisowe przekonanie o prawdzie tego objawienia zawsze oddziaływało silnie na otoczenie. Czasami, jak w przypadku świętego Pawła, trans wywierał tak wielkie wrażenie na zwolennikach mistyka, że gruntownie zmieniali swe dotychczasowe życie i przekonania.

Praktykującemu magowi trans mistyczny daje okazję nawiązania kontaktu z duchami lub przejścia na paluszkach przez Krainę Czarów w poszukiwaniu klucza do przyszłości. Wydaje się, że dwa największe źródła dochodu magów w naszej cywilizacji leżą w przepowiadaniu przyszłości i w obietnicach uzdrowienia. Po astrologii, najszerzej przyjętą metodą wróżbiarstwa jest w dzisiejszych czasach trans, zwłaszcza wywoływany za pomocą kryształowej kuli. Prawdziwy kryształ kuli nie jest nieodzowny; wystarczy byle lśniący przedmiot. Trans można wywołać wpatrując się w lustro, w jakiś klejnot, małą kałużę, parę kropel atramentu albo, jak w średniowiecznej Europie, w wypolerowane ostrze miecza. Majowie z Jukatenu używali prawdopodobnie właśnie takiej metody przepowiadania przyszłości, bowiem w Chichén Itzá znaleziono jadeditową kulę.

Ludzie przepowiadający przyszłość przez wpatrywanie się w kryształową kulę zwani są „krystalomantami”, a pseudonauka, którą uprawiają, „krystalomancją”. Wróżbici widywani na jarmarkach lub zebraniach towarzyskich są nie tylko zawodowymi magikami, którzy budzą w kobietach nadzieję spotkania „przystojnego bruneta jeszcze przed Bożym Narodzeniem”. Natomiast „krystalomanci”, którzy nas tutaj interesują, traktują uprawianie magii poważnie i często popadają w transy, przynajmniej w pewnym stopniu.

Średniowieczni autorzy rozpraw na temat sztuki wróżenia z kryształowej kuli stawiali wymagania, aby

wróżbita rozpoczynał seans rytualnymi modłami, rysowaniem pentagramów, paleniem świec i recytowaniem słów magicznych. Jeśli nie mógł sam wzbudzić wizji, polecano mu, by się posłużył do wróżenia z kuli chłopcem lub dziewczyną z prawego łóża, którzy nie utracili jeszcze niewinności. Wymogi niewinności i prawego pochodzenia, podobnie jak modły i pentagramy, to tylko oprawa. Młodociani istotnie lepiej służyli do tego celu, gdyż są bardziej podatni na stany transowe niż dojrzały ludzie, ponadto zaś mają skłonność do obrazowości eidetycznej, to znaczy zdolność do szczegółowego i dokładnego pamiętania obrazu czegoś uprzednio widzianego.

Mimo tych wszystkich zasad ustanowionych przez średniowiecznych czarnoksiężników, kryształowa kula ani jej odpowiednik nigdy jeszcze nie wyjawiały przyszłego biegu wypadków. Trans mistyczny służy nielepiej do przepowiadania przyszłości, jak do tworzenia oryginalnych myśli lub wynalazków. Dzieje Johna Dee, jednego z najbardziej znanych w historii krystalomanów, ukazują, jak burzliwa była jego kariera i jak wątpliwe metody jego sztuki.

Doktor John Dee (1527 - 1608), współczesny Szekspierowi, był czarnoksiężnikiem, którego wygląd świetnie pasował do jego roli. Był wysoki, szczupły, z długą, ostro zakończoną brodą; jednakże, mimo całej swojej magicznej wyższości, był człowiekiem prawym, dobrotliwym i naiwnym. Zanim dał się pochłonać wiedzy tajemnej, był znanym naukowcem i uczonym, przyjacielem elżbietańskich wilków morskich, Hawkinsa i Frobishera, oraz wybitnego kartografa Mercatora, który tak bardzo go lubił, że ofiarował mu jeden ze swoich słynnych obrazów obu półkul.

Ojciec Johna Dee, dworzanin Henryka VIII angielskiego,

skiego, postarał się dla syna o dobre wykształcenie. Zdobywał więc John wiedzę matematyczną i tajemną na wielkich uniwersytetach w Cambridge, Paryżu i Louvain.

Dee studiował astrologię i alchemię, i podejrzewano go o uprawianie czarnej magii. W roku 1551, gdy Edward VI przyznał mu beneficium, Dee osiadł w Anglii i wiódł spokojny żywot uczonego oraz astrologa. Wkrótce jednak oskarżono go o spisek przeciw Krwawej Królowej Marii * z powodu postawienia jej horoskopu, a następnie porównania go z horoskopem jej przyrodniej siostry, Elżbiety. Na domiar złego, zaczęły krążyć ponure plotki, że z zemsty zaczarował dzieci donosiciela, z których jedno zmarło, a drugie oślepiło. Sądy uchyliły oskarżenie o czary; biskup oczyścił go od zarzutu herezji; a po śmierci Marii, młoda królowa Elżbieta zleciła mu wybór astrologicznie pomyślnego dnia koronacji.

Następne dwadzieścia dwa lata John Dee żył sobie spokojnie w Mortlake, na przedmieściu Londynu, pisząc księgi o alchemii, prowadzeniu bitew morskich, nawigacji, geografii i matematyce. Spełniał też dorywcze usługi magiczne dla królowej. Kiedy, na przykład, ktoś znalazł jej podobiznę przekłutą szpilką, wzywano go, by uspokoił królową, że nic jej nie zagraża.

Osiągnięcia naukowe Johna Dee były liczne i różnorodne. Gdy papież Grzegorz XIII przeprowadził w roku 1582 reformę kalendarza, John Dee otrzymał polecenie wykonania koniecznych obliczeń, aby móc dostosować kalendarz angielski do gregoriańskiego. Ponieważ jednak kilku biskupów anglikańskich nie zechciało pójść za przykładem papieża, kalendarz angielski różnił się od kalendarza katolickiej Europy jeszcze

* Mowa o Marii Tudor (przyp. red. pol.).

przez 170 lat. Dee walczył również o szereg słusznych spraw: bibliotekę narodową, ochronę wybrzeża i teleskopy dla oficerów w wojsku.

W 1581 roku, mając lat pięćdziesiąt cztery, Dee zainteresował się krystalomancją. Któregoś dnia zaczął wpatrywać się w kryształową kulę, a później napisał w swym dzienniku, że spróbował i „zobaczył”*. Nie napisał, co zobaczył. W każdym razie był, zdaje się, lichym krystalomantą, bowiem w tych rzadkich wypadkach, gdy udawało mu się wywołać wizję, nie mógł jej dość dobrze zapamiętać, aby ją potem opisać. W związku z tym wynajął niejakiego Barnabasa Saula, który długo patrzył w kulę, po czym obwieścił obecność anioła Anaela. Wkrótce potem Saul został wezwany przed sąd za jakieś sprawki. W sądzie zaprzeczył, że jest krystalomantą, i oświadczył, iż po prostu oszukał doktora Dee. Oburzony Dee zaprzyjaźnił się z innym młodym krystalomantą, oszukańczym czarodziejem Edwardem Kelleyem, który u niego zamieszkał.

Ów Kelley rozpoczął swą karierę jako terminator u aptekarza. Prowadził żywot włóczęgi, parał się wiedzą tajemną i miał ucięte uszy za fałszerstwo. Musiał być biegłym krystalomantą, albo znakomitym łgarzem; prawdopodobnie i jednym i drugim. Ponadto był zwykle w złym humorze, często pijany i (jak Dee narzekał w swym dzienniku) klócił się ze swoim pracodawcą całymi godzinami.

Bądź co bądź Kelley sprostał swym zadaniom. Do bram, którym wkraczał do Krainy Czarów, należała wypolerowana płytka węgla bitumicznego, używana za zwierciadło czarodziejskie, oraz szklana czy też kryszta-

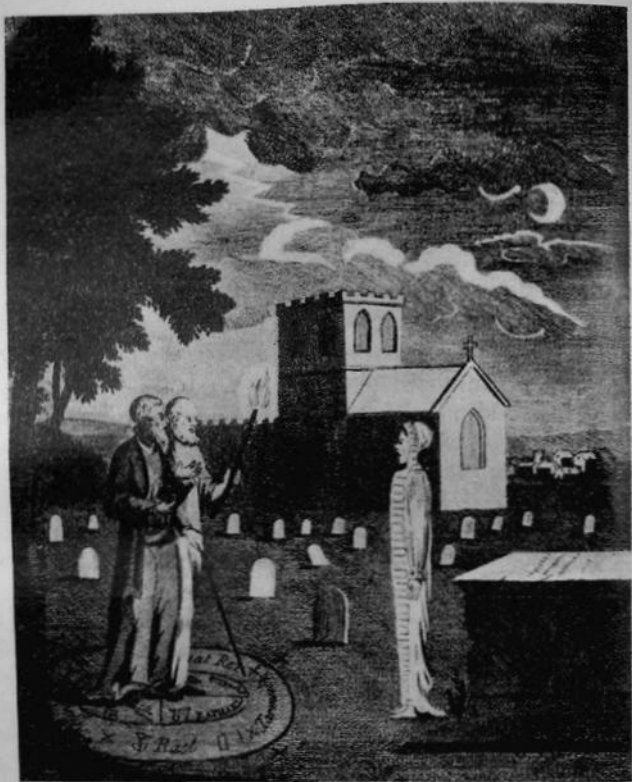
* Zapis w Dzienniku z dnia 25 V 1581 roku; cyt. wg: G. M. Hort, B. R. Ince i W. P. Swainson *Three Famous Occultists (Dr John Dee, Franz Anton Mesmer, Thomas Lake Harris)*, McKay, Phila b.r., s. 36.

łowa kula, którą Dee miał jakoby otrzymać od anioła Uriela i którą można dziś obejrzeć w British Museum. Z nieco niejasnych opisów eksperymentów, które Dee pozostawił, wynika, że Kelley patrzył i opowiadał, co widzi, a Dee to zapisywał.

Uriel przykazał Kelleyowi, by sporządził Święty Stół i Pieczęć Bożą. Następnie pojawił się anioł Michał oraz pewna liczba innych duchów. Aczkolwiek Dee szlachetnie obstawał przy nawiązywaniu kontaktów jedynie z dobrymi duchami, stan moralny tych, z którymi się kontaktował, jest wątpliwy. Niektóre, jak dusza małej dziewczynki Madini, co to się tylko chciała bawić, były najbardziej bezmyślnymi zjawami, jakie kiedykolwiek nawiedziły seans. Inne widziadła lubiły podróżować i pokazywały Kelleyowi widoki różnych części świata. W swoich wyprawach odwiedziły również Biegun Północny, zamieszkiwany przez rasę długobrodych karłów.

Wkrótce, za radą duchów, Kelley ożenił się. Do dotychczasowych niewygód zatłoczonego domostwa Johna Dee doszedł zgilek kłótni państwa Kelley. Żona doktora Dee, kobieta przystojna o dużym temperamencie, znacznie młodsza od męża, była mu bardzo oddana i urodziła ośmioro dzieci. Jej życie rodzinne musiało być nie do opisania.

John Dee pozostawał nadal w łaskach królowej. Obecny na jednej z uroczystości dworskich został przedstawiony gościowi z Polski, Olbrachtowi Łaskiemu, wojewodzie sieradzkiemu, który zapragnął odwiedzić Dee w domu. Przerażony kosztami przyjęcia tak wielkiego pana z należytymi honorami, Dee zdołał nakłonić królową Elżbietę, aby wspomogła go finansowo. Łaski złożył mu wiele wizyt, podczas których przebiegłe duchy Kelleya obiecywały wielmoży, że w przyszłości będzie obrany królem Polski.



Ryc. 28. John Dee i Edward Kelley wywołujący ducha.

Zachwycony Łaski zaprosił obu okultystów do Polski. Wybrali się w podróż z całymi rodzinami. Z charakterystycznym dla siebie niedbalstwem, Dee zapomniał uporządkować sprawy finansowe i w konsekwencji kościelne dochody się urwały, pozostawiając go na łaskawym chlebie wojewody.

Zaczął się dwadzieścia siedem lat życia w pałacach,

obietnic, pielgrzymek i nędzy. Przez jakiś czas czarnoksiężnicy bawili Łaskiego wizjami tronu i bogactwa. Gdy jednak wojewodzie sprzykrzyły się bezustanne wydatki na eksperymenty alchemiczne, odesłał ich do Pragi z listem polecającym do cesarza Rudolfa II. Jemu również czarnoksiężnicy obiecali złoto alchemiczne, a na dodatek zdobycie Konstantynopola. Jednak ponury cesarz odniósł się do sprawy z rezerwą, więc powrócili do Łaskiego. Czas jakiś bawili obietnicami króla Polski, a potem raz jeszcze spróbowali oczarować cesarza. Tym razem jednak narazili się nuncjuszowi papieskiemu, który nazwał ich „heretyckimi czarownikami” i zmusił do ucieczki z Pragi. Nieposkromieni, zaczęli kusić namiestnika Czech wizjami polskiego tronu i na dwa lata uzyskali schronienie w jego zamku w Trebonie.

Teraz już dwaj wróżbici-alchemicy twierdzili, że dokonali przemiany metali nieszlachetnych w złoto. (Kelley zapewne wpadł na pomysł tygla o podwójnym dnie, albo nauczył się sztuczki z wydrążonym prętem do mieszania). W końcu zaczęli tęsknić za Anglią i zwrócili na siebie uwagę królowej Elżbiety w sposób dość oryginalny. Posłali jej mosięzną grzałkę do ogrzewania pościeli. Nie była to jednakże zwykła grzałka. Miała w środku okrągłe wycięcie, w które był zgrabnie wpasowany krążek złota. Dee wyjaśnił, że Kelley zamienił wycięty kawałek miedzi w szczere złoto.

W tym okresie w owym niezwykłym gronie rodzinnym zjawily się niesnaski. Kelley nienawidził swojej żony, zaś pani Dee była bardzo ładna. Niebawem duch Madini, teraz już jako dorosłej istotyaziemskiej, rozkazał, by mężczyźni dzielili się między sobą własnymi żonami. Obie panie z oburzeniem zaprotesowały. Dee w swój łagodny sposób zasugerował, że duch wyraził

się w przenośni; że wymaga od nich tylko bardziej harmonijnego współzycia.

Kelley jednak tym się nie zadowolił. Duchy zażądały, aby ich rozkazy brać dosłownie. Aczkolwiek dziennik Johna Dee nie mówi o tym, jak wykonano wolę duchów, możemy się domyślać, że rezultat był niezadowalający, bowiem w roku 1588 spółka się rozwiązała.

Dzięki swym obietnicom Kelley uzyskał od cesarza Rudolfa tytuł szlachecki, ale gdy nie zdołał dostarczyć na czas złota, został wtrącony do więzienia. Po uwolnieniu, za wstawiennictwem królowej Elżbiety, wędrował jeszcze przez dwa lata po Europie, trafił po raz drugi do więzienia i (zgodnie z utartą pogłoską) próbując ucieczki wpadł do fosy i utonął.

Zanim to jednak nastąpiło, Dee wrócił do Anglii z imponującym orszakiem służby, powozów, wozów ładownych i straży. Podczas jego nieobecności motłoch włamał się do jego domu i zniszczył mu bezcenną bibliotekę. Majątek Dee stopniał jak wiosenny śnieg. Uzyskał parę drobnych zajęć przy dworze, ale był już za stary, by móc je wykonywać. Gdy Jakub I, następca Elżbiety, zignorował jego prośby o wsparcie, popadł w ubóstwo i zapomnienie.

John Dee rozpoczął życie jako człowiek wykształcony, mający wysoko postawionych przyjaciół. Miał dobrą żonę i wiódł wygodny żywot wśród swoich ksiąg i ogrodów. Gdyby mógł ujrzeć w swojej kryształowej kuli owych dwadzieścia siedem lat trudów, podróży i niepokoju oraz te końcowe lata niedostatku i upadku sił, to czy nie rozbiłby jej, nie poszukał sobie innego przedmiotu badań? Może przewidział swoją przyszłość, my jednak wątpimy.

Duchy Johna Dee stanowią część wielkiego niewidzialnego zoo magii i folkloru; bowiem kraina, którą

odwiedzają w swoich transach mistycy i czarownicy, posiada własną faunę. Od najwcześniejszych czasów ludzie zaludniali swój codzienny świat różnorodnymi niewidzialnymi stworami; ptakami-olbrzymami sprrowadzającymi, według wierzeń Indian Haida, burze, małymi ludzikami, jak *gahunga* irokescy, olbrzymami, jak norwescy *jötunn*, wilkołakami, harpiami, centaurami, krasnoludkami oraz innymi istotami nadnaturalnymi. Te zmyślone stwory są modyfikacjami żywych organizmów, wyolbrzymionych, pomniejszonych, kombinowanych albo w jakiś inny sposób przekształconych; i wszystkie są wyposażone w magiczne właściwości.

Pospolitym błędem ludzi o skłonnościach mistycznych jest minimalizowanie elementu wyobraźni przy powstawaniu takich pojęć i wyolbrzymienie ich słabych podstaw realnych, aby „dowieść”, że te wymysły stanowią pozostałość ludowej pamięci o rzeczywistych olbrzymach, rzeczywistych liliputach albo prawdziwych potworach, które przed wiekami chodziły po powierzchni Ziemi. Gdyby rozumowanie takie było słuszne, musiałyby istnieć możliwość znalezienia jakiegoś nowoczesnego, zionącego ogniem gada, stanowiącego prototyp wszystkich baśniowych gadów; jednak istnienie takiego stwora jest organicznie niemożliwe.

Niektórzy badacze folkloru żywią przekonanie, że północnoeuropejskie baśnie o krasnoludkach są wspomnieniem po przedhistorycznej rasie karłów, którą wyparli Celtowie, ale nieliczni jej przedstawiciele przetrwali w odległych zakątkach przez wiele stuleci. Istnieje jednak silny dowód przeciwko tej teorii. Po pierwsze, krasnoludkowe tradycje są niemal powszechne wśród ludów prymitywnych, a nikt chyba nie zakłada, że rasa karłów poprzedziła obecnych mieszkańców na całym świecie. Po drugie, wszystkie z odkopanych w Europie szczątków kostnych należą do ludzi mniej

więcej tego samego wzrostu, co dzisiejsi Europejczycy. Gdyby istnieli jacyś olbrzymi lub karły, z pewnością natrafilibyśmy do tej pory na ich skamieniałe szczątki.

Ludzie wierzą w setki rozmaitych istot nadnaturalnych. Niektóre mają cechy zupełnie ludzkie; inne to wymyślone zwierzęta, jak smok, gryf i jednorożec. Jedne są materialne, drugie czysto duchowe, nie mające żadnych fizycznych kształtów. Podczas gdy jedne łatwo zobaczyć, inne są niewidoczne, jak duchy lub demony, chyba że zechcą się zmaterializować.

Owi mieszkańcy Krainy Czarów mają rozmaite i zróżnicowane pochodzenie. Niektórzy z nich zrodzili się z wyolbrzymień lub błędnych interpretacji opowieści podróżników. Kiedy pierwsi podróżnicy wracali z odległych stron i mówili o wysokich ludziach, przejęci słuchacze wyobrażali ich sobie wielkimi, jak drzewa. Syrena jest zepewne uromantyzowanym opisem krowy morskiej, morskiego ssaka spotykanego u wybrzeży Oceanu Indyjskiego. Nieznane zjawiska przyrody, jak trąby wodne, słupy piasku, tęcze i dziwnie ukształtowane chmury, przemieniały się w umysłach słuchaczy w dżiny i anioły.

Innym źródłem powstawania istot nadnaturalnych jest żywa wyobraźnia niektórych dzieci, które w braku rzeczywistego kolegi stwarzają sobie w myśli niewidocznego towarzysza zabaw; baśniowy świat ożywiają także zjawy, które wyłaniają się ze zwykłych snów lub z halucynacji wywołanych alkoholem czy narkotykami. Stany transowe, podobnie jak *delirium* spowodowane wysoką gorączką, wzbudzają wiele nierzeczywistych obrazów. Sensacje fizyczne, jak kołatanie serca lub ucisk na przeponę wskutek zaburzeń w trawieniu, mogą być interpretowane jako obecność „uciążliwej istoty nadnaturalnej, która wywołuje lęk i chorobę”. Podobnie subiektywne wrażenia są przyczyną

wiary w „duchy opiekuńcze”, które jakoby czuwały nad wielu ludźmi, włącznie z Sokratesem i Juliuszem Cezarem. Czasami owym „duchem opiekuńczym” może być częśćka rozszczepionej osobowości albo początkowe wspomnienia, którym nieudolny cenzor pozwolił umknąć z podświadomości.

W miarę rozwoju mitologii te nadnaturalne istoty zostały zróżnicowane na anioły, diabły, zjawy, potwory i duchy świata przyrody. Aniołowie należą do dziedziny religii; o diabłach mówiliśmy w związku z czarnoksięstwem; a duchy-zjawy omówimy przy kwestii spirytyzmu. Potwory pozostają raczej poza zakresem naszych obecnych zainteresowań, bo choć należą do mitologii i folkloru, zwykli ludzie i czarownicy rzadko się z nimi kumali. Pozostaje jeszcze mnóstwo wrózek i duchów świata przyrody, z którymi ludzie mieli kon-szachty od najwcześniejszych czasów, aż do dziś.

Skrzaty takiego albo innego rodzaju figurują w baśniach wielu ludów prymitywnych. Często troszeczkę złośliwe, chwilami bywają pomocne. Nasze krasnoludki i hawajskie *menehune* pomagają człowiekowi w pracy, jeżeli są odpowiednio traktowane, irlandzki zaś karzeł, kiedy go schwytać, może w zamian za obietnicę wolności zaprowadzić człowieka do ukrytych skarbów. W niektórych krajach ludzie i czarodziejskie duszki współpracują ze sobą. W jednej z baśni maoryskich bohater nauczył duszki *atua* gotować, one zaś z kolei nauczyły go sztuki tatuazu.

Istoty nadnaturalne występują w najwcześniejszych dokumentach. Starożytni Grecy wierzyli, że obok rodziny bogów na Olimpie istnieją osobiste duchy opiekuńcze, duchy ogniska domowego (które zazwyczaj przybierały kształt węzów), prorocze demony (*daimones*) i pewna grupa duchów świata natury, zwanych nimfami.

W okresie klasycznym do nimf należały driady, które mieszkaly w dębach i żyły tak długo, jak te dające im schronienie drzewa. Przedwczesna śmierć tych ślicznych istot leśnych, następująca przez zniszczenie dębu, posłużyła za temat niejednej wzruszającej opowieści. Grecy widzieli również oready w okolicznych górach, najady w strumieniach i okeanidy w niezliczonych zatoczkach swych wybrzeży.

Potomkowie tych uroczych istot dzielili rozmaite losy. W folklorze greckim czasów nowożytnych przemieniły się one w nereidy: wysokie, jasnowłose, zawołowane kobiety o złośliwym usposobieniu, które kradną ładne dzieci, a podkładają na ich miejsce odmienne lub karzą niemotą tych, którzy je obrażają. Greckie demony połączyły się ze złymi duchami mitologii hebrajskiej, przemieniając się w chrześcijańskie diabły, które zajmowały tak poczesne miejsce w wyobraźni średniowiecznych Europejczyków i umysłach łowców czarownic w XVI i XVII wieku. Inne przedostawały się na północ Europy i zasymilowały z tamtejszymi duchami przyrody, a także rozwinęły w pierwiastki nowoczesnego okultyzmu.

W czasach wczesnochrześcijańskich ojcowie Kościoła nie byli w stanie rozstrzygnąć, czy wszystkie te duchy są aniołami czy diabłami, i czy duchy, podobnie jak śmiertelni ludzie, mogą być dobre, złe lub obojętne. Cyprian uważał, że greckie demony były duchami zepsutymi przez zły przykład ludzi. Origenes pisał, że demony są odpowiedzialne za idee politeistyczne w umysłach ludzi, bo ludzie szczerze wierzą w takie idee. Tertulian głosił pogląd, który stał się oficjalnym poglądem chrześcijańskim, że demony są byłymi aniołami, które nadużyły wolnej woli i stały się z gruntu złe, że naprowadzają ludzki umysł na złe myśli i zwodzą ludzi magią i wyroczniami. Jednakże, zdaniem wszyst-

kich tych wczesnochrześcijańskich duchownych i uczonych, istnienie takich duchów było niewątpliwe.

Nawet w średniowieczu, wbrew oficjalnemu stanowisku Kościoła, uczeni nie mieli pewności, czy wszyscy mieszkańcy Krainy Czarów są źli. W XII wieku William z Conches pisał o dobrych demonach, żyjących w pobliżu Słońca i działających jako posłańcy Boga do ludzi, i demonach złych, przykutych do Ziemi. Świątobliwe demony pojawiają się w wielu średniowiecznych opowieściach. Na przykład, średniowieczny historyk Froissart pisze o przyjaznym demonie Orthonie, który wstąpił w służby barona Raymonda z Corasse. Co noc przynosił swemu panu wieści z całego świata, a baronowa nieprzyzwyczajona to takich niesamowitych gości, chowała się dygocąc ze strachu pod kołdrę.

Inkwizytorzy i łowcy czarownic wieku XIV i następnym akceptowali pogląd Kościoła i w sposób logiczny objęli swą klątwą również i wróżki, które sklasyfikowali jako diabły. W Szkocji w roku 1576 wymuszono torturami z Bessie Dunlop wyznanie, że duch niejakiego Thoma Reida nakłaniał ją, by zamieszkała z nim w Krainie Czarów. Kilka lat później inna Szkotka, Alison Pearson, również poniosła śmierć za towarzyszenie swemu kuzynowi, lekarzowi i okultystyście, do Krainy Czarów, której mieszkańcy najpierw znęcali się nad nią okrutnie, a potem nauczyli ją sztuki leczenia.

Mimo zakazów Kościoła, mimo tortur inkwizycji, wieśniacy europejscy nadal wierzyli we wróżki. Owe wróżki były silniejsze i groźniejsze, niż wymokłe elfy, chochliki i czarownice z nowoczesnych bajek dla dzieci. Europejskie wróżki miały na ogół wzrost i kształty ludzkie, i często były schludnie ubrane w zielone szaty. W oryginalnych baśniach ludowych jest trochę duchów pomocnych, lecz o wiele więcej szkodliwych, jak skandynawskie trolle, szkockie elfy, które uwodzą

dziewice, górskie kelpy w Szkocji, które topią ludzi w rzekach, i niemieckie *Kobolde*, które zawalają górnikom chodniki lub duszą ich trującym gazem.

Jest to całkiem naturalne, bo główną funkcją duchów świata przyrody jest branie na siebie odpowiedzialności za wszelkie kłopoty i nieszczęścia. Gdy człowiek zrani się kosą w nogę, albo syn mu wypadnie z łódki i utonie lub niezamężna córka zajdzie w ciążę, co wówczas powie sąsiadom? Kto zgodzi się przyznać, że był nieostrożny, głupi albo słaby? Ludzie wolą rzucać winę za swoje nieszczęścia na inne istoty, rzeczywiste lub zmyślane, a powodzenie przypisywać własnym nieskazitelnym zaletom.

Pod koniec XVII wieku wiara we wróżki osłabła, podobnie jak osłabły inne wierzenia. Chociaż niektórzy prości ludzie twierdzili, że do zniknięcia wróżek w Europie przyczyniło się rozpowszechnienie nałogu palenia tytoniu, bardziej prawdopodobne jest, iż znikły, dzięki rozpowszechnieniu się edukacji i rozwojowi nauk przyrodniczych.

Nawet dziś wróżki nie znikły jeszcze całkowicie. Żyją nadal w baśniach ludowych ciągle branych na wpeł serio, w poezji, w opowieściach fantastycznych. Uratowali je od całkowitej zagłady na początku XIX wieku Hans Christian Andersen i bracia Grimm, którzy zbierali te nieco makabryczne, ludowe baśnie teutońskie i spisywali je dla dzieci. Pisali oni te bajeczki, być może, jako antidotum na surowe moralistyczne opowieści Johna Bunyana i jemu podobnych, których utwory były jedyną dotychczas istniejącą lekturą dziecięcą. Dzisiaj, w ogromnej literaturze dla dzieci pełno jest istot nadnaturalnych, a matki i psychologowie przestali się martwić o ich wpływ na niedojrzałe umysły.

Mieszkańcy Krainy Czarów odgrywają znaczną rolę w okultyzmie nowoczesnym. Doktryna duchów różnych żywiołów powstała z ukazaniem się *Epinomis*, dzieła przypisywanego przez niektórych Platonowi, które dowodziło, że cztery żywioły: woda, ogień, powietrze i ziemia, mają w Krainie Czarów odpowiednich dla siebie mieszkańców. Stoicki filozof, Posejdonios z Apamei, i ojciec Kościoła, św. Augustyn, rozwinęli tę ideę. Elementalizm właściwy powstał w XVI stuleciu, gdy Paracelsus sklasyfikował istoty nadnaturalne według żywiołów, które one zamieszkują. W dziele *O nimfach, sylfach, pigmejach, salamandrach i innych duchach* pisze, że sylfy, rusałki, salamandry i gnomy zamieszkują, według kolejności, powietrze, wodę, ogień i ziemię.

Według Paracelsusa te długowieczne istoty są pod pewnymi względami duchowe, a pod innymi ludzkie, czyli materialne. Ich ciała są zrobione z najlepszych cząstek odpowiednich żywiołów. Zachowują się, rozumują, jedzą i ubierają bardzo podobnie jak ludzie, ale ponieważ nie posiadają duszy, z chwilą śmierci giną całkowicie. Sylfy są duże i nieokrzesane. Aczkolwiek rodzą się nieme, można je przy pewnym trudzie nauczyć mówić. Rusałki gromadzą się w grotach i jaskiniach. Bogini Wenus też początkowo była rusałką. Salamandry są długie, cienkie i małowówne. Gnomy są małe — mniej więcej na dwie piędzi, przenikają ziemię jak powietrze i strzegą skarbów Ziemi.

Podobnie jak ludzie, niektóre z duchów żywiołów są dobre, inne złe. Ogólnie biorąc są uczciwe i pracowite, jeśli je odpowiednio traktować. Czasami poślubiają śmiertelników, gdyż dzięki sakramentowi małżeństwa zyskują duszę. Syreny, wielkoludy, karły i błędne ogniaki to potwory zrodzone przez duchy żywiołów.

W następnym stuleciu doktryna Paracelsusa o du-

chach żywiołów została adaptowana przez słynnego szarlatana mediolańskiego nazwiskiem Borri w książce *Klucz do gabinetu kawalera Borri*. Wkrótce potem francuski ksiądz katolicki i pisarz, Nicolas Pierre Henri Montfaucon de Villars, popełnił plagiat, kopiując dzieło Borriego w swoim *Le Comte de Gabalis* napisanym w 1670 roku. Villars, mieszkaniec Tuluzy, który przyjął święcenia, ale zarzucił duszpasterstwo na rzecz pisarstwa, zdobył nieśmiertelną sławę literacką, która go przeżyła. *Le Comte de Gabalis* stało się bowiem jednym z najśłynniejszych dzieł w regule okultyzmu.

Książka ta, która mogła być parodią napuszonych romansów bohaterskich, tak popularnych w owych czasach, mówi o tym, jak pewnego razu odwiedził Villarsa niejaki książę Gabalis, mędrzec mówiący po francusku nieco z cudzoziemska, i zaczął mu opowiadać o „świecie kabalistycznym”. Książę zapewnił Villarsa, że jest jednym z mędrców, którzy tak są zaawansowani w sprawach ducha, iż mogą żyć bez jedzenia. Mędrscy ci połączyli swe wysiłki dla ratowania duchów żywiołów przez ich zaślubianie, a tym samym obdarzanie duszą nieśmiertelną.

Gdy poprosił Villarsa, aby ich wspomógł w tym dobrym dziele, ksiądz dał wyraz swemu przerażeniu, ale kontynuował rozmowę w nadziei, że wybije z głowy zwariowanemu księciu te dziwne pomysły. Na resztę książki składa się wykład księcia o duchach żywiołów i o tym, jak je sobie podporządkować. Zapewniał on Villarsa, że na przykład bożek Pan jest starszym sylfów i że wielu legendarnych bohaterów, jak Romulus i Merlin, byli synami duchów żywiołów.

Późniejsi okultyści wzięli satyrę Villarsa poważnie. Nawet dziś posługują się *Le Comte de Gabalis* jako podręcznikiem traktującym o istotach nadnaturalnych i przypisują jego fantazjom znaczenia symboliczne.

Francuski okultysta Lévi opracował zasady kierowania duchami żywiołów i ulepszył modlitwy Villarsa niezbędne do ich wywoływania. Później teozofowie rozbudowali doktrynę o duchach żywiołów, którym to terminem objęli kilka dodatkowych rodzajów istot nadnaturalnych, włącznie z posiadającymi kształty myślnymi i ciałami astralnymi zmarłych osób.

By uprawomocnić swą wiarę w istoty nadnaturalne, nowoczesna magia wyznaje doktrynę o istnieniu kilku „płaszczyzn istnienia”, które zajmują przestrzeń wokół nas, ale ze sobą nie kolidują. Myśl ta została zapoczątkowana jako próba znalezienia miejsca zamieszkania duchów, gdy astronomia eksmitowała niebo z przestworzy, a geologia wygnała piekło z wnętrza Ziemi.

Wiele ludów z okresu przednaukowego wyznaczało różne siedziby bogów, zmarłych i wrózek. Wybierano zwykle miejsca mniej więcej realne: Słońce, Księżyc, jaskinie, góry, odległe kraje. Jednakże nawet u bardzo prostych ludów znajdujemy przebłytki wyobrażenia o wielu płaszczyznach istnienia. Wyobrażenia takie łatwo dostrzec u buddystów i Hindusów, którzy świat widzialny uważają za złudzenie.

W czasie ostatnich dwóch-trzech stuleci idea kilku koegzystujących płaszczyzn przeniknęła do kultów magicznych i opowieści fantastycznych na Zachodzie. W niektórych kultach „wyższe płaszczyzny” bywają często mylone z „wyższymi wymiarami” pseudonaukowych „czterowymiarowców”, co czyni z i tak już powikłanego przedmiotu kompletny chaos.

Nowocześni okultyści interpretują cztery „światy” kabalizmu jako cztery płaszczyzny istnienia. Teozofowie ze zwykłą dla siebie przesadą zwiększyli liczbę płaszczyzn do siedmiu. Według ich rachuby najniższą płaszczyzną jest ta, na której żyjemy. Dalej występuje

„płaszczyzna astralna”, zamieszkiwana przez ciała astralne, które odpłynęły tam od swoich śpiących, poddanych narkozie lub zmarłych właścicieli. Przebywają tutaj również duchy żywiołów, demony, wróżki, inne duchy i formy myślowe. Jasnowidze i teozofowie twierdzą, że są w stanie dostrzec gołym okiem, co się odbywa w płaszczyźnie astralnej. Na wyższych płaszczyznach żyją jakoby jeszcze bardziej zdumiewające istoty.

Ta uroczą myśl o koegzystujących płaszczyznach śmiertelników i istot nadnaturalnych otrzymała od nowoczesnej nauki krótką, stanowczą odprawę. Nauka widzi tylko jedną przestrzeń, przestrzeń wypełnioną elektronami, protonami, neutronami i setką innych subatomowych cząsteczek, które wirują zapamiętałe jak w karnawałowym pochodzie. Ta ruchliwa przestrzeń może transmitować drgania, promienie świetlne i rentgenowskie; może być poddana działaniu pola magnetycznego, grawitacyjnego i elektrostatycznego. Ale nie znaleziono w niej ani śladu duchowych światów. Szkoda, bowiem odkrycie takiego świata byłoby niezbitym dowodem nieśmiertelności, której większość z nas pragnie.

Interesująca próba odrodzenia wiary we wróżki miała miejsce z początkiem naszego stulecia. Sir Arthur Conan Doyle zostawszy zagorzałym spirytystą rozślał sprawę „fotografii z Cottingley”. W swej książce *The Coming of the Fairies (Przyjście wróżek)* twórca przenikliwego Sherlocka Holmesa przejawiał tak niezmierną łatwowierność, że wywołał konsternację nawet wśród niektórych swoich towarzyszy spirytystów.

Sprawa zaczęła się latem 1917 roku, gdy Elsie Wright, szesnastoletnia dziewczynka z Cottingley w Yorkshire, pożyczyła od ojca mały aparat fotograficzny. Następnie udała się ze swą dziesięcioletnią ku-



Ryc. 29. Pierwsza z fotografii z Cottingley, przedstawiająca Frances Griffiths i wróżki.

zynką, Frances Griffiths, do lasu i wkrótce wróciła oświadczając, że sfotografowała kilka wrózek.

Gdy wywołano zdjęcia, okazało się, że przedstawiają małą Frances wyglądającą sponad krzaka, na którym było coś, co wyglądało jak zarys czterech kobiecych postaci. Postacie były na 30 cm wysokie i ubrane w gazowe draperie. Trzy z nich miały motyle skrzydła, czwarta grała na fujarce.

W ciągu kilku następnych miesięcy dziewczynki dostarczyły więcej fotografii. Jedna z nich przedstawiała Elsie, która siedziała na trawie trzymając za rękę gнома, małą brodatą i uskrzydloną figurką w płasach.

Otóż nie ma w tym nic niezwykłego, jeśli dzieci robią takie żarty, nawet w czasach, gdy telewizja nie wprowadziła jeszcze rozkosznych czarownic do każdego domu. Ale dziewczęta z Cottingley nie przyznawały się do żartu. Wkrótce fotografie zwróciły uwagę teozofa Edwarda L. Gardnera, który zapewnił swych towarzyszy okultystów, że są one dowodem istnienia prawdziwych wrózek. Conan Doyle, oczarowany spirytyzmem, opisał całą sprawę i opublikował razem ze zdjęciami.

Conan Doyle był tak naiwny, że nieświadomie popsuł całą sprawę. Opublikował listy ludzi, którzy zwracali uwagę na „sztucznie wyglądającą brzydotę... wrózek z paryskimi fryzurami”. Mimo to nie przestał wierzyć w owe wróżki, nawet kiedy się wydawało, że przynajmniej kilka z nich było wycięte z reklamy producentów świec, Price and Sons.

Zachęczone rozgłosem i doskonałym aparatem, który Gardner pożyczył Elsie, dziewczynki zgromadziły jeszcze więcej fotografii wrózek. Jedna z fotografii została zaopatrzona we wzruszający podpis: „Wróżka ofiarowująca Elsie bukiet dzwonek”. Jednakże w roku 1920, kiedy dziewczęta zostały wyekwipowane w apa-

rat stereoskopowy oraz kamerę filmową, wróżki postanowiły zniknąć — albo problem techniczny poruszania papierowych wróżek przed kamerą w sposób przekonujący okazał się zbyt trudny, nawet dla tak pomysłowych dziewczynek. Conan Doyle jednakże potrafił w swojej naiwności znaleźć zadowalające go wytłumaczenie zniknięcia wróżek. Podczas odwiedzin Frances u kuzynki często padał deszcz. Ponadto, „w Fairy Glen odkryto żyłę węgla kamiennego i cała dolina została poważnie skażona ludzkim magnetyzmem”. Poza tym dziewczęta również się zmieniły „jedna z powodu wejścia w wiek dojrzewania, a druga wskutek pobytu w szkole z internatem” * i przypuszczalnie zatraciły swą duchowość. Proste wyjaśnienie, że dziewczętom znudził się już żart, ale nie mówiły nic, gdyż bały się śmiechności albo nie chciały rozczarować dobrego pana Gardnera, wcale Sir Arthurowi nie przyszło na myśl. W ogóle fotografie wróżek, choćby nie wiadomo jak niezwykle, daleko mniej nas zaskakują niż głęboka wiara Conan Doyle’a w ich prawdziwość. Jego łatwowierność ujawnia zdradziecką moc, jaką na umysł ludzki — nawet człowieka wysoce inteligentnego — może wyrzucić wola wiary.

Widzieliśmy, że wróżki, rusałki, chochliki i duchy-zjawy władały wyobraźnią ludzi wielu ras, narodowości, pokoleń i o różnym poziomie wykształcenia. Niektóre z tych istot zamieszkujących powietrze, ziemię lub morze są otaczane miłością za piękno, urok i pomoc udzielaną ludziom. Inne napełniają niezliczone serca lękiem. Ludzie odważni próbowali przeciągnąć je na swoją służbę w nadziei, że zdobędą złoto

* A. Conan Doyle *The Coming of the Fairies*, Doran, N. York 1921, s. 105.

i klejnoty, miłość i zemstę, zdrowie i szczęście, gdy tylko znajdą złoty klucz do Krainy Czarów.

Jest dwoje drzwi do Krainy Czarów: jedne to transy, mistycyzm i rezygnacja ze zmysłu krytycznego. Mistyk zapewne osiąga chwile ekstazy, krótkotrwałe zelżenie cierpienia i lęku, lecz nie zyskuje ani złota, ani miłości, ani mądrości i ryzykuje popadnięcie w nałóg używania narkotyków oraz rozszczerzenie osobowości. Co gorsza, kiedyś może będzie musiał znieść udrękę łomotania w drzwi Krainy Czarów tylko po to, aby się przekonać, że na zawsze są zamknięte.

Dla nas, którzy kochamy Krainę Czarów za to, czym jest naprawdę — ponadczasowym królestwem umiłowanym przez dzieci, autorów powieści fantastycznych, marzycieli i poetów — istnieje mała boczna furtka w nieprzebytym murze. Kluczem do owej furtki jest zawieszenie na chwilę niewiary, które pozwala nam cieszyć się baśniami i fantazjami, ile dusza zapagnie, abyśmy potem, odświeżeni, mogli powrócić do świata ziemskiego i rozwiązywać swoje problemy zdrowym rozsądkiem, dobrym humorem i zwykłą ciężką pracą.

Mądry wybierze zawsze ową furtkę do Krainy Czarów. Może w ten sposób zachować nienaruszony zmysł krytyczny i szacunek intelektualny dla samego siebie, a to wcale nie są wartości błahe.

Rozdział XI
TAJEMNICZY MAGNES

Poznał kochanek
Sił przyciąganie,
Gdy dość już długo żył,
Ale nie ściągnie
Z magnesu obręcz
Szczerego srebra bryl*.

W. S. Gilbert

Magia jest matką religii. Najwcześniejsi ludzie składali swym bogom ofiary na z grubsza ciosanych kamiennych ołtarzach i zakopywali wraz ze zmarłym jego ulubioną broń i jadło, aby mu dodać otuchy w przyszłym życiu. Czynie tak by przebłągać swych bogów i przodków; wierzyli bowiem szczerze, że swąd palonego mięsa lub duchy ofiar pogrzebowych mogą rozerwać.

„... ten mur,
co dzieli duchy od cielesnych ludzi...”**

W ciągu stuleci powstało wiele religii. Jedne okazują żywotność, bowiem zaspokajają głęboko zakorzenione potrzeby ludzkie. Inne przeżyły okres swojej przydatności i powymierały. Jednak, mimo że wymarły,

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: Gilbert i Sullivan *Patience*, akt II.

** Przekład fragmentu E. Życińskiej z: Tennyson *Merlin and Vivien*, 11. 298 - 299.

wiele głoszonych przez nie dogmatów żyje nadal w zbiorze myśli ludzkiej i czasem przedostaje się do innych dyscyplin.

Niektórzy ludzie zwą te dyscypliny religiami; inni kultami magicznymi. Każdy człowiek musi sam rozstrzygnąć, czy dany system myślowy jest kultem czy religią. Najmądrzejsi ludzie często nie są w stanie dokonać tego rozróżnienia. Każda religia przyjęła jakieś praktyki magiczne, zaś nawet najsłabszy kult proponuje swym wyznawcom jakieś inspirujące nauki. Może decydującym czynnikiem powinno być to, czy dana dyscyplina zaspokaja szeroko rozpowszechnione, długotrwałe potrzeby ludzkie, czy elementy magiczne są podrzędne w stosunku do filozofii dających ludziom wewnętrzną siłę ducha lub czyniących ich życie bardziej znaczącym w ich własnych oczach.

W wielu kulturach i wielu pokoleniach występuje w sposób spontaniczny jedno długowieczne pojęcie magiczne. Jest nim wiara w istnienie niewidzialnej, nieosobowej, nadnaturalnej siły lub fluidu, albo substancji, która jest szeroko rozprzestrzeniona w naturze i którą czarodziej może podporządkować własnym zamierzeniom.

Owa tajemnicza substancja znana jest antropologom jako *mana* — polinezyjskie słowo oznaczające „moc”. Wiara w ten magiczny zasób „mocy” istnieje wśród Indian Dakota i Irokezów, wśród Persów i Arabów, oraz wśród indyjskich filozofów. Znajdziemy ją również w *Starym Testamencie* i w greckiej myśli klasycznej. Jak mityczny feniks, pojęcie magicznego fluidu odrodziło się na nowo w zaraniu naszej cywilizacji, scalilo się z pierwszymi pojęciami o elektryczności oraz magnetyzmie i osiągnęło swój szczyt w teorii Mesmera o „magnetyzmie zwierzęcym”.

W niniejszym rozdziale zobaczymy, jak błędnie pojęcie to było stosowane w ciągu XVIII i XIX wieku w medycynie i jak z tych prób wyłoniła się mimo wszystko technika leczenia. Dla badacza magii bardziej interesujący będzie sposób powstawania całego nowego systemu myślowego — kultu czy religii — opartego na idei, że owa siła magiczna może być wykorzystana przez każdego, kto tylko potrafi.

Trudno to sobie uświadomić, że w naszej cywilizacji jeszcze przed stu laty ludzie nie wiedzieli właściwie nic o przyczynach chorób. Prawdziwi lekarze, mimo swych wysiłków, nie potrafili skuteczniej leczyć chorych niż szarlatani i czarodzieje. Z braku wiedzy medycznej długo utrzymywała się idea, że Wszechświat jest przesycony właściwościami i wpływami magicznymi, które można przenieść z osób szcudrzej w nie wyposażonych na ludzi mniej pod tym względem szczęśliwych.

Rozszerzając prymitywną wiarę, że przywódcy plemion są ludźmi szczególnie obdarzonymi, społeczeństwo klasyczne wpadło na pomysł leczenia dotykiem. Pyrros z Epiru umiał jakoby leczyć śledzienników, dotykając cierpiącego dużym palcem prawej nogi. Podobne cechy były przypisywane takim cesarzom rzymskim, jak Wespazjan i Hadrian.

Wiara ta przyjęła później formę „dotyku królewskiego”, ceremonii, przy której różni królowie Szkocji, Anglii i Francji podejmowali się leczenia skrofulów, czyli gruźlicy węzłów chłonnych szyi. Pepys pisze w swym słynnym *Dzienniku*, że widział tłumy ludzi oczekujących na deszczu na króla Karola II, aby ich dotknął. Zwyczaj ten podupadł za czasów Wilhelma III, króla angielskiego, który dotykając cierpiących

mówił burkliwie: „Niech Bóg da ci zdrowie i więcej rozsądku!” *.

Wiele osób nie królewskiego pochodzenia, również przypisywało sobie zdolności leczenia dotykiem. Niektórzy jakoby nawet wyleczyli pewną liczbę chorych. Jednym z najbardziej popularnych tego rodzaju „lekarzy” był Valentine Greatrakes (1629 - 1683) z Cork w Irlandii. Greatrakesowi, który w młodości pomagał przy badaniu jakiejś czarownicy klując ją sztydłem, przyśniło się, że potrafi leczyć wole dotykiem rąk. Choć żona nazwała go głupcem, wytrwał w swoim przekonaniu i wkrótce podobno wyleczył skrofule sąsiada głaskaniem i modłami. Rozszerzył tę metodę na inne choroby i z czasem przyjechał do Anglii, sprawdzony przez jakiegoś szlachcica, którego żona cierpiała na bóle głowy. Nie zdołał wyleczyć owej damy, ale zyskał olbrzymią praktykę w Londynie. Nie pobierał żadnych opłat, wypędzał złe duchy prostymi egzorcyzmami, nie przyjmował pacjentów zdecydowanie nieuleczalnych, a leczył za pomocą następującej formułki: „Niech Bóg Wszchemogący uzdrowi cię przez swoje miłosierdzie” **.

Istnieje wiele opowieści o takich lekarzach, którzy przychodzą nie wiadomo skąd, zyskują ogromną liczbę pacjentów, zdobywają ogólny poklask i znów znikają. Jednym z nich, którego dziwaczne metody są wątpliwe, lecz imię nigdy nie będzie zapomniane, jest Franz Anton Mesmer.

Wpływ magii na umysł ludzki jest tak silny, że jej zasady koegzystują z późniejszymi odkryciami nauko-

* M. Goldsmith *Franz Anton Mesmer*, Doubleday, Doran, Garden City, N. York 1934, s. 16.

** Tamże.

wymi. Często nawet owe późniejsze odkrycia są skrzątnie przechwytywane przez współczesnych czarowników i wcielane do ich pseudonaukowych zasad. Dochodzi do tego, że te dwa zespoły pojęć są tak przemieszane w umyśle przeciętnego człowieka, iż nie jest on w stanie rozróżnić, które składniki należą do magii, a które do nauki.

Starożytni Grecy znali właściwości przyciągania, zarówno magnetytu, jak i mocno popartego o materiał bursztynu. Poza tym nie wiedzieli niczego o zjawiskach elektrycznych. Nowoczesne badania naukowe nad elektrycznością i magnetyzmem zapoczątkował William Gilbert (1540 - 1603), który nie tylko wynalazł słowo „elektryczność”, lecz również dokonał ważnych odkryć jej tajemniczych właściwości. Czarodzieje i ludzie leczący wiarą bezzwłocznie dołączyli te nowe odkrycia naukowe do swoich dawno powstałych wierzeń w uniwersalny fluid magiczny i w ten sposób zyskali jeszcze większy wpływ na ludzi łatwowiernych.

Franz Anton Mesmer (1734 - 1815) usiłował złączyć dawną wiedzę z nowoczesną nauką. Po studiach w Bawarii i Austrii uzyskał dyplom lekarza na Uniwersytecie w Wiedniu mając lat trzydzieści jeden. Jego rozprawa doktorska pt. *Wpływ planet na ciało ludzkie* była oparta na przestarzałej idei, że wszystkie części Wszechświata przenika jakiś niewidzialny fluid pokrewny magnetyzmowi, że wszystkie planety oddziałują zatem na zdrowie ludzkie i że za pomocą magnetyzmu można leczyć.

Przez pięć lat Mesmer, wysoki, silny, dość przystojny mężczyzna o spokojnym, zrównoważonym sposobie bycia, prowadził monotonną praktykę lekarską w Wiedniu. Kochał muzykę i był na swój nieco ociężały sposób towarzyski. Ożenił się z bogatą wdową,



Ryc. 30. Franz Anton Mesmer, twórca teorii „magnetyzmu zwierzęcego”, czyli fluidyzmu.

starszą od siebie o lat dziesięć, ale małżeństwo nie okazało się szczęśliwe. Kiedy opuścił Wiedeń, rozstał się z żoną na zawsze.

Mesmer dość wcześnie zaczął się interesować leczeniem wiarą i magnetyzmem. Właśnie niedawno Anglik, John Canton, wynalazł sztukę robienia sztucznych magnesów trwałych. Na Uniwersytecie w Wiedniu Mesmer znalazł się pod wpływem ojca Maximiliana Hella, jednego z dworskich astrologów cesarzowej Ma-

rii Teresy. Hell eksperymentował z nowo wynalezionymi magnesami i kilka z nich pożyczył młodemu lekarzowi Mesmerowi, by wypróbować ich właściwości lecznicze. Gdy Mesmer doniósł mu, że próba się powiodła, Hell opublikował rezultaty jako swoje własne. Wzburzony Mesmer pokłócił się z Hellem i rozpoczął własną karierę leczenia magnetycznego.

Któregoś dnia, lecząc pewną młodą damę cierpiącą na konwulsje, Mesmer stwierdził, że osiąga równie dobre rezultaty machając pustymi rękami, jak i przy machaniu magnesami. Nie dostrzegając prawdziwej przyczyny tego faktu — wiary młodej damy w swojego lekarza — wywnioskował, że jego dłonie są w jakiś sposób namagnesowane. W ten sposób powstała teoria „magnetyzmu zwierzęcego”. Mesmer sądził, że ów magnetyzm zwierzęcy wypełnia wszystkie tkanki zwierzęce i oddziałuje na nie tak samo, jak zwykły magnetyzm. Wierzył, że głaszcząc pacjenta albo machając nad nim dłońmi może kierować uzdrawiające prądy tego nadnaturalnego fluidu na pacjenta.

W 1777 roku, po przesłuchaniu przez komisję podejrzliwych i zazdrosnych lekarzy wiedeńskich, Mesmer został pozbawiony prawa praktyki lekarskiej. Ogromnie rozżalony przeniósł się do Paryża, gdzie stworzył słynny ośrodek leczniczy.

Salon Mesmera był słabo oświetlonym pokojem wyłożonym lustrami. W środku stał jego słynny *bacquet* — drewniany cebrzyk z butelkami napełnionymi opilkami żelaza, sproszkowanym szkłem i „namagnesowaną” wodą. Balia była przykryta pokrywą, z której wystawały żelazne pręty, przykładane przez pacjentów do obolałych części ciała.

Większość pacjentów stanowiły kobiety, a leczenie odbywało się grupowo. Podczas każdego posiedzenia przystojni asystenci Mesmera głaskali pacjentki i uci-



Ryc. 31. Baquet Mesmera oraz pacjenci w konwulsjach.

skali im piersi. W końcu pojawiał się sam Mesmer, odziany w purpurową szatę jedwabną z wyhaftowanymi złotymi kwiatami, by osobiście dopilnować „kryzysu magnetycznego”. Ów kryzys, podczas którego wiele pacjentek pojękiwało i miało drgawki, miał być jakoby nieodzowny do osiągnięcia pomyślnych wyników leczenia.

Chociaż pieniądze płynęły do niego jak rzeka, celem Mesmera nie było zrobienie majątku, lecz zaakceptowanie jego metody przez świat lekarski. Jednak lekarze paryscy, poza jednym wyjątkiem, byli równie wrogo do niego ustosunkowani, jak lekarze w Wiedniu, i to nie bez powodu; bowiem metody Mesmera przypominały im dawnych czarodziejów. By zyskać uznanie, Mesmer przedłożył Francuskiej Akademii Nauk memorandum złożone z dwudziestu siedmiu punktów, w którym przedstawił niejasno sformułowaną ideę, że magnetyzm zwierzęcy może mieć zastosowanie do celów leczniczych. Gdy Akademia nie przyjęła jego propozycji wygłoszenia referatu, żądając natomiast zademonstrowania nowego środka leczniczego, Mesmer, który nie miał pojęcia o nowoczesnym dowodzie naukowym, z oburzeniem odrzucił tę propozycję.

Napisał też do nowo utworzonego Królewskiego Towarzystwa Wiedzy Medycznej, lecz ono również postawiło tak surowe warunki przeprowadzenia próby jego metody, że Mesmer także się nie zgodził. W końcu poprosił Marię Antoninę o pensję rządową w zamian za korzyści, jakie przyniósł jej krajowi. Królowa wymogła od rządu, aby zaproponował Mesmerowi 30 tysięcy franków rocznie jako wynagrodzenie za nauczanie studentów wybranych przez dworskich urzędników. Mesmer wyniosłe zażądał pół miliona. Wobec takiego obrotu sprawy rząd przestał interesować się

jego propozycją i w końcu Mesmer nie otrzymał żadnej pensji.

Drażliwa natura Mesmera zraziła do niego jedyne go lekarza francuskiego, który był jego uczniem. Doktor d'Elson, lekarz osobisty brata królewskiego, został za stosowanie metody Mesmera pozbawiony prawa praktyki lekarskiej. Kiedy rozpoczął własną praktykę leczenia magnetyzmem, zazdrosny Mesmer założył konkurencyjne towarzystwo, pragnąc przyciągnąć pacjentów d'Elsona, którzy zostawszy członkami towarzystwa płacili 100 ludwików w złocie od osoby, by poznać tajemne teorie Mesmera oraz jego metodę leczenia.

W 1784 roku rząd francuski powołał dwie komisje, w celu zbadania sprawy Mesmera. Prace tych komisji w dużym stopniu pokrywały się; złożyły one również bardzo podobne raporty, mniej więcej w tym samym czasie. Komisja Akademii Nauk zdobyła sobie większe uznanie niż Komisja Wydziału Lekarskiego, bowiem wśród jej członków znaleźli się tak słynni uczeni, jak Benjamin Franklin i chemik Antoine Laurent Lavoisier.

Ponieważ Mesmer odmówił wystąpienia przed komisją, zbadala ona pacjentów d'Elsona. Rozważyła możliwości magnetyzmu zwierzęcego, ale dość niesłusznie wyłączyła wszelkie inne aspekty zagadnienia. Członkowie komisji poprawnie wywnioskowali, „że człowiek może działać na innego człowieka zawsze i w dowolny sposób przez odwoływanie się do jego wyobraźni; że najprostsze gesty i znaki mogą wywołać bardzo silne skutki; i że to oddziaływanie na ludzką wyobraźnię może być doprowadzone do sztuki i wykonywane na osobnikach wierzących” *.

* G. M. Hort, R. B. Ince i W. P. Swainson *Three Famous Occultists* J.w., s. 107.



Ryc. 32. Mesmer leczący swoich pacjentów.

Chociaż komisja zawyrokowała, że magnetyzm zwierzęcy nie istnieje, jeden z jej członków, doktor de Jussieu, złożył od siebie dodatkowy raport, że mimo wszystko owa metoda posiada pewne właściwości lecznicze, zasługujące na dalsze zbadanie. Oba raporty były słuszne. Nie ma fluidu ani substancji leczniczej, którą można przenieść z jednego człowieka na drugiego; jednakże Mesmer natknął się niechcący na coś, co odgrywa w medycynie znaczną rolę: zjawisko hipnotyzmu.

Bardzo niedobrze się stało, że ci wybitni uczeni zamknęli oczy na ów fakt i postanowili nie podejmować dalszych badań. Niestety, aby przyjąć wszystkie mądre odkrycia, nie dając się przy tym zwieść różnym szarlatanstwom i błędom, trzeba wyższego stopnia wnikliwości, niż to się na ogół spotyka u ludzi. Zarówno łatwowierność, jak i sceptycyzm są przydatne wtedy, i tylko wtedy, gdy je stosować z umiarkowaniem. Zbyt skwapliwe przyjmowanie nowych idei jest tak samo nierozsądne, jak zbyt pochopne ich lekceważenie. Dla ilustracji: w 1826 roku inna komisja zbadała tę samą koncepcję uniwersalnego fluidu nadnaturalnego, który ludzkość mogłaby dowolnie wykorzystywać. Członkowie komisji okazali się tak pozbawieni uprzedzeń, że zaakceptowali całą starą teorię fluidystyczną, pomimo wszystkich odkryć naukowych świadczących przeciw niej.

Raport Komisji Akademii Nauk zniszczył prestiż Mesmera, który wprawdzie zachował dość sporą praktykę lekarską, lecz został publicznie wydrwiony. Krytyka ta rozgoryczyła Mesmera. Nie skłoniła go jednak do ponownego rozważenia swej teorii, co umożliwiłoby szybsze uznanie przypadkowo odkrytego hipnotyzmu za cenną metodę leczniczą, jaką jest w istocie. Tak silna była jego wiara w magnetyzm zwierzęcy, że nie mógł jej podkopać żaden dowód.

Z chwilą wybuchu francuskiej rewolucji, Mesmer musiał uciekać z kraju, ponieważ jego klientela rekrutowała się głównie ze znieawidzonej arystokracji. Po krótkotrwałej tułaczce osiadł w Szwajcarii. Tutaj żył spokojnie ponad dwadzieścia lat z niewielkiej pensji przyznanej mu przez porewolucyjny rząd francuski i stosował swój system lecząc wieśniaków.

Z całą pewnością Mesmer wierzył w swoją teorię magnetyzmu zwierzęcego do samej śmierci. Pragnął okiełznać jakąś siłę dla dobra ludzkości i przez to zasługuje na uznanie. Jednakże siły tej szukał w przestarzałych koncepcjach, opartych na magii, a nie na nauce, i nie chciał uznać prawdziwej siły, którą miał w swych rękach, siły hipnozy. Mesmer był bardzo bliiski stania się wielkim człowiekiem. Wziąwszy jednak pod uwagę jego drażliwość, jego teatralny *bacquet* i purpurowe szaty, oraz dumne żądania dowodów uznania, trzeba go zaklasyfikować raczej do efekciarzy i propagandystów, niż do naukowców.

Po Mesmerze szkoła magnetyzmu zwierzęcego rozwinęła się w kilku kierunkach. Jeden z uczniów Mesmera, markiz de Puységur, zaczął wraz z bratem uprawiać leczenie magnetyzmem w swoim majątku koło Soissons. W miejsce *bacquet* bracia użyli „namagnesowanego” wiązu z przywiązanymi do gałęzi sznurami, które trzymali pacjenci. Puységurówie zauważyli, że niektórzy z ich pacjentów zapadali w „sen” lub trans. Jeżeli w tym czasie mówili pacjentom, że wyzdrowieją, ich stan znacznie się polepszał. Bracia nazwali ów stan „sommambulizmem”, lub sztucznie wywołanym lunatyzmem. Kiedy ich pierwszy zahipnotyzowany pacjent stwierdził, że podczas transów widzi „wnętrze rzeczy”, markiz zaczął się nim posługiwać do rozpoznawania chorób innych pacjentów.

W ten sposób powstała wiara w rozpoznawanie cho-

rób drogą jasnowidztwa. Owe diagnozy czynione przez somnambulików — osoby w transie hipnotycznym — były na ogół absurdalne. Wyobrażali sobie oni nieistniejące wrzody i kanały, którymi ropa z tych wrzodów miała się wylewać. Kiedyś taki diagnosta dostrzegł ropień dłoni, który miał się jego zdaniem wylać uchem.

Diagnostyka za pomocą jasnowidztwa kwitła w pierwszej połowie XIX wieku i jest w pewnym stopniu uprawiana jeszcze dziś. Najślynniejszym z niedawnych tego typu diagnostyków w Stanach Zjednoczonych był Edgar Cayce* (1877 - 1945). Cayce był prostym, pobożnym, nieco nieśmiałym fotografem ze stanu Kentucky, który bardzo wcześnie zaczął przejawiać zdolność popadania w trans. Podczas swoich transów Cayce zalecał stosowanie rozmaitych leków, włącznie ze środkami farmaceutycznymi i kręgarstwem, ale wystrzegał się pilnie naruszenia praw dotyczących uprawiania nielegalnej praktyki lekarskiej. Jego zalecenia były bardzo proste, a ulubionym lekiem było stosowanie „okładów olejnych”. Niektórzy z jego pacjentów, wśród nich ludzie o znacznej inteligencji, przysięgali, że ocalił im życie lub odkrył dolegliwości przeoczone przy zastosowaniu normalnych metod diagnozy lekarskiej, nawet podczas prześwietleń rentgenologicznych. Niestety, takie anegdotyczne świadectwa nie mogą być dowodem istnienia lub nieistnienia uzdolnień jakiegoś człowieka.

W późniejszych latach Cayce poświęcił się pracy nad zagadnieniami z dziedziny psychologii oraz ufundował szpital i uniwersytet, który miał głosić jego naukę i przyczyniać się do praktycznego zastosowania jego idei. Będąc sam człowiekiem nie posiadającym żadnego wykształcenia i jedynie powierzchowną zna-

* Pisane także: Casey.

jomość nowoczesnego okultyzmu, wierząc w reinkarnację dusz, Atlantyde, piramidologię i ośmiowymiarowy świat, obsadził obie instytucje ludźmi wątpliwych walorów moralnych. Nic więc dziwnego, że instytucje te wkrótce popadły w trudności finansowe.

Mesmeryzm szybko przeniósł się z kontynentu europejskiego do Anglii i Ameryki. W roku 1838 francuski magnetysta, Poyen, jeździł po Nowej Anglii wykładając mesmeryzm i w ten sposób posiał ziarno idei leczenia wiarą. Ci nowi „lekarze” byli zazwyczaj ludźmi o niewielkim wykształceniu, wbrew swoim pretensjom do naukowości, a wielu z nich tytułowało się „elektrobiologami”.

Po 1850 roku zainteresowanie mesmeryzmem osłabło. Wielu ze zwolenników Mesmera, mających większe skłonności do magii, zostało wchłoniętych przez ruch spirytystyczny; inni o skłonnościach naukowych, zajęli się hipnotyzmem. Aczkolwiek owe praktyki mesmerowskie na ogół zanikły i zostało dowiedzione, że magnes nie wywiera żadnego dostrzegalnego wpływu na żywą materię, zdarza się jeszcze czasami jakiś szarlatan, który wykorzystuje rzekome własności terapeutyczne tajemniczego magnesu.

Jednym z takich szarlatanów był pośrednik od kupna i sprzedaży nieruchomości, Gaylord Wilshire. Rozkwit działalności Wilshire'a przypadł na lata dwudzieste XX wieku i właśnie od jego imienia pochodzi nazwa Wilshire Boulevard w Los Angeles. Ten niewysoki mężczyzna z bokobrodami rozpoczął swą karierę od sprzedaży akcji nieistniejącej kopalni złota. Następnie wprowadził na rynek „pasy magnetyczne”, po 55 dolarów sztuka, zwane „Ionaco”, które, jak twierdził, zdolne są wyleczyć wszelkie choroby, powodując krążenie prądu elektrycznego wokół pasa pacjenta.

Można by z równym powodzeniem usiłować podnieść magnesem listek szpinaku (który zawiera sporo żelaza), co „namagnesować żelazo we krwi” z pomocą pasa Wilshire'a. Tym niemniej człowiek ten stale i nieodmiennie napawał czią przyszłych klientów dokonując demonstracji, w czasie których machał żarówką od latarki koło pasa. Kiedy żarówka zapalała się, Wilshire mówił: „Skoro ten pas sprawił, że zabłysło w żarówce światło, niechże więc sprawi, żeby rozbłysło w was życie”.

W tej imponującej demonstracji nie było nic tajemniczego — odbywała się ona na zasadzie indukcji elektromagnetycznej, za pomocą której działa transformator prądu zmiennego. Niestety jednak, indukcja ta nie zachodzi w przypadku prądu stałego, a właśnie pewnego razu Wilshire wygłosił pogadankę w sali Filharmonii Los Angeles, która miała własną siłownię prądu stałego. Żarówka nie chciała się zapalić, słuchacze rozeszli się parszkając, a czerwony ze wstydu Wilshire pospiesznie dostarczył na rynek nowy pas, przystosowany do prądu stałego.

Zwolennicy Mesmera byli tak zaprzątnięci swoimi teoriami o nadprzyrodzonych siłach „magnetycznych”, że zignorowali prawdziwe odkrycie, którego dokonał Mesmer. Medycyna okazała się równie powolna w docenieniu znaczenia hipnotyzmu, a to z powodu jego dawnych pseudonaukowych powiązań. Wreszcie, w latach czterdziestych XIX wieku dokonano w Anglii kilku udanych operacji na pacjentach wprowadzonych w stan hipnozy. Jeszcze więcej takich operacji zrobiono w Kalkucie. Nawet wówczas niedowierzający lekarze twierdzili, że zahipnotyzowani pacjenci tylko udają, że nie czują bólu.

Człowiekiem, który uczynił najwięcej dla wyświe-

tlenia tajemnicy hipnozy, był James Braid, lekarz szkocki praktykujący w Manchesterze. W 1841 roku zainteresował się mesmeryzmem, przestudiował to zagadnienie i wywnioskował, że trans hipnotyczny jest określonym stanem umysłowym. Stwierdził, że stan ten można wywołać u wielu ludzi, a niektórych można z łatwością wprowadzić w trans za pomocą tak prostych metod, jak wpatrywanie się w świecący przedmiot; że pacjenci w stanie hipnozy są niezwykle podatni na sugestie i dzięki sugestii mogą ulec wyleczeniu z niektórych chorób o pochodzeniu nerwowym; a także, że magnesy, ruchy dłoni, tajemnicze fluidy i jasnowidztwo nie mają nic wspólnego z wywoływaniem tego stanu.

Braid, który wymyślił słowo „hipnotyzm”, długo czekał na uznanie dla swych pilnych studiów i słusznych konkluzji. Częściowo z powodu niepopularności tematu wśród lekarzy, częściowo zaś dlatego, że Braid zachwiał własną reputację traktując poważnie pseudonaukową frenologię*; Braid był już w podeszłym wieku, gdy dwaj wielcy lekarze i psychologowie francuscy, Liébault i Bernheim, omówili jego wnioski i dali hipnotyzmowi należne mu miejsce w nauce.

Obecnie stan transu hipnotycznego został już dostatecznie zrozumiany. Metody jego wywoływania oraz szereg rzeczy, które można dzięki niemu osiągnąć, doczekały się naukowego opracowania. Jest on pomocny w psychologicznych badaniach osobowości; bywa czasami cenny przy operacjach chirurgicznych. Mniej

* Frenologia — teoria stworzona w 1790 roku przez austriackich neurologów F. J. Gall'a i K. Spurzheima, głosząca, że o zdolnościach umysłowych i właściwościach psychicznych człowieka można wnioskować na podstawie ukształtowania jego czaszki — wyniosłości, guzów i wklęsłości.

więcej 1 osoba na 5 jest podatna na hipnozę. Hipnoza jest szczególnie skuteczna w przypadkach somnambulizmu i hysterii, bez względu na nastawienie psychiczne pacjenta do tego zagadnienia, jego stopień inteligencji i płeć. Jednakże pacjent nie pozostaje w transie bez końca, jeśli hipnotyzer pozostawi go samemu sobie.

Sprawa hipnozy nie jest jeszcze całkowicie zbadana. Ciągłe nie wiemy, czy człowiek poddany hipnozie może popełnić czyn moralnie odrażający; czy jego zmysły są w transie wyostrzone; czy hipnoza jest dla człowieka szkodliwa; czy hipnotyzer może zahipnotyzować cały tłum ludzi; poprzez „zbiorową hipnozę”; i czy hipnoza zachodzi jako rezultat rozszczepienia osobowości, czy też odruchu warunkowego. Tym niemniej, dzięki swym usiłowaniom okiełznania nieistniejącej siły, Mesmer nieświadomie dał potomnym cenną technikę leczenia.

Ta sama dawna wiara w jakiś nadnaturalny fluid czy moc, która zwiódła Antona Mesmera i jego zwolenników, spowodowała powstanie stowarzyszenia religijnego Christian Science (Wiedza Chrześcijańska). Ta religia czy kult, zależnie od punktu widzenia — powstała w Ameryce pod koniec XIX wieku. Dzisiaj liczy jakoby od ćwierć do pół miliona wyznawców, z których wielu należy do ludzi dobrze sytuowanych o conajmniej średnim wykształceniu*.

Christian Science opiera się na przesłance, że Wszechświat przenika jakaś niewidzialna siła, z której wyznawca może czerpać ogromną moc. Jeśli tylko posiada dość silną wiarę, może zaczerpnąć dostateczną

* Jest to ocena ogólna, bowiem stowarzyszenie nie wymaga żadnego cenzusu.

moc, by zwalczyć każdą chorobę. Członkowie Christian Science utrzymują, że dzięki Chrystusowi Wielkiemu Uczonemu wyszkolony umysł może egzorcyzmować zarazki, wirusy, a nawet owe niepohamowane rozmnożenie się komórek, zwane rakiem.

Koncepcja ta jest frapująca, że ludzie nie wtajemniczeni z pewnością postawią pytanie, jaki jest stopień naukowości poglądów, głoszonych przez Christian Science. Uważny czytelnik potrafi sam sobie odpowiedzieć, poznawszy historię ruchu i rozważywszy wynikające stąd wnioski. Ruch został zapoczątkowany, gdy w roku 1838 pewien mesmerysta wykładający w Belfast, w stanie Maine, miał trudności z wywołaniem stanu hipnotycznego. Oświadczył wówczas, że w dokonaniu demonstracji przeszkadza ktoś ze słuchaczy emitując prądy psychiczne i zaproponował, by osoba ta zgłosiła się do niego po wykładzie. Po zakończonym wykładzie do mesmerysty zgłosił się drobny mężczyzna z baczkami, trzydziestosześcioletni zegarmistrz, nazwiskiem Phineas Parkhurst Quimby.

Quimby był pogodnym, lubiącym dyskutować, pomysłowym człowiekiem, który wynalazł piłę taśmową, ale poza swoim fachem nie miał wykształcenia. Po historycznej rozmowie z mesmerystą stwierdził, że potrafi zahipnotyzować swego młodego znajomego Luciusa Burkmara. Wkrótce wyczyny Quimby'ego i Burkmara stały się tak sławne w stanie Maine, że pewien mesmerysta, nazwiskiem Dods, zaangażował Burkmara do współpracy. Dods posługiwał się Burkmarem (w transie hipnotycznym) do rozpoznawania chorób łatwowernej klienteli, której ów młodzieniec przepisywał leki wymyślone przez Dodsę.

Niebawem Quimby przekonał się, że patrafi naśladować poczynania Dodsę. Kiedy za namową Quimby'ego, wprowadzony w trans Burkmær przepisał

w miejsce leków Dodsza zwykle zioła, kuracja okazała się równie skuteczna. Fakt ten przekonał Quimby'ego, że osiągnięcia mesmerystów były rezultatem sugestii psychicznej, a nie zmian fizjologicznych wywołanych działaniem leków. Następnie wywnioskował, że wszelkie choroby mają swe źródło w psychice człowieka i mogą być wyleczone w podobny sposób. Przeniósł się zatem do Portland, w stanie Maine, aby leczyć ludzi sugestią połączoną z masażem.

Według doktryny Quimby'ego duch jest wszystkim. Materia to tylko prostactwo albo niższy gatunek ducha, pozostający we władaniu wiary. Zatem „człowiek uczony” może siłą ducha kierować procesami fizycznymi. Quimby wierzył, że samą siłą woli może wznieść się na Księżyc i powrócić z prędkością większą od światła i jak jasnowidz przenikać wzrokiem ciała innych ludzi. Nazywał swój system filozoficzny „wiedzą zdrowia”, „wiedzą Chrystusową”, a czasem „wiedzą chrześcijańską”, aczkolwiek określenia te mogły nie być ukute przez niego samego.

Quimby sądził, że odkrył tajemnicę cudów *Nowego Testamentu*. Usiłował rozgłosić to objawienie spisując swoje myśli w dziesięciu tomach rękopisu i prosząc niektórych pacjentów, aby zapoznawali z jego systemem innych ludzi. Podobnie jak Mesmer, Quimby był człowiekiem znacznej inteligencji i silnego charakteru, ale nie został wybitnym naukowcem, ponieważ miał słabość do przypisywania magicznego sensu czynnikom naturalnym i nie miał pojęcia o żmudnej metodzie naukowej ani cierpliwości do niej.

Brak wykształcenia Quimby'ego i chaos myślowy znajdują wyraz w jego omówieniu znaczenia „wiary” podczas zapalenia oskrzeli:

„Człowiek słucha, czyli pożywia się tą wiarą lub mądrością tak, jakby się pożywiał jedząc posiłki. Tymczasem ona osiada

ciężko na jego żołądku, to z kolei pobudza błąd, czyli ciało, i na niebie pojawia się chmura... Elementy ciała ludzkiej wiary zostają wstrząśnięte, ziemia rozpala się od ognia błędu, powstaje żar, niebios, czyli duch okrywa mrok; błyskawica żaru wystrzela na wszystkie strony układu słonecznego wiary człowieka” *.

Chociaż podobne wycpiny są w sposób oczywisty dziełem człowieka małej wiedzy i jeszcze mniejszego wykształcenia, w takich systemach, jak system Quimby'ego te niezrozumiałości są rzeczą cenną. Apelują do potrzeby tajemniczości, tak żywej u ludzi, dla których uporządkowane i zrozumiałe przedstawienie tych samych myśli byłoby nużące. Mimo, że pisma Quimby'ego pozostały w rękopisie aż do 1921 roku, jego sława w Nowej Anglii ciągle rosła.

W roku 1862 Quimby zyskał najważniejszego dla siebie pacjenta panią Mary B. Patterson, znaną później jako Mary Baker Eddy. Była ona wówczas żoną dentysty, który przebywając dla załatwienia jakichś interesów w Waszyngtonie nieopatrznie pojechał przyrzeć się bitwie pod Bull Run i, mimo iż był cywilem, został schwytany przez kawalerię Stuarta i odstawiony do konfederackiego więzienia.

Pani Patterson była w owym czasie kobietą czterdziestokilkoletnią, drobną, o afektywnym sposobie bycia i donośnym głosem, i miała wielki nos, jaki ludzie grzecznie nazywają: „arystokratycznym”. Była histeryczką, która musiała sporą część życia przeleżeć w łóżku z powodu nerwicowych bólów w krzyżu. Mary Ann Morse Baker, bo tak brzmiało jej panięńskie nazwisko, wychowywała się na wsi w New Hampshire pod okiem despotycznego ojca, przed którym używała

* W. H. Dresser (wyd.) *The Quimby Manuscripts*, Crowell, N. Jork 1921, s. 112.

swej choroby jako tarczy, i po którym odziedziczyła nienormalny egotyzm, upór i żyłkę do interesów.

Jako panna była pogodna, gadatliwa i dość ładna. W 1843 roku wyszła zamąż za przedsiębiorcę budowlanego z Bostonu, George'a W. Glovera, który ją zabrał do Charlestonu w Południowej Karolinie, gdzie wkrótce zachorował i umarł. Mary wróciła do ojca i urodziła pogrobowca. Ponieważ przez wiele miesięcy była bardzo chora, dziecko wychowywało się u obcych ludzi. Z tego powodu nigdy nie miała dla swego syna ciepłych matczynych uczuć. Z czasem przybrani rodzice zabrali chłopca na zachód i odtąd nie widział matki przez trzydzieści lat. Chociaż czasami korespondowali z sobą, George Glover musiał przy pisaniu korzystać z cudzej pomocy, był bowiem niepiśmiennym górnikiem.

Przez kilka pierwszych lat Mary Baker Glover parała się spirytyzmem, który później potępiła. Co do bólów w krzyżu, próbowała je leczyć u mesmerysty, a leczący ją prawdziwy lekarz zaczął jej dawać morfinę. W owych czasach lekarze stosowali alkaloidy, opium ze szczodrością, na widok której włosy stanęłyby na głowie dzisiejszemu lekarzowi i, nieświadomi niebezpieczeństwa, z niejednego pacjenta uczynili narkomana. Aczkolwiek Mary Baker zażywała morfinę aż do końca życia, niesłuszne byłoby ją nazwać narkomanką w zwykłym znaczeniu tego słowa. Używanie przez nią narkotyków było długi czas przedmiotem kontrowersji. Wreszcie, w 1929 roku jej kościół macierzysty przyznał z niechęcią, że jego przywódczyni istotnie używała „kilkakrotnie środka znieczulającego, dla uzyskania chwilowej ulgi w straszliwych cierpieniach” *.

* „Christian Science Sentinel”, 26 styczeń 1929; cyt. wg: A. K. Swihart *Since Mrs. Eddy*, Holt, N. York 1931, s. 313.

W latach czterdziestych XIX wieku Mary Baker pisywała artykuły i wiersze do dzienników w Nowej Anglii i po raz pierwszy zabłysnęła swym niezwykłym stylem. Aczkolwiek później gwałtownie występowała przeciwko tajnym stowarzyszeniom, w tym okresie wystąpiła kiedyś w obronie Odd Fellows* następującymi słowami:

„Możeż to być, aby dobroczynne łono którejkolwiek z pięknych cór Ewy przeniknęło uczucie przeciwne najlepszym interesom jej płci — pomnażania instytucji dobroczynnych — dlatego tylko, że są tajne? Nawet jeżeli są takie, jeśli istotnie istnieją, ufamy, że drogi wiodące do rozsądku oraz uczuć, aczkolwiek wyziębłe, nie całkiem zamarzyły w lodowych więzach poglądów spekulatywnych lub jeszcze mroźniejszych lodowcach powszechnej podejrzliwości, odcinając je skutecznie od szczerego słońca prawdy — rozsądku bliźniaczej siostry”**.

Oto typowe dla niej uciekanie się do uczuć pod pokrywką niby rzeczowej argumentacji, nic nie znaczących frazesów, parady ekstrawaganckich słów i niejasności, których kulminacyjnym punktem jest fantastycznie zagmatwana metafora o zamknięciu drogi do bliźniaczej siostry więzami lodowymi. Ten jej potworny styl nigdy się nie poprawił. Jeżeli książka *Science and Health (Wiedza i zdrowie)* jest napisana lepszym językiem, to jest to tylko zasługą opracowania redakcyjnego Wigginsa.

W 1853 roku owdowiała Mary Baker Glover leczyła sobie zęby u wędrownego dentysty, Daniela Pattersona, hałaśliwego bufona, wielkiego rozpustnika, krzykliwie się ubierającego. Patterson próbował wyleczyć pacjentkę ziołami, a w końcu ożenił się z nią. Jednak-

* Związek wzorujący się w obrzędach na masonach (przyp. red. pol.).

** „Covenant” z listopada 1846; cyt. wg: E. S. Bates i J. V. Dittmore *Mary Baker Eddy (The Truth and the Tradition)*, Knoff, N. Jork 1932, s. 43.



Ryc. 33. Mary Baker Eddy, założycielka stowarzyszenia religijnego Christian Science.

że małżeństwo nie wpłynęło na stan jej zdrowia. Nie posłużyło dobrze obojgu członkom tego niedobranego stała.

Mary Baker Patterson została zaprowadzona przed oblicze uzdrowiciela Quimby'ego przez jego najbliż-

szego ucznia, Juliusa Dressera, niegdyś studenta teologii, który żywił przekonanie, że Quimby wyleczył go z „pneumonii tyfoidalnej”. Mary spędziła wiele dni na rozmowach z Quimby'm i czytaniu jego rękopisów. Potem wróciła do domu, do doktora Pattersona, który tymczasem uciekł z więzienia konfederackiego klasyczną metodą spuszczać się z okna w ciemną i burzliwą noc po związanych prześcieradłach. Wkrótce dentysta stwierdził, że jego dom jest również więzieniem. Opuścił więc żonę oświadczając, że „nie może dłużej tego znieść”. Mary przeprowadziła rozwód i powróciła do nazwiska Glover.

Pani Glover (zdajemy sobie sprawę, że ciągle zmiany jej nazwiska wprowadzają mętlik) nie zrywała kontaktu z Quimby'm. Wygłaszała pogadanki i pisała artykuły na temat jego systemu. Jeden z jej wierszy rozpoczyna się od przesadnych pochlebstw pod adresem ledwie umiejącego czytać i pisać Quimby'ego:

„Blaskiem wiedzy rozświetla mistrz czoło pochmurne
Groźny klasyków sławą, wśród gwiazdnych wylczeń
Wspina się ku Wenerze, goni za Saturnem
I odwraca, odwraca mistyczne stronic...” *

Gdy Quimby zmarł na raka w 1866 roku, napisała elegię o nieco przydługim tytule: *Wiersze na Śmierć Doktora P. P. Quimby'ego, Który leczył Prawdę Chrystusową w odróżnieniu od Wszelakich Izmów*.

Po śmierci Quimby'ego ruch osłabł. Pani Glover starała się skłonić Dressera, by zajął jego miejsce, lecz Dresser czuł się za młody; syn zaś Quimby'ego, George, bardziej interesował się własną karierą dziennikarza i biznesmana. Później, gdy stowarzyszenie Christian

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: W. H. Dresser *A History of the New Thought Movement*, Crowell, N. Jork 1919, s. 160.



Science osiągnęło sukces, niektórzy z pierwotnych zwolenników Quimby'ego nabrali odwagi do zapoczątkowania na własną rękę innego ruchu. Warren Felt Evans z New Hampshire, który porzucił obowiązki duszpasterza metodystów ze względu na zły stan zdrowia, zorganizował grupę ludzi i zaczął pisać wielotomowe księgi o filozofii Quimby'ego. Inny wyznawca Quimby'ego wysunął projekt, by nadać grupie nazwę „Nowa Myśl” i tak ów ruch nazywa się do tej pory.

Nowa Myśl nigdy nie miała sztywnej struktury organizacyjnej. Pozostała luźnym agregatem grup, jednostek i publikacji, objętych Międzynarodowym Stowarzyszeniem Nowej Myśli. Wyznawcy Nowej Myśli wierzą do pewnego stopnia w leczenie wiarą, ale nie zaprzeczają realności materii i nie roszczą sobie pretensji do tego, że potrafią wyleczyć wszelkie choroby i kalectwa mocą ducha. Ich wielotomowa literatura, która obejmuje takie dzieła, jak *In Tune With the Infinite* (W harmonii z Nieskończonością) Trine'a, jest mdła, kładzie nacisk na korzyści materialne, a jej zdolności inspiracyjne opierają się na powtarzaniu takich terminów, jak „Harmonia”, „Bezgraniczna Moc” i „Bezgraniczna Miłość”. Podczas ostatnich kilkunastu lat wielu członków Nowej Myśli zaczęło się interesować importowaną z Indii filozofią Wedańty.

Przez kilka lat po śmierci Quimby'ego, Mary Glover wiodła koczownicze życie, stosując jego metody leczenia i głosząc jego idee. Stopniowo przestała wspominać o nim w swych naukach i wreszcie zaprzeczyła, że cokolwiek zawdzięcza temu zegarmistrzowi o filozoficznych skłonnościach. Swoje poprzednie słowa uwielbienia dla niego wytłumaczyła tym, że zapewne zmuszał ją do nich przez hipnozę. A przecież nie mu-

siała wcale wstydzić się swego zadłużenia u Quimby'ego; wyparcie się go ujawnia jej egoistyczny charakter.

Wkrótce po śmierci Quimby'ego Mary Baker Glover pośliznęła się na pokrytych lodem ulicach Lynn, w stanie Massachusetts. Później twierdziła, że lekarz homeopata nazwiskiem Cushing oświadczył, iż nigdy nie będzie chodziła, ona jednak w sposób cudowny ozdrowiała, zastosowawszy wiedzę duchową. W roku 1904 Cushing zaprzeczył pod przysięgą, aby w ogóle coś takiego miał powiedzieć. Tym niemniej od tej właśnie chwili datuje się oficjalne powstanie Christian Science.

W ciągu następnych dziesięciu lat pani Glover wynajmowała pokoje w szeregu domów w Massachusetts, z których często bywała eksmitowana za różne złośliwe wybryki oraz za niepłacenie czynszu. Założyła szkołę leczenia duchowego i wdała się w długotrwałe, a nie uwieńczone powodzeniem procesy sądowe z uczniami, którzy nie chcieli jej płacić lub wystąpili o zwrot opłat za naukę. Pierwszym jej asystentem był przyszczaty młodzieniec, Richard Kennedy, który leczył jej pacjentów, podczas gdy ona prowadziła wykłady lub pisała książkę. Wkrótce jednak pokłóciła się z Kennedym, i to nie tylko dlatego, że nie brał poważnie jej twierdzeń, jakoby umiała chodzić po powierzchni wody i żyć dowolnie długo bez jedzenia, ale również i dlatego, iż ograł ją bezczelnie w karty.

Kennedy był pierwszym z długiego szeregu zwolenników, których podniosła do rangi ulubieńców, potem zaczęła podejrzewać, następnie odtrąciła i obawiała się jako mściwych wrogów. Po Kennedym przyszedł Spofford, Arens, pani Stetson, Foster i Woodbury. Jedynym z uczniów, który nie sprawił jej kłopotu, był A. G. Eddy, drobny, potulny sprzedawca maszyn do

szycia z Bostonu; wynagrodziła go za to małżeństwem. Gdy zmarł na serce w 1882 roku, przypisała jego śmierć „truciźnie arsenicznej duchowo zaaplikowanej” * przez jej eksfaworyta Arensa.

Pierwsze wydanie słynnej książki Mary Baker Eddy *Science and Health* ukazało się w roku 1875. Dzieło to nie zasługiwałoby na zainteresowanie, gdyby nie neoficka gorliwość i ostateczny sukces jego autorki. *Science and Health* wysuwa doktrynę skrajnego idealizmu, według której istnieje „rzeczywistość”, zwana Bogiem, Zasadą, Umysłem, Duchem, Duszą, Życiem, Prawdą, Miłością — wszystko z dużej litery. Przeciwstawione tej „rzeczywistości” jest pojęcie zwane złem, błędem, materią, grzechem, śmiercią i umysłem doczesnym. Chociaż w książce oświadczono, że drugie z tych pojęć nie istnieje, zło-błąd-materia są tam szeroko opisane jako przyczyna wszelkich naszych chorób.

Mary Baker Eddy usiłowała rozwiązać problem zła zaprzeczając jego istnieniu:

„Nicość niczego jest rzeczą jasną; musimy jednak zrozumieć, że błąd jest niczym i jego nicość nie może być oszczędzana, lecz musi być zademonstrowana, aby udowodnić rzeczywistość — ba, wszystkość Prawdy” **.

Kiedy jej to było wygodne, usiłowała podważyć świadectwo zmysłów, zaprzeczając słuszności takiego świadectwa. Odrzucała świadectwo zmysłów odnośnie choroby, ale akceptowała je odnośnie zdrowia; zaś jej uczniowie i ona sama nadal jedli, pili i mieli dzieci, jakby materia ostatecznie jednak istniała.

* F. C. Springer *According to the Flesh*, Coward-McCann, N. York 1930, s. 278.

** M. Baker Glover Eddy *Science and Health with Key to the Scriptures*, Truster Under Will of Mary. Baker G. Eddy, Boston 1875 - 1906, s. 587.

Science and Health jest chaotyczną i niewiarygodnie powtarzającą się burleską rozumowania. Ton tego dzieła jest zdecydowanie antynaukowy, sprzeciwiający się wszelkim zasadom wiedzy lekarskiej: „Teoretyzowanie o powstaniu człowieka drogą rozwoju od grzyba do małpy i od małpy do człowieka nie posuwa sprawy, a wręcz przeciwnie”. Oświadczyła również stanowczo: „Dziedziczność nie jest prawem”. Jej wypowiedzi na tematy medyczne są tak samo fantastyczne:

„Zastępy Eskulapa zalewają świat chorobami, nie wiedzą bowiem, że umysł ludzki i ciało są mitem”.

Ulubionym cytatem jej krytyków jest następujące stwierdzenie:

„Codzienne mycie dzieci jest tyleż naturalne i konieczne, co wyjmowanie ryb z wody i brudzenie ich raz na dzień, aby lepiej rosły w swoim rodzinnym żywiole” *.

Ponadto książka jest pełna rażących niekonsekwencji. Czytamy, że:

„Przyczyną i fundamentem wszelkich chorób jest lęk, ignorancja i grzech”.

A troszeczkę dalej dowiadujemy się, że:

„Ani sama choroba, ani grzech, ani lęk nie jest w stanie spowodować choroby lub jej nawrotu” **.

Doprawdy trudno wytłumaczyć sukces tej filozoficznej potworności inaczej, niż przyjmując hipotezę o boskiej pomocy udzielonej jej autorce — co właśnie twierdziła sama Mary Baker Eddy. Innym możliwym wyjaśnieniem jest to, że wielu ludzi pragnie znaleźć skróconą drogę do zdobycia wiedzy. Zamiast przeory-

* M. Baker Glover Eddy *Science and Health...*, j.w., s. 150 nast., 172, 178; F. C. Springer *According to the Flesh*, j.w., s. 206.

** M. Baker Glover Eddy *Science and Health*, j.w., s. 411. 419.

wać się przez wiele ksiąg, usiłując zrozumieć i ocenić ich zawartość, ludzą się oni, że znajdują gdzieś w jednym tomie mądrości wszystkich wieków. Właśnie z powodu tej płonnej nadziei wciąż kwitnie magia najrozmaitszego rodzaju.

Dla badacza magii najciekawszą doktryną Mary Baker Eddy jest doktryna złośliwego magnetyzmu zwierzęcego (*malicious animal magnetism*), zwanego w skrócie M.A.M. Jest to wiara w szkodliwy (acz nie istniejący) prąd psychiczny, którym nikczemni mesmeryści wyrządzają krzywdę ludziom. Mary Baker Eddy wierzyła, że takimi mesmerystami są jej byli zwolennicy. Wczesne wydania *Science and Health* zawierają rozdział pod tytułem *Demonologia*, który rozprawia się z tymi potworami. Na przykład, Kennedy jest opisany jako: „Neron naszych czasów, który torturuje ludzi metodą psychiczną... rabuje, cudzołoży i morduje..., usiłuje poróżnić przyjaciół, wbija sztylet w drżące serce, ucinając nić życia i wtrącając do grobu młodość w jej tęczy barwach..., i rzuca nieszczęsną cierpiętniczkę na powrót do łoża bóleści, zaciemniając jej pierwszy poranek po całych latach nocy...” *.

Później ten rozdział usunięto na żądanie J. H. Wiggins, emerytowanego pastora unickiego i genialnego erudyty, który na prośbę pani Eddy przeredagował jej książkę i nadał dziełu pozory erudycji. Jednakże pani Eddy nie zmieniła swego zdania na temat M.A.M. Nadal zachowała w swoim domu oddział straży, złożonej z uczniów, których zadaniem było odwracać prądy złośliwego magnetyzmu zwierzęcego wysyłanego jakoby przez wrogów podczas jej snu.

W roku 1878 doktryna M.A.M. doprowadziła do słyn-

* Tamże, s. 38.

nej sprawy „Czarów w Ipswitch”. Lucretia Brown, stara panna z Ipswitch, została „wyleczona” z zadawnionego uszkodzenia kręgosłupa przez „lekarza” spod znaku Christian Science, niejakiego Dorcasa Rawsona, lecz gdy nastąpił nawrót choroby, zwróciła się o pomoc do pani Eddy. Pani Eddy odesłała kalekę do swego ulubionego ucznia Spofforda, romantycznego marzyciela, eksszewca. Zerwawszy później stosunki ze Spoffordem pani Eddy zasugerowała panie Brown, że nawrót choroby został wywołany „złośliwym zaniedbaniem” ze strony Spofforda. Pominąwszy element czasu, oskarżenie to wydało się panie Brown wiarygodne, bowiem i ona z kolei zaczęła leczyć innych i współzawodniczyła ze Spoffordem w pozyskiwaniu pacjentów.

Panna Brown wniosła więc przeciw Spoffordowi skargę do Sądu Najwyższego stanu Massachusetts w Salem, twierdząc:

„... że Daniel H. Spofford, oskarżony w niniejszej sprawie, jest mesmerystą i uprawia sztukę mesmeryzmu, i rzeczoną sztuką oraz siłą swego ducha oddziałuje na ciała i umysły innych ludzi, i wykorzystuje rzeczoną siłę i sztukę dla wyrządzania krzywd na ciele, majątności i stosunkach towarzyskich innych ludzi, szkodząc im rzeczonymi środkami.

Powódka następnie wykaże, że rzeczony Daniel H. Spofford od roku 1875 w różnych czasach i miejscach niesłusznie, a złośliwie i z zamiarem skrzywdzenia powódki za pośrednictwem rzeczonej siły i sztuki powodował wielkie cierpienia ciała i ducha powódki i bóle pacierzowe, i newralgię, i czasowe zawieszenie umysłu, i nadal to samo powoduje” *.

Powódka błagała, aby sąd wydał zakaz „powstrzymujący go od oddziaływania na nią rzeczoną siłą”. Salem, które wciąż jeszcze pamiętało panikę przed czarownicami, było zakłopotane. Obrońca Spofforda

* F. C. Springer *According to the Flesh*, j.w., s. 237; E. S. Bates i J. V. Dittmore *Mary Baker Eddy*, j.w. s. 192.

wystosował sprzeciw, a sędzia sprzeciw podtrzymał na zasadzie, że nie ma władzy nad duchem Spofforda. Sprawa została oddalona i pani Eddy, która była obecna na sprawie (zaś jej ulubieniec Arens występował jako adwokat panny Brown) oświadczyła, że nie ma z nią nic wspólnego. Wkrótce po tym Spofford, uznawszy świat mocy tajemnych za zbyt denerwujący, wrócił na szewski zydeł.

Teraz Marry Eddy weszła we właściwy tok swej pracy. W 1879 roku, mając lat 58, stworzyła w Bostonie Kościół Chrystusa Uczonego. Założyła nie tylko ten Kościół macierzysty, ale i szereg jego mniejszych filii, a także zaczęła wydawać kilka periodyków. Stała się bogata i inwestowała pieniądze z przebiegłością godną najśmielszego biznesmana amerykańskiego. W 1889 roku wyprowadziła się z Bostonu i osiadła w Concordzie. Mieszkała tam do roku 1908, kiedy to przeprowadziła się do Chestnut Hill w Massachusetts na pozostałe trzy lata życia.

Zreorganizowała swój Kościół tak, aby jego majątek znalazł się w rękach zarządu złożonego całkowicie z ludzi przez nią wybranych i zaprowadziła despotyczne rządy. Mogła rozkazać każdemu z wyznawców, aby zamieszkał w jej domu i spełniał rolę służącego. By nie dopuścić do rywalizacji, zniosła urząd duszpasterszy. Zamiast kazań, na nabożeństwach czytano na zmianę Biblię i *Science and Health*. Nudę podobnych nabożeństw wynagradzały dramatyczne środowowe spotkania „zaświadczone”, na których wierni opowiadali o cudownych uzdrowieniach.

Ponieważ chyba żadne z tych uzdrowień nie zostało stwierdzone naukowo, raporty tego rodzaju są bezwartościowym dowodem skuteczności duchowego leczenia chorób. Jedynym sposobem określenia wartości tego

rodzaju terapii byłoby zastosowanie jej, pod ścisłym nadzorem lekarskim, do dużej liczby pacjentów, a następnie porównanie rezultatów z grupą pacjentów leczonych przez lekarzy i z drugą grupą w ogóle nie podawaną leczeniu. Tego zaś, oczywiście, nigdy nie usiłowano zrobić.

Z niezliczonych konfliktów, skandali i schizm, które miały miejsce w ciągu ostatnich trzydziestu lat życia pani Eddy, sprawa pani Stetson miała największy związek z magią. Augusta E. Stetson, entuzjastyczna mistyczka, uległa urokowi pani Eddy w 1884 roku. Dwa lata później pani Eddy wysłała ją do Nowego Jorku, gdzie dzięki swej energii i elokwencji pani Stetson rozbudowała niewielką grupkę Christian Science do rozmiarów groźnej rywalki macierzystego Kościoła w Bostonie. Głosiła ona ekstremistyczne doktryny, włącznie z celibatem wyznawców oraz boskością i nieśmiertelnością pani Eddy.

Pani Stetson wymagała bezzeństwa od tych członków stowarzyszenia, którzy zawodowo zajmowali się leczeniem. W przypadku zawarcia związku małżeńskiego byli oni degradowani do stopnia szeregowych członków. W swoich rozprawach na temat nieszczęść płci zaręczała, że Bóg stworzył człowieka bezpłciowego, lecz: „Diabeł powiedział: «ucieleśnię się. Zrobię imitację człowieka. Przybiorę jego obraz i dołączę do niego organy płciowe i będę grał na tych organach, bowiem jestem smokiem, i zachowam pokolenie materialne»” *. Osobliwe to zajęcie jak dla smoka!

Pani Stetson całkiem otwarcie uprawiała czarną magię. Na południowych spotkaniach jej wyznawcy „demaskowali” tych, których ich przywódczyni uznała za wrogów. Zebrany kazano powtarzać głośno lub

* A. K. Swihart *Since Mrs. Eddy*, Holt, N. York 1931, s. 109.

w myślach takie oto na przykład zdania: „Rozkazuję, aby występek w tobie zginął — prawem prawdy jest: «Zginiesz niechybnie», lecz ja mówię do ciebie, niech zginie występek, a jeśli ma z nim razem zginąć jego cielesna powłoka, co mi do tego?”. Albo: „Idź na swoje miejsce. Jeżeli ono jest w Bogu, to idź do Boga, lecz jeśli nie, to idź gdzie indziej” *. Ofiarom oznajmiano, że podlegają „leczeniu”, w nadziei, że przynajmniej co wrażliwsi przełęką się i umrą.

Pani Stetson wzbogaciła się i zaczęła elokwentnie głosić zalety moralne dobrobytu. Gdy pani Eddy zniosła urząd pastora, pani Stetson została „kaznodzieją”. Kiedy ograniczono kadencję kaznodziejów do jednego roku, została jedynie członkinią zarządu, lecz nadal kierowała swym Kościołem i pisała pełne oddania listy do pani Eddy, którą tytułowała „Świątą” i „Najdroższą Przywódczynią”.

Tymczasem zazdrość i podejrzliwość pani Eddy wciąż rosła. Wreszcie, w 1909 roku poleciła swemu zarządowi zbadać prawowierność pani Stetson. Jednym z oskarżycieli był „pierwszy kaznodzieja” pani Stetson, Virgil Strickler, który zraził się do radykalnych nauk pani Stetson i jej pobłażliwości dla krzywoprzysięstwa, co uzasadniała tym, że w krzywoprzysiężcy kłamie jedynie „czynnik ludzki”.

Chociaż pierwsze przesłuchania przebiegły spokojnie, członkowie zarządu zaczęli wkrótce otrzymywać sensacyjne raporty o czarach, uprawianych przez podległych pani Stetson „lekarzy”. Jeden ze świadków przypomniał sobie, że na którymś ze zgromadzeń ktoś powiedział: „Znacie wszyscy pana Takiego-to-a-takiego. Wiecie, że jego miejsce jest w ciemności, z której

* E. S. Bates i J. V. Dittmore *Mary Baker Eddy, j.w.*, s. 437; F. C. Springer *According to the Flesh, j.w.*, s. 475.

przyszedł. Jeśli to miejsce znajduje się sześć stóp pod ziemią, to tam powinien się znaleźć” *. I krąg wyznawców w milczeniu skoncentrował się w wyobraźni na ponurym obrazie pana Takiego-to-a-takiego, leżącego sześć stóp pod ziemią.

Najbardziej jednak zatrważającą opowieść o czarnej magii Stetsonowców opowiedziała pani Maude Babcock, niegdyś jedna z faworytek pani Stetson, a później, po kłótni z nią, teozofka. Opowiedziała ona, że po kłótni:

„Wróciłam do Cedarhurst. Wiedziałam, że mąż mój, pan Babcock, przyjdzie bardzo późno. Położyłam się i zasnęłam.

O północy obudził mnie lodowaty powiew nadlatujący przez otwarte okno od strony Nowego Jorku. Zęby mi szczękały. Płynęły ku mnie na świetlistych falach twarze zmarłych.

Czułam się jakby śmiertelnie porażona prądem elektrycznym. Wydawało mi się, że dusza wyszła z mego ciała i mogę widzieć poprzez ściany domu. I oto, w tej godzinie męki, ujrzałam spoglądające zewsząd na mnie niebieskie oczy pani Stetson. Zwlokłam się z łóżka i pozapałałam wszystkie światła...

Weszłam ślaniając się do łazienki, nalałam ukropu do wanny i zanurzyłam się w nim, ale nie czułam temperatury wody. Było mi tak zimno, jak w pierwszej chwili, kiedy mnie owiał lodowaty powiew śmierci...

Wciąż trzęsąc się po tej kąpieli w ukropie, wybrałam najtrudniejszą rzecz do cerowania, jaką mogłam znaleźć i usiadłszy w łóżku poruszałam igłą, a moje spieczone usta powtarzały: «Bóg jest wszystkim, Bóg jest dobry; nie może mi się stać nic złego».

Kiedy tak siedziałam, do pokoju wszedł ślaniając się mój mąż.

«O Boże! — wykrzyknął — co się ze mną dzieje? Gdy wysiadałem z pociągu, czułem się, jakbym miał zaraz umrzeć. Duszę się» **.

* A. K. Swihart *Since Mrs Eddy*, j.w., s. 102.

** „New York World”, 10 listopad 1909; cyt. wg: E. S. Bates i J. V. Dittmore *Mary Baker Eddy*, j.w., s. 434.

Chociaż pani Eddy sama usiłowała używać metod magicznych do zwalczania mesmerystów, nie mogła znieść, by używali ich inni. Ponadto członkowie zarządu dowiedzieli się, że i oni byli poddawani podobnym „leczeniom”. Wyłączyli zatem panią Stetson i jej grupę ze swego Kościoła.

Pani Stetson wystąpiła ze swego nowojorskiego Kościoła. Mogła stanąć na czele grupy odszczepieńców, ale nie uczyniła tego z powodu swojej niepokonanej lojalności wobec pani Eddy. Przepowiadała własną nieśmiertelność i po śmierci pani Eddy w roku 1910, przepowiedziała również bliskość Drugiego Przyjścia pani Eddy. Aż do swej śmierci w 1928 roku, pani Stetson była aktywną bojowniczką różnych spraw. Założyła towarzystwo śpiewacze, oczerniała katolików, Żydów i Murzynów, oraz zorganizowała kampanię przeciwko hymnowi amerykańskiemu *The Star-Spangled Banner* na tej podstawie, że jego melodia jest melodią XVIII-wiecznej angielskiej pieśni pijackiej (*To Anacreon in Heaven*).

Po śmierci pani Eddy jej autokratyczne rządy przejął zarząd. Mimo okresowych buntów i utraty niektórych zwolenników, rządy te zachowały się aż do dzisiaj. Obok wyznawców Chrystusa Uczonego, istnieje obecnie szereg naśladownictw i grup schizmatycznych, jak Divine Science (Boska Wiedza), Jewish Science (Wiedza Żydowska), Unity (Jedność) oraz Church of Universal Design (Kościół Powszechnego Celu).

„Lekarze” Christian Science, którzy nigdy się nie reklamują i zaprzeczają, że leczą wiarą, przeprowadzają kuracje zwykłe i zaoczne. Oba rodzaje kuracji polegają na powtarzaniu w myślach urywków z książki pani Eddy. Może to być, na przykład, „naukowe określenie bytu”, zaczynające się następująco: „Nie ma Życia, Prawdy, Inteligencji ani Substancji w Materii.

Wszystko jest Nieskończonym Duchem i jego nieskończoną manifestacją, bowiem Bóg jest wszystkim...". Oczywiście, niektórzy ludzie umierają zawierzywszy zamiast *materia medica*, podobnym kuracjom; lecz zdaniem „lekarzy” Christian Science, owi nieszczęśliwcy mieli zbyt małą wiarę lub stali się ofiarami czyichś błędnych myśli. A skoro życie i myśl są tak ulotne, któż może z nimi dyskutować?

Wszystkie kulty i religie są mieszaniną pojęć magicznych i filozofii etyki, i jeżeli, bez względu na dziwaczność doktryn, pomagają ludziom żyć szczęśliwiej, zdrowiej i spokojniej, mogą być pożyteczne. Jeżeli jednak prowadzą swych wyznawców do narażania na szwank zdrowia, a niekiedy życia, należy je zwalczać.

Nie można zaprzeczyć, że silna wiara posiada wielką moc, czy będzie to wiara w fetysze, lekarza, boga przodków, czy przywódcę kultowego. Neurastenicy, histerycy, hipochondrycy, zniechęceni starcy i niezrównoważeni młodzi ludzie mogą, nabrawszy wiary w czyjąś czy jakąś cudowną moc, odzyskać dobre samopoczucie. Jest to właśnie owa złota bryłka prawdy zagrzebana w micie *mana*, cudach mesmerystów i łatwowierności wyznawców Christian Science.

Najlepszym rodzajem wiary jest wiara w samego siebie. Wówczas człowiek nie uzależnia swego spokoju ducha od czarodziejów lub przywódców kultów. Jednakże wiara w siebie wywodzi się wyłącznie z poznania własnych możliwości i ze zrozumienia świata, w którym człowiek żyje. Dopóki ludzie będą szukali skrótowych dróg do zdrowia, majątku i mądrości, tajemniczy magnes zachowa swą moc, a do łatwówiernych będą przemawiały „cudowne uzdrowienia” duchowej terapii.

Glendower: Z głębin otchłani duchy mogą wołać.
Hotspur: I ja to mogę, i lada kto może,
 Ale czy przyjdą na twoje wołanie? *

W. Szekspir

W poszukiwaniu sposobu uniknięcia swego przeznaczenia człowiek wykorzystywał wiele form magii. Usiłował odczytywać przyszłość z gwiazd, z wnętrzości zwierząt, z takich znaków wróżebnych, jak lot ptaków lub przelot meteoru. Zasięgał porad wyroczni i czarownic. Zaludnił ziemię, morze i powietrze aniołami, demonami, wrózkami, nimfami i potworami, i do tych istot niewidzialnego świata często zwracał się o pomoc.

W swej rozpaczliwej potrzebie nadziei i zdobycia pewności odwoływał się nawet do duchów zmarłych ludzi. Nekromacja jest przepowiadaniem przyszłości poprzez konsultowanie się z duchami zmarłych lub, w rzadkich przypadkach, z reanimowanymi ciałami zmarłych. Nekromacja opiera się na starym wierzeniu, że duchy istnieją, że można się z nimi porozumieć i że wiedzą one dostatecznie dużo, by rzecz była

* W. Szekspir *Król Henryk IV*, część I, akt III. Przekład L. Ulricha w: *Dzieła dramatyczne*, t. III (*Kroniki*, t. I), PIW, Warszawa 1963.

warta zachodu. Wierzenie to stało się ważnym elementem zachodniej magii i nadano mu miano spirytyzmu.

Niemal wszystkie ludy mają jakiś rodzaj wiary w życie pośmiertne. Niektórzy z radością oczekują kontynuacji obecnej egzystencji w innym świecie, może w szczęśliwszych warunkach, jak wierzy w to większość wyznawców politeizmów afrykańskich. Inni, jak starożytni Grecy i Babilończycy, wyobrażają sobie, że istnieje posepna kraina cieni. Jeszcze inni, jak starożytni Egipcjanie, oczekują nagród i kar za wyrządzone na Ziemi dobro i zło, albo jak starożytni Galowie i dzisiejsi Hindusi, przewidują po śmierci jakieś następne nowe wcielenie.

Ramię w ramię z wiarą w życie pośmiertne panuje przekonanie, że na Ziemi można spotkać dusze zmarłych. Dusze powracają na Ziemię w odwiedziny; albo nie mogą jej opuścić, ponieważ ciała ich zostały niewłaściwie pochowane, lub też za życia należały do ludzi złych, a więc nie zasługują na przekroczenie wrót krainy zmarłych.

Duchy bywają na ogół określane jako blade, miękkie i zwiewne. Od niepamiętnych czasów brano za nie pasemka mgły w świetle księżyca. Dawny zwyczaj zawijania ciała przed pochówkiem w prześcieradło spowodował wyobrażenie ducha w białej szacie — idea, która utrzymała się w Europie długo po zaniknięciu tego obyczaju. Duchy posiadają jakoby całkiem wyrazistą głowę i ramiona, ale ich obraz zaciera się im niżej w dół. Gdy mówią, jest to również duch głosu — szepc, szmer lub niesamowity, głuchy odgłos.

Ludzie ustosunkowują się do duchów bardzo różnie. Komancze nie poświęcają im zbytnej uwagi, zaś Tanalowie z Madagaskaru uważają duchy przodków za część rodziny i oczekują od nich nadnaturalnej pomocy w zamian za oddawaną im cześć. Wiele ludów

prymitywnych ogromnie boi się duchów. Członkowie niektórych z nich nie ośmielają się nocą przekroczyć progu swego domu, inni usiłują uniemożliwić duszy zmarłego wędrowkę przez okaleczenie zwłok lub umieszczenie wokół grobu zagrody z cierni.

Ponieważ duchom przypisuje się powszechnie ogromną moc nadnaturalną, rozumiały więc, że należy się ich bać, bez względu na to, czy kiedyś należały do ludzi bardzo złych, czy do przeciętnie złych. Duchy wpadają w gniew, jeśli ludzie mówią o nich lekceważąco, dlatego też filozof Chilon radził: „Nie mów źle o zmarłych” *. Są wściekłe, gdy zaniedbać należnych im obrządków. Według legendy rzymskiej, kiedyś, gdy zaniedbano obrządku parentaliów **, oburzone duchy przodków noc w noc paradowały z wyciem po ulicach Rzymu, póki nie wszczęto obrzędów.

Opowiadania o duchach składają się na niemałą część literatury światowej. Homer opowiada, jak Odyseusz wywołał cienie z Erebosu, krainy umarłych. Od ducha jakiegoś jasnowidza uzyskał kilka informacji o swoich przyszłych przygodach, a potem gawędził z duchami dawnych przyjaciół. Przy tej okazji duch Achillesa żałośnie wypowiedział swą słynną uwagę:

„Wolałbym za parobka służyć na cudzej roli,
U biednego chłopca, który ledwo może się utrzymać,
Niż tu panować nad wszystkimi,
Co znikli ze świata” ***.

Podczas gdy jedne duchy w tych opowieściach włączają się jakby bez celu, inne służą różnym prywatnym

* Diogenes Laertios *Żywoty sławnych mężów*, I, 3, PWN, Warszawa 1968. Przekład I. Krońskiej.

** Uroczystości na cześć zmarłych przodków (*przyp. red. pol.*).

*** Homer *Odyseja*, Pieśń XI, 11, Warszawa 1958. Przekład J. Parandowskiego.

interesom. Tego rodzaju „działalność duchów” miała miejsce w XIII wieku, kiedy pobożny Ludwik IX, król Francji, zaprosił sześciu mnichów z zakonu świętego Brunona, by założyli kolonię w pobliżu Paryża. Zamieszkawszy w przydzielonym im domu mnisi z zawiścią spoglądali na pobliski opuszczony pałac Vauvert.

Niebawem pałac zaczęły nawiedzać duchy. Wrzaski, grzechot łańcuchów, niesamowite światła i wielki zielony duch z długą brodą straszyły przechodzących ludzi. Kiedy król wysłał specjalną komisję dla zbadania sprawy, mnisi lojalnie zaoferowali się, że zamieszkają w pałacu i przepędzą egzorcyzmami duchy. Oczarowany ich męstwem i pobożnością, dobry król zapisał im pałac w darze i widziadła natychmiast znikły.

W dawnych czasach Niemcy przypisywali wszelkie niewytłumaczone zdarzenia złośliwemu elfowi, zwanemu *Poltergeist**. On to i jego kompani w innych krajach wywoływali nocne hałasy i powodowali spadanie obrazów ze ścian — żeby wymienić tylko nieliczne z ich psot. Elf ten był tak aktywny, że dzisiaj w badaniach psychologicznych nazywa się jego imieniem wszystkie bezsensowne zakłócenia.

Opowieści o poltergeistach i podobnych duchach działających bez określonego celu są przedstawiane w taki sposób, że trudno im nie wierzyć. Jednak badania naukowe ich poczynań prowadzą zawsze do jednego z dwóch wyników. Albo poltergeist znika bezpowrotnie, albo jakaś młoda osoba przyznaje się do hałasowania o północy lub grzechotania filiżankami, by spłatać figla starszym.

W rzeczywistości opowiadania te były tak konsekwentnie obalane przez dokładne badania, że powin-

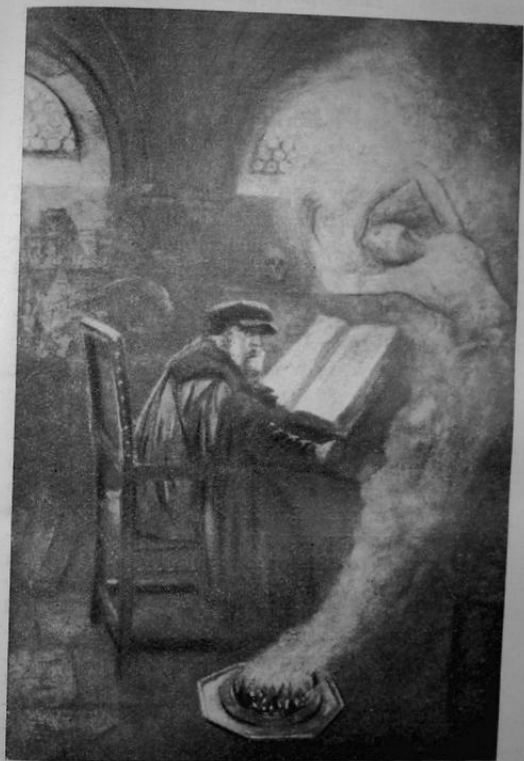
* Duch hałasu; jego pierwotna nazwa brzmiała: *Paul-tergighst*.

no się je przyjmować z najwyższym sceptycyzmem. Takim właśnie przypadkiem była opowieść o poltergeiście, który w 1944 roku nawiedził wiejską szkołę w Dakocie Północnej. Za jego sprawą kawałki węgla wyskakiwały z wiadra i wędrowały po klasie. Podpalał zasłony w oknach, rozniecał ogień na słownikach i półkach na książki. Kierownictwo szkoły, które przybyło spieszenie na miejsce wypadków, przysięgło, że na własne oczy widziało poruszające się jeszcze tajemnicze węgle. Naczelnik stanowej straży pożarnej zastosował urządzenie do wykrywania kłamstw i oczyścił spod zarzutu winy zarówno nauczyciela, jak i uczniów. Dopiero gdy sprawa przycichła, okazało się, że czterech uczniów spłatało figla swojemu krótkowzrocznemu nauczycielowi*.

Doktryna wczesnochrześcijańska nie pozostawiała miejsca dla włączających się po Ziemi duchów. Ojcowie Kościoła głosili dwa różne — i wzajemnie wykluczające się — poglądy odnośnie losu zmarłych: albo ich dusze idą prosto do nieba, czyśćca lub piekła, zależnie od tego, na co zasłużyły, albo pozostają w grobach i tam oczekują dnia Sądu Ostatecznego. Pomni na te doktryny niektórzy teologowie dowodzili, że duchy wywoływane przez nekromantów to diabły podszywające się pod dusze zmarłych.

Jednak opowieść w *Starym Testamencie* o czarownicy z Endor dawała do zrozumienia, że duchy można wywołać, przynajmniej czasami, z przyzwoleniem bożym. Według tej opowieści, gdy Filistyni najechali kraj Izraela około 1013 roku p.n.e., król Saul zaczął szukać pomocy sił nadnaturalnych. Poszedł w przebraniu do czarownicy w Endor i kazał jej wywołać ducha proroka Samuela. Czarownica wpadła w trans i opi-

* „Time”, 24 kwiecień 1944, s. 75; 1 maja 1944.



Ryc. 34. Czarodziej średniowieczny wywołujący ducha, według wyobraźni artysty.

sała wygląd ujranej zjawy: „starzec, a jest on okryty płaszczem”. Uznawszy, że to duch Samuela, król poprosił o radę. Dowiedział się, że nie ma dla niego nadziei, że Jahwe jest w gniewie i że „Jahwe odda Izraelitów razem z tobą w ręce Filistynów, jutro ty i twoi synowie będziecie razem ze mną” *. Saul zemdłał. Nazajutrz załamany na duchu poprowadził swą armię do klęski, po czym popełnił samobójstwo.

Chociaż niektórzy teologowie zastanawiali się, czy na tym świecie duchy w ogóle istnieją, średniowieczni duchowni i świeccy nie mieli najmniejszych wątpliwości, że świat jest ich pełen, że duchy te chadzają nocami i gdy w odpowiedni sposób je przywołać, mogą mówić, a nawet przepowiadać przyszłość. Nekromanci, oczywiście, mając na względzie własną korzyść, popierali wiarę w możliwość wywoływania duchów.

Mniej więcej przed stu laty dawna nekromancja została połączona z ideami religijnymi, tworząc w ten sposób nowoczesny kult spirytyzmu. Ojcem nowego kultu był Emanuel Swedenborg (1688 - 1772), syn szwedzkiego biskupa luterańskiego i do momentu swego „ośnienienia” w 1744 roku wybitna postać na polu szwedzkiej nauki i literatury. Ten urzędnik państwowy i podróżnik, zaprzyjaźniony z wielkimi ludźmi, był nie tylko wybitnym uczonym, który wyprzedził Kanta i Laplace’a w swoich badaniach astronomicznych, ale też i płodnym wynalazcą. Mając lat pięćdziesiąt sześć Swedenborg obwieścił, że Bóg i jego aniołowie kazali mu założyć nowy Kościół. Porzucił pracę naukową i spędził resztę swego długiego życia na rozmo-

* *Pierwsza Księga Samuela* 28, 19, w: *Pismo Święte...*, j.w. Przekład ks. J. Łacha.

wach z duchami i aniołami, oraz pisaniu po łacinie dwudziestu dziewięciu ksiąg na tematy religijne.

Doktryny Swedenborga łączyły zasady ortodoksyjnego chrześcijaństwa z magicznymi zasadami sympatii i analogii. Opracował system alegorycznej interpretacji Biblii, który nazwał „doktryną zgodności”. Wyobrażał sobie życie po śmierci w licznych niebiosach, pieklach i światach duchów, gdzie aniołowie i duchy wiodły dość ziemski rodzaj egzystencji.

Po śmierci jasnowidza, wyznawcy jego wierzeń (swedenborgianie) zorganizowali odrębny kult w Anglii, który przekroczył Atlantyk, rozszerzył się na Stany Zjednoczone i spowodował powstanie Kościoła Nowej Jerozolimy. Aczkolwiek to amerykańskie ugrupowanie pozostało niewielkie (w roku 1922 liczyło 7000 członków), wpływ jego był większy niż na to wskazywałaby liczba wyznawców, gdyż wiele jego idei wchłonęły inne ruchy.

Idee Swedenborga silnie przemawiały do licznych wczesnodziewiętnastowiecznych mesmerystów w Europie i Ameryce. Łącząc koncepcje skomplikowanego życia pośmiertnego posłusznych duchów i leczenia magnetyzmem, mesmeryści owi zapraszali wyzwolone z ciała dusze do wspólnego udziału w seansach magnetycznych z pacjentami. Tak to swobodnie mieszają się koncepcje religijne, magiczne i pseudonaukowe, a czarodzieje przechwytyują nowe idee, które przemawiają do uczuć ich klienteli. Z takich niedorzecznych połączeń wywodzą się całe nowe systemy myślowe, które mogą potem władać życiem ogromnej liczby ludzi.

Oficjalnie spirytyzm narodził się 31 marca 1848 roku, kiedy to córki Johna i Margaret Fox z Hydesville, w stanie Nowy Jork, rzekomo nawiązały porozumienie

z duchem, który od pewnego czasu zakłócał spokój ich domostwa tajemniczymi odgłosami i niepokojącym szarpaniem za pościel. Ośmioletnia Margaret i sześcioletnia Kate nazwały swego ducha „pan Kopytko”. Owego pamiętnego dnia, wysłuchawszy serii stukotów, dziewczynki zawołały: „Panie Kopytko, niech pan robi tak jak ja!”*. Duch w lot pojawił o co chodzi, opracowano prosty szyfr i porozumienie między światem duchów a żywymi ludźmi zostało nawiązane.

Duch przedstawił się jako domokrażca, który został zamordowany przez poprzednich lokatorów i pochowany w piwnicy. Mimo niejasnych pogłosek o znalezieniu kości w suterenie, nie było dowodu na to, że taka zbrodnia miała miejsce. Tym niemniej sława tego „rozmownego” ducha szybko się rozprzestrzeniła, a wraz z nią sława młodocianych rozmówczyń.

Starsza siostra dziewczynek, pani Leah Fox Fish, zajęła się nimi oraz ich przyjaznym duchem i zaczęła urządzać płatne pokazy, najpierw w Rochester, a potem w Nowym Jorku. Tutaj pokazy te spotkały się z takim zainteresowaniem, że pani Leah zawiązała pierwsze Towarzystwo Spirytystyczne. Nadała swoim zebraniom, czy seansom atmosferę religijną, zachęcając do śpiewania hymnów i mówienia przyciszonymi głosami. Nowa metoda porozumienia z drogimi zmarłymi wywarła duże wrażenie. Pełni uniesienia neofici garnęli się tłumnie na zebrania spirytystyczne. Wielu z nich zaczęło naśladować dwie siostrzyczki i również zostało mediami, czyli pośrednikami pomiędzy ludźmi a duchami.

Pierwszy rozkwit spirytyzmu nastąpił zaraz po stu-

* C. W. Ferguson *The New Books of Revelations*, Doubleday, Doran, Garden City 1930 s. 21; C. Carmer *Listen for a Lonesome Drum*, Farrar and Rinehart, N. York, 1936, s. 190.

kotach w Hydesville. W latach 1850 - 1870 ruch zasilili tłumnie mesmeryści, uniwersaliści i swedenborgianie. Pojawiły się pierwsze kościoły spirytystów. Powstało sześć amerykańskich dzienników spirytystycznych, w których opisywano najbardziej fantastyczne opowieści o duchach jako rzeczywiste fakty. W roku 1852 amerykańskie media wprowadziły stukoty i wirujące stoliki do Anglii, skąd rozprzestrzeniły się one na całą Europę.

Cały ten czas Leah i jej siostry urządzały pokazy w rozmaitych miastach. Na jednym z seansów w Filadelfii Margaret poznała badaczka Arktyki, Eliszę Kent Kane'a i, mimo że była jeszcze niemal dzieckiem, zawarła z nim związek małżeński według, jak mylnie sądziła, prawa zwyczajowego. Wkrótce później Kane zmarł, pozostawiając ją z dzieckiem i w nieustalonej prawnie pozycji. Przez kilka lat nadal występowała jako medium, następnie poróżniła się z siostrą Leah, przeszła na katolicyzm i w roku 1888 przyznała się do metod, dzięki którym zyskała swą młodzieńczą sławę.

Kate, młodsza siostra Margaret, potwierdziła to wyznanie: dziewczęta robiły owe tajemnicze stukoty rzucając na podłogę jabłka, które chowały w pościeli, kiedy rodzice przychodzili zbadać źródło tych hałasów. Chociaż robiły to początkowo dla żartu, czuły się zmuszone kontynuować te sztuczki, kiedy ich siostra Leah postawiła je przed publicznością, a publiczność szczerze uwierzyła w ich zdolności komunikowania się ze światem duchów.

Po tym wyznaniu Margaret usiłowała zarobić na życie demonstrowaniem metod, za pomocą których udawała porozumiewanie się z duchami zmarłych. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że ludzie nie chcą wcale się dowiedzieć, jak ich oszukiwała. Ludzie gotowi są dobrze płacić za umacnianie ich w wierzeniach i wolą

zamknąć oczy na dowody świadczące, że ich wierzenia są błędne. Gdy nędza zmusiła Margaret do podjęcia na nowo roli medium, wielu spirytystów z radością powitało ją, ignorując uprzednie wyznanie. Odtąd porozumiewała się z duchami za opłatą, aż do śmierci, która nastąpiła w oparach alkoholu w 1893 roku.

Gdy nekromancja została wprowadzona do nowoczesnego świata, media spirytystyczne i ich poplecznicy wypróbowali wszelkie możliwe ścieżki do krainy zmarłych. Niektórzy nekromanci starali się wywoływać duchy za pomocą aromatów, śpiewów i zaklęć. Inni popadali w trans i pozwalali duszom zmarłych przemawiać językiem medium lub pisać, co miały do przekazania, jego ręką. Jeszcze inni używali urządzeń mechanicznych, za pomocą których duchy anonsowały swą obecność lub przekazywały wiadomości.

Mechaniczne komunikatory do użytku duchów są bardzo rozpowszechnione nie tylko wśród ludów prymitywnych, lecz także wśród ludzi cywilizowanych. Zachodni Afrykańczycy zawieszają kawałek drzewa na sznurku w ten sposób, że jego koniec dotyka ziemi i rysuje na niej dziwne znaki. Chińczycy używają wielkich widel drewnianych, które dwóch ludzi trzyma końcem przy ziemi. Znaki wyrysowane końcem widel na piasku są następnie interpretowane jako ideogramy.

W ubiegłym stuleciu, gdy powstał spirytyzm, w świecie naszej cywilizacji wynaleziono szereg takich komunikatorów. Najprostszym z nich był stolik, na którym kładło się dłonie. Niebawem stolik zaczynał poruszać się na jednej nodze i wracać do poprzedniej pozycji z głuchym stukotem. Ducha, który w ten sposób manifestował swoją obecność, skłaniano, by stu-

kał dwukrotnie, jeśli odpowiedź na pytanie miała być przecząca, i trzykrotnie w przypadku odpowiedzi twierdzącej, albo żeby wystukiwał litery słów według następującego szyfru: A — jedno stuknięcie, B — dwa stuknięcia i tak dalej.

Późniejszy wariant tego stoliczka nazwano *planchette*. Była to drewniana deseczka, wycięta w kształcie serca wielkości dłoni, zaopatrzona w trzy nóżki, z których jedną stanowił ołówek. Medium kładło na tej deseczce dłoń, aby duch mógł poprzez ich ruchy wyrazić na kartce papieru, co ma do przekazania.

W latach osiemdziesiątych XIX wieku *planchette* została zastąpiona tablicą *Ouija* *. W miejsce ołówka *Ouija* poruszała się nad tablicą, na której były wydrukowane litery alfabetu i kilka dodatkowych symboli. Duch przeliterowywał słowa, które chciał powiedzieć, wskazując odpowiednie litery. Tablice *Ouija* przeżyły swój renesans podczas pierwszej wojny światowej wraz z ożywieniem się zainteresowania porozumiewaniem się ze zmarłymi.

Angielski uczony, Michael Faraday, szukał wyjaśnienia stukających stoliczków i poruszających się *planchettes*. Zbudował urządzenie złożone z dwóch tekturek, pomiędzy które włożył szklane wałki. Tekturki były przytrzymywane luźno gumiastymi paskami. Aby bardziej uwidocznić ruch górnej tekturki, przymocował do niej słomkę. Człowiek, biorący udział w eksperymencie, opierał lekko dłoń o górną tekturkę. Póki patrzył na słomkę, póty tekturka pozostawała nieruchoma; lecz kiedy tylko odwracał wzrok, tekturka przesuwała się to w tył, to w przód. Mimo że człowiek z całą świadomością starał się utrzymać tekturkę nieruchomo, dłoń jego poruszały się.

* Nazwa fabryczna stworzona z francuskiego i niemieckiego słowa „tak” (*oui-ja*).

Psycholog Joseph Jastrow również studiował te mimowolne ruchy dłoni. Skonstruował „automatograf” — szklaną płytkę wspartą na trzech łożyskach kulkowych, do której był przymocowany rylec kreślący linie na okopconej szybcie. Stwierdził, że ludzie nie tylko poruszają szklaną płytką mimo woli i bez przerwy, ale że również, kiedy odwrócić ich uwagę, nieświadomie kierują płytkę w stronę źródła rozproszenia uwagi.

Mimo tego rodzaju badań, liczba mediów szybko się mnożyła, a łatwowierni dobrze płacili, by móc uczestniczyć w ich seansach. Pod koniec XIX wieku wyróżniły się dwa odrębne typy mediów. Medium pierwszego typu siada przed swoimi klientami i zapada w trans. W czasie trwania transu przywołuje żądanego ducha, opisuje jego wygląd swemu klientowi i zadaje duchowi pytania swojego klienta. Media tego typu, zwane mediami psychicznymi, działają w jasno oświetlonych pokojach bez specjalnych urządzeń.

Media drugiego typu, zwane fizycznymi, opierają się na fizycznych, czyli widocznych przejawach obecności duchów, które wywołują. Działają w zaciemnionym pokoju, często z towarzyszeniem jakiejś muzyki religijnej i budujących słów. Skłaniają przyzwane duchy, by zmanifestowały swą obecność migotaniem świateł, widmowymi kształtami, tajemniczymi odgłosami i poruszaniem różnych przedmiotów. Jak czarodzieje wszystkich dziedzin, media tego drugiego typu szybko asymilują osiągnięcia techniki naszego wieku oraz najnowsze sztuki kuglarskie iluzjonistów.

Wiele słynnych mediów fizycznych XIX wieku wynalazło elektryczne lub zegarowe kołatki — z których jedna była wielkości pudełka od zapalek. Leah Fox Fish była pionierem w sztuce tworzenia widziadeł;

Henry Slade wprowadził pisanie na tabliczkach; bracia Davenport wynaleźli pomocniczą szafkę medium.

Bracia Davenport byli synami policjanta z Buffalo. Zaczęli przejawiać kontakty z duchami już w 1854 roku. Nie jest to dziwne, że zyskali sławę popadając w transy i zadając się z poltergeistami, bowiem północna część stanu Nowy Jork słynie jako ulubiony teren istot nadnaturalnych i wylęgarnia różnych kultów. Stąd wywodzą się shakersi, milleryci, mormoni, siostry Fox a także różne kolonie, których mieszkańcy pragnęli realizować zasady utopijnego socjalizmu, wiążąc go ze spirytyzmem i hasłami wolnej miłości.

Bracia Davenport wprowadzili kilka ciekawych metod do mediumizmu. Oni pierwsi odkryli „przewodników” — to jest duchy kierujące medium. Najstynniejszym z przewodników był Henry Morgan, były pirat, który wolał, aby go nazywano „Johnem Kingiem”. Wymyślili szafkę pomocniczą dla medium, urządzenie wielkości budki telefonicznej ze słupków i firanek, które ustawiano koło miejsca medium i które „wytwarzało” takie okultystyczne zjawiska, jak skaczące trąbki i widziadła.

W 1864 roku bracia wyjechali w podróż po Europie ze swoją szafką i zespołem asystentów, włącznie z zawodowym spirytystą. Chociaż na kontynencie widzom aż odbierało mowę z wrażenia, w Anglii powiodło się braciom mniej szczęśliwie. W Liverpoolu kilku ochotników z widowni skrepowało braci prawdziwymi sznurami zamiast fałszywych, które stosowali asystenci. Potem, gdy zjawy się nie ukazały, publiczność rozbiła szafkę na kawałki. W innych miastach sceptyczni łotrzykowie pozapalali w czasie seansu latarnie, ukazując braci, jak uwolnieni z fałszywych więzów pracowicie ożywiają swoje zjawy.

Na domiar złego, kilku angielskich iluzjonistów pow-

tórzyło przedstawienie braci Davenport stosując — jak sami mówili — zwykle sztuczki kuglarskie. Jednak odani spirytyści nie wierzyli im. Niektórzy twierdzili nawet, że owi iluzjoniści, Maskelyne i Cooke, byli w rzeczywistości wielkimi mediami, które z samolubstwa udawały, że demaskują spirytyzm, a tymczasem dokonywały swych sztuk z pomocą środków nadnaturalnych. Trudno o większe zaślepienie.

Spośród wielu sławnych mediów XIX wieku największym powodzeniem cieszyło się medium fizyczne Daniel Dunglas Home (1833 - 1886) *. Urodzony w Szkocji, a wychowany w Connecticut, a więc w krajach „obfitujących w istoty nadnaturalne”, Home zaczął widzieć duchy już w wieku lat trzynastu. Mając osiemnaście lat zasłynął jako medium i występował przed takimi protektorami, jak historyk Bancroft i powieściopisarz Thackeray. Repertuar miał dobry, lecz konwencjonalny: chłodne poddmuchy, stukania i skrzypienia, przesuwanie mebli, ukazywanie się rąk, samodzwoniące dzwonki, odgłos rozpryskującej się fontanny i muzyka niebiańska.

Home wyrósł na wysokiego, szczupłego mężczyznę z rudymi bokobrodami i melancholijną elegancją w sposobie bycia. Chociaż nerwowy i chory na gruźlicę, był miły, dżentelmeński, umiał przystosować się do otoczenia i miał niezawodny instynkt do zawierania przyjaźni z „właściwymi ludźmi”. Gardził pieniędzmi i przyjmował od przyjaciół za swe wystąpienia jedynie klejnoty, ubrania, zaproszenia w podróż, a także pozwalał łaskawie spłacać swoje długi.

* Swoje pierwotne nazwisko Hume — wymawiane *hum* lub ze szkocka *hūm* — zmienił na Home dla poparcia swych roszczeń do hrabiowskiego pochodzenia, ale zachował jego oryginalne brzmienie.

Wrażenie, jakie wywierał na ludziach, było różne, zależnie od nastawienia. Jeden z reporterów angielskich, który pisał sprawozdanie z wygłoszonego w 1866 roku wykładu Home'a, określił go następująco: „Szczupły, gibki dżentelmen, o bladej twarzy, jasnych włosach i małych ciemnych oczach..., delikatnych białych dłoniach... Duchy nie mogłyby się dopatrzeć najmniejszej skazy w skończenie szacownym wyglądzie swego zawodowego rzecznika”. Inny reporter, obecny na tym samym wykładzie, napisał o nim: „Wysoki, chudy mężczyzna o trupim wyglądzie i długich żółtych włosach. Zęby ma duże, lśniące i ostre; oczy bladoszare; dłonie długie, białe i kościste. Kiedy odsłania te lśniące ostre zęby i wokół jego nieco nieprzytomnych oczu występują owe czerwone otoczki, nie przedstawia na zbyt miłego widoku” *.

W roku 1855 Home udał się w celach zdrowotnych do Anglii i wkrótce zyskał sobie imponującą listę wrogów, do których należeli między innymi Robert Browning, M. Faraday i T. H. Huxley. Zjednał sobie również wielu wpływowych przyjaciół, jak Elizabeth Barret Browning, E. Bulwer-Lytton, J. Ruskin i A. R. Wallace. Browning był tak rozwścieczony uwielbieniem swojej żony dla tego człowieka, że po jej śmierci napisał długi poemat *Mr. Sludge, „The Medium”* (*Pan Rynsztok, „Medium”*). W dziele tym zaatakowane przez rozczarowaną ofiarę medium płaszczy się i próbuje wytłumaczyć dowodząc, że każdy trochę oszukuje i że ludzie o niepomahowanej żądzy cudowności zasługują na to, by ich oszukiwać.

W rzeczywistości Home nigdy nie został w sposób ostateczny zdemaskowany, chociaż nieliczni ludzie

* J. Burton *Heyday of a Wizard (Daniel Home, the Medium)*, Knopf, N. Jork 1944, s. 191.

twierdzili, że widzieli, jak robi różne sztuczki dłońmi i stopami. Jednakże Home nigdy nie występował pod ścisłą kontrolą, a jedynie w gronie bliskich przyjaciół, przy bardzo przyćmionym świetle, a będąc wybornym gawędziarzem przez cały czas seansu nie przestawał mówić, rozpraszając uwagę obecnych.

Z Anglii Home udał się do Florencji, gdzie wprawił w zdumienie tamtejszą kolonię anglo-amerykańską, po czym wyruszył do Rzymu. W Rzymie został przyjęty na łono Kościoła katolickiego pod warunkiem, że porzuci nekromancję; jednakże już po roku zaczął ponownie urządzać seanse. Następny rok zastał go w Paryżu, zjednującego sobie Napoleona III i cesarżową, którzy już byli w kontakcie z duchem Napoleona I, aby uzyskać poradę co do wojny krymskiej.

Następnie, wzięwszy Aleksandra Dumasa na starszego drużbę, Home pognął do Petersburga, aby poślubić młodą arystokratkę rosyjską, Aleksandrynę de Kroll. Dziewczyna ta zaraziła się od męża gruźlicą i po kilku latach zmarła, pozostawiając mężowi skromny majątek i małego synka. W roku 1863 wciąż aktywny Home opublikował swoją autobiografię *Incidents of My Life* (*Wydarzenia mego życia*), w której — jak wielu innych czarodziejów — demaskuje konkurentów jako oszustów.

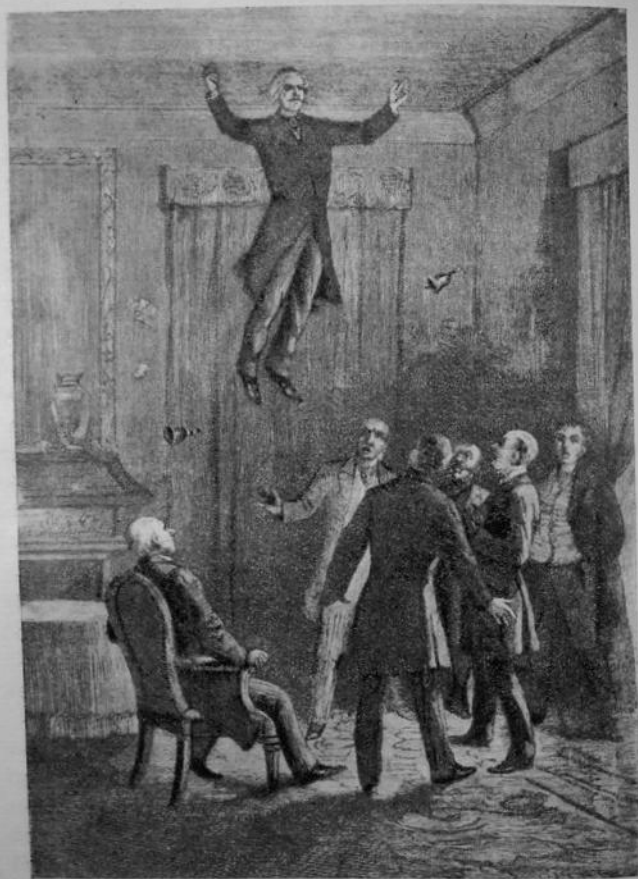
Wróciwszy do Rzymu by studiować rzeźbę, Home został wygnany przez rząd papieski za uprawianie czarów. Następnie tułał się po Europie i Ameryce zarabiając nędzne grosze jako aktor, lektor i korespondent wojenny w wojnie francusko-pruskiej. Wkrótce Home — a ściślej, duch zmarłego pana Lyon — przekonał panią Jane Lyon, bogatą, wiekową, bezdzietną wdowę, Angielkę, by go zaadaptowała. Związek ten jednak okazał się nieudany. W roku 1867 pani Lyon obdarzyła swym zaufaniem inne medium i wstąpiła

na drogę prawną, aby odzyskać 60 000 funtów, które uprzednio dała Home'owi. Zastępca sędziego najwyższego rozstrzygnął sprawę na korzyść wdowy, stwierdzając, że: „ponieważ uznaję spirytyzm za oszustwo, muszę również uznać, iż powódka padła ofiarą oszustwa” *.

Następnie Home zaprzyjaźnił się z lordem Adare, wesółym, rozmiłowanym w sportach, młodym oficerem Gwardii, z którym spędził pełne emocji dwa lata, podczas których dom Adare'a był pełen zwiewnych zjaw, kul ognistych, podskakujących kanap i tajemniczych kroków, powiewów i zapachów. Mówiono, że Home w czasie seansów brał do ręki rozżarzone węgle, obmywał twarz w ogniu i wydłużał się o 15 centymetów.

Jednak najsłynniejszym jego wyczynem było zdumiewające zjawisko lewitacji, którego dokonał na oczach lorda Adare'a i jego przyjaciół, Lindsaya i Wynne'a. Zgodnie z ich opisami, podczas któregoś seansu owi trzej młodzi ludzie widzieli, jak Home wychodzi z pokoju, a następnie usłyszeli odgłos otwieranego okna. Niebawem za oknem pokoju, w którym odbywał się seans, ujrzeli Home'a unoszącego się o 21 metrów nad ziemią. Potem spokojnie otworzył on okno i wpłynął do pokoju. Adare wszedł z Home'em do sąsiedniego pokoju, stwierdził, że okno jest uchylone na niewiele ponad 30 centymetrów i wyraził zdziwienie, iż ktokolwiek mógłby się przecisnąć przez tak wąski otwór. Słyszac to Home wznosił się nad podłogą bez żadnych widocznych środków pomocniczych, poszybował za okno po raz drugi i wrócił, nie ponosząc przy tym najmniejszego szwanku. Zarówno Adare, jak i Lindsay opisali to zdarzenie. Sprawozdania ich jednakże zostały napisane w pewien czas po wydarzeniu i zawierają tak poważne rozbieżności, że ani tło, ani

* Tamże, s. 206.



Ryc. 35. Zjawisko lewitacji Daniela Duglasa Home'a w wy-
bujalej wyobraźni artysty.

wypadki tego historycznego seansu nie zostały nigdy w pełni ustalone.

Mimo słabego zdrowia, Home pozostał czynny do ostatka. Ożenił się z inną dobrze urodzoną Rosjanką, przeszedł na prawosławie, denuncjował „oszukańcze media” i podróżował pomiędzy Francją, Włochami i Rosją, aż wreszcie zabrał swą tajemnicę lewitacji do grobu.

Ostatnie lata XIX wieku były świadkami powstania wielu mediów, często sławnych lub osławionych, zależnie od punktu widzenia. Miały one niezliczone szeregi zwolenników i to szczerze sobie oddanych. Ponieważ niemal każdy z nas chciałby móc komunikować się z wielkimi umysłowościami przeszłości lub potajemnie żywi nadzieję, że taka możliwość istnieje, jeśli nie w nas samych, to w jakichś ludziach z lepszej ulepionych gliny — zastanówmy się nad rodzajem tych kobiet i mężczyzn, którzy utrzymywali, iż posiadają zdolność wywoływania duchów „z głębin otchłani”. Ocena ich charakteru i ich metod może okazać się pouczająca.

Jak zauważyliśmy, media dzielą się na dwie klasy: media psychiczne, które wpadają w trans, by porozumieć się z duchami, co następuje albo bezpośrednio, albo z pomocą ducha-przewodnika; oraz media fizyczne, które domagają się od duchów manifestowania obecności za pośrednictwem urządzeń mechanicznych przezornie oddanych im do dyspozycji. Obie te klasy mediów zostały zbadane w minionym wieku. Aczkolwiek badania psychiczne nie są łatwe, a ich rezultaty ostateczne, wyłoniły one szereg interesujących faktów.

Z pewnością, niektóre media psychiczne są całkowicie szczerze i nie oszukują świadomie swych klientów. Ponieważ łatwo wpadają w trans lub cierpią na roz-

szczepienie osobowości, wierzą naprawdę, że są owładnięte przez dusze zmarłych. Co więcej, ich szczerłość jest zaraźliwa. Takie symptomy rozszczepienia osobowości, jak automatyczne pisanie lub dziwne spazmy towarzyszące stanowi transu, choć całkiem zrozumiałe dla lekarzy, mistyfikują i zdumiewają laików. Aczkolwiek sceptycy wątpią, czy jakieś medium rzeczywiście było kiedykolwiek w kontakcie z duchami zmarłych, każdy potrafi zrozumieć, że roszczenia mediów, poparte ich dziwnym zachowaniem, mogą wprowadzić w błąd łatwowiernych.

Media psychiczne rozpoczynają, być może, swoją działalność ze szczerym przeświadczeniem o prawdziwości swych nadprzyrodzonych kontaktów. Jednakże później, w pogoni za sławą i fortuną, czują się zmuszone do fingowania transów, ponieważ nie mogą wprowadzić się w trans na każde żądanie klientów, którzy płacą im przecież za wywoływanie duchów. W dodatku wiele mediów jest patologicznymi kłamcami, gotowymi powiedzieć wszystko, co może im przynieść korzyść, a upojeni dźwiękiem własnego głosu, najwyraźniej wierzą w każde wypowiedane przez siebie słowo. W przypadku takich ludzi słowo „szczerłość” traci swoje rzeczywiste znaczenie. Oni są zawsze „szczerzy”, lecz nigdy nie można im wierzyć.

Na jeszcze niższym szczeblu drabiny uczciwości znajdują się media fizyczne. Liczne dowody wykazały, że *wszystkie* media fizyczne używają kuglarskich sztuczek, które zdumiewają swą różnorodnością i pomysłowością. Przede wszystkim seansom fizycznym na ogół towarzyszy śpiewanie hymnów i nabożne szepty, zagłuszające przesuwanie urządzeń do wytwarzania nadnaturalnych efektów. Ponadto hymny stwarzają atmosferę religijną, która z kolei udziela duchom imunitetu prawnego nie związanego z żadnym kon-

kretnym wyznaniem, a jednocześnie przytępia zmysł krytyczny klienteli.

Wiele słynnych mediów fizycznych przeszło badania entuzjastów parapsychologii. Przy zastosowaniu ścisłej kontroli każda z tych osób — na przykład Eusapia Palladino z Neapolu, pani Crandon z Bostonu, bracia Schneider z Wiednia — została prędzej czy później przyłapana na stosowaniu kuglarских sztuczek. Przyłapano by je wcześniej i częściej na oszustwach, gdyby nie miały takiej przewagi nad badaczami.

Po pierwsze, kiedy kontrola była zbyt surowa, istniało niebezpieczeństwo, że medium wpadnie w gniew i nie podda się próbie. Po drugie, media, które kierowały się żądzą zysku lub chwały, nie miały żadnych skrupułów. Badający, ze swej strony, byli przeważnie zamożnymi dżentelmenami, których przerażeniem napełniała sama myśl o zastosowaniu tak podstępnej taktyki, jak pochwycenie ducha za rękę lub niespodziewane zapalenie światła podczas seansu w zaciemnionym pokoju. Ilekroć jakiś bezwzględny badacz użył tak „niehonorowych” środków, nieodmiennie przyłapywał medium na oszustwie.

Media fizyczne obmyśliły niezliczone metody szachrajstwa, niektóre fantastycznie zmyślne, inne tak naiwne, że tylko klient pozostający w ogromnym napięciu emocjonalnym może ich nie wykryć. Na przykład, stoły można unosić za pomocą zwykłych widelców ukrytych w rękawie. Tajemnicze znaki na tabliczkach można kreślić trzymając kredę między palcami u nogi. Postacie duchów można zrobić z gazy, gumy lub świecącej farby.

Wykorzystywanie sprzymierzeńca do pomocy w tworzeniu cudownych i wzbudzających grozę efektów, było powszechne w praktykach okultystycznych na

długo przed pojawieniem się nowoczesnego spirytyzmu. Pani Beiderman z Milwaukee działała w ostatnich czasach bez szafki mediumistycznej, siedząc wśród swoich klientów. Kiedy w pokoju zapadała ciemność, jej mąż udający klienta wstawał i zdejmował marynarkę, odkrywając namalowane świecąca farbą na kamizelce upiorne twarze.

Madame Vesta z Bostonu opracowała szczególny sposób przemycania sprzymierzeńca do swojej szafki mediumistycznej. Wszedłszy do pustej szafy pozwalała się mocno przywiązać do krzesła. Następnie zwolennicy ustawiali wokół niej różne instrumenty muzyczne, które uprzednio leżały w kącie pokoju. Po zaciągnięciu zasłon szafki wszystkie instrumenty zaczynały ku zdumieniu zebranych wydawać dźwięki. Jednak nie duchy były przyczyną tej muzyki. Z wielkiego bębna wychodził przez ukryty otwór karzeł i brząkał na instrumentach.

Wyżej wymienione metody i wiele, wiele innych zostały wymyślane, aby przekonać łatwowiernych o posiadanych przez medium zdolnościach wywoływania duchów. Wiele mediów ma nawet ulubione „duchoprzewodniki”, które jak chłopcy na posyłki odszukują drogich nieobecnych lub zdobywają dla klientów pilnie potrzebne informacje. Klientom jest obojętne, czy ów duch-przewodnik nazywa się Morgan Pirat, Promień czy Imperator. Każdy bowiem przychodzi na seans w stanie takiego napięcia emocjonalnego, że sam nie dopuszcza do siebie wątpliwości. Wszelkie zastrzeżenia, jakie by miał w normalnym pokoju przy świetle dziennym, zostają rozproszone przez ściskającą ze strachu serce ciemność, niby-kościelną muzykę, ograniczenie możliwości bliższego zbadania całej sprawy i lawinę nieoczekiwanych zjawisk.

Należy pamiętać, że osoba przychodząca do medium jest pełna wewnętrznego bólu. Straciła towarzysza życia albo dziecko, albo szuka rady w jakiejś ważnej sprawie, wykraczającej poza możliwości jej rozumienia; niekiedy jest przerażona chorobą czy zagrażającą śmiercią. Czuje tak rozpaczliwą potrzebę pociechy, że nie zauważa niegodziwych sztuczek, które powodują rzekome ukazywanie się duchów. Nie zdaje sobie sprawy, że medium pilnie ją bada, by się dowiedzieć, co pragnie usłyszeć. Nie zastanawia się ani przez chwilę, że kiedy medium zapewnia ją o obecności ducha, to ona sama przyoblekła zjawę w cechy osoby, którą chciałaby mieć blisko siebie.

Wykorzystując w pełni podniecenie swych klientów, wiele mediów ustaliło rekordy łotrowstwa, którym trudno znaleźć równe we wszystkich rocznikach przestępczości. Do przestępstw mediów należy złodziejstwo, oszustwo, szantaż, wymuszanie, a nawet gwałcenie zahipnotyzowanych młodych dam.

A jednak... jednak najsilniejszym sprzymierzeńcem medium jest jego klient. Kiedy sceptyczny badacz oświetla jakieś mechanizmy lub dekonspiruje udrapowane w gagę medium, które w ten sposób przebrało się za ducha, jest dużo bardziej prawdopodobne, że urzeczony klient rozgniewa się raczej na niego za rozwianie złudzeń, niż na medium za wyprowadzenie go w pole.

Wbrew powtarzającym się demaskowaniom, spirytyzm nadal kwitnie w Londynie i Paryżu, w Rzymie i w Nowym Jorku, oraz w wielu innych miastach. Przytoczmy teraz pewną opowieść, którą jednemu z autorów niniejszej książki opowiedziała w ubiegłym roku pewna przystojna mieszkanka Nowego Jorku.

Owa kobieta nabawiła się alergii, która doprowa-

działa ją do niezwykle bolesnej infekcji zatok. Podała się badaniu lekarza specjalisty od alergii i otrzymała lekarstwa; ale przyczyna alergii okazała się bardzo trudna do rozpoznania, a infekcja uporczywa. Wreszcie pewnien majster z fabryki mebli, należącej do jej męża, powiedział kiedyś, że wie o chorobie żony swego pracodawcy i może ją uleczyć. Oczywiście, nie żąda żadnej zapłaty za tę przysługę.

Fabrykant mebli wspomniał żartem o tej rozmowie w domu. Jednakże jego żona, która rozpaczliwie pragnęła pozbyć się cierpienia, wcale nie przyjęła tych słów za żart. W niedzielę postanowiła się przekonać, czy majster meblarski może jej pomóc. Wybrała się do puertorikańskiej dzielnicy na Long Island, gdzie mieszkał ów majster wraz ze swą liczną rodziną. Na oczach kilkorga dzieci wyglądających zza różnych drzwi stara, mówiąca po hiszpańsku kobieta poprowadziła chorą do pokoju w suterenie. Oprócz kilku krzesel, w pokoju stał stół z różnymi nieznanymi przedmiotami o charakterze dewocjonalii. Najbardziej rzucał się w oczy wielki krzyż. „Pływał na czymś w misce z wodą — powiedziała — i zawsze był zwrócony w moją stronę tak jakoś dziwnie, gdy poruszałam się po pokoju”. Pozwólmy jej jednak opowiedzieć rzecz do końca.

„Usiadłam przy stole, a za mną usiadło pod ścianą sześcioro czy siedmioro członków rodziny majstra i śpiewali hymny. Wszedł Indio. Był to przystojny mężczyzna, obnażony do pasa i miał tylko sznur paciorków na szyi. Siadł przodem do nagiej ściany i wpa-trzył się w sufit. Nie, w pokoju nie było całkiem ciemno. Paliło się kilka świec.

Wkrótce Indio zaczął się zmieniać. Wił się i pocił — cały okrył się potem. Następnie zaczął mówić. Mówił jak afrykański lekarz-czarownik. Tak powiedziała mi jego rodzina. Wkrótce głos jego nabrał innego, wyso-

kiego tonu. Był to, jak mi powiedziano, głos mędrca opanował złego ducha, który wpędzał mnie w choindyjskiego — z Indii. Powiedziano mi, że teraz Indio robę.

Indio walczył z tym złym duchem jakiś czas — może pół godziny — dokładnie nie pamiętam. Ale choć wzywał raz po raz Najświętszą Pannę, nie mógł go tego dnia wypędzić. Rodzina doprowadziła go do przytomności trzaskając palcami. Wydawał się bardzo zmęczony i błąd.

Przyszedł tam jeszcze raz. Tak, wszystko było tak samo, tylko świece były inaczej ustawione i figurka Matki Boskiej. Poczułam się odtąd inną kobietą. Ból ustał całkowicie — ale bardzo uważam, żeby się znów nie zaziębić przy takiej pogodzie.

Może to wszystko jest śmieszne, ale poskutkowało. I wie pan, nigdy nie poprosił o pieniądze, wcale to a wcale. Oczywiście, mąż dał mu coś — ładny prezent, ale później. Nikomu o tym nie mówiłam, ale pan to co innego. Pan jest pisarzem. Wiem, że pan zrozumie”.

Zrozumieliśmy się doskonale. Oto klasyczny obraz seansu, opisany przez kobietę, która nie miała pojęcia, że uczestniczy w seansie. Mamy tu i zaciemniony pokój, i symbolizm religijny, atmosferę naładowaną napięciem i przestraszoną, cierpiącą klientkę, pilnie potrzebującą pociechy. Mamy wijące się w transie medium, które mówi głosami dawno zmarłych czarowników z Afryki i tajemniczego Wschodu, i walczy ze złym duchem wywleczonym jakoby z głębi osoby klientki. A potem ulga — ulga zarówno dla medium, jak i jego oczarowanej klientki.

Gdyby jakiś kapłan katolicki miejscowej parafii usłyszał o tych poczynaniach, z całą pewnością surowo by je potępił; lekarz, specjalista od alergii, pokiwałby głową, robiąc następny cotygodniowy zastrzyk swej

pacjentce; a psychiatra zdefiniowałby cały problem jako czysto psychosomatyczny. Mimo to fakt pozostaje faktem, że w 1964 roku w Nowym Jorku uprawiano magię i że magia ta, w pełni zaakceptowana, okazała się skuteczna.

Leczenie wiarą — a przytoczony wypadek jest świetnym jego przykładem — bywa nieraz skuteczne w odniesieniu do grupy zaburzeń pochodzenia nerwowego lub psychicznego, jak ślepotą albo paraliż na tle histerycznym. Nie jest istotne, czy cierpiący pokłada swą wiarę w przybytku w Lourdes, lekarzu ze stowarzyszenia Christian Science, pasie magnetycznym Wilshire'a czy fetyszu *bongo-bongo*. Jeżeli wiara jego jest dość silna, wówczas poprawia jego stan psychiczny — na jakiś czas przynajmniej — a to z kolei łagodzi fizyczne symptomy schorzenia. Opowieści o cudownych uzdrowieniach w świętych księgach różnych ludów niewątpliwie mają swe źródła w tego rodzaju silnej wierze pacjenta.

Cały kłopot w tym, że większość ludzkich chorób i niedomagań nie da się tak łatwo egzorcyzmować. Próba zastosowania takich środków do wyleczenia złamania kości, wady serca lub infekcji bakteryjnej jest błędem, który może okazać się zgubny.

Mediumizm, hipnotyzm i stan transowy są ściśle z sobą powiązane. Jak widzieliśmy, niektóre media psychiczne wpadają w trans spontanicznie. W przypadku innych mediów stan transowy może być wywołany za pomocą hipnozy. Od czasu do czasu takie transy hipnotyczne dostają się do nagłówków gazet; ludzie zdumiewają się romantycznymi rewelacjami, a media transowe zyskują krótkotrwałą sławę.

Słynnym ostatnio przykładem mediumizmu transowego była sprawa Bridey Murphy. W latach pięćdzie-

siątych naszego stulecia Morey Bernstein, młody biznesman z Pueblo w stanie Kolorado, który się parał amatorsko hipnotyzmem, podjął się zahipnotyzowania żony swego znajomego. Kobieta zwała się Virginia Tighe, chociaż w swym opisie Bernstein nazywa ją „Ruth Simmons”. Zahipnotyzowawszy panią Tighe, Bernstein kazał jej się „cofnąć”, to znaczy wrócić do czasów dzieciństwa i opisać sceny z tego okresu. Następnie kazał jej wrócić do czasów sprzed urodzenia.

„Zobaczysz — powiedział zahipnotyzowanej kobiecie — że masz w pamięci jeszcze inne sceny. Są w tej pamięci sceny z dalekich lądów i odległych miejsc” *.

Rzecz jasna — jak to każdy, kto się zna na hipnotyzmie, mógł przewidzieć — że pani Tighe zrobiła, co jej kazano. Opisane, zresztą dość kiepsko, przez nią sceny, miały jakoby pochodzić z XIX-wiecznej Irlandii. Indywiduum przemawiające ustami pani Tighe, przedstawiło się jako Bridget („Bridey”) Murphy, Irlandka, która ponad sto lat temu wyszła za niejakiego Briana McCarthy’ego i zmarła w kwiecie wieku.

Wszystko to dało w wyniku: świetną książkę Bernsteina *The Search for Bridey Murphy* (*Poszukiwanie Bridey Murphy*); ogólnonarodowy bzik na punkcie reinkarnacji; kluby Bridey Murphy i amatorskie kółka hipnotyczne; potop artykułów w prasie i kilka samobójstw niecierpliwych ludzi, którzy nie mogli się doczekać przyszłego wcielenia.

Poszukiwania śladów Bridey Murphy w Irlandii nie dały żadnych rezultatów. Jednakże śledztwo roztoczne wokół osoby pani Tighe przyniosło bardzo wiele. Przede wszystkim jej język, zarówno pod względem gramatycznym, jak i pod względem słownictwa, oka-

* M. Bernstein *The Search for Bridey Murphy*, Doubleday, N. Jork 1956, s. 124.

zał się, z kilkoma sztucznie stosowanymi wyjątkami, zdecydowanie północnoamerykańską angielszczyzną. Słowa celtyckie były błędnie wymawiane w sposób typowy dla kogoś, kto je czytał, lecz nigdy nie słyszał, bowiem irlandzkie zasady wymowy są bardzo odmienne od angielskich.

Różne elementy opisu Virginii Tighe jako Bridey zostały prędzej czy później wyjaśnione jako jej własne wspomnienia z dzieciństwa. Punkt kulminacyjny sprawy nastąpił, gdy któryś z reporterów odkrył w Chicago prawdziwą Bridey Murphy, kobietę urodzoną w Irlandii, która w latach dzieciństwa Virginii mieszkała po drugiej stronie ulicy, obecnie zaś była czerstwo wyglądającą babcią cieszącą się życiem.

Szał, jaki się rozpętał wokół Bridey Murphy, potwierdził tylko maksymę Hegla, który powiedział: „Historia nas uczy, że ludzie niczego z historii się nie uczą”. Bowiem Virginia miała poprzedniczki, których poczynania były bardzo podobne do jej poczynañ.

Przed pół wiekiem, w czasie wzrostu zainteresowania spirytyzmem w związku z pierwszą wojną światową, pani Pearl Curran, gospodyni domowa w St. Louis, znalazła się pod okresową władzą swego *alter ego*, które mieniło się Patience Worth. 8 lipca 1913 roku Patience obwieściła za pośrednictwem tablicy Ouija, co następuje: „Wiele miesięcy temu żyłam. A teraz znów przychodzę, zwę się Patience Worth”. Zapytana o jakieś informacje o sobie Patience odparła wymijająco: „Dowiesz się o mnie wiele. Dzień dzisiejszy umarł. Zostaw przeszłość w spokoju” *.

* C. S. Yost *Patience Worth (A Psychic Mystery)*, Holt, N. York 1916, s. 2, 11; J. Jastrow (1935), s. 179; W. F. Prince *The Case of Patience Worth*, University Press, New Hyde Park, N. York 1927 - 64, s. 33.

Nękana o szczegóły Patience stopniowo wyjawiała, że była dziewczyną wiejską z XVII wieku, która opuściła Anglię i wyjechała do Ameryki, gdzie została zamordowana przez Indian. Sprzeciwiła się podawaniu nazw i dat, dzięki którym można by sprawdzić jej relację. Wylewała natomiast z siebie istny potok sentymentalnych opowieści, poematów, kazań i aforyzmów nie pozbawionych, zdaniem niektórych ludzi, wartości literackich.

Z czasem Patience nauczyła się posługiwać nie tylko organami mowy pani Curran i pani Curran pisała teraz pod dyktando. Dialekt Patience stawał się z biegiem czasu coraz wyraźniejszy, a wkrótce nawet nauczyła się pisać na maszynie, posługując się palcami pani Curran.

Sprawa nabierała rozgłosu. Caspar W. Yost, redaktor jednego z dzienników w St. Louis, pisał o Patience artykuły, które okazały się doskonałym środkiem zwiększenia nakładu pisma. Jak później Bernstein, Yost poświęcił sprawie książkę, która została rozchwyтана, powstały kluby Patience Worth, a nawet zaczął wychodzić specjalny magazyn.

Kiedy szła minął, uczeni zbadali sprawę Patience Worth. Dokładnie tak samo jak w późniejszej sprawie Bridey Murphy, stwierdzono, że życie pani Curran dostarczyło wszystkich wątków, jakie złożyły się na osobowość rozmownego ducha. Rodzice pani Curran pochodzili z Anglii; jej wuj był medium; wychowała się na wyżynie Ozark, gdzie archaiczna angielszczyzna jest zjawiskiem powszechnym. A poza tym najwyraźniej radowała ją owa krótka chwila sławy.

Jeśli „cofniemy się” nieco dalej w czasie, znajdziemy jeszcze bardziej skandaliczny wypadek przebywania dawnych i egzotycznych duchów w nowożytnych cia-

łach. W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku mieszkała w Genewie młoda kobieta, znana w literaturze pod pseudonimem „Hélène Smith”*. Panna Smith miała dobrą posadę w miejscowym towarzystwie handlowym i uprawiała mediumizm jako zajęcie dodatkowe. W dzieciństwie lubiła marzyć, który to nawyk przerodził się później w mediumizm transowy. Mimo dobrego zdrowia, miłej aparycji i dobrego pochodzenia, nie lubiła swego otoczenia i gardziła nim. Przybierała pozę królewskiej wyniosłości i odtrącała konkurentów jako zwykłych mieszczan.

Romantyczne skłonności panny Smith znalazły wyraz w liście duchów, które przez nią przemawiały. Na liście tej znajduje się Victor Hugo, Maria Antonina i słynny szarlatan XVIII-wieczny Cogliostro, który, o dziwo, nie rozumiał swojego języka ojczystego, włoskiego.

Najbardziej jednak zasługują na uwagę duchy z Indii i Marsa. Okazało się, że we wcześniejszym wcieleniu, w XIV wieku, Hélène była córką arabskiego szejka. Nazywała się Simandini i została jedenastą żoną indyjskiego księcia, Siwruki. Kiedy Siwruka zmarł, spełniła swój obowiązek, dając się spalić na stosie całopalnym.

W innym wcieleniu Hélène występowała jako księżniczka marsjańska. Objawił się również agresywny młody przyjaciel księżniczki i opisywał oraz rysował fragmenty krajobrazu swego ojczystego Marsa. Krajobraz ten pokrywała bujna roślinność tropikalna i był jeszcze mniej prawdopodobny niż Mars Edgara Rice'a Burroughsa.

Hélène zwróciła na siebie uwagę astronoma francuskiego, Théodore'a Flournoya, który zajmował się ba-

* Naprawdę nazywała się Elise Müller.

daniami psychologicznymi. Początkowo wywarła na Flournoyu głębokie wrażenie. Kiedy zarzucił jej, że Simandini nie zna arabskiego, napisała zdanie doskonałą arabszczyzną. „Wielkie nieba — rzekł Flournoy do siebie — gdzie ta szwajcarska mieszcza zdobyła tyle wiedzy”. Jego zaintrygowanie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy odkrył, że książkę Siwruka istniał naprawdę i zmarł w roku, który Héléne podała.

Następnie Flournoy ponownie poddał całą sprawę długim, krytycznym badaniom, które przynosiły kres tak wielu urzekającym teoriom. Héléne, jak się okazało, wertowała niegdyś książki genewskiej biblioteki publicznej. Przyswajała wszystko, na co zwróciła uwagę — nie na płaszczyźnie świadomej, ale w podświadomości, skąd mogła czerpać w stanach transowych poszczególne fakty. Stwierdził, że to arabskie zdanie było mottem jednej z książek w bibliotece. Héléne napisała je nie od prawej strony do lewej, jak by to zrobił prawdziwy Arab, ale machinalnie, od lewej w prawo. Swoją marsjański język skomponowała z wymyślonych słów, opartych na dźwiękach, gramatyce i szyku słów francuskich.

Te absurdalne wcielenia Héléne przyniosły jej niewiarygodny sukces. Mimo zdemaskowania źródeł tych przeobrażeń, pewna posiadająca więcej pieniędzy niż rozsądku Amerykanka zapisała „księżniczce w poprzednim wcieleniu” dożywotnią rentę. Héléne porzuciła pracę i poświęciła życie malarstwu pod wpływem natchnienia duchowego, a w ostatnich latach życia znalazła się na krawędzi obłędu.

Jakie jest naukowe wyjaśnienie tych drugorzędnych osobowości, które pojawiają się w transach, twierdząc, że są duchami, mieszkańcami innych planet lub dawniejszymi wcieleniami osoby podlegającej transowi?

Wyłączając oszustwo, mamy tu do czynienia z przypadkami dobrze znanych zaburzeń psychicznych, zwanych rozszczepieniem osobowości (jaźni). Zapewne żadna osobowość nie jest w pełni scalona; być może, jej części nie są nigdy ściśle z sobą połączone i nie pozostają w stałym ze sobą kontakcie. Ale ten stopień rozszczepienia jest bardzo różny, od chwilowego dzieciniego zachowania w czasie paniki lub ataku hysterii począwszy, a skończywszy na trwałym rozszczepieniu na niezależne i często wzajemnie sobie wrogie części.

Osobowości wielokrotne były przedmiotem badań wielu największych specjalistów w dziejach psychologii. Najlepiej opisany przypadek dostarczył dr Morton Prince, który w pierwszych latach naszego stulecia był profesorem chorób nerwowych w Tufts Medical College w Massachusetts. Jego książka *The Dissociation of Personality* nie ustępuje najbardziej podniecającej powieści psychologicznej.

Prince pisze, że przyszła do niego młoda kobieta, którą nazywa dalej „panną Beauchamp”, skarżąc się na nerwowość i złe samopoczucie. Była na praktyce pielęgniarskiej w jednym ze szpitali w Bostonie — chorowita, zamknięta w sobie, pilna, pobożna, wrażliwa i przesadnie skrupulatna. Jednakże w stanie hipnozy jej niezwykła powściągliwość i skromność zniknęły. Prince nazwał jej codzienną osobowość B I, a jej osobowość w stanie hipnozy — B II.

W czasie kuracji hipnotycznej zaczęła się pojawiać w transach jeszcze jedna osobowość — B III. Istota owa, która zwała się „Sally”, zachowywała się jak rozpieszczone dziecko — była żywa, przekorna, nieodpowiedzialna i nie zasługująca na zaufanie. Sally twierdziła, że jest odrębną osobą, która przez wiele lat gniotła się w jednym ciele z B I, że gardzi B I

i wie wszystko, co B I myśli lub czyni. W miarę jak nabierała pewności siebie, Sally zaczynała wpływać poprzez sugestię na czyny B I, doprowadzając ją do mówienia kłamstw i upijania się.

B I była nadmiernie wrażliwa na sugestię nawet na jawie. Jeśli jej powiedziano, że jej palec jest bez czucia, to był bez czucia. Jeśli jej mówiono, że nie widzi pręta, który ma przed oczyma, to go nie widziała. Z czasem Sally doszła do całkowitego opanowania ciała na okres nawet dziesięciogodzinny. Stosując takie środki, jak oparzenie ręki panny Beauchamp papierosem, Sally potrafiła rozbudzić na nowo „B I”, która była zrozpaczona tajemniczymi lukami pamięci. W okresach swej władzy Sally robiła różne kawały współlokatorce swego ciała. Chowała pieniądze B I, cenzurowała jej pocztę, znosiła węże i pająki do jej pokoju, darła rzeczy, które B I szyla.

Potem pojawiła się jeszcze jedna osobowość, B IV, całkiem odmienna od poprzednich. Była apodyktyczna, wybuchowa, żądna zabaw, próżna, zarozumiała, samolubna, towarzyska, polegająca na sobie samej. Jej wspomnienia pokrywały się ze wspomnieniami B I, z tym jednak, że brakło w nich ostatnich sześciu lat. Kiedy B IV pojawiła się po raz pierwszy, sądziła, że żyje przed sześciu laty i usiłowała sprytnie wywiedzieć się od Prince'a, którego nie znała, o co chodzi.

Przez dwa i pół roku te trzy osobowości — B I, Sally i B IV — władają kolejno ciałem panny Beauchamp. Prince usiłował je zlać w jedno, stworzyć z nich jedną normalną osobowość, one jednakże opierały się. Wszystkie się wzajem nienawidziły. Chociaż potulna B I okazywała dobre chęci, pozostałe odmawiały współpracy.

Każda z osobowości uważała się za prawowitą właścicielkę ciała i dążyła do usunięcia obu pozostałych.

B I i B IV były przerażone na myśl o scaleniu się, bowiem ich upodobania były skrajnie różne. B I, na przykład, lubiła pierścionki, chodzenie do kościoła, szycie, dzieci, starych ludzi. B IV obywatła się bez tego wszystkiego. Ponieważ B I i B IV były nieprzytomne, kiedy nie miały władzy nad ciałem, musiały się porozumiewać pozostawiając sobie wzajem kartki. Władza nad ciałem mogła przejść z jednej na drugą niespodziewanie. Ponieważ każda miała własnych przyjaciół i nie cierpiała przyjaciół drugiej, jedna i druga w przypadku owej zmiany mogła się znaleźć w nieznanym miejscu wśród obcych ludzi.

Obok utarczek B I i B IV, trwała zajadła walka pomiędzy Sally i B IV, które usiłowały zniszczyć się wzajem trikami hipnotycznymi, jakich nauczyły się od Prince'a. Darły sobie wzajem korespondencję. Aby nie dać żyć B IV, Sally kładła na łóżko wszystkie meble, a potem zmieniała się w B IV. Żeby dokuczyć Sally, B IV po prostu zasypiała na podłodze. Kiedy nieszczęsna B I budziła się rano jako władczyni ciała, musiała wszystkie meble z powrotem ustawiać.

Z czasem Sally zyskała dostęp do myśli obu przeciwniczek i znalazła sposób wywoływania w nich halucynacji. Sprawiała, że widywały nocą stonogi, jakieś straszliwe bestie, które biegały wokół łóżka, albo diabelskie twarze zaglądale przez okno. Powodowała, że B IV towarzyszyły na ulicy czarno ubrane postacie, a gdy wracała do domu, zastawała mieszkanie udrapowane na czarno. Wywoływała w niej wrażenie, że ma ucięte stopy i dłonie.

Wreszcie Prince odkrył, że osobowością „pierwotną” panny Beauchamp była B II, która występowała w hipnozie i była połączeniem B I i B IV. Pierwsze rozszczepienie nastąpiło w dzieciństwie, gdy w rezultacie nieszczęśliwych przeżyć powstała Sally. Drugie

rozszczerzenie, na B I i B IV nastąpiło w szczytowym punkcie nieszczęśliwego romansu. Chociaż Prince w swej delikatności nie podaje szczegółów, domyślamy się, że umiłowany panny Beauchamp nie chciał się zadowolić jedynie platonicznymi rozmówkami i pragnął czegoś więcej, a odkrywszy to panna Beauchamp doznała okropnego wstrząsu.

Po serii spisków, podstępów, uników, gróźb, szkód i afrontów między tymi trzema osobowościami, Prince zlikwidował Sally, która nie dawała się połączyć, i skonsolidował B I i B IV w trwałą B II. Rezultatem była normalna dziewczyna lepiej przystosowana do zmiennych kolei życia niż którakolwiek z osobowości cząstkowych.

Ten skrupulatnie opisany przypadek panny Beauchamp i inne jemu podobne rzuciły światło na takie zjawiska, jak opętanie przez demona, mediumizm transowy, wizje duchów i innych zjaw, oraz wrażenia doznanych reinkarnacji. Rzuca również światło na wiele innych świadectw wątpliwej wartości na polu badań zjawisk parapsychicznych i pozazmysłowych.

Dowiadujemy się, że „prawdziwe” świadectwo ludzkie, oparte tylko i wyłącznie na tym, co człowiek widział lub słyszał, a nie podtrzymane przez innych świadków lub zapis mechaniczny, jak film, jest dużo słabszym dowodem niż większość ludzi sądzi. Choćby człowiek wydawał się nie wiadomo jak zdrow psychicznie, prawdomówny i sumienny, zawsze istnieje szansa, że tkwi w nim jakaś podoosobowość. Ta podoosobowość może się wyrwać spod kontroli i albo zmyślić zdarzenie bez wiedzy osobowości dominującej, albo wywołać w osobowości dominującej halucynacje, które się później naiwnie odnotowuje jako ustalone fakty.

Autor książki poświęconej Bridey Murphy zignorował odkrycia Prince'a i jego kolegów lekarzy. Zignorował również fakt, że osoba w prawdziwym transie hipnotycznym stara się przypodobać hipnotyzerowi. Jeżeli hipnotyzer każe jej przywołać wspomnienia z poprzednich wcieleń, osoba zahipnotyzowana zmyśla je. Co więcej, wydaje się, że Bernstein nie wiedział iż osobowość wieloraka jest zaburzeniem umysłowym, które przy pewnych bodźcach może się przerodzić w poważną chorobę. Człowiek roztropny nigdy nie zezwoli amatorowi na grzebanie w swej osobowości, tak jak nie pozwoli amatorowi, by mu usunął wyrostek robaczkowy. Podobna operacja jest dostatecznie niebezpieczna, nawet gdy dokonuje jej specjalista.

Uczeni usiłowali badać nie tylko stany transowe, ale i roszczenia mediów spirytystycznych do umiejętności porozumiewania się z duchami zmarłych. Jest to zadanie nie tylko niewdzięczne, ale nużące i nudne. W rzeczywistości zbadanie medium jest dużo trudniejsze niż zwykle studia nad strukturą cząsteczki białka, inteligencją żaby lub materią, z której składa się gwiazda. Przyczyna jest prosta: cząsteczka, żaba i gwiazda nie spędzają całych nocy na obmyślaniu sposobów wyprowadzenia badacza w pole.

Tym niemniej najrozmaitsi ludzie badali roszczenia mediów do rzeczywistego kontaktu z duchami. Niektórzy z nich to wybitni uczeni, którzy szczerze usiłowali powiększyć zasób ludzkiej wiedzy o dowiedzione fakty. Inni, mimo swej bezstronności, byli złymi obserwatorami, tak nieobeznanymi ze sztuczkami kuglarskimi, że dali się przekonać zręcznością mediów. Jeszcze inni starali się nieświadomie wykorzystać naukę dla poparcia z góry założonej idei, że niektóre media naprawdę mogą wywoływać duchy zmarłych. Ludzkie

pragnienie nieśmiertelności jest tak powszechne, że wielu badaczy tego zagadnienia pragnie znaleźć mocny dowód realności życia pozagrobowego. Wreszcie, kilku badaczy było w rzeczywistości oszustami pozującymi na naukowców, którzy sami fingowali pewne zjawiska psychiczne dla uzyskania rozgłosu albo zakpienia sobie z ludzi.

Na przykład, William Crookes, uczony-spiirytysta, który analizował zdolności Home'a za pomocą baterii przyrządów naukowych, okazał się bardzo kiepskim obserwatorem. Chociaż to największe medium nie spowodowało żadnych zjawisk, póki nie stworzono mu warunków, jakich pragnął, Crookes mniemał, że zdobył dowody nadnaturalnych mocy Home'a. Rezultaty swoich badań opublikował w „Quarterly Journal of Science” i został jawnie zelżony przez swoich bardziej przyziemnych kolegów, choć trzeba przyznać, że niektóre ich sądy były może nieudokumentowane lub niesprawiedliwe. Mimo to, w kilka lat później Crookes dał dowód swej nieudolności jako obserwator zjawisk parapsychicznych; pozwolił się bowiem bezlitośnie nabrać siostrze Fox i innemu medium, Florence Cook.

W latach 1907 - 1913, baron Albert von Schrenk-Notzing z Monachium wielokrotnie badał medium Marthe Béraud. Jego wielka księga *Phenomena of Materialisation (Zjawiska materializacji)* ujawnia, w jaki sposób pobożne życzenia mogą pozbawić sądu krytycznego nawet uczonego. Baron zrobił szereg fotografii panny Béraud w otoczeniu przedmiotów, które, jak twierdziła, zostały zmaterializowane. Fotografie ukazywały wyraźnie kawałki gazy, poplątanego sznurka, świeżo wyprasowane białe rękawiczki, skrawek gazety „Le Miroir” z całkiem czytelnym tytułem, oraz kilka wyciętych z czasopism i niezręcznie podretuszowanych ołówkiem podobizn sławnych ludzi. Ignorując

świadcstwo własnych oczu, Schrenk-Notzing wysunął teorię, że medium, które w sprawozdaniu nazwał Ewą C., wydalało przez otwory swego ciała na wół materialną substancję, zwaną „ektoplazmą”. Ponadto niejednokrotnie ujawniał swą stronniczość, ostrzegając czytelnika, że „fanatyczna dokładność” i „nieprzychylna jednostki” zniechęcają medium.

Badania parapsychologiczne były również podejmowane przez kompetentnych uczonych, którzy od czasu do czasu zaglądali do szafek mediów, aby ujawnić ukrytych pomocników lub urządzenia trikowe. Choć Eusapia Palladino zdołała wyprowadzić w pole kilku takich badaczy, podczas jednego z seansów w Nowym Jorku, w 1910 roku, dwóch czarno ubranych obserwatorów, wkradłszy się pod jej słynny stół w zaciemnionym pokoju, zdemaskowało zjawisko lewitacji mebli.

Czasami ludzie, którzy prowadzą badania, stwierdzają, że nie sposób zebrać jakichkolwiek danych, gdyż drażliwy duch popada w gniew i ulatuje na samo wspomnienie o przeprowadzeniu badań. W oczach spirytysty nie jest to rzecz dziwna; uważa on, że wrażliwy duch czuje się urażony obecnością sceptyka i niepotrzebny. W oczach sceptyka, jednakże, takie stanowisko ducha jest jawnym dowodem oszukańczych praktyk medium.

Badacze obiektywni trzymają się zasady, że jeśli raz schwytają medium na oszustwie, żadne jego sztuczki — choćby najbardziej imponujące — nie mogą być uważane za świadectwo sił transcendentálnych. Zakładają, że owo medium z reguły oszukiwało, lecz było dosyć sprytne, aby uniknąć wykrycia. Mniej bezstronni obserwatorzy przymykają oczy na drobne oszustwa, anulując tym samym wszelki materiał dowodowy, jaki udało im się zebrać. Zagorzali spirytyści posuwają się jeszcze dalej. Gdy medium zostaje przyła-

pane na oszustwie, albo gdy znalazłszy się pod ścisłą kontrolą odmawia powodowania jakichkolwiek zjawisk, spirytyści mówią, że traci swe moce psychiczne. Sceptycy natomiast są zdania, że zespół badawczy ulepszył po prostu swe metody.

Nowoczesne badania parapsychologiczne zostały zapoczątkowane w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Towarzystwo Badań Parapsychologicznych (założone w 1882 roku przez poetę, klasyka, kilku wybitnych uczonych i szereg mediów, spirytystów oraz teozofów) miało zajmować się badaniem zjaw, nekromancji, telepatii, jasnowidztwa i podobnych spraw. Wiele cennych informacji publikowano w periodykach „Journal” i „Proceedings”, a zainteresowanie okultyzmem rozpowszechniło się na tyle, aby w trzy lata później mogła powstać w Bostonie amerykańska filia Towarzystwa.

Towarzystwo Badań Parapsychologicznych ujawniło wiele interesujących faktów odnośnie do psychologii i praktyk mediów; wyciągnęło też szereg wniosków. Stwierdziło ono, że media, które się uciekają do rekwizytów fizycznych lub urządzeń dla zademonstrowania swej łączności ze światem duchowym, są najmniej godne zaufania. Uznało za bardziej wiarygodne media, które odbywają swe seanse przy świetle dziennym i które pokładają ufność w transach jako drodze do krainy duchów. Stwierdziło, że media często wstępowały do Towarzystwa Badań Parapsychologicznych, aby otoczyć się blaskiem powagi. Stwierdziło również, że osoby zainteresowane badaniami parapsychologicznymi tracą po pewnym czasie swą naukową, obiektywną postawę. Albo przestają interesować się sprawą, bowiem demaskowanie jednego medium po drugim nie jest zbyt zabawne, albo dochodzą do prze-

konania, że ludzie rzeczywiście mogą porozumiewać się ze zmarłymi, i stają się spirytystami.

Idealnym człowiekiem do prowadzenia badań parapsychologicznych byłby biegły fizyk, antropolog, psycholog, kryminolog i iluzjonista w jednej osobie. Powinien łączyć w sobie mądrość Salomona z cyniczną podejrzliwością wytrawnego detektywa. Jednakże taki człowiek prawdopodobnie jeszcze się nie narodził. Kilku zawodowych iluzjonistów świetnie się spisało w demaskowaniu nieuczciwych mediów. Niestety, oni również byli aktorami, u których poczucie dramatyczności wydarzeń brało czasami górę nad naukowym obiektywizmem.

Ludzie, którzy prowadzą badania parapsychologiczne napotykają szereg problemów. Sporządzenie dokładnego sprawozdania z seansu spirytystycznego w celu opublikowania go jest rzeczą niemożliwą. Stenograficzny zapis słowny byłby ogromnie długi, a skrócenie tekstu dałoby błędne pojęcie o sile materiału dowodowego. Co więcej, dostatecznie szczegółowe opisanie fizycznych aspektów seansu, aby wykluczyć możliwość oszustwa, jest niemal niemożliwe. Świadkowie tych samych wydarzeń podają prawie zawsze sprzeczne wersje i przeoczą bardzo ważne szczegóły.

Krótko mówiąc, nie można uznać badań parapsychologicznych za naukowe w ścisłym znaczeniu tego słowa. Grupa przeprowadzająca badania ma do czynienia ze zdaniem ludzi, którzy znajdowali się w napięciu emocjonalnym i w warunkach budzących grozę. Często dokonują swoich badań w pokojach tak przygotowanych, aby przeprowadzenie ścisłych badań naukowych było niemożliwe. Możliwości wykonywania różnych sztuczek są nieograniczone, a szansa przyłapania sztukmistrza — znikoma. A jednak, choćby dowody były jak najslabsze, a wykonanie najbardziej naiwne, za-

den człowiek prowadzący badania parapsychologiczne nie może udowodnić, że wszystkie zjawiska fizyczne przypisywane duchom są nieprawdziwe. Zdemaskowanie miliona oszustw nie wykluczy możliwości, że milion pierwszy przejaw obecności ducha nie jest prawdziwy.

Jedno, co człowiek rozsądny może w tej sprawie powiedzieć, to że do dziś nie ma żadnego dowodu: obecności duchów na tej Ziemi, zdolności wywoływania ich przez media, możliwości porozumiewania się ludzi z duchami i przekazywania przez duchy informacji żywym ludziom. Nawet wielki iluzjonista Harry Houdini, który obiecał swej żonie dać znak zza grobu, o ile to będzie możliwe, nie zdołał dotrzymać obietnicy.

Świadomość, że niewidzialny mur oddzielający żywych i umarłych jest tak wysoki i nieprzenikniony, musi oddziaływać bardzo przygnębiająco na ludzi, którzy gorąco pragną się nań wdrzeć. Oto rozwiało się jeszcze jedno z odwiecznych marzeń człowieka. Jednego wszakże możemy być pewni: bez względu na to, czy zbudzimy się po śmierci w jakimś innym świecie, czy nasze życie po prostu się zatrzyma, jak wskazówki zniszczonego zegara, nie będziemy musieli po śmierci spędzać długich lat na nadskakiwaniu mediom — ludziom wątpliwego charakteru, i udzielaniu złych rad łatwowiernym ofiarom nekromantów.

WŚCIBSCY MAHATMOWIE

W buddyjskiej teozofii codzienna to sprawa
 Stosować prawa,
 Które, gdy ci zbyt dopieką doczesne znoje,
 Pozwolą błogo spocząć
 W dogodnej martwocie
 Zawiesić Czynne Życie
 (i prace swoje)*

Anonimus

Mądrości Wschodu od dawna mamili mieszkańców Zachodu, znużonych surowością monoteizmu. Same imiona bogów hinduskich dźwięczą jak dzwony świątynne wzywające do modlitwy tych wszystkich, którzy zatracili swą ortodoksyjną wiarę; ale nie potrafią stworzyć własnej filozofii życia. Biorąc udział w widowiskach kultów ezoterycznych i tajnych bractw, te niespokojne duchy łudzą się, że zyskają poczucie przynależności do jakiejś wielkiej społeczności i spokój, który trudno sobie wyobrazić. W zamian za te dobrodziejstwa radośnie chylą czoła przed bezlitosnymi dyktaturami i oddają własny rozum we władanie nowo odkrytym bożyszczom.

Ten głód przeżyć duchowych jaskrawo ilustrują dzieje teozofii, kultu, który się narodził pod koniec XIX wieku i którego żaden skandal, żadna schizma, żadna siła nie zdołała całkowicie zmóc. Obecnie ta „hinduska

* Anonimus *Transcendentalism* 11. 1 - 7.

pseudonauka zwana teozofią” *, jak ją określił historyk Arnold Toynbee, posiada dziesiątki tysięcy stronników w Anglii i Ameryce i mniejsze grupy w innych krajach.

Teozofia jest jednym z najpopularniejszych ruchów magicznych w nowoczesnej cywilizacji, a jej założycielka, Helena Pietrowna Bławatska — najbardziej wpływowym z nowoczesnych czarodziejów. Jest to prawdziwe, jeśli zważymy zarówno jej wyższość magiczną za życia, jak liczbę oraz zapal jej zwolenników, a także jej wpływ na okultyzm po śmierci. W rzeczywistości największym cudem, jakiego dokonała Helena Bławatska, jest jej sukces; osiągnęła bowiem sukces mimo najpotężniejszej kombinacji własnych braków, jaka kiedykolwiek stała na przeszkodzie geniuszowi.

Niewiele wiemy o życiu Heleny Bławatskiej do roku 1874, kiedy to w wieku lat 43 poznała Henry'ego Steele Olcotta podczas seansu spirytystycznego w Vermont. Znamy jednakże niektóre fakty z tego okresu, mimo że jej życiorys w wersji teozofów jest w większości fikcją, a inne źródła są skąpe i fragmentaryczne.

Helena urodziła się w roku 1831 na Ukrainie. Jej ojcem był Piotr Hahn, oficer rosyjski, a matką Jelena, chlubiąca się arystokratycznym pochodzeniem, która napisała z tuzin udanych powieści i zmarła, gdy córka miała lat dwanaście. Helena była trudnym dzieckiem, chorowitym mimo krzepkiej budowy ciała, upartym, przekornym i podlegającym napadom złego humoru. Ta obdarzona niezwykle bujną wyobraźnią dziewczynka często straszyla swoje koleżanki opowieściami o duchach i „strasznych, błyszczących oczach”, które ją śledziły.

* A. J. Toynbee *A Study of History*, Londyn 1939, t. V, s. 176.



Ryc. 36. Helena Pietrowna Bławatska, twórczyni teozofii.

Mając lat siedemnaście przeżyła zawód miłosny — została porzucona przez księcia Golicyna. Aby się na nim zemścić, wyszła za mąż za generała Nikifora Bławatskiego, wicegubernatora gubernii erylwańskiej. Trzy miesiące później uciekła do swojego dziadka, który natychmiast wysłał ją statkiem przez Morze Czarne do Odessy, gdzie mieszkał jej ojciec. Jednakże Helena zbiegła z kapitanem angielskiego żaglowca płynącego do Konstantynopola.

Następnie pojawiła się w Kairze, gdzie poznała Alberta Rawsona, młodego, bogatego uczonego amerykańskiego, który w celach badawczych podróżował

w przebraniu Araba po Bliskim Wschodzie. Rawson wziął Helenę pod swoją opiekę, spędził z nią trzy noce w Wielkiej Piramidzie i przedstawił słynnemu czarodziejowi koptyjskiemu, Pavlosowi Metamonowi. Rawson zapłacił Metamonowi za udzielenie swej podopiecznej trzymiesięcznego kursu kuglarstwa — było to jedyne wykształcenie formalne, jakie Helena otrzymała w swym życiu. W czasie pobytu w Kairze zaczęła używać marihuany w celu wywoływania u siebie wizji i pozostała ofiarą tego zgubnego nałogu aż do końca życia.

Powróciwszy do Konstantynopola występowała najpierw w cyrku jako wołtyżerka, a potem została kochanką słowackiego śpiewaka operowego, Agardiego Metrowicza *. Mężczyzna ten był o dziesięć lat starszy od jej męża, którego nazywała „oskubanym krukiem”. Być może, popełniła nawet bigamię, wyszła za mąż za Metrowicza, bowiem pisał do jej dziadka, że został jego wnukiem. Kilka lat później dziadek Heleny otrzymał podobny list od jakiegoś Anglika, który donosił, że się ożenił z jego wnuczką i zabrał ją w podróż do Ameryki. Dziadek dowiedział się również, że udzielała lekcji gry na fortepianie, że podczas pobytu w Paryżu miała powiązania z D. D. Home'em jako medium spirytystyczne, i że kierowała serbskim chórem królewskim.

Po dziesięciu latach podróży po świecie Helena powróciła do rodziny do Rosji i zafascynowała miejscowe towarzystwo seansami spirytystycznymi. Chociaż skłoniono ją do powrotu do męża do Tyflisu, pojednanie było krótkotrwałe, gdyż właśnie wtedy przybył na tournée do Rosji Metrowicz i Helena znowu z nim uciekła. Udali się do Kijowa, gdzie Metrowicz wy-

* Vel: Mitrowicza; pochodził z Mitrowicy.

stępował w operach rosyjskich, póki Helena nie obraziła gubernatora kijowskiego.

W 1862 roku pani Bławatska wycofała się w głąsze Kaukazu i urodziła garbatego syna niewiadomego ojca. Twierdziła, że ojcem chłopca był baron Mikołaj Meyendorff, młody elegant, z którym miała romans podczas pobytu w Tyflisie. Aczkolwiek Meyendorff zaprzeczył jej twierdzeniu, to jednak łożył na utrzymanie dziecka.

W następnym roku Metrowicz zabrał Helenę z synem do Włoch, gdzie chłopiec zmarł. Wrócili do Rosji. W Odessie Helena dzielnie usiłowała zarobić na utrzymanie swojego już podeszłego wiekiem kochanka lekcjami gry na fortepianie, kierownictwem jakiejś fabryki i dochodami z pracowni sztucznych kwiatów. W 1871 roku wyruszyli do Kairu, dokąd zaproszono Metrowicza na występy. Statek rozbił się u brzegów afrykańskich i Metrowicz zginął ratując swą kochankę.

Te skąpe wiadomości o wczesnym okresie życia Heleny Bławatskiej pochodzą głównie z trzech źródeł: Rawsona, który dużo później opublikował opis jej pierwszej wizyty w Kairze; szwagierki Meyendorffa, która opisała epizod z dzieckiem, oraz krewnego Heleny, księcia Siergieja Juliewicza Witte, który zyskał sławę jako polityk carski i poświęcił kilka stron swoich *Memoirs* barwnym losom kuzynki.

Jako mały chłopiec w Tyflisie, a później student Uniwersytetu Odesskiego znał dobrze Helenę. Określił ją jako „starszawą damę, tęgą i niechlujną”, która walała się po domu w starym szlafroku. W rzeczywistości Helena miała wówczas trzydzieści kilka lat, ale dorastającemu chłopcu wydawała się kobietą starą, zwłaszcza że była gruba i wyglądała poważnie. Witte wyraził swe uznanie dla jej „ogromnych błękitnych

oczu", które „iskrzyły się w nieopisany sposób" *, a także dla jej talentu do przyswajania sobie okruchów wiedzy, nawet muzyki i języków, w takim stopniu, by móc sobie radzić bez formalnego wykształcenia.

Teozofowie nowocześni określają informacje Witte'a jako pisane z uprzedzeniem i nie zasługujące na zaufanie. Był to jednak człowiek o niezwykle prawym charakterze. Ponadto jego słowa nie są atakiem, a raczej dobrodusznym wyrazem uznania dla ekscentryczności kuzynki. Cokolwiek się myśli o pani Bławatskiej, nie można zaprzeczyć, że posiadała ogromny *sex appeal* i przyciągający urok, mimo swej ciężkiej figury, niechlujnego ubioru i samolubnego, nieodpowiedzialnego postępowania.

Wyłowiona z Morza Śródziemnego Helena osiedliła się w Kairze u lewantyńskiej właścicielki pensjonatu, Emmy Cutting. Wykorzystała swoje wykształcenie magiczne zakładając Towarzystwo Spirytystyczne w nadziei, że pozyska dla swoich przygód duchowych różne bliskie i dalekie media. Jednakże towarzystwo rozwiązało się, gdy unosząca się w ciemnościach zmaterializowana ręka ducha okazała się zwykłą rękawiczką wypchaną watą.

Znudzona łaskawym chlebem panny Cutting, Helena odwiedziła rodzinę. Jak zwykle wizyta skończyła się kłótniami i Helena wyjechała do Paryża. Zaczęła jednak odczuwać wstręt do Europy, bowiem jej reputacja w czasach, gdy reputacje dam były rzeczą ważną, leżała w gruzach. Tak więc w roku 1873 wyruszyła do Nowego Jorku, aby rozpocząć życie na nowo.

Pierwsze miesiące Heleny w Nowym Jorku były

* S. J. Witte *Memoirs of Count Witte*, Doubleday, Page, Garden City, N. Jork 1920 - 21, s. 6 nast.

trudne. Chociaż zarabiała drobne sumy jako medium, musiała również wyrabiać krawaty i sztuczne kwiaty w jakiejś pracowni. Jakkolwiek umiała świetnie wykonywać mnóstwo zajęć, nigdy się nie wzbogaciła, gdyż pieniądze przeciekały jej przez palce. Po śmierci ojca odziedziczyła niewielki spadek, który z właściwą sobie ekstrawagancją roztrwonila na wystawne życie, ostatni zaś tysiąc dolarów straciła na niefortunną hodowlę kur.

W październiku 1874 roku przeczytała artykuł Henry'ego Steela Olcotta na temat spirytystycznych wyczynów pary wiejskich mediów z Vermont. O rok młodszy od Heleny, Olcott był prawnikiem w New Jersey, krępy z baczkami i zwodniczą miną człowieka o nieposzkalowanej uczciwości. W czasie wojny domowej otrzymał zadanie ścigania nadużyć w dostawach dla wojska. Z zadania wywiązał się tak dobrze, że końca wojny doczekał w randze pułkownika.

Bystra Helena natychmiast dostrzegła możliwości tego człowieka. Ubrała się w czerwoną bluzę-garibaldi-kę i wyruszyła do Vermont, żeby się spotkać z Olcottem. Zawarcie z nim znajomości nie przyszło jej trudno; któż nie zwróciłby uwagi na jej czerwoną bluzę, palenie papierosów, masywną postać, strzechę kędzierzawych, kasztanowatych włosów, głęboki głos i rosyjski akcent? Podbiła Olcotta wstrząsającymi opowieściami o swej spirytystycznej przeszłości i swoich walkach w męskim przebraniu w armii Garibaldiiego we Włoszech. Wkrótce Olcott zaczął ją nazywać „Jack” i „Moloney”, zaś ona jego „Mulligan”. Po powrocie do Nowego Jorku urządziła mu kilka seansów.

Następnie Helena pomknęła do Filadelfii, aby być obecną przy badaniach dwojga mediów. Założyła wspólne gospodarstwo z młodym emigrantem z Kaukazu, Michaelem C. Betanelly'm właścicielem stoją-

cego na skraju bankructwa przedsiębiorstwa importowego. Gdy Olcott miał ją odwiedzić, uznała za rozsądne poślubić swojego kochanka. Po dwóch bigamiistycznych małżeństwach Helena nie wahała się przed trzecim.

Wkrótce znudził ją mąż-prostak, wróciła do Nowego Jorku i namówiła Olcotta, aby porzucił żonę i dzieci i zamieszkał z nią na Manhattanie. Nazwali swoje mieszkanie „klasztorem lamów” i ozdobili je w surrealistycznym stylu palmami, wypchanymi zwierzętami, wschodnimi stoliczkami i freskiem przedstawiającym dżunglę, który był zrobiony z suchych liści przyklejonych do ściany pokoju stołowego. Przerazony Betanelly rozwiódł się z Heleną. A chociaż Olcott i Helena twierdzili zawsze, że ich stosunek był czysto platoniczny, pani Olcott nie dała się przekonać i również wystąpiła o rozwód.

Zapoczątkowana w ten sposób spółka okazała się wspaniałym pociągnięciem ze strony Heleny Bławatskiej. Chociaż w późniejszych latach wymyślała Olcottowi od „jołopów” i „frazesowiczów”, w rzeczywistości był on wszechstronnym, przedsiębiorczym, zdolnym człowiekiem. Uzupełniał swym geniuszem jej geniusz. Stopniowo Helena nabierała przekonania, że może się stać czymś lepszym niż zwykłym medium. Zaczęła wykorzystywać swoje egipskie doświadczenia. Jej duch-przewodnik „John King”, wdział turban i przywoływał z zaświatów towarzystwo „adeptów egipskich”, którzy pisali do Olcotta obrzydliwie przesadne listy archaiczną angielszczyzną, podpisywane takimi nazwiskami jak „Serapis Bey”.

Adepci bardzo się przyczynili do pozycji Heleny jako nowoczesnej czarodziejki. Jeśli coś krzyżowało jej plany lub prorocstwa, mogła zrzucić winę na nich. W bar-

dziej szczęśliwych przypadkach te nadnaturalne istoty pomagały jej umacniać swą pozycję i wzbudzać oniesmielenie u jej zwolenników. Kiedy potrzebowała czasu, aby ułożyć odpowiedź na postawione pytanie, oznajmiała, naturalnie, że musi zasięgnąć rady adeptów, nie musiała jednak z nikim dzielić zysków, które osiągała dzięki ich porodom. Na szczęście dla niej owe istoty z innego świata nie potrzebowały nowiutkich, zielonych, szeleszczących banknotów dziesięciodolarowych.

„Klasztor lamów” stał się miejscem spotkań ludzi najrozmaitszego autoramentu. Olcott i Helena przyjmowali takich gości, jak: wielebny J. H. Wiggin z Bostonu, który później opracował literackie dzieła pani Eddy; William Quan Judge, który był wówczas młodym urzędnikiem kancelarii adwokackiej; Thomas Edison, który usiłował sprawdzić, czy uda mu się samą siłą woli poruszyć wahadło.

Pewnego wieczoru cała grupa zebrała się, aby posłuchać wykładu o sztuce egipskiej, który wygłaszał architekt George H. Felt. Mówca powiedział przejętym grozą zebrany, że bogowie egipscy o zwierzęcych głowach są w rzeczywistości obrazem duchów żywiolów. Olcott, na którym wywarło to silne wrażenie, poddał myśl założenia towarzystwa badań okultystycznych. Następnego wieczoru, 7 września 1875 roku, stworzyli klub z Olcottem w roli prezesa, Feltem na stanowisku wiceprezesa i Judge'em, pełniącym funkcję sekretarza. Jeden z członków zasugerował nazwę „teozofia”. Od kilku wieków słowem tym określano filozofie, które utrzymywały, że tłumaczą Wszechświat, opierając się na jakiejś specjalnej boskiej wiedzy. Tego wieczoru powstało Towarzystwo Teozoficzne.

Felt podjął z kasy Towarzystwa 100 dolarów na zakup aparatury chemicznej do materializowania du-

chów żywiołów. Niestety, nie udało mu się wywołać nawet najmniejszego psiogłowego ducha i kilka rozczarowanych osób zrezygnowało z członkostwa. Choć jednak żaden duch się nie ukazał, zebrania te przyniosły wiele dziwnych a cudownych rzeczy.

Po pierwsze, Helena Bławatska napisała swoją pierwszą książkę *Isis Unveiled*, nad którą truduła się przez dwa lata. Gdy w 1877 roku *Isis* wyszła w dwóch dużych tomach z druku, spotkała się z mieszanym, ale na ogół złym przyjęciem. Niektórzy recenzenci nazwali ją „cennym wkładem do literatury filozoficznej”, inni „wielkim półmiskiem siekaniny” i „stkiem nonsensów” *.

Przy bliższym zbadaniu *Isis Unveiled* przedstawia ogromną, nieuporządkowaną, chaotyczną masę idei zaczerpniętych z rozmaitych źródeł naukowych, pseudonaukowych i okultystycznych. Idee te zostały nagromadzone z powierzchowną znajomością ich sensu i bez poszanowania logiki. Pani Bławatska zmieszała folklor i filozofie Zachodu z okultystycznymi i mitologicznymi wierzeniami Wschodu i przedstawiła powstałą z tego sałatkę jako swą własną doktrynę magiczną. Ta imponująca, lecz nie do czytania książka, świadczy o ambicji, przedsiębiorczości i bezczelności autorki, a nie o jej wiedzy czy jakiegokolwiek pomocy nadnaturalnej.

Każdego roku pani Bławatska dodawała nowy składnik do teozoficznego *credo*. W końcu w jej naukach zawarły się strzępy i okruchy wszystkich niemal dyscyplin magicznych omawianych w naszej książce — alchemii, astrologii, kabalizmu, numerologii, prorocत्व, spirytyzmu — a także takie indyjskie pojęcia, jak

* K. S. Olcott *Old Diary Leaves (The True Story of the Theosophical Society)*, Putnam's, N. York 1895, t. I, s. 295.

reinkarnacja, karman * i niewidzialne braterstwo mahatmów, które kieruje światem. Ludzie, którzy stykają się z teozofią po raz pierwszy, dostrzegają w tym melanzu kilka bliskich sobie idei i sądzą, że reszta doktryny jest równie rozsądna, tylko na razie niezrozumiała. W rzeczywistości ideologia ta, stworzona z mnóstwa wzajemnie się zaprzeczających idei, jest pozbawiona sensu.

Aczkolwiek pierwsze wydanie *Isis Unveiled* zostało rozsprzedane w dziesięć dni, honorarium autorskie nie wystarczyło na utrzymanie. Olcott był bez grosza, rozgłos oraz fakt, że brał udział w tak ciemnych teozoficznych sprawkach, jak pierwsza kremacja w Ameryce, pozbawiły go praktyki prawniczej. Towarzystwo Teozoficzne istniało tylko na papierze. Ponieważ Ameryka wydawała się jako teren dla okultyzmu skończona, myśli współpracowników kierowały się ku tajemniczemu Wschodowi.

Poprzez nadnaturalne listy od adeptów Helena wywarła na Olcotta nacisk, aby wyruszyć do Indii. Aby zabezpieczyć się przed możliwościami podejrzeń ze strony Brytyjczyków w Indiach o szpiegostwo na rzecz Rosji, przyjęła na wszelki wypadek obywatelstwo amerykańskie. Poczyła również inne przygotowania: pijąc codziennie szklanekę „mesmeryzowanej” wody i prawdopodobnie zmniejszając liczbę jaj smażonych na maśle obniżyła swą wagę (z ok. 120 kg na 75 kg). Była bowiem ascetką tylko odnośnie alkoholu, nato-

* Jest to hinduistyczna idea, głosząca, że każdy organizm podlega rodzajowi bilansu kosmicznego. Jego pozycja w życiu w następnym wcieleniu zależy od postępowania w obecnym wcieleniu. Grzech jest karany obniżeniem pozycji — być może nawet wcieleniem w jedno z niższych zwierząt — zaś cnota jest nagradzana pozycją wyższą, do bramina, a później do całkowitego zjednoczenia z bóstwem.

miast jadła potworne ilości, paliła nieustannie i wypijała galony kawy.

W grudniu 1878 roku „teozoficzne bliźnięta”, jak się zaczęli nazywać, wyjechały do Indii, zatrzymując się po drodze, aby odwiedzić brytyjską filię Towarzystwa Teozoficznego. Helena, która w owym czasie przestała używać określenia „Madame” i wołała, by ją nazywano „H.P.B.”, zaimponowała angielskim przyjaciółom oznajmiając im, że wielki indyjski mędrzec Daynanda obiecał ją przyjąć na swego osobistego ucznia.

Było to na swój sposób prawdziwe. Olcott napisał do Dayanandy Sarasvatiego, założyciela Arja Samâdź, zgromadzenia, którego celem było zmodernizowanie religii hinduskiej*. Zdolał nawet przekonać Hindusa, że cele obu grup były takie same. Kiedy „bliźnięta” przybyły do Bombaju, przewodniczący miejscowego oddziału Arja Samâdź urządził przyjęcie na ich powitanie. Oboje byli zachwyceni, póki gospodarz nie wręczył im zawrotnego rachunku za całą przyjemność.

Osiedli jednak w Bombaju. H.P.B. zaczęła szukać hinduskich czarodziejów. W podróży po Indiach północnych wynajęła w tajemnicy przed innymi członkami wyprawy służącego-iluzjonistę, który nie dawał im spokoju tajemniczymi głosami przemawiającymi z głębi jaskiń i listami do Olcotta dodającymi mu otuchy w jego boskim posłannictwie.

Dayananda rozczarował „teofizyczne bliźnięta”. Okazało się, że nie jest czarodziejem, a tylko nieprzystępnym, surowym reformatorem religijnym. Utrzymywali z nim stosunki jeszcze przez rok, a potem doszło do zerwania z wzajemnym obwinianiem się. Zapewne

* Dążyli oni do restytucji pierwotnej religii indoaryjskiej (przyp. red. pol.).

wówczas Helena rozczarowała się do magów i magii Wschodu i postanowiła stworzyć własną.

Stanąwszy wobec groźby nędzy „bliźnięta” postawiły resztę kapitału na jedną kartę i założyły pismo „The Theosophist”. Przedsięwzięcie przyniosło natychmiastowy sukces. Pozyskali sobie nie tylko kilku zamężnych indyjskich zwolenników, lecz również i sławnego Alfreda Percy Sinnetta, który był świadomym swojej pozycji społecznej dżentelmenem angielskim, dziennikarzem, spirytystą, i czytał *Isis Unveiled*. Kiedy państwo Sinnettowie zaprosili H.P.B. i Olcotta do siebie, Helena ostrzegła ich, że zobaczą „babę szorstką jak stara hipopotamica”*. Mimo wszystko nie spodziewali się usłyszeć takich przekleństw i tak hałaśliwych tyrad, jakimi obrzucała swojego współnika.

Oczarowała ich jednak repertuarem sztuczek — stukotów, srebrnych dzwonek i materializacji drobnych przedmiotów. Pozyskała sobie również Allana Oktawiana Hume’a, ustosunkowanego urzędnika, który później inspirował Indyjski Kongres Narodowy. Namietność do okultyzmu, podobnie jak miłość, wszystko zwycięża — Sinnettowie zaprosili „bliźnięta” na przyszłe lato do miejscowości uzdrowskiej w Simla.

Powróciwszy do Bombaju, H.P.B. zastała tam oczekującą ją Emmę Cutting, starą przyjaciółkę i towarzyszkę-spirytystkę z Kairu, która przyjechała z nowym mężem, francuskim stolarzem nazwiskiem Coulomb. H.P.B. uczyniła z Emmy Coulomb swoją gospodynię, a z jej męża majstra do wszystkiego.

W Simla tej jesieni „bliźnięta” oczarowały brytyjsko-indyjską socjetę i tak zachwyciły Hume’a, że zapragnął natychmiast porzucić pracę i wyruszyć do Ty-

* A. P. Sinnett *Incidents in the Life of Madame Blavatsky*, Theosophical Pub. Soc., Londyn 1886 - 1913, s. 222.

betu, aby osobiście poznać mistrzów. H.P.B. pracownice rozwijała doktrynę o mahatmach tybetańskich. Prócz adepta Moryi, który od dawna korespondował z Olcottem, pojawił się jeszcze jeden. Początkowo nazywała go Kotthumé (drobny zarcik Heleny, połączenie nazwiska Olcott i Hume). Później ów mistrz zwał się Koot Hoomi, Lal Singh lub po prostu K.H. Z czasem mahatmowie zadomowili się nie tylko w teraźniejszości Heleny, ale i w jej przeszłości. Napomykała o kontaktach z nimi przed laty i nakłaniała Olcotta, aby współzawodniczył z nią w najbardziej naciąganych opowieściach.

Nie wszyscy, oczywiście, we wszystko wierzyli, ale mahatmowie umieli się bronić. Gdy Sinnett dał H.P.B. list z prośbą o przekazanie go Koot Hoomiemu, w którym prosi go o zmaterializowanie egzemplarza „London Times” w Indiach w dniu jego wydania, owa dostojna osobistość odpisała, że pomysł jest kiepski. Mahatmowie, wyjaśnił Koot Hoomi, unikają rozgłosu, a co więcej cała rzecz wyrządziłaby krzywdę nieoświeconym masom, gdyby ich odwieczne wierzenia nagle rozsypały się w proch.

Mimo to zdarzały się czasem cuda. Kiedyś podczas jakiegoś pikniku stwierdzono, że brakuje jednej filiżanki i spodka. Helena, która widocznie doskonale znała miejsce pikniku, kazała jednemu z gości rozgrzebać niewielki kopczyk. I oto zdumianym oczom zebranych ukazała się brakująca porcelana. Jeden tylko gość dał wyraz swym podejrzeniom. Gdy zwrócił uwagę, że kopczyk wygląda na świeżo usypany, otrzymał stek obelg za swoją wnikliwość.

Sinnett napisał niewielką książeczkę *The Occult World* (Świat zjawisk tajemnych), w której opisał płomiennymi słowami swoje najnowsze przeżycia okultystyczne. Następnie spędził dwa fascynujące miesiące

w Simla, w domu Hume'a, z cudotwórczynią Heleną. Obaj mężczyźni starali się wydobyć z H.P.B. tajemne doktryny teozofii, ona zaś bawiła ich wspomnieniami o mistrzach, listami od adeptów i odpowiadała na ich pytania wymijająco.

Hume, mniej oczarowany od Sinnetta, zaczął podejrzewać, że Helena sama pisała listy mahatmy. Jego podejrzenia znalazły potwierdzenie, gdy Sinnett napisał do mistrzów bezpośrednio, uskarżając się, że nie może zrozumieć nauk H.P.B. i prosząc, aby się z nim komunikowali bez jej pośrednictwa. Naturalnie, Helena przeczytała list i pokłóciła się wściekle z Sinnettem. Hume ochłodził. Później usiłowała naprawić szkodę listem mahatmy, który prosił Hume'a, aby wybaczył H.P.B., gdyż pozostawiła jedną z siedmiu dusz w Tybecie i poniósł ją temperament.

Hume jednak stopniowo wycofał się z Towarzystwa. Stratę wyrównali dwaj indyjscy „nowo nawróceni”, Subba Row (albo Subba Rao) i Mohini Czatterdzi. Obaj posiadali dobrą znajomość mitologii i filozofii hinduskiej, którą dzielili się ze swoją przywódczynią i która z czasem zaczęła docierać przez listy nadnaturalne do wciąż oszołomionego Sinnetta.

Pod koniec 1882 roku, dzięki funduszom dostarczonym przez bogatych wyznawców indyjskich, główna kwatera Towarzystwa Teozoficznego została przeniesiona do majątku w Adyar, niedalego Madrasu. Piętro niewielkiego domku stanowił jeden wielki pokój, w którym spała H.P.B. Oddzieliła ona część tego pomieszczenia, tworząc „pokój okultystyczny”, w którym umieściła niewielką drewnianą kapliczkę. Kapliczka ta, mniej więcej na metr długa i 30 centymetrów szeroka, stała na półce zakrytej firankami.

Niewielu ludzi wiedziało, że w tylnej ścianie ka-

pliczki był otwór prowadzący do sypialni; ponieważ po drugiej stronie ściany, w sypialni stała potężna szafa. Odsuwana płytką w tylnej ścianie szafy pozwalała sięgnąć ręką i złożyć w kapliczce listy. Przy uroczystych okazjach wierni stawali przed zasłonami. H.P.B. odsuwała je i otwierając drzwi szafki ukazywała im dary mahatmów, których fotografie zdobiły drzwiczki.

W następnym roku w domostwie w Adyar zaroilo się od zjawisk parapsychicznych. Listy mahatmów spadały na głowy gości lub pojawiały się w kapliczce. Zjawy w mglistych szatach przesuwaly się nocą po ogrodzie. Kiedyś odwiedził Adyar generał Morgan, a gdy Mme Coulomb otworzyła kapliczkę, wypadł z niej rzadki okaz spodka i rozbił się na kawałki. Przerażona Mme Coulomb zebrała kawałki porcelany na ściereczkę i włożyła z powrotem do szafki, a męża posłała po klej. Stolarz pobiegł i wkrótce wrócił z klejem. Jednakże, kiedy otwarto ponownie kapliczkę, w środku stał spodek zupełnie jak nowy.

Czasem te sztuki magiczne nie udawały się tak łatwo. Chcąc utrzymać w korbach Massey, prezesa Brytyjskiego Towarzystwa Teozoficznego, H.P.B. wysłała list mahatmy do swej przyjaciółki, pani Billing, medium z Londynu, z pouczeniem, aby włożyła go „do kieszeni pana Massey albo w jakieś inne tajemnicze miejsce” *. Pani Billing przesmuglowała list do księgi protokolarnej Towarzystwa. Znalazienie listu wywarło na Masseyu ogromne wrażenie, ale ktoś podejrzliwy wymógł na pani Billing przyznanie się do oszustwa i pokazanie listu Heleny. Massey porzucił teozofię.

Innym razem amerykański spirytysta, Henry Kiddle,

* A. Lillie *Madame Blavatsky and her „Theosophy”*, Sonnenschein, Londyn 1895, s. 158.

wykazał, że jeden z listów mahatmów, cytowany w książce Sinnetta *Occult World*, zawierał niemal dosłowny fragment przemówienia, które on, Kiddle, wygłosił poprzedniego roku i opublikował w tygodniku spirytystów „Banner of Light”. W następnym wydaniu *Occult World*, Koot Hoomi wyjaśnił dość nieudolnie, że wysłał list drogą telepatii i jeden ze sług, który list ów transkrybował na język śmiertelnych, opuścił zamierzony w tym miejscu cudzysłów.

Sinnett stracił stanowisko redaktora na skutek swojej obsesji okultystycznej. W 1883 roku powrócił do Anglii, napisał jeszcze jedną książkę *Esoteric Buddhism* (*Buddyzm ezoteryczny*) i zaczął działać w Londyńskim Towarzystwie Teozoficznym. H.P.B. i Olcott postanowili pojechać tam za nim, częściowo w celu dokonania inspekcji Towarzystwa, a częściowo ze względu na zdrowie Heleny; zachorowała bowiem na chorobę Brighta. Postanowili zostawić dom pod opieką Coulombów. To jednak do tego stopnia rozdrażniło zwolenników, że aby ich ułagodzić, powołali radę nadzorczą. Taki podział władzy musiał doprowadzić do konfliktu, co też się wkrótce stało.

Po przybyciu do Europy „bliźnięta” były serdecznie witane przez utytułowanych okultystów. Wraz z nimi podróżował ich indyjski wyznawca, Mohini Czat-terdzi, który wywierał wrażenie swoimi szatami i brodą. Nauczono go, by padał plackiem, ilekroć H.P.B. wchodziła do pokoju, i żeby chował ręce za plecami, kiedy go komuś przedstawiano, gdyż zachodni uścisk dłoni mógłby skazić jego wschodnią aurę.

Lady Caithness zaproponowała Helenie mieszkanie w Paryżu. Helena mieszkała tam przez pewien czas z jej siostrą i przewodziła koterii wyznawców, głównie kobiet. Przyfrunęły też i nowe cmy do świecy teozofii, wśród nich zdolny młody dziennikarz rosyjski, Wsie-

wołód Siergiejewicz Sołowjow. Pojawiło się również dwóch najbardziej obiecujących i zamożnych nowych wyznawców Heleny, Bertram i Archibald Keightley. Przyjechał też William Q. Judge, który dotychczas przebywał w Ameryce jako wiceprezes Towarzystwa Teozoficznego, ale wobec spadku zainteresowania ruchem wśród Amerykanów, zamierzał osiąść w Indii.

Olcott i Mohini udali się do Anglii, aby stanąć przed komisją Towarzystwa Badań Parapsychologicznych, a Helena, żądna nowych zwycięstw, ruszyła za nimi. Londyńska Loża Towarzystwa Teozoficznego właśnie obrała nowego prezesa, kiedy w drzwiach ukazała się Madame. Panie stłoczyły się wokół niej, a jedna nawet padła na kolana.

Jednakże z Towarzystwem Badań Parapsychologicznych sprawy nie ułożyły się tak dobrze. Ludzie prowadzący badania, zachowywali się przyjaźnie, ale uznali osoby badane za wykrętne i odporne. Ilekroć kwestionowano którekolwiek z twierdzeń H.P.B., wpadała ona we wściekłość. Często przerywała posiedzenia podnosząc się z fotela jak manewrujący wieloryb i padała plackiem na podłogę, gdyż spostrzegała niewidzialnego mahatmę w pokoju. Za każdym razem Olcott i Mohini naśladowali jej pełne czci gesty. Wobec takiego stanu rzeczy Komisja Towarzystwa do Badań Parapsychologicznych musiała nabrać nieufności.

Tymczasem w Indiach rozpętała się burza. Coulombowie zabronili radzie nadzorczej wstępu do pokoju okultystycznego, a rada ze swej strony oskarżyła ich o nadużycia finansowe. Pani Coulomb opowiedziała o swojej znajomości z Heleną jeszcze w Kairze i zagroziła ogłoszeniem zgubnych rewelacji. W końcu rada nadzorcza wydalila Coulombów z Adyar. Pani Coulomb

zagroziła, że opublikuje czterdzieści listów Heleny, w których przywódczyni udzielała wskazówek, jak wywoływać efekty magiczne podczas jej nieobecności. Gdy H.P.B., zażywająca w Europie czołobitości zwlekała z powrotem, pani Coulomb wykonała groźbę.

Znalazłszy schronienie u pewnego misjonarza, Coulombowie powierzyli owe listy dziennikarzowi, który je opublikował. Aczkolwiek były one pisane po francusku, fakty w nich zawarte nie budziły wątpliwości: a więc znajdowały się wśród nich wskazówki, jak zmienić spodek stłuczony podczas wizyty generała Morgana i jak produkować nocne zjawy mahatmów, zrobionych z tkaniny bawełnianej i obnoszonych na kiju po ogrodzie.

Streszczenie tych rewelacji dotarło do gazet europejskich. Kilku wiernych zaprzysięgło, że Coulombowie sfalszowali listy i zrobili odsuwane drzwiczki skorzystawszy z wyjazdu H.P.B. do Europy. Olcott wyruszył pospiesznie do Indii.

Helena udała się niebawem za nim w towarzystwie eksproboszcza o dobrych koneksjach, Charlesa W. Leadbeatera. Leadbeater, który niedawno zainteresował się teozofią, był mężczyzną o imponującej postaci, spiczastej bródce i wyglądzie Mefistofelesa. Wygląd ten nie pozostawał w niezgodzie z jego naturą, bowiem po śmierci H.P.B. człowiek ten stał się złym duchem kultu. Ów homoseksualista o sadystycznych skłonnościach, był nadętym, kłótliwym, hałaśliwym człowiekiem, który wobec wszystkich, z wyjątkiem najbliższego grona, przybierał snobistyczne pozy.

Towarzystwo Badań Parapsychologicznych, zapoznawszy się z doniesieniami prasy, wysłało do Adyara młodego absolwenta Cambridge, Richarda Hodgsona. Hodgson przybył cztery dni przed Heleną, wybrał Coulombów i sprawdził ich oświadczenia. Stwierdził

również, że Olcott i inni teozofowie zamieszkujący dom opowiedzieli mu niezgodne, a nawet nieprawdziwe historyjki. Poznał mechanizm działania kilku sztuk magicznych, a zwłaszcza sposób zrzucania listów mahatmów z sufitu przez szarpnięcie rozpiętych tam nici. Gdy wreszcie pozwolono mu obejrzeć pokój okulty-styczny, stwierdził, że ściany są świeżo otynkowane, a po kapliczce nie zostało śladu. Wierny Judge spa-lił ją cichaczem, chcąc za wszelką cenę uratować honor.

Hodgson przedłożył zespołowi ekspertów próbki pisma Heleny i kilka listów mahatmów. Eksperci stwierdzili, że Helena sama napisała większość listów, zaś Damodar, jeden z hinduskich nawróceńców, skreślił pozostałe. Po trzech miesiącach pobytu w Adyar Hodgson odjechał w ponurym milczeniu.

Po dalszych wzajemnych obwinianiach się i groźbach wytoczenia procesów o zniesławienie, wymienianych pomiędzy różnymi teozofami a ich wrogami, zwolennicy H.P.B. odesłali ją do Europy. W marcu 1885 roku opuściła Indie na zawsze. Damodar przepadł bez wieści. Podobno usiłował połączyć się z mahatmami wędrując nago przez śniegi Tybetu i zamarł.

Kilka miesięcy później Helena Bławatska zamieszkała w Würzburgu u księżnej Wachtmeister, angielskiej wdowy po szwedzkim dyplomacie, i zaczęła pisać nową książkę *Doktryna tajemna*. Tutaj odwiedził ją Sołowjow, znajomy dziennikarz rosyjski. Znalazłszy się początkowo pod jej wrażeniem, Sołowjow szybko się rozczarował, kiedy ze spódnicy Heleny wypadła pozytywka, która wydawała czarodziejskie dźwięki dzwonek. Co gorsza wyszedł również w otwartej szufladzie pakiecik kopert chińskich, uży-

wanych do listów mahatmów. Kiedy ze śmiechem przestrzegł Helenę, by była ostrożniejsza, wyznała:

„A co robić, jeżeli po to, aby ich nagiąć do swojej roli, trzeba im obiecywać i pokazywać różne sztuczki?... Czy wiesz, że prawie zawsze te najprostsze, najgłupsze, najordynarniejsze «zjawiska» odnoszą największy sukces?... Żebyś wiedział, ilu orłów i lwów we wszystkich zakątkach ziemi zmieniano się na mój gwizd w osły i posłusznie kiwało wielkimi uszami tak jak im grałam!... To zdumiewające! Przynajmniej dziewięć na dziesięć osób jest pozbawione całkowicie zmysłu obserwacji i zdolności pamiętania tego, co miało miejsce zaledwie przed kilkoma godzinami” *.

Później Sołowjow powrócił do Rosji i przeflirtował jeden sezon z dwukrotnie owdowiałą siostrą Heleny, Werą, która opowiedziała mu przeszłość Heleny. Po śmierci H.P.B. dziennikarz spisał swoje wspomnienia o tej niezwyklej kobiecie. Postawę cynicznego oportunisty, jaką przypisał jej Sołowjow, potwierdził duchowny unicki, Moncure Conway, który kiedyś odwiedził ją w Indiach i usłyszał od niej następujące słowa:

„Wszystko to tylko czar... Ludziom wydaje się, że widzą to, czego nie widzą, i na tym koniec” **.

Z końcem 1885 roku ukazał się zapowiadziany raport Towarzystwa Badań Parapsychologicznych, wysuwający na światło dzienne fakty, które Hodgson odkrył odnośnie indyjskich czarów Heleny. Ten szczegółowy, staranny i rzetelny raport zadał teozofii druzgocący cios. Wywołał ogromną falę wystąpień z Towa-

* W. S. Solowiow *A Modern Priestess of Isis*, Longmans, Green, Londyn 1895, s. 152, 156.

** M. D. Conway *My Pilgrimage to the Wise Men of the East*, Houghton, Mifflin, Boston 1906, 199.

rzystwa Teozoficznego i krzyków o „potwarzy” i „uprzedzeniu” ze strony Heleny i garstki pozostałych wiernych. Hodgson zakończył swój raport słynnym epitafium:

„ Ze swojej strony nie uważamy jej ani za wyrazicielkę utajonych wieszczów, ani za zwykłą awanturnicę; sądzimy, że zasłużyła na trwałą pamięć jako jeden z najwytrawniejszych, najbardziej pomysłowych i interesujących szarlatanów w historii” *.

Zagroziwszy sensacyjnym przyznaniem się, a następnie zakończeniem całej sprawy, Helena wymogła na Sinnetcie, aby napisał jej oficjalną biografię. Opowiedziała mu fantastyczną bajkę: że po raz pierwszy poznała mistrza Moryę w Londynie w 1851 roku; że jako napastowana dziewica zjeżdżała cały świat — Europę, Azję i Amerykę Północną — studiując okultyzm; że dwukrotnie odwiedziła Tybet i studiowała pod kierunkiem mahatmów.

Helena przeniosła się do Belgii, aby zamieszkać u krewnych i skończyć *Doktrynę tajemną*. Napisała kilka tysięcy stron, ale rzecz okazała się beznadziejnym galimatiasem. Wyratowali ją z kłopotu bogaci i wykształceni Keightleyowie, którzy należeli do jej najwcześniejszych wyznawców brytyjskich. Sprowadzili ją do Anglii, umieścili w jakimś domu w Londynie i przepracowali olbrzymi manuskrypt tak, że stał się niemal zrozumiały.

Doktryna tajemna, która ukazała się w 1888 roku i która jest głównym dziełem Heleny, dalece przeraża *Isis*, pomimo swego fantastycznego bezładu i eks-

* R. Hodgson *Report of the Committee Appointed to Investigate Phenomena connected with the Theosophical Society* w: „Proceeding of the Society for Psychical Research” III (1885), cz. VIII i IX, Trübner, Londyn, s. 306.

centrycznych rozmiarów. Tom pierwszy, *Kosmogenezis*, rozpoczyna się szeregiem przedmów, w których autorka daje upust swemu kompleksowi prześladowczemu: „Do obelg jest przyzwyczajona; kalumie spotykają ją co dnia; na potwarz odpowiada uśmiechem w milczącej pogardzie” *. Trudno o kogoś mniej milczącego wobec potwarzy, niż Helena Bławatska.

Dalej opowiada o starożytnej *Księdze Dżyan* **, napisanej na zaginionej Atlantydzie. Mahatmowie pokazywali jej podczas swych wizyt rękopis tej księgi spisanej na liściach palmowych. *Doktryna tajemna* składa się głównie z cytatów z wymagowanej *Księgi Dżyan* i rozwlekłych komentarzy H.P.B. Na komentarze składają się urywki okultystycznej paplaniny plus diatryby przeciw „materialistycznej” nauce i „dogmatycznej” religii. *Strofy Dżyan* rozpoczynają się następująco:

„1) Wieczysta Rodzicielka, przyodziana w swoje Niewidzialne Szaty, przespała raz jeszcze Siedem Wieczności.

2) Czas nie istniał, bowiem drzemał w Nieskończonym Łonie Trwania.

3) Duch Uniwersalny nie istniał, nie było bowiem Ah-hi, w których by się mieścił.

4) Siedem Dróg Rozkoszy nie istniało. Wielkie Przyczyny Niedoli nie istniały, bowiem nie było komu ich stworzyć ani dać się usidłać.

5) Ciemność jedynie wypełniała Bezgraniczną Wszystkość”.

Niebawem Wszechświat zaczął się budzić:

„Ostatnia Wibracja Siódmej Wieczności napełniała Nieskończoność. Rodzicielka pęcznieje rozszerzając się od środka jak Pąk Lotosu...”

* H. P. Bławatska *The Secret Doctrine (The Synthesis of Science, Religion and Philosophy)*, Theosophical Pub. House, Adyar, Indie, 6 tomów, 1888 - 1938, t. I, s. 9.

** Dżyan — wymawiane niekiedy jak „John” (może od imienia cytowanego już Johna Kinga?).

Po różnych kosmicznych wydarzeniach opisanych mętym językiem, na Ziemi pojawia się życie:

„Po wielkich boleściach zrzuciła z siebie Trzy stare i okryła się Siedmiu Nowymi Skórami i stanęła w pierwszej. Krąg zawirował jeszcze trzydzieści po dziesięć milionów razy. Stworzyło to Rupas; miękkie kamienie, które stwardniały; twarde rośliny, które zmiękły. Widoczne z niewidzialnego, Insekty i drobne żyjątka... Wodnych Ludzi, strasznych i złych, stworzyła sama z resztek innych... Wielcy Chohani przyzwali Panów Księżyca, o Ciałach Zwiewnych: «Wydadźcie na świat Ludzi, Ludzi waszej natury» ... Do istot pełzających dodano zwierzęta z kośćmi, smoki żyjące w głębinach, Sarpy latające...” *.

Czytając dalej dowiadujemy się o siedmiu płaszczyznach istnienia. Każdy z nas posiada siedem „zasad” (duchów lub ciał), po jednej na każdej płaszczyźnie. Każdy świat, taki jak nasz, należy do „łańcucha planetarnego” siedmiu światów podążających jeden za drugim z jednej płaszczyzny do drugiej, jak konie na karuzeli. Na każdym z tych globów życie przechodzi siedem cykli lub „rund”, kiedy to ludzkość rozwija się przez siedem faz zwanych Rasami Podstawowymi, z których każda posiada siedem ras podrzędnych.

Pierwsza Rasa Podstawowa, rodzaj meduzy astralnej, żyła w Świętej Nieprzemijającej Krainie, która tym niemniej przeminęła. Druga, nieco już konkretniejsza, zamieszkiwała dawny kontynent arktyczny, Hiperboreę. Trzecią rasę stanowili gigantyczni, podobni do małp, dwupłciowi, składający jaja Lemurejczycy, posiadający czasem dwie pary rąk, a czasem oczy umieszczone z tyłu głowy. Ich upadek spowodowało odkrycie płci. (H.P.B. miała dość mętny pogląd na płć, odkąd osiągnęła wiek, w którym przestała być nią osobiście zainteresowana).

Czwartą Rasą Podstawową byli Atlantydzci. My sta-

* H. P. Bławatska *The Secret Doctrine...*, j.w., t. I, s. 91; t. III, s. 28, 32.

nowimy piątą, a wkrótce powstanie szosta. Cała ta ewolucja — dużo barwniejsza niż to, co kiedykolwiek wyobrażał sobie Darwin — odbywała się pod nadzorem mahatmów.

Poważni orientaliści, zirytowani pretensjonalnością „doktryny tajemnej”, udowodnili niebawem, że nie jest ona ani tak bardzo stara, ani tajemna. Pewien uczony, acz pozbawiony poczucia humoru Kalifornijczyk, William Emmette Coleman, odkrył źródła, z których czerpała Helena. Większość *Strof Dżyan* pochodzi z *Hymnu Stworzenia* w starej sanskryckiej księdze *Rig-Weda*, czego z łatwością dowieść porównując oba dzieła. Innymi z jej ważniejszych źródeł były staro-hinduskie *Wisnu Purana* w przekładzie H. H. Wilsona; *World Life; or Comparative Geology* Alexandra Winchella; oraz *Atlantis: The Antediluvian World* Ignatinsa Donnelly'ego.

Te oraz inne współczesne dzieła naukowe, pseudo-naukowe i okultystyczne zostały bezlitośnie splagiatyzowane i zużytkowane w sposób wykazujący bardzo powierzchowną znajomość omawianego przedmiotu. *Doktryna tajemna* pozostaje tym niemniej biblią teozofii. Dzisiejsze sekty wiodą spory nad późniejszymi zmianami redakcyjnymi, których dokonała pani Besant, i klócą się, czy pośmiertny tom esejów H.P.B., dołączony w 1897 roku do dzieła, winno się uznać za uświęcony.

Wspomagana przez Keightleyów i uwolniona od zmartwień o pieniądze H.P.B. założyła własną lożę w Londynie, organizację niezależną od Loży Indyjskiej Olcotta i Loży Londyńskiej Sinnetta. Uformowała wewnątrz swojej nowej grupy dwa ściślejsze, tajne kręgi, i na ich ślepej lojalności oparła kierownictwo nad pozostałymi członkami.

Nie będąc już dłużej zależna od funduszków asygnowanych przez Olcotta, odsunęła się od niego. Kiedy zaprotestował przeciw założeniu nowej, niezależnej grupy, odpisała mu z pogardą: „Posłuchaj, Olcott, to bardzo przykre, niewymownie przykre, ale muszę ci zaproponować *marché en main*, jak mówią Francuzi... To wcale nie groźba, lecz *fait accompli*” *. Olcott ustąpił. Jako prezes Międzynarodowego Towarzystwa Teozoficznego mieszkał w Indiach aż do śmierci.

Sinnett, zazdrosny o to, że kilku jego zwolenników przeszło do loży H.P.B., zerwał z nią wszelkie stosunki. Stosunki te i tak nie były dotychczas najlepsze, bowiem Madame wyśmiewała niektóre z głoszonych przez niego przekonań, mimo że sama mu je podsuwała w jednym z listów mahatmy. Podczas kłótni wyznała mu otwarcie, że jest autorką listów, przez które porzucił swą karierę. Aby uratować resztki szacunku dla samego siebie, powrócił do mediów, za pośrednictwem których ostatnio otrzymywał wieści od mahatmów. Nieszczęsny Sinnett nie mógł się rozstać ze swymi mistrzami, mimo że rozczarował się do kobiety, która go z nimi zapoznała.

Z czasem pogodził się z następczynią H.P.B. i został wiceprezesem Międzynarodowego Towarzystwa Teozoficznego. Napisał podręcznik teozofii dla zaawansowanych *The Growth of the Soul* (Rozwój ducha). Wreszcie, będąc już w bardzo podeszłym wieku, wydał pełen goryczy tomik zatytułowany *The Early Days of Theosophy in Europe* (Pierwsze dni teozofii w Europie), w którym wyjawiał swoje kłopoty z panią Blawatską, ale usprawiedliwił ją „złymi wpływami, jakie czasami na nią oddziaływały” **.

* H. S. Olcott *Old Diary Leaves*, j.w., t. IV, s. 55.

** A. P. Sinnett *The Early Days of Theosophy in Europe*, Theosophical Pub. House, Londyn 1922, s. 92.

Pewna siebie, pośród oddanych wielbicieli, Helena kierowała swoją lożą. William Butler Yeats (który, o czym Czytelnik zapewne pamięta, parał się z MacGregorem Mathersem i Aleisterem Crowleyem kabałą) przebywał czas jakiś w magicznym kręgu Heleny Bławatskiej. Dużo później, gdy został odepchnięty w mrok za próbę poddania jakiegoś eksperymentu okultystycznego testom naukowym, poświęcił zwięzły szkic ostatnim latom życia H.P.B. Określił ją jako „rodzaj doktora Johnsona w spódnicy”, ubranego w poplamiony tłuszczem i atramentem szlafrok z czerwonej flaneli, bez przerwy skręcającego papierosy w drobnych dłoniach, stawiającego pasjanse, wyśmiewającego teozofów, gromadzących się na obiadach jarskich, który oczarowywał ich błyskotliwą rozmową i usuwał członków za flirt i plotki. A mimo to, gdy stwierdzono, że pewna bardzo ładna członkini znalazła sobie wśród teozofów dwóch kochanków, H.P.B. zbesztawszy ją uprzednio, oświadczyła: „Mogę ci zezwolić najwyżej na jednego” *.

Kiedy *Doktryna tajemna* wyszła z druku, jeden z pierwszych egzemplarzy wpadł w ręce Annie Wood Besant, czterdziestojednoletniej kobiety, która miała już tyle przygód życiowych, że wystarczyłoby dla kilku zwykłych ludzi. Wiele lat przedtem porzuciła męża, który był pastorem, i stała się zaprzysiężoną bojowniczką o ateizm, feminizm, kontrolę urodzin, socjalizm i spirytyzm. Stanowiła przeciwieństwo H.P.B. niemal pod każdym względem. Ta drobna, a mimo to uderzająco piękna brunetka o smutnych oczach, doskonała mówczyni, a jednocześnie nieśmiała i cicha w życiu prywatnym, była uczuciowa, niesprawiedliwa, cał-

* W. B. Yeats *The Autobiography of William Butler Yeats* Doubleday, Garden City, N. York 1916 - 1958, s. 118, 120.

kowicie pozbawiona poczucia humoru. Była zbyt prostolinijna, aby stosować oszukańcze tricki i zbyt naiwna, by uwierzyć, że stać na to ludzi, do których czuje sympatię.

Annie Besant odwiedziła Helenę Bławatską i z miejsca została nią oczarowana, mimo że czytała raport Hodgsona demaskujący teozoficzne szachrajstwa H.P.B. w Indiach. Zerwała swoje dotychczasowe związki, porzuciła idee, o które do tej pory walczyła i poświęciła życie teozofii i jej założycielce. Zamieszkała z H.P.B. i została z góry zamianowana jej następczynią. Helena, mając lat pięćdziesiąt kilka, była kobietą przedwcześnie postarzałą i schorowaną; ale w ostatnich dwóch latach swego życia czuła się szczęśliwa, że pozostawia teozofię w zręcznych dłoniach Annie Besant.

W 1891 roku, kiedy pani Besant znajdowała się w drodze do Ameryki, H.P.B. zachorowała na grypę. Kilka dni później, powróciwszy dosyć opieszale na łono Kościoła prawosławnego, umarła otoczona grobem wiernych.

Od tej pory teozofowie napisali niejedną biografię H.P.B., wynosząc ją pod niebiosa i rozprawiając się surowo z każdym, kto się ośmielał krytykować ich boginię. Śmieszna rzecz: Jako posągowa święta H.P.B. nie jest ani przekonująca ani bardzo interesująca. Taką, jaką w istocie była — ze swymi kłamstwami, kochankami, haszyszem, ukrytymi drzwiczkami i innymi wyczynami — reprezentuje jedną z najbardziej fascynujących, zabawnych i na swój przewrotny sposób miłych postaci w całej łotrowskiej galerii magii.

Ledwie zdążono spalić w krematorium zwłoki H.P.B., rozpętała się wściekła walka o władzę między Olcottem, panią Besant i Williamem Q. Judge'em, który



Ryc. 37. Okultyści w ogniu walki: karykatura opublikowana w okresie walki o kierownictwo Towarzystwa Teozoficznego po śmierci Madame Bławatskiej. Judge (po lewej stronie) i Olcott okładają się kukiełkami mahatmów, zaś pani Besant usiłuje okryć tę bójkę kurtyną.

wciąż przewodził amerykańskiemu oddziałowi Towarzystwa Teozoficznego. Były oskarżenia o kradzież dobytku H.P.B., o podrabianie listów mahatmów i o cudzołóstwo Olcotta z jedną z członkiń. Po różnych aktach demaskatorskich i falach rezygnacji, Judge utworzył schizmatyczne Towarzystwo Teozoficzne w Ameryce, które objęło dwie trzecie towarzystwa amerykańskiego i frakcje w innych krajach.

W rok później Judge zmarł. Ster jego towarzystwa przechwyciła jego współpracowniczka, pani Katherine Tingley, medium transowe, która dostarczała Judge'owi wieści od mahatmów i która przebrana za adepta, okutana całkowicie welonem, przewodniczyła na pewnych urządzonych z ogromnym przepychem teozoficznych zaślubinach. Pani Tingley stworzyła „Szkołę Odrodzenia Zaprzepaszczonych Tajemnic Starożytności” w Point Loma, w Kalifornii, a następnie przekształciła swą organizację w „Towarzystwo Teozoficzne i Powszechnego Braterstwa”. Rządziła owym towarzystwem wiele lat, piastując godność „purpurowej matki”, póki żona jednego z członków nie oskarżyła jej o rozbijanie małżeństw. Wówczas przeniosła się do Europy, gdzie zmarła w 1929 r.

Od tej pory powstawały dalsze schizmy. Niektóre z odszczepionych grup wygasły; inne przetrwały do dziś. Kilka lat temu, kiedy badaliśmy tę sprawę, odkryliśmy trzy regularnie spotykające się grupy teozoficzne w Nowym Jorku. Największą była Zjednoczona Loża Teozofów, lojalna wobec Judge'a. W spotkaniu, które odbyło się w atmosferze nadętej powagi, wzięło udział 250 członków. Nowojorskie Towarzystwo Teozoficzne, uznające zwierzchnictwo kwatery głównej w Adyar, było żywsze, ale mniej liczne, gdyż składało się z około pięćdziesięciu członków. Trzecia grupa, mieniąca się po prostu Towarzystwem

Teozoficznym, liczyła mniej więcej dwudziestu członków, w tym kilka najbardziej zwariowanych indywidualuów, jakie kiedykolwiek spotkaliśmy. W grupach teozoficznych zauważa się coraz to większą obecność starszych pań i pretensjonalnych młodych ludzi, przy równoczesnym braku ładnych dziewcząt.

Zimą 1893 - 1894 roku Annie Besant udała się do Indii. Szybko została uznana przez większość teozofów za następczynię H. P. B., mimo że Olcott zachował urząd prezesa aż do śmierci, która nastąpiła w 1907 roku. Ze zwykłą sobie zadziwiającą energią zajęła się swą nową rolą. Została zwolenniczką hinduizmu, a nawet broniła jego - praktyk palenia wdów na stosie i prostytucji świątynnej. W Benares założyła Central Hindu College i uczyniła z niego szkołę o dużym znaczeniu. Dążyła do odrodzenia hinduskiego nacjonalizmu i zajmowała przez rok stanowisko przewodniczącej Indyjskiego Kongresu Narodowego.

Jednakże jej tryumfy w dziedzinie teozofii były osłabione licznymi skandalami, z których większość łączyła się z osobą Charlesa Leadbeatera. Podczas jednej z podróży pani Besant do Anglii, ów eksduchowny zjednał ją sobie opowieściami o swych wizjach wróżek, „form myślowych” unoszących się w płaszczyźnie astralnej i atomów w kształcie oślich uszu i korkociągów. Twierdził również, że duchem odwiedzał tybetańską siedzibę Koot Hoomiego i widział jego bibliotekę zawierającą rękopisy Buddy i Jezusa, organy i maszynę do pisania. Od tej pory stał się prawą ręką Annie Besant.

Jednak od 1905 roku Leadbeater raz po raz wchodził w kolizję z prawem z powodu swych stosunków z różnymi chłopcami, których uczył. Kiedy w śledztwie ujawniono, że skłaniał synów teozofów do upra-

wiania samogwałtu w celach okultystycznych, zmuszono go do wystąpienia z Towarzystwa. Niebawem jednak wkradł się z powrotem w łaski Annie Besant, która nie będąc medium potrzebowała jego obecności do inspiracji okultystycznej.

Pod wpływem Leadbeatera teozofia przesiąkła rytuałem i obrzędowością. Powstały grupy uzupełniające Towarzystwa i organizacje współtowarzyszy podróży, które prześcigały się wzajemnie przepychem insygniów i dramatyczną barwnością rytuałów. Niektóre z tych grup okazały się zwykłymi koteriami homoseksualistów.

Był to właśnie pomysł Leadbeatera, aby deifikować młodego Hindusa, Jiddu Krishnamurti. Ten czternaścieletni syn hinduskiego teozofa został, rzec można, porwany swemu ojcu, wykształcony w Anglii i przedstawiony teozoficznemu światu jako mesjasz. Jednakże w 1927 roku na tak zwanym „spotkaniu obozowym” w Holandii, Krishnamurti zbuntował się. Oświadczył osłupiałym uczniom, że wszystkie obrzędy, dogmaty i organizacje są bezcelowe i że każdy sam musi znaleźć własne duchowe prawdy. Wycofał się z teozoficznych kręgów, osiadł w swojej posiadłości w Kalifornii i żył sobie spokojnie, wyjeżdżając od czasu do czasu, aby nieść dociekającym prawdy grupom w różnych częściach świata swoje skromne posłannictwo.

Apoteoza Krishnamurtiego wywołała zwykłą w takich wypadkach falę wystąpień. Pod przewodnictwem erudyty Rudolfa Steinera, wysokiego, krzykliwego Austriaka, w środkowej Europie odłączyła się od Towarzystwa grupa 2400 teozofów. Steiner nazwał tę nową organizację Towarzystwem Antropozoficznym i umieścił w nowowynbudowanym ośrodku w Szwajcarii. To „architektoniczne arcydzieło wszystkich czasów”, zanim pochłonął je ogień, składało się z grupy

zwykłych budynków, nad którymi dominowała budowla przypominająca nieco pagodę. Steiner podobno zaprojektował tę budowlę ścisnąwszy w dłoni bryłkę świeżego kitu i przykazał architektowi, aby zbudował coś takiego. Steiner przeniósł się na wyższą płaszczyznę bytu w 1925 roku, ale jego organizacja nadal istnieje w Ameryce i ma swoją główną kwaterę w Nowym Jorku.

Pani Besant, zestarzała i znękana przeciwnościami losu, zmarła w 1933 roku. Leadbeater, który pozostał teozoficzną potęgą do końca, przeżył ją o rok. Po zwykłych spiskach i intrygach kierownictwo Towarzystwa przeszło w inne ręce.

Od wielu lat liczebność głównego Towarzystwa Teozoficznego waha się między 40 a 50 tysiącami członków. Co roku znaczny napływ nowych członków równoważy równie znaczny ich odpływ; bowiem teozofia jest tylko etapem w okultystycznej odysei miłośników magii. Ludzie ci przystępują do jakiegoś towarzystwa na lat kilka, potem rozczarowują się i przechodzą do innego. Pod koniec życia nieodmiennie trafiają do jakiegoś konserwatywnego Kościoła.

Obok wpływu na dzisiejsze towarzystwa teozoficzne, nauki H.P.B. — zwłaszcza mit o hierarchii tajemniczych mistrzów — były kopiowane, parafrazowane lub przyswajane przez mnóstwo innych kultów magicznych i sekt. Kultury te nieustannie pojawiają się i nikną, a przybierają takie nazwy, jak na przykład różokrzyżowcy, mistycy chrześcijańscy, instytut fizyki mentalnej, szkoła tajemna, lub zakon Mahamadzi. Często przywódcy kultowi próbują tylko powtórzyć oszalałymi sukces Heleny Bławatskiej, ale ponieważ nie posiadają jej uroku, siły przyciągania ludzi i bujnej wyobraźni, żaden nie zdołał tego osiągnąć.

Najdziwaczniejszy ze wszystkich teozoficznych nadsławdownictw jest ruch Ballardów, zwany „I AM” („Jestem”), który można uznać za karykaturę teozofii. Ponieważ sama teozofia została słusznie określona jako „karykatura myśli Wschodu i nauki Zachodu”*, ballardyzm przechodzi ludzką wyobraźnię.

Guy Warren Ballard, alias Godfré Ray King, był wysokim, chudym, kapryśnym, dwulicowym mężczyzną, urodzonym w Kansas w 1878 roku, który przez wiele lat występował jako medium spirytystyczne. Jego żona, Edna Wheeler Ballard, alias Lotus Ray King, rozpoczęła karierę jako artystka wodewilowa a następnie ekspedientka składnicy dzieł okultystycznych. Po roku 1920 Ballard sprzedawał starszym paniom akcje nie istniejących kopalni złota i szybów naftowych. W roku 1929 w Chicago został postawiony za tę działalność w stan oskarżenia. Uciekł więc z miasta i zaczął, aż postępowanie zostanie umorzone.

Pomysł tego paranoicznego kultu podsunął Ballardowi przyjaciel, William Dudley Pelley, który był założycielem faszystowskich Srebrnych Koszul. Ballardowie zorganizowali swój kult na podobnych zasadach co Pelley. Ponieważ wzięli za swego prywatnego mahatmę XVIII-wiecznego poszukiwacza przygód i organizatora, samozwańczego hrabiego de Saint Germain, nazwali swoje oddziały szturmowe „żołnierzami świętego Germaina”. W ich kościołach wisiały dwa obrazy: Jezusa, oraz brodatego, odzianego w białe szaty osobnika ze świdrującymi oczami, utożsamianego ze „świętym Germainem”, ale zupełnie nie podobnego do eleganckiego hrabiego.

Według Ballardów, święty Germain należał do hierarchii niebiańskich mistrzów, a sami ballardowie byli

* K. T. Behanan *Yoga*, N. Jork 1937, s. 165.

ich akredytowanymi posłannikami. W *Tajemnicach nieodkrytych* Ballard opowiada jak spotkał świętego Germaina na górze Shasta i jak wraz z owym mistrzem wyruszył w podróż dookoła świata i w głąb wieków. Badał zaginione cywilizacje na Saharze i na dnie Amazonki. Widział siebie samego i swoją żonę w poprzednich wcieleniach; na przykład, w starożytnym Egipcie on był kapłanem a ona westalką (sic!). W dalszym ciągu dowiedział się miłej rzeczy, że on, jego żona i ich syn Donald byli w innym wcieleniu Jerzym Waszyngtonem, Joanną d'Arc i markizem Lafayette.

Ballardowie uczynili wszystko, aby utrzymać władzę nad swymi zwolennikami. Członkom kazano kupować ogromne ilości książek, pamfletów i płyt gramofonowych i mimo bezgranicznych bogactw, jakimi chętni się mistrzowie, składać nieskończone „ofiary miłości” na rzecz ruchu. Wzbroniono im wszelkich stosunków płciowych, legalnych i nielegalnych, co naturalnie doprowadziło do rozbicia wielu rodzin. Ballardom zaś dało wytłumaczenie, dlaczego nie spełniły się różne obiecane cuda, jak masowe „wniebowstąpienie” w Los Angeles w 1936 roku. Zachęcali członków do niszczenia antyków, które, jak mówili, dawały schronienie „Istotom” (złym duchom), i zmuszali zwolenników do zabijania wszystkich hodowanych dla przyjemności zwierząt, aż do ostatniej złotej rybki. Narzucali te dziwaczne wymagania, aby pozbawieni obiektów normalnych uczuć zwolennicy otoczyli miłością przywódców.

Ballardowie również zastraszcili swe ofiary „czarnymi magami”, których zwalczali nieustannie „wyrokami” i „błękitnymi promieniami świętego Germaina”. Do ich obrządków należało wydawanie tych „wyroków”, które zwolennicy wykrzykiwali unisono.

Na przykład stosowano wobec wrogów krzyki: „Uderz! Uderz! Uderz!”, aby ich zniszczyć błękitnym piorunem.

W 1937 roku Ballardowie usiłowali czarami pozbawić życia prezydenta Roosevelta i jego żonę, aby przejąć rządy w swoje ręce. Jednym z ich celów było wyeliminowanie czerwieni (jako barwy komunizmu) z flagi amerykańskiej i zastąpienie jej złotem. Państwo Rooseveltowie okazali się jednak niewrażliwi na te czary, flaga pozostała czerwono-biało-niebieska, a sam Ballard „wstąpił do nieba” wskutek choroby serca w 1939 roku.

Energiczna pani Ballard i jej syn działali nadal w Los Angeles, póki w 1940 roku nie oskarżono ich o oszustwa dokonywane za pośrednictwem poczty. Oskarżenie brzmiało, że wyludzali pieniądze podając się za nieśmiertelnych „akredytowanych posłanników”, którzy potrafią obdarzyć nieśmiertelnością innych, leczyć choroby i ocalić kraj od zguby, przy czym byli w pełni świadomi, iż wszystko to jest oszustwem. Obrona opierała się na swobodzie religijnej — punkt, co do którego najwięksi mędrcy naszych czasów mogliby mieć różne zdania. W każdym razie oskarżeni zostali uznani za winnych i zapłacili grzywny.

Z kariery pani Bławatskiej i jej następców dowiedzieliśmy się kilku rzeczy o zachodnim okultyzmie. W pierwszym rządzie zauważyliśmy rosnącą wciąż feminizację magii jako nieoczekiwany produkt uboczny emancypacji kobiet. Podczas gdy w dawniejszych wiekach wybitnymi osobistościami w magii byli mężczyźni, ostatnie stulecie stworzyło rosnący wciąż odsetek okultystek.

Dowiedzieliśmy się również, że te okultystyki przyciągają tysiące wyznawców obu płci, pomimo faktu,

iz często bywają grube, brzydkie, stare, wulgarne czy wybuchowe. Ich myśli są mętne, ich dzieła pozbawione logiki, a często i sensu. Potrafią być brutalnie niesprawiedliwe względem swych lojalnych uczniów, są despotyczne jak królowie i równie zazdrośnie strzegą swoich przywilejów. Posiadają jednak taką moc oddziaływania na wyobraźnię i mamienia swoich zwolenników, że bywają traktowane na równi z bóstwem, a ich najjawniejsze oszustwa i najabsurdalniejsze wymagania są przyjmowane bez szmeru protestu.

Ponadto zauważyliśmy, jaką wartość ma dla czarodzieja stworzenie hierarchii transcendentálnych mistrzów, których woli służy. Wielu czarodziejów utrzymywało, że są nadludźmi albo półbogami; ale półbogów takich spotyka klęska, jeśli ich bóstwo w krytycznym momencie zawiedzie. Znacznie rozsądniej jest przedstawiać się jako ziemski reprezentant tajemniczego zgromadzenia mahatmów, czyli nieujawnionych władców świata. Posłannicy takich boskich istot mogą bowiem wygrzewać się w blasku ich chwały, gdy sprawy toczą się pomyślnie i wyprzeć się odpowiedzialności, jeśli coś pokrzyżuje ich plany.

W dodatku spostrzegliśmy, że teozofia, jak wiele innych dyscyplin okultystycznych, posiada moc przyciągania ludzi różnych grup społecznych i narodowości. Wykształcenie nie stanowi zabezpieczenia przed czarem okultysty; a gdy ktoś da się oczarować, wówczas milknie rozsądek, czasami nawet do tego stopnia, że odrzuca jawne dowody oszustwa. Dostrzegliśmy też, że miejsce każdego rozczarowanego wyznawcy zajmuje natychmiast nowy, wypełniając w ten sposób luki w szeregach takich kultów, jak teozofia.

Dowiedzieliśmy się również, że przywódcy tych kultów są często ludźmi wątpliwej uczciwości. Oszu-

stwa i szykany doprowadzają ich często do konfliktu z prawem. Wszelkie kroki prawne powinny być jednak przedsiębrane z najwyższą ostrożnością.

Widzieliśmy wreszcie, jakie głębokie wrażenie wywierają na ludzi dzieła ich czarodziei. Mają oni pewność, że w tajemniczych zdaniach leży ukryta prawda. Poszukują owej prawdy z takim zapalem, że nigdy nie zauważają banałów, złej gramatyki ani bezsensownych frazesów. Jeżeli nic nie rozumieją, winią tylko siebie.

Jednakże od wścibskich mahatmów można nauczyć się jednego: że mądrość nie leży ani w siedzibie lamów w Tybecie, ani w mieszkaniu jakiegoś czarodzieja w Nowym Jorku, Londynie czy Paryżu. Mądrości nie można kupić podporządkowując własną niezależność woli jakiegoś czarownika. Jest ona wolno tworzącym się amalgamatem wiedzy zdobytej drogą studiów i obserwacji, w inteligentnym zastosowaniu wiadomości nabytych do sytuacji napotykaných w świecie, w którym żyjemy. Ci, którzy szukają skrótovej drogi do mądrości, narażają się na utratę charakteru, zdolności osądu krytycznego, majątku, a nawet zdrowych zmysłów.

POGRANICZA MAGII

Ledwie w te kraje przyjechał
 Z Ultima Thule* dalekiej —
 Z pustki niezmiernych klimatów,
 Spoza Czasu — spoza światów**.

E. A. Poe

Człowiek dopiero niedawno dobił do brzegów cywilizacji. Pod względem swoich możliwości fizycznych oraz postawy psychicznej, daleko lepiej jest przystosowany do życia prymitywnego myśliwego sprzed wieków, niż do obecnej egzystencji giętkiego, spostrzegawczego światowca. Chociaż rozwój naukowy ostatnich kilku tysiącleci narzucił mu tę nową rolę, ta metamorfoza człowieka jest często bardzo powierzchowna. Zachował swoje odwieczne przesady i lęki. Ucząc się używać koła, budować wodociągi, żeglować przez oceany, nawet prowadzić samoloty i rozbić atomy, większość ludzi nie wyrwała się spod władzy wierzeń, które wyrosły na długo przed narodzinami nauki.

* Ultima Thule — wyspa uważana przez starożytnych Rzymian za kraniec świata. Nie została ona definitywnie zidentyfikowana przez nowożytnych geografów. Być może chodziło o Islandię lub Norwegię, którą do XI wieku n.e. uważano za wyspę (*przyp. red. pol.*).

** Przekład fragmentu E. Życińskiej z: E. A. Poe *Dream Land*, 11. 5 - 8.

Aczkolwiek nauka rozprawiła się z tysiącami tajemnic dnia wczorajszego, wiele wątpliwości pozostaje nadal nie wyjaśnionych. Niektóre z nich stworzył sam człowiek, czasami bowiem rozmyślnie zamyka oczy na udowodnione fakty i działa opierając się na wyświechtanych zasadach magii. Nie rozwiewa to jednakże wszystkich wątpliwości. Pomiedzy mrocznym królestwem magii i słonecznym łądem nauki leży ciemne pogranicze, gdzie czarodzieje pozują na uczonych, naukowcy postępują niczym czarodzieje, a zwykli ludzie stoją oszołomieni u brzegów myśli, których nie mogą pojąć.

Pogranicze to, choć niebezpieczne, posiada jakiś szatański urok. Nad śliskim gruntem zwisają barwne kwiaty z gałęzi ozdobionych girlandami fantastycznych pnączy; a nad spokojnymi czarnymi wodami unoszą się jaskrawe motyle. Te niezbadane regiony przecina wiele wąziutkich alejek. Zagłębimy się tylko w niektóre z nich. Jedne z tych alejek już zdążyli przemierzyć uczeni; inne tylko czarodzieje. Bardzo możliwe, że kilka z nich czeka dopiero na odkrycie. Zapraszamy na wyprawę w owo pogranicze, żeby zobaczyć, jak ono wygląda. A jeśli kiedyś w przyszłości czytelnik usłyszy opowiadania innych odkrywców, będzie wiedział, o jakim mówią kraju i jak należy osądzić cuda, które opisują.

Pseudonauki — systemy magiczne w przebraniu naukowym — kwitły od początku istnienia nauki. Właściwie mówiąc, gałęzie nauki i ich pseudonaukowe odpowiedniki wzrastały obok siebie, a ich problemy przeplatały się wzajemnie, póki powstanie metody naukowej nie umożliwiło ich oddzielenia: astronomii od astrologii, matematyki od numerologii, chemii od alchemii. W miarę jak nauka dzieliła się na rozmaite

gałęzie, pseudonauki również zaczęły się mnożyć. Traciły jednocześnie swoją reputację. Na przykład: z astrologii zrodziło się kilka mniejszych pseudonauk, głównie systemów wrózenia, które służą rzekomemu odczytywaniu charakteru i losów człowieka z guzów i zmarszczek na jego twarzy i dłoniach.

Arystoteles dał początek pseudonauce zwanej fizjonomiką, przypisując ludziom cechy charakterystyczne zwierząt, które przypominają. Według tej teorii, jeśli ktoś ma lwią grzywę na głowie i wyraźnie zarysowaną szczękę, musi być dzielny jak lew. Niestety, dopatrywanie się w kimś podobieństwa do lwa zależy od czysto subiektywnej oceny. Człowiek może sobie wyobrażać, że ma szlachetną, lwią twarz, a inni będą o nim mówić, że ma oczy wylupiaste jak ryba. Ponadto, zwierzęta nie posiadają na ogół tych cech moralnych i psychicznych, jakie się im powszechnie przypisuje. Nie posiadają w ogóle charakteru w ludzkim znaczeniu tego słowa. Reagują na różne sytuacje instynktownie. Instynkt każe im jeść, umykać przed niebezpieczeństwem i rozmnażać się.

Odgałęzieniem fizjonomiki była frenologia dra F. J. Galla, który rozpoczął swoją karierę jako lekarz, ale w ostatnim dziesięcioleciu XVIII wieku głosił, że można odczytać charakter człowieka z układu kości czaszki. Gall oparł swą teorię na błędnym założeniu, że kształt czaszki odpowiada ściśle kształtowi mózgu, a w dodatku, że rozmiar jakiegokolwiek organu decyduje o jego wydajności. Idea ta przywędrowała w 1832 roku do Ameryki i kwitła przez kilka dziesięcioleci.

W podobny sposób chiromancja, wciąż uprawiana dla żartu na jarmarkach i w herbaciarniach amerykańskich, usiłuje odgadnąć charakter i losy człowieka z rysunku linii dłoni. Jak w innych formach wróze-

nia, amatorzy i zawodowi wróżbici mówią klientowi w sposób niejasny i zawoalowany głównie te rzeczy, które on najbardziej chciałby usłyszeć. Mimo że w obecnych czasach żaden człowiek nauki nie traktuje tego wróżenia poważnie, chiromancja pozostaje nadal przydatnym narzędziem czarodzieja.

„Psychometria” doktora Jesepha R. Buchmana, powstała w latach 1840-tych i nadal ciesząc się znacznym powodzeniem, stanowi jeszcze jeden przykład magii pretendującej do miana nauki. Buchanan, frenolog, zapewniał, że ludzie wrażliwi na wpływy psychiczne, jak on sam, mogą odgadnąć minione dzieje przedmiotu i jego właściciela poprzez dotknięcie tego przedmiotu. Przekonał o tym geologa, Williama Dentona, i jego żonę. Pani ta przystąpiła do odgadywania wieku rozmaitych skał, opierając się na wizjach, które w niej powstawały, kiedy dotknęła tych skał czołem. Na przykład, dotknięcie odłamka lawy z wulkanu Kilauea wywołało w jej wyobraźni widok wielkiego wybuchu w 1848 roku z ogromnym niczym Niagarą strumieniem płynnej lawy. Jednakże żaden zapis historyczny ani geologiczne świadectwo nie potwierdza zaistnienia poważniejszego wybuchu tego wulkanu w wymienionym roku.

Niedawno autorzy niniejszej książki spotkali w Nowym Jorku Stewarta Robba, który twierdził, że zna kilku znakomitych psychometrów. Zaproponował nam, abyśmy przysłali mu kilka przedmiotów należących do nas lub naszych przyjaciół, by jego wrażliwi na wpływy psychiczne znajomi zanalizowali je. Rezultat był śmieszny. Pośleliśmy mu kartkę z książki, nad którą znącał się nasz sześciolatek synek, póki się nie rozleciała. Kartka dała psychometrze obraz kobiety zamężnej, mniej więcej trzydziestoletniej, zatrudnionej jako sekretarka, która ukończyła Uniwersytet Har-

warda i interesowała się sportem, sztuką, dramatem i fotografią. Oczywiście, kilka wyników negatywnych jeszcze nie decyduje o nieistnieniu psychometrii, ale skłania do ogromnej ostrożności w stosunku do magicznych metod badań.

Mówiliśmy o pozujących na uczonych czarownikach i naukowcach postępujących jak czarodzieje. Może dobrze będzie w tym miejscu określić, czym różni się metoda naukowa od metod magii. Metoda naukowa jest celowym organizowaniem i rozwijaniem ludzkiej wiedzy poprzez sterowane doświadczenia, systematyczną obserwację i logiczne rozumowanie. Uprawianie magii, natomiast, jest pogonią za namacalnymi korzyściami przez traktowanie istot nadnaturalnych i pojęć tak, jakby były udowodnionymi realiami.

Uczeni starają się spełniać wymogi metody naukowej, którymi są: ścisłość, konsekwencja, szczerść i obiektywna sprawozdawczość. Zachęcają innych uczonych do potwierdzenia swych twierdzeń, tłumacząc zastosowane przez siebie metody eksperymentalne i umożliwiając w ten sposób powtórzenie eksperymentu. Czarodzieje zakładają: pewność swych subiektywnych przekonań, istnienie niewidzialnych istot rozumnych i sił tajemnych, oraz mądrość starożytnych mędrców. Niewiele troszczą się o ścisłość lub konsekwencję i chlubią się tajemniczością. Potępiają „materializm” nauki, a jednocześnie kryją swoje praktyki magiczne za fasadą swych pretensji do naukowości.

Pseudonaukowcy są czarodziejami, którzy roszczą sobie prawa do autorytetu nauki, ale działają opierając się na założeniach magicznych lub nieudowodnionych teoriach naukowych. Często można ich poznać po ekscentryczności w ubiorze i zachowaniu,

pewności siebie i ostentacyjnej tajemniczości. Powszechnie przejawiają istic królewską bez troskę wobec faktów, obietnic i zobowiązań. Stanowią oni prawdziwe niebezpieczeństwo dla ludzi, którzy sądzą, że jeśli jakaś myśl jest ubrana w terminy naukowe albo wydrukowana w książce, musi niezawodnie być prawdziwa.

W miarę jak magia i nauka oddalały się od siebie coraz bardziej, niektórzy ludzie przerzucali się z jednej do drugiej. Dr Gall rozpoczął karierę jako cieszący się szacunkiem lekarz. Dokonał cennego wkładu do naszej wiedzy o anatomii mózgu, ale koniec życia spędził opętany myślą, że można osądzić ludzki charakter na podstawie kształtu jego czaszki. Archeolog W. M. Flinders Petrie poszedł w przeciwnym kierunku. Porzucił pseudonaukową piramidologię, aby się stać jednym z największych egiptologów świata.

Ideom pseudonaukowym, które wciąż się rodzą i zniewalają, przynajmniej na jakiś czas, umysły wielu skądinąd rozsądnych ludzi, nie ma końca. Niektóre z nich, jak wiara, że Ziemia jest płaska, albo że jest wydrążoną kulą, a my poruszamy się po jej wewnętrznej powierzchni, są wręcz śmieszne i mają bardzo niewielu zwolenników, a nas bardziej bawią niż niepokoją. Czasami jednak idee te zyskują przerażającą liczbę stronników i utrzymują się przez całe pokolenia. W minionym wieku tysiące ludzi wierzyło święcie, że:

Atlantyda Platona nie tylko istniała, ale też dała początek wszystkim późniejszym cywilizacjom.

Potomkowie dziesięciu zagubionych pokoleń Izraela, to Brytyjczycy, Irlandczycy, Japończycy, Melanezyjczycy, Indianie lub jakies inne nowoczesne ludy.

W wymiarach wielkiej piramidy króla Chufu * w Gizie zawarte jest objawienie przedwiecznych mądrości i proroctwo co do przyszłych losów ludzkości.

W czasach wczesnohistorycznych Ziemia uległa zderzeniu z kometą, która odwróciła kierunek jej obrotu i zmieniła długość dnia.

Istoty z innej planety obserwują nas z pojazdów kosmicznych podobnych do spodków.

Goście z innego, urojonego kontynentu — z Lemurii na Pacyfiku — do dziś mieszkają na górze Shasta w północnej Kalifornii i wykonują obrządki mistyczne, którym towarzyszą transcendentale obrzędy.

Sztuki i poematy przypisywane Williamowi Szekspirowi, napisał w rzeczywistości Sir Francis Bacon, hrabia Oxfordu, lub jakaś inna elżbietańska znakomitość.

Bez względu na to, jak mamiące, romantyczne i barwne mogą się wydawać niektóre z tych czarownych opowieści, w żadnej z nich nie ma krzty prawdy. Jednakże fakt, że te wierzenia są kompletnie nieuzasadnione, zupełnie nie osłabia zapału ich wyznawców.

Każdy nowy krok w rozwoju nauki wywołuje bardzo wiele złudzeń. Ze wszystkich pseudonaukowych poczynąń, znachorstwo jest najzyskowniejsze, bowiem każdy z nas ma jakieś fizyczne niedomogi i miliony ludzi cierpi na jakąś ułomność, czy bolesne lub nieuleczalne choroby. Chociaż medycyna dokonała olbrzymiego postępu w ostatnim stuleciu, nawet najlepsi lekarze nie są wszechwiedzący. Znachorzy znajdują więc niekończące się źródło dochodu w ludziach starych, ciemnych, nieuleczalnych i takich, którzy czują lęk przed lekarstwami i skalpelem.

* Przez Greków zwany Cheopsem (przyp. red. pol.).

Znachorzy są przebraniymi za naukowców czarodziejami. Ich fikcyjne stopnie naukowe są odpowiednikiem bębna i farb prymitywnego szamana. Mieszają magię z nauką, podobnie jak starożytni kapłani w Egipcie, którzy zniewalali swych bogów czarami, a jednocześnie wykorzystywali swe obserwacje astronomiczne do przepowiadania wylewu Nilu.

Zdarza się, że prawdziwy lekarz przemienia się po trochu w regularnego znachora. Często trudno stwierdzić na podstawie prostej obserwacji, czy jest człowiekiem uczciwym, ale wprowadzonym w błąd, czy też cynicznym szarlatanem. Może być również jedynie fanatykiem, który nie dopuszcza myśli, że błędna obserwacja wyprowadziła go w pole. Może zasmakowała mu władza, chwała lub majątek.

W każdym razie, obok uczciwych, ale błędzących lekarzy istnieje na peryferiach nowoczesnej praktyki lekarskiej bardzo wielu nieuczciwych znachorów. Przytoczymy dla przykładu dzieje jednego z takich szarlatanów. Albert Abrams (1864 - 1924) rozpoczął swą karierę jako poważny doktor i wiceprezes Kalifornijskiego Towarzystwa Medycznego. Od roku 1910 do 1920 jego sposób leczenia stawał się coraz bardziej ekscentryczny. Abrams bowiem uznał zasadę leczenia poprzez opukiwanie stosu piersiowego. Około 1920 roku wziął całkowity rozbrat z regularną medycyną. Prosił swoich pacjentów, aby przysyłali mu na kawałkach bibuły krople krwi, które obiecywał zanalizować za pomocą „dynamizatora” połączonego z czołem zdrowego asystenta. Następnie poklepując po brzuchu asystenta, stawiał diagnozę.

Abrams nie poprzestał na tym. Wykonał urządzenie służące do leczenia chorób za pomocą „wibracji” i wypożyczał pudełka zawierające jego „oscyloklasty” pod warunkiem, że pacjenci nie będą ich otwierali. Jedno

z tych pudełek otwarto na procesie w Los Angeles w 1923 roku. Zawierało tylko zwoje drutu.

Amerykańskie Towarzystwo Medyczne raz po raz demaskowało Abramsa. Kiedyś posłało mu kroplę krwi dziewiczej świnki morskiej. Abrams postawił diagnozę kilku chorób wenerycznych występujących u ludzi. Wspaniale zorganizował świat znachorski, który dzięki niemu posiadał własne stowarzyszenie, własne pismo, szkołę i wędrownych wykładowców. Pozostawił po sobie majątek wart ponad milion dolarów.

Znachorzy póty będą prosperowali, póki ludzie będą w nich wierzyli. Chociaż we wszystkich państwach istnieją przepisy regulujące praktykę lekarską, ignorancja przeciętnego człowieka sprawia, że niejednokrotnie pada on ofiarą wyzysku znachorów.

Rozmyślne oszustwo utrzymuje przy życiu idee pseudonaukowe także w innych dziedzinach. Mimo że podrabianie wyników poważnych eksperymentów jest chyba największym przestępstwem w rejestrze naukowym, zdarzało się to czasem najpoważniejszym uczonym, pod wpływem napięcia emocjonalnego. Około 1830 roku, wielki fizyk, André Ampère, demonstrował przed Francuską Akademią mało znane zjawisko elektryczności. Demonstracja wymagała, aby w pewnym momencie eksperymentu igła przyrządu pomiarowego poruszyła się. Nadeszła owa chwila, lecz igła ani drgnęła. Pragnąc gorąco, by eksperyment się udał, Ampère popchnął igłę palcem. Następnie, zdając sobie sprawę z tego, co uczynił, zakłopotany uczony przeprosił zebranych i zaczął demonstrację od nowa. Tym razem eksperyment był udany. Ampère — nie tracąc humoru — wykrzyknął z triumfem: „Ha! Teraz porusza się sama!”

Podczas drugiej wojny światowej jeden z autorów niniejszej książki, jako oficer inżynierii Marynarki Stanów Zjednoczonych, był świadkiem podobnego wydarzenia. Poddając próbie akcesoria lotnicze w chłodzonym pomieszczeniu, wynalazca opryskał wodą szybę samolotu aż okryła się lodem. Gdy uruchomił swój nowo wynaleziony odmrażacz, urządzenie zaszyczało, zaklekotało, ale lód na szybie pozostał. Nie mogąc znieść chwili niepewności, wynalazca przejechał dłonią po szybie ścierając lód, ale jednocześnie unieważniając próbę.

Obok takich sporadycznych fuszerowań eksperymentów naukowych, zdarzają się zdecydowane oszustwa. Nie są one pospolite, ale trudno jest ocenić częstość ich występowania, gdyż tylko nieudane wychodzą na jaw. Oszustw tych dokonuje się głównie dla pieniędzy, dla poparcia fanatycznych wierzeń, dla sławy, albo z zamiłowania do płatania figłów.

Taki figiel naukowy zrobiło 21 i 25 sierpnia 1835 roku nowojorskie czasopismo „Sun”. Pewien redaktor opublikował, za zgodą wydawcy dziennika, artykuł, w którym opisał, jak Sir John Herschel, astronom, używszy nowego teleskopu uzyskał widok krajobrazu Księżyca i stwierdził, że jest on zamieszkały przez skrzydlatych ludzi. Bardzo wielu ludzi uwierzyło w tę kaczkę dziennikarską.

Fakt, że ktoś zajmuje wysokie stanowisko, wcale mu nie przeszkadza w płataniu podobnych żartów. Benjamin Franklin, jeden z największych ludzi wszystkich czasów, był niepoprawnym kawalarzem. 22 października 1730 roku opublikował w „Pennsylvania Gazette” artykuł o wybuchu paniki przed czarownicami w New Jersey, nie szczędząc czytelnikom okropnych szczegółów „próby wody”, której poddawano podejrzanych. Podczas pobytu w Anglii napisał do którejś z gazet

o tym, jak wieloryb w pogoni za dorszem przeskoczył Niagarę. Spowodował też wydrukowanie zmyślnego *Edyktu króla pruskiego*, w którym monarcha rości sobie prawa do tronu brytyjskiego na podstawie germańskiego pochodzenia Anglosasów.

Żart ze skamieniałościami z Würzburgu zyskał w swoim czasie wielki rozgłos i jak to często z żartami bywa, miał nieszczęśliwe zakończenie. W latach dwudziestych XVIII wieku studenci uniwersytetu w Würzburgu podrobili skamieniałości, umieszczając na nich rysunki owadów, ptaków i gwiazd oraz napisy w dawnych językach. Następnie zakopali je w miejscu, gdzie przewidywali, że ktoś musi je znaleźć. Ich pobożny profesor, J. B. A. Beringer, zbadawszy te podrobione skamieniałości, nabrał przekonania, że uczynił je Bóg, aby wypróbować ludzką wiarę, i wyłożył tę teorię w ogromnym, pięknie napisanym i bogato ilustrowanym manuskrypcie. Studenci w końcu przyznali się do kawału, ale nieszczęsny profesor nie chciał im uwierzyć i wydał książkę. Kiedy dzieło zostało przyjęte w świecie naukowym wybuchami śmiechu, Beringer zdał sobie wreszcie sprawę z popełnionego błędu. Stracił majątek na wykupienie sprzedanych egzemplarzy i umarł zupełnie złamany.

Jeden z nowszych żartów tego rodzaju kosztował życie doktora Paula Kammerera z Wiednia. Kammerer wierzył w obaloną już dziś teorię Lamarcka, że cechy nabyte przez zwierzę w ciągu życia mogą być dziedziczone przez potomstwo. Aby udowodnić tę teorię prowadził doświadczenia nad ciężarnymi ropuchami i napisał na ten temat książkę. Wkrótce zaproponowano mu pracę w Związku Radzieckim. W roku 1926, gdy Kammerer miał już, już wyjechać do Związku Radzieckiego, doktor G. Kingsley Noble z Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej w Nowym

Jorku wyjawiał, że jedną z „nowych” cech charakterystycznych ropuch Kammerera, była cecha sfalszowana, uzyskana przez wstrzykiwanie atramentu do opuszek palców zab. Kammerer napisał pożegnalny list do Akademii Nauk, w którym wyparł się dość nieprzekonywająco swojej winy w całej sprawie, i popełnił samobójstwo.

Podobne żarty platają częściej młodzi asystenci niż dojrzały uczeni. Na przykład, z początkiem naszego stulecia, wybitny chemik francuski, Henri Moissan, ogłosił w dobrej wierze, że drogą gwałtownego ochładzania płynnego żelaza, zawierającego znaczną domieszkę węgla, otrzymał bardzo drobniutkie diamenty. Po śmierci Moissana w 1907 roku, jego asystent przyznał się, że sam wrzucił do aparatury doświadczalnej drobniutkie diamenty. Powiedział żonie Moissana, że powtarzanie tego samego nieudanego doświadczenia raz po raz okropnie go zmęczyło. Dorzucił więc diamenty w nadziei, że słynny chemik porzuci eksperyment i skieruje swą uwagę na jakąś bardziej interesującą pracę.

Dziennikarze uważają opowieści o takich starych żartach i zdyskredytowanych ludowych wierzeniach za świetny materiał zastępczy w braku rzeczywistych wiadomości lub lepszego pomysłu na artykuł. Przejęte następnie przez różnych autorów, przedostają się one niekiedy do poważnych książek.

Zarówno europejskie, jak i amerykańskie czasopisma przyjęły zwyczaj publikowania wyssanych z palca wiadomości w dniu pierwszym kwietnia. Jest to przyjemny, lecz bardzo niebezpieczny zwyczaj. Jednym z takich przypadków był wydrukowany z odpowiednimi fotografiami artykuł w „Star-Bulletin” z 1 kwietnia 1936 roku w Honolulu. Autor jego donosi o znalezieniu statku Wikingów na wybrzeżu Hawajów. Z bajeczki

tej mogłoby na przykład kiedyś zrodzić się pseudonaukowe dzieło dowodzące, że Wikingowie pochodzili z zaginionej wyspy Mu.

W ten sposób wiek nauki nie przeszkodził powstaniu żartu naukowego. Wiedząc, że podobne żarty naprawdę się zdarzają, należy brać pod uwagę tę możliwość, gdy się rozważa jakieś nieprawdopodobne odkrycie, cudowny wynalazek albo rzekomo nadnaturalne zdarzenie — nawet jeżeli owa niezwykłość została podana do wiadomości publicznej przez poważne pismo lub potwierdzona przez sławnego uczonego. Może być ona prawdziwym odkryciem naukowym, żyjemy bowiem w czasach, kiedy o prawdziwych cudach naukowych gazety donoszą niemal co drugi dzień. Ale z drugiej strony, jeśli cud naukowy ma posmak nadnaturalny, albo nie ma zupełnie powiązań z poprzednimi odkryciami, trzeba odnosić się do niego z podejrzliwością.

Przez mroczne pogranicze pomiędzy magią a nauką prowadzi jeszcze jedna droga, która nas kusi do zboczenia z drogi rzeczywistości. Niektórzy ludzie, uważając zasady i metody naukowe za niezrozumiałe, nudne lub przerażające, zajmują się ich potępianiem. Kiedy człowiekiem owładnie taka nienawiść do nauki, staje się on nie tyle pseudonaukowcem, ile antynaukowcem, i poświęca życie na przekonywanie innych o słuszności swojego punktu widzenia.

Antynaukowość przybiera wiele form. Nawiedziła ona Stany Zjednoczone z początkiem naszego stulecia jako reakcja na dowód Darwina, że ewolucja jest faktem. Niektórzy pobożni chrześcijanie, zwani fundamentalistami, wierząc, że wszyscy ludzie istotnie wywodzą się od Adama, spowodowali uchwalenie w Sta-

nach Tennessee, Arkansas, i Mississippi prawa zabraniającego wykładania teorii ewolucji w szkołach i uczelniach publicznych. Co rozsądniejsi ludzie w Tennessee postanowili zbadać zgodność tego „małpiego prawa” z konstytucją. Decyzja ta doprowadziła w 1925 roku do cudacznego procesu, którego szczegóły wypełniłyby całą książkę.

„Ogniwo brakujące” zostało odnalezione: ewolucja jest faktem równie niewątpliwym, jak kulistość Ziemi. Jednakże w Stanach Zjednoczonych wciąż jeszcze żyje wielu przeciwników teorii ewolucji. Nauczyciele przyrody w wielu szkołach, nawet tam, gdzie nie obowiązują prawa zakazujące nauczania o ewolucji, do dziś pomijają to zagadnienie. Wolą nie narażać się na gniew rodziców, którzy bronią odwiecznego mitu hebrajskiego w tej formie, w jakiej został przedstawiony w *Księdze Rodzaju*.

Inni antynaukowcy występują przeciwko postępowi w medycynie, protestując przeciwko szczepieniom ochronnym, doświadczeniom na zwierzętach i fluoryzacji wody do picia. Jeszcze inni usiłują zniszczyć całą gałąź wiedzy, aby zrobić miejsce dla jakiejś własnej pozbawionej sensu teorii.

Być może, najwybitniejszym antynaukowcem tego typu był Charles Fort (1874 - 1932), pulchny, w okularach z grubymi szklami, ekscentryczny mieszkaniec Bronx, specjalizujący się w gromadzeniu pogłosek, które zrewolucjonizowałyby wszystkie nasze pojęcia o wszechświecie, gdyby były prawdziwe. Jego wielbiciele byli tak liczni i wierni jego poglądom, że zawiązali Towarzystwo Fortowskie, a po jego śmierci wydali w jednym wielkim tomie jego cztery księgi kuriozów.

Według Fortańczyków, ich przywódca nie był antynaukowcem, lecz oświeconym sceptykiem i wrogiem

nadętej ortodoksji naukowej, którą atakował „blyskotliwie, głośno i z lubością”^{*}.

Książki Forta stwarzają jednak całkiem odmienne wrażenie. W beładnej mieszaninie twierdzeń, cytatów i dowodów, mówi on o dziwnych światłach na niebie, deszczach z żab i ryb, o płatkach śniegu wielkości spodeczków, aniołach i pojazdach międzyplanetarnych.

Stopniowo teoria Forta nabierała kształtu. Wyobrażał sobie geocentryczny Kosmos, gdzie umieszczona centralnie Ziemia otoczona jest kulistą pokrywą z otworkami zwanymi gwiazdami, przez które prześwituje zewnętrzna jasność. Przestrzeń pomiędzy Ziemią a jej ogromną pokrywą wypełniona jest wielką liczbą nie odkrytych planet, pojazdów kosmicznych i unoszących się lądów. Istoty zamieszkujące te dziwne regiony są właścicielami naszej Ziemi i porywają tych ludzi, którzy za bardzo się nimi interesują. Opierając swoje poglądy na średniowiecznych wierzeniach ludowych, pogłoskach, zmyślonych bajeczkach i niepowiązanych faktach, Fort zaatakował astronomów i fizyków, których określał mianem „astromagów”.

Fort nie miał pojęcia o mechanice i matematyce, poza arytmetyką elementarną. Odznaczał się natomiast antyreligijnością i antynaukowością jednocześnie. Jeśli uczeni mieli różne poglądy na jakąś sprawę, było to zdaniem Forta dowodem znikomości ich wiedzy. Jeżeli byli zgodni, Fort widział w tym świadectwo istnienia spisku dla ukrycia prawdy. Aczkolwiek nauka potrzebuje, być może, od czasu do czasu trochę krytyki, niekompetentny i obelżywy atak Forta na astronomię byłby zabawny, gdyby tak wielu ludzi nie traktowało go poważnie. Z chwilą pierwszych lotów kosmicznych kult Forta zamarł, bowiem obserwacje radzieckich

^{*} Ch. Fort *The Book of Charles Fort*, Holt, N. Jork 1919 - 1941, s. XXI.

i amerykańskich kosmonautów nie potwierdziły w najmniejszym szczególe jego groteskowych teorii.

Niektóre błędne koncepcje wywierają na ludziach jakiś tajemniczy urok. Jeśli z tych koncepcji zerwać maski, kryją się na pewien czas w cień, a potem znów się pojawiają, odnowione, by oszołomić jakies następne pokolenie. Jedną z takich uporczywych idei jest możliwość podróży w czasie.

Niemal przez cały wiek teoria, że czas jest czwartym wymiarem, miała ogromne powodzenie wśród ludzi o skłonnościach pseudonaukowych. Myśl ta zrodziła się w umysłach dwóch francuskich matematyków w XVIII wieku, Lagrange'a i d'Alemberta, którzy uważali, że pewne problemy w mechanice analitycznej byłyby uproszczone, gdyby ciała fizyczne rozważać jako poruszające się w trójwymiarowej przestrzeni oraz w czasie.

Otóż laik wyobraża sobie wymiar jako wymiar przestrzenny lub liniarny — długość, szerokość, wysokość. Matematyk używa terminu „wymiar” na określenie każdej cechy wymiernej, jak wiek, ciężar właściwy, majątek. Dla matematyka czas jest po prostu jednym z wielu możliwych wymiarów; i żaden kompetentny uczony, nawet sam Einstein, nigdy nie wysuwał teorii, że czas jest właśnie czwartym wymiarem.

Pseudonaukowa doktryna o czwartym wymiarze powstała, gdy profesor Johann F. C. Zöllner z Lipska pomieszał czwarty wymiar matematyka z teozoficzną teorią wielości płaszczyzn istnienia, które zajmują tę samą przestrzeń, ale nie przeszkadzają jedna drugiej. W 1877 roku Zöllner, który zaczynał zdradzać oznaki załamania psychicznego, podjął się udowodnienia istnienia czwartego wymiaru przy pomocy amerykańskiego medium, „doktora” Henry Slade'a. Slade wykonał

kilka kuglarskich sztuczek, które, według Zöllnera dowiodły, że materia może przeniknąć czwarty wymiar. Nieszczęsny profesor spisał swoje teorie w dziele *Transcendental Physics* (*Fizyka transcendentalna*), ale wskutek rozwijającej się choroby psychicznej został umieszczony w szpitalu dla umysłowo chorych.

Teorię czterech wymiarów przestrzennych posunął naprzód angielski wynalazca Charles H. Hinton (1853 - 1907), który uczynił z niej podstawę wiary i moralności. Jego argumentacja była typowo magiczna. Twierdził, że dla dwuwymiarowego stwora, my, którzy mamy trójwymiarowe ciała, bylibyśmy niezrozumiali. Tak samo jak trudno nam pojąć istotę czwórwymiarową, trudno zrozumieć i wszystkie koncepcje Boga. Hinton napisał kilka książek, mających nauczyć ludzi myśleć zgodnie z wyobrażeniem świata czterowymiarowego i wydał powieść *An Episode in Flatland* (*Wydarzenie w Płaskości*) o żywych trójkątach.

Niewielka grupa pseudonaukowców eksploatuje nadal ideę czterech lub więcej wymiarów linearnych. Najagresywniejszym z nich był okultysta, P. D. Ouspensky, który mieszkał w New Jersey. Twierdził on, że czas jest spiralą, i sądził, że przestrzeń ma sześć wymiarów linearnych.

W 1927 roku pewien Anglik, John W. Dunne, ze skłonnościami do okultyzmu, rozwinął tę ideę jeszcze bardziej. Ten oficer Królewskich Sił Lotniczych i konstruktor lotniczy podjął się wyjaśnienia zjawiska snów proroczych twierdząc, że we śnie „posuwamy się wzdłuż” czwartego wymiaru — czasu. Jego argumentacja jest unowocześnioną wersją starej teorii filozoficznej, że każde wydarzenie, przeszłe, teraźniejsze i przyszłe, koegzystuje w „wieczystym teraz”. Prorok posiada zatem specjalny dar widzenia przeszłości i przyszłości, tak jakby były obecnymi zdarzeniami.

Jak już mówiliśmy w rozdziale o prorocत्वach, pogląd ten jest niezgodny z logiką. Gdyby człowiek mógł przewidzieć jakiś nieszczęśliwy wypadek, zrobiłby wszystko, co w jego mocy, aby temu zapobiec. Gdyby zaś zapobiegł nieszczęściu, wypadek nie mógłby istnieć w przyszłości, a więc nie można by było go przewidzieć.

Podróż w czasie wzdłuż owego mistycznego czwartego wymiaru zawiera w sobie jeszcze jeden wielki paradoks. Taki podróżny musiałby chcąc niechcąc zmienić jakiś wypadek w przeszłości, powodując całą kaskadę zmian w wydarzeniach następujących po owej zmianie. Mogłoby to drastycznie oddziaływać na teraźniejszość — być może nawet do tego stopnia zmienić bieg historii, że ów podróżny nie urodziłby się i nie dokonał swej wścibskiej podróży w przeszłość.

Od czasu, gdy Dickens napisał *Opowieść wigilijną*, ukazało się wiele książek o podróży w czasie. Choć są to interesujące opowiadania, błąd logiczny wstrzymuje wszystkich, z wyjątkiem kilku zagorzałych pseudonaukowców, od poważnego traktowania możliwości podróży w głąb czasu.

Tym niemniej słynne „wizje wersalskie” Anny Moberly i Eleanory Jourdain podano do wiadomości publicznej jako rzeczywistą podróż w przeszłość. Obie te panny, będące córkami duchownych anglikańskich zapewniały o swojej niechęci do okultyzmu. Jednakże, zgodnie z ich opowieścią, 10 sierpnia 1901 roku odwiedziły Petit Trianon w Wersalu i wkroczyły do XVIII-wiecznej Francji.

W książce pod tytułem *An Adventure (Przygoda)* napisały, że spacerując po dziwnie pustych ogrodach pałacu spotkały dwóch mężczyzn w długich zielonkawych surdutach, którzy ostrym tonem kazali im iść

sobie dalej. Poczują się zdeprymowane. Cały teren wydawał się płaski, jak obraz na gobelinie. Kiedy minęły niewielką, okrągłą budowlę, którą nazwały „kioskiem”, zobaczyły mężczyznę o złym spojrzeniu i twarzy ze śladami przebytej ospy, w kapeluszu z szerokim rondem i pelerynie. Usłyszały odgłos biegnących stóp i wkrótce ich oczom ukazał się młody człowiek, który powiedział do nich: „Cherchez la maison!” (Szukajcie domu!).

Idąc za jego wskazówką doszły do małego dworku, na którego tarasie siedziała dziwnie ubrana kobieta i rysowała. Pewien młodzieniec zaproponował, że zaprowadzi je na front domu, a kiedy je opuścił, znalazły się znów w XX wieku. Nie mówiąc nic do siebie o tej całej sprawie wróciły do hotelu.

W tydzień później jedna zapytała drugą, czy nie uważa, że Trianon nawiedzają duchy. Następnie porównały wspomnienia i spisały. We wspomnieniach tych zaznaczyły się drobne różnice: panna Jourdain nie widziała rysującej kobiety, ale zauważyła inną kobietę i dziecko.

W następnych latach młode kobiety przestudiowały historię Trianon i zdecydowały, że widziały Marię Antoninę, jej oспowatego przyjaciela, hrabiego de Vaudreuil oraz służbę królowej. Studiując historię i mapy, doszły do przekonania, że zdarzenie to musiało mieć miejsce 5 sierpnia 1789 roku, i że „przeniknęły” przez postawiony tam w XX wieku mur ceglany!

Podczas dwóch następnych wizyt panna Jourdain miała podobne, lecz mniej dramatyczne przeżycia. W 1908 roku, kiedy udała się do Trianon z aparatem fotograficznym, krajobraz lekko zdrzął i na jej oczach znikło na chwilę kilka bram. Przy innych okazjach obie panny widziały zwyczajne, pełne ludzi, współczesne im ogrody Trianon.

Blizsze zbadanie tej zaskakującej opowieści jest jeszcze bardziej zdumiewające. Nie do wiary, by dwie kobiety mieszkające w tym samym pokoju nie wspomniały ani słowem o swoim przeżyciu przez cały tydzień. Ponadto, nie zauważyły cechy XVIII-wiecznego ubioru męskiego, która byłaby dla nowoczesnego człowieka najbardziej uderzająca — krótkich spodni z nogawkami zapiętymi pod kolanami.

W latach trzydziestych XX wieku sprawę tę zbadał R. J. Sturge-Whiting, Anglik, interesujący się badaniami psychologicznymi. Doszedł on do wniosku, że relacja obu kobiet była w zasadzie szczerą, lecz padły one ofiarą samosugestii. Stwierdził, że zaprzętnęły sobie głowy myślą o możliwości wyprawy w przeszłość i starały się za wszelką cenę znaleźć fakty, które by te teorie poparły. Po wielu poszukiwaniach odnalazł wszystkie cechy krajobrazu, które — zdaniem młodych kobiet — już nie istniały, i zdecydował, że „kioskiem” były pomieszane wspomnienia Belwederu i Świątyni Miłości. Ludzie, których opisały, byli niewątpliwie ogrodnikami, artystami-malarzami itp., jakich spotka się zawsze w tych ogrodach o każdej porze roku.

Być może, czytelnikowi nie odpowiada wyjaśnienie Sturge-Whitinga i może woli myśleć, że owe panny rzeczywiście dokonały wyprawy w przeszłość. Może nie miałyby nic przeciwko temu, aby ktoś w przyszłości dokonał takiej wyprawy w naszą przeszłość. Nam wydaje się bardziej prawdopodobne, że panny się myliły, natomiast rację miał Omar mówiąc:

„Pisze Ruchomy Palec, mknie za rzędem rząd,
Słów napisanych nic nie zetrze stąd,
Błaganie ni wybiegi: co napisał — jest,
Nie zmyje ni litery morze ludzkich łez” *.

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: E. Fitzgerald *Rubáiyat of Omar Khayyám*, LXXI.

Inna kręta ścieżka na pograniczu magii i nauki wiedzy w dziedzinę spostrzegania pozazmysłowego. Doktor Joseph Banks Rhine z Uniwersytetu Duke poddał badaniom wielu ludzi, w celu sprawdzenia, czy są obdarzeni zdolnością jasnowidztwa — poznawania przedmiotów bez udziału zmysłów; telepatią — zdolnością poznawania myśli drugiej osoby bez kontaktu za pośrednictwem dróg zmysłowych; lub wiedzą proroczą — zdolnością nabywania wiadomości o wydarzeniach przed tym nim one nastąpią. Te rzekome zjawiska były już badane przez innych ludzi, takich jak Soal i Tyrrell w Anglii. Dzieło Rhine'a i jego współpracowników jest jednak dotychczas najbardziej znane.

Wiele pisało się o eksperymentach Rhine'a w dziedzinie spostrzegania pozazmysłowego — określanego często w skrócie: SPZ* (po angielsku: ESP — extra-sensory perception). W wielu próbach posługuje się on talią złożoną z 25 kart, zwanych kartami Zenera. Talia ta składa się z 5 jednakowych kompletów po 5 kart, oznaczonych następującymi symbolami: krzyż, gwiazda, koło, kwadrat i trzy faliste linie. W próbie jasnowidztwa nadawca, oddzielony od odbiorcy zasłoną, ścianą lub po prostu odległością, bierze kolejno po jednej karcie z potasowanej talii. Odbiorca zaś za każdym razem usiłuje odgadnąć, jaka to karta i głośno wypowiada swoje odgadnięcie. W próbie na telepatię nadawca musi sobie wyobrażać karta po karcie cały zestaw kart i zanotować kolejność, w jakiej je sobie wyobrażał. Odbiorca ma „wyczuć” tę kolejność kart i również ją spisać. Po zakończeniu eksperymentu oba zapisy są porównywane.

* Na temat SPZ patrz: C. E. M. Hansel *Spostrzeganie pozazmysłowe*, PWN «Biblioteka Problemów», Warszawa 1969 (przyp. red. pol.).

Rhine zauważył, że niektórzy z badanych stale uzyskują wyższe wyniki niżby to było możliwe drogą przypadku. Zdarzało się, że odbiorca odgadywał poprawnie kolejność wszystkich kart w talii. Rozmiar kart, wielkość symboli i odległość pomiędzy nadawcą i odbiorcą nie wydają się wpływać na wyniki. Rhine stwierdza również, że wydarzenia powodujące rozpraszanie uwagi, znudzenie, zakłopotanie lub onieśmielenie odbiorcy pogarszają wynik. Wypicie niewielkiej ilości alkoholu polepsza wynik; *sodium amytal* obniża go do poziomu przypadkowości.

Rhine stwierdza, że jeden na pięciu badanych wykazuje dostrzegalne SPZ, zaś jeden na czterdziestu dość znaczne. Wydaje się, że wiek, płeć, ślepotą, obłąd, stany hipnozy lub transu, inteligencja i ogólny stan zdrowia nie mają żadnego wpływu na zdolność jasnowidztwa i telepatii.

Rhine prowadził też doświadczenia w celu przekonania się, czy niektórzy ludzie są obdarzeni wiedzą proroczą, badając, czy są oni zdolni odgadywać przed potasowaniem kart, jak się one ułożą po przetasowaniu. Ponadto usiłował sprawdzić ludzkie zdolności wywoływania siłą woli określonego ustawienia rzuconej kostki do gry. Uważa, że niektórzy ludzie istotnie posiadają taką zdolność w ograniczonym stopniu; ale podobnie jak w wypadku jasnowidztwa, telepatii i wiedzy proroczej, ludzie ci po pewnym czasie tracą ową zdolność.

Opublikowanie rezultatów eksperymentów Rhine'a wywołało żywą dyskusję. Ukazało się wiele wypowiedzi krytycznych, od niezwykle przenikliwych do pompatycznie absurdalnych. Zdaniem wielbicieli Rhine'a, jego metody i wyliczenia są trafne, a jego teorie otwierają całkowicie nowe perspektywy ludzkich możliwości. Krytycy oskarżają Rhine'a o naiwny, łatwowski.

samooszukańczy stosunek do wszystkich świadectw, które jakoby popierają jego tezę. Twierdzą, że pozazmysłowe zdolności psychiczne w rzeczywistości nie istnieją. Zapytują: skoro ludzie mogą „widzieć” karty dzięki jasnowidztwu, to czemu szulerzy niemal zawsze kończą bankructwem?

Z całą pewnością do dziś nie zdołano przedstawić dostatecznych dowodów przemawiających za SPZ. Pomimo wszystkich sensacyjnych opowieści o tym, że ktoś otrzymuje wiadomości drogą telepatii od nieobecnych przyjaciół, albo że przebywająca gdzieś daleko ukochana ciotka wydając ostatnie tchnienie daje mu znać mroźnym powiewem o swojej śmierci, nie znaleziono w ludzkim mózgu żadnego urządzenia, które by mogło transmitować lub odbierać takie niewidoczne, niesłyszalne wieści. Ponadto, zwykłe zdolności ludzkie rozwijają się dzięki ćwiczeniom, SPZ zaś, według Rhine'a, zanika.

Wreszcie twierdzenie, że niektórzy ludzie potrafią przewidywać przyszłość, stwarza sprzeczność nie do wyjaśnienia. Jeżeli ktoś potrafi przewidzieć kolejność kart w talii, która nie została jeszcze potasowana i może wcale nie być potasowana, to widzi przyszłość, która może się nigdy nie spełnić a jednocześnie może być przewidziana. Innymi słowy, jeżeli ktoś może ujrzeć przyszły wypadek, który jest pod kontrolą ludzką, wówczas wypadek może zostać wskutek ludzkiego działania zmieniony, a tym samym nigdy się nie zrealizować, a mimo to może zostać przewidziany. Jeżeli jakaś metoda badania może doprowadzić do tak nie logicznych wniosków, to takie wnioski muszą poddać w wątpliwość samą metodę badania.

W tej chwili można jedynie powiedzieć, że upłynie wiele lat zanim zostanie zebrany dostateczny materiał przemawiający za lub przeciwko spostrzeganiu poza-

zmysłowemu. Musimy się jeszcze wiele dowiedzieć o funkcjonowaniu ludzkiego umysłu. Jeżeli jednak kiedykolwiek istnienie SPZ zostanie stwierdzone, to będzie ono również miało racjonalne, naukowe wyjaśnienie. Jakiegokolwiek mistyczne wyjaśnienie telepatii, jasnowidztwa i wiedzy proroczej nie jest możliwe. Umysły nie opuszczają swych właścicieli, aby pobujać na swobodzie. Żaden uniwersalny fluid umysłowy nie przenosi wieści z jednego mózgu do drugiego. Nikt nie potrafi patrzeć poprzez czas pod kątem prostym do wszystkich trzech wymiarów przestrzennych. Podobne wyjaśnienia są dobre w opowiadaniach fantastycznonaukowych, ale ponieważ podstawiają tylko jedną niewiadomą w miejsce drugiej, ludzie kierujący się rozumem nie mogą ich traktować poważnie. Pozostawmy zatem spostrzeżenie pozazmysłowe na pograniczu pomiędzy nauką i magią i miejmy nadzieję, że dożyjemy rozwiązania tej zagadki.

Opowiedzieliśmy o kilku fascynujących zagadkach, których zgodnie z legendą można by oczekiwać w Ultima Thule, owej tajemniczej wyspie, na której jakoby działały się rzeczy z pogranicza nauki i magii — wiadomego i niewiadomego. Niektóre z nich okazały się błędnymi ognikami; inne pozostawiają po sobie szereg pytań bez odpowiedzi; jeszcze inne czekają w ukryciu na pytania dotychczas nie postawione. Jeżeli ktoś odważny pragnie stać się badaczem, niech się uzbroi w godny zaufania, naukowy materiał źródłowy i weźmie się z ufnością do przesiewania bredni postrzeleńców i dogmatów samolubnych przywódców kultowych.

Czytelnik może się zastanawia, co to jest godny zaufania, materiał źródłowy. Rozstrzygnięcie, które książki są godne zaufania, a które nie, wymaga dużej wnikli-

wości umysłu; na szczęście jest kilka drogowskazów, które kierują do uczciwego dzieła. Trzeba sobie zadać następujące pytania i spokojnie poszukać na nie odpowiedzi:

1) Czy książka ma indeks i bibliografię? Te dodatki nie są, oczywiście, niezawodnym dowodem solidności. Niektóre dzieła pseudonaukowe, jak na przykład książki Churchwarda na temat zaginionej wyspy Mu, są również zaopatrzone w indeksy. Mimo to obecność indeksu i bibliografii wskazuje na podejście naukowe.

2) Czy dzieło ma sens logiczny? Na przykład, logiczne jest stwierdzenie faktu: „Gdy jakiś przedmiot spada, leci coraz prędzej — zwłaszcza jeśli jest duży i ciężki” *. A oto próbka nic nie znaczącej bazgraniny: „Uniwersalna próżnia (czarny, elastyczny fluid, czyli ciśnienie) przemieszczona wskutek obracania się kuli o wielkim ciężarze, powierzchni i wymiarze, przetwarza się w lejowate prądy wystające dookoła kuli...” **.

3) Jeżeli ktoś o normalnej inteligencji nie może zrozumieć autora książki mimo przestudiowania podręcznika danego przedmiotu i różnych podręcznych encyklopedii, należy się zastanowić, czy autor sam wie o czym mówi.

4) Na czym dany autor opiera swoje twierdzenie? Jakie podaje przypisy? Jeśli cytuje z innej książki, to czy podaje pełny jej tytuł, nazwisko autora, stronę, na której ów cytat się znajduje? Jeżeli mówi o zdumiewającym odkryciu archeologicznym, to czy podaje, gdzie to można sprawdzić? (Znane są przypadki, że oszuści podawali zmyślone dowody i cytowali zmyślone

* H. B. Lemon *From Galileo to Cosmic Rays*, Chicago 1934, s. 13.

** Wypowiedź Benny'ego Bersteina, anty-Newtonowca, cyt. przez D. W. Heringa w: *Foibles and Fallacies of Science*, Van Nostrand, N. Jork 1924 - 32. s. 112.

źródła, w celu poparcia swych twierdzeń). Jeżeli jego twierdzenie stoi w sprzeczności z przyjętym poglądem, to czy odwołuje się do dwóch lub więcej godnych zaufania źródeł?

Jak się wyraził francuski uczony Laplace: „Waga dowodu powinna być proporcjonalna do dziwności faktów” *.

5) Czy z dwóch możliwości autor wybiera logiczniejszą? Logiczniej, na przykład, uwierzyć, że Sir John Mandeville, średniowieczny autor opowieści podróźniczych, był łgarzem, niż sądzić, iż istotnie widział w Azji zwirowe morze z falami i kamiennymi rybami.

6) Czy autor odrzuca zasady „ortodoksyjnej nauki” lub czy czuje się prześladowany przez świat nauki? Czy twierdzi, że posiada wyłączny dostęp do mądrości wieków, albo czy nagina znane fakty historyczne lub naukowe do jakiejś ekscentrycznej teorii? Takie posunięcia są charakterystyczne dla czarodziei, okultystów i pseudonaukowych postrzeleńców.

7) Wreszcie, czy autor wymaga od czytelnika, aby mu całkowicie ufał? Nie bierzcie żadnej książki — włącznie z niniejszą — za ostateczny i wystarczający autorytet w jakiejś sprawie. Słowo drukowane jest nie więcej godne zaufania, niż prawość człowieka, który je napisał, uczciwość tego, który je opublikował, i wiedza okresu, w którym się zrodziło.

Uzbrojony w te środki ostrożności i ty, czytelniku, możesz zaznać przyjemności badania pogranicza magii, z pewnym jednak niebezpieczeństwem, że ugrzęzniesz w bagnach manii lub ruchomych piaskach szarlatanstwa.

* Cyt. wg: T. Flournoy *From India to the Planet Mars*, Harper, N. Jork 1900, s. 360.

SZKLANY KLEJNOT

Odkup

Ten czas. Odkup

Nie odczytaną wizję wznioślejszego snu,

Gdy migocące klejnotami jednorożce
złożone wloką mary*.

T. S. Eliot

Magia przemierza dzieje ludzkiej myśli jak ozdobiony klejnotami jednorożec — iskrzący się, wspaniały, nie znający lęku w świecie lękiem rządzonym. Omówiliśmy tutaj jej powstanie i przyjrzelśmy się pewnym ludziom, którzy podążali za nią tam, gdzie ich prowadziła. Jednym stworzyła wspaniałe wizje, innym odebrała najcenniejsze złudzenia. Jest ona wśród nas jeszcze teraz i domaga się oceny.

Wiemy już, że magia rodzi się z prymitywnej myśli obok religii, nauki i sztuki. Obserwując prymitywne społeczeństwa rozróżniamy jedne instytucje i zwyczaje jako magiczne, inne jako religijne, a jeszcze inne jako naukowe. Ludy prymitywne są w dużym stopniu niepomne na te różnice; dla nich magia, religia i nauka są jedynie przydatnymi w życiu narzędziami.

W zaraniu dziejów wszystkich społeczeństw magia staje się oddzielnym, wyspecjalizowanym zespołem teorii i praktyk i znacznie szybciej się rozwija od

* Przekład fragmentu E. Życińskiej z: T. S. Eliot *Ash-Wednesday*, IV, 11; 19 - 21.

swych siostrzyc. Religia rozwija się później i osiąga swe największe znaczenie w środkowym okresie danej cywilizacji. Nauka, przez długi czas skromna służebnica magii i religii, rozwija się na końcu i czasem wyrasta do tego stopnia, że przyćmiewa obie siostrzane instytucje.

Dla większości ludzi żyjących w okresie przed rozwojem naukowego poglądu na świat, w Wszechświecie można wyróżnić dwa rodzaje faktów: fakty naturalne, uporządkowane i pospolite oraz fakty nadnaturalne, rzadkie, kapryśne i tajemnicze. Nauka zajmuje się faktami naturalnymi, posługując się logiką i analizą, i usiłuje znaleźć racjonalne wytłumaczenie świata. Religia zajmuje się zjawiskami nadnaturalnymi, opierając się na wierze i zalecając wyznawcom oddawanie czci, przebłaganie, doskonalenie się. Magia również zajmuje się sprawami nadnaturalnymi, ale przez zabiegi, zniewalanie, obejmowanie we władanie, żagładę. Mieszając zjawiska naturalne z nadnaturalnymi, większość ludzi prymitywnych wyobraża sobie świat jako pełen niewidzialnych istot oraz sił tajemnych i żyje w lęku przed niepojętymi zjawiskami.

Ponieważ ludzie bardziej reagują na uczucia niż na argumenty racjonalne, obdarzają rzeczy, które wzbudzają w nich uczucia przyjemne, cechami dobroci, albo identyfikują je z bóstwem, lub zaliczają do białej magii. Z drugiej strony, rzeczy wywołujące lęk, ból czy odrazę bywają obdarzone znaczeniem diabolicznym albo wchodzi w zakres czarnej magii. Słońce, złoto, kadmio, klejnoty, kwiaty i dzieci bywają na ogół uznawane za boskie i dobre; natomiast ciemność, trupy, odchody, gady, niemiłe zapachy, brzydzy starcy i członkowie zubożałych klas oraz ludzie reprezentujący odmienną, obcą nam kulturę są zazwyczaj uznawani za mających związek z diabłem oraz złem.

W miarę upływu czasu magia i nauka przyjmują, że natura jest jednolita i może być opanowana przez wykorzystanie stałych rządzących nią praw. Wówczas magia schodzi na bezdroża wskutek pragnienia uzyskania natychmiastowych, praktycznych wyników. Dla osiągnięcia swoich celów czarodzieje zbytnio polegają na swoich domysłach, niesprawdzonych teoriach i powierzchniowym rozumieniu nieznanych zjawisk. Uchylają się jednak od żmudnych badań tych zjawisk, koniecznych do ich naukowego opanowania. Zatem magia rozwija się o wiele szybciej niż nauka i wkrótce opiera się na wielu wyraźnie nadnaturalnych założeniach. Przyjmuje za fakt istnienie masy niewidzialnych duchów, wpływ gwiazd na życie ludzi, materialną siłę czarów, niezaprzeczną wiedzę starożytnych mędrców, tajemną hierarchię Mistrzów, oraz zdolność poznania wszelkiej prawdy drogą samej introspekcji.

Raz ugruntowane koncepcje magiczne trwają w nieskończoność. Po pierwsze, jest to w interesie zawodowych czarowników, którzy odwołują się do kuglarstwa, tajemnych wywarów i wzniesienia irracjonalnych lęków, w celu poparcia swoich nieprzekonywających lub obalonych przez naukę doktryn. Po drugie, istnienie magii podtrzymuje ludzkie tęsknoty za jakimś łatwym sposobem uzyskania zdrowia, bogactwa, mądrości i szczęścia. Próżność czyni człowieka opornym na przyznanie się do własnej niewiedzy. Strach w obliczu bezlitosnej śmierci wzbudza w człowieku pragnienie umocnienia się pocieszającymi wierzeniami, aby rozproszyć otaczający go zewsząd mrok.

Wiara w magię nie jest jednak jedynie wynikiem ludzkiej niewiedzy i samooszukiwania się. Wypływa ona częściowo z faktu, że ludzie usiłują wyjaśnić i zapobiegać najbardziej zaskakującym ich zjawiskom świata za pomocą tych samych metod praktycznych, które

są skuteczne w codziennym życiu. Metody te — na przykład oparte na rozumowaniu *post-hac*, rozumowaniu na podstawie analogii, oraz inne — są nieadekwatne do zadań, które korciły uczonych od wieków. Jednakże ludzie w dawnych czasach nie znali lepszych sposobów; wnikliwsza metoda mogła powstać dopiero po wynalezieniu pisma. Do tego czasu zarówno magia, jak religia odgrywały tak dominującą rolę w ludzkiej myśli, że nauka musiała walczyć o wyzwolenie spod ich przeważającego wpływu całe tysiąclecia.

Dowiedzieliśmy się też, że w miarę rozwoju cywilizacji i specjalizacji magii, religii i nauki, różnicują się również ludzkie zainteresowania. Sceptyczny badacz staje się wynalazcą albo uczonym; pobożny rytualista zostaje żarliwym wyznawcą lub nawet kapłanem; a człowiek, który łączy łatwowierność z egocentryzmem, staje się czarodziejem. Jego niecierpliwy, ambitny intelekt nie zadowala się ani żarliwością religijną, ani nie chce się poddać rygorom zdobywania wiedzy. Człowiek taki pragnie osobistych korzyści od świata i chce ich szybko.

Na czarodzieju nie robi wrażenia znaczenie stwierdzonego faktu. Niepokoi go łańcuch przyczyn i skutków. Tworzy on własne wytłumaczenie świata, oparte na subiektywnych „faktach”; nie bierze nawet pod uwagę teorii, które nie pasują do jego schematu rzeczy. Atakuje z powierzchowną znajomością tematu największe problemy ludzkie — istotę duszy, zła, choroby, śmierci i związki pomiędzy wydarzeniami kosmicznymi a ludzkim losem. Ponieważ jego teorie mają znikome powiązania z rzeczywistością, są one niemożliwe do udowodnienia lub obalenia i często daleko odbiegają od przyjętych ogólnie systemów myślowych.

Rewolucja umysłowa ostatnich dwóch stuleci dostarczyła czarodziejom pseudonaukowej argumentacji.

Podobnie, w połowie XIX wieku nauka wniosła nowe nastawienia do zorganizowanych już systemów religijnych. Podczas gdy jedni wyznawcy religii ortodoksyjnych wolno przyswajają sobie poglądy naukowe na takie sprawy, jak kontrola urodzin i nowa interpretacja *Księgi Rodzaju* w świetle nauki o ewolucji, drudzy, niechętni tym zmianom, skłaniają się ku kultom magicznym lub popierają różne pseudonaukowe ruchy.

Wielbiciele określonego magicznego systemu myślowego często gromadzą się wokół jakiejś barwnej i urzekającej postaci, ze względu na jej wzbudzające grozę roszczenia do magii. Ten przywódca kultowy jest apodyktycznym, krańcowym indywidualistą, lecz zarazem człowiekiem unikającym raczej fizycznego gwałtu. Wymaga on od swych zwolenników ścisłej lojalności i często przywiązuje ich do siebie, wzbraniając im jednak normalnych sposobów uzewnętrznienia swych uczuć. Chwilami może posunąć się aż do żądania zachowania celibatu lub wzbronienia hodowania zwierząt, na przykład psów, kotów, kanarków itp. Jednocześnie oburza się na krytykę jego własnego postępowania albo sposobów użytkowania funduszy, które mu dostarczają zwolennicy.

Jego grupa często rozpada się wskutek schizmy. Z szeregów uczniów wyrastają nowi przywódcy, którzy przejmują doktryny, obrządki, nawet wyznawców od swoich poprzedników, i syntezują wierzenia i praktyki kilku aktualnych kultów w jakiś nowy, własny kult.

Przywódcami kultów bywają mężczyźni i kobiety, ludzie różnego wieku i rozmaitych stopni wykształcenia. Mają oni pewne wspólne cechy: są obdarzeni wyobraźnią, egotystyczni i próżni, chociaż niejednen z nich maskował swą zarozumiałość pokorą, zwąc się wy-

słannikiem mistrzów. Są w większości przypadków pozbawieni poczucia humoru i gadatliwi, aczkolwiek spora część tego, co mówią, to puste, lecz barwne frazesy. Zazdrośni o swych rywali, w krytycznych chwilach wykazują często nieopatrne męstwo. Posiadają talent do samooszukiwania się i kompletny brak skrupułów w inkasowaniu pieniędzy od osób, których potrzeby duchowe są większe od zawartości ich portfeli.

Choć zwolennicy nowoczesnych przywódców kultowych są ludźmi rozmaitego pokroju, mają jednak pewne cechy charakteru wspólne. Są naiwni i łatwo ulegają sugestii. Wierzą w to, co słyszą, i kiedy raz uczepią się jakiegoś wierzenia magicznego, nie dają się od niego odwieść.

Są romantyczni. Sądzą, że cały Wszechświat obraca się wokół nich, ostrzega ich snami, i znakami wróżebnymi, i chroni siłami magicznymi. Ufają swoim subiektywnym przekonaniom i ślepo wierzą we wszystko, co mówią przywódcy.

Wyznawcy kultu magicznego, podobnie jak ich przywódcy, chcą, aby ich uważano za uczonych i mądrych, niezależnie od tego, czy w celu zdobycia wiedzy podjęli odpowiednie studia. Rzecz dziwna, że wielu z nich to ludzie o nieprzeciętnej, często wybitnej inteligencji i wykształceniu. Inteligencja jest cechą skomplikowaną; zdolności twórcze, które wysuwają człowieka na czołowe miejsce w sztuce, nie muszą się łączyć ze zmysłem krytycznym, chroniącym przed błędami magii.

Zwolennikami czarodziejów są mężczyźni i kobiety. Są to na ogół ludzie dojrzały, którzy w ortodoksyjnej religii odczuwają brak podnieć, a zraza ich chłodna bezosobowość naukowego punktu widzenia. Być może, magiczne kultury przemawiają do ludzi starszych dlatego, że za młodu nie wypracowali sobie jakiegóż filozofii życia i strach ich ogarnia na myśl, jak mało lat im

jeszcze zostało. Wśród wyznawców tych kultów jest bardzo niewielu młodych ludzi. Albo grupy te wywierają urok raczej na ludzi samotnych niż na posiadających rodziny, albo duża płynność kadr członkowskich uniemożliwia dogłębne zapoznanie młodych z daną nauką. Młodzi, którzy przystępują do tych organizacji, są na ogół nieśmiali, pozbawieni poczucia bezpieczeństwa i często wykolejeni pod względem seksualnym.

Wreszcie, zwolennicy okultyzmu to niespokojne duchy. Przerzucają się z kultu do kultu szukając — bez przerwy szukając — nowych podnieć albo objawienia, albo spokoju ducha. Ludzie, którzy mają wystarczające poczucie godności i dostateczną odporność, żeby stawiać czoła życiu bez szukania oparcia w magii, nie powinni się z nich śmiać, lecz raczej mieć dla nich współczucie.

Trudno jest bezstronnie ocenić jakąkolwiek instytucję stworzoną przez ludzi; bowiem oceny są subiektywne i nie da się ich wymierzyć w centymetrach ani w liczbie obrotów na minutę. Możemy jednak dojść do kilku wniosków co do magii.

Magia ma dla ludzi prymitywnych pewną wartość socjologiczną. Wspiera wątłą instytucję plemienia przez umacnianie autorytetu wodza. Przed powstaniem sądów i policji nadaje prawu sankcje nadnaturalne. Dodaje ludziom odwagi do wykonywania czynów, których inaczej baliby się dokonać. Chociaż magia może się wydostać spod kontroli społecznej i zniszczyć plemię przez tak samobójcze praktyki, jak na przykład próba trucizny, prześladowania czarowników i zakrojone na wielką skalę dzieciobójstwa, korzyści magii prymitywnej są, ogólnie biorąc, znaczne.

Sytuacja ta zmienia się z powstaniem cywilizacji.

Cywilizacje powstają, kiedy następuje jednoczesny, równoległy rozwój w kilku dziedzinach ludzkiej działalności, zwłaszcza w sztuce, umiejętności kierowania państwem i nauce. Magia przyczynia się nieco do rozwoju sztuki przez inspirowanie tematyki mitycznej i dostarczanie rzeźbiarzom i malarzom pożywki dla wyobraźni.

Magia niewiele przyczynia się do umiejętności kierowania państwem. W dziedzinie etyki prowadzi z mniejszym skutkiem do ugruntowania moralności niż ortodoksyjne religie. Czasami głosi skrajny pacyfizm, który ma wątpliwe szanse w obecnym słabym stanie organizacji międzynarodowej. Wyrabia w swych wyznawcach nierealistyczny pogląd na świat. Wreszcie autokracja większości nowoczesnych kultów magicznych jest sprzeczna z naszymi ideałami demokratycznych rządów.

W stosunku do nauki magia objawiła dwa sprzeczne oblicza. Z jednej strony, czarodzieje odnosili się wrogo do odkryć naukowych, obawiając się, że nauka może zdyskredytować ich umiejętności. Z drugiej — sama zrodziła kilka gałęzi wiedzy, jak astronomia, medycyna, a zwłaszcza chemia. Aczkolwiek magia wspomagała naukę w jej zaraniu, w obecnym etapie cywilizacji nauka zyskała tak wielki prestiż i siłę, że nie potrzebuje już bodźca od magii.

Krótko mówiąc, w cywilizowanym społeczeństwie magię należy uważać za instytucję pasożytniczą i społecznie wrogą, zdolną do wyrządzania szkód ludzkości. Pod jej wpływem ludzie nieoświeceni tracą oszczędności całego życia, czasem nawet zrywają więzy małżeńskie i tracą poczucie rzeczywistości. Co gorsza, są oni ślepo posłuszni różnym znachorom, ryzykując i tracąc nie tylko własne życie, ale też życie niewinnych dzieci.

Magia wciąż nas otacza i my nie dożyjemy jej kresu. W tym okresie wojen i niepokoju potrzeba dużego stopnia wnikliwości, aby móc wybrać ze starych i nowych idei te, które człowiekowi będą naprawdę służyły.

Wnikliwość jest rzadkiem darem, ale można ją w sobie rozwijać. Czytelnik, który wkroczył razem z nami w magiczny krąg duchów, gwiazd i czarów, poznał nieco magię, a także ludzi, którzy ją popierają. Wie teraz z pewnością, że w momencie, gdy wyciąga rękę po nęcące obietnice czarodziejów, wyrzeka się własnej integralności i wielu innych rzeczy.

Wiedząc o tym, należy brać magię taką, jaka jest: jako wielki, rzucający blask klejnot na piersi ludzkości. Sprzedali go jej nieuczciwi jubilerzy, Sp. Akc. Czarodziejów, którzy gwarantowali, że jest brylantem oprawionym w złoto, a to tylko szkiełko osadzone w miedzi. Mimo to błyszczą wspaniale — przynajmniej z daleka — i rzuca iskierkę złudnego blasku w świat, w którym żyjemy.

Zatrzymaj się przed faktem jak małe dziecko, bądź gotów wyrzec się wszelkich przyjętych uprzednio teorii, podążaj za naturą w każdą otchłań, do której cię zawiedzie, gdyż w przeciwnym razie niczego się nie nauczysz.

Thomas Huxley

Czytelnika «Biblioteki Problemów» może zaskakiwać fakt wydania książki L. Sprague de Camp i Catherine de Camp, poświęconej tak „niepoważnemu” i „nienaukowemu” tematowi, jak „duchy, gwiazdy i czary”, a właściwie dziejom magii i okultyzmu, i ich roli w życiu współczesnej cywilizacji. Pierwszym, choć nie najważniejszym powodem tego zaskoczenia jest to, że w naszym kraju niewiele ukazało się prac poświęconych tej problematyce oraz zagadnieniom pokrewnym sprawom poruszonym w pracy państwa de Camp; mam na myśli przede wszystkim książkę Martina Gardnera *Pseudonauka i pseudouczeni*, wydaną także przez «Bibliotekę Problemów» (Warszawa 1966), książkę Bergena Evansa *Naturalna historia nonsensu* (Warszawa 1966) oraz dwie prace „demonologiczne” — wznowienie *Czarów i czartów polskich* Juliana Tuwima (wyd. II, Warszawa 1960) i *Pożegnanie z diabłem i czarownicą* Bohdana Baranowskiego (Łódź 1965).

Inną przyczyną zaskoczenia, o którym mowa, może

być — nie pozbawione zresztą racji — przekonanie Czytelnika «Biblioteki Problemów», że tematyka, jaką zajmują się państwo de Camp, jest aktualna jedynie w krajach zachodnich, gdzie warunki społeczne, kształtowane zasadniczo przez chylącą się ku upadkowi burżuazję, stwarzają pole do popisu dla wszelkiego rodzaju okultystycznych parareligii i sekt oraz stanowią żywną glebę dla głoszonych przez nie irracjonalnych poglądów. Przekonanie takie jest słuszne, ale tylko częściowo; reliktyw irracjonalizmu w jego magicznej i okultystycznej formie nie brak również i w Polsce. Któż z nas bowiem nie zetknął się z przejawami pokutującej jeszcze na wsi magii ludowej? Kto nie spotkał się z wiarą w istnienie feralnych dni (na przykład piątek) i liczb (na przykład trzynastka), w moc odpukania w niemalowane drzewo i złowrózeczny charakter takiego faktu, jak przebiegnięcie drogi przez czarnego kota? Kto nie miał w rękę choćby raz podręcznika astrologii i nie słyszał o znakach zodiaku decydujących rzekomo o naszych losach i charakterach? A ileż to razy przychodziło nam słyszeć o snach i wizjach przepowiadających przyszłość i ostrzegających nas przed niebezpieczeństwami? Ile razy dawaliśmy wróżyć sobie z kart czarnookim Cygankom? Ilu jeszcze ludzi w naszym kraju wierzy, że wystarczy w czasie burzy postawić święte obrazy w oknie, aby uchronić się od pioruna, lub złożyć ofiarę św. Antoniemu, aby odnaleźć jakąś zgubioną rzecz? Wiara w diabła i czarownice zanikła już prawie zupełnie, ale czyż nie słyszymy jeszcze czasami o mających nastąpić w naszej epoce narodzinach antychrysta? Któż z nas nie spotkał pań, które jeszcze dziś chodzą do wrózek? Epoka „wirujących stolików” minęła bezpowrotnie, ale któż z nas — i to nie tylko jako dziecko — nie fascynował się opowieściami o duchach? Kto wresz-

cie nie słyssał o wszelkiego rodzaju „ducholecznikach” i znachorach, i sprawionych przez nich cudownych wyleczeniach?

Duchy, gwiazdy i czary państwa de Camp to wyłącznie duchy, gwiazdy i czary krajów zachodnich, przede wszystkim zaś kręgu kultury anglosaskiej. Jednakże Czytelnika polskiego interesowałoby przede wszystkim, jak przedstawiają się dzieje magii i okultyzmu w Polsce.

Podobnie jak w innych krajach, tak i w Polsce powstanie i dzieje magii sprzęgnięte są nierozzerwalnie z genezą i historią religii: magię znali nasi „pogańscy” przodkowie, znała ją także katolicka Polska średniowieczna. Nie zatrzymując się dłużej nad tymi okresami dziejów magii — jako że w zasadniczej swej strukturze rozwijały się one podobnie do dziejów magii w innych krajach — ograniczymy się do odesłania Czytelnika do takich prac, jak Henryka Swienki *Magia w życiu człowieka* (Warszawa 1963), Józefa Putka *Mroki średniowiecza* (wyd. III, Kraków 1966) oraz wymienionych już książek Juliana Tuwima *Czary i czarty polskie* (j. w.) i Bohdana Baranowskiego *Pożegnanie z diabłem i czarownicą* (j. w.).

Średniowiecze było również okresem szczególnego rozkwitu astrologii, tak bardzo związanej z magią. Do najwybitniejszych astrologów XIV - XVI wieku należeli Jan z Głogowa, Wojciech z Brudzewa, Henryk Bohemus, Marcin z Przemyśla, Władysław z Krakowa, Jan z Krakowa i Michał z Wrocławia.

W czasach renesansu — okresie wyłaniania się nauk przyrodniczych z magicznego chaosu średniowiecznych wyobrażeń o przyrodzie — następuje wyraźny podział

magii na magię i demonologię ludową oraz okultyzm warstw wykształconych. Podobnie jak na Zachodzie postaciami symbolicznymi dla przejścia od magii do nauki są legendarny doktor Faust i twórca jatrochemii Paracelsus, w Polsce mamy legendarnego czarnoksiężnika Twardowskiego oraz wybitnego alchemika i chemika Michała Sędziwoja (1566 - 1646). O Panu Twardowskim traktuje piękna książeczka Juliana Wołoszynowskiego *O Twardowskim, synu ziemianki, obywatelu piekiel, dziś księżycowym lokatorze* (wyd. II, Warszawa 1960), O Sędziwoju zaś — któremu państwo de Camp poświęcają kilka stroniec rozdziału VIII swej książki — pisze wyczerpująco Roman Bugaj w pracy *Michał Sędziwój. Życie i pisma* (Wrocław 1968). Spośród astrologów tego okresu warto wymienić Biernata z Krakowa, Jana Brożka, Jana Musceniusa, Macieja Bielawskiego i Józefa Wiśniowskiego.

O ile w czasach baroku — wiek XVII i pierwsza połowa wieku XVIII — notujemy dominację magii i demonologii ludowej, o której poziomie świadczą próbki przekazane nam w sławnych *Nowych Atenach* (Lwów 1745 - 46) ks. Benedykta Chmielowskiego, jak również, w formie wysublimowanej artystycznie, w wielu dziełach literatury tego okresu, o tyle w drugiej połowie XVIII wieku jesteśmy świadkami nagłego rozkwitu okultyzmu „inteligentkiego” i astrologii (Stanisław Dunczewski, Franciszek Niewieski, Cyprian Sapecki, Jan Przypkowski).

Fala idei i praktyk okultystycznych dotarła do Polski wraz z powstałym na przełomie XVII i XVIII wieku wolnomularstwem — burżuazyjnym ruchem parareligijno-etycznym i społecznym, związanym z deistycznymi ideami oświecenia, który wywodził się ze średniowiecznych bractw murarzy-budowniczych katedr,

jak również z okultystycznych stowarzyszeń XVII w., takich jak na przykład różokrzyżowcy. Początek regularnego wolnomularstwa stanowiło połączenie 4 łóż w pierwszą Wielką Lożę, w Londynie, w roku 1717; pierwszą lożę wolnomularską w Polsce założył August Rutowski w roku 1738.

Okultystyczny nurt masonerii ujawnił się po raz pierwszy w roku 1751, kiedy to K. G. von Hund, występując w imieniu tzw. *superiores incogniti* jako rzekomych kontynuatorów tradycji templariuszów, wprowadził do wolnomularstwa ryt ścisłej obserwacji; lożę tego rytu zorganizował w Polsce — w Dukli — w roku 1755 Jerzy Mniszech. Poczynając od lat pięćdziesiątych XVIII wieku do masonerii zaczęli przenikać w coraz większym stopniu członkowie tajnych bractw okultystycznych (na przykład Gold- und Rosenkreuzerbrüderschaft, od roku 1757); od tej chwili w lożach zaczęto uprawiać magię, alchemię, medycynę okultystyczną itp. Około roku 1760 „wtajemniczony” portugalsko-francuski, Martines de Pasqually, wprowadził do masonerii okultystyczny system wyższych stopni — „Elus Coëns”; jego uczniowie, Louis-Claude de St Martin i Jean-Baptiste Willermoz, dali z kolei początek mistycznemu systemowi tzw. martynistów. W roku 1766 A. J. Pernetty utworzył ryt hermetyczny, a w roku 1783 zorganizował grupę tzw. Illuminés d’Avignon, inspirowaną ideami szwedzkiego mistyka Emanuela Swedenborga. Wreszcie w latach 1776 - 84 działał w Bawarii stworzony przez Adama Weishaupta i Adolfa Kniggego, związany z masonerią Zakon Iluminatów o charakterze okultystycznym i politycznym. Przenikaniu do wolnomularstwa idei okultystycznych towarzyszyło pojawienie się w nim licznych fantastów, na przykład tajemniczy hr. de St Germain, i zwykłych oszustów, na przykład twórca masonerii „egip-

skiej”, Giuseppe Cagliostro, znany m. in. ze swej niesławnej wizyty w Warszawie w roku 1780*.

Idee i praktyki okultystyczne znalazły rychło dostęp do wolnomularstwa polskiego. Do czołowych masońców-okultystów polskich tego okresu należeli m.in.: reprezentant rytu ścisłej obserwacji Jan de Thoux de Salverte, kierujący lożą „Dobry Pasterz” w latach 1750 - 93; Alojzy Brühl, od roku 1767 mistrz loży „Cnotliwy Sarmata”; jego następca August Moszyński, późniejszy mistrz Wielkiej Łoży Polski, alchemik i demaskator Cagliostrowa; Karol de Heyking; królewicz Karol Saski, ks. Kurlandii i znany różokrzyżowiec; ofiary Cagliostrowa Kazimierz Poniatowski i Adam Poniński; oraz postać najbarwniejsza — starosta liwski, mistyk i wizjoner, działający w Polsce, Francji (wraz z Pernetym) i Rosji, „król Nowego Izraela” Tadeusz Grabianka, zm. 1807, któremu Józef Ujejski poświęcił studium *Król Nowego Izraela* (Warszawa 1924).

Prawdziwym „złotym wiekiem” magii i okultyzmu w Polsce była epoka romantyzmu. Dominacja postawy spirytualistycznej i idealistycznej w umysłowości owej epoki, zwrot ku twórczości ludowej i zainteresowanie starymi legendami i baśniami łączyły się nierozzerwalnie z powszechną fascynacją wszelkiego rodzaju zjawiskami nadmysłowymi. Pierwsze gwiazdy literatury narodowej: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid, jak również wielu pisarzy mniejszej rangi, takich jak Zan, Malczewski, Zaleski, Lenartowicz, Goszczyński, Rzewuski i in., dawało w swych utworach wyraz tej fascynacji. Wielu pisarzy poświęcało tematyce okultystycznej osobne powieści i nowele; dla przykładu wy-

* Por. Piotr Witt *Cagliostro w Warszawie*, „Ty i ja”, 1968 nr 6.

starczy wymienić *Rękopis znaleziony w Saragossie* Jana Potockiego (wyd. VII, Warszawa 1965) i zebrane przez Tuwima w *Polskiej noweli fantastycznej* (wyd. III, Warszawa 1953) opowiadania takich pisarzy, jak J. M. Ossoliński, Barszczewski, Korzeniowski, Dzierzkowski, Groza, Libelt, Sztjrmer, Tripplin czy Siemieński. Również polska filozofia romantyczna nie pozostawała w tyle za literaturą, przynajmniej jeśli chodzi o wewnętrzne pokrewieństwo z myśleniem magicznym i koncepcjami okultystycznymi; prym wiódł tu niewątpliwie Andrzej Towiański, ale elementów pokrewnych okultyzmowi nie brak było także systemom Hoene-Wrońskiego, Gołuchowskiego, Cieszkowskiego, Trentowskiego, Libelta i Kremera*.

Nas jednak interesuje tu przede wszystkim zafascynowanie zjawiskami okultystycznymi, jakiemu uległa w XIX wieku spora część intelektualistów i szerokiego ogółu w Polsce. Zrazu największą ciekawość budził odziedziczony po XVIII wieku mesmeryzm, później jednak jego miejsce zajął spirytyzm, zwłaszcza od pojawienia się w roku 1847 sióstr Fox. Mimo wrogości czy przynajmniej sceptycyzmu, jakie przejawiali wobec nowej mody ludzie tak wybitni, jak Mickiewicz, Krasiński i Norwid, zainteresowanie „światem duchów” nie osłabło**. Tłumaczy się głównych klasyków „duchoznawstwa”: praca Justyna Kernerera *Jasnovidząca z Prevorst* wyszła w roku 1833, Allana Kardeca *Księga duchów zawierająca zasady nauki duchowni-*

* Por. studia Adama Sikory o Hoene-Wrońskim i Towiańskim, Andrzeja Walickiego o Cieszkowskim i Jerzego Ładyki o Trentowskim i Libelcie, zamieszczone w zbiorze *Filozofia polska*, Warszawa 1967.

** Dzieje spirytyzmu w Polsce XIX wieku omawia księżeczka Stanisława Wasylewskiego *Pod urokiem zaświatów*, wyd. II, Kraków 1958.

czej w 1879. Krasieński i Aleksander Branicki kontaktowali się z wielkim medium angielskim D. Dunglasem Home'm. Wyszły także inne polskie prace poświęcone problematyce okultystycznej: Jana Baudoin de Courtenay *Rzut oka na mesmeryzm, czyli systemat wzajemnych wpływów i skutków, objaśniający teorię i praktykę magnetyzmu zwierzęcego* (Warszawa 1820); Henryka Rzewuskiego *Teofrast Polski* (Petersburg 1851), gdzie wybitny pisarz przedstawia sylwetki Grabianki, Oleszkiewicza i innych, mniej znanych mistyków polskich, jak Poszmana, Hińcza i Studzińskiego; oraz dzieło Wiktora Szokalskiego *Fantazyjne objawy zmysłowe* (Kraków 1861 - 62), w którym autor, lekarz-pozytywista, tłumaczy wszelkiego rodzaju zjawy i widzenia duchów jako rezultat halucynacji*. Jednocześnie, nieliczni jeszcze uczeni podjęli próby naukowego zbadania zjawisk okultystycznych; do tych pierwszych polskich parapsychologów należał m. in. fizyk Feliks Radwański z Krakowa. Zaczęły wychodzić także pierwsze pisma poświęcone problematyce okultystycznej i spirytystycznej: w latach 1816 - 18 I. E. Lachnicki wydawał w Wilnie „Pamiętnik Magnetyczny”, a sławne medium, Malwina Gromadzińska, „Światło Zagrobowe” we Lwowie w latach 1869 - 70. W tym samym czasie Leon Rogalski wydał w Warszawie 3 tomy pt. *Świat duchów, czyli sny, przeczucia i widzenia* (1869 - 70); z publikacji tej przytoczymy kilka tytułów rozdziałów, aby przedstawić problematykę, jaką interesowali się okultyści i badacze okultyzmu sprzed stu lat: *Biała niewiasta, Zjawienie się Panajewa, Speł-*

* Filozof B. F. Trentowski tłumaczył te zjawiska „organiczną elektrycznością” i twierdził, że zna ich tajemnicę „i sam mógłby robić cuda i dziwy jak Swedenborg, gdyby tylko chciał” (por. *Panteon wiedzy ludzkiej*, t. III, 1873 - 81, s. 140).

niona klątwa (z pamiętników Fryderyka Skarbka), *Przeczcucie marszałka Bessières*, *Przekleństwo Cyganki*, *Przepowiednia Cazotta*, *Objawienie się zmarłego męża we śnie*, *Widzenie konającego ojca*, *Duplikat*, czyli *człowiek dubeltowy*, *Sen zdradzonego małżonka*, *Dyjabły pod wieżą Maryacką w Krakowie*, *Lord Byron i wzrok podwójny*, *Śmierć przepowiedziana we śnie*, *Duch pokutujący*, *Spirytyzm* (napisane przez J. I. Kraszewskiego), *Widzenie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego*, *Duch opiekuńczy Tassa*, *Processya duchów*, *O życiu ducha* (przez dra Dworzaczka), *Duchy rzucające*, *Czarny pies*, *Morderstwo odkryte we śnie*, *Talizmany i amulety* (przez Mścisława Kamińskiego), *Dzieci elektryczne*, *Intuicya Zschokkego i sensitif badany* (przez barona Reichenbacha), *Psychologija snów* (przez Andrzeja Delrieu), *Cud we francuzkiem miasteczku Loudres*, *Narzęczony we śnie*, *Widzenie w smole*, *Trzewik w trumnie*, *Horoskop Wallensteina*, *Nostradamus* (przez Philareta Chasles), *Lunatycy*, *Ludzie obrócenii w kamień*, *Ojciec szubieniczny*. Szerokość zainteresowań zdumiewająca — niemal jak współczesnej paryskiej „Planète” Pauwelsa i Bergiera!

Choć może się to wydać dziwne, zainteresowanie okultyzmem nie wygasło z nadejściem okresu pozytywizmu. Zmianie uległa jedynie postawa zainteresowanych wobec zjawisk pozazmysłowych: zjawiska te miały stać się przedmiotem badań naukowych. Pionierem i właściwym twórcą polskiej parapsychologii był jeden z czołowych pozytywistów, Julian Ochorowicz (1850 - 1917)*. Jako parapsycholog Ochorowicz współpracował z tej miary uczonymi, co Lombroso, Schiaparelli, Myers, Schrenk-Notzing, de Rochas, Richet, Geley i Flammarion, i z mediami tej klasy, co

* Por. artykuł Barbary Skargi *Julian Ochorowicz: pozytywizm i okultyzm*, w: „Człowiek i Światopogląd”, 1969, nr 1.

Eusapia Palladino, Stanisława Tomczykówna i Jadwiga Domańska. Do jego głównych prac parapsychologicznych należą: *De l'ideoplastie* (Paryż 1884), *De la suggestion mentale* (Paryż 1887 — dzieło to, opatrzone przedmową Richeta, spotkało się z entuzjastyczną oceną Hipolita Taine'a), *Mesmerisme et hypnotisme* (w *Dictionnaire de physiologie* Richeta), *Wiedza tajemna w Egipcie* (Warszawa 1898), *Zjawiska mediumiczne* (Warszawa 1913); sześć rozpraw — *Un nouveau phénomène mediumnique*, *Les phénomènes lumineux et la photographie de l'invisible*, *Les rayons rigides et les rayons Xx*, *Nouvelle étude expérimentale sur la nature des „rayons rigides” et du courant mediumnique*, *Radiographie des mains* i *Les mains fluidiques et la photographie de la pensée*, zamieszczonych w „*Annales des Sciences Psychiques*” w latach 1909 - 12; oraz dwie prace nie wydane — *Nouvelles formes d'énergie* i *O skojarzeniach ideo-organicznych*.

Nieprzemijającą zasługą Ochorowicza jest to, że pierwszy w Polsce zaczął badać nie tylko zjawiska hipnozy i magnetyzmu (jako bodaj pierwszy sformułował teorię elektromagnetycznego promieniowania mózgu), ale także zjawiska telepatii i mediumizmu, zwłaszcza zaś mediumizmu fizycznego, tj. telekinezy i materializacji. W rezultacie swych badań Ochorowicz odrzucił spirytystyczną koncepcję „duchów” jako czynników sprawczych zjawisk medialnych i opracował szereg własnych teorii tłumaczących te zjawiska. Pierwszą z nich była teoria ideoplastii, przyjęta m. in. przez Schrenk-Notzinga, Geleya i Crawforda. Przez „ideoplastię” Ochorowicz rozumiał działanie niezbadanej energii psychicznej żywego organizmu. Według tej teorii w obrębie organizmu działa prawo asocjacji ideo-organicznej, czyli prawo skojarzenia między wyobrażeniem pewnego stanu organicznego a samym stanem

organicznym. Jest to ideoplastia organiczna. Medium jest istotą, u której w transie jedno wyobrażenie (monoideizm) może wystąpić z wyjątkową siłą, a tracąc swoje asocjacje organiczne odzyskuje swe asocjacje kosmiczne. A więc, na przykład wyobrażenie mającego nastąpić dźwięku odtworzy w otoczeniu te drgania powietrza, z którymi było wielokrotnie skojarzone, przenosząc potrzebną do tego siłę z ciała medium i uczestników seansu do otoczenia.

Medium może jednak także stwarzać sobie własne organy, na przykład rękę, którą puka lub dzwoni: dzieje się to dzięki ideoplastii materialnej, czyli materializacji. Możliwość produkowania zjawisk materializacji przez medium tłumaczy Ochorowicz tym, że organizm człowieka posiada ciało eteryczne, znane z legend jako cień człowieka, sobowtór kapłanów egipskich, ciało duchowe św. Pawła, ciało astralne okultystów. To ciało eteryczne Ochorowicz uważa „za niewidzialny drugi biegun tej widzialnej kreacji, którą ciałem nazywamy, za prawdziwą sprężynę tych fizjologicznych procesów, które fizyka i chemia objaśnia”. Medium przy dokonywaniu materializacji „daje nie tylko swoje ciało eteryczne jako żywą kanwę, ale nadto odstępuje swoje atomy, które, podobnie jak w procesie rozwoju i wzrostu skupiały się według linii sił ciała eterycznego, tak tutaj, odciągane przez te same linie sił ciała z gotowego już całokształtu, formują chwilowo inny, podobny, kosztem tamtego...”. Ochorowicz przyjmuje także, że ciało eteryczne może nie tylko wyłaniać się z organizmu medium, „ale nawet rozszczepić się z nim całkowicie na czas krótki, zachowując tylko jakiś niewidzialny łącznik, pozwalający mu na powrót złąć się z ciałem” *.

* Powyższe cytaty zaczerpnięto z książki Ludwika Szcze-

W toku dalszych badań (głównie nad medium Stanisławą Tomczykówną) Ochorowicz stwierdził, że media zdolne są wytwarzać różne nieznanne rodzaje energii. W czasie seansów zauważył on mianowicie, że niekiedy z palców medium wyłaniała się jakaś substancja, która przybierała postać nitek „fluidalnych”; substancja ta, którą później nazwano ektoplazmą, bywała czasem widzialna, zwykle jednak niewidzialna. Ochorowicz nazwał ją „promieniami sztywnymi”. Główną własnością promieni sztywnych jest ich działanie mechaniczne. Wywierając nacisk, mogą one pozornie zmieniać ciężar ciał. Jako obdarzone pewną konsystencją mogą podtrzymywać ciała lekkie, a nawet unosić je w powietrzu. Istnienie tych promieni można stwierdzić zarówno wzrokiem i dotykiem, jak i po ich skutkach mechanicznych oraz za pomocą fotografii i „bezpośredniej radiografii” w ciemności. W dalszym ciągu swych eksperymentów Ochorowicz badał też zjawiska, które nazwał promieniami Xx. Promienie te są najwyższym stopniem promieniotwórczości mediumicznej. Mają one właściwe sobie formy działania na kliszę fotograficzną (geometrycznie regularna kula świetlna), przechodzą przez wszystkie ciała, działają na znaczne odległości, a chemicznemu ich działaniu towarzyszy niekiedy zdolność wywoływania barwnych plam. Ochorowicz nie poprzestał na tym i spróbował ideoplastii fotograficznej: bez aparatu fotograficznego uzyskał na płytkach odbicia niewidzialnych rąk „duchów”, czyli ektoplastycznych sobowtórów mediów. Wreszcie udało mu się także przeprowadzić eksperymenty z „radiografowaniem” wyobrażeń medium — uzewnętrznieniem obrazu myślowego medium, „fotografią myśli”.

pańskiego *Okultyzm. Fakty i złudzenia*, wyd. II, Kraków 1937, t. I, s. 60.

Drugim po romantyzmie okresem w kulturze polskiej, który stworzył podatną glebę do rozwoju idei okultystycznych *sensu stricto*, był okres Młodej Polski. Przez podzielony kraj przeszła znowu fala idei spirytystycznych i idealistycznych, mistycyzm i wiedza tajemna stały się znowu modne w warstwach mieszczańskich i inteligenckich, symbolizm święcił triumfy w literaturze, zainteresowaniem cieszyły się religie i filozofie orientalne. Tetmajer opisał swój *Hymn do Nirwany*, Przybyszewski epatował satanizmem zarówno w życiu, jak w powieściach (*Il regno doloroso*) i studiach (*Die Entstehung der Satan-Kirche* i *Der Kult der Satan-Kirche*, opublikowane w „Kritik”, t. XI i XII 1897) *, a w jego ślady szedł Tadeusz Miciński w swych poezjach (*W mroku gwiazd*) i powieściach (*Lucyfer*). Wpływy okultyzmu nie minęły także filozofii: na tym terenie ich eksponentem był Wincenty Lutosławski, znawca filozofii Platona, moralista (założyciel stowarzyszenia „Elsów”) i propagator jogi (*Rozwój potęgi woli przez psychofizyczne ćwiczenia*, Kraków 1909).

Tematyka okultystyczna występuje również w literaturze. W kresie międzywojennym najwybitniejszym powieściopisarzem spośród tych, którzy podejmowali tę tematykę był Stefan Grabiński **. Zarówno w okresie Młodej Polski, jak i w dwudziestoleciu międzywojennym powstał szereg stowarzyszeń i organizacji już to o charakterze okultystycznym, już to mających na celu naukowe badanie zjawisk okultystycznych; do najważniejszych należały: Polskie Towarzystwo Teozoficzne (Kazimierz Stabrowski, Wanda Dynowska, działająca do dzisiaj w Indiach i kierująca serią wydawnictw

* Por. Maxime Herman *Un satanisme polonais Stanislas Przybyszewski (de 1868 a 1900)*, Paryż 1939.

** Por. Artur Hutnikiewicz *Twórczość literacka Stefana Grabińskiego (1887 - 1936)*, Toruń 1959.

«Biblioteki Polsko-Indyjskiej»), Polskie Towarzystwo Antropozoficzne (Maria Przyborowska), okultystyczne odłamy masonerii — Zakon Martynistów (Czesław Czyński), Towarzystwo Studiów Ezoterycznych (Wacław Kłoczowski), Polskie Towarzystwo Astrologiczne (Franciszek Prengel), Polskie Towarzystwo Badań Psychicznych (Piotr Lebedziński), Towarzystwo Psychofizyczne (Prosper Szmurło), Polskie Towarzystwo Metapsychiczne (Stefan Kowalski), Towarzystwo Metapsychiczne (Stanisław Breyer) i Towarzystwo Parapsychiczne im. J. Ochorowicza (Józef Świtkowski). Spośród plejady okultystów polskich z okresu przed pierwszą i drugą wojną światową do najwybitniejszych należeli: Mieczysław Genjusz (zm. 1920), martenista, który w roku 1910 nosił się z zamiarem utworzenia w Polsce „Ogniska badań ezoterycznych i metapsychicznych”, a w roku 1912 zwołał w Kosowie „sejm ezoteryczny”; Stanisław Breyer, lekarz i filozof głoszący tzw. „monizm substancjalny”, autor prac *Z pogranicza zaświatów* (Kraków 1922) i *Religia absolutna* (Kraków 1927) i innych; Agnieszka Pilchowa, także medium i jasnovidz (autorka pracy *Życie na ziemi i w zaświecie, czyli wędrówka dusz*, Katowice 1926); mesjanista Józef Jankowski; Józef Chobot (*Nowoczesny ruch spirytualistyczny*, Wisła 1937); Józef Świtkowski (*Wstęp w światy nadzmysłowe*, Katowice 1937); Karol Chodkiewicz (*Ewolucja ludzkości*, Kraków 1936). Do czołowych parapsychologów polskich tego okresu należeli: Edward Abramowski (1868 - 1918), teoretyk socjalizmu i jeden z pierwszych polskich psychologów głębi, autor *Telepatii doświadczalnej* (Warszawa 1910); Ignacy Matuszewski (1858 - 1919), historyk literatury, autor książki *Czarnoksiężstwo i mediumizm* (Warszawa 1896); Ksawery Habdank Watraszewski (1853 - 1929), lekarz i autor spirytystycznych prac *Karta*

z zamkniętej księgi bytu (Warszawa 1919, rzekome rewelacje pośmiertne Ochorowicza) i *Z zaświatów* (Warszawa 1923); Piotr Lebedziński (1860 - 1934), chemik i współpracownik Ochorowicza, pracował z medium Stanisławą Popielską; Edmund Libański (1861 - 1928), inżynier działacz społeczny, autor *Tajemnic zjawisk spirytystycznych w świetle badań naukowych* (Warszawa 1925); Norbert Okołowicz, autor *Wspomnień z seansów z medium Frankiem Kluskim* (Warszawa 1926); Ludwik Szczepański, autor pracy *Okultyzm. Fakty i złudzenia* (cyt. wyd.); Eugeniusz Polończyk; Prosper Szmurło; Tadeusz Sokołowski; Alfons Gravier; Lucjan Böttcher i pisarka M. H. Szpyrkówna. Do sławnych postaci obdarzonych zdolnościami paranormalnymi (w tym także mediów) należeli: Stefan Ossowiecki (1877 - 1944), autor pracy *Świat mego ducha i wizje przyszłości* (Warszawa 1933), wybitny jasnowidz, telepata, telekinetyk i psychometra, badany m. in. przez Richeta, Osty'ego i Schrenk-Notzinga; Rafał Schermann, jasnowidz-psychografolog, o którym pisał Oskar Fischer w *Experimente mit Rafael Schermann*, Berlin 1924; Oskar Wojnowski, jasnowidz-ducholecznik; malarze medialni Marian Gruzewski i Radwan Radziszewski; „król mediów współczesnych” Teofil Modrzejewski (pseud. Franek Kluski) produkujący nader obfite zjawiska telekinetyczne i materializacyjne; Stanisława Tomczykówna, medium Ochorowicza; Jan Guzik, medium produkujące szczególne zjawy zwierząt; inne znane media: Jadwiga Domańska, Marta Czernigiewicz, Gizela Winiarska, Maria Przybylska, Elżbieta Witkowska, Sabira Churamowicz, Antonina Prima i Pari Banu. Wreszcie jeszcze kilka słów o wydawnictwach i prasie okultystycznej i parapsychologicznej w Polsce w pierwszej połowie XX wieku. Najbardziej zasłużonymi wydawnictwami były

w latach dwudziestych i trzydziestych: Książnica Wiedzy Duchowej (Józef Chobot) i Biblioteka Wiedzy Duchowej (Jan Hadyna). Z periodyków wymienić należy: „Dziwy Życia”, Warszawa 1902 - 07 (Witold Chłopiński); „Przegląd Teozoficzny”, Warszawa 1921 - 39 (Julia Kreczyńska); „Odrodzenie”, Cieszyn i Katowice 1921 - 29 (Józef Chobot); „Zagadnienia Metapsychiczne”, Warszawa 1925 - 29 (Prosper Szmurło); „Hejnał”, Wisła 1929 - 39 (Jan Pilch); „Lotos”, Kraków 1934 - 39 (Jan Hadyna); „Niebo Gwiazdziste”, Bydgoszcz 1935 - 36 (Franciszek Prengel) oraz „Przegląd Metapsychiczny”, Warszawa 1936 (M. H. Szpyrkówna).

Czytelnika *Duchów, gwiazd i czarów* państwa de Camp uderza przede wszystkim skrajnie krytyczna i sceptyczna postawa jej autorów, jaką przejawiają konsekwentnie wobec problematyki, którą zajmują się w swej książce. Na przykład, rozdział poświęcony astrologii kończą stwierdzeniem:

„Chociaż astrologia nie stanowi żadnej drogi do poznania charakterów ani losów ludzkich, i choć jej pretensje do naukowości nie mają żadnych podstaw, będzie pewnie długo jeszcze kwitła w naszej cywilizacji” (s. 52).

W innych zaś miejscach książki czytamy:

„Bractwa okultystyczne rozwijają się, ponieważ ludzie lądzą się uparcie, że osiągną nowoczesny odpowiednik kamienia filozoficznego, który szybko i bez trudu przemieni nieszlachetny metal ich codziennych przypadłości i frustracji w szczerze złoto szczęściwości. Podobnie jak dawni alchemicy, są oni skazani na niepowodzenie, bowiem taki kamień nie istnieje. Tylko drogą obiektywnej, naukowej oceny własnej sytuacji i rygorystycznej dyscypliny oraz stałego kształcenia się mogą, jak nowocześni chemicy, postąpić naprzód w swych poszukiwaniach” (s. 243).

Albo

„Jest dwoje drzwi do Krainy Czarów: jedno to transy, mistycyzm i rezygnacja ze zmysłu krytycznego. Mistrz zapewne osiąga chwile ekstazy, krótkotrwałe zelżenie cierpienia i lęku, lecz nie zyskuje ani złota, ani miłości, ani mądrości i ryzykuje popadnięcie w nałóg używania narkotyków oraz rozszczępienie osobowości...

Dla nas... istnieje mała boczna furtka w nieprzebytym murze. Kluczem do owej furtki jest zawieszenie na chwilę niewiary, które pozwala nam cieszyć się baśniami i fantazjami, ile dusza zapagnie, abyśmy potem, odświeżeni, mogli powrócić do świata ziemskiego i rozwiązywać swoje problemy zdrowym rozsądkiem, dobrym humorem i zwykłą ciężką pracą" (s. 306).

„Nie można zaprzeczyć, że silna wiara posiada wielką moc... Neurastenicy, histerycy, hipochondrycy, zniechęceni starcy i niezrównoważeni młodzi ludzie mogą, nabrawszy wiary w czyjąś czy jakąś cudowną moc, odzyskać dobre samopoczucie. Jest to właśnie owa złota bryłka prawdy zagrzebana w miocie *mana*, cudach mesmerystów i łatwowierności wyznawców Christian Science.

Najlepszym rodzajem wiary jest wiara w samego siebie..., która wywodzi się wyłącznie z poznania własnych możliwości i ze zrozumienia świata, w którym człowiek żyje. Dopóki ludzie będą szukali skrótowych dróg do zdrowia, majątku i mądrości, tajemniczy magnes zachowa swą moc, a do łatwowiernych będą przemawiały «cudowne uzdrowienia» duchowej terapii" (s. 343).

„Jedno, co człowiek rozsądny może w tej sprawie powiedzieć, to że do dziś nie ma żadnego dowodu: obecności duchów na tej Ziemi, zdolności wywoływania ich przez media, możliwości porozumiewania się ludzi z duchami i przekazywania przez duchy informacji żywym ludziom" (s. 385).

„Mądrości nie można kupić podporządkowując własną niezależność woli jakiegoś czarownika. Jest ona wolno tworzącym się amalgamatem wiedzy zdobytej drogą studiów i obserwacji... Ci, którzy szukają skrótowej drogi do mądrości, narażają się na utratę charakteru, zdolności osądu krytycznego, majątku, a nawet zdrowych zmysłów" (s. 423).

„W tej chwili można jedynie powiedzieć, że upłynie wiele lat zanim zostanie zebrany dostateczny materiał przemawia-

jący za lub przeciwko spostrzeganiu pozazmysłowemu... Jeżeli jednak kiedykolwiek istnienie SPZ zostanie stwierdzone, to będzie ono również miało racjonalne, naukowe wyjaśnienie... [nienaukowe] wyjaśnienia są dobre w opowiadaniach fantastycznonaukowych, ale ponieważ podstawiają tylko jedną niewiadomą w miejsce drugiej, ludzie kierujący się rozumem nie mogą ich brać poważnie. Pozostawmy zatem spostrzeganie pozazmysłowe na pograniczu pomiędzy nauką i magią i miejmy nadzieję, że dożyjemy rozwiązania tej zagadki" (s. 446 - 447).

Krytyczna i sceptyczna postawa państwa de Camp, zilustrowana powyższymi cytatami, nie może nie budzić sympatii Czytelnika o światopoglądzie racjonalistycznym i materialistycznym. Każdy rozsądny i oświecony człowiek musi solidaryzować się z krytyką światopoglądu irracjonalnego i nienaukowego, opartego na mało wiarygodnych danych, proponującego wygodne, lecz fałszywe drogi poznania i samodoskonalenia. Każdy rozsądny i oświecony człowiek musi przyklasnąć demaskatorskiej krytyce wszelkich parareligijnych grup i stowarzyszeń, będących nosicielami i propagatorami takiego światopoglądu, organizacji żerujących na ludzkiej łatwowierności i nie cofających się przed zwykłym oszustwem i wyzyskiem. Żaden człowiek o postawie racjonalistycznej i humanistycznej nie może nie podpisać się pod słowami państwa de Camp, w których bronią oni wartości naukowej drogi poznania świata i humanistycznej pracy nad własnym charakterem, wyrażają wiarę w człowieka i jego rozum, i przemawiają za jego wolnością i niezależnością.

Dla Czytelnika «Biblioteki Problemów» interesujące będzie pytanie, jak przedstawiają się poglądy religioznawstwa marksistowskiego na magię? Odpowiadając na tę kwestię zacytujmy wypowiedzi kilku religioznawców-marksistów, takich jak Plechanow, Tokariew, Hainchelin, Thomson i Debiprasad:

„Magia — pisze J. Plechanow — jest to prosta asocjacja idei, prosty symbolizm, który sam może opierać się tylko na niedostatecznie jasnym rozróżnieniu między tym, co zachodzi w głowie człowieka, a tym, co dokonywa się w rzeczywistości” *. „Używając określenia «obrzędy magiczne (magia)» będziemy rozumieli w pewnym sensie tylko te obrzędy, które mają za cel bezpośrednie, pozanaturalne oddziaływanie człowieka na ten lub inny obiekt materialny i które nie są powiązane z wyobrażeniami animistycznymi” **.

„Magia jest z istoty swej zjawiskiem religijnym, tak jak religia jest z istoty swej przeniknięta magią... Magia jest siłą konserwatywną, gdyż władcą życia społecznego czyni ustalone obyczaje” ***. „Magia opiera się na założeniu, że stwarzając iluzję opanowania rzeczywistości można istotnie ją ośwładnąć. Jest to pewna technika iluzoryczna, uzupełniająca braki techniki realnej... Ideologia magii, wiodąc do czynu, uosabia cenną prawdę, że świat zewnętrzny może rzeczywiście ulec zmianie przez subiektywny stosunek doń człowieka” ****. „Magia była środkiem sprzyjającymi rozwojowi techniki produkcyjnej” *****.

Porównując powyższe wypowiedzi z wypowiedziami państwa de Camp na temat magii, nie sposób nie zauważyć licznych zbieżności między nimi. Badacze marksistowsy idą jednak dalej w swej analizie magii. Na przykład, polski religioznawca-marksista Henryk Swienko nie waha się stwierdzić, że:

„...Magia dla nauki to nie wytwór ciemnoty, to nie wytwór grupki szalbierzy spekulującej na trudnościach życiowych. Magia w ujęciu nauki to produkt historyczny, to stan świadomości

* J. Plechanow *O religii i cierkwi*, Moskwa 1957, s. 175.

** S. A. Tokariew *Suszczność i proischożdenije magii*, Moskwa 1959, s. 14.

*** Ch. Hainchelin *Pochodzenie religii*, Warszawa 1954, s. 94 i 95.

**** George Thomson *Egea prehistoryczna*, Warszawa 1958, s. 20 i 21.

**** Chattopadhyaya Debiprasad *Lokayata. A Study in Ancient Indian Materialism*, cyt. z przekł. ros., Moskwa 1961, s. 119.

mości odpowiadający ówczesnemu (pierwotnemu — *przyp. mój*) okresowi historycznemu. Zgodnie z takim stanowiskiem, do magii należy podchodzić z uwagą i poważnie; magią zajmujemy się nie tylko dlatego, żeby ośmieszyć naszych przaprzodków, żeby wykazać ich ciemnotę i zabobonność, przy jednoczesnym podkreśleniu własnej potęgi umysłowej i racjonalnego sposobu myślenia, posługującego się tylko i jedynie technikami racjonalnymi. Magią zajmujemy się przede wszystkim po to, aby wnikliwie spojrzeć na historię procesu poznania, zastanowić się nad błędami, jakie popełniano kiedyś (a często także i dziś, bo przecież magia nie jest na razie eksponatem muzealnym), aby prześledzić zmienność historyczną technik naszego oddziaływania na rzeczywistość”*.

Ten sam autor pisze dalej:

„Magia pierwotna stanowiła załączek przyszłej wiedzy, ona to przygotowywała grunt dla myślenia naukowego, ona to stanowiła próg nauki. Niech świadczy o tym chociażby historia astronomii, która wyrosła z astrologii, historia chemii, która wyrosła z alchemii, bądź też historia medycyny racjonalnej i eksperymentalnej, która wyrosła z magii leczniczej, a nawet — jak uważają niektórzy uczeni — poezja i matematyka wyrosły z magii”.

I na koniec stwierdza:

„Trawestując znane powiedzenie marksizmu: «idea opanowująca masy staje się siłą materialną», możemy powiedzieć, że magiczne nastawienie staje się w pewnych okresach życia człowieka siłą kierowniczą i nieodzowną w praktycznym działaniu. To prawda, że magia wynika z niewiedzy, jednakże niewłaściwie byłoby sądzić, że jest ona wytworem ciemnoty”**.

Zacytowane wypowiedzi marksistowskich badaczy magii odnoszą się w zasadzie do magii ludów pierwotnych, jednakże to, co mówią, można bez większych zmian zastosować do wszelkich innych form magii — do magii „cywilizowanej” na przestrzeni jej dziejów od czasów antycznych po współczesną antropozofię.

* H. Swienko *Magia w życiu człowieka*, Warszawa 1963, s. 11.

** Tamże, s. 55 i 56.

Przy wszystkich bowiem różnicach dzielących magię pierwotną od magii „cywilizowanej”, łączy je wspólna im, zasadnicza struktura. O strukturze tej decyduje z jednej strony czynnik socjologiczny: w pierwotnej fazie swego rozwoju magia jako „iluzoryczna technika” poprzedzała naukę jako „realną technikę” poznawania natury i społeczeństwa oraz posługiwania się rządzącymi nimi siłami, w cywilizowanej zaś fazie swego rozwoju zastępowała naukę, stając się częścią ideologii już to klas uciskanych (na przykład, niewolników walczących ze swymi właścicielami czy chłopstwa walczącego z feudalami; zwróćmy uwagę na rolę magii w ideologii wczesnego chrześcijaństwa czy też na magiczny charakter wielu heretyckich ludowych ruchów i chłopskiego kultu „rogatego boga” w średniowieczu), już to klas wyzyskujących (na przykład rozkwit magii w okresach schyłku dominacji — kolejno — klasy antycznych właścicieli niewolników, feudałów i burżuazji). Z drugiej strony, w kształtowaniu się struktury wspólnej magii wszystkich czasów odgrywa także rolę czynnik psychologiczny: strukturę tę kształtuje wspólne wszelkim formom magii tzw. myślenie magiczne, którego badaniu poświęcili się w naszym wieku przede wszystkim Lucien Lévy-Bruhl (*Les fonctions mentales dans les sociétés inférieures*, Paryż 1922), C. G. Jung (*Psychologia a religia*, Warszawa 1970) i Jean Gebser (*Ursprung und Gegenwart*, Stuttgart 1949). Dopiero oba te czynniki, socjologiczny i psychologiczny, tłumaczą nam przyczyny uporczywego utrzymywania się idei magicznych i związanego z nimi magicznego myślenia. Ma to szczególne znaczenie w czasach, w których toczy swą zwycięską walkę klasa robotnicza, posługująca się orężem nauki i naukowej ideologii marksizmu-leninizmu i nie znająca konieczności uciekania się do antynaukowych koncepcji magicznych.

Jak już powiedzieliśmy, Czytelnika książki państwa de Camp uderza skrajnie krytyczna i sceptyczna postawa jej autorów wobec problematyki, którą się zajmują. Podkreśliliśmy także słuszność i właściwość tej postawy, jak również jej głęboko racjonalistyczny i humanistyczny charakter, przede wszystkim w odniesieniu do irracjonalnego myślenia magicznego oraz wszelkiego rodzaju parareligijnych ruchów i organizacji magicznych. Wyłącznie negatywistyczne poglądy autorów *Duchów, gwiazd i czarów* na magię uzupełniliśmy jednak sformułowanymi przez badaczy-marksyistów pozytywnymi ocenami pewnych historycznych i społeczno-psychologicznych aspektów i funkcji magii. Jest jednak punkt w książce państwa de Camp, który budzi nasze zastrzeżenia. Mamy mianowicie na myśli ich stosunek do parapsychologii jako nauki, która zajmuje się badaniem zjawisk będących dawniej domeną magii. Stosunek ich do tej nauki — niewątpliwie młodej i dalekiej od doskonałości — jest niemal równie krytyczny i sceptyczny jak do magii. Postawa taka, jeśli uwzględnimy nawet fakt, że państwo de Camp żyją i piszą w ramach społeczeństwa kształtowanego w dużej mierze przez chylącą się ku upadkowi burżuazję uciekającą się w „ideologicznej rozpacz” do irracjonalnych idei oraz praktyk magicznych i okultyzycznych, jest niewątpliwie wyrazem tego, co w nauce marksistowskiej określamy terminem burżuazyjnego nihilizmu i metafizycznej negacji.

Z gruntu inne powinno być — i jest — podejście nauki marksistowskiej do każdej idei czy doktryny wyrastającej z innej niż marksizm gleby społecznej (klasowej) i z innych — a nawet wręcz mu przeciwnych — założeń światopoglądowych. Wzorem marksistowskiej, dialektycznej analizy i krytyki tego rodzaju idei czy doktryny jest krytyka Hegla i hegliz-

mu, jaką sformułował Lenin w swych *Zeszytach filozoficznych*. Leninowska krytyka myśli obcej nam klasowo i światopoglądowo opiera się na materialistyczno-dialektycznej zasadzie jej odczytywania: Lenin nakazywał badać i analizować fakty, na które powołuje się jakakolwiek obca doktryna, krytykować natomiast i obalać właściwe tej doktrynie uogólnienia tych faktów i sposoby ich interpretowania. Ta Leninowska dyrektywa odnosi się — *mutatis mutandis* — także do magii i okultyzmu.

Religioznawca marksistowski zajmujący się badaniem magii, kierując się tą dyrektywą, zada sobie przede wszystkim pytanie, czy idee i doktryny magiczne i okultystyczne rzeczywiście opierają się — choćby w najmniejszej mierze — na jakichkolwiek faktach? Niepodobna przypuścić (jak to właściwie robią państwo de Camp, a także pewna liczba autorów anglosaskich, takich jak na przykład Martin Gardner w swej, cytowanej już, *Pseudonaucze i pseudouczonych* czy D. H. Rawcliffe w *Illusions and Delusions of the Supernatural and the Occult* (N. Jork 1959), że tak nie jest, gdyż przeczyłoby to znanym nam prawidłowościom historycznym: nie znamy żadnej — choćby najbardziej irracjonalnej, fantastycznej i fałszywej — idei czy doktryny, która nie miałaby prawa odwoływać się do jakichś faktów. Jeśli zaś magia i okultyzm znajdują poparcie w jakichś faktach, to — „nie wylewając dziecka wraz z kąpielą”, jak to robią państwo de Camp — odrzuciwszy, rzecz jasna, irracjonalne i nie-naukowe ich interpretacje, należy fakty te poddać naukowemu badaniu i odpowiednio zinterpretować.

Postulat ten nie pozostaje wyłącznie w sferze teorii. Parapsychologia, którą państwo de Camp tak beztrąsko postawili w jednym szeregu z innymi magicznymi pseudonaukami, bada od przeszło stu lat fakty, na któ-

re powołują się magia i okultyzm. Do czołowych jej postaci należeli tacy uczeni, jak Crookes, Myers, Sidgwick, Barrett, Hyslop, Crawford, Lodge, Carrington, William James, F. C. Schiller, Gilbert Murray, Mac Dougall, Rhine, Pratt, de Rochas, Baraduc, Flammation, Richet, Geley, Osty, Henri Bergson, Driesch, Oesterreich, Schrenk-Notzing, Bender, Messer, Mattiesen, Lombroso, Bozzano, Cazzamalli, Aksakow, Butlerow, Kotik (by wymienić tylko najwybitniejszych reprezentantów kilku krajów Europy i Ameryki), których trudno podejrzewać o brak rzetelności w rejestracji i badaniu faktów. Kto by jednak miał — niejednokrotnie uzasadnione — wątpliwości co do właściwych niektórym z nich sposobów interpretowania tych faktów, tego niewątpliwie zainteresują prace i wyniki badań parapsychologii radzieckiej, opartej na światopoglądzie marksistowskim*.

Pionierem parapsychologii radzieckiej jest B. B. Każinski (główna praca: *Biologiczeskaja radioswiaz'*, Kijów 1962), który poświęcił prawie całe życie badaniu zjawiska telepatii**.

Jednym z pierwszych ludzi, który uległ inspiracji badań Każinskiego, był sławny treser W. L. Durow.

* Dane na temat historii i aktualnego stanu badań radzieckiej parapsychologii czerpiemy z artykułu Jacquesa Bergiera *Parapsychologische Forschung in der UdSSR* zamieszczonego w niemieckim przekładzie zbioru artykułów Louisa Pauwelsa i Jacquesa Bergiera, drukowanych uprzednio w czasopiśmie „Planète”, który wyszedł pt. *Der Planet der unmöglichen Möglichkeiten* w Bernie w roku 1968, jak również z pracy L. L. Wasiliewa *Tainstwiennyje jawlenija czelowieczeskoj psichiki*, wyd. III, Moskwa 1964.

** Podejmując swe badania nawiązał on do tradycji rosyjskiej parapsychologii przedrewolucyjnej, reprezentowanej przez tej miary uczonych, co I. I. Miecznikow, D. I. Mendelejew i A. M. Aksakow.

Własne doświadczenia przekonały Durowa, że jest możliwe przekazywanie myśli zwierzętom. W latach 1923 - 34 Durow dokonał 10 000 prób pod kontrolą fachowców. Podczas tych prób udało mu się przekazać zwierzętom rozkazy, na przykład aportowania jakiegoś przedmiotu. Próby te poddano ocenie statystycznej; wynika z niej, że prawdopodobieństwo przypadkowego powstania takiego wyniku wynosi 16 do 10 000 000. (Doświadczenia podjęte przez Durowa są kontynuowane do dzisiaj). Durow był także przekonany, że oczy ludzkie i zwierzęce wysyłają szczególnego rodzaju promienie: zauważył on mianowicie, że spojrzenie człowieka potrafi okiełznać najdziksze zwierzę. Jakkolwiek badaczom nie udało się jeszcze dowieść istnienia takich promieni, wysunięto interesującą hipotezę, że źródłem ich może być szyszynka. Hipoteza ta znalazła już pewne potwierdzenie na kongresie fizjologów w roku 1959 w Buenos Aires, gdzie w jednym z doniesień stwierdzono, że drażnienie szyszynki za pomocą prądu elektrycznego powoduje na siatkówce podrażnienia wywołujące u badanych wrażenia świetlne i wzrokowe. W znanych wszystkim doświadczeniach, w których jeden człowiek, wpatrując się w tył głowy drugiego, zmusza go do odwrócenia się, Durow osiągnął w 100% wynik pozytywny. Profesor S. J. Turlugin z Leningradu dowiódł, że takie wpatrywanie się nie daje żadnych rezultatów, jeśli między „nadawcą” a „odbiorcą” umieści się drucianą siatkę o drobnych oczkach. Wywnioskował on stąd, że w przypadku promieniowania wysyłanego przez oko ludzkie musi chodzić o bardzo krótkie fale elektromagnetyczne (0,008 mm) o wysokiej częstotliwości. Rezultaty badań Turlugina poddał sprawdzeniu akademik P. P. Lazarew.

W ramach innych doświadczeń zmierzających do wy-

jaśnienia zjawiska telepatii przeprowadzono w Instytucie Pawłowa następujący eksperyment. Osobę badaną posadzono w pobliżu przewodu, przez który przepływał prąd elektryczny. Jeśli osoba ta dotykała przewodu, odczuwała, naturalnie, uderzenie prądu. Próbę tę powtarzano wielokrotnie. Przepuszczając prąd przez przewód, uruchamiano jednocześnie aparaturę wytwarzającą ultradźwięki nieuchwytnie dla ucha. Następnie wyłączono prąd, powtarzając jednak znowu sygnał ultradźwiękowy, kiedy tylko badany dotykał przewodu. Chociaż badany nie odczuwał teraz uderzenia prądu, cofał jednak błyskawicznie rękę. Był to, oczywiście, odruch warunkowy. Jednakże powstaje pytanie, w jaki sposób sygnał ultradźwiękowy — nie chwytny przecież przez ludzkie ucho — docierał do systemu nerwowego? Jeśli nawet przyjmiemy, że sygnał ten przenikał w jakiś sposób do „podświadomości” badanego, to nie tłumaczy to jeszcze, dlaczego konieczne było powtarzanie uderzenia prądem, aby badanego uczulić na sygnał ultradźwiękowy. Jeśli uczonym uda się kiedyś stwierdzić, jak „podświadomość” człowieka może otrzymywać sygnały, których nie chwyta jego świadomość, ale które mają naturę całkowicie substancjalną, to — zdaniem radzieckich badaczy — będzie można zrozumieć także zjawiska telepatyczne. Tak rozumiana telepatia nie jest więc bynajmniej objawem jakiejś nieśmiertelnej duszy, lecz zjawiskiem materialnym, które można badać metodami nauk ścisłych.

W toku badań nad telepatią poddano eksperymentom także reakcje organizmu ludzkiego na wszelkiego rodzaju fale. W roku 1959 badacz Pietrow stwierdził, że pola magnetyczne o wysokiej częstotliwości wpływają na wyższy system nerwowy człowieka, zmieniając przebiegi jego odruchów i wywołując wrażenia bólowe. Nawiązując do tych badań W. A. Kozak z Insty-

tutu Pawłowa stwierdził, że takie zjawiska, jak odbieranie myśli i wrażeń na odległość, mogą być spowodowane działaniem jakiegoś pola sił, niekoniecznie elektromagnetycznej natury.

Parapsychologowie radzieccy koncentrują swe badania nad zjawiskami telepatii, ale nie ograniczają się do nich *. Uczeni radzieccy badają także zjawiska hipnozy i magnetyzmu (eksperymenty L. L. Wasiliewa nad wpływem pola magnetycznego na obrazy sugerowane człowiekowi w czasie hipnozy), paranormalnego postrzegania zmysłowego (*casus* Kuleszowej „widzącej” palcami rąk **), wpływ środków halucynogennych na zjawiska psychometrii (widzenie tekstów czy przedmiotów niedostępnych wzrokowi ***).

W końcu czerwca 1968 roku odbył się w Moskwie I Kongres Parapsychologów Radzieckich, podsumowująca dorobek ich badań. Kongresowi, zorganizowanemu przez moskiewski Instytut Techniczno-Parapsychologiczny, przewodniczył profesor E. K. Naumow. W zjeździe tym wzięło udział blisko 300 badaczy (z Moskwy, Leningradu, Nowosybirsk, Tomsk, Ałma-Aty i Tbilisi, jak również wielu zaproszonych gości, m. in. z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Szwajcarii, Czechosłowacji i Bułgarii). W czasie obrad kongresu wygłoszono wiele referatów; m. in. na temat telepatii, hipnozy i magnetyzmu, różdkarstwa, telekinety, psychometrii. Szczególne zainteresowanie wzbu-

* Badania nad telepatią prowadzone są przede wszystkim przez Instytut Fizjologii Uniwersytetu w Leningradzie pod kierownictwem profesora P. I. Gulajewa.

** Por. N. D. Niuberg *Zrenie w palcach*, „Priroda” nr 5, 1963.

*** Por. L. L. Wasiliew, E. T. Galwas, J. I. Perichanlanc, P. W. Terentiew *K woprosu o psichofizjologiczeskom dejstwiu „pejotlifa”*, w „Trudy Instituta Mozga im. W. M. Bechtierewa”, t. XVIII, 1941 - 46.

dził referat fizyka Szweca, który przedstawił badania przeprowadzone przez siebie, profesora Naumowa oraz dwóch innych eksperymentatorów nad medium Nelją Michajłową z Leningradu. Oto co pisze na ten temat Katharina Nager w swym artykule *Kongress für Parapsychologie in Moskau* w szwajcarskim czasopiśmie „Grenzgebiete der Wissenschaft”:

Badacze ci „...przedstawili «nieprzekupne» przyrządy, za pomocą których przeprowadzano doświadczenia: encefalograf, oscylograf oraz aparat obrazujący fale mózgu. Dzięki tym aparatom można było zaobserwować działanie spontanicznej psychokinezy medium i dokładnie zarejestrować fale mózgu. Prawdopodobnie odgrywa tu pewną rolę szczególnego rodzaju pole napięć... Michajłowa, prosta kobieta z ludu, licząca około 50 lat, była w stanie za pomocą sił telekinetycznych poruszyć i doprowadzić do lewitacji zapałki, pudełka od zapalek, plóra do pisania, kule papieru, jak również chleb i jabłka. Udawało się jej także podnoszenie na kilka centymetrów w górę szklanych kulek umieszczonych w pękających butelkach. Nakreślony w czasie eksperymentu film stanowił dowód, że miało to miejsce rzeczywiste zmniejszenie siły ciężenia. Innym dowodem były załączone fotografie...” *.

Ten krótki przegląd dorobku parapsychologii radzieckiej nie pretenduje bynajmniej do miana wyczerpującego. Pokazuje jednak dowodnie leninowski — materialistyczny i dialektyczny — sposób podejścia uczonych radzieckich do zjawisk paranormalnych. „My mówimy — pisze L. L. Wasiliew ** — *ignoramus sed non ignorabimus* i cytuje słowa wielkiego uczonego D. I. Mendelejewa, który w swym *Oświadczeniu*, przedłożonym 6 maja 1875 roku Wydziałowi Fizycznemu Uniwersytetu w Petersburgu w związku z powołaniem

* „Grenzgebiete der Wissenschaft” 1968, nr IV.

** L. L. Wasiliew: *Taistwiennyje jawlenija czelowieczeskoj psichiki*, j.w., s. 147.

Komisji Do Zbadania Zjawisk Zwanych Mediumicznymi, stwierdził co następuje:

„Zjawisk tych nie można ignorować, a przeciwnie, trzeba je dokładnie zbadać, to znaczy stwierdzić, co spośród nich należy do dziedziny znanych wszystkim zjawisk naturalnych, co należy do rzeczy zmyślonych i halucynacji, co zaś do haniebnych oszustw, i wreszcie stwierdzić, czy któreś z nich nie należą do kategorii zjawisk dotychczas nie wyjaśnionych i wynikających z nie znanych jeszcze praw przyrody. Po takim zbadaniu zjawiska te utracą znamię tajemniczości pociągającej tak wielu ludzi i w ten sposób mistycyzm zostanie pozbawiony wszelkich podstaw...” *.

Niech myśl zawarta w tych słowach stanie się drogowskazem dla każdego Czytelnika książki państwa de Camp i dla każdego, kto interesuje się „duchami, gwiazdami i czarami”; drogowskazem, który pomoże mu uniknąć pułapek łatwowierności i oszustwa, na których wspiera się okultyzm, i ślepej uliczki totalnej negacji i sceptycyzmu, zamykającej człowiekowi drogę do nowych dziedzin poznania.

Jerzy Prokopiuk

* D. I. Mendelejew *Materiały dla sążdenija o spiritizmie*, Petersburg 1876, s. 3.